



Chicory

peru

1607 was

31

11

1 1
NA DZIŚ

6403

PISMO ZBIOROWE

POŚWIĘCONE

LITERATURZE, NAUKOM, SZTUCE,
Gospodarstwu krajowemu, Handlowi
i Przemysłowi.

Tom III.

Y d 13
III

W. KRAKOWIE

Wydawca Jan Waligórski.

1872.

WYDAWCA
PISMO SZKOLNE

WYDAWCA
LITERATURE NAUCZNIKI
WYDAWCA



P 424

11 11

W drukarni „KRAJ” pod zarządem Gralichowskiego.



50334

SPIS RZECZY.

Literatura: Na Zaścianku, gawęda, przez Franciszka Gumowskiego	1
Pamiętniki Dra Józefa Franka profesora uniwer. wil., streszczone i uzupełnione przez Dra Michała Homolickiego	20
Daniel, powieść współczesna, napisał Józef Tretiak	44
Naprzód, romans Spielhagena, część I, R. IX ..	100
Wizerunek poety, satyryka i mistyka z XIII wieku przez Lucyana Siemieńskiego	126
Listy A. Felińskiego, wydał I. J. Kraszewski....	166
Uczta Myśliwska na Beskidze przez Wincentego Pola	196
Filologija: Uwagi wstępne do niektórych spostrzeżeń w przedmiocie języka przez profesora Dra Józefa Majera, prezesa c. k. Tow. nauk. Krakowskiego	199
Studjum socyologiczne: Plato i jego Rzeczpospolita przez Bolesława Limanowskiego	202
Człowiek przedhistoryczny, przez Dra Karola Libelta, prezesa Towarzystwa Przyjaciół nauk. w Poznaniu.....	228
Historja: Kobięty hisoryczne: III. Katarzyna Théot przez Dr. Xawerego Liskego.....	254
Etnografija: Rzecz o obchodach weselnych ludu przez Oskara Kolberga	266
Botanika: Spór Botaników przez E. G.	286
Ekonomija polityczna: Drogi handlu zbożowego przez J. N. Sadowskiego.....	307
Józef Supiński przez J. N. Sadowskiego	358
Przegląd Literacki: przez XXX, F. B. i J. ze Ś.	371
Z powodu prelekyi Garczyńskiego o Wacławie i o jego drobnych poezjach przez Poznańczyka.....	404
Bibliografija Polska:	408
Korespondencye:	
Listy z Paryża. (List I.) przez A. de Large.	424

SPIS TREŚCI

434	Listy z Paryża (List I) przez A. de Larque
409	Korespondencja
408	Bibliografia Polska
404	Jego drobnych poezjach przez Pannę Annę
371	o powołań prelekcji Garmyńskiego o Włocławie
371	Przedmowa Litoracki przez XXX, P. B. J. x. 3.
358	Józef Świątki przez J. N. Kąkolickiego
307	Wadowickiego
288	Ekonomia polityczna: Dwoje handlu zbożowego przez J. N.
288	Botanika: Spór Holandków przez E. G.
286	Koloryta
254	Finlandyja: Błędne o obchodach waznuch Indii przez Oskara
254	Xawerskiego historycy
228	Historja: Kobiety hiszpańskie: III. Katarzyna Fłores przez Dr.
228	Wasa Towarzystwa Fizjologii nauk w Poznaniu
202	Człowiek przedhistoryczny, przez Dr. Karola Lipella
202	Wskazanie literanowskiego
199	Studjum socjologiczne: Pismo i jego bezspokoja przez Ba-
199	o k. Tow. nauk Karkowskiego
198	inow. nauki przez profesora Hm. Józefa Młajka, prezesa
198	Etologii: Uwagi wstępne do historycznych spostrzeżeń w przed-
198	Łeża Młajka na Białym przez Władysława Pola
198	Liwy A. Fohńickiego, wstąpił J. Karszewski
198	przez Lucjana Stanińskiego
198	Wzrostek poezji, estetyka i muzyka z XIII wieku
190	Napisał romans Spielhagen, część I, B. IX.
14	Daniel, powieść współczesna, napisał Józef Trylak
20	lickiego
1	Wit, wstępem i uzupełnieniem przez Dr. Michała Harno-
1	Przełożył Dr. Józefa Kłosa, profesor nauk
1	skiego
1	Historja: Na Kaszuba, gawęda, przez Franciszka Gmow-

NA ZAŚCIANKU.

GAWĘDA.

przez

FRANCISZKA GUMOWSKIEGO.

ADAMOWI CHODYŃSKIEMU

poświęca

Autor.

I.

Peszcz leje jak z cebra, wiatr huczy na dworze,
Człek ręce zaciera i chucha i dmucha
I chodzi samotny. Ej, Boże mój Boże,
Przed laty pierś grzała i ciało i ducha,
Przed laty pożarem myśl wrzała mi w głowie,
A dzisiaj... a! człowiek przy piecu się grzeje,
I nie ma do kogo pomówić na zdrowie,
I nikt się do niego nie wdzięczy, nie śmieje,
I nikt mu nie zabrzmi słoweczkiem osłody,
I nikt go całusem nie muska już błogo,
I nikt mu nie poda ni serca, ni wody,
Bo niéma nikogo — nikogo — nikogo!!!

Ten, ów mnie zapyta, dlaczego tak w ciszy
Sam jeden dziś siedzę, a w mojej komnacie,
Dlaczego ni żony, ni dziatwy nie słyszy,
Dlaczego tak pusto, tak głucho w mej chacie?...
Czyż miałbym nie kochać, nie szaleć, jak człowiek
Za oczkiem strzelistém, za buzią z karminu,
Czyż nigdy i nigdy nie wzniosłem swych powiek
Na wianek cudniejszy od liści wawrzynu?...

Ej, panie, mój panie, toć przecie bywało,
 I w człeku krew wrzała, aż serce hulało,
 Za wszystkim co piękne, nadobne i hoże:
 Za liczką z lilijek, za oczkiem, za brewką,
 Za rączką, za nóżką, za tanem, za śpiewką,
 Za buzią rumianą, jak szkarłat jak zorze.
 Kochałem w swém życiu, kochałem dwa razy,
 Dwa razy śpiewałem jak słowik we wiosnie,
 Dwa miałem pamiętne uczucia obrazy,
 Do których dziś jeszcze pierś wznoszę miłośnie,
 Do których wspomnieniem, jak gwiazda promienny,
 Wzlatiałem i wzlatam na skrzydłach zapału...
 Ej, panie, mój panie, zniknęły pomału,
 Zniknęły i przeszły, choć w sposób odmienny,
 I sam się zostałem markotny jak dziecię.
 Więc dom mój że pusty — cóż chcecie, cóż chcecie,
 Toż mówić tu niema do kogo i komu,
 Więc pusto a smutno mi w sercu i w domu.

Ciekawi, pytacie — a jakże to było?
 Za słówka ciągniecie. Ha, dla mnie to zdrowiem
 Gawędkę powiedzieć, a nawet i miło;
 Cóż robić, słuchajcie — opowiem, opowiem.

II.

Przed laty gdym jeszcze był pustym młokosem,
 Gdy wróble mi stadem latały po głowie,
 Na pracę patrzyłem z podełba, ukosem,
 I czułem na widok jój niesmak i mrowie.
 Jedynak, mieszkałem przy ojcach w zaścianku,
 A rósłem w affektach i w samój pieszczocie.
 Wciąż tylko słyszałem: mój synu, kochanku,
 Ozdobo młodzieży i moje ty krocie.
 Toż nie dziw, że w gronie znajomój drużyny,
 Od zmroku do rana, od rana do nocy,
 Zbierałem rozlicznych wybryków wawrzyny,
 Wśród zbytków, awantur i ducha niemocy.
 Nie czułem innego w ludzkości zadania,
 Nad picie, użycie, nad dobre śniadania.
 A karty, a tańce, intrygi, skandale,

Obmowy i plotki i ubiór w gust mody,
To były me cele, bez których w swym szale
Nie mógłem wytrzymać jak ryba bez wody.
Szczyciłem się miną, klejnotem, odzieżą,
A czoło wytarłem... Toć kamień się zetrze,
Gdy nikt nań nie baczy... O, taką młodzieżą,
To nabić armatę i strzelić w powietrze!

Na drugim zaścianku, w cienistym ogrodzie,
Stał dworek zamożny i lśniący od bieli.
W tym dworku, mój panie, w tój pięknej zagrodzie,
Potomki Porajów jak w gnieździe siedzieli.
A dziwni to byli zaprawdę ludziska:
Świat, życie, nie miało snadź dla nich uroku,
Bo rzadko ich widzieć zdarzało się zbliska;
Zaledwie trzy razy lub cztery do roku,
Gdy przyszli się modlić publicznie do fary.
Towarzystw, przyjaźni, strzegli się jak mary;
A owych co radzi na cudze sekrety,
Zbywali czémkolwiek jak podłe monety.
Toż niedziw, że wzięwszy na wagę te względy,
Powstały na dworek przeróżne gawędy.
Z dziesięciu, naprzykład, dawało swą szyję,
Że w dworku niecnota lub zbrodnia się kryje.
Ten cicho do ucha znów szeptał ze strachu,
Że djabła tam nieraz widywał na dachu;
Ten stosy pieniędzy, ten księgi, ten smołę,
Ów tany czarownic, ów śpiewy pokutne,
Ów duchy posępne, rusałki wesołe,
I inne podobne tym bajki wierutne.
A w dworku pomimo te żądła i grotty,
Do zmiany pożycia nie było ochoty.
Właściciel zaścianka, pan Paweł, już stary,
Był wdowcem i z rodu ostatni na świecie.
Miał wprawdzie przy sobie jedyne swe dziecię,
Lecz była to córka — Helenka — cud, czary,
Istota nie ziemską, istota półboską!
Pomiędzy dworkami chodziła pogłoska,
Że Paweł by życie dał za to dzieciątko;
Że chował ją niby największe paniątko,
Że kochał ją bardzo, że strzegł jak źrenicy,
I że jój wór złota przeznaczał na wiano.

Wór nie wór, być może że trochę kłamano ;
 Pal licho ze złotem — lecz takiej dziewicy,
 No, rozstap się ziemio, nie znaleźć raz drugi !
 Bo proszę ją było zobaczyć... wzrost, buzia,
 A szyjka, a czoło, a rączka, a nuzia,
 A liczko rumiane, włos jasny a długi,
 A oczy, ach oczy — jak czarne przepaście,
 A latka... zaledwie ich miała szesnaście !
 Cud, dziwo, roskosze !...

Z początku tłumami,
 Z pobliskich zaścianków, my czoło młodzieży
 Biegliśmy do dworka. I czy kto uwierzy?
 I we dnie i w nocy, pod drzwiami, oknami,
 Jak żaki się cisnąc, wzdychając jak miechy,
 Staliśmy na warcie, mniemając że progi
 Zamkniętej księżniczki dłoń czyja otworzy.
 Niestety, straciwszy napróżno czas boży,
 Powracał do domu z nas każdy, zły, srogi,
 Gniew słysząc za sobą, łajania i śmiechy.
 Lecz skoro nazajutrz zabłysnął świt złoty,
 Znow każdy nabierał nanowo ochoty,
 Znow każdy się stroił i wzywał amorka,
 I biegnął i pędził cichaczem do dworka.
 Tak było dość długo. Aż wreszcie te sceny
 Już mi się sprzykrzyły. Więc pałę orację,
 Przemawiam do braci, że na cześć syreny
 Musimy wyprawić jakowąś owację,
 Jakoweś coś, głośne, znaczące, dobitne,
 Niezwykłe a przecież poważne i szczytne ;
 Coś, coby wstrząsnęło jój duszą i ciałem.
 Orację przyjęto jak zwykle z zapałem.

Gdy wkrótce przybliżył się dzień jój imienia,
 Raniutko o świcie, zabrawszy z paradą
 Żydowską muzykę, ogromną gromadą
 Poszliśmy do dworka nieść słodkie życzenia.
 Stanąwszy pocichu na palcach przed gankiem,
 Ja, com był obrany dowódcą tej sprawy,
 Com miał mieć przemowę, z bukietem i wiankiem,
 Chrzaknąłem jak rycerz bez żadnej obawy,
 A potem, podniósłszy laseczkę do góry,
 Znak dałem kapeli... Waltornie, klarnety,
 I bębny i basy i skrzypce i flety
 Ozwały się naraz, aż wstrząsnęły się mury,

Aż serca nam biły, aż nogi nam drżały!
Wtem, nagle jak piorun ktoś otwarł okienko...
Patrzemy... pan Paweł... tak, Paweł z Helenką...
Coś mruknął, pogroził i krzyknął: Cymbały!
Ot, młodzież dzisiejsza, towarzystw okrasa;
Precz, zgrajo próżniaków, nie dla psa kiełbasa!...

Jak bomba gdy wpadnie pomiędzy tłum ludzi,
I popłoch paniczny i przestrasz w nich budzi,
Jak ukrop wylany na głowę przechodnia,
Tak słowa te do nas rzucone jak zbrodnia,
Straszliwe na wszystkich sprawiły wrażenie.
Kapela zgłupiała i myśmy zgłupieli.
Z początku głębokie zaległo milczenie,
Zbladł każdy, zesiniał, jak w zimnej kąpieli,
Nos spuścił na kwintę, gryzł palce ze sromu,
A potem przysięgłszy że pomści zniewagi,
Uciekał ze wstydem niepyszny do domu.

No, przecież to były co plagi to plagi!
A jednak, tfu, panie, choć wielcy i mali
W zaściankach z przygody i z nas się wciąż śmiali,
Choć wszyscy byliśmy herbowni i młodzi,
Wnieśliśmy ten casus ad acta. Czas chłodzi
Największe wybuchy, największe ferwory,
A pono najprędzej gorączkę i ciało.
Tak właśnie niebawem i z nami się stało.
O ile w początkach z nas każdy był skory
Do zemsty, odwetu, — o tyle pomału
Nic wielkie wypadło z całego zapału.
Pan Paweł górował, a myśmy łaskawie
Obelgę per non sunt puścili w tej sprawie.

Przepraszam, przepraszam, pomiędzy młodymi
Był jeden co nie zwykł usuwać się z drogi,
Co zawsze chciał wyższym być po nad drugimi,
Co nie znał bojaźni, przegranój, ni trwogi.
Tym młodym ja byłem. O, czekaj mój panie,
Groziłem Pawłowi, oduczę ja waści,
Od takich na ludzi porządnych napaści,
I powiem dla kogo masz schować kazanie!
Lecz jak to wykonać, gdy z drugiej znów strony,
Helenka naprawdę mi wpadła do oka?...
Jój buziak rumiany, jój gorsik toczony,
Jój czoło, pod którym myśl wrzała głęboka,

Jój minka gdy na nas patrzała z okienka,
 Jój włosy rozwiane, jój biała sukienka,
 I upór jój ojca i ono zamknięcie,
 I życie to jakieś tajemne przed światem,
 Już wszystko mnie odtąd ścigało zawzięcie.
 A chociaż obelga w twarz biła szkarlatem,
 Choć zdusiłbym Pawła, gdybym go miał w dłoni,
 Taj serce jednakże tęskniło do doni,
 Jakbym się znajdował za kratą więzienia.
 Chodziłem samotny, milczący, ponury,
 I tylko wciąż myślał jak rozbić te mury,
 Co kryły przedemną tak cudne marzenia.
 Więc tedy cichaczem i we dnie i w nocy,
 Biegałem tajemnie do dworka na zwiady;
 Wzywałem i niebios i piekiel pomocy,
 Bym mógł się z nią spotkać lub odkryć jój ślady,
 Bym chociaż słóweczko jój szepnął na uszko:
 Kocham cię Helenko, mój skarbie, ma duszko!
 Biegałem, szukałem, lecz celu, lecz skutku
 Nie mogłem dostąpić. Już rozpacz mię brała...

Nareszcie, pamiętam, a było to w lecie,
 Wieczorem przy blasku księżycyca w ogródku,
 Coś błysło w altance... Myślałem że kwiecie.
 Zaglądam przez parkan... to rączka jój biała...
 Tak, rączka jój biała jak marmur. Tak, ona.
 To ona, przesłiczna ma gwiazdka natchniona.
 To ona!... I nim mnie ominął czar błogi,
 Niech nikt się nie dziwi, boć wtedy krew bodzie,
 Hej, panie mój święty, gdzie ręce, gdzie nogi,
 Łup w górę! fajt na dół! i jestem w ogrodzie.
 Nadzieją, miłością, rozkoszą szarpany,
 Stałem płomienny u wnijścia altany.
 Stałem, spojrzalem, zadrzałem... i słowa
 Nie mogłem wymówić z wielkiego zachwytu.
 Tak, ona. To była Helenka. Jój głowa
 Jaśniała urokiem, jak anioł z błękitu;
 Jój piersi jak lilje kwitnęły swobodnie,
 Jój oczy błyszczały jak światła pochodnie,
 Jój oddech upajał rośliny i głązy,
 Jój uśmiech, a przytem niewinny rumieniec
 Jój nieład w ubraniu — o, takie obrazy
 Uwielbiał — nietylko ja — młody szaleniec!

— Helenko, szepnąłem, przebacz mi, to zapał...
 Lecz w tęże minucie ktoś za kark mnie złapał...
 Spoglądam — pan Paweł... oj, kiepsko z tym katem!
 A on mi: — nie tędy na romans się chodzi,
 Nie tędy, nie tędy, a cóż to, czyś złodziej...
 To rzekłszy jak pocznie okładać mnie batem,
 Jak pocznie smarować bez żadnej litości,...

Ach panie!

Myślałem naówczas że skóra i kości
 Zostaną się ze mnie przy owój altanie!
 Więc aby powstrzymać zamachy w mym wrogu,
 Jęknąłem: — Ja kocham,.. możemy z honorem...
 Rozprawić się jutro... A on mi: — Z mentorem,
 Z mentorem, smarkaczu, na ławie, na progu,
 Z bizunem i książką, ot tobie rozprawa.
 Wprzód poznaj co honor, uczciwość i wiara,
 Dopiero przyjdź do mnie, a służę ci wtedy;
 Lecz póki należysz do próżnej czeredy,
 Honoru nie wzywaj, od córki mi wara!
 Do książki, do szkoły, a pracuj niecnoto,
 A czasu nie marnuj, bo chwila to złoto;
 A ucz się hultaju, a nie siedź tak w domu,
 A ucz się, a ucz się, i nie bruźdź nikomu!

Oj, orznął mnie panie, oj orznął szalenie,
 I wyniósł za kołnierz z ogrodu jak żaka,
 I strasznie poniżył, jakoby robaka,
 Mnie, chlębę zaścianków, mnie matek westchnienie,
 Pieszczocha rodziców, mnie panien nadzieję,
 Mnie, czy kto uwierzy! ha, ha, ha, w rozpacz
 Sądziłem że świat się w posadach zachwieje,
 I zbrodnię tę wieczną ruiną naznaczy!

Pobiegłem do domu jak upiór straszliwy,
 Drzwi z trzaskiem wybiłem i padłem na łożo.
 Co ze mną się działo i jakie mi dziwy
 Roily się w mózgu, dziś nawet się trwożę,
 Gdy sobie przypomnę ten casus przeklęty.
 Głos Pawła jak wicher wciąż świszczwał mi w głowie,
 A on sam, wyraźnie, od czuba do pięty
 Przybrany w batogi, stał we drzwiach. Dreszcz, mrowie
 Mnie przeszło, gdy ujrzał to widmo u siebie;
 Aż oczy zamknąłem. Napróżno. Widziałem

Dokoła, na ziemi, a nawet na niebie,
 Ogromne nahaje, stojące nad ciałem,
 Nad zwłoki mejemi. Dwa jakby z podłogi
 Wyrosły, a skacząc wciąż mi się kłaniały....
 Nareszcie i ja sam, dom, drzewa, świat cały
 I wszystko zmieniło się nagle w batogi.
 A ojciec, a służba, a drużba i matka,
 Ze łzami patrzeli na swego gagatka,
 Jak bredził i trząsł się i zrywał z posłania,
 I dziwne im jakieś zadawał pytania.
 O, panie mój święty, piekielnym snadź jadem
 Bat Pawła namaszczon był, z tego wywodzę,
 Bom jęczał na łożu pięć niedziel z okładem,
 A boki i kości bolały mnie srodze.

Coś w szóstym tygodniu, przy końcu choroby,
 Sen miałem pamiętny, a może widzenie.
 Było to nad ranem. W powietrzu dwa cienie,
 Jak gdyby dwie różne odmienne osoby,
 Bój wiodły uparty. Struchlałem... Lecz potem
 Cień jeden gdzieś zniknął, a drugi powoli
 Przemienił się w starca. — I cóż cię tak boli?
 Zapytał mnie rzewnie. — Co... rzekłem, toć młotem
 Obelgi, zniewagi, skrwawiono mi duszę;
 Co?... pytasz mnie starcze, toć dzisiaj żyć muszę
 Jak robak zdeptany, a moje nadzieje,
 Mą młodość, mą przyszłość, śmiech ludzki rozwieje!
 — Dobrze ci, powiedział — i ciągnął tak dalej:
 Kto żyje jak tyś żył, ten niech się nie żali
 Że ludzie go depcą... Ot, powiedz mi szczerze,
 Coś robił dotychczas?... toć pono i szkoły,
 Te wielkie na przyszłość od złego puklerze,
 Nietego ci przeszły... A znasz ty mozoły
 Nad pracą dla dobra ogółu i braci?
 A wiesz ty co znaczy dom, państwo, rodzina,
 I jak się ten zowie co próżno czas traci?
 A wiesz ty, że ciebie ta ziemia za syna
 Nie uzna, jeżeli swój ręki i głowy
 Nie oddasz w ofierze na wielkie jej cele?
 Czy myślisz, że twoje młodzieńcze narowy
 Przynoszą ci chlubę?... nie, dziady w kościele
 Coś więcej dziś znaczą niżeli ty właśnie,

Z twém życiem motyla i z twymi kompany.
Więc zbudź się, wstań, pokrusz przeszłości kajdany,
I niech ją raz piorun siarczysty zatrzaśnie!

Po takim kazaniu, no, czy kto uwierzy,
Podniosłem się z łóżka zdrów, jak się należy;
Ubrałem się szybko, spojrzałem w około,
Ziewnąłem, tupnąłem, palnąłem się w czoło,
I prosto pobiegłem do ojca, do matki.
Upadłem im do nóg i jałem ze łzami
I prosić i błagać by raz mnie z swój chatki
Puścili do ludzi, co błyszczą perłami
Rozumu i cnoty. Że wstyd mnie iż ciałem
Wyrosłem jak dębczak, a w głowie, mój Boże,
Prócz wiorów i siana nic więcej nie miałem,
I że mnie to jedno rzuciło na łożę.

Zdziwieni rodzice z początku nie chcieli
I słuhać o żadnym wyjeździe gagatka.
A na co, a po co, szeptała mi matka;
Toć twój przodkowie nie więcej umieli
Od ciebie, a żyli i dobrze im było.
Masz pieniądz, masz ziemię, ot właśnie w tém sztuka,
Masz wszystko, więc na co zda ci się nauka...
Niech biedni się ucza... co ci się przyśniło;
Siedz synku, siedz w domu! — Nie, żadne przemowy
Nie mogły mi wybić téj chętki już z głowy.
Co, panie! ja silny, zdrów, krzepki i młody,
Śmiesznością się okryć przed piękną dziewoją,
Odbierać morały od kogoś z zagrody!
Hej, panie, mój panie, niech stoją jak stoją
Rodzice, kompany, przyjaźnie i druhy,
Niech myślą co zechcą o moim zamiarze,
Na wszystko i wszystkich stałem się jak głuchy,
A swego dopiąłem.

Pieniądze, багаże,
Włożyłem do kufra, a potem — a potem,
Ścisnąwszy najdroższych za ręce, kolana,
Wskoczyłem na bryczkę, westchnąłem do Pana,
I w drogę jaskółki puściłem się lotem.

Pędź chłopie, krzyknąłem, gdym był już na drodze,
Pędź, niech się oczyści na świecie myśl płocha;
Żem godzien szacunku, pokażę niebodze,
Pokażę Helence... a może pokocha.

Więc pędźcie koniki, więc pędźcie siwosze,
 Z powrotem inaczej o serce poproszę.
 A teraz z kopyta, hej, raźnie a kłusa,
 A gracko, a ostro — do grodu Krakusa!

III.

Dniem, nocą, jechałem przez piaski i drogi,
 A różne projekty szumiały mi w głowie;
 Stan jakiejś radości ogarnął mnie błogi:
 Widziałem że niknie w mój piersi pustkowie,
 Widziałem tak jasno jakoby na dłoni,
 Do jakiej to czarnej leciałem był toni.
 Widziałem instynktem, że teraz dopiero
 Ten rozbrat z przeszłością ma moją być erą,
 Ma wrócić i sercu i myśli mój zdrowie.
 Nareszcie stanąłem w odwiecznym Krakowie.

O, witaj mi grodzie, krzyknąłem na bryce,
 I ręce podniosłem jakoby do matki;
 O, witaj staruszk, co chowasz skarbnice
 Ojczystej przeszłości i chwały ostatki!
 I łza mi pociekła i sam się zdziwiłem
 Zkąd łzę tę i ono uczucie dobyłem,
 Boć przecie nikt dotąd nie uczył mnie wcale
 O naszych świętościach, o dziejach; o chwale,
 A jam był nieukiem, nieukiem nielada.
 Ha, nie wiem, lecz zda się, że Kraków ma w sobie
 Tę siłę, iż kiedy do ciebie zagada,
 To choćbyś nieczułym był jako trup w grobie,
 Na widok baszt jego i murów i wieży,
 I wzrok ci zapłonie i serce uderzy.

Z początku gdym przybył, od rana do zmroku
 Biegałem po grodzie jak małe pachole;
 A tyle znalazłem tam piękna, uroku,
 Żem zmęźniał, spowaźniał, jakobym na czole
 Po Piastach odzierał królewski diadem.
 I wstyd mnie ogarnął, żem marniał tak wczesnie,
 Żem nie szedł za wiedzą i wielkim jej śladem.
 Lecz za to tymbardziej, obdarłszy tę pleśnię,
 Przygnałem do pracy i nauk krynicy.

Ach, panie, mój panie, w Krakowskiej Wszechnicy
Dopiero przejrzałem czém człeku być trzeba.
Tam panie poznałem, co kraj nasz, co gleba,
Co święte, co przeszłość, co dzieje, przyroda.
Co ziemia ma w sobie, powietrze, co woda,
Czem człowiek być winien dla braci, dla ludzi,
I czem się szacunek zdobywa i budzi.

A Wawel... o, panie, gdym stanął w katedrze,
Na grobie mych królów, na zamku mych panów,
Na górze tej świętej, na górze tytanów,
Myślałem, że pierś mi się z bólu rozedrze...
I chodzić począłem od trumny do trumny,
I wzrok swój rzucałem choć łzawy lecz dumny,
Na prochy mych ojców, na szczątki ich kości,
Na dawne trofea — i dawne wielkości... .

A kopce za miastem, a dzieła Wit-Stwosza,
A Zygmunt, książnica, a domek Długosza,
Ot, jednym wyrazem, gdzieś okiem był rzucił,
Chociażby na kamień — i ten mi coś nucił...

Tak tedy trzy lata przebyłem w tym grodzie,
Radosny, szczęśliwy, jak ryba we wodzie,
Jak orzeł gdy buja pod niebem w Karpatach.
Jak żołnierz gdy strzeże ojczyzny na czatach.
A kiedym się skąpał w tém wszystkim po uszy,
Dopiero wróciłem do ojców rad w duszy,
Że wracam do życia i pewny i mężny,
Namaszczon jak kapłan, jak rycerz orężny.

Ej, byłoż to było, mój panie, mopanku,
Gdym z bryczką znów stanął przy swoim zaścianku!
Pocziwe ojczyisko i matka kochana,
Płakali, gdym ścisnął im ręce, kolana,
Płakali, głaskali, pieścili jak ptaszę,
Niosące im spokój pod ciche poddasze.
A piękny, a ładny, a śliczny, a dumny,
Szeptęła matynka. — A jaki rozumny...
Dodawał jój ojciec. — No i cóż kochanku,
Ty nudzić się będziesz na naszym zaścianku?
Ty pewno znów fruniesz do ludzi, do świata,
Bo teraz zaciasną będzie ci ta chata?...
— Zaciasną! mnie ciasną! o drodzy wy moi,

Co będzie zaciasno, to praca podwoi...
 I jakoś zwinąwszy się prędko na nodze,
 By ojca wyręczyć, a panie był letni,
 Odrazu ująłem zaścianek w swe wodze,
 Odrazu, bez krzyku, chałasu i pletni,
 I służba przylgnała do mego widoku,
 A nawet bydełko, żróbaki i konie
 Wdzięczyły się do mnie, gdym zwłaszcza brał w dłonie
 I dawał im garstki przedniego obroku.
 A pomnąc co stare przysłowie nas uczy,
 Że tylko wzrok pański konika utuczy,
 Toć wszędzie wglądałem i wszędzie zajrzałem,
 Z uśmiechem a życiem, ot duszą i ciałem.
 W niedzielę i święta zebrawszy czeladkę,
 Przed domem lub w domu, stosownie do pory,
 O dziejach ojczystych prawiłem im gadkę,
 I wielkie z przeszłości stawiałem im wzory.
 Toż najprzód o Skubie, o smoku w Wawelu,
 Następnie o Lechu, Kruszwicy, Popielu,
 O Piaście, o synu Łokietka — Kaźmierzu,
 O Czarnym Zawiszy — rozgłośnym rycerzu,
 O Turkach, o Wiedniu, o Barze, o Sawie,
 O Lwowie, Poznaniu, o Gnieźnie, Warszawie.
 A potem by mieli pojęcie o rzeczy,
 Prawiłem im także o ziemi, o niebie,
 O prawach, o ciepłe, o parze, o cieczy,
 I jak się od chorób ratować w potrzebie.
 Ej, panie, mój panie, powiedzieć dość słowo,
 Żem sobie raj stworzył w tym małym zakątku,
 A choć się krzywili sąsiedzi w początku,
 Że lud im narowię, — pomału, nanowo,
 Gdy jasno ujrzeli, że światło to enota,
 Otwarli przedemną jak dawniej swe wrota.
 I znów się znalazłem wśród onęj drużyny,
 Co myślą zbłąkaną szalała wraz ze mną,
 Com niegdyś pospołu z nią zbierał wawrzyny
 Szalone, wiodące w przepaści toń ciemną.
 I znów mnie otoczył gwar nocny i dzienny,
 Lecz — jam był już inny, lecz — jam był odmienny.
 To hańba! krzyknąłem raz wszystkim rodzicom,
 To hańba tak marnieć młodzieży, szlachciom!
 Mówicie że szable wydarły nam biesy,

To wnukom rycerskim nie starczy już pola
Do harców, do walki? Gdzie szlaki, gdzie kresy?....
Hej, mości panowie, nieprawda... i hola!
Są kresy, są szlaki, jest pole, są stepy,
A stepy rozległe od morza do morza,
A ten ich nie widzi kto nie chce lub ślepy.
W tych stepach co rośnie?... Chwast, trawa, rogoża,
I wilki w nich wyją i owad w nich lata!
Lecz gdzież są te stepy?... pytacie panowie,
Gdzie kresy?... W nas! w nas są — i w sercu i w głowie;
Gdzie błyszczy się pałac, gdzie wali się chata,
Tam pełno tych stepów tam rosną te chwasty,
Te chwasty niezgody, ta duma, te kasty,
Ten cnoty upadek, ciemnota i zbytki,
I suknia zszargana, zmoczona do nitki,
Tu, mości panowie, tu dla nas dziś kresy!
A niemoc duchowa, to gorsza niż biesy!
Więc wznieśmy ku słońcu i serce i lice,
Szablami nauki wytępmy kąkole,
Czyn niech nam szlachectwo wypisze na czole,
A wtędy uwierzą iżeśmy szlachcice!

O, rumor się zrobił i rwetes nielada....
Myślałem że zjedzą, że przeklą mnie społem,
Lecz gdym im wykazał, jak belfer za stołem,
Że nie iść z postępem, to trudna dziś rada,
Że gdy się nie wezmą do kunsztów, do pracy,
Do handlu, przemysłu — to zjedzą ich marnie
Zamorskie przybłędy, niemieccy żebracy,
I bieda kraj cały, kraj piękny ogarnie;
Że gdy się nie zbliżą do ludu i z ludem,
To nikt nas nie dźwignie, chociażby i cudem;
I gdym im to panie wyłożył jak trzeba,
Pamiętam, pamiętam tę chwilę dokładnie,
Że ży im błysnęły, jak gwiazdy wśród nieba....
A co tam w ich duszy paliło się na dnie,
Dość jeśli nadmienię, iż jeden drugiego
Brał, ścisnął, całował, jak brata swojego...
I młodzież tameczną ujrzałem niedługo,
Jak strząśszy się z prochu, miast zbytku i szału,
Z uśmiechem na ustach, z znamieniem zapału,
Siedziała przy pracy, przy książce, przy pługu,

Kochała swą ziemię tak jak się należy,
Jak święcie przystoi na synów rycerzy.

Jednakże pomimo mych zajęć i roli,
Od czasu do czasu chodziłem dość smutny...
Myślałem z początku że głowa mię boli;
Lecz gdzietam, zdrów byłem a siłacz okrutny.
I choćem wszystkiego po uszy miał w domu,
Nie mogłem, jak na złość, coś nabrać humoru.
Chodziłem samotny, po polu, po boru,
Jak błędny, nie mówiąc nic o tem nikomu,
Bo wstyd mnie porywał na takie cierpienie.
Jakowaś tęsknota, jakoweś marzenie,
Sny jakieś złociste, czarowne postacie,
Mąciły mi spokój, tak, że mi się zdało,
Iż żyję bez celu — iż żyję zamało,
Że brak mi, że czegoś nie staje w méj chacie.

Raz tedy gdym wyszedł był w pole w tym stanie,
Tak sobie, by ducha rozerwać mospanie,
By pośród widoków i głosów natury,
Rozproszyć i z czoła i z piersi méj chmury,
Zwiesiłem był głowę, a idąc powoli,
Począłem wsłuchiwać się w koncert przyrody :
Słoneczko błyszczało, a ptastwo na roli
Śpiewało hymn rażny. Zdaleka, szum wody
Dochodził jak wytrysk fontanny wśród ciszy.
Tam konik gdzieś zarżał, tu listek zadzwonił,
Tam dziewczę, myślące że nikt jój nie słyszy,
Nuciło o chłopcu by ku niej się skłonił.
Tu zajęc się pomknał, tam kwitło znów zboże,
Tam gwoździć wyrastał, tu habry, stokrocie,
W tém... panie, bęc głową o deskę przy płocie...
Spoglądam, gdzie jestem... o Chryste, przy dworze,
Przy Pawła własności, przy jego zaścianku...
Już krok w tył zrobiłem — gdy nagle z ogrodu
Ktoś ozwał się do mnie : A proszę, mopanku...
Czyś pamięć utracił, jak widzę zamłodu?...
Aż drgnąłem. To Paweł był. Chudy, wysoki,
W czararce, w ułance, wyglądał na zucha,
Siwiutki i z wąsem od ucha do ucha.
A kiedy oddałem mu ukłon głęboki,
On znów się odezwał : Cóż dumasz tak wasze ?

Toć pono jak słyse, wyszedłeś na ludzi...
Więc jeśli się pamięć w waszmości obudzi,
To prosiłbym wstąpić pod moje poddasze.
Ja ludzi szanuję.... — Za całą odpowiedź
Stanąłem jak wryty. Westchnąłem ogromnie,
Bo przeszłość w tej chwili cisnęła się do mnie,
Jak gdybym najświętszą odprawiać miał spowiedź.
Toż naraz ujrzałem się w gronie młodzieży,
Co nie zna żywota i nie wie gdzie bieży,
Ujrzałem lat kilka straconych daremnie,
Ujrzałem przepaści i nory i ciemie,
Do których spadałem z moimi kompani;
Ujrzałem wstyd własny tu przed tym zaściankiem,
Kapełę, wraz z którą zostałem zekpany,
Nieszczęsną wyprawę wśród nocy ze szwankiem,
I razy i morał i cudną dziewicę.
A kiedy zamknąłem ten szereg dość długi,
Dopiero poznałem że kocham raz drugi,
Dopierom zrozumiał tę swoją tęsknicę,
Że źródło jej płynie nie z ziemi lecz z nieba,
Że nie szła ją zrodził a serca potrzeba,
Ku onej wybranej w snach moich istocie,
Za którą zbit byłem w jej oczach przed laty.
Więc znowu na myśli stanęły mi baty —
Cenniejsze niż słówka pieszczone — niż krocie,
Bo one wpędziwszy mi rozum do głowy,
Sprawiły żem stał się odmienny i nowy,
Żem stał się podobny do ludzi — do Boga.
I kiedym tak dumał nad swoją zagadką,
Cienistą aleją nadeszła Helenka.
A była tak piękną, tak śliczną, tak gładką,
Tak żywą, uroczą, jak srebrna jutrenka,
Jak wiosny poranek, jak wieszca marzenie,
Jak piosnka słowicza, jak bóstwa spojrzenie!
Nadeszła nieznacznie, leciuchno, jak puszek,
A patrząc na ojca przemówić coś chciała.
Wtém, wzrok jej mnie spotkał.. i cała skraśniała...
Poczęła coś jąkać i skubać fartuszek,
Aż Paweł nareszcie znów ozwał się do mnie:
Cóż waszmość tak stoisz i dumasz za płotem?
Czy może na starca gniewasz się ogromnie,
Że jego perory dla ciebie dziś złotem?...

No, czego się dasasz i patrzysz mosanie,
Pójdź niech cię uściskam... Ej, panie, mój panie,
Jakbym się narodził! Precz rowy i mury,
A trudno drzwi szukać gdy w żyłach krew bodzie,
Jak sunę się naprzód, jak skoczę do góry,
Chlust, panie — i jestem już przy nich w ogrodzie!
A warjat! zawołał pan Paweł wesoło,
Toć karku nakręcisz... i ścisnął mi czoło,
I ręką z dobrocią poklepał mi ramię.
A ja mu też do nóg... Oj panie, nie skłamię
Gdy powiem, że pono raz pierwszy w mém życiu
Doznałem roskoszy w tém cichém ukryciu,
W tym Pawła zaścianku, przy jego dziewoi,
Przy jego gawędce, przy jego uśmiechu.
A gdym go zapytał, jak ja się od grzechu
Dawnego oczyszcze, — o, drodzy wy moi,
Odezwał się do mnie, zem już jest obmyty.
A baty?... szepnąłem — I cóż ztąd żeś bity?
Toć niegdyś przed laty nie było szlachcica
By batów nie dostał od swego rodzica,
A jacyż to byli spiżowi rycerze,
A jacy hetmani, a jacy żołnierze.
A jak się uczyli, jak bili się chobrze,
Więc cóż tam żeś dostał odemnie po ziobrze...
Toć wyszło na dobre — stałeś się przykładem,
A szlachta jak słyszę, podąża twym śladem,
A nie tak jak dawniej... Ot, u was tam gwarzą
Żem dziwak, odludek, że z nikiem nie żyję,
Że biesy się w nocy na tany tu złażą,
Że u mnie coś złego we dworku się kryje,
I różne podobne tym brednie a dziwy.
Fałsz panie wierutny! ot, powiem ci szczerze,
Kto kraj swój miłuje, kto bogi swe strzeże,
Kto sercem ukochał swe łany i niwy,
Kto blizny głębokie na piersiach posiada,
Ten radby i życie urządzić jak trzeba.
Lecz jak tu żyć było, gdy sąsiad w sąsiada
Tak szalał, tak działał, jak gdyby ta gleba
Ta matka nie matka, a sługą mu była!
Lecz z kim tu żyć było, gdy starzy i młodzi,
Tonęli w upadku straszliwój powodzi,
Niepomni że wielka nas kryje mogiła!...

A gdy mi nareszcie i żona kochana
 Umarła — o, słuchaj, westchnąłem do Pana,
 I choć mi Helenki żal było okrutnie,
 Że z ojcem przepędzać czas musi tak smutnie,
 I choć mi pierś omal nie pękła z boleści,
 Zamknąłem się tutaj od gwaru, od świata,
 Bom patrzeć już nie mógł na stare swe lata
 Na brak ów rozumu w narodzie i cześci.
 Dziś słyszę, podobno inaczéj wiatr wieje,
 Dziś pono na lepsze zanosi się dzieje,
 A zwłaszcza po twoim z Krakowa powrocie.
 Dziś pono tam chodzą już w skrusze a cnoście.
 Więc jeśli to prawda, o, ojców mych Boże,
 Przedłuż mi żywota! bo chciałyby żyć jeszcze,
 Bo jakieś przecucie nad grobem mam wieszczę,
 Że świetne niedługo zabłyśną nam zorze,
 Że ludu zbawienie niedługo zobaczę!
 Więc jeśli to prawda, patrz, widzisz — ja płaczę...
 Więc jeśli to prawda — ja godzę się z światem,
 I próg swój otwieram i idę do braci,
 I chcę być każdemu i ojcem i bratem...
 A tobie mój synu niech pan Bóg zapłaci,
 Iż wielka dziś we mnie wstąpiła otucha.
 Cóż wzdychasz?... Tu starzec szepnął mi do ucha:
 Nie wzdychaj, w nagrodę dostaniesz Helenkę...
 Helenkę! — krzyknąłem, przejęty radością,
 Jakby mi kto w duszy zanucił piosenkę,
 Jakby mnie kto olśnił nadziemską światłością...
 Helenkę! Helenkę! ... a byćże to może?...
 O ojcze... o pani... ty szczęścia mój wzorze...
 Czy nie sen to czasem złocisty, uroczy?...
 Nie, prawda, toć żyję, toć widzę, mam oczy...
 Więc jestem w niebiosach... a za co, a za co?
 Helenko! o pani, jam takie ladaco,
 Jam ciebie obraził... I zgiąłem kolana
 I błagać ją chciałem — przeproszać za winę,
 Lecz ona jak róża królewska rumiana,
 Spuściwszy oczęta uciekła w gęstwinię,
 Frunęła jak ptaszek.

Ej, panie, mój panie,
 A czyż ja to mogę, a czyż ja to w stanie
 Opisać, określić, te czasy, te chwile,

Do których tak serce uśmiecha się mile!
 A czyż ja to mogę opisać te dzieje,
 Gdzie jeszcze wierzono i w miłość i w cnotę...
 Dziś, może niejedyn wyszydzi, wyśmieje,
 Że w mrzonki się bawię, że gdéram, że plotę...
 Ej, niech tam — człek stary, darujcie to zrządzie...
 Ej, niech tam — trza skończyć, co będzie to będzie.

Gdym wrócił do domu, wnet ojciec i matka
 Poczęli mnie pytać, com taki szczęśliwy...
 Czym skarbów czasami nie odkrył wśród niwy?
 Lecz gdym im o wszystkiém powiedział jak z płatka,
 Gdym począł wychwalać dom, myśli Pawłowe,
 I jego uczucia i czyny i głowę,
 (O batkach schowałem na późniéj dodatek,
 Bom wiedział że tém się nie skarbi łask matek).
 Gdym silnie zbił plotki o biesach, o czarach,
 O jakichś tam hecach, o jakichś tam marach,
 Gdym począł pod niebo wynosić Helenkę,
 Jój dobroć, jój piękność, — gdym nawet jutrzeńkę
 Przy blasku jój zgasił, — gdym w końcu w pokorze,
 Upadłszy im do nóg, jał błagać ze łzami
 O krzyżyk w téj sprawie, — ej, Boże mój Boże,
 Wygrałem! a dzień się zakończył swatami.

A potem? cóż potem?... Cóż panie — wesele...
 I radość i szczęście i w domu dostatek,
 I życie różowe a wonne jak kwiatek,
 I miłość i wiara, jak w świętym kościele.
 A dalej?... cóż dalej?... dlaczego tak smutnie,
 W początku gawędy brzęknąłem o lutnię,
 Dlaczego żalodne zadrgały w niéj strony,
 Gdy cały poemat tak słodko skończony?

Dlaczego... dlaczego?... Ej, panie, mój panie,
 Po szczęściu, po godach, po ślubie, w dwa lata,
 Śmierć skrzydłem zgrzytnęła o moje mieszkanie,
 I w pustkę złowrogą zmieniła się chata.
 A Paweł, rodzice, a żona i dziecię,
 Oddawna na tamtym czekają mnie świecie...
 Więc trudno, na radość ja nie mam sposobu,
 Gdy zwłaszcza i serce pociąga do grobu.

A przytem gdy spojrzę znów dzisiaj dokoła,
Gdy widzę jak braci znów bierze bies w szpony,
Jak ginie wspaniałość poświęceń z ich czoła,
Jak niknie braterstwo, a wznoszą się trony
Uprzedzeń, niezgody, ciemnoty i dumy,
Gdy widzę przedajność, brak światła u ludu,
I serca bez uczuć, bez treści rozumu,
I młodzież bez pracy, zapału i trudu,
Więc nie dziw żem smutny, — cóż chcecie, cóż chcecie,
Toż z mego żywota opadło już kwiecie,
Toć jeno w wspomnieniach łągodzę swe żale,
Bo lżej mi gdy z oczu popłyną łez fale.
A że dziś do wspomnień ochota już kona,
Że mówić niedługo nie będzie już komu,
Cóż chcecie, toż smutno mi w piersi i w domu,
Cóż chcecie — żegnajcie — gawędka skończona.

Kraków d. 5 Lutego 1872 r.



PAMIĘTNIKI

Dra JÓZEFA FRANKA

profesora uniwersytetu wileńskiego,

STRESZCZONE I UZUPEŁNIONE

przez

Dra MICHAŁA HOMOLICKIEGO

profesora uniwersytetu wil.

V.

Szczodrość Litwinów w odwdzięczaniu posług lekarskich. — Porównanie z innymi krajami. — Dwa szczegóły z pobytu Józefa Franka w Rzymie.

Dla dziejów sztuki lekarskiej w naszym kraju nie może być obojętną właściwą charakterowi narodowemu szczodrość, z jaką majątniejsi zwłaszcza obywatele, niezbyt jeszcze dawno, zwykli byli wynagradzać posługiwanie znakomitszych lub wstawionych lekarzy, a osobliwie cudzoziemców. — Szczodrości tej dosyć liczne przykłady szczegółowe, nie sięgające wyżej początków XIX wieku, napotykają się w Pamiętnikach Franka. Ogólną zaś jej pochwałą tchną niektóre jego mowy, na publicznych posiedzeniach Towarzystwa lekarskiego i b. uniwersytetu wileńskiego miewane.

Jak więc hojnie i wspaniale, za dobrych owych czasów, mianowicie przed wojną 1812 roku, Litwini odwdzięczali radę i posługę lekarską, z tego już osądzić można, że praktyka wileńska Jana, Piotra Franka, w przeciągu ośmiu tylko miesięcy z roku 1804 na 1805, przyniosła mu 5,000 czerwonych złotych¹⁾. Przydajmy, że pensyi rocznej, za nadzwyczajną umową, jako professor terapii

¹⁾ *Mémoires. biogr. T. II. p. 472.*

specyalnej i kliniki medycznej, miał 6,000 rubli srebrnych, i że uniwersytet, za koszta jego podróży z rodziną i za przewiezienie jego biblioteki i niektórych sprzętów z Wiednia do Wilna, zapłacił bez najmniejszego zmarszczenia się 2,000 czerwonych złotych¹⁾. Za jedno tylko odwiedzenie w Radziwilmontach starego wojewody trockiego, ordynata kleckiego, księcia Józefa Radziwiłła, otrzymał 600 dukatów²⁾. — Pokazywano mi, jak drogą pamiątkę, własnoręczny przepis Jana, Piotra Franka na pigułki albo gałuszki przeciwkuczowe (*pilulae antispasmodicae*) ze strojem bobrowym. Za ten jeden tylko przepis, majątna mieszczka wileńska, macinniczka (*hysteryczka*) dała mu sto dukatów.

Jednakże, kolosalna wziętość znakomitych lekarzy, lubo słusznie nabyta i usprawiedliwiona powodzeniem ich praktyki, nie zawsze atoli, ani w każdej, ile nowej dla nich społeczności, może z pełną odpowiedzieć wszystkim powziętym o nich nadziejom i zbytecznemu wymaganiu. Sława starego Franka, jako pierwszego mistrza nauki i lekarza, w całej niemal Europie owoczesnej była tak wielka, a oczekiwanie jego w Litwie tak gorące, że na sam odgłos jego przybycia do Wilna, zewsząd poczęto do niego, jakoby do proroka i cudotwórcy zwozić chorych, dotkniętych z dawna nieuleczonemi kalectwami i niemocami, uległych zastarzałym, a niepoprawnym sztuką lekarską wadom organicznym wewnętrznym, suchotników już prawie konających i t. p. Nie dziw, że tak przesadzone nadzieje uzdrowienia ziszczać się nie mogły, a pogrzeby gęściły się nadzwyczajnie. Wilnu nigdy nie brakło ostrych, złośliwych nawet dowcipów. Gdy więc w kilka tygodni później, na wieczorze u marszałka szlachty hr. Brzostowskiego, ktoś zrobił uwagę, że Frank stary dotąd jeszcze nie uratował nikogo; jeden z takich żartowników podchwycił go w słowie: „Przepraszam, uratował już Prozora.“ A trzeba wiedzieć, że uniwersytet, na pomieszkanie dla Franków, właśnie co był kupił za 11,000 czerwonych złotych, w dwójnasób na ówczesne ceny przepłacając, nieodległą od kliniki, kamienicę u tego Prozora, który wprzód upadający już na majątku, przez tak zyskowną sprzedaż

1) *Mém. biogr.* T. II. p. 449.

2) *Ibid.* p. 476.

niespodzianie powstał na nogi. Tę, nieraz już dawniej słyszana gadkę, nie bez podziwienia znalazłem powtórzoną i w Pamiętnikach Józefa Franka ¹⁾. Dowodzi to zupełnej szczerości, z jaką są pisane.

Kiedy na wiosnę 1805 roku Jan, Piotr Frank kupił od podczaszego kowieńskiego, Józefa Kossakowskiego, na przedmieściu antokolskiem za 1,100 dukatów, piękny dom wjeński z obszernym ogrodem i cudnymi w około widokami ²⁾, niezwłocznie zamieszkał go z rodziną, składającą się: z syna Józefa, podówczas jeszcze profesora patologii, żony jego Krystyny z domu Gerhardi, dwóch córek, Elżbiety i Karoliny, oprócz niejakię wdowy Janitz, hożęj i zabiegłęj ochmistrzyni, którą uczniowie starego Franka mylnie uważali za jakąś baronową. Wnet co zamożniejsi pacyenci pospieszyli zapomódz i opatryć tę jego (jak ją w gronie rodzinném nazywał) willę, nietylko w najpiękniejsze bydło tyrolskie, ale i w inne żywioły, zasoby i porządki gospodarskie ³⁾.

W téjto willi antokolskięj Jan, Piotr Frank przepeździł kilka miesięcy najszcześliwszych, jak sam zeznaje, w całém swém życiu, niżeli jeszcze był wezwanym do Petersburga (dnia 2 Września 1805 r.) na rektora i profesora cesarskięj akademii medyko-chirurgicznęj i na lekarza Dworu Cesarskiego. — W rok zatęm po wyjeździe, nie bez wielkiego żalu, musiał sprzedać ulubioną swą willę

¹⁾ *Mém. biogr. T. II. p. 431—432.*

²⁾ Było to późniejsze tak zwane Tivoli, następnie posiadłość generałowej Tymanowej, a dziś obywatela Żaby.

³⁾ W liczbie tych darów znajdowała się i żywina jedna zbytkowa: młody ucieszny niedźwiadek, może smorgońskięj szkoły wychowawiec, który nieskończenie bawił młodszą rodzinę wstawionego lekarza. Niezwyczajny ten pasożyt albo rezydent antokolskiego dworca, z początku, zdawał się być całę już urochmanionym, oswojonym i łagodnym. Aliżci jednego wieczora pochwycił dziewczynę, plewiącą w ogrodzie i omal jęj nie przydusił. Wprawdzie zuchwałości swęj przypłacił niezwłoczną śmiercią przez rozstrzelanie. Ale podobno i bez téj kaźni nie długo by już był pociągnął. Widocznie bowiem ulegał pewnemu gatunkowi schnienia pacierzorrdzeniowego (*tabes dorsalis*); a to z wady, jak wiadomo nierzadkięj u samotnych, w domu chowanych niedźwiedzi.

podwileńską¹⁾: ponieważ zarząd jęj przyczyniał wiele kłopotów naszemu Józefowi, który zkaąd inąd nie tyle w nięj sobie, co ojciec jęgo, był upodobał²⁾.

Wszakże i praktyka młodego Franka z razu przyémiona olbrzymią sławą i wziętością ojca, po jęgo wyjeździe do Petersburga, prędko wzrastała. Póki żył wspomniany wojewoda trocki, ordynat klecki, ksiązę Józef Radziwiłł i dwaj jęgo synowie (którzy jeszcze przed nim pomarli), Józef Frank często był od nich wzywany do Radziwilmont i za każdym razem dostawał po 500, a nieco później już tylko po 200 czerwonych złotych³⁾.

Za dwukrotne odwiedzenie, w roku 1806 i 1807, bogatego obywatela Ignacego Karpia, chorążycza upitskiego, Krezusem żmujdzkim przezwanego w Johaniszkielach, zyskał 450 dukatów⁴⁾.

Nieszczęśliwy ten, jeszcze niepodeszłego wieku człowiek, z dziecinnych już lat prawie, doświadczał dolegliwości od kamienia pęcherzowego. Ale te, wzmagając się i pogarszając stopniami, przechodziły niekiedy w tak srogie i nieznośne udęczenia, że chory, w ich przystępie, z rozpaczą tarzał się po podłodze, wyrwał sobie włosy, z wściekłością gryzł kobierce i sprzęty; do czego się i uporeczywe wymioty (womity) przyłączały. Puśczenie krwi, inne środki przeciwzapalne, leki łagodzące i kojące, woda gazem kwasu węglowego nasycona, kąpiele ciepłe, czasową tylko ulgę przynosiły.

Jeszcze o dwa podobno lata wcześniej, dawniejszy lekarz Karpia, professor berliński C. G. Hufeland, ku wydobyciu kamienia, naraił mu był przyjaciela swęgo J. C. Lodera, professora w Jenie, męża mającego wprawdzie niemałe zasługi w nauce anatomii, lecz prawie nieznanego jak operator. Zdawaćby się mogło, że w takim wyborze Hufeland raczej się powodował przyjaźnią swoją dla jęnajskiego professora i niezawodną nadzieją wyjednania dlań szczodrej nagrody, aniżeli szczérém i sumienném

¹⁾ Nabył ją, za 1,400 dukatów Piotr Horn, podówczaś urzędnik przy pocztamcie litewskim, a późniejszy gubernator cywilny wileński.

²⁾ *Mém. biogr. T. III. p. 89.*

³⁾ *Mém. biogr. T. II. p. 475, 476, 483, 516 et sqq.*

⁴⁾ *Mém. biogr. T. II. p. 517, T. III. p. 143.*

przeświadczeniem o jego biegłości w wykonywaniu wielkich działań chirurgicznych, do jakich i wydobywanie kamienia w pierwszym rzędzie należy. Cóżkolwiekby — Loder przybywszy do Johaniszkiel, dóbr Karpia, przystępował wprawdzie do operacji. Ale chory, umieszczony już na losowym stole, jak skoro postrzegł, że podług zwyczaju, zabierano się przywiązywać mu ręce do nóg schylonych; w żaden sposób nie chciał na to pozwolić i oparł się stanowczo. Oświadczał bowiem i jak najmocniej upewniał, że i bez takiego przymusu dotrwa nie poruszając się z miejsca i ani drgnie nawet, jakiegokolwiek i jak srogie bóle wycierpiećby mu przyszło. — Niebaczny Loder uwierzył tej obietnicy, której odważniejsi nawet od Karpia dotrzymaćby nie zdołali. Jakoż, zaledwie dał pierwsze cięcie, kiedy chory, z okropnym jękiem, jakby w szaleństwie miotać się począł i przygroził operatorowi, że natychmiast każe swym hajdukom porwać go i wyrzucić za drzwi, jeśliby się odważył pomyśleć nawet o zadawaniu mu dalszej jeszcze męczarni. Wylękły Loder musiał rad nie rad, zaprzestać operacji. Jednakże, w samém pokuszeniu się o nią, osiągnął szyi pęcherza: gdyż zostawił, na niezabudź Karpiovi, mały wrzodek cewkowaty (*fistula*) w międzykroczu. Za swoją zaś próżną fatygę i za ranę, nadaremnie zadaną choremu, otrzymałszy umówionych 2,000 dukatów, udał się do Petersburga, zkad wkrótce wezwanym był do uniwersytetu moskiewskiego na profesora anatomii, której z wielką sławą nauczał ¹⁾.

Tymczasem Frank, za pierwszą jeszcze bytnością swą w Johaniszkielach, na żądanie i prośbę Karpia, dla wydobywania kamienia zalecił mu najbiegłego w owym czasie litotomika weneckiego, Franciszka Pajolę. Ten słusznie wsławiony uczeń zawołanego niegdyś Le Cat'a, pod oczyma samegoż Franka, w r. 1801, wykonał był cztery operacje wydobywania kamienia w Wenecyi, nierównie zaś więcej w Wiedniu, tak szybko i zręcznie, że każda nie trwała nad kilka minut, a tak lekko i szczęśliwie, że wszystkie się powiodły, i pacyenci prawie bez żadnej gorączki, wyzdrowieli. W Wenecyi dziecko jedno, zaledwie po wyrznięciu mu kamienia przez Pajolę, zapytane od

¹⁾ *Mém. biogr. T. III. p. 69—71, 179, 273.*

Franka, czy wielkiego doznało bólu? z uśmiechem odpowiedziało: „troszeczke“¹⁾.

Niezwłocznie tedy Karp', z listem zaletnym Franka, wysłał do Wenecyi zaufanego dworzanina. F. Pajola nie inaczej podjął się zadośćuczynić wezwaniu litowskiego panoszy, jak za nagrodę pięciu tysięcy czerwonych złotych holenderskich, ważnych obrączkowych, z których dwa tysiące zaliczono mu na rękę jeszcze przed wyjazdem z Wenecyi. Opłatę zaś pozostałych trzech tysięcy dukatów święcie zaręczono mu i na piśmie obwarowano, jak skoro przybędzie na miejsce; chociażby nawet, z jakiegobądź powodu, i nie przyszło do wydobywania kamienia²⁾. Nie tylko zaś otrzymał ją w zupełności, ale i z sowitą lichwą nadzwyczajną. Gdy albowiem, przybywszy do Wilna, udał się wspólnie z Frankiem do Johaniszkiel dla przygotowania i ośmielenia Karpia; i gdy w dniu, naznaczonym do wydobywania kamienia, chciano podobnież przykrępować rękę pacyenta do spodu nóg zgiętych i rozkroczonych; zabrakło mu odwagi, i prosił o odłożenie operacyi, do pewnego jeszcze, niedalekiego zroku. Dozwolił mu téj odwłoki Pajola, a potem nawet drugiej i trzeciej. Oświadczył wszelako, że jeśliby za czwartym odkładem litotomia nie przyszła do skutku, odbierze należących mu się jeszcze trzy tysiące dukatów i natychmiast odjedzie. Karp' i tego razu nie mogąc się zdobyć na stanowcze, mężkie i odważne postanowienie, prosił znowu o odroczenie operacyi tylko na jeden miesiąc, przydając czterysta dukatów do umówionej już, ryczałtowej zapłaty. I tak od téj nowej już odwłoki, aż do dziesiątej, całość takich dopłat naddatkowych, przez lęklivość i ociąganie się chorego, urosła do 4,000 dukatów. Nie dosyć jeszcze na tém. — Chorążyc upitski zapewniał pensją dożywotnią operatorowi na przypadek, jeśliby on, przez dłuższy jeszcze w Wilnie pobyt, miał utracić miejsce, które w Wenecyi zajmował. Nie odrzeczy więc powiadano, że Pajola, albo wynalazł w Litwie kamień filozoficzny, lub odkrył kopalnię złota w Johaniszkielach³⁾.

1) *Ibid.* T. II. p. 33 et 164—165.

2) *Mém. biogr.* T. III. p. 71.

3) *Mém. biogr.* T. III. p. 142—144.

Nakoniec, kiedy po upływie dwóch już lat blisko (1807 — 1808) Karp' nie mógł się zebrać na odwagę dla poddania się operacyi, pożegnał go Pajola, obładowany w gotowiznie sześcią tysiącami dukatów, oprócz dwóch tysięcy, z góry już odebranych; na pozostałość zaś uniósł kilka cząstkowych zapisów (obligów) swego domniemanego pacyenta. Po drodze, zatrzymawszy się nieco w Wiedniu, uwolnił od dwóch wielkich kamieni pęcherzowych starego generała barona Lilien, który żył jeszcze potem przez lat niemało i w dobrém zdrowiu¹⁾.

Kiedy Pajola z tak bogatym obłowem powracał do Wenecyi, dziwowali się co sławniejsi rakuscy i włoscy chirurgowie, zazdroszcząc mu podobno, lub przynajmniej żałując w duchu, że się im tak omastna grzanka, po próżnicy a bez troski, na Litwie nie upiekła. Wszakże i drugiemu dostałyby się jakiegokolwiek jój okrucchy, gdyby tylko znęcony i skuszony weneckim targiem Pajoli, nie tyle się był drożył i wydziwiał, ale raczej miał na baczaniu wielką różnicę, jaka zachodzi między dostatkami możnego dóbr ziemskich właściciela, a nabytkiem chudego pachotka przez naukę i długą pracę osobistą mozolnie uzbieranym. W rok albowiem później (1809), stary i bogaty praktyk wileński dokt. Jakób Lieboschitz, zagrożony ślepotą od zaemy czyli katarakty obudwu oczu, dla usunięcia jój żądał, za pośrednictwem Józefa Franka, przyzwać z Wiednia dra. Adama Schmidta, profesora w akademii medyko-chirurgicznej wojskowej, wsławionego i biegłego w ocznictwie, a razem żarliwego zwolennika tak zwanój filozofii natury. Lieboschitz ofiarował mu pięćset czerwonych złotych, koszta podróży z Wiednia i napowrót; a na czas pobytu w Wilnie, mieszkanie, pojazd i wszelkie wygody. Chociaż te warunki nie były nazbyt świetne, ale że podawano je w letniej porze i w ciągu akademickiego wypoczynku, podchlebiano więc sobie, że professor Schmidt, bez wielkiej trudności, może się do nich da nakłonić. Odpowiedź okulisty-filozofa na list przyczynny Józefa Franka jest tak niezwycajna, tak trudna do uwierzenia, iż na niej ziściłoby się mogło stare francuskie przysłowie: że czasem prawda zdaje się być zgoła

¹⁾ *Ibid.* p. 234.

nieprawdopodobną¹⁾. Treść tej szczególniejszej odpowiedzi dajemy z Pamiętników Franka w swobodnym przekładzie:

„Organ wzroku bez porównania szlachetniejszym jest od pęcherza moczowego. Jeżeli więc włoski wydobywacz kamieni, za swoją niedoszłą i w rzeczy niespełnioną sprawę, może być w Litwie nagradzany nie lada tysiącami czerwienców, jakże śmieją przynęcać mię i kusić obietnicą lichych pięciuset dukatów w nagrodę za operację katarakty? Przez wzgląd jedynie na uprzejme a chlubne dla mnie wstawienie się jw. wépana, i że pomocy mojej ręki wzywa społecznik naszego powołania, gotowem zdać się na prośbę dra Lieboschitza nie więcej, jak za półtora tysiąca czerwonych złotych, byleby mi wypłacono je zaraz już z góry, przed samym wyjazdem z Wiednia. A jeśli-bym, Boże uchroni! w drodze do Wilna umarł, albo jakim przypadkiem okaleczał i przeto stał się niesposobnym do wykonywania tak wytwornych, a tak wielkiej zręczności wymagających oczniczych działań, nikt nie będzie miał prawa, ani na mnie, ani na moich spadkobiercach, dochodzić lub poszukiwać raz już, na przypadek, zaliczonej iścizny. W Wilnie mogę zabawić dni trzydzieści i oprócz wygodnego mieszkania i pojazdu, mam co dzień pobierać po dukacie pieniędzy stołowych i po butelece dobrego wina. Jeśli by zaś chciano zatrzymać mię dłużej nad dni trzydzieści, w takim razie zapłacą mi za każdy dzień po dziesięć czerwonych złotych. Rozumie się, że doktor Lieboschitz podejmie wszystkie koszta mojej podróży z Wiednia do Wilna i na powrót. W umowie mającej się zawrzeć na piśmie, nie będzie najmniejszej wzmianki o pomysłnym lub niepomyślnym wypadku operacyi. Albowiem moja wziętość (reputacya) jest dostateczną rękojmią mojej biegłości i misterstwa (*Meisterschaft*) w sztuce; moje zaś mistrzowstwo może tylko ręczyć samo za siebie, ale nie za ogólny i osobniczy stan subjecktu, mającego się poddać operacyi, ani za wypadkowe lub nieprzewidziane okoliczności, na jój wypadek wpłynąć mogące“.

Tym jednak razem chory odrzucił warunki lekarza, a filozof-operator w prędkim bardzo czasie żyć przestał. Dla nieubliżenia jego pamięci domyslać się nawet wypadka,

¹⁾ *Souvent le vrai n'est pas vraisemblable.*

że kiedy pisał tak osobliwszą odpowiedź, już dojrzewający w nim zaród choroby wprawiał w nieład jego władze umysłowe.

Wszakże nie samego tylko Schmidta rozłakomił przykład Pajoli. Nawet ciężkiej ręki a słabego wzroku dr. Kern, professor chirurgii w uniwersytecie wiedeńskim; co większa, sam nawet znakomity professor pawijski Antoni Scarpa, w poufnych do Franka listach, dawali do zrozumienia: że jeśliby żmujdzki panosza śnać jeszcze się namyślił i odważył na operacyą, nie byłiby może zbyt dalekimi od ofiarowania mu swoich usług. Scarpa jednakże tém hamował swoje pochopy, a raczej tém się pocieszał, że nieborakowi Pajoli musiało być na Litwie okrutnie zimno ¹⁾.

Tymczasem biedny chorążyc upitski, ojciec i dobroczyńca swych włościan, zacny, szczerobliwy założyciel szkoły parafjalnej i szpitala w miasteczku swém Johaniszkielach, pod opieką uniwersytetu wileńskiego, niedługo potem smutne i opłakane życie zakończył. Wieszcze jakiego przeczucie, albo raczej zrządzenie Opatrzności, ustrzegło go zawsze bolesnej operacyi, która na nieby się już nie przydała, a raczej zgon jego mogłaby przyspieszyć. Albowiem, po otworzeniu zwłok, nietylko znaleziono duży kamień w pęcherzu moczowym; ale nawet liczne i dosyć spore kamyki w obudwu nerkach, same zaś nerki po większej części wadliwe, wyrodzone a miejscami już owrzodziałe ²⁾.

O czém uwiadomiony F. Pajola, część nieopłaconych jeszcze zapisów (obligów) Karpia odesłał i darował wileńskiemu domowi Towarzystwa Dobroczynności. Uczynił to, bezwątpienia, z namowy Franka, który nietylko miał, jak wiadomo, znaczny bardzo udział w pierwiastkowym założeniu i urządzeniu Towarzystwa Dobroczynności wileńskiego, ale wciąż, rozmaitemi drogi i sposoby, nie przestawał wspomagać i zasilać trzeciego albo lekarskiego w niem wydziału.

Zresztą, sama tylko nadzwyczajna biegłość weneckiego dobywacza kamieni, której Frank naocznym nieraz już był świadkiem, a z drugiej strony zbyteczna lekliwość i wahanie się Karpia, powiększone jeszcze dziwną nieprze-

1) *Mém. biogr. T. III. p. 387—390.*

2) *Ibid. p. 235.*

zornością Lodera, musiały być przyczyną, że tak daleko, z tak wielkimi zachody i rozrzutnością szukano tego, co w domu znaleźćby można było. Bo wszakże, na rok jeszcze przed wezwaniem Pajoli, powrócił był z podróży naukowej adjunkt, a wkrótce professor chirurgii uniwersytetu wileńskiego, Jan Fryderyk Niszkowski. Przyniósł on najchlubniejsze świadectwa pierwszych chirurgów europejskich, zwłaszcza zaś paryskich, pod których okiem, po wielkich szpitalach tej stolicy, wywiedział się i usposobił do chirurgicznych operacyj. Prędko też dowiódł swego usposobienia zręcznością i wprawą w ich wykonywaniu i coraz większą wziętością, którą podnosiły jeszcze: usłużność i łagodny charakter operatora, delikatność i giętkość panięńskiej, można powiedzieć, jego ręki. Dawni jego uczniowie przypomnieć jeszcze mogą, jak lekko, zręcznie i z najpomyślniejszym skutkiem wy dobył kamień już podżytemu przedsiębiorcy i artyście dramatycznemu teatru wileńskiego, Maciejowi Każyńskiemu ¹⁾.

Wojna 1812 roku, przysuwając niejako do nas Zachód Europy, dając bliżej oglądać i poznawać niemałą część jego znakomitości, zwolna już poczyniała rozpraszać i zdejmować z oczu ów tajemniczy urok, przez który cudzoziemcy, w wielu zawodach, zwłaszcza też lekarskim, oddawna zjednywali u nas prawie bezwarunkowe pierwszeństwo przed rodakami. Z drugiej strony, zmniejszenie zamożności krajowej, upadek lub zdrobnienie wielu świetnych i starożytnych domów, a stopniowe pomnażanie się krajowych, należycie usposobionych lekarzy, coraz bardziej poczęło ścieśniać i ograniczać owę szczodrość, z jaką dawniej odpłacano ich posługi.

Mimo to jednak, i po wypadkach nawet owę pamiętną wojny, praktyka Józefa Franka, (którego przecież nie godziło się już i niepodobna było uważać za cudzoziemca), pod dobre lata przynosiła mu do trzech tysięcy czerwonych złotych, nie licząc upominków i wielorakich przysług ze strony zamożniejszych pacyentów ²⁾. Jeszcze w roku

¹⁾ Z wielką też pochwałą wspomina o tej operacji Frank (*Mém. biogr. T. IV. p. 266*). Wypadek inną litotomii, chociaż z równą zręcznością przedsięwziętej, u obywatela Wołka, nie był tak pomyślny; a to, dla cząstkowego skiru pęcherza.

²⁾ *Mém. biogr. T. IV. p. 367*.

1814 za odwiedzenie obywatela Zarzyckiego w Hołynkach, powiecie słonimskim, dano mu całe znaczną zapłatę (*une somme très considérable*), której jednak nie wyszczególnia ¹⁾. Z innego całkiem względu warto jest wspomnieć, że gdy tegoż samego roku wezwanym był do chorego Konopki, generała b. wojsk polskich, wsławionego w Hiszpanii walecznością, a mieszkającego naówczas w Dąbrówce, za lewym brzegiem Niemna, z żoną swą nadobną Włoszką; ten ofiarował mu, wprawdzie niezbyt wielkie wynagrodzenie, ale w samych tylko dublonach hiszpańskich i to starych ²⁾. Troskliwie chował je Frank, nie tylko jak numizmatyczną rzadkość, ale też jak pamiątkę historyczną. Niepomału się więc zmartwił i zasmucił, gdy mu je, w kilkanaście lat później, skradziono już we Włoszech, we własnej jego willi po nad jeziorem Como ³⁾.

W każdym bezwząpienia kraju, lekarze wywyższeni genialnymi zdolnościami, gruntowną nauką, biegłością i ustanowionym powodzeniem w praktyce, troskliwością w chodzeniu około chorych, zaleceni podjętymi na udoskonalenie i rzetelne postępy umiejętności i sztuki lekarskiej pracami, znajdowali i znajdują godną swych zasług odpłatę. Ale z prawdomównych Pamiętników Franka można się dowiedzieć, jak wielka częstokroć zachodziła różnica w tej odpłacie między hojnością sławiańską, a skrzętną i gospodarną oszczędnością mniejszych mianowicie krajów i miast niemieckich.

W stolicach państw, zwłaszcza większych, z nami ościennych, wsławieni lekarze dorabiali się wprawdzie znacznych majątków. Wszakże te nie zawsze lub nie całkiem z czysto giermańskiego płynęły źródła. Wielkie, naprzykład, fortuny dawniejszych dwóch Franka starego uczniów, a wiedeńskich praktyków: Cappellini'ego ⁴⁾, a bardziej je-

¹⁾ *Ibid.* p. 227.

²⁾ *Ibid.* p. 227—228.

³⁾ Wzmianka w tomie V tym Pamiętników między rokiem 1826 a 1829.

⁴⁾ Do nagłej wziętości Cappellini'ego to się najwięcej przyczyniło, że Jan-Piotr Frank, przenosząc się do Wilna, w roku 1804, na profesora medycyny praktycznej, której już od lat dziewięciu nauczał w stolicy Austrii, zalecił go wszystkim dawniejszym swoim pacjentom wiedeńskim, przedawszy mu też swój pojazd i konie.

szcze Malfatti'ego, w znaczniejszej daleko części, zgutowała im wziętość, pozyskana u znakomitych cudzoziemców, w stolicy Austrii bawiących, u magnatów węgierskich i czeskich, u posłów i bogatych panów rosyjskich, u rodzin polskich przebywających ciągle lub udających się do niej po użyciu lekarskich wód w Karłowych Warach, w Cieplicach czeskich i rakuskich (pod Wiedniem). Szczególniej zaś Malfatti, którego dla fantastyczno-filozoficznych teoryj, dla zmienności w chwytniu się różnych z kolei metod i systematów lekarskich, w czasowem upodobaniu, a potem zarzucaniu najrozmaitszych leków, nieprzyjaciele jego nazywali już poetą w medycynie, już chameleonem lub Proteuszem, stał się był jak bożyszczem znakomitych dam polskich, pokładających nieograniczone w nim zaufanie ²⁾; osobliwie zaś od czasu, kiedy poślubił hrabiankę Ostrowską, córkę wojewody Tomasza Ostrowskiego, pre-

Kupia ta z początku wyszła Cappelliniemu na złe: bo zazdrośnicy widząc go w znanym dobrze powozie i z tymże samym zaprzęgiem, powiadali: że to jakiś zwierz nowy w lwiej skórze. Po wyjeździe Jana-Piotra i Józefa Franków, dr. A. J. Stifft, zaufany lekarz i zasusznik cesarza Franciszka I, na opróżnioną katedrę medycyny praktycznej w prastarym i wszechsłynnym (*uralte und weltberühmte*) uniwersytecie wiedeńskim powołał ulubieńca swego dra Beutel. A że w języku niemieckim Beutel oznacza worek; krążyła więc po Wiedniu inna jeszcze igraszka słów, jak na rakuski dowcip dosyć trefna i składna: że franki gdzieś uleciały, a po nich została tylko próżna kaleta; sprawca zaś takiej zmiany Stifft okazał się tu prawdziwym sztyftem, t. j. ćwiekiem bez głowy. Niestusnie jednak wmieszano Cappellini'ego do podobnych przekasów. Zdaniem samego nawet Józefa Franka, było wcale niepospolity praktyk; lubo skłaniał się nieco jeszcze, jak wielu w owym czasie, do nauki Browna.

²⁾ Pamiętniki Franka, T. IV, str. 411—412. T. V., w kilku miejscach między r. 1835 a 1837. Hieronim Bonaparte, były król westfalski, stryj byłego Cesarza Francuzów Napoleona III, w roku jeszcze 1819, powracając z Karlsbadu i radząc się w Wiedniu starego Franka, przy jakiejś przypadkowej wzmiance o Malfattim, powiedział: „Mości konsyliarzu! a wszakże to najlepszy, podobno, ze wszystkich niegdyś uczniów wacpana“. Na co Jan-Piotr Frank: „Najjaśniejszy Panie! jam trzymał trochę lepiej o moim jakimkolwiek talencie w nauczaniu“.

zesa senatu księstwa warszawskiego, a następnie królestwa polskiego.

Sławny też F. L. Kreysig, jeden z uczniów niegdyś pawijskich starego Franka ¹⁾, później lekarz dworu królewsko-saskiego, nie mało wygrywał, a po prostu mówiąc zyskiwał na tém, że Józef Frank polecał jego pieczy wszystkich bez wyjątku swych pacyentów litewskich, którzy udając się do wód karlsbadzkich na Drezno, chcieli pierwój zasięgnąć porady uczonego lekarza; albo już po ich nżyciu, zamierzali pozostać w tém mieście przez całą zimę ²⁾. Taką usłużność Franka za pobytu jego w Litwie i późniejszą gościnę kilkodniową, świetnie podejmowaną w rozkosznej jego willi po nad jeziorem Como, odplacił Kreysig wileńskiemu niegdyś professorowi kliniki, zimę z roku 1836 na 1837 w Dreźnie przepędzającemu, wydanym dlań dosyć chudym obiadkiem, którego nie ożywiało wino cale nie wysmienite, daleko różne od owych win szlachealnych a wielorakich, jakimi Frank pocześnie raczył gościa swego w willi po nad komasskiem jeziorem.

Na ostatek, pamięć żyjących jeszcze świadków zasięgać może, jak wiele majątniejszych pacyentów, nawet w czasach Józefa Franka i Jędrzeja Śniadeckiego, z Litwy sąsiedniej Prussom, szukało rady u tak znamienicie a słusznie słynącego lekarza i profesora berlińskiego C. W. Hufelanda ³⁾. Podobno większa ich jeszcze liczba udawała się do niego z pobliskich prowincyj koronnych.

Ale i francuzcy lekarze wiedzieli o hojności podróżyjących gwoli zdrowiu Polaków. Adjunkt b. uniwersytetu

¹⁾ *Mém. biogr. T. I. p. 199.*

²⁾ *Mém. biogr. T. IV. p. 378—379.*

³⁾ Okrzyczany niegdyś hypochondryk albo śledzionnik litewski, hr. J. M. z początku w samym Berlinie leczył się u Hufelanda; potem bardzo często radził się go listownie i nawzajem otrzymywał pisemne jego porady albo tak zwane konsultacye. Jednego razu posłał Hufelandowi, dla dokładnego wybadania, odchody swoje przyrodzone, w dwóch wielkich naczyniach kruszcowych, szczelnie zamkniętych i opieczętowanych. Ale urzędnicy pogranicznej komory celnej zatrzymali posyłkę, nie mogąc się naocznie przeświadczyć, azali tajemnicza treść tak mocno obwarowanych naczyń nie należy czasem do zakazanych towarów. Częste są wzmianki o tym sławnym chorym w tomie drugim i trzecim Pamiętników.

wileńskiego Ignacy Abłamowicz, późniejszy professor lyceum wołyńskiego, a następnie uniwersytetu kijowskiego, bawiąc przez cztery lata w Paryżu, dobrze się był zapoznał ze sławnym F. Magendie'm, który otwarcie i poufale domawiał mu się o następczenie sobie co bogatszych Polaków, dla polepszenia zdrowia przejeżdżających lub czasowicie w téj stolicy zamieszkałych, a umiejących, jak sam tego doświadczył, lepiej niż inni cudzoziemcy, znać się na rzeczy.

Po uniwersytetach zwłaszcza drobniejszych krajów niemieckich tryb życia profesorów, nie wyjmując i lekarskiego fakultetu, musiał się stosować do przyskądnej płacy rządowej, nadstarczanej niewielką od samych uczniów opłatą. Dla utrzymania się z rodzinami, wykładali często po kilka różnych przedmiotów, dawali na dzień po dwie i trzy lekcye, publiczne i prywatne. Pod tym względem w Pamiętnikach Józefa Franka, niezmiernie nas zajął ożywiony i malowniczy obraz tyle słynnego uniwersytetu gettyngskiego, w którym jego ojciec, pierwszy z katolików, od roku jeszcze 1784 do 1785, był professorem terapii szczegółowej i kliniki medycznej, z pensją roczną 800 talarów, a on sam przykładał się do nauk przygotowawczych i ku lekarskim pomocniczym, nie całe już sobie obcych. Nader ciekawe są tam wzmianki o życiu domowém przesławnych i wielce uczonych profesorów, jakimi podówczas byli, oprócz innych: J. F. Blumenbach, H. A. Wrisberg, A. G. Richter, S. G. Gmelin, A. Murraj, A. L. Feder metafizyk, G. Kaestner geometra-astronom, Lichtenberg fizyk, A. L. Schloetzer znany historyk, którego córka Dorchen (Dorota) słuchała publicznych jego lekcyj i otrzymała później stopień doktora filozofii ¹⁾. Przewodził wszystkim, jako prorektor, znakomity professor starożytnej literatury C. G. Heyne. (Córka jego Teressa, w téj właśnie porze, wychodziła za Jerzego Forstera, profesora historii naturalnej t. j. mineralogii, botaniki i zoologii, w szkole głównej li tewskiej).

Nie mniejsze też zajęcia obudzają zobopólne stosunki profesorów z uczniami, i sposób prowadzenia się samych

¹⁾ Dorota Schloetzerówna, doktor filozofii, po wyjściu za mąż, prędko zarzuciła i historią powszechną, i filozofią; a całkiem oddała się obowiązkom dobrej matki i staraniom rządnej gospodyni.

uczniów, będących naówczas prototypem prawdziwych burzów niemieckich, co to napomnieni przez dziekana, że nie zdejmują na lekcjach kapeluszków, nazajutrz wkładali dwa kapelusze jeden nad drugim i t. p. Ale, oprócz chudo-pacholskiej i mieszczańskej drużyny uczniów, na kursa celniejszych professorów uczęszczali też synowie książąt, hrabiów, baronów, frejherów. Ci za podwójne i potrójne poczesne (*honoraria*) zasiadali oddzielne miejsca w słuchalni; a professor poczynał każdą lekcją od powitania słuchaczy tytułami, jak najdokładniej podług ich rodu i godności stopniowanemi: *Hochgebohrne, Hochwohlgebohrne, Wohlgebohrne, Hochzuverehrende Herrn!* ¹⁾.

Ścisłe egzamina dla otrzymania stopnia doktora medycyny odbywały się nie we właściwym gmachu uniwersyteckim, ale w mieszkaniu dziekana; i to wśród pewnego rodzaju uczty, wyprawianej dość znacznym kosztem trzech przynajmniej kandydatów, wnoszonym na ręce pani dziekanowej, kforęj się i na stroik zawsze coś jeszcze okroliło. Prześwietny fakultet, pod przewodnictwem dziekana, zasiadał w okrąg dużego stołu, na którym nie same tylko protokoły i wywody słowne ścisłych egzaminów leżały. Pani dziekanowa zastawiała go wszelkiego rodzaju łakociami i nowalijkami. Nie brakło i posilniejszej treści jadła i napojów. „Mości kandydacie! (odzywał się jaki taki egzaminator); prosimy tu z nami przekąsić trochę szynki, wypić kieliszek szampana, i razem, z łaski swojej, opowiedzieć nam, jakie są choroby żołądka?“ Uczty te egzaminowane były snąc jak mięsopusty w skromnym, powszednim trybie życia wsławionych mędrców, sytych wprawdzie nauki i bogatych w duchu, ale nie tak zamożnych w materyalne środki ku należytemu wychowaniu ciała. To też, zdarzało się, że niektórzy z nich, ile przy dosyć znacznej drogocie przedmiotów pierwszej potrzeby a z liczniejszymi rodzinami, zmuszeni czasem bywali przestawać na kartoflach, marchwi, chuděj baraninie gettyngskiej i lurze zmieszanej z wódką, a przezwaněj winem francuzkiem ²⁾.

¹⁾ Z pomiędzy cudzoziemców, professorów b. uniwersytetu wileńskiego, jeden tylko L. H. Bojanus każdą lekcją weterynaryi i anatomii porównawczej, otwierał słowy: *Auditores ornatissimi!*

²⁾ *Mém. biogr. T. I. p. 113—125.* — Nie należy spuszczać z uwagi, że tak było w r. 1784—1785.

W Pawii, dokąd Jan-Piotr Frank, zalecony od przyjaciela swego Maksymiliana Stolla, a wzywany życzeniami dwóch sławnych profesorów tamecznego uniwersytetu, Aleksandra Volty i Antoniego Scarpy, przeniósł się był na katedrę terapii specjalnej i kliniki medycznej (od r. 1785 do 1795), płaca roczna 3000 florenów austriackich, przygodne zyski fakultetowe od egzaminów i z praktyki lekarskiej, obfitość i niewysoka cena przewyborniej wszelkiego rodzaju żywności, prędko wynagrodziły mu za suchedni gettyngskie. Oprócz zatrudnień nauczycielskich, wyniesiony wkrótce zaufaniem cesarza Józefa II na urząd protomeyka albo dyrektora departamentu lekarskiego w całej Lombardyi podówczas austriackiej, a w ciągu czteromiesięcznego dla upałów zawieszenia lekcyj uniwersyteckich, obowiązany do kolejnego zwiedzania czterdziestu trzech szpitalów i pięciuset dwudziestu w niej aptek, nie mógł się zajmować obszerniejszą praktyką w samej Pawii. Miał jednakże staranie koło niewielu znaczniejszych w niej domów; ciągle wzywany był do narady; leczył cudzoziemców, umyślnie dla oddania się jego pieczy przybywających; czasem wyjeżdżał do chorych majątniejszych, nie tylko w okolicy, lecz w dalszych nawet stronach włoskich; a częściej jeszcze dawał konsultacye pisemne, to jest: odpowiedzi na listy nieobłożnych pacyentów, albo ich krewnych, z różnych stron odbierane. Za takie konsultacye płacono nie mniej jak po suwerenie złotym, wynoszącym około 36 franków. Wszelakoż, pomimo wielkiej wziętości, zaraz po przybyciu kilką cudownemi prawie wyleczeniami pozyskaną¹⁾ i szybko wzrastającą; przez pobyt dziesięcioletni w Pawii nie zdołał, od wydatków na przystojne, acz niezbytckowne życie, na wychowanie dwóch synów, Józefa i Franciszka, z dwiema córkami i synowcem Ludwikiem, tudzież na stopniowe powiększanie swój biblioteki,— oszczędzić i uzbierać więcej nad trzy tysiące dukatów²⁾. W ogólności niewiele się można było spodziewać od praktyki po-

1) *Mém. biogr. T. I, p. 158—164.*

2) Czytelnicy zechcą tu przypomnieć sobie, że w Wilnie Jan-Piotr Frank, w przeciągu ośmiu tylko miesięcy, zyskał z praktyki prywatnej 5000 czerwonych złotych, oprócz 6000 rubli srebrnych płacy pobieranej z uniwersytetu, i 2000 dukatów wyliczonych za koszta podróży i przewiezienie biblioteki z Wiednia.

tocznej w samém mieście, którego ludność nie dochodziła do dwudziestu tysięcy mieszkańców; które w stosunku do niej liczyło trochę zanadto lekarzy, a bardzo nikczemnie i ladajako odpłacało czasem ich usługi. Wielu rodzinom zdawało się, że już dostatecznie się wywdzięczą lekarzowi swego domu, za całoroczne starania koło ich zdrowia, jeżeli mu przyślą pół tuzina tucznych kapłonów na Boże Narodzenie ¹⁾.

Wiejscy lekarze w Lombardyi bywali wprawdzie lepiej wynagradzani i opatrzeni. Ale ich los często zależał od uprzedzenia lub dowolności samych pacjentów. Każda bowiem gmina wiejska miała prawo, nietylko wybierać swego lekarza, ale i ponawiać ten wybór co trzy lata. Zkąd wynikało, że czasem stary lekarz, spędziwszy znaczną część swego życia na usługach jakiej gminy, niespodzianie widział się narażonym na wysadzenie i odprawę, dla dania miejsca lada młokosowi, który, zwłaszcza za pośrednictwem kobiet, potrafił przechylić głosy wyborców na swoją stronę. Niektórzy jednak medycy znaleźli sposób ciągłego zatrzymywania wiejskich swych posad, stając się nieznacznie dłużnikami albo i wierzycielami właścicieli, mających największy wpływ na obradach i wyborach gminy ²⁾.

We trzydzieści kilka lat później znakomity i europejskiej sławy lekarz, zasłużony professor b. uniwersytetu wileńskiego, autor wielkiego dzieła: *Pravidła wszystkiej sztuki leczenia (Præceos medicae universae praecepta)* i tylu innych, Józef Frank, osiadłszy w pięknej willi po nad jeziorem Como (1826—1842) nie oddał się, godziwemu może, po tylu pracach spoczynkowi. Oprócz zatrudnień naukowych, nie przestawał udzielać bezpłatnej rady i pomocy garzącym się doń ubogim chorym, zwłaszcza zaś pocziwym przyległych wiosek mieszkańcom, dla któ-

¹⁾ *Mém. biogr. T. I inter p. 126 et 478, passim, passim.* — Z dawniejszych professorów pawijskich, podobno jeden tylko A. Scarpa, professor anatomii i chirurgii praktycznej, biegły operator, bezdzietny i bardzo skromnie żyjący, któremu nadto rząd austriacki za wydane dzieło „O początkach nerwów“ ze szczególnej hojności w r. 1795 powiększył o sto dukatów coroczną jego płacę, przyszedł był do znacznego majątku. (*Ibid. p. 527—528.*)

²⁾ *Mém. biogr. T. VI, p. 303—304.*

rych nawet postarał się o założenie apteki na przedmieściu *Borgo-Vico* w pobliżu swojej willi. Praktycy miasta Como nieraz się uciekali do światłej jego porady i wytrawnego doświadczenia. Wzywany był od znakomitszych osób w Medyolanie i pobliskich lub nieco nawet odleglejszych okolicach w Lombardyi, na pograniczu Piemontu i w Szwajcaryi. Częściej leczył cudzoziemców, osobliwie Polaków i Rossyan, przejeżdżających lub przebywających w Como, i niektóre rodziny krajowe lub przychodne, w sąsiednich willach zamieszkałe. Jednakże zdziwiło go to trochę, że i niektóre bogatsze nawet rodzeństwa Anglików, częstokroć tak rozrzutnych na dogodzenie dziwnym fantazyom i przychceniom, na zakłady w wyścigach konnych, albo w walce kogutów i t. p., za odwiedziny lekarskie dawały mu po kilka lirów medyolańskich ¹⁾, nawet w papier dla przystożności nie zawiniętych; chociaż we własnym kraju umieją czasem być hojnymi względem swych spółrodaków lekarzy.

Kiedy Frank, zwiedzając południowe Włochy, przepędzał w Neapolu zimę z roku 1839 na 1840, celniejsi lekarze i professorowie medycyny w tamecznym uniwersytecie okazywali mu wysoki szacunek i poważanie; w trudniejszych przypadkach udawali się do jego zdania; osobliwie zaś i niewymownie cenili, jak i professorowie lekarskiego fakultetu w Turynie, bogaty jego skarbiec Prawideł wszystkiej sztuki leczenia, których przekład włoski, przez doktora Tauro rozpoczęty, właśnie prowadził dalej młody dr. Pasquale Manfré ²⁾. Atoli do głównego celu, któryśmy sobie w niniejszym wyjątku założyli, przygodzić się może to tylko, że wysoki jeden dostojnik kościelny, *Monsignor Cocle*, arcybiskup patrasski, spowiednik i jałmużnik panującego króla, wzywał pomocy Franka dla swego synowca, który ulegał przystępom osłupienia (*Catalepsis*), mylnie za paduch czyli padaczkę (*Epilepsia*) przez niektórych lekarzy miejscowych uważanego. Za taką zaś usługę i niebezskuteczną poradę wileńskiego niegdyś profesora kliniki, przenajwielebniejszy prałat neapolitański zapłacił mu samemi tylko *duserami* (słodyczami) w najprostszeń, najściślejszeń i właściwem, ale nie w przeno-

¹⁾ *Mém. biogr. T. VI, p. 218—219.* — Lir medyolański wynosi na naszą monetę złoty jeden i koło ośmiu groszy.

²⁾ *Ibidem p. 583—584.*

śném znaczeniu tego wyrazu. Przysłał mu ogromny blat cukierków, suchych rozmaitego rodzaju konfektów i tym podobnych łakoci, otrzymanych zapewne w darze od jakiego klasztoru mniszek miejscowych ¹⁾.

Z Neapolu, przed nadejściem świąt wielkanocnych Frank, jako pątnik, udał się do Rzymu, gdzie dotychczas pomimo zamiar dawno już powzięty, nigdy się jeszcze nie znajdował. Pobyt jego w tém mieście nastęcza nam dwa tylko szczegóły, mogące bliżej obchodzić kraj i miejscowość naszą.

W stolicy więc chrześcijańskiego świata, Frank usilnie żądał i otrzymał, za orędownictwem profesora medycyny praktycznej w tamecznym uniwersytecie (*Sapienza*), doktora de Matthaeis, posłuchanie u Ojca św. Grzegorza XVI: co jednak nie bez pewnej trudności, albo raczej badania nastąpiło. Ojciec św. kazał wprzód zapytać: azali doktor Frank żąda przedstawić mu się sam jeden, lub z damami? i czyli te mają przedmioty jakie do poświęcenia? Albowiem Jego Świątobliwość, zwłaszcza ile zakonnik reguły św. Romualda, w gabinecie swoim, służącym mu niby za celę klasztorną, przyjmował samych tylko mężczyzn; a jeżeli się przedstawiali w towarzystwie z damami, dawał im posłuchanie w bibliotece watykańskiej. W wyborze zaś przedmiotów do poświęcenia wielce był troskliwym i ostróżnym od czasu, gdy się dowiedział, że niektóre kosztowności, pobłogosławione jego ręką, jużto jak naszyjniki do zawieszania poświęconych krzyżyków lub medalów z wizerunkami Bogarodzicy i Świętych Pańskich, już jako przywieszki do różańców i koronek modlitewnych, później, przez płochość niektórych dam rzymskich, poprzerabiane zostały na przepaski, napiętki lub inne ozdoby stroju niewieściego.

W dniu tedy wyznaczonym na posłuchanie (26 marca r. 1840), Ojciec św., w bibliotece watykańskiej, przyjął Franka, wraz z jego żoną i nieodstępną jej przyjaciółką panną Pelagią Zabłocką z Wilna. Jego Świątobliwość, stojąc w pośrodku sali, podawał naszemu pielgrzymowi prawą

¹⁾ *Mém. biogr. T. VI, p. 517—518.*

rękę z pierścieniem do ucałowania. Ale Frank, za przykładem swej żony i panny Pelagii, kornie schylił się do stóp Głowy kościoła. W tej chwili Grzegorz XVI, kładąc rękę na ramieniu, powiedział: „Ach panie doktorze! zadajesz sobie tyle trudu dla mnie.“ Wnet Papież, ku wielkiemu zdumieniu Franka, rozkazał im, i powtórnie przynglił, usiąść na krzesłach z boku dużego stołu, którego wyższy koniec sam już w krzesle poręczowém zajmował. W czasie półgodzinnéj przeszło rozmowy, często sięgając do leżącej przed sobą, cale nie wytwornéj tabakiery, dowiadywał się od Franka o jego pobycie w Rosyji i obecném zamieszkaniu po nad jeziorem Como; o porównaniu i wpływie na stan zdrowia dwóch tak odmiennych klimatów, o jego podróżach, o rodzie i ojczyźnie jego żony i t. p. Usłyszawszy zaś, że panna Pelagia Zabłocka jest siostrą ksieni PP. Benedyktynek wileńskich, zapytywał: czy odbiera jakie od niéj wiadomości? przydając ze swojej strony zapewnienie: iż przełożona klasztoru wileńskiego PP. Benedyktynek ma się teraz dobrze (*Sd ch'ella stà bene*)?! Kiedy przy pożegnaniu odbierali, na klęczkach i z osobna, błogosławieństwo apostołskie; panna Pelagia ośmieliła się upraszać Ojca św., aby i siostrze jéj, ksieni wileńskiej, chociaż nieobecnej, raczył błogosławić: na co chętnie zezwolił. Jego Świątobliwość miał ubranie całkowicie białe, oprócz sandałów purpurowych, z wyszytym na nich krzyżem złotym; wyglądał świeżo i czerstwo; w obliczu jego malowała się spokojność i pogoda ¹⁾.

Frank, jako dobry katolik, znajdował się na nabożeństwie i obrzędach wielkotygodniowych. W kwietną niedzielę (dnia 12 kwietnia), podczas celebry w bazylice św. Piotra na Watykanie, otrzymał poświęconą palmę z rąk samego Ojca św.: jaki zaszczyt, prócz kardynałów, biskupów, wysokich urzędników, ciała dyplomatycznego, niektórych prałatów i jeneralnych przełożonych zakonów, niewielu się osobom, zwłaszcza cudzoziemcom, dostaje. Frank, w mundurze professorskim b. uniwersytetu wileńskiego, po odjęciu szpady, prowadzony przez mistrza obrzędów po trzykroć przykłękał: na pierwszym i na ostatnim stopniu tronu, i na wezgłówkę przed samemi już stopami Papieża. Przy oddawaniu poświęconéj palmy, lek-

¹⁾ *Mém. biogr. T. VI, p. 691—694.*

kie skłonienie głowy i dobrotliwy uśmiech Ojca św. ściągnął uwagę całego towarzyszącego mu orszaku; tak, że wszystkich oczy zwróciły się na naszego emeryta ¹⁾.

O sławnym śpiewie psalmu *Miserere*, kończącym jutrznią ciemną wielkoczwartkową w kaplicy Syxtyńskiej, powiada Frank: że chociaż zbiorowe tego utworu wykonanie może nie osiągało ostatecznej doskonałości; jednakże tylko w Rzymie podobną muzykę usłyszeć można. Szczególniej zaś *sola*, śpiewane przez tak zwanych *musici* (trzebieńców) przewyższały wszystko, cokolwiek w tym rodzaju słyszeć mu się zdarzyło ²⁾.

Celebra papieżka na pierwszy dzień świąt wielkanocnych (dnia 19 Kwietnia) w kościele św. Piotra, nie zaspokoila oczekiwania Franka. W jego bowiem rozumieniu, częste i wielorakie obroty i korowody orszaku wyższego duchowieństwa, przysługującego Papieżowi, nie przyczyniały się do powagi i dostojności świętego obrzędu. Nadto chóry głosowe, wykonywane przez nie dosyć licznych — jakkolwiek donośnego organu śpiewaków, rozpraszały się i pochłaniały w rozległej przestrzeni gmachu. Za to, błogosławieństwo apostołskie, dane przez Papieża z loży watykańskiej ludowi, zgromadzonemu na placu św. Piotra, było obrzędem wzniosłej religijnej wspaniałości; a wieczorne oświetlenie kopuły tegoż kościoła, niezrównanem i jedynem w swoim rodzaju widowiskiem ³⁾.

W pośród zwiedzania zabytków starożytnych i osobliwości wiecznego grodu, zwłaszcza zaś licznych jego zakładów człokolubnych, które wysławia, wśród zabieranych lub odnowionych znajomości ze sławniejszymi lekarzami i poznawania innych znakomitych osób, duchownych i świeckich, Frank bliżej się zaznajomił ze sławnym polyglottą, kardynałem Mezzofanti, z którym ciągle rozmawiał po polsku, na wyraźne żądanie lubiącego nasz język kardynała. Ciekawe zaś było pierwsze ich widzenie się z sobą i rozmowa, którą tu, w niczem nie odstępując od jej treści, nieco swobodniej powtórzymy.

Kardynał (czysto i poprawnie po niemiecku). Chociaż przekonany jestem, że Pan daleko lepiej mówisz po

¹⁾ *Mém. biogr.* T. VI, p. 721—722.

²⁾ *Ibidem* p. 735—736.

³⁾ *Ibid.* p. 736, 743 — 744.

włosku, aniżeli ja po niemiecku, jednakże poczytałem to sobie za miły obowiązek, w téjtu stolicy chrześcijaństwa, przywitać i pozdrowić Pana w Jego własnej, rodowitej mowie i wyrazić prawdziwą przyjemność, jakiej z poznania Go doznaję. Długoż Pan przebywałeś w Rossyi?

Frank (po włosku). Lat blisko dwadzieścia.

Kardynał *W takim słuczaje, miłostiwij hosudar' moj, wy dołżny choroszo goworyt' po rossyjsku. Tiem łuczsze; dla mienia wsio rawno. Tak staniemże rozgowarywat na russkom jazykie.*

Frank (po polsku). Uprzedzam Waszą Dostojność, że mowa rossyjska nie wiele mi jest znana¹⁾, i że nie bez trudności nawet rozumieć mi Go przychodzi. Za mojego bowiem pobytu w Litwie, język polski jeszcze był powszechnie używany w pismach czasowych, po szkołach i sądownictwach. — Również w uniwersytecie wileńskim i w samym nawet oddziale medycznym największa część lekcyj była wykładana, a posiedzenia rady i rządu uniwersyteckiego, jako i czterech oddziałów nauk, toczyły się i zapisywały w polskim języku, którego téż, zwłaszcza przy ciągłej praktyce lekarskiej pomiędzy krajowcami, trochę się poduczyłem.

Kardynał (czysto, wyraziście i dobitnie po polsku). A! to dobrze, mości dobrodzieju! z całego serca rad jestem pomówić i po polsku.

W dalszym rozgovorze zdawało się Frankowi, że rozmawia z krajowcem, zrodzonym nad brzegami Wisły.

Frank (Ciagle już po polsku). Wolnoż mi się zapytać: gdzie i jakim sposobem Wasza Dostojność tak dobrze i z tak czystym akcentem wyuczyłeś się mowy polskiej, nie łatwój dla innych cudzoziemców, ile w Polsce przez czas znaczniejszy nie zamieszkałych?

Kardynał. Za młodych lat moich, długo przebywałem, jeszcze jak proboszcz parafialny, w legacyi bonońskiej. Stały tam podówczas legiony jenerała Dąbrowskiego. Dziwnie jakoś polubiłem Polaków i piękny ich język. Zaprzyjaźniłem się z oficerami; uczyłem ich po

¹⁾ W roku 1814 Frank począł był wprawdzie uczyć się rossyjskiego języka; ale w nim tyle tylko postąpił, że prócz podpisywania swego nazwiska, mógł jakożkolwiek wyczytać i po części zrozumieć druki lub pisma rossyjskie. (*Mem. biogr. T. IV, p. 234.*)

włosku, a oni mię nawzajem po polsku. Używali mi niektórych ksiązek polskich i w potrzebie służyli za żywe dykcyonarze. Ustawicznie rad z nimi po polsku rozmawiałem.. Zajęcie później legacyi przez wojska austriackie, złożone w znaczniejszej części z zaciężnych sławiańskiego szczepu, dało mi sposobność wyuczenia się kilku innych narzeczy. Poznajomiłem się umyślnie w tym celu z wojskowymi różnoplemiennych krajów; a dla lepszej wprawy słuchałem ich wielkanocnej spowiedzi, wabiąc ich i ciągnąc do mojego konfessyonału i t. d.

Zapytany przez Franka o większej lub mniejszej łatwości lub trudności, doznanej w wyuczeniu się tak rozlicznych idiomatów, Mezzofanti oświadczał się i upewniał, że z pomiędzy czterdziestu i dwóch języków, które znał lub któremi mógł rozmawiać, niemiecki najwięcej go pracy i czasu kosztował. I nie mogło być inaczej, (mówił) w samoucznym nabywaniu języka, który zbyt mocno się kocha w składaniu wyrazów, używa słów (gramatycznych) w znaczeniu rzeczowników lub na odwrót; często przysłówki mięsza z przymiotnikami, a zostawiony jest samowolności piszących. Każdy z nich albowiem, podług upodobania, kuje sobie nowe wyrazy, których na próżnobyś szukał po słownikach, albo też, wyrwane z obcej jakiejś mowy, bez wielkiego zachodu i kłopotu, prosto germanizuje, t. j. z licha po niemiecku przebiera. W dodatku zaś przedzie i wysnuwa półtorałokciowe lub saźniste, jak smoczy ogon, sploty wyrazów, często i przez się już długich, jakimi cudzoziemiec prędkiej się zakrzusi, niż wygłosić je zdoła ¹⁾.

Frank. Wasza Dostojność mógłbyś jeszcze przydać gadaninę transcendentalną sekty tak zwanych filozofów natury. Nieraz się dziwiłem, że cudzoziemcy zadają sobie tyle trudu w czytaniu i wyrozumieniu dzieł, których sami autorowie, zdaje się, że pisząc je, nie wszędzie z pełną rozumieli.

¹⁾ W późniejszym dopisku zapytuje Frank: „Coby powiedział na to dobry kardynał, gdyby w *Allgemeine Zeitung* wyczytał doniesienie, że w Kolonii zawiązało się Towarzystwo pod nazwiskiem: *Dampfschleppschiffarthsgesellschaft*; lub gdyby mu pokazano tytuł pewnego pasterza drezdeńskiego: *Oberconsistorial-Kreisdirektions- und Apellations-Gerichts-Assessor*.

Kardynał Mezzofanti, małego wzrostu, suchy i delikatnego składu ciała, nieco pochyłony, od ustawicznego ślęczenia nad księgami, fizyognomii wyrażającej pojętność i dobroć, prócz nadzwyczajnej i prawie cudownej biegłości w rozlicznych językach, był człowiekiem wielostronnie i gruntownie uczonym. W kilku z nim rozmowach przekonał się Frank, że nie tylko dzieła klasycznych autorów literatury polskiej, niemieckiej i innych, ale nawet pisma znakomitych lekarzy, Hallera, Tissota, Zimmermanna dostatecznie były mu znane¹⁾.

1) *Mem. biogr.* T. VI, p. 684 — 688, 723. (T. V, p. 574).



Daniel

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

NAPISAŁ

JOZEF TRETIAK.

V.

16 sierpnia.

Już widzę, że te notatki moich wrażeń i przygód układają się w jakąś powieść. Tego jeszcze brakowało, ażebym został powieściopisarzem i stanął w szeregu ludzi, nad którymi albo litowałem się, albo których bardzo nie lubiłem. A wszystko to zawdzięczam Karolowi, który mię wmięszal do swojej sprawy i wyrwał ze zwykłego trybu życia.

Wczoraj, kiedy wróciłem do domu z obiadu, powiedział mi służący, że jakaś pani przyjeżdżała do mnie i chciała się koniecznie widzieć zemną. Zdziwiło mię to niepomalu, ale przypuszczałem jeszcze, że to w skutek nieporozumienia pod względem osoby i nazwiska miały miejsce te odwiedziny, i że już się nie powtórzą. Nie miałem takich stosunków ze światem kobiecym, któreby mogły usprawiedliwić nagłe odwiedziny jakiegóś nieznanego pani. Byłem trochę ciekawy, lecz wkrótce zapomniałem o przedmiocie ciekawości, i właśnie wtedy, kiedy już zupełnie spokojnie oddawał się książce nawpół leżąc w fotelu, otwarły się drzwi i stanęła w nich postać kobiety, a za nią dziwnie ciekawa i uśmiechnięta postać mojego Łukasza.

Powstałem z siedzenia; kobieta się zawahała u progu i nie podchodząc bliżej, spytała mię, czy jestem Danielem W.? Na potwierdzającą odpowiedź, podstała na środek pokoju, obejrzała się na drzwi, w których dotąd jeszcze stał zaciekawiony Łukasz, i rzekła: Mam z panem do pomówienia sam na sam.

Spojrzałem gniewnie na Łukasza, którego już nazbyt parafiańska ciekawość obrażała mię prawie. Zamknął drzwi natychmiast i zostaliśmy sami. Podałem jój fotel, na którym usiadła z pewnym znużeniem. Stałem obok koło okna i oparty o jego ramy czekałem, żeby sama rozpoczęła rozmowę, z której się miałem dowiedzieć o powodzie tych dziwnych odwiedzin. Miałem czas już obejrzeć tę moją nieznaną panią, i przekonałem się, że musiała być jeszcze dość młodą i że była wcale przystojną. Twarz miała bladą i pociągłą, w wycięciu ust jakiś wyraz goryczy, niesmaku czy przesyty. Była przytém słusznego wzrostu, chód miała lekki i płynny, w ruchach i stroju wielką elegancyą. Duży szal perski owijał jój kibić i wcale dobrze odbijał od bladłej cery i ciemnych w pukle ułożonych włosów. Jednym słowem poznałem w niej od razu jedną z władczyń salonowych, panią woskowanego i lakierowanego świata.

— Zadziwia pana i gorszy może, — rzekła mi jednostajnym prawie głosem i nie patrząc na mnie — ta wizyta tak nagła i niezupelnie stosowna. Dlatego muszę mu zaraz podać jój naglącą przyczynę. Wszakto pan byłeś sekundantem Karola?

— Tak, pani.

— Mojego męża...

Skłoniłem się na tę nawiasową rekomendacyą.

— Nie wiedząc od kilku dni, co się dzieje z Karolem, niespokojna o niego, — mówiła to nadzwyczaj spokojnie i powoli — udaję się do pana z prośbą, ażebyś mi zechciał dać potrzebne skazówki.

— Raczy pani zażądać?...

— Najprzód, gdzie jest Karol?

— W Chocimkowskim lesie, w domku leśniczego...

Trudno mu było przejechać do miasta.

— Jest więc bardzo chory? — spytała, spozierając mi w oczy.

— Rana nie jest niebezpieczną, ale dość ciężką.

— I wyleczenie nie tak prędko nastąpi?

— Tak mi się zdaje.

— Czy chciałbyś pan być tak grzecznym i zawieść mię do téj chatki, która mi jest zupełnie nieznaną i do której nie trafiłabym zapewne sama?

— W każdej chwili! Czy mam zaraz posłać po karetę?

— Powóz mój czeka na dole. Jeśliś pan tak łaskaw, możemy zaraz pojechać.

Wychodząc z pokoju, podałem jój rękę i sprowadziłem ze schodów. Łukasz, którego ciekawość nie została zaspokojoną, nie mógł przyjść do siebie i otwartszy drzwi przed nami, stał w nich długo jeszcze i patrzył na nas schodzących. Bałem się, żeby nie zachorował z ciekawości.

Wsiedliśmy do małej, ale ładnej parokonnej karety; wskazałem woźnicy, dokąd ma jechać. Pókiśmy jechali po bruku, stuk powozu i hałas miejski pozwalał nam obojgu milczeć; ale gdy nagle koła zjechały w piasek, ocknęliśmy się w cichości, która na mnie przynajmniej niemiłe zaciężyła, bo zdawała się wymagać rozmowy, do prowadzenia której — a cóż dopiero do wszczęcia! — nie byłem weale usposobiony.

Moja towarzyszka siedziała nieruchomie, z głową opartą o poduszki, z okiem utkwioném gdzieś przed siebie, z wyrazem jakiegoś znużenia i niezadowolenia, co zdradzały przedewszystkiém dziwnie piękne usta téj kobiety. Gdyśmy już byli za miastem, zwróciła się nieco ku mnie i rzekła właściwym sobie tonem znużenia i apatyi:

— Panie Danielu, pan mię musisz bardzo przeklinać w duchu.

— Nie, pani, — odrzekłem spokojnie.

Usta kobiety zadrgały mimowolnie wesołym uśmiechem, lecz natychmiast powróciły do dawniejszego wyrazu. Ten uśmiech trwał zaledwie sekundę.

— Wyrwałam pana od jego zajęć, od książek...

— Powrócę do nich niebawem. Zresztą straty nie ma żadnej.

— Tak pan sądzi?

— Tak, pani. Nie jestem ani dziennikarzem, ani profesorem, ani autorem.

— Jednak, o ile słyszałam, książki pan cenisz bardzo wysoko.

— Bezwątpienia, jestto najmilsza rozrywka moja.

— Pan je uważa za rozrywkę?

— Tak, pani. Nudne książki uważam za jedną z plag rodu ludzkiego.

— Więc pan same powieści czytuje?

— Właśnie powieści nigdy nie czytam. Nie znam nic nudniejszego od powieści, chyba dramata pisane przez nie-Szekspirów.

— Więc powieści mają być tak nudne?

— Dla mnie. Podoba mi się określenie powieści przez jednego z moich znajomych, który mi kiedyś powiedział: „Mazgaj wymaluje mazgaja, i to się nazywa powieść.“

Moja pani poruszyła ustami do apatycznego uśmiechu.

— Lecz jeżeli powieści nudzą, cóż może zajmować?— spytała. — Zapewne historia?

— Więc pani szczerze kładzie różnicę pomiędzy historią a powieścią? — zapytałem poważnie.

Kobieta spojrzała na mnie z uwagą.

— Pan zatem nie widzi żadnej różnicy pomiędzy niemi?

— Tak, pani.

— Historia więc nudzi pana zarówno z powieścią?

— Tak, pani. Prawie tak samo mię nudzi. To nie dowodzi jednak, żebym jój czasami nie czytał. Czasami nawet pozwalam sobie powieść przeczytać, ale to w sposób wyjątkowy i wyjątkową powieść.

— Jakiegoż rodzaju książki stanowią rozrywkę pańską?... Zapewne nie matematyczne?

— Przeciwnie, pani; matematyczne i przyrodnicze.

Kobieta znów spojrzała na mnie z uwagą. Zdawało mi się, że mię o kłamstwo posądza.

— Rozrywka bardzo jest dziwną.

— Taką się innym wydaje... Rzecz gustu...

— Pan nie dokończyłeś zdania, jak mi się zdaje.

— Tak, pani.

— A więc rzecz gustu i...

— I stopnia szaleństwa.

Brwi mojej towarzyszki ściągnęły się na chwilę, jakby dlatego, żeby dać odpór zuchwałemu słowu; ale natychmiast rozbiegły się napowrót, i twarz nie zdradzała już zakłopotania.

— Ja bardzo dobrze rozumiem pana.

— I podziela pani moje zdanie?

— Nawet... trochę... ale matematyki nie znoszę.

Kiedyśmy stanęli przed chatką leśniczego, wysiadłem pierwszy z powozu i poszedłem sam do Karola, aby go uprzedzić o przybyciu żony, która ten mój krok zrozumiała dobrze i do mego powrotu pozostała w karecie.

Karol na wiadomość o żonie zapłonął cały, a potem pobladł i dostał nerwowego drżenia.

— Słuchaj, ty tu przyjdiesz z nią razem? — rzekł do mnie drżącym głosem.

— Sądzę — odpowiedziałem — że właściwiej będzie, jeśli nie będę obecnym waszemu przywitaniu.

— Bądź, bądź; ja cię o to proszę, zaklinam; bądź tu ciągle przy mnie, póki ona nie odjedzie. Zaklinam cię. Widzisz, ja chcę odwagi czerpać w twojej obecności; ja nie dowierzam sobie.

Trudno mu było odmówić. Wróciłem do powozu i podając rękę pani Amelii, zapytałem, czy chce, żebym ją odprowadził aż do łóża chorego.

— Proszę pana o to — powiedziała, i poszliśmy.

Kiedyśmy weszli do komory, Karol siedział na posłaniu, oparty o poduszki; ręce jego drżały konwulsyjnie. Błyszczące, nieco zapadnięte oczy wlepił w postać żony, która umiała dziwnie panować nad sobą i żadnym prawie ruchem nie zdradzała pomieszczenia.

Moje położenie jako świadka niezmiernie mi ciążyło. Puszczejąc rękę Amelii, chciałem odejść, i już miałem się ku drzwiom, kiedy Karol zawołał na mnie:

— Danielu, zostań!... proszę cię o to.

— Zostań pan! — rzekła Amelia, chwytając mię za rękę; a zwróciwszy się do Karola, dodała:

— Temu panu zawdzięczam, że tu jestem; od niego dopiero dowiedziałam się, gdzie jesteś. Pozwól się zapytać, w jakim celu ukrywałeś miejsce swego pobytu? Nie pytam już o dalsze rzeczy.

— A! nie pytasz o dalsze rzeczy! — zawołał Karol, podnosząc się na łóżku — nie pytasz o dalsze rzeczy!... I po cóżbyś miała pytać o to, co sama wiesz lepiej ode mnie?!...

Głos Karola był gorączkowy i drżący. Policzki pałały chorobliwymi rumieńcami. Twarz Amelii pokryła się lekkim rumieńcem; ale ten znikł wkrótce niepostrzeżenie, osunął się jak lekka przejrzysta zasłona. Pozostała znowu

twarz blada, z dawniejszym wyrazem obojętności i znużenia....

— Cierpisz gorączkę, — powiedziała — nie chciałabym ci jęj przysparzać widokiem swoim. Dla tęg samęj przyczyny gotowa jestem odłóżyć na później rozmowę naszą, taką rozmowę, któraby nas mogła postawić na wyraźnej stopie względem siebie. Odkładam ją do chwili, kiedy będziesz zdrowszym.

— Taka rozmowa może mię uleczyć; mów zaraz, mów zaraz. Jestem ciekawy, do jakiego stopnia spotęgujesz obłudę swoją; jakie dasz objaśnienia; jakie wybierzesz zakłęcia; ha, wreszcie jakimi wyrzutami mnie obarczysz. Wszak przyjechałaś po to, żeby mi robić wyrzuty; nieprawdaż?... tylko po to przyjechałaś!

— Mylisz się; przyjechałam, żeby ci zrobić propozycyą, która nas jedynie, jak mi się zdaje, zdoła pogodzić.

— Propozycyą?... Czego?

— Rozłączenia się, rozejścia się w różne drogi; jednym słowem rozwodu.

Karol, podniósłszy się na lewęg ręce, słuchał tych słów z gorączkową ciekawością. Dosłuchawszy ostatniego wyrazu, padł z głuchym jękiem na poduszki.

Widziałem, że w oczach Amelii łzy błysnęły. Ta chłodna, znudzona kobieta musiała się przejąć na chwilę całą boleścią serca, które się tak fatalnie rzuciło jej pod nogi. Odwróciła nieco głowę ode mnie, ażeby nie spostrzegł jęj wzruszenia, i stała czas jakiś nieruchoma i milcząca. Parę minut trwało ciężkie, gniotące milczenie. Nakoniec podeszła bliźej do Karola i zaczęła mu mówić cichszym i przekonującym głosem:

— Że to ja jestem bezpośrednią przyczyną twojzego nieszczęścia, o tęg wiem doskonale, i nie myśl, żebym to chciała utaić. To szczere przyznanie się niechaj ci będzie cząstką wynagrodzenia za to, za co ci w całości wynagrodzić nie zdołam. Ale posuwając szczerosc dalej, muszę ci powiedzieć, że już dalej w parze iść nie możemy; że, jeżeli było błędem nasze małżeństwo, to jeszcze większym byłoby błędem pozostawać w niém nadal. Nie możemy być szczęśliwymi razem; może nie będziemy tak nieszczęśliwi osobno.

Karol milczał, łzy mu płynęły obficie z oczu. Nie mogłem znieść dłuźej tęg sceny i wyszedłem z komory. W wielkiej izbie pod piecem stała Hela i bawiła się w najlepsze

z kotkiem, udając palcem myszkę i zniewalając kotka do łapania téj mniemanéj myszki. Twarz jéj pogodna, jasna, radośnie uśmiechnięta, przeraziła mię prawie po widoku tamtych twarzy bladych i boleścią lub goryczą ściętych. Kiedy mię ujrzała, uśmiechnęła się wesoło i rzekła:

— A, tak dawno nie byliście u nas; jeszcze jak... kiedy to było?... prawda, jeszcze jak wam bajeczkę mówiłam w lesie.

Powiedziałem Heli, że nie mogę ich zbyt często odwiedzać.

— A wyście teraz przyjechali tak ładnie; widziałam wasze konie. A ta pani, co tak ślicznie ubrana, to wasza siostra?...

— Nie, Helu; to żona tamtego pana chorego.

— To żona?... Pewno daleko mieszka, kiedy dopiero teraz przyjechała do niego.

— Dość daleko.

Wkrótce ukazała się Amelja i podchodząc ku mnie powiedziała zniżonym głosem:

— Chciałabym natychmiast odjechać. Raczysz mi pan towarzyszyć?

Zawahałem się. Nie chciało mi się porzucić Heli i chorego Karola, którego zdrowie musiało się pogorszyć po odwiedzinach żony. Nie chciałem znowu w niczem ubliżyć Amelii, której otwartość, szczerłość i ufność dla mnie nie mogły nie zjednać mnie dla niéj. Chwila wahania była krótką. Na znak zupełnéj powolności jéj żądaniu podałem jéj rękę.

Już trzymałem ramię Amelii przy mojem ramieniu, kiedy ta szepnęła mi pocichu, wskazując na Helę:

— Co to za dziewczyna?

— Córnka gospodarza téj chaty, leśniczego.

— Przesłiczny pączek!... Jak się dziecko nazywasz?— rzekła do Heli.

— Kto taki? — zapytała Hela pomieszana.

— Ty, ty, dziewczyno.... Czy już nie chcesz być dzieckiem?

— Pani zapytuje, jak cię nazywają? — dodałem.

— Ach, pani pyta, jak mnie nazywają?... Hela, pani.

— Bywaj zdrowa, Helu! bądź jak najdłużej dzieckiem... Chodźmy — rzekła do mnie. — Ale może pan zechcesz tu zostać?

— Obiecałem towarzyszyć pani, a nie mnie w tej chwili nie zmusza do zostania. Jestem więc na jej...

— Więc jedźmy!

Odprowadziłem Amelię do powozu, a sam powróciłem na chwilę do Karola, żeby go pożegnać. Oddech miał ciężki, gorączka wzmogła się niesłychanie; był więc jeszcze jeden więcej powód, żebym wracał natychmiast do miasta, a mianowicie potrzeba nagląca sprowadzenia mu doktora.

Karol wyciągnął do mnie wchodzącego rękę i rzekł szepczącym głosem:

— Jeżeli przeżyję to, co dzisiaj cierpię, Danielu... jeżeli przeżyję, to...

— Przeżyjesz! — odpowiedziałem mu, poruszony tym stanem cierpiącego. — Przeżyjesz i po przejściu tego bólu odrodzisz się zupełnie nowym człowiekiem. Czy lepszym, nie wiem; ale szczęśliwszym i spokojniejszym, to pewna!

Wielkiego sensu w tych moich słowach nie było, jak we wszelkich słowach pociechy tylko na własnych żądaniach opartej. Dlatego nie odważałem się nigdy nikogo pocieszać, i teraz dziwiłem się swojej bezczelności i odwadze. Na Karolu jednak te słowa zrobiły dobre wrażenie. Uścisnął mi dłoń silnie i szepnął:

— Danielu, dobry jesteś!

Pożegnałem go i powróciłem spiesznie do Amelii. Była trochę niespokojna i drżąca, choć uważałem, że starała się panować nad sobą i udawać zupełny spokój. Konie ruszyły. Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu; nareszcie Amelia nagle zwróciła się ku mnie i rzekła:

— Jak mi się zdaje, jesteś pan we wszystko wtajemniczony; jesteś jednym z najszczerzych przyjaciół Karola, a moją ufność dzisiaj pozyskałeś najzupełniej. Może to się dziwnem wydać, że w tak krótkim przeciągu czasu zdołałam pana poznać najzupełniej, a jeżeli nie poznać, to go pojąć przynajmniej. Dziwnie to wygląda, ale tak jest w istocie. Ponieważ po poznaniu pana chodzi mi o jego zdanie, chcę go zatem wtajemniczyć w całą tę smutną historią. Jako przyjaciel Karola i pośrednik w tej sprawie, może pan będziesz mógł z tego skorzystać dla uspokojenia Karola.

Podziękowałem jej za zaufanie ku mojej osobie i dobre o mnie mniemanie; ale było mi trochę niewygodnie w tej nowej roli spowiednika. Wykręcić się od tej roli niepodobna było bez obrażenia kobiety; musiałem więc przyjąć na siebie

ten ciężar, i już byłem przygotowany do dłuższej sceny wyrzucić się i zwierzeń, kiedy Amelia po chwili milczenia i jakby odgadując moje myśli rzekła:

— Dla powodów bardzo zrozumiałych pragnę tę spowiedź odbyć pisemnie, tém bardziej że chodzi mi o to, żebyś pan ten list mój po przeczytaniu wręczył Karolowi.

Byłem rad bardzo z tego obrotu rzeczy i podziwiałem śmiałość i spokój téj kobiety, umiejaczej tak zręcznie obchodzić się z drażliwymi sprawami; umiejaczej tak spokojnie i z godnością mówić o rzeczach, których się dotknąć nawet lękają zwykłe kobiety.

Kiedyśmy zajechali do jéj domu, powiedziała mi, że nie zaprasza mnie w téj chwili do siebie, bo wie, że mam się udać po lekarza. Ofiarowała mi ku temu swoje konie i prosiła, żebym ją zechciał kiedy odwiedzić. Podziękowałem za konie, ale ich nie przyjąłem w skutek jakiegoś niewyraźnego skrupułu i przyrzekłem ją niebawem odwiedzić. Mogę powiedzieć, że mi się nie tyle podobała, ile mnie zaciekawiła i zajęła. Dlatego też muszę ją poznać bliżej.

VI.

18 sierpnia.

Dzisiaj odebrałem zapowiedziany list Amelii. Odgadłem po zapachu, po wypieszczoném piśmie, że wyszedł z ręki kobiety, znającej doskonale wszystkie ozdoby i przyjemności życia powszedniego. Łukasz musiał się także domyśleć autorki, a może się dowiedział o niej od posłańca, bo kiedy mi dziś rano przy kawie ten list oddawał, to zrobił minę tak zabawnie poważną, tak pełną komicznego uszanowania dla mniemanéj tajemnicy, że zacząłem śmiać się i zapytałem: czy mu się czasem jakie nieszczęście nie przytrafiło.

Muszę wyznać, że z niemałą ciekawością zabrałem się do czytania wonnych éwiarteczek pani Amelii. Co téż ta kobiéta powie o sobie? Jak się wywikła z oskarżeń, których nie zna, ale których domyślać się musi? Przeczytałem list i dałem w duchu najlepsze świadectwo o dowcipie pani. Nie wiem, czy chciała w tym liście oskarżyć raczej męża, niżli uniewinnić siebie, ale to wiem, że list zjednał mnie dla niéj swoją dziwną śmiałością, szlachetną jakąś bezczelnością, która mnie zawsze podbija. List

ten zawiera krótką historję małżeństwa, jaka się u nas na każdym kroku powtarza, choć nie wszędzie dochodzi do tak dramatycznych rozmiarów.

Oto jest ów list. Przepisałem go sobie jako dokument historyczny, wymownie świadczący przeciwko teorii szczęścia małżeńskiego.

„Są sprawy na świecie, na które nie ma żadnego trybunału; do takich spodziewam się, należy sprawa moja z Karolem. Gdybym chciała być więcej dumną, niżli nią jestem w istocie, mogłabym na wszystkie wyrzuty, skargi, narzekania i potwarze odpowiadać milczeniem; gdyby mi los Karola był zupełnie obojętnym, uczyniłabym to samo. Ale, że tak nie jest, więc chętnie piszę, tém chętniej, że, jak mi się zdaje, obie strony znalazły w panu najstosowniejszego pośrednika i sędziego. Będzie to wyjątkowy trybunał dla sprawy takiej jak nasza, a za cały wyrok będzie sąd pański o naszym wzajemnym stosunku, sąd, który pan wypowiesz Karolowi i który mnie raczysz przedstawić, jeśli to uznasz za dobre. Chodzi mi tu najwięcej o Karola, chodzi mi o to, żeby mu głos przychylny a bezstronny przedstawił całą rzecz w świetle właściwém. Rozstać się musimy, wiem o tém i pragnę tego, ale niemniej pragnę, żebyśmy rozstając się mogli wyrównać nasz rachunek moralny, a jeżeli zupełne wyrównanie nastąpić nie może, żeby obie strony wiedziały jaki dług moralny i po czyjjej stronie spoczywa.

A teraz opowiem panu małą powiastkę, dość nieciekawą; choć wiem, że pan masz wstręt do powieści, sądzę jednak, że przez życzliwość dla Karola zechcesz ją przeczytać z uwagą.

Byłam jedynaczką u moich rodziców. Kochali mię niezmiernie i dzisiaj jeszcze żyjący ojciec mój, kocha mię tak, że często przykro mi się robi na myśl, w jak małej części potrafię mu się za jego miłość odplacić mojem przywiązaniem. Dogadzano mi we wszystkim, zgadywano myśli moje, byłam panią w domu, rozrządzającą wszystkim.

Wprawdzie nie było tak bardzo czém rozrządzać, ojciec mój odziedziczył dość szczupłą fortunę, a przedsiębiorstwa niebardzo mu się jakoś wiodły. Mimo to, nie nie szczędzono, aby mi dać jak najświetniejsze wychowanie. Do tańca, muzyki, śpiewu, języków, miałam osobnych nauczycieli. Dobrzy rodzice już w piętnastym roku wozili

mię na bale, aby się popisać ze swoją jedynaczką. Wystąpiłam więc na świat dość wcześnie; dość wcześnie przyzwyczaiłam się do szeregu wielbicieli, z którego szczyć się nie mam wcale ani powodu, ani ochoty, zawczasie jednym słowem zaczęłam poznawać ludzi i mieć dla nich coś trochę z lekkiej pogardy. Czy miałam słusność, czując się wyższą od nich, nie wiem, ale czułam, że dalecy byli od jakichś niewyraźnych ideałów mojej duszy.

Poznałam Karola i podobał mi się bardzo. Był zupełnie niepodobnym do tych, których spotykałam wszędzie na balach i po salonach. Tamci wprawdzie mniej więcej w takt tańczyli, a Karol tańczyć nie umiał i nigdy nie tańczył, tamci ustrojeni byli zawsze wytwornie i według najnowszej mody, a Karol ubierał się tak tylko, aby nie gorszyć sukniami swojemi innych, a o modzie nic nie wiedział, ale prócz tej wyższości tamtych nad Karolem, wszelka zresztą różnica przy ich porównaniu wypadła na korzyść Karola. Nie mogłam nie dostrzedz o jak wiele wyższą była jego naturalna życzliwość, i nieśmiałe, niezręczne może, ale pełne prostoty obejście się, od wyuczonyj elegancyi i pretensjonalnych ruchów młodzieży, od tego wszystkiego co stanowi istną fortyfikację salonową, poza którą głupstwo i niecoś rade szukają schronienia.

Byłam szczerze życzliwą Karolowi; Karol mnie kochał i to było jego nieszczęście. Wiem, że patrzył na mnie jak na istotę wybraną i przeznaczoną dla siebie i w tém się ogromnie pomylił. Rodzice moi czekali na to, aby jaki książę lub hrabia zjawił się po moją rękę, ale, rozumie się, doczekać się tego nie mogli. Tymczasem przyjmowali Karola życzliwie, bo ja go życzliwie przyjmowałam, ale nie dawali wyraźnej zachęty, aby starał się o moją rękę. Zresztą on sam, nie mając żadnego samodzielnego stanowiska, nie chciał nigdy z wyraźném żądaniem wystąpić. Tak trwało lat kilka i przez tych lat kilka był mi Karol dobrym towarzyszem, z którym lubiłam prowadzić rozmowy, przynoszące pokarm dla umysłu, przed którym lubiłam wyśmiewać się z próżni salonowej. Karola dziwiło trochę i niejednego to może zadziwi, że ja śmiejąc się i szydząc z ortodoksji salonowej, byłam wierną zawsze jój przepisom; ale właśnie ta sprzeczność we mnie najwięcej mi bawiła; zdawało mi się, że dopiero idąc równo z najwyższemi wymaganiami świata, mogę się z nich wyśmie-

wać najswobodniej. Ozdoby zresztą lubiłam i lubię wszędzie i zawsze, jeżeli tylko są prawdziwemi ozdobami.

Czułam prawdziwą wdzięczność dla Karola za to, że chętnie, niczém nie zrażając się, wyświadczał mi wiele drobnych przysług; wiedziałam, że gotów był do największej ofiary dla mnie, wiedziałam zresztą, że nikt więcej od niego nie mógłby mnie kochać.

Schlebiała mi taka miłość, ale wypłacić się z niej nie mogłam, i to jest cała moja wina, że nie dość pamiętałam o tém. Karol uzyskał nareszcie dawno oczekiwaną przez siebie posadę i już swobodnie mógł oświadczyć się o moją rękę. Oświadczył się. Wspomniałam już panu, że rodzice pragnęli dla mnie jakiegoś nadzwyczajnego męża, ojciec więc, który mi już wtedy tylko został, nie bardzo był rad oświadczyinom Karola; ale naprzód żaden nadzwyczajny mąż się nie zjawiał, a powtóre nie byłam już dzieckiem, i ojciec nie chciałby był w żaden sposób krępować mego postanowienia. Nie było więc z tej strony przeszkody.

Gdybym znała naówczas gorączkowy i drażliwy charakter Karola tak, jak go poznałam potem, gdybym znała była lepiej swoje usposobienie, wymagające koniecznie spokojnej, niczém niezamąconej sfery, byłabym odmówiła prośbie Karola. Byłoby to przykrością i cierpieniem dla nas obojga, ale cierpieniem chwilowém, któreby oszczędziło wiele cierpień większych, co potem nadejść musiały. Stało się inaczej. Przyjęłam prośbę Karola z jak największą ufnością w przyszłość i niebawem odbył się nasz ślub.

Nie powiedziałam panu dotychczas, — że kochałam Karola, jak również nie wypowiedziałam nigdy tego sakramentalnego słowa przed Karolem i śmiałam się z niego, kiedy mię prosił o to słowo. A przecież kochałam Karola, ale kochałam po swojemu; bez gwałtu, uniesień, gorączki, bez tego wszystkiego, co jedni nazywają rozkoszą, inni męczarnią miłości. Inaczej kochać nie umiałam, inaczej, jestem pewna, nie potrafię nigdy nikogo pokochać. Być może, że ludzie tego nie nazwaliby miłością, ale przecież to nie moja wina, że nie była nigdy skłonna do uniesień.

Kochałam w Karolu człowieka prawego, — szczerego, wykształconego i myślącego; kilkoletnia bliska znajomość nasza nadawała uczuciu temu trwałość, pewność i swo-

bodę. Z wielu nie powiem wad, ale omyłek towarzyskich starałam się poprawić Karola, i to mi się udawało. Karol zaczynał dbać więcej o swoją powierzechność, zaczynał naginać się do wymagań salonu. Było to wszystko przed ślubem. Nie przeczuwałam jaka dziwna i gwałtowna zmiana zajdzie w charakterze Karola po ślubie.

Pamiętam, że już w parę tygodni po naszym pobraniu się dostrzegłam w Karolu pierwszych znaków jakiegoś niepokoju, jakiejś tajemnej gorączki, co później napętnić miała całą jego istotę. Nie chciałam zrywać moich znajomości, nie czułam się nigdy skłonną do zamykania się w domu, w parę tygodni więc po ślubie zaproponowałam Karolowi, abysmy stosownie do przyjętego zwyczaju zrobili kika wizyt. Karol nie przeczył mi, ale uważałam, że przyjął propozycję z dziwnym pomięszaniem jakiemś, z którego nie mogłam jeszcze zdać sobie sprawy. Pojechalismy więc do kilku domów w odwiedziny i rozumie się, musieliśmy następnie otworzyć nasz salonik. Bawiono się u nas zawsze bardzo dobrze; przypisywano to mojej organizatorskiej zdolności i istotnie, ośmielałam się tu pochwalić przed panem, starałam się zawsze grupować koło siebie towarzystwo, któreby tworzyło pewną znośną harmoniję, jak w muzyce bowiem fałszywy akord, tak samo razi mię niedobre towarzystwo.

Tajemny niepokój Karola wzrastał ciągle i szybko. Pytałam go parę razy z podziwieniem o powód widocznych znaków tajemnego wzruszenia, ale zbyt mię niezręcznym jakimś tłumaczeniem. Zaczęło mię to gniewać trochę; zaczął mię razić ten brak spokoju i powagi w mężczyźnie, zmienność ciągnęła w humorze Karola, choć mi się nie dawała uczuć żadnym przykrzejszym od niego słowem, to przecież mężczyła mię niezmiernie. Wkrótce odgadłam znaczenie tego niepokoju, była to zazdrość, była to obawa o mnie, a raczej o siebie, aby mu kto serca mojego nie wydarł.

Możeby inna kobieta na mojem miejscu szczęśliwą czuła się z tój zazdrości męża, ja byłam zgryzioną i rozgniewaną. Zazdrość męzowska Karola nie schlebiała mi wcale, bo i przedtém byłam aż nadto pewną, że mnie kochał szczerze, gorączkowe zaś objawy tego uczucia, zupełna nieumiejętność panowania nad sobą i skutkiem tego ciągły brak taktu i spokoju w obejściu się, wszystko to drażniło mię tylko, psuło mi pogodę życia i niechętnie usposabiało dla chwilowych wylewów miłości, dla chwilowych uniesień Karola,

które z niezrozumiałych prawie dla mnie powstawały pobudek, i których powstrzymać Karol nigdy nie umiał.

Tak spędziliśmy kilka miodowych miesięcy. Zdawało mi się, że zachowując jak największy spokój, że udając, iż się nie domyślam nawet tajemnej gorączki jego, najwłaściwiej oddziaływać będę na uspokojenie Karola. Zresztą inaczej nie umiałabym postępować. Powtarzać przysięgi i zaklęcia, sączyć łzy z oczu, bawić się jedném słowem w siełankę nie umiałam nigdy, i czułam wstręt do tego.

Zdawało mi się nawet, że takie zachowanie się moje zaczynało wreszcie korzystnie wpływać na Karola, kiedy zaszedł drobny wypadek, który wywołał całą katastrofę. Wieczorem kiedyś mieliśmy gości u siebie, jak to się często zdarzało, i między innymi był mój daleki krewny, Klemens, oddawna, od dzieciństwa prawie, zaprzyjaźniony ze mną.

Wiedziałam, że podejrzenia Karola były często najdziwniejsze, ale nie przypuszczałam nigdy, aby mógł zwrócić podejrzliwość swoją na mój stosunek do Klemensa. Tak się zdarzyło, że kiedy inni goście wychodzili, Klemens pozostał jeszcze, a ponieważ Karol odprowadzał odchodzących gości z lampą przez długi kurytarz do bramy, zostałam więc w salonie sam na sam z Klemensem. Nie pamiętam o czém mówiliśmy, ale wiem, że nagle urwała się nasza rozmowa i czas jakiś zapanowała cisza; słyszeliśmy oddalone kroki wracającego Karola. Drzwi od salonu były trochę otwarte i przechylona na kanapie w stronę od światła mogłam dostrzedz światelko zbliżającej się lampy. Nagle zmiłkły kroki wracającego, dostrzegłam, jak znikło światelko lampy i byłam zdziwiona tém zjawiskiem, nie mogąc jeszcze w pierwszej chwili zdać sobie z niego sprawy. Ale głośniejszy krok jeden Karola pod drzwiami, wśród ciszy jaka panowała w pokoju, błyskawicą oznajmił mi wszystko: Karol chciał nas podpatrzeć. Do wybuchów gniewu niezdołną byłam nigdy, tym razem jednak ta podejrzliwość śmieszna, niespodziana i niczém nieusprawiedliwiona, doprowadziła mię do uniesienia. W jedném mgnieniu oka przechyliłam się w przeciwną stronę i położyłam głowę na ramieniu Klemensa, zdziwionego zapewne, zgorzonego i nieumiejącego sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje. Co czynię, nie wiedziałam, powtarzam, był to krok uniesienia; w tej chwili przestałam być panią siebie. Była to gorączkowa, niczém nie powstrzymana chęć ukarania Karola za jego podejrzliwość;

była to gwałtowna chęć wywołania jakiejś burzy, któraby oczyściła z wszelkich podejrzeń nasz wzajemny stosunek. Nie przeczuwałam, że ta burza tak strasznym piorunem uderzy w Karola.

Wszystko to trwało krótką chwilę, którą zakończył głuchy stuk padającego ciała i brzęk tłuczonej lampy. Rzuciliśmy się ku drzwiom i znaleźliśmy za drzwiami bezprzytomnego Karola. Byłam przerażona, zła, gniewna, rozżalona; po raz pierwszy w życiu doznawałam tak przykrych wrażeń. Nie wiedziałam, czy gniewać się mam więcej na Karola, czy ubolewać nad nim. W tej chwili byłam już pewna, że rozłączyć się musimy koniecznie.

Przez kilka dni Karol leżał chory. Gdy przyszedł do zdrowia, nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć, jak zacząć? Bałam się, aby go nie wprowadzić w rozdrażnienie, a przedewszystkiem bałam się, aby mi nie zarzucił kłamstwa. Czułam się zawsze obrażoną w głębi i dla tego czekałam, aby pierwszy mówić zaczął. On milczał i ja milczałam, choć to milczenie było dla mnie ciężarem niesłychanym. Wreszcie stało się to, co pan znasz dokładniej ode mnie, odbył się pojedynek, któremu przeszkodzić nie miałam możności, bo nie nie wiedziałam o nim.

Taką jest cała historia. Kończę list bo i tak już musiałam znudzić pana. Niech pan powtórzy Karolowi, że moja wina leży w tem, że się dała ukochać człowiekowi, którego miłości stosownie odpowiedzieć nie umiałam. Kochałam go swoim sposobem; więcej i inaczej kochać nikogo zapewne nie potrafię. Potem, co się stało, rozłączyć się musimy koniecznie. Harmonja nie może być już przywróconą naszemu pożyciu; Karol się nie zmieni, ja się także nie zmienię.

Amelja“.

Zakończenie jest lapidarne. W Post scriptum uwiadomiła mię ta kamienna pani, jak ją nazwał doktor, z którym niedawno mówiłem o niej, że przejeżdża do ojca, że Karol spokojnie zatem może powrócić do swego mieszkania.

Odczytawszy list parę razy, nie siliłem się bardzo nad dociekaniem, czy wszystko w nim jest prawdą niepodrabianą, czy ta spowiedź nie miała pewnych restrykcyi — w których, jak przy każdej spowiedzi, znaleźć można

właściwy klucz do zrozumienia ludzkich uczuć i postępów. Praca byłaby zbyteczną, gdy było rzeczą widoczną, że taki mąż jak Karol i taka żona jak Amelja nie mogą żyć razem, nie nastęrczając sobie ciągle powodów do nieustannych cierpień i przykrości. Zresztą wszystko w liście miało takie cechy prawdopodobieństwa, że postanowiłem wierzyć wszystkiemu najzupełniej.

Potrzeba było teraz udać się z listem do Karola. — Cieszyłem się, że przynajmniej jedną znajdzie dla siebie w tym liście pociechę, a mianowicie tę pewność, że Amelja nie myślała go zdradzić. Siadłem do fiakra i pojechałem, zaprzątnięty myślą o tem, co mam odpowiadać Karolowi na jego wezwanie o radę, jak ma sobie teraz postąpić. Był to przyznam się, ciężki obowiązek, który przyjmowałem już z góry na siebie przez wzgląd na chorego i istotnie cierpiącego człowieka.

Zbliżywszy się do chaty leśnego, ujrzałem Helę na progu stojącą. Była jakby zamyśloną, jakaś powaga patrzyła z jój twarzy. Przywitała mnie zapytaniem: Czy wiecie co się stało?

— Cóż takiego?

— Nasz pan umarł.

— Jaki pan? zapytałem prędko.

— Nasz pan z Chocimkowa. Pozawczoraj położył się spać najzdrowszy; wczoraj rano już się nie obudził.

— I żałujesz go bardzo.

— Dobry był dla mnie bardzo; jak był tu kiedyś, to całował mnie i nazywał córką.

— Więc go żałujesz?

— A to żal jak dobry człowiek umiera; i to tak prędko. Tu był zdrow, a tu już nie żyje.

— A wiesz ty Helu, że wszyscy ludzie umrzeć muszą? zapytałem dziewczynę.

Hela spojrzała na mnie swemi dużemi, szafirowemi oczyma, z których dziwna jakaś powaga przemawiała — twarzyczka jój okryła się większém jeszcze zamyśleniem. Prześliczną była dziewczyna, powiedziałbym majestatyczną z tą swoją surowością, w twarzy i oczach. Nad tą nieuchyloną koniecznością bytu ludzkiego zapewne nigdy się nie zastanowiła i dziś po raz pierwszy może spoglądała jój w twarz niezamglonymi oczami.

Jakby w odpowiedź na moje pytanie powiedziała po chwili: Tym najlepiej pewno umierać — których wszyscy żałują.

— A temu, zapytałem znowu, zachwycony słowami dziewczyny i jej cudownym zamyśleniem, w którym te słowa wymawiała, a temu, którego już nazajutrz nie będzie nikt żałował, a o którym na trzeci dzień po śmierci nie będzie nikt pamiętał?

Dziewczyna zwróciła znowu na mnie niebieskie oczy, i tym razem dostrzegłem, że były łąką przesunięte. Nie mogłem zrozumieć, jak i po co się tamte łąki wzięły, ale wiem, że było jej prześlicznie z nimi. Nie chciałem jednak korzystać dłużej z tego widoku i zanim mi dała odpowiedź, zapytałem ją znowu!

— A wasz gość, pan Karol, jak się miewa?

To zapytanie wyrwało ją z zamyślenia. — Zdrowszy, chwala Bogu, powiedziała mi. Doktor mówił, że już prędko zdrów będzie zupełnie.

— I może jutro jeszcze odjedzie do domu — dodałem.

— A to nam smutno będzie, myśmy się bardzo przyzwyczaili, ten pan taki dobry, zaczął mnie uczyć liter; mówił — że to nie ładnie, żebyśmy ja nie umiała czytać.

— A chcesz się uczyć, Helu? zapytałem z ciekawością.

— Chcę, bobym się mogła z książki modlić.

— Oprócz modlitwy, można jeszcze z książek dużo rzeczy ciekawych i dobrych wyczytać. Potrzeba, Helu, żebyś się uczyła.

— Żebym to ja sama mogła się nauczyć. Tylko, że ojciec mówi, że mnie się na nic nie zda czytanie.

Ten ojciec ma słuszość, pomyślałem w duchu. Ale widząc, że dziewczyna ma wielką ochotę do nauki, powiedziałem:

— Zobaczmy, Helu, może się ojciec przekona. A teraz trzeba iść do chorego; zagadałem się z tobą,

Dziewczyna uśmiechnęła się na to, ale w słodkim jej uśmiechu była jeszcze jakby reszotka smutku, wywołanego moimi poprzednimi pytaniami, które mi się, jak teraz widzę, nie wiedzieć po co wyrwały, chyba po to, żeby mi dziewczyna mogła czarować potem swojemi łzami i swoim uśmiechem.

Poszedłem do izdebki Karola. Leżał jeszcze, był dość osłabiony, ale było to osłabienie, następujące zawsze po ostatniem wysileniu gorączki. Twarz miał ściągniętą, wychudłą, znać było, że w tych kilku dniach musiał wiele przecierpieć, ale te ślady cierpienia nakrywała jakaś łagodna rezygnacja. Z radością powitał mnie i wzrokiem zapytywał, co z sobą przynoszę; wiedział zapewne od żony, że otrzyma list od niej przez moje ręce.

— No Karolu, powiedziałem mu, przynoszę ci list od żony, pisany wprawdzie do mnie, ale przeznaczony dla ciebie. List ten, sądzę, uznasz za bardzo pomysłny dla siebie, bo w całym świetle okazuje niewinność twojej żony, wolałbym ci go jednak nie czytać teraz i nie narażać cię na wzruszenia, które mogą szkodzić twemu zdrowiu.

— Nie, Danielu, to nic nie szkodzi, odpowiedział mi. Jestem teraz bardzo spokojny. Przecierpiałem bardzo wiele; większych cierpień mieć zapewne nie mogę i ta myśl — żem przeniósł tak wiele, dodaje mi siły. Daj mi, przeczytam list..... albo raczej sam mi go przeczytaj, wszak nie nie opuścisz.

Musiałem spełnić i to drobne poświęcenie. Kiedym skończył czytać, spojrzałem na Karola: łzy mu biegły z oczu. Chwycił mię za rękę, uściśnął ją z nadzwyczajną mocą i rzekł: Wszystko co napisała, musi być prawdą. Dziękuję ci, Danielu. Teraz widzę, wiele mojej winy było w tém wszystkim.

Zadziwiony byłem tą nagłą zmianą w uczuciach Karola, chociaż mogłem nie dziwić się, znając jego charakter. Oparty o poduszki siedział jakiś czas w zamyśleniu, a potem przemówił:

— Jeżeli byłem istotnie winny, wszak zapłaciłem za to krwią swoją? Czemuż mi nie chce darować winy?

— Nie jestem adwokatem twojej żony, odpowiedziałem, ale przypomnę ci treść jej listu: nie ma ona pretensyj do ciebie, tylko nie wierzy, ażeby dwa charaktery tak różne, jak wasze mogły żyć razem, nie dręcząc siebie ustawicznie.

— Wierzę teraz, że ona nie kocha innego, ale i mnie nie kocha także, powiedział smutniejszym głosem — a po chwili dodał: Czyż ona jednak winna, że mnie kochać nie może? Czyż nie jest to raczej moją winą? Danielu, ty się z nią będziesz widział?

— Grzeczność mi nakazuje odwiedzić ją, lub przynajmniej napisać list do niej po widzeniu się z tobą.

— Jak się z nią zobaczysz, powiedz jej, że przebaczam wszystko, i prosz, żeby mnie także wszystko przebaczyła.

— Potrzeba, żebyś powrócił wreszcie do domu, powiedziałem mu.

— To będzie najprzykrzej. Ale wrócić trzeba. Dziś jeszcze nie, jutro. Poprosisz doktora, żeby przyjechał po mnie.

Karol był ciągle zamyślony; widocznie rozważał w myśli usłyszana treść listu. Rozmowa się nam jakoś nie bardzo kleiła, więc zabawiwszy niespełną godzinę, zabrałem się do odjazdu. Karol prosił mię, żebym mu zostawił list żony; zostawiłem mu i jestem pewny, że po moim odjeździe odczytywał go do późnej nocy. Ten list powinien być wielką lekcją dla Karola i cieszyłbym się bardzo, gdyby ta lekcja stanowczy wpływ wywarła na niego.

Pożegnawszy Karola, wychodziłem z domku leśnego nie bez chęci ujrzeć jeszcze raz Helę, której już nadal nie miałem tak często oglądać. Zastałem Helę i matkę przed domem; siedziały na przyzbie i szyły. Antonina miała oczy zapłakane; płakała po tym, którego zapewne zaledwie kilka razy w życiu widziała, o którym słyszała tylko, że jest dobrym dla sług i podwładnych. Gniewała mię zawsze ta obfitość łez u kobiet i spychała je w moich oczach do rzędu nieznośnych dzieci, które płaczą naprzód dla tego, że się gdzieś łbem o klamkę uderzyły, a powtórę i przedewszystkiem dla tego, że na nie patrzą starsi i że ich płacz słysząc, żałować je będą i pieścić. Ale w zapłakanych oczach Antoniny był żal taki pogodny, cichy, nienatrefny, że nie tylko nie obudzał wstrętu, ale i owszem miał w sobie coś przyjemnego.

Usiadłem koło szyjących na przyzbie; zaczęliśmy rozmawiać o śmierci Chocimskiego. Matka i córka uwiadomiły mię, że udają się jutro na pogrzeb do Chocimkowa, że zobaczą tam zapewne młodego pana, który ma być jutro na pogrzebie i zamieszka podobno w Chocimkowie. Ja zaś uwiadomiłem kobiety, że Karol już napewne opu-

szcza ich jutro. Hela spojrzała na mnie wzrokiem, który jakby czegoś chciał i o coś pytał; ale czego chciał i o co pytał, nie wiem. Antonina zaś powiedziała:

— Dał nam Pan Bóg gości i znajomych, a teraz zabiera. — Smutno nam będzie, że już was nigdy nie obaczymy.

— Dla czego nigdy? zapytałem, dotknięty trochę temi słowami. Wszak z miasta tu niedaleko. — Jak tylko się gniewać nie będziecie, to nieraz przechadzka do was tu zajrzę. Hela mnie poczęstuje kwaśnym mlekiem, opowie mi jaką bajeczkę. Szkoda, że Hela nie umie czytać, bo bym jęj przyniósł nieraz ciekawą książkę.

Hela słuchała pilnie słów moich, a Antonina powiedziała. — Dobrzeby było, żeby się dziewczyna czytać nauczyła. Mogłaby mi czasem głośno jaką litanie odczytać, albo i książkę ciekawą, szczególnie w Niedziele, kiedy dzień długi, a żadnej roboty nie ma. Ale ktoby ją uczył? Ojciec nie ma czasu, a ja nie umiem. W mieście to możnaby znaleźć kogo, żeby uczył, ale na wsi, a do tego w lesie, to już nie ma żadnego sposobu.

Przychodziła mi dziwna chętka ofiarowania się Heli na nauczyciela; juściż czasu miałem tyle, że mogłem co dni parę pieszo, czy powozem zrobić wycieczkę do lasu Chocimkowskiego i poświęcić jaką godzinę nauczaniu Heli. Czułem, że byłby to dla mnie na jakiś czas przynajmniej bardzo miły obowiązek, odkrywać cały świat wiedzy przed umysłem świeżym, niepokalanym przesadami i zaćmieniami towarzyskimi i śledzić za ruchem jego wrażeń. Ale szaleństwo téj myśli tak było jawne, że się jęj sam przed sobą natychmiast zawstydzilem i nie odpowiedziałem Antoninie na jęj słowa.

Wkrótce zmrok zaczął padać; pożegnałem leśną rodzinę i powracałem do domu, znowu niespokojny, rozstrojony, zły nawet. Obudzały się we mnie pragnienia, których zaspokoić, którym zadość uczynić nie mogłem — jak dzieci od ojca, wyciągały ręce do mnie, żądając pokarmu: kiedyś mię stworzył, daj mi jeść! Za cały pokarm mogłem im dać kamień do ugryzienia.

W tem usposobieniu powitałem moje cztery ściany. Zachciało mi się opisać wrażenia dzisiejsze i oto je opisałem.

VII.

24 sierpnia.

Czuję jakby knujący się w powietrzu spisak na moją spokojność; gdyby los, który szaleńcy nazywają najwyższym bóstwem, nie był głępszym, a jeśli chcecie niewinniejszym od nowonarodzonego dziecięcia, to posadziłbym go o chęć wyplątania mi psoty.

Już więcej jak od dwóch tygodni, jeszcze od tego pojedynku Karola czuję, że jestem wyrzucony ze zwykłego koryta mojego. Rozlałem na prawo i na lewo i trudno mi teraz powrócić do mojego ciasnego, ale głębokiego łożyska; wnięszalem się w sprawy ludzkie i trudno mi się z nich wydobyć.

Wyobraźnia moja, którą starałem się trzymać zawsze w milczącej uległości przed rozumem, narażona teraz na częstsze drażnienie, zaczyna się zrywać, targać i tem zrywaniem się swoim narusza niezbędnie moją równowagę umysłową. Wyobraźnia jest najsłabszą stroną tej fortecy, jaką bywa człowiek, kiedy chodzi o jego zdobycie. Stosownie do okoliczności, zaniepokoić ją, rozdrażnić albo przekupić podehlebstwem i olśnić sztucznym blaskiem, a z pewnością wniesie niepokój, popłoch i nieporządek pomiędzy sprzymierzone siły umysłu, zapanuje nad niemi i wyda człowieka — fortecę ze wszystką bronią i amunicją nieprzyjacielowi. Nie wiem, czy mam takiego nieprzyjaciela, musiałbym przypuszczać, że istnieje jakieś bóstwo figlarne, którego zadaniem jest wprowadzać ludzi w obłąd, i które właśnie czyha na moją spokojność, ale wiem, że od niejakiego czasu wyobraźnia moja jest często wystawioną na pokusy, z którymi walczyć muszę, przywołując na pomoc całą armję rozumu.

Pozawczoraj byłem u pani Amelii, która od kilku dni przeniosła się już na mieszkanie do ojca. Ponieważ rozmowa nasza nie mogła znieść obecności niewtajemniczonych w sprawę, posłałem więc był przedtem Łukasza z biletem wizytowym do Amelii, zapytując, kiedy pozwoli odwiedzić siebie. Naznaczyła mi tego samego dnia godzinę ósmą wieczorem. Stawiłem się jak najpункtualniej. Zastałem ją wraz z ojcem w małym saloniku, nadzwyczaj

gustownie urządzonym; siedziała przy fortepianie i z niezwykłą biegłością grała jakieś Allegro z Mendelsohna. Usłyszawszy wchodzącego podniosła się szybko z taboreta i powitawszy, przedstawiła mi ojcu. Ten ojciec wydał mi się istotą bardzo ograniczoną; dostrzegłem pewnej protekcyjności w sposobie obchodzenia się z nim córki.

Podano natychmiast herbatę; dzięki temu napojowi rozmowa nie była tak uciążliwą. Amelia przeczuwając zapewne, że nie cierpię zdawkowej rozmowy, do której zresztą jestem bezwzględnie niezdolny, wzięła na siebie cały jej ciężar, najczęściej u ojca zasięgając potocznych wiadomości, a mnie tylko robiąc prawie niemyj jej świadkiem. Miałem sposobność przez ten czas przypatrzeć się mojej gospodyni, która mi dziś piękniejszą się wydała, niż przedtem. Jej cera blada przy świetle wieczorném miała przytępiony blask marmuru; duże, czarne oczy skupiały w sobie całe życie tej bladłej twarzy, a we wzroku jej było coś wyzywającego i poskramiającego zarazem. Piękne, misternie wycięte usta, rzadko kiedy i to jakby z przymusu uśmiechem okraszone, miały w samym wycięciu swoim, jakby znak pogardy czy dumy. Miała przytem ręce, któreby mogły służyć za wzór dla najwybredniejszego rzeźbiarza, a umiała je pokazywać tak zręcznie, że nikt nie mógł być pewnym, czy robi to świadomie, czyli nieumyślnie.

Zaręczam, że poeta na mojem miejscu przyrównałby ją do Diany łowczyni; ja zajęty byłem zestawieniem treści jej listu z twarzą i sprawdzeniem w ten sposób wiarygodności pierwszego. Muszę przyznać, że to nie była wcale łatwa robota, odczytać i wnikać w istotne znaczenie tej twarzy, która była jakby piękną, klasyczną maską, wiecznie nieruchomą i ożywioną tylko dwojgiem dużych oczu, nadto mądrych, aby chciały wypowiedzieć wszystko, co znaczą.

Kiedym już opisał jej twarz, dla dopełnienia portretu podam i strój cały. Miała czarną morową suknię z wyłogami popielatego koloru; we włosach perły; srebrny, pięknie wyrabiany grzebień wznosił się jak zamek na zwiniełym w tyle i wysoko osadzonym warkoczcu. To wysokie podczesanie z tyłu pozwalało oglądać szyję o wzorowie pięknej linii; szyja u dołu zamkniętą była w szeroki koronkowy kołnierzyk, spięty dużą srebrną klamrą z dya-

mentami; dyamenty świeciły także w czarnych misternie wyrabianych kółczykach.

Prawie natychmiast po herbacie ojciec wyniósł się z salonu, aby załatwić jakąś nagłą sprawę, którą, jestem pewny, przygotowała dlań, jeśli nie wymyśliła córka. Zostaliśmy sami. Zostawiłem jej przywilej rozpoczęcia poufniej rozmowy, z którego też natychmiast skorzystała.

— Czytałeś pan mój list? spytała.

— Czytałem dwa razy.

— I wręczyłeś go pan Karolowi?

— Tak, pani.

Uważałem, że pani chciała już otworzyć usta, aby mi zadać nowe pytanie, ale się powstrzymała. Pospieszyłem z odpowiedzią na niewymówione pytanie.

— Karol po przeczytaniu listu pani, powiedział mi, że wszystko, cokolwiekby miał do przebaczenia żonie — przebacza, i prosi, aby i ona mu także wszystko przebaczyła.

Pani Amelia widocznie nie była przygotowaną na taką odpowiedź; na twarz jej wybiegł żywszy rumieniec, który ją bardzo przyozdobił, ale który musiał być natrętnym świadkiem jej wewnętrznego poruszenia. Sądziłem tak po oczach pani, które starały się być chłodnymi i spokojnymi, jak nigdy, aby zrównoważyć świadectwo nieposkromionego rumieńca.

Po chwili była już panią siebie i rzekła: — To bardzo szczęśliwie; niechciałabym się rozstawać z Karolem w gniewie i namiętnym rozdrażnieniu. Ale jeśli Karol pod przebaczeniem rozumie dalsze wspólne życie nasze, to nie będę mogła zadość mu uczynić. Wspólnie żyć razem dalej nie możemy.

Zdawało mi się, że chciała coś dalej mówić, czekałem chwilę, a potem powiedziałem:

— Zdaje mi się, że Karol tak rozumiał przebaczenie, jak to pani powiedziała.

Kobieta spojrzała na mnie, — a raczej uderzyła mię oczami z taką siłą, i natarczywością, że nic nie wiedziałem, co mam zrobić z tym jej wzrokiem, czułem tylko, że ma już na ustach jakieś niezwykle słowa. To też powiedziała wkrótce.

— Żądając połączenia się ze mną, Karol żądałby tylko nieszczęścia. Dotychczas nie znałam siebie dokła-

dnie, dotychczas natura moja tak starannie była kołysaną i usypianą, że sądziłam, iż nie jęj nigdy z granic spokoju i chłodnej rozważi nie wyrwie. Teraz od niedawna czuję jak wiele zmieniło się we mnie; czuję, jak się obudzają jakieś fatalne prądy we mnie, z którymi nie umiem dać sobie rady, które nie potrzebowałyby czekać na dłuższe drażnienie, aby wybuchnąć nad głową tego, który nie będzie umiał zdać sobie z nich sprawy, a tém mniej oddziaływać na nie siłą swego charakteru.

Mówiąca coraz więcej obudzała we mnie ciekawości i zajęcia. Mogła to być komedja grana przez nią ku mojej uciechzie, ale komedja potężna, która wtedy bywa, kiedy przybierana rola odpowiada doskonale chwilowemu usposobie niu artysty. To też Amelja czuła to, co mówiła; jęj głos i wzrok szedł w ściśniętj kolumnie z treścią słów; błada twarz marmurowa płonęła ogniem niezwykłej dumy i energii; w zaciśniętych ustach był wyraz goryczy i pogardy. Istotnie ta twarz, tak zwykle chłodna, znużona i obojętna, teraz nagle ożywiona wyrazem tajonych w sercu uczuć, wydała mi się nadzwyczaj piękną; zapatrzyłem się w nią z większą nieoględnoscią, niż obojętnemu człowiekowi przystawało.

Twarz ta znowu przybrała swój zwykły wyraz.

— Powiedz pan teraz, co pan myślisz o nas?

— Myślę, odpowiedziałem, że wszelkie małżeństwo jest przykrem więzieniem, i że więzienie, w którym osadzono panią z Karolem, miało jeszcze osobne tortury, które obie strony wzajem sobie w najlepszej chęci zadawały.

— To prawda, rzekła w zamyśleniu, i powiedz pan, kto temu winien?

— Kto temu winien? powtórzyłem jęj słowa, jest to najtrudniejsze pytanie, jakie mi pani zadać mogła. Kto winiem wszystkiemu? kto winien temu, że nie można być naraz mądrym i szczęśliwym? Kto winiem wszystkim nędzom, wszystkim zbrodniom, wszystkim ułomnościom na świecie?

— Kto taki? zapytała niecierpliwie kobięta.

— Nikt, pani, i to jest najgorzj. Naiwni obwiniają o to społeczeństwo, jak gdyby społeczeństwo zamierzało sobie z góry plan jakikolwiek. Społeczeństwo tak rośnie i rozwija się jak drzewo, a nie znałem drzewa, któreby zapowiadało jak ma rość i jak się rozwijać. Zależy to od

wiatrów, wilgoci, słońca, gruntu. A czy wiatr winien, że wieje w tę lub ową stronę?

— Wiatr niewinien, odpowiedziała machinalnie w zamysleniu pani Amelja, a po małej chwili milczenia rzekła: Nigdy mi się świat nie wydawał tak małym, jak teraz, nigdy ludzie tak nędznymi, jak dzisiaj. Miewałam nieraz chętkę zdobywać sobie niewolników, dziś, i tej chętki nie czuję. Z tych ludzi, których znam, którzy mnie otaczają, nie możnaby mieć nawet dobrych niewolników. A przecież sędzę, dodała, że mogą być inni ludzie, że muszą być, a przynajmniej musieli być gdzieś i kiedyś....

— Jacyż to ludzie? spytałem dość zaciekawiony.

— Ludzie rozumu, śmiałej ręki i stanowczej woli. Ludzie, którzy nie lamentują nad małą stratą, ludzie, którzy umieją rządzić, walczyć, tryumfować i ginąć, którzy zdolni są dokonać wielkich zbrodni, nie popełniając drobnych podłości, jednym słowem wielkie charaktery.

— Wspaniałe oszusty, chciało mi się dodać, ale nie dodałem, widząc z jakim przejęciem mówiła kobieta o swoich ideałach. Do tych ideałów mąż jej nie był podobny ani trochę; nadziei dla niego nie było żadnej.

W milczeniu słuchałem tych wynurzeń, a pani rzekła po chwili: Dziwne to jest wszystko, co panu mówię, może niezgodne z treścią listu, który pan czytałeś; ale, powtarzam, zaszły we mnie dziwne zmiany, wyrzuconą zostałam z mojej równowagi. Jestem, jestem... prawie nieszczęśliwą. Nie mówię tego ojcu, nie powiedziałabym tego nikomu na świecie, mówię to tylko panu.

Wymawiając te słowa, nie patrzyła na mnie, ale po chwili zwróciła ku mnie oczy wymowne wielkim żalem. Nie mogę zaprzeczyć, że widok tych prześlicznych oczu, jak i całe wynurzenie ostatnie wprawiły mię w pewne pomieszenie. Wydobyłem się jednak prędko z niego, i zapytałem:

— Dlaczegoż mi to pani mówi?

— Chciałam to właśnie panu powiedzieć. Do innych ludzi pan jesteś tak mało podobny, tak wyżej od nich stojący w mojem przekonaniu, że byłabym bardzo szczęśliwą, gdybym mogła w panu zyskać przyjaciela. Jestem odważną, jestem natrętną, wiem o tém, ale wiem także, że pan się zwykłą grzecznością krępować nie będziesz i

nie skorzystasz z ofiary mu przedłożonej, jeśli ta ofiara będzie dlań uciążliwą.

Tym razem pani Amelja pomyliła się; grzeczność mię krepowała, jak nigdy, a prócz tego w oczach mówiącej były niebezpieczne więzy, którym wprawdzie starałem się jak najmniej ulegać. Potrzeba było mówić: powiedziałem:

— Ofiarę pani mogę tylko przyjąć z wdzięcznością, i nie wiedząc, czy się stosownie potrafię odplacić.

— Ja panu powiem jak? Z dzisiejszym dniem nie zakończysz pan znajomości ze mną. Odwiedzisz mię pan znowu, kiedy mu chęć przyjdzie, będziesz pan zawsze miłym gościem. Ja zaś zobowiązuję się nigdy już więcej pochwał panu nie mówić.

Uśmiechnąłem się na tę przenikliwość kobiecą i powiedziałem: Najlepiej będzie, jeśli za to wezwanie podziękuję przy następnych odwiedzinach. Podziękowanie moje wówczas swobodniejszym będzie i nie tak uroczystem. A teraz, dodałem, mam do pani małą prośbę: niech mi wolno będzie nie odbierać Karolowi choćby najśłabszej tylko, jaką może mieć, nadziei, że się państwo kiedyś jeszcze możecie połączyć. Dla niego taka nitka nadziei, chociażby bardzo wątła, niezbędną jest, aby mógł wrócić do jakiejś takiej równowagi umysłu, aby nie wpadł w melancholję, czego się mogę obawiać. Ta nitka urwie się potem, ale on stać już będzie na nogach.

— Uważasz pan, że to dlań potrzebne, więc i owszem, odpowiedziała mi z pewną goryczą.

Wkrótce zjawił się ojciec i rozmowa musiała inny wzięść obrot. Przed dziesiątą jeszcze pożegnałem córkę i ojca i powróciłem do siebie.

Trudno mi istotnie zdać sobie sprawę z tej postaci kobiecej. Kamienna pani jakieś wulkaniczne zdradzała własności. Czy to wyższa komedja? Czy to pół prawdy, a pół komedji, jak w większej części objawów uczucia ludzkiego?

Nie mogłem nie widzieć i nie uważać, że pani Amelja pragnie mi się podobać; ale czegoż może chcieć odemnie? Jużcić nie chce mieć we mnie jednego z niewolników, o których mówiła, ani tem mniej jednego z bohaterów, o których mówiła także. Mógłżem obudzić w niej zajęcie? Śmieszna myśl, która mi schlebia, chociaż się z nią śmieję.

VIII.

19 Września.

Już miesiąc prawie, jakem nie zaglądał do moich pamiętników. Czy mam je dalej pisać? Doprawdy, waham się, stawiając te litery. Czy warto stawiać przed sobą zwierciadło, w którym się nie prócz własnego szaleństwa nie obaczy? Czyż nie dość popełniać szaleństwa, czyż trzeba być jeszcze ich historykiem, ażeby, broń Boże, nie znikły szybko ich ślady? Ale już zaczynam przychodzić do przekonania, że trudno żyć, nie biorąc udziału w szaleństwach życia, a nawet nie przedsiębiorac ich na własną rękę. Trzeźwość w życiu jest jak na biesiadzie: daremnie zaklina ktoś gospodarza i gości, aby mu nie nalewali wina i do ust nie przytykali, bo ani mu przyjemne picie, ani na zdrowie mu pójdzie, gospodarz i goście podochoćeni nie wierzą temu, niezdolni już innych usposobień prócz własnych pojmować, i potęgują natarczywość swoją coraz bardziej, aż przełamiają opór wzdrygającego się biesiadnika. A gdy ten opór przełamany, już zapraszać potem niebardzo potrzeba; co goście zaczęli wino kończy i biesiadnika pijanego wynoszą do domu. Chciał być trzeźwym, trzeba mu było zostać w domu, a nie przychodzić na ucztę. Na uczcie trzeźwym długo być nie można: tak samo w życiu. Znajdą się natrętni, którzy skorzystają z chwilowej słabości trzeźwego człowieka, i wciągną go w jakieś szaleństwo, a potem to szaleństwo samo, prowadzi go już dalej i dalej do coraz to nowych i coraz grubszych szaleństw. Dobrze jeszcze jeśli w tej drodze trzeźwość zapakowano do tłómoka, aby jęj zażyć na popasie między jednym szaleństwem a drugim.

Szalonym być potrzeba, trudno inaczej, chcąc chodzić po ziemi. Starac się można jedynie o to, aby z popełnianych szaleństw, żadne nie wkładało ciężkiej odpowiedzialności na całe życie. Prawdziwie trzeźwi, to są ci spokojni lokatorowie trumien.

Ale ponieważ trzeźwość prawdziwa nam nie ucieknie, to może i dobrze być przedtem trochę szalonym? Czy ja wiem? Czuję w sobie chętkę żartowania z mojej filozofii obojętności i opiszę dzieje upłynionego miesiąca. Przeczuję już, że znajdzie się jakiś szcur literacki, co zrobi

kiedys z tych pamiętników powieść pełną efektu, powyrzucawszy, rozumie się, miejsca najlepsze, a poprzylepiawszy natomiast własne sentencje i dorobiwszy do tego podlewę moralną. Cieszę się tylko, że tej potrawy sam kosztować nie będę.

Po powrocie Karola do miasta, nie miałem już powodu zaglądać do leśnej rodziny, przechodziła mi ona jednak często na pamięć. Ta ich dziwna pogoda rodzinna, odzywała mi się w pamięci, jak się odzywa w uchu miła jakaś zwrotka, przypadkiem zasłyszana i tem większe zostawiająca wrażenie. Ta harmonja wśród moich dysonansów, to jest przy moich pojęciach o małżeństwie i rodzinie, jak zresztą o wszelkich stosunkach ludzkich była czemś, co mię dziwiło, co mi się podobało, ale co też i gniewało mię czasem, przypuszczałem bowiem, że jest ona jednym ze złudzeń niezdartych z oczu, że dość ją wziąć pod mikroskop, dość ją zresztą tylko na dłuższą próbę wystawić, aby przeszła w krzyczący dysonans.

Niewiem, dlaczego bardziej, czy żeby sprawdzić to przypuszczenie, czy też dla przyjemności obaczenia leśnej rodziny i swojej Sakuntali jak ją doktor nazywa, wybrałem się w jakie dni dziesięć po powrocie Karola do lasku Chocimkowskiego. Wziąłem z sobą strzelbę, nie dlatego, żebym miał polować, bo bez potrzeby pozbawiać życia zwierzęta, które go lepiej zapewne umieją używać od ludzi, wydaje mi się niemiłą zabawką, ale, że lubię się czasem zabawić w opatrność w powietrznym świecie ptastwa i strzelam do jastrzębi krążących nad upatrzoną zdobyczą. Wziąłem także elementarz i kilkanaście sztychów z udartymi obrazkami z życia zwierząt i dzieci. Był to podarek dla Heli.

Tak objuczony wyruszyłem z domu. Był chłodny ranek wrzesniowy, pełny owéj naszej pogody, która wbrew przysłowiu umie być stalszą od innych. Kiedym się ujrzał za miastem, w pośród pól zżętych, żółtą ściernią najeżonych i ujętych w ciemnozielone ramy lasu, kiedy mię ujęły w koło łagodne promienie słońca, owiało świeże i zdrowe powietrze wiejskie, bardzo byłem rad z mojej wycieczki, uczułem się zdrowym i silnym, jakim już dawno siebie nie pamiętałem; byłem wesoły, jak student na wakacjach. Zaczynałem żyć nie samym mózgiem, ale całym ciałem, wszystkiemi jego nerwami. Żałowałem, że niemam kogoś

przy sobie, z kimbym mógł pożartować, a nawet poswawolić, żałowałem, że nie wyciągnął z sobą na przechadzkę doktora.

Zbliżywszy się do domku leśnego, ujrzałem przed domkiem uwiązanego do drzewa wierzchowca. Koń był mocno zgrzany, ktoś z wielkim pędem musiał tu zajechać. Ciekawość mię wielka wzięła, kto to być może. Wszedłszy do sieni posłyszałem głośny płacz Heli: stanąłem jak wryty, a potem z cicha zbliżyłem się do drzwi. Hela płakała, do płaczu mieszając słowa: czego pan chce odemnie? com ja panu zawiniła? Męski głos szeptem coś na to odpowiadał.

Szarpnąłem drzwi, ale były zamknięte z wewnątrz. Uderzyłem pięścią w drzwi kilka razy. Wykrzyk radosny Heli odpowiedział temu uderzeniu; wkrótce głos męski zapytał gniewnie: kto tam do kroćset... czego tu chcesz?

— Otwieraj, rzekłem prędko i to krótkie wezwanie skłoniło pytającego do otworzenia drzwi. Wszedłem do izby.

Hela, ujrawszy mię, z radosnym okrzykiem rzuciła się ku mnie i zawiesiła mi się na szyi: widziała we mnie obrońcę.

Jakiego doznałem wrażenia, uczuwszy ten słodki ciężar na sobie, opisać teraz nie potrafię. Moja teoria obojętności oderwała się odemnie i odleciała gdzieś daleko: byłem szalony od stóp do głowy, byłem skończony szalenie. Zrobiło mi się ciemno w oczach, wsparłem się na strzelbie, którą trzymałem w ręku.

Ta nieprzytomność jednak trwała bardzo krótko. Posadziłem Helę, drżącą jeszcze ze strachu, na ławce pod ścianą, i zwróciłem się do napastnika, którego nie miałem czasu jeszcze obejrzeć. Był to mężczyzna lat może dwudziestu kilku, który w kawiarnianym świetle mógł uchodzić za przystojnego, mimo dość idjotycznego wyrazu twarzy. W zaczerwienionych oczach jego był gniew i pomieszenie.

— Kto pan jesteś? zapytał mię głosem drżącym ze złości, ale mu nie odpowiedziałem, tylko patrzyłem czas jakiś na niego, co go zdawało się najbardziej gniewać. Potem zwróciłem się do Heli:

— Kto to taki?

— To nasz pan, rzekła, drżąc jak w febrze. Nowy...

— Gdzie ojciec i matka?

— Ojciec, jak zawsze w lesie; matkę zawołali do dworu, żeby wzięła bieliznę do szycia.

Wiedziałem wszystko co mi potrzeba, zwróciłem się znowu do nowego pana, który wrzasnął do mnie całą potęgą rozstrojonego głosu: coś za jeden? jak śmiesz polować w moim lesie?

Gniew przeciwnika przywrócił mi całą przytomność. Potem o tem, odpowiedziałem, — ale czy pan wiesz dobrze kim jesteś? zapytałem.

Oczy przeciwnika zaświeciły mi gniewem w odpowiedź.

— Jesteś łotrem, mój panie, któremu warto oto tę kulę przepędzić przez uda, powiedziałem, wskazując na strzelbę,

Argument z dokumentem zdawał się wymownie przemawiać do Chocimkowskiego pana. Spojrzał on tak komicznie z podejścia na moją strzelbę, że mi się już śmiać zachciało, i byłbym niezdolny już do dalszej rozprawy, gdyby nie widok drżącej ciągle z przerażenia Heli. Patrzyła ona kolejno to na mnie, to na Chocimskiego swemi dużemi niebieskimi oczami, które trwoga zdawała się rozszerzać. Widok Heli był ostrogą dla mego oburzenia.

— Kulą, jak kulą, rzekłem, ale kolbą po grzbiecie, to by się panu słusznie należało.

Mój przeciwnik czuł całą wyższość moją, jaką mi broń przydawała, której zresztą w izbie użyć stosownie nie mogłem, i wyłącznie chyba tylko jako ręczną. Chciał wyjść z tego niewygodnego położenia, wyprostował się, wyjął kartę wizytową z kieszeni, rzucił ją na stół, i powiedział:

— Nie chcę się wdawać w grubijańskie rozmowy. Rosprawimy się.

To powiedziawszy zabierał się ku wyjściu i podchodził ku drzwiom, przed którymi stałem.

— Nie podchodź pan, krzyknąłem, mam jeszcze parę słów do powiedzenia na dalszej mecie.

Chocimski zatrzymał się.

— Dam panu naprzód moją kartę wizytową połóż ją Helu na stole, a potem mam panu oświadczyć, że drzwi są zamknięte, sam je pan zamknąłeś, drzwiami pan wyjść nie masz prawa. Jeżeli się pan uprzesz i zechcesz wyjść koniecznie drzwiami, to ci przeszkadzać niebędę, ale zareczam panu uroczyście, że w takim razie wyjdę za panem i strzelę, kiedy będziesz wsiadał na konia. Patrz pan, tę

broń trzymam dobrze i pan mi jój z rąk nie wyrwiesz, nie radzę kusić się o to, a czy celnie strzelam nieradbym pana o tém przekonać.

— Którędyż wyjdę? na wpeł nieprzytomny powiedział Chocimski.

— Oknem. Helu, otwórz okienko.

Posłuszna i zalekła dziewczyna zrobiła, co kazałem. Chocimski przez chwilę patrzył na mnie błędnymi oczyma; odpowiadałem mu spokojnym wzrokiem. Potem z duszoną wściekłością powiedział: dobrze! i rzucił się do okna. Za chwilę był już za oknem i wołał do nas:

— Poczekajcie! ja wam pokażę!

— Panie Chocimski, zawołałem doń, wychylając się przez okno, ostrożnym bądź, nie chwytaj się niegodziwych środków, bo i tak mógłbyś mieć proces kryminalny.

Wyobrażam sobie, że te słowa nie wpłynęły na uspokojenie upokorzonego, mogły go jednak zastraszyć i powstrzymać od wyrządzenia jakiej krwawej obelgi leśnej rodzinie.

Zostałem sam z Helą, oddychając jeszcze popelnionem szaleństwem, jeszcze nie zdając sobie z niego dokładnej sprawy. Dziewczyna patrzyła na mnie dziwnymi oczami, pełnymi uwielbienia. W mojem szaleństwie widziała nadzwyczajne bohaterstwo, a przecież bohaterstwo moje polegało głównie na tem, że miałem dubeltówkę, której tamten nie miał i że tamten był tak głupi, że się zląkł słów moich, chociaż jak teraz przypominam sobie usposobienie swoje w owęj chwili, to byłem gotów strzelić, gdyby nie usłuchał żądania.

Jak opętany pobiegł do konia i puścił się cwałem.

Hela drżała ciągle jak w febrze, czasem tylko zaśmiała się z radości, wywołanej zapewne tą doraźną sprawiedliwością, jaką jój przed chwilą wymierzyłem. Naraz twarz jój okryła się przerażeniem.

— Ach, jak on tu powróci!

— Nie bój się Helu, nie odejdę ztąd, aż przyjdą rodzice. Powiedz mi, kiedy on cię poznał?

— Zobaczył mnie na pogrzebie nieboszczyka pana. Zawołał zaraz matkę i chciał, żeby mię matka oddała do dworu, za klucznicę.

— A matka?

— Gdzieby mnie matka oddała. Wołał potem ojca, ojciec także nie chciał, i był zły bardzo na młodego pana.

— A potem cię niewidział?

— Potem raz tu przyjeżdżał, zdaje się trzy dni temu; chodził ciągle z ojcem, oglądał las, a potem do nas zaszedł, ale nie bawił długo.

Powoli zacząłem rozważać następstwa tego, co się stało. Dobrze jeszcze, jeżeli cała złość Chocimskiego za doznane upokorzenie zwróci się ku mnie. Pojedynek nie był mi wcale miłą rozprawą, ale pojedynek rozstrzyga się w czterdziestu ośmiu godzinach, i cała przykrość zatem nie trwa długo. Obawiałem się gorszych rzeczy, obawiałem się, że Chocimski zawstydzony w obec leśnej rodziny, będzie się mścił na niej za swój wstyd, pozbawiając ją natychmiast utrzymania i wypędzając z leśnego domku. W takim razie czułbym się do pewnego stopnia odpowiedzialnym za przyszły los rodziny, musiałbym znaleźć jakąś posadę dla ojca Heli, a przed znalezieniem zapewnić mu jakieś utrzymanie. Z drugiej strony widziałem, iż rodzina nie mogła w żadnym razie pozostać w służbie u takiego pana, jakim był młody Chocimski. Zmniejszało to moją odpowiedzialność za jej przyszłe losy, ale całkowicie tej odpowiedzialności nie uchylało.

Potrzeba, żebym był szczery, i żebym się przyznał, że to co było obawą moją, było mi zarazem pewną tajemną radością. Myśl, że będę zmuszony zająć się losem Heli, sprawiała mi radość. Była to radość bardzo mętna i bardzo pokrewna z tylko co dokonaniem szaleństwa.

Oddałem Heli elementarz i ryciny, które dla niej przyniosłem. Dziewczyzna chciała mię ucałować w rękę za ten podarek, ale ją powstrzymałem, mówiąc, że ludzie niepowinni całować siebie po rękach, i że ten, który coś darowuje ma taką samą, jeśli nie większą przyjemność, jak i ten, co odbiera podarunek.

— Czyście wy wzięli jaką zapłatę za to, żeście tu chorego trzymali? czy was kto za to całował w ręce? zapytałem w końcu.

— To prawda, że nie, odpowiedziała Hela w widocznym zamyśleniu nad tem, co usłyszała odemnie.

Niebawem powróciła matka z dworu, i ja opowiedziałem jej wszystko, co się zdarzyło. Przerażona kobieta nie wiedziała jak mi dziękować i znowu się powtórzyła scena

z całowaniem rąk. Zaczęliśmy się naradzać, co teraz począć? Antonina mówiła, że jak się tylko mąż jój dowie o tem, co zaszło, natychmiast porzuci służbę, może nawet scenę jaką wyprawi nowemu panu.

— A będzie miał żyć z czego, zapytałem, jak porzuci służbę?

Antonina zalała się łzami.

— Jest trochę, ale na długo nie wystarczy, powiedziała. Trzebaż nam było nieszczęścia? trzebaż nam było wyjeżdżać z puszczy? Tak tam spokojnie było. A ludzie...

I płacz zatamował jój słowa.

— Niema co płakać, powiedziałem, tak jakoś uradzimy, że nie będziecie mieli potrzeby żałować waszego wyjazdu z Litwy. Potrzeba tylko, żeby wasz mąż posiedział tu jeszcze dni kilka.

Uradziliśmy, że ojciec Heli nie dowie się zaraz o całej sprawie, ale aż dopiero po kilku dniach, kiedy ja będę miał dość czasu, aby zająć się losem rodziny i znaleźć dla niej jakiś przytułek tymczasowy. Matka zaś przyrzekła strzedz Heli i na krok jój nie puszczać samej, choć już obawa o Helę po scenie, jaką wyprawiłem Chocimskiemu, była zbyteczną.

Powróciwszy do siebie, posłałem Chocimskiemu natychmiast przez najętego posłańca moją kartę wizytową, téj bowiem, którą mu Hela położyła na stole nie zabrał z sobą w skutek pomieszania, w jakie go wprowadziłem; i dlatego nie wiedziałby nawet z kim ma mieć do czynienia.

Wstąpiłem tedy w awanturę po uszy, wycofać się z niej niebyło podobna, pojedynek był rzeczą nieuniknioną, jak i wszystkie jego możliwe następstwa. Wszystko to jednak nie martwiło mię wcale, i owszem byłem ożywiony, wesół, i rad ze swego szaleństwa, jak pierwszy lepszy śmiertelnik. Tego samego dnia jeszcze odwiedziłem mego adwokata i przyjaciela Jerzego i doktora, opowiedziałem im całą przygodę i prosiłem ich, aby mi byli sekundantami. Każdy z nich z podziwieniem patrzył na mnie, kiedy im opowiadałem moje czyny bohaterskie. Doktor, który ze szczególnem zadowoleniem słuchoł opowiadania, powiedział mi po wysłuchaniu wszystkiego:

— Panie Danielu, witam w panu rekonwalescenta.

— Co to znaczy? zapytałem.

— Te dziewczęta, mówił doktor, uśmiechając się, mają dziwne lekarstwa, o których medycynie ani się śniło. Sakuntala pańska naprzykład ma widocznie jakieś lekarstwo na chorobę obojętności dla świata. Kto ją wie, co za lekarstwo? zioła leśne....

— Panie konsyljarzu, zawołałem, nie zapominaj pan, że masz do czynienia z najpierwszym awanturnikiem od śmierci Rinaldiniego. Nie radzę zapuszczać się w żarty.

Na drugi dzień rano stawiły się do mnie dwie figury wyfrakowane, mocno pozapinane, z wyostrzonymi minami, jak na wzorowych sekundantów przystało. Małemi półśłówkami chcieli ci panowie dać mi do zrozumienia, że pojedynki musi być okropnie krwawym. Przyjmowałem ich jak najuprzejmiej, ale na uprzejmość moją odpowiadali ponurą jakąś obojętnością. Wskazałem im mieszkanie Jerzego, z którym mieli się ułożyć o warunki pojedynku. Udali się tam natychmiast, przyciskając mię na pożegnanie wzrokiem chłodnym ale zabójczym.

W godzinę potem Jerzy był u mnie.

— No, powiedział mi, możesz nie pisać testamentu, wielkiego krwi rozlewu nie będzie. Chyba że się kula zabłąka.

Następnie opowiedział mi Jerzy całą scenę układów z sekundantami Chocimskiego, jak ich ponura groza topniała powoli w obec jego uprzejmości i gotowości przyjęcia wszelkich najostrożniejszych warunków pojedynku. Stańono na tem, że mamy się strzelać nazajutrz w tym samym lasku Chocimkowskim o dwadzieścia pięć kroków od siebie, to jest na odległości, z której ludzie mogą trafić do siebie tylko przy nadzwyczajnej wprawie ręki i oka, i przy sporym zapasie zimnej krwi, nie mówiąc już o wzajemnej chęci mordowania się. Po pierwszym strzale z obu stron, jeśli rany nie będzie, mamy się rąbać pałaszami, aż do pierwszej krwi.

Miała to więc być komedja pojedynkowa, co się zowie, i wyznam, że wstyd mi było trochę przed samym sobą, trochę przed Jerzym i doktorem, kiedy jechał z nimi nazajutrz na plac pojedynku, że byłem jednym z głównych aktorów téj komedji. Bądź co bądź, muszę być i tutaj szczerym, i powiedzieć, że mimo to rad byłem, iż pojedynki nie grozi żadną katastrofą. Nie mogłem ukryć przed sobą, że życie stające zawsze przedemną z twarzą

zmęczoną i płową, nabrało dziwnym sposobem od chwili popełnionego szaleństwa jakichś barw żywszych, zaczęło mi się wydawać czemś mniej godnem pogardy. Dziwna, nieujęta potęga złudzenia kładła na wszystkim co mię otaczało piętno pogody i jakiegoś rozumnej potrzeby istnienia. Opanowała mię oddawna już pogrzebana we mnie i zapomniana owa swobodna i prawie nierozumna wesołość, co nie wymaga żadnej żywszej pobudki, prócz towarzystwa dobrych znajomych, aby wyskoczyć żartem, lub wylać się strumieniem śmiechu. To też przez całą drogę do lasku Chocimkowskiego śmieliśmy się i żartowali bardziej podobni do jadących na majówkę, niżeli na pojedynk.

Przybywszy na miejsce zastaliśmy już stronę przeciwną. Sekundanci Chocimskiego, już nie tak groźni jak przedtem, zwrócili się do Jerzego, wzywając go aby mię skłonił do przeproszenia Chocimskiego, przez co cała sprawa byłaby zakończoną. Nie mogłem tego żądania nazwać nie umiarkowanym, przecież trudno mi było przystać na to. Stanęliśmy więc u mety i oczekiwali hasła do strzału.

Na dane hasło nie strzeliłem zaraz, ale czekałem na strzał przeciwnika. Niedługo trzeba było czekać; strzelił, a kula jego nic mi nie zrobiwszy, w las poszła siekąc liście i gałęzie. Teraz kolej strzelania przyszła na mnie: strzeliłem w bok.

Zjednało to widocznie Chocimskiego i jego sekundantów, bo przyszli zaraz do mnie ofiarując zgodę. Chciałem się co prędzej wydrzeć z ram tej komedji, przyjąłem zgodę, podałem rękę Chocimskiemu, odmówiłem stanowczo udziału w pojednawczem śniadaniu, i rad, że się już wszystko skończyło, zabierałem się z doktorem i Jerzym do powrotu.

— Przecież nie ominiemy domku leśniczego, powiedział doktor, zachodzić tam, należy prawie do ceremonji pojedynku. Przyda się nam także gościnność leśnych mieszkańców; sędzę, że kieliszek gorzałki, każdemu się z nas uśmiecha.

Istotnie gorzałka mogła być pożądaną, bo chłodny, wietrzny i wilgotny jesienny ranek, zasępiony chmurami, dawał się nam niemile uczuwać. Nie chciało mi się jednak samemu ciągnąć towarzyszy do gniazdka Heli, nie chciało mi się wystawiać na cudze spostrzeżenia mego stosunku

do dziewczyny, stosunku, z którego sam przed sobą nie zdawałem sprawy. Ale żądaniu doktora trudno było odmówić, poszliśmy.

Hela przywitała mnie z iskrzącą w oczach radością. W tej czystej naturze obudziłem wdzięczność i płaciła mi ona tem co miała najdroższego i najpiękniejszego: wzrokiem. Wzrok bowiem jest jakby streszczeniem wszystkich uczuć człowieka, jest to przędza światła z tych uczuć wysnuta. Człowiek głodny, głód będzie miał w oku, człowiek w którym śmierć powoli wspina się do mózgu, śmierć już będzie miał w oczach; każda choroba, boleść, i namiętność ludzka gra innemi światłami w oku, i lekarze powinni by z oczu przedewszystkiem poznawać wszelką chorobę wewnętrzną. Z oczu Heli radość i wdzięczność świeciły tak czystym tak cudownym promieniem, że obdarzony spojrzeniem, przestawałem uważać siebie za dobroczyńcę Heli, a przeciwnie uważałem się za nagrodzonego wyżej miary.

Byłem oczarowany tym wzrokiem, ale mimoto czułem, że towarzysze moi muszą robić nademną spostrzeżenia, i było mi z tem tak niewygodnie, że po małym odpoczynku zaproponowałem udać się w drogę do domu. Nim jednak towarzysze przystali na mój wniosek, ukazał się we drzwiach leśniczy. Miał twarz tak chmurną, że się aż żona zerwała z ławki i zapytała go niespokojnie: Co ci jest Jędrzeju?

— Nic mi nie jest, odpowiedział tak cierpko, że się aż nam gościom przykro zrobiło, ponieważ nie wiedzieliśmy, czy to nie nasza obecność jest przyczyną tej cierpkości.

— Nic mi nie jest, powtórzył łagodniej, przywitałszy się z nami i postawiwszy strzelbę w kącie izby, ale to jest tylko nam wszystkim, że już tu nie będziemy dłużej.

— Czy widziałeś się z panem? spytała Antonina.

— Nie widziałem się, ale przysyłał ekonoma do mnie z rozkazem, żebym się wyniósł stąd, bo już inny leśniczy jest na mojem miejscu.

Mówił te słowa powoli i spokojnie, ale czuć było w głowie gniew krępowany. W tej chwili podobał mi się ojciec Heli bardziej niż kiedykolwiek, tyle było szlachetności i spokoju w jego gniewie.

— Pozwólcie, panie Jędrzeju, powiedziałem, że będę wam przyjacielem i dopomogę w czem zdołam.

— Wdzięczny jestem, panie. Będę się dźwigał z biedy sam, tak jak w nią wpadłem. Schylać się nie umiem, ktoś się inny schylił i zabrał mi miejsce. Głupstwo się zrobiło z tym wyjazdem z Litwy, ale któż mógł przewidzieć. Trzeba nazad wracać.

Dopiero te słowa Jędrzeja przekonały mię z niemałym przestрахem moim, do jakiego stopnia obchodzi mię Hela. Myśl, że ojciec może ją zabrać do Litwy, i na zawsze z przed oczu mi usunąć, przeraziła mię prawie. Pospieszyłem z zapytaniem:

— A gdybyście w tych stronach znaleźli miejsce inne, lepsze nawet od tego coście tu mieli? Lepiejby przecie nie jechać tak daleko.

— Wątpię ja, czy tu się znajdzie miejsce jakie, gdzieby można było wytrwać dłużej, powiedział Jędrzej z pewną niechęcią. Ludzie tutejsi lubią wiele obiecywać, ale o dotrzymaniu obietnicy nie myślą. To prawda, że jedno łatwiejsze od drugiego, ale spuszczać się na rzeczy niepewne niemożna.

— Nie myślcie jednak, powiedział doktor, żeby tu wszyscy ludzie byli podobni do waszego pana. Jest ich wprawdzie dość, ale wydaje się, że jest więcej, tak jak przy młóceniu zboża, wydaje się, że więcej jest plewy niż ziarna, bo ciężkie ziarno na spód idzie, a plewa na wierzchu zostaje. Są i u nas ludzie szczerzy, tylko że siedzą po swoich kątach, a nie zwijają się jak plewa kręcona wiatrem na rzeszocie, więc się ich mało wydaje.

Słowa doktora przemówiły do serca Jędrzejowi.

— Dobrzeście panie powiedzieli. Złe to narzekać na ludzi. Człowiek sam sobie winien [zawsze, a chce winę zwalić na drugih. No, ale czasem trudno się upilnować. Stało się, niema co narzekać, wrócimy zkaśdemy przyjechali.

Postanowiłem zatrzymać Jędrzeja za jakąkolwiek bądź cenę. — Słuchajcie, powiedziałem mu, a gdybym wam dzisiaj tu przy świadkach obiecał i zaręczył, że za dwa tygodnie dostaniecie miejsce lepsze od tego, jakieście tu mieli? Myślę, że nie macie powodu niewierzyć mi? Wszak zostanieie w takim razie?

Hela i matka słuchały rozmowy naszej z wytężonym zajęciem; zdawało mi się, że myśl powrotu na Litwę nie była im zupełnie przyjemną. Doktor i Jerzy po tych ostatecznych słowach spojrzeli na mnie z podziwieniem, a Jędrzej niemniej zdziwiony, powiedział mi głosem szczerzej wdzięczności:

— Cóżem wam panie zrobił, że chcecie być moim dobrodziejem. To już ciż pewno, że wracać skąd się wyjechało po kilku miesiącach, nic nie zarobiwszy, a dosyć straciwszy, to tak jak okuliwić konia, wioząc prosię na sprzedaż. Wolałbym nie wracać. Jeżeliście łaskawi..

— Dobrze, powiedziałem, zabierając się prędko do wyjścia, aby się uwolnić od podziękowań, jeśli pojutrze nie będę tu u was do południa, przyjdźcie do mnie. Mieszkać przy ulicy R.... Nr 18. Wszak tu jeszcze wolno wam mieszkać przez czas jakiś?

— Tydzień jeszcze, po tygodniu musimy się wynieść.

Jędrzej nie wiedział nic jeszcze o zajściu z Helą, podejrzewał zapewne, że przyczyną wydalenia jego jest to, że niechciał oddać córki do dworu. Przechodząc koło Antoniny, szepnąłem jej, żeby jeszcze nic nie mówiła mężowi.

Wsiadłszy do powozu, jechaliśmy czas jakiś w milczeniu; tak mi się zdawało, jak gdyby towarzysze moi wstydzili się za mnie i dlatego milczeli. Przerwałem to milczenie:

— Słuchaj, Jerzy, pomożesz mi w wyszukaniu miejsca dla tego poczciwego człowieka?

— Najchętniej, ale pamiętaj o tem, żeś mu obiecał dać posadę lepszą od tej, jaką miał dotąd, i żeś mu nazaczył termin dwutygodniowy.

— Pamiętam o tem, odpowiedziałem, i dlatego wątpię, czy będę mógł mu dotrzymać tak uroczyście daną obietnicę.

Przychodziła mi już nie od tej chwili myśl jedna, której wstydzilem się wyjawić. A przecież była to myśl uporczywa, czas był krótki, odważyłem się.

— Cóżbyś powiedział, gdybym mu dał miejsce u siebie? zapytałem, oczekując wrażenia jakie te słowa wywrą na Jerzego i doktora.

Doktór dość ciekawie spojrział na mnie: Jerzy zapytał:

— Chcesz wziąć dzierżawę?

Zapytał tak spokojnie, jak gdyby nie dziwnego nie upatrywał w podobnej chęci mojej. Ten spokój jego prawie mię obrażał, zdawało mi się, że ten człowiek przygotowany jest już na moje szaleństwa i postanowił pobłażać im nieograniczenie.

— Tak, Jerzy, powiedziałem, i nie że cię to nie dziwi?

— I owszem, odpowiedział, tylko nie okazuję zdziwienia. Czy chcesz bym je okazał?

Te słowa Jerzego powiedziane najpoważniej, wywarły wesołość w naszym gronie.

— Zaczynam dziwaczeć, mówiłem już swobodniej, znalazłem jak świat szeroki jedną rodzinę, która może być szczęśliwą, jeśli warunki zewnętrzne sprzyjać jej będą i chce mi się jak krzew jakiś rzadki zasadzić ją na gruncie szczęśliwym.

— Myślę, powiedział doktór, że się pan zgodzisz ze mną, że na tym krzewie....

— Chcesz pan mówić o różycze, przerwałem prędko doktorowi, podoba mi się niemało, i jako dobry ogrodnik już myślę o tem, jak ją pielęgnować. Chcę w tym względzie prosić pana o pomoc.

Doktór nie wiedział, czy żartuję, czy mówię na prawdę.

— Pomoc? ale i owszem.

— Nie przyrzekaj pan tak prędko, bo nie żartuję; chcę dać początki wykształcenia téj dziewczynie, ale nie chciałbym oddawać jej na pensję. Chciałbym, żeby się kształciła wśród jakiegoś ogniska rodzinnego, wiem że pan masz takie ognisko i że dla pana, który straciwszy żonę, masz małe dzieci, Hela by się przydała jako dobry duch, czuwający nad nimi. Nauczycielka ucząca małe dzieci uczyłaby także Helę.

Doktór zaciekawiony na początku słów moich zamyślił się potem. Czy wiesz pan, rzekł wreszcie, że to by się dało zrobić z wielką dla mnie wygodą? Ale, dodał znów swoim tonem, czy Sakuntala nie przestanie być Sakuntalą, kiedy się uczyć zacznie? Czyś pan myślał o tem?

— Przystanie być Sakuntalą, rzekłem, bo nią być dłużej w pośród nas niepotrafi, ale nie stanie się tem, czem by się stała zostawiona na łaskę naszych stosunków społecznych i obyczajowych.

Rad byłem z tak otwartego przedstawienia moich szalonych zamiarów przed przyjaciółmi, pewien przypływ bezczelności pozwolił mi wypowiedzieć to, z czem bym się inaczej długo nosił przed wypowiedzeniem.

Nazajutrz po tej wycieczce pojedynkowej Jerzy był u mnie. — Czy myślisz naprawdę o dzierżawie? powiedział mi.

— Obietnicy dotrzymać muszę, odpowiedziałem, to jest pierwsza konieczność. Chodzić, kręcić się i wstawiać u rozmaitych panów, aby dali miejsce Jędrzejowi, nie potrafię; to jest drugi pewnik. Wniosek należy do ciebie.

— Dzierżawa ma być długoletnią?

— O! tego nie pragnę, odpowiedzialności za moje dziwactwo nie chcę brać dłużej jak na lat parę. Potem zobaczymy, jeśli dzierżawa wypłacać się będzie dostatecznie, to może ją utrzymam nadal.

— Przeglądałem w biurze wywiadowczem spis wsi wystawionych do wydzierżawienia. Między innymi jest tam wieś Rohatyceze. Znasz tę wieś dobrze?

Rohatyceze znałem doskonale, bo do lat jedynastu mieszkałem tam przy rodzicach. Była to własność mojego ojca, który sprzedał ją następnie, aby oczyścić z długów resztę majątku. Wiedziałem, że ma dobrą ziemię i bujne łąki i pastwiska. Od lat dziecińczych nie widziałem tej wsi, prawie zapomniałem o jej istnieniu, a kiedy Jerzy mi ją przypomniał, uczepiłem się myśli, aby właśnie tę rodzinną wioskę swoją wziąć w dzierżawę. Jakieś dalekie wspomnienia z dzieciństwa żywo odezwały się we mnie i nalegały na wykonanie tej myśli. Powiedziałem mój zamiar Jerzemu. Jerzy nalegał, abym co prędzej pojechał do tej wsi, przekonał się o jej stanie obecnym i zawarł umowę, gdyż ktokolwiek inny mógłby mnie uprzedzić. Nie trzeba było jednak nalegać na mnie, bo myśl odwiedzenia miejsc rodzinnych była mi dość przyjemną.

Kiedy nazajutrz przyszedł do mnie leśniczy, mogłem już z nim mówić o warunkach nowego miejsca. Miał zostać moim wszechwładnym rządcą na dzierżawie; spuszczałem się zupełnie na jego uczciwość. Jędrzej niewiedział,

że dla niego tylko brałem dzierżawę, ale i bez tego uważał mię za swego dobroczyńcę i prawie zadziwiony był korzystnymi warunkami nowej posady.

— Słuchajcie, Jędrzeju, powiedziałem mu, nie mam rodziny, ani takich krewnych, którzyby mię obchodzili, lub którzyby potrzebowali mojej opieki, jestem sam na świecie, więc cóż dziwnego, że jak spotykam dobrych ludzi, i mogę im dopomóc w niepowodzeniu, to że im pomogę? Wasza prawość i szczerłość zjednała mnie. Uczciwość zwykle długo chodzi niepoznana, i często ludzie na nią błotem rzucają, ale następuje wreszcie pora, kiedy się na nią poznają, i wówczas zbiera ona to, co sobie dawno zasłużyła.

Starałem się ugodzić w pojęcia Jędrzeja i zmniejszyć w oczach jego rozmiary mego dobrodziejstwa. Nie mogłem mu przecież mówić, że uczciwość jest na to, aby ją wyzyskiwano, i tylko w spotkaniu z takim jak moje dziwactwem może jakikolwiek zysk przynieść. Starałem się mu wskazać, że jego rzetelność jest dla mnie skarbem, na którym się inni poznać nie umieli. Najwięcej zaś chodziło mi o to, aby Jędrzej nie podejrzywał mię o jakieś złe zamiary względem Heli, kiedy mu zaproponuję, aby została w mieście. Propozycyi tej nie śmiałem zrobić natychmiast i zostawiłem ją na później.

W kilka dni po tém całym zajściu, w przeddzień wyjazdu mojego na wieś otrzymałem kartkę od Amelii; prosiła mię w najpokorniejszych wyrazach, abym ją odwiedził tego wieczora. Miała mi poruczyć jakąś sprawę, której nikt inny nie mógł załatwić. Stawiłem się tedy wieczorem u pani Amelii; znów zastałem ją samą, nie licząc ojca, który ukazał się tylko jak dla parady i znikł potem.

Przy powitaniu przeproszała mię po kilkakroć za swoją śmiałość, że mię wzywa i obarcza swemi sprawami.

— Tém bardziej teraz — rzekła — kiedy pan masz tak wiele zajęcia.

— A toż jakie zajęcie? — spytałem trochę zdziwiony.

— Teraz, kiedy się pan zajmujesz tą pocziwą leśną rodziną. Ale wierz mi pan, moja sprawa dużo czasu nie zajmie.

Amelia, powiedziawszy te słowa, badawczo patrzyła na mnie. Wyznam, że byłem trochę zawstydzony; potrzeba było ratować się.

— Ach, więc pani raczysz tak łaskawie zajmować się mną, że nawet...

— Że nawet wiem to, o czém wie całe miasto; — rzekła, opierając głowę z pewnym znudzeniem o poręcz fotelu.

Byłem pobity i przybity temi ostatniemi słowy. Istotnie, czemużby całe miasto nie miało wiedzieć o sprawie, która miała tylu wtajemniczonych, a która mogła służyć za materyał do tylu misternych plotek. Pozostawało mi chyba tylko szczycić się z popełnionej awantury, do czego jednak nie czułem najmniejszego usposobienia.

Czas jakiś trwało bardzo przykre dla mnie milczenie.

— Pozwoli pani zapytać siebie — rzekłem wreszcie — w czém mogę być jej pomocnym?

— Ach, to rzecz drobna; powiem panu potem, kiedy będziesz odchodził. Tym sposobem utkwii lepiej w pamięci.

— Zdaje się, że dotychczas nie zasłużyłem sobie u pani na zarzut podobny.

— Nie, nie; to jest tylko środek ostrożności... Więc pan bierzesz dzierżawę?

Zrobiłem wielkie oczy.

— Czy i o tém już wie całe miasto? — spytałem.

— Jutro wiedzieć będzie — rzekła. — Pan zaczynasz budzić zajęcie we wszystkich. Biedny Chocimski chodzi jak okradziony; w salonach pokazują go sobie palcami i wszyscy radziby pana poznać.

— Każdy ma chwile swego tryumfu i sławy; miał je zapewne i Chocimski.

— O, pan nietylko jesteś odważny, ale i złośliwy.

— Nic dziwnego, pani; złośliwość drzemie pod skrzydłami tryumfu.

— Ta przygoda pańska była wielką niespodzianką.

— Największą dla mnie. Oswoiłem się z nią jednak prędzej niż inni.

— Ach oswoiłeś się pan z nią! Chciałam właśnie zapytać, jak się zachowują pańskie teorje wobec tych czynów pana. Ale jeżeli pan oswoiłeś się...

— Ten się wyraz pani nie podoba? Możemy wziąć inny.

— Nie, nie; niech zostanie. A cóż Heła?

To powiedziawszy, natarła na mnie oczyma tak zuchwale i uporczywie, że uczułem, jak gorące fale krwi spływały mi do twarzy. Wiadomości, któremi poprzednio mię zadziwiła, były tak dokładne, nowe pytanie jęj było tak nieokreślone, wzrok tak zuchwale wymowny, że przez chwilę bałem się prawie, żeby nie wiedziała czegoś więcej, niż ja sam wiedzieć mogłem.

— Cóż Hela? — powtórzyłem.

— Cóż Hela? pytam; czy jedzie z rodzicami na wieś, czy zostanie w mieście?

— Ach, nie wiem doprawdy; to należy do rodziców. Być może, że ją oddadzą tu w mieście na naukę; w takim razie nie omieszkałam natychmiast panią uwiadomić.

Amelia uśmiechnęła się, ale w oczach gniew błysnął.

— Mam jeden zamiar — rzekła z doskonale udanym spokojem i nie patrząc na mnie; — nie wiem, jak się on panu wyda. Potrzebuję takiego dziewczęcia, jak Hela, do szycia, naprawiania i trzymania w porządku bielizny; mam przytém dość czasu wolnego, mogłabym ją trochę uczyć. Myślę pomówić z jęj rodzicami i chcę prosić pana, żebyś dobrze usposobił i skłonił ich do oddania mi córki. Raz tylko widziałam tę dziewczynę, ale bardzo mi się podobała; chciałabym jęj być użyteczną.

Czułem, że natarczywość kobiety wzrasta; było mi coraz ciężej i nieznośniej.

— Czy to jest sprawa, dla której mnie pani raczyłaś wezwać? — spytałem.

— Nie, panie; tamto drobnostka... pomówimy o niej niebawem, jeśli się pan tak spieszy. Mogę więc spodziewać się, że pan przemówisz za mną do rodziców?

— Najchętniej; boję się tylko, czy już rodzice nie są związani jaką umową.

— Zareczam panu, że będzie jęj u mnie równie dobrze, jeśli nie lepiej, jak u doktora Zarewskiego.

Powiedziała te słowa tak niedbale, że z początku prawie ich nie rozumiałem. Trwało to bardzo krótko; dźwięk został w uchu i świadczył wyraźnie, że pani Amelia wie i o tym zamiarze moim, który chciałem przed nią za pomocą kłamstwa utaić. Tryumf jej był zupełny, to też nie patrzyła nawet na mnie. Wysunęła z pod liliowej, fioletowym aksamitem ubranęj sukni takiż liliowy trzewiczek

i zdawała się wpatrywać w atlasową różyczkę na trzewiku osadzoną.

— Czy pani zna Józefa Zarewskiego? — spytałem, chcąc wydobyć się z milczenia.

— O, tak trochę, bardzo niewiele.

— I pannę Joannę?... nauczycielkę?

— Pannę Joannę?... znam trochę.

Teraz już wiedziałem, z kąd pani Amelia czerpała tak dokładne wiadomości.

— Jak się też pani podoba panna Joanna?

Amelia spojrzała na mnie z pewnym zdziwieniem, a potem najspokojniej rzekła:

— Bardzo dobra dziewczyna, bardzo pilna; tylko za mąż nie wyjdzie nigdy, bo jest zanadto uboga i uczciwa. Będzie to bardzo dobra dla Heli przewodniczka... lepsza odemnie. Bądź pan już szczerzy do reszty i przyznaj, że tak myślisz.

— Przyznaję — powiedziałem; — a to jedynie dla tego, że nie będę stał pod pręgierzem ciągłego posądzania, czego przedsmak w tej chwili uczuwam.

— Przepraszam pana bardzo za moją ciekawość. Chciałam zrozumieć ostatnią pańską przygodę, a raczej chciałam zrozumieć pana w tej przygodzie, w której pan byłeś tak niepodobny do tego, co pan sam o sobie mówisz i co inni o panu mówili. Dręczyłam pana trochę; nie mówmy już o tém, bądźmy przyjaciółmi.

To mówiąc, wyciągnęła mi z wdziękiem i pewnym majestatem prześliczną białą, pachnącą i wypieszczoną dłoń. Podała mi ją tak blisko, że mi niezręcznie było uściskać ją, i prawie zmuszony byłam ucałować. A kiedy ucałowałam i podniosłam głowę, spojrzała na mnie pani Amelia takim wzrokiem, że mi się już zaczął obawiać o siebie, że bym się nowemu jakiemu nie poddał szaleństwu. Jój oczy błyszczały jakąś tajemniczą wymową, która była zarzewiem dla uspiionych żądź. Chciałem już zerwać się i pożegnać niebezpieczną gospodynię, kiedy się zjawiała kwadratowa postać ojca we drzwiach i przecięła nić niebezpiecznych wrażeń.

Było czas, abym się dowiedział o sprawie, do której zostałem wezwany; to też zaraz po przybyciu ojca opowiedziała mi ją pani Amelia z wielkim talentem umiarkowania i oszczędności w słowach. Sprawa była następująca.

Amelia, wybierając się z domu męzowskiego, nie chciała zabrać z sobą pięknych świeczników, bransolet i innych sprzętów i ozdób, które dostała w podarunku od męża. Mąż, powróciwszy do domu, spakował to wszystko do pudła i odesłał żonie. Pani Amelia jednak nie chciała tego uważać za swoje; postanowiła odesłać napowrót mężowi to wszystko, co był jęj przysłał, i prosiła mię, abym przekonał Karola, że to jest w zwyczaju, iż żona, która się rozstała z mężem, nie korzysta z jego podarunków.

— Sprawi tém pani wielką przykrość Karolowi — powiedziałem.

— Sobie sprawiłabym dwa razy większą przykrość, gdybym te rzeczy zatrzymała.

Obiecałem spełnić to, o co mię prosiła, ale dopiero po powrocie ze wsi, dokąd nazajutrz rano potrzeba mi było jechać; po spełnieniu polecenia przyrzekłem uwiadomić ją o rezultacie.

— Tylko natrętności i niegrzeczności swojej zawdzięczam ciągle pańskie odwiedziny; jeżeli się pan nie poprawisz, to strzeż się; zbałamucę panu Helę, zanim się obejrzysz!

Rozstaliśmy się w bardzo dobrém i swobodném usposobieniu. Zadziwiła mię i imponowała mi ta kobieta niesłychaną wprawą w przerzucaniu się z jednego usposobienia w drugie. Było coś z węzowego połysku w tój zwinności uczuć kobiety, a zwinność ta była tém jaskrawszą, że tłem usposobienia Amelii było jakby jakieś półznużenie i półdrzemanie uczuć. Nasuwa mi się teraz jedno dość dobrze malujące Amelią porównanie: podobną była do szarego wieczornego nieba, przez które od czasu do czasu przebiega w tysiącnych załomach szyderyca i jaskrawa błyskawica.

Nazajutrz rano najętymi końmi i powozem wyruszyłem w drogę do Rohatycz. Żałowałem, że Jędrzeja nie mogłem wziąć z sobą, bo zajęty był sprowadzeniem rodziny do miasta. Jędrzej lepiej zapewne odemnie mógłby zbadać i ocenić dzisiejszy stan tój wioski; ale czekać nie można było, bo święty Michał był za pasem. Wyruszyłem więc sam, i kiedym wsiadał do powozu o pół do ósmej rano, mając przed sobą widok całodziennj podróży po drogach niezbyt wygodnych, nie mogłem się powstrzymać od podziwiania dla własnej osoby, która się najdobrowolniej na

take trudy naraża. Jeżeli ja tylko podziwiałem siebie, to Łukasz, którego wziąłem z sobą, uwielbiał mię. Wiedział on, po co jedziemy; i ta myśl, że będziemy czasem wyjeżdżali na wieś; że ze wsi mieć będziemy różne produkty, których nie trzeba będzie na targu kupować, podobała mu się bardzo.

Nie powiem, żeby podróż moja była przyjemną, mimo że czas był pogodny, droga niezła i wcale dobre konie. Zanurzyłem się cały w rozmyślenia, które mi się jakoś bezładnie plątały i niewytłumaczony niepokój i smutek naprowadzały do głowy. Jechałem — po co? na co? jaki mógł być cel, wzięwszy rzecz poważnie, tych wszystkich moich zabiegów dla leśnej rodziny? Czy ta sama rodzina nie wyjdzie gorzej na tém, że dostanie u mnie wprawdzie korzystne miejsce, ale zapewne tylko na lat parę, a potem zmuszoną będzie szukać nowego miejsca i znów się gdzieś przenosić, może aż w rodzinne strony, na Litwę?... Rola moja zaczynała mi się wydawać komiczną, jakąś donki szoteryą, za którą będę musiał zapłacić potem tysiącem kłopotów. Czasami na tle tych niemiłych rozmyślań stała, jak tęcza, wdzięczna i pełna prostoty postać Heli, i na chwilę zapominałem o całym niepokoju; ale tylko na chwilę.

Stanęliśmy przed samym zachodem słońca w Rohatyczach. W wiosce rodzinnej nie dostrzegłem żadnej zmiany, przynajmniej takiej, któraby od razu skakała do oczu. Te same strzechy słomiane, niskie i pleśnią pokryte; ten sam, a przynajmniej taki sam mostek pośród wioski nad strumykiem spływającym w sadzawkę i potem dalej ginącym w rozległych łąkach; te same ogrody wiśniowe dokoła chat; ta sama ulica topolowa prowadząca do dworu; cerkiewka dawniejsza, choć już bardzo spróchniała i wątka; karczma tylko była już nowa, nieco obszerniejsza i okazalsza od dawniej.

Niepodobna mi opisać wrażeń moich z owiej chwili, kiedym przejeżdżał przez wioskę, zdążając do dworu. — Były one niesłychanie dziwne i budzące daleko więcej przykrych i smutnych uczuć niż przyjemnych. Dzieciństwo moje stanęło przedemną z tak wyraźną twarzą, z tak wybitnymi rysami, tak mi się wydało bliskim, tylko co minionem, że wszystko, cokolwiek było między tym wiekiem niezamąconej naiwności a chwilą obecną, stawało się snem

jakimś, a raczej zmorą, bezkształtném widmem, które gniotło pierś i głowę.

We dworze zastałem dzierżawcę z całą rodziną. Wyszedł on przeciwko mnie na ganek z fajką w zębach i witał z tą ciekawą uprzejmością, którą się odznaczają próżniacy. Wymieniłem mu cel mojego przybycia, i prosiłem, aby mi pozwolił obejrzeć gospodarstwo.

— Ależ nie dziś, na miłość Boga! Jesteś pan zmęczony; potrzeba wypocząć, posilić się, wyspać. Jutro obejrzymy gospodarstwo, które, prawdę mówiąc, jest gałgańskie. Jak się owies nie urodzi, to już amen. O, ja to panu wszystko opowiem; bo dziedzic chce wmówić we wszystkich, że to jest złote jabłko. To jest kwaśne jabłko, panie; jużem się ja nagryzł tego jabłka i nasmakował. Ja to panu wszystko opowiem. Ale przepraszam, nie dośłyszałem pańskiego nazwiska.

— Daniel W.

— Daniel W.! może krewny tego, co był przedtém właścicielem Rohatycz?

— Syn — odpowiedziałem.

— A, to co innego; może pan dobrodziej chce odkupić wioskę? To co innego. Proszę, niechże pan wejdzie do pokoju!

Jak zewnątrz zaledwie mógłem poznać stary dwór mojego ojca, bo w wielu miejscach odrapany z tynku, niektóre okna miał zamurowane; tak i wewnątrz trudno mi było rozpoznać mieszkanie moich rodziców. Inne bowiem było dzisiejszych mieszkańców urządzenie, jeżeli tak się godzi nazwać największy nieład, z każdego kąta wyglądający. Ograniczony, ale gościnnie gospodarz, nakarmiwszy mię i napoiwszy, starał się jeszcze przy pomocy swęj żony i dwóch córek bawić mię rozmową aż do późnego wieczora. Na usilne nalegania matki, za to bez wszelkiej zachęty odemnie, jedna z panien siadła do fortepianu i zagrała jakąś fantazyą Schulhofa. Grała źle, co się zowie; ale wolałem jeszcze tę muzykę aniżeli rozmowę, która coraz bardziej dławić mię zaczynała. Wymówiwszy się wreszcie zmęczeniem drogi całodziennęj, udałem się do pokoju, który mi przeznaczono na sypialnię.

Było niegdys sypialny pokój mojęj matki. Poznałem go zaraz po drzwiach szklanych do ogrodu i po wielkiej framudze w ścianie naprzeciwko drzwi. Prócz tych szcze-

głów nie więcej nie przypominało mi pokoju méj matki. Odetchnąłem, uczuwszy się samotnym. Usiadłem na łóżku, wsparłem łokcie na kolanach, a zakrywszy twarz rękami, puściłem wodze wyobraźni. Była to jakaś wewnętrzna, gwałtowna i niezbędna potrzeba. Z początku obrazy i wspomnienia z dzieciństwa i z lat późniejszych plątały mi się chaotycznie po głowie; głowa moja podobną była do butelki z płynem, w którym osad w skutek potrząśnienia buja we wszystkich kierunkach i przezroczysty płyn mętnym czyni. Ale naraz cały ten rozproszony osad dawnych wspomnień i obrazów nagłym, nieujętym sposobem opadł; zrobiło mi się jasno i spokojnie. Ujrzałem się w dawnym pokoju mojej matki. Zdawało mi się, że siedzę na łóżku mojej matki; że nademną spływają wielkie firanki liliowe; że obok stoi kłęcznik z krucyfiksem, a na kłęczniku leży książka do nabożeństwa w cennej oprawie, doskonale znana mi książka, pisana od początku aż do końca własną ręką matki. W kącie około drzwi ujrzałem szafkę dębową, w której apteczka domowa mieściła się obok niektórych specyaliów, które były przedmiotem moich pożądlivości dziecięcych. Wielki piec kaflowy uśmiechał się do mnie gładkimi płytami i zdawał się jako dobry i stary znajomy przypominać mi rozmaite swawole, których sam nie tylko bywał widzem, ale często i teatrem, kiedy chciałem się wdrapać na szczyt jego za pomocą stawiania jednych krzeseł na drugie, a czyniłem to dla zbadania wysokich tajemnic, zamkniętych między czterema gzymsami kaflowemi, zdobiącemi wierzch pieca. Znalazłem na swoich miejscach wszystkie dawniejsze meble: niziutką sofkę, na której siadając, dostawałem nogami do ziemi; krzeselka obite niebieskim z liliowemi kwiatami adamaszkiem; na komodzie stał zegar hebanowy z alabastrowemi słupkami, jako dawny zabytek zajmujący miejsce nie z potrzeby, bo już oddawna nie chodził, a tylko z łaski; naprzeciw niego wisiał zegar ścienny z glinianą twarzą, skromny ale wierny urzędnik czasu. Ujrzałem nareszcie za komodą naprzeciw łóżka matczynego łóżeczko małe z wysokimi brzegami, z zasuwaną drabinką z przodu, aby śpiący malec we śnie niespokojnym nie wypadł na ziemię. Było to przecież moje łóżeczko; tutaj zasypiałem pod okiem matki przy blasku lampy stojącej obok jej łóżka. Matka dość długo zawsze czytywała z wieczora, leżąc już w łóżku; ja tymczasem

zasypiałem. Ciemności bałem się, i bez matki i bez téj lampy nie mógłbym był zasnąć prędko i spokojnie.

Podziwiam teraz pamięć moją, która po latach siedemnastu potrafiła odtworzyć do najdrobniejszych szczegółów obraz pokoju matki. Siła złudzenia była zbyt wielką, bym nie miał zapomnieć o niej; rozglądałem się po dawnym pokoju, straciwszy pamięć o chwili obecnej, żyjąc w jakimś nieokreślonym czasie. Być może, żebym zadrzemał tak siedząc pochylony, ale krawędź łóżka zaczęła mnie gnieść dotkliwie pod kolanami, ruszyłem się, podniosłem i kiedy rzuciłem okiem na pokój zdumienie moje i przerażenie było niesłychane. Zdało mi się, że wszystkie sprzęty, meble, cała dekoracja dawnego pokoju, tak starannie w wyobraźni mojej ustawiona w jakimś nieładzie zapada się w ziemię; zdało mi się, że mała sofka, moje łóżeczko w ciemnym i bystrym pędzie łódki do drzwi uciekają i nikną. Nagie, poplamione ściany patrzyły na mnie wzrokiem oszusta, który nie chce się przyznać do tylko co zdjętej maski. Zrobiło mi się niewymownie ciężko, straszno nawet, otworzyłem drzwi do ogrodu, i wyszedłem na świeże powietrze.

Noc była wietrzna, ale księżycowa i jasna, czasami wiatr wypędzał stado białych obłoków, które zakrywały niepełną jeszcze twarz księżyca i nocy niespodzianie blasku ujmowały. Drzewa pożółkłym liściem pokryte, były jak klawisze, po których wiatr uganiając z miejsca na miejsce przygrywał kolejno, i wydawały szum ostry, surowy pewną grozą przejmujący. Między drzewami na trawie jeszcze zielonej wznosiły się jak namioty duchów, jak widma, białe szkielety konopi w wiązkach ustawiane do suszenia na wietrze i słońcu. Obiane światłem księżyca jaśniały czarodziejską białością na ciemnozielonem tle murawy.

Ten widok przywołał mi również wspomnienia wrażeń z dzieciństwa; wspomnienia te jednak nie miały już w sobie nic przykrego. I owszem czarodziejska sfera w jakiej się znalazłem, przejmowała mię pewną niewytłomaczoną rokoszą, w której skład wchodził nawet zwykły strach dziecinny. Kiedy nagle chowało się światło księżyca, zanurzając ogród w gęstym mroku, a drzewa przez chwilę drżemiące, zrywały się do groźnego szumu; czułem jak przyjemny dreszcz strachu przebiega mi po ciele; a kiedy swawolny reżyser téj dekoracyi wiatr, spędził obłok zksię-

życa; i wpadała nagle do ogrodu struga srebrnego światła, rozwidniając ciemne przestrzenie i bieląc widma konopiane, niespodzianka czyniła wrażenie, które tylko czarodziejskiem nazwać mogę.

Ta strona wspomnień, którąbym nazwał stroną fantazyi dziecienną, była mi, powtarzam, nadzwyczaj przyjemną. Pomiedzy kilkoletniem dzieckiem, a dwudziesto ośmio letnim człowiekiem nie było tej przepaści, jaką dostrzegałem przy wszelkich innych wspomnieniach. Wszystko się we mnie i dokoła mnie zmieniło, przerodziło, wypaczyło lub zaginęło, tylko natura niezmienną została, i urok jaki wywiera jednakowo na dziecko i na człowieka. W tym uroku, w tym stosunku religijnym do natury znalazłem w sobie kilkoletniego chłopca i było mi dobrze. Wiatr zimny powiał silniej, uczułem zimno, powróciłem do pokoju i położyłem, się spać.

Kiedy nazajutrz otwarłem oczy ze snu głębokiego słońce rzuciło mi do pokoju pełne garście światła. Łukasz stał nademną i zachęcał mię do wstawania, gospodarz zaglądał przezedrzwi, chcąc się dowiedzieć, czy wstałem. Wstałem zaraz rad i rzezwy; niewiem, czemu mam przypisać, czy słońcu, czy memu dobremu humorowi, że Łukasz, który nie nie wziął z Apollina, wydał mi się piękniejszym niż zwykle, a mój gospodarz nie tak ograniczonym jak wczoraj. Zaraz po kawie zabraliśmy się do oglądania inwentarza; z prawdziwem zadowoleniem oglądałem oborę, stodoły, spichlerze, które miały czasowo przynajmniej należeć do mnie. Wszystko to dość opuszczone, bydła i koni folwarcznych było bardzo mało, ale wyznaję, że mię to już mało obchodziło, ponieważ bądź co bądź postanowiłem wziąć Rohatycze w dzierzawę. Sam po obiedzie mimo zaprosin gospodarza, abym został jeszcze do dnia następnego, mimo obietnicy, że będziemy grali z któryms z sąsiadów w wista, wybrałem się w drogę do domu. Łukasz przez całą drogę bawił mię spostrzeżeniami i radami swemi.

Droga z powrotem była mi uciążliwszą niż droga z domu, bo musiałem nocować w jakiejś nędznej karczynie, za to tem miłszy wydał mi się powrót do miasta.

Zastałem już Helę i jej rodziców na nowem ich mieszkaniu w mieście. Była to czysta i niewielka izdebka na przedmieściu najęta na dni kilka, to jest do wyjazdu Jędrzejostwa na wieś. Poszedłem tam zaraz po przyjeździe,

ażebym porozumieć się z Jędrzejem, którego potrzeba było natychmiast wysłać do Rohatycz. Jędrzeja nie zastałem, tylko Antoninę i Helę. Hela siedziała na wysokim kufrze z założonemi na kolanach rękami, smutna i zamyślona. Ujrawszy mnie wchodzącego, zsunęła się bystro z kufra i powitała pochyleniem głowy z pewnem trwożnem uszanowaniem, jakiego przedtem nie dostrzegałem w powitaniach Heli. Nie mogłem tego z początku zrozumieć, a zajęło mnie to niemało. Domyśliłem się potem, że to moje nowe stanowisko pana było przyczyną tego oniesmielenia Heli.

— Cóż, Helu, zapytałem, jakże ci się miasto podoba, czy chciałabyś tu mieszkać?

Dziewczyna patrzyła na mnie z pewnym zakłopotaniem, i nie mogła zebrać się na odpowiedź. Z jej oczu wyglądała tęsknota za wsią, lasem i powietrzem.

— Żal ci lasu, prawda?

Dziewczyna się uśmiechnęła — To prawda, że mi żal lasu, tu w mieście tak straszno.

— Widzisz, Helu, to dlatego, żeś się nie oswoiła. Tak samo tym ludziom, co całe życie w mieście przeżyli, straszno jest kiedy się ockną w lesie. Ale w mieście można się uczyć, a na wsi trudno.

Na wzmiankę o nauce Hela spojrzała mi pilnie w oczy.

— Czy chciałabyś zostać w mieście, żeby się uczyć? spytałem dalej. Przez rok, przez parę lat można się wiele nauczyć, i być wielką pomocą rodzicom. A umiając czytać i rozumieć, można się wielu rzeczy ciekawych dowiedzieć; inaczej się wtedy żyje, kiedy się wie więcej, i ludzie inaczej patrzą na tego, który coś umie.

Z wyteżoną uwagą słuchała mię Hela, i rzuciwszy tęsknem okiem na matkę, powiedziała głosem, w którym znać było łamanie się uczuć:

— O jaby mi się tak chciało uczyć...

— Gdybym ją miała pod czyją zostawić opieką, powiedziała Antonina, tobym ją pewno zostawiła w mieście, żeby się choć trochę poduczyła. Sama nie wiem, to prawda, ale nie jestem ja taka, jak inne matki, co to mówią: niech jajo nie będzie mędrsze od kury. Niech jajo będzie mądre, to i kurze się ta mądrość przyda. Dziewczynie smutnobym było zostać samą, bo jeszcze to nigdy

rodziców nie opuszczało, aleby potęskniła trochę i oswoiła się. A oswoić się trzeba, bo przecież itak całe życie z rodzicami nie usiedzi.

Rad byłem ze słów Antoniny; była to woda na mój młyn. Znacie doktora Zarewskiego, powiedziałem. Żona mu młodo umarła, zostawiając troje małych dzieci. Ma on nauczycielkę, która uczy starszą dziewczynkę i chłopaka, ale potrzeba mu jeszcze do dzieci dziewczyny, któraby ich pilnowała, przestrzegająca, czasem bawiła się z niemi. Mówił mi, że radby wziąć Helę i że Hela mogłaby się uczyć przy swoim zajęciu, u tej nauczycielki, która jest bardzo dobrą panną, i umie dobrze uczyć. Niemiałaby tam Hela żadnej zapłaty za swoje zajęcie prócz nauki, pokarmu i odzieży. Jeżeli się zgodzicie, jeśli Hela przystanie, to rzecz się prędko zrobi.

Antonina obsypała mię w odpowiedź mnóstwem dziękczynnych wyrazów; Heli świeciły się oczy z zaciekawienia i zajęcia.

— Cóż Helu, zostaniesz w mieście, spytałem.

— Zostanę, powiedziała stanowczym, choć drżącym głosem.

Potrzeba było jeszcze zyskać ojca zezwolenie. Nadszedł on wkrótce i rozpoczął powitanie swoje od dziękczynnych wynurzeń, dopiero teraz bowiem podczas mej niebytności dowiedział się o całej roli, jaką odegrałem w awanturze z Chocimskim. Było mi tych dziękczyniń już strasznie dużo, ale musiałem je znosić cierpliwie, nie chcąc zrażać zacnego Jędrzeja, który mniemał, że muszę je zabrać sobie, jako swoją należytość. Miałem nadzieję, że uzyskam za to większą powolność jego na moją propozycję względem Heli. Gdy mu Antonina całą rzecz opowiedziała, zawahał się z odpowiedzią, widocznie nie przygotowany na to, co usłyszał i chciał już postanowienie na później odłożyć. Kiedy mu jednak o ile można najspokojniej przedstawiłem korzyści, jakie stąd wynikną dla Heli, zgodził się zaraz.

Dopiąłem więc swego. Hela miała zostać w mieście i uczyć się. Jędrzej tego samego dnia jeszcze odjechał do Rohatycz, a Antonina miała za parę tygodni pojechać za nim.

Nazajutrz odwiedziłem Karola; zastałem go już zupełnie zdrowego, już nawet ręki nie nosił na temblaku. Rozpytywał się szczegółowo co porabiam, co zamysłam; opowiedziałem mu wszystko, co sam wiedziałem. Wysłuchawszy mnie, zamyslił się, a po chwili powiedział:

— Ha, jeśli zechcesz, Danielu, możesz być bardzo szczęśliwy.

Rozumiałem, do czego zmierzał, ale nie miałem śmiałości przyznać się, że rozumiem.

— Gdybym mógł serce gdzieindziej umieścić, powiedział mi Karol z pewnem namaszczeniem, kładłbym je u stóp najpokorniejszej i najcichszej.

Z kolei ja pytałem Karola o szczegóły obecnego życia.

— Pracuję w biurze jak dawniej, od pięciu do sześciu godzin dziennie. Ale to mi nie wystarcza. Potrzeba mi wiele pracy, żebym nie miał czasu na odpoczynek i refleksje, potrzeba mi przytem innej pracy, niż ta urzędowa, płatna, obowiązkowa. Noszę się z różnemi myślami; chciałbym wydawać bibliotekę naukową dla ludu, ale na to potrzeba sił zbiorowych, sam nie wystarczę. Chciałbym więc wydać przynajmniej parę dziełek najniezbędniejszych dla oświaty ludowej. Wiem, że to będą rzeczy dalekie od doskonałości, ale powiedz, czy mogę lepiej użyć zbywającego czasu?

Spostrzegłem, że Karol nieprzestawał być Don-Kiszotem, tylko się zwrócił na inne tory, ale czując, że od niedawna i sam nie byłem wolny od pewnej Donkiszoterji, nie miałem śmiałości obnażyć Karola ze złudzeń jego. Powiedziałem mu jednak:

— Obawiam się, żeby cię nowe zawody nie spotkały, żeby dziełka twoje, owoc myśli twój, pracy i poświęceń, nie stały się balastem księgarskim dla braku czytelników ludowych.

— Nie, Danielu, zawód spotkać mię nie może, bo praca moja bez wszelkich pretensyj do natychmiastowego powodzenia i rozgłosu. Jest to potrzeba sumienia i serca. Potrzebuję czuć, że jestem komuś pożyteczny. Niechaj wpłynie ta praca moja na oświatę choćby dziesięciu tylko ludzi, już będę zadowolony.

Opowiedziałem Karolowi sprawę, w jakiej wysłała mię do niego Amelja. Nie chciał przystać na zwrot

podarków. Niech je rozda ubogim, powiedział w końcu, jeśli nie chce zatrzymać.

Potrzeba było tę odpowiedź zanieść Amelii. Poszedłem do niej nazajutrz o parę godzin wcześniej niż zwykle, aby się wcześniej przed herbatą wynieść. W saloniku zaciemnionym kwiatami dobry już zmrok panował. Amelia siedziała wygodnie w długim krześle; ujrawszy mię wehodzącego nie powstała z krzesła, ale wyciągnęła ku mnie rękę, jak się robi bardzo dobremu znajomemu, albo komus, na kogo się czeka. Przestraszyłem się tego zmroku i téj wyciągniętej ręki, zdało mi się, że przyszedł na umówioną schadzke. Przecież cofnąć się nie można było; postąpiłem ku pani Amelii i uścisnąłem jéj rękę.

— Niech pan tu siada koło mnie, rzekła, wskazując mi fotel obok stojący. Więc naprzód interes. Cóż Karol?

Powtórzyłem odpowiedź Karola.

— Więc niechże ubodzy przynajmniej skorzystają z zerwania węzłów małżeńskich. Panie Danielu, czy pan mię uważasz za żonę Karola?

Nie rozumiałem pytania ani trochę. — Wybacz pani, rzekłem, że nie umiem odpowiadać na pytania, których nie a nie nie rozumiem.

— Cóż jest zrozumialszego? Czy pan sądzi, że i dziś po uroczystém rozstaniu się z Karolem nie przestałam należeć do niego, mówiąc urzędowym językiem panującej połowy rodzaju ludzkiego? że i dziś jeszcze mam jakie obowiązki do dopełnienia względem męża? czy też, że jestem zupełnie wolną, jak ptak. Chcę wiedzieć sąd pański o tém. Właśnie rozmyślałam nad tém przed przyjściem pana.

— Czyż jestem właściwym sędzią? zapytałem.

— Cóż to pana obchodzić może? Proszą pana, abyś powiedział swoje tak lub nie, dekretu pańskiego nie rozlepiają po ulicach.

— Nie — powiedziałem uroczyście.

— To jest, że...

— To jest, że skoro pani przestajesz należeć do Karola, więc pani nie należysz do niego. Zdaje się, że styl mój jest urzędowo-jasny.

— O pan jesteś strasznie urzędowy. Pan jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, panie Danielu. Mówisz pan inaczej, robisz pan inaczej; raz pan jesteś takim, znowu innym, a zawsze niejasnym. Zdaje się, że pan jesteś czło-

wiekim bez chęci, ale pewniej jeczce człowiekiem bez uczuć. Że też tacy ludzie mogą chodzić po świecie.

Był to mój portret weale niepochlebny, choć nie pozbawiony pewnego podobieństwa.

— Czy mam za to podziękować, czy obrazić się?

— I jedno i drugie byłoby zbyt cieżnym. Chciałabym pana zrozumieć, a często nie mogę. — Pańska przeszłość musi zawierać w sobie klucz do téj zagadki, jaką pan dzisiaj jesteś; wdzierać się do téj przeszłości nie mam prawa, przecież ciekawość moja nie może pana obrażać.

— Moja przeszłość, powiedziałem, jest bardzo nieciekawa, zaręczam pani. Zacząłem wczesnie żyć i w przeciągu kilku lat przebiegłem skalę wrażeń, której inni przez całe życie nie przechodzą. — Łuska złudzeń ścierała się szybko z oczu moich i w dwudziestym czwartym roku dobiegłem już był do mety, po za którą dalej się nie idzie. Tam stanąwszy oglądałem się po za siebie i ujrzałem odwrotną stronę dekoracji. Płóciemne morza, gmachy z kartonu i słońce olejem nalane przedstawiło mi się tam w swojej prawdziwej postaci. Miałem rozrywkę patrząc na innych, jak wlokąc się po drodze, którą ja szybko przebiegłem, składali ręce z podziwu na widok tych cudów dekoracyjnych.

— Więc panu już nie się na świecie nie podoba?

— Gdyby tak było, jużbym umarł, a przecież żyję. Mam więc swoje przyjemności, swój sposób zadowolenia, niezdolny jestem tylko do zachwytyw.

— Pan nie byłeś dotąd kochany, rzekła mi z tonem wielkiego przeświadczenia, zwracając ku mnie oczy, które przez zmrok świeciły blaskiem fosforycznym, pan nie znalazłeś dotąd istoty, któraby mu całą wolę swoją, jak obrączkę zdjętą z palca złożyła w ręce, a z wolą razem wszystko co wspaniałe serce i pojętna głowa czuć i myśleć mogą. Kochałeś pan, kochano pana, ale jak kochano? Cóż składano w ofierze za pańską wzajemność? niewinność gęsią i czułość ślamazarną.

Słuchałem w podziwieniu słów pani Amelii; zdaje się że zmrok czynił ją zuchwalszą.

— Zkądże pani to może wiedzieć? zapytałem.

— Powiedziałeś pan: niezdolny jestem do zachwytyw; to znaczy, że alboś pan zawiedziony w miłości, albo że pan nie kochałeś kobiety, która potrafi odplacić miłość.

Zuchwałość Amelii podbijała mnie. Milczałem czas jakiś a potem powiedziałem:

— Przypuśćmy, że tak jest; czyż mam się gniewać na siebie? Mamże sobie winę przypisywać? O rzeczach niezależnych odemnie wolę nie myśleć.

— Czasem znów zdaje mi się, powiedziała Amelia tonem dość cierpkim, że pan doprawdy niezdolny jesteś do silniejszej namiętności, — która jedna potrafi ożywić i uszczęśliwić.

— Ja to samo myślę, powiedziałem.

Amelia podniosła się z krzesła, chwyciła za dzwonek i zadzwoniła. Zjawił się lokaj.

— Światła! Zapominacie, że już ciemno?

Za chwilę zjawiły się dwie płonące lampy i napętniwszy światłem salonik, oświetliły twarz pięknej gospodyni. Tkwił na niej wieczny ów jej wyraz znużenia i niezadowolenia. Wkrótce pożegnałem Amelię, i byłem pożegnany przez nią z wykwintną, ale nadzwyczaj chłodną grzecznością. Nie zapraszała mię nadal do siebie, jak to parę razy przedtém czyniła. Byłem rad myśląc, że może się nasz stosunek urwie, choć nie ukrywałem przed sobą, że mię ta kobieta nie przestaje zajmować.

NAPRZÓD.

Romans we dwóch tomach

przez

SPIELHAGENA.

~~~~~  
CZEŚĆ PIÉRWSZA.

ROZDZIAŁ IX.

---

Markiz de Floreville zapowiedział teraz stanowczo swoją wizytę, pan Fischbach, od którego hrabia konie kupił, uważał też za konieczne przedstawić się w zamku; również i baron Neuhoft właściciel dóbr z sąsiedztwa a dawny kolega hrabiego, którego ten ostatni zaraz w pierwszym tygodniu odwiedził, oddał wraz swą młodą żoną rewizytę; przybycie zaś matki hrabiny było dla bardzo widocznych powodów najżywotniejszą kwestyą; i tak ożywiło się jakoś na zamku Roda.

Pan von Ceizel tymczasem choć wcale niechętnie, musiał się na wszelkie ewentualności przygotować i Malortie'go marszałka dworu ciągle i pilnie studyować. Nieszczęśliwy wypadek hrabiego sprawił wprawdzie tylko stłuczenie ramienia, spowodowało to jednak nieznośną febrę, która go skazała na niewychodzenie z domu przez kilka dni; lecz nie on jeden nie tylko wychodził z domu. Po pięknym końcu czerwca zawitały w początku lipca deszcze. W dolinach można było ciągle widzieć brunatne mgły, wysuwające się potem jako białe fantastyczne chmury na wzgórza i okrywające je czasem zupełnie niby gęstym welonem. Bezustanku spadały krople po szpilkach wysokich jodeł, wystawiających swe groźne wierzchołki z pomiędzy gęstych chmur; bezustanku szumiał wiatr w krzakach

i grządkach ogrodu zamkowego i bezustanku obijały się fale wiatru i deszcz o mury zamkowe, które wśród takiej niepogody wyglądały tak staro jak porfirowe skały, na których się w dolinie Rody wznosiły.

Mimo tego wszystkiego nie byłby się odważny kawaler uląkł owych demonów deszczowych, które go skazywały na siedzenie w domu, gdyby samo towarzystwo — jak mówił — nie było opozycyi cofnęło.

Na cóż się jednak zdało, że od dawna zapomniane kule bilardowe znowu się poruszyły? że w obu kominach biblioteki, ustawicznie się paliło, że najpiękniejsze rośliny, wspaniałe kwiaty wniesiono do przyległego jadalni pokoju? Nikt nie przyszedł na bilard, nikt się nie zagrzał w bibliotece, a śliczne róże nie znalazły podziwianjącego je lubownika.

— Przychodzi do rozpaczy! — rzekł pan von Ceizel. — Nie mogłoby być gorzej, gdyby sobie hrabia był obie ręce połamał i gdyby nawet do tego przyszło, żebyśmy jego śmierci każdej chwili spodziewać się mogli. Księżę siedzi u siebie nad starymi aktami, które mu Gleich z archiwów wyciąga i przynosi, a któreby na prawdę temu szperaczowi, radzcy, mógł oddać; ten oczywiście nie miałby w tém nic innego do czynienia, jak tylko udowodnić to, na co zaraz potem przysięgać będzie, że nieprawda. O hrabi nie chcę mówić; onby pewnie wolał sam swoje konie ujeżdżać, niż mnie tę czynność powierzać. Ale pani hrabina! — Wierzę, że udaje melancholię, bo ta teraz w modzie — tak samo, jakby każdą inną modę naśladowała. Ależ u licha doktorze, pan jesteś pożałowania godnym! Wiesz pan, że jabym za te melancholiczne oczy dał moje życie, gdybym go już innéj nie był przyrzekł; chociaż ta inna, mówiąc między nami, w ostatnich czasach szczególnie się nastroja. — Powtarzam panu, że gdybym nie był jednym z tych kawalerów, co to dla téj, której poprzysięgli za wszystko, co chce, umrzeć... powinienym dawno niewdzięczną puścić, skoro mnie opuszcza. Dla kogo? Oczywiście musiałbym pana na pierwszym miejscu postawić, gdyby takiego nieprzyjaciela kobiet jak pan, w podejrzeniu mieć można. Powiedz otwarcie doktorze, czy nie ma w twój piersi serca? Czyś w smoczej krwi kąpany? Co to jest, co pana tak nieczułym robi na czary i ponęty, którym my, tak po wielbiciele kobiet, bez oporu ulegamy? „Wielbiciele kobiet“! Toż Göthego wyrażenie, genialne wyrażenie, którego doniosłość ten tylko zmierzyć może, który właśnie sam jest takim wielbicielem płci pięknej Oskar von Ceizel nie wstydzi się, owszem szczyci się, że jest właśnie takim. Ale pan! Nie byłem tu nawet dwudziestu czterech godzin, a już byłem

w mój pani tak zakochany, żem na serjo myślał, czy nie wypada mi się zamienić w jastrzębia, ażeby mą piękną dzióbem za włosy pochwycić i polecieć z nią ponad piękne pola, jak to paziowie w gminnych pieśniach robią, kiedy się w ich sercu nieszczęśliwa, bezowocna miłość do żon i córek ich lennodawców zapali! Panbyś jednak pozostał martwym i zimnym. Potem znalazłem niżej w dolinie piękny kwiatek polny, który ludzie Elizą Iffler zowią — i tą razą zostałbyś pan takim jak zawsze zimnym. Teraz pokazała się na naszym horyzoncie nowa gwiazda. Ja spoglądam na jej luby połysk bez żadnej nadziei z mój ziemskiej oddali, w posepnej ciszy bezsennych nocy, a pan szczęśliwy, cobyś ją w swej internacjonalnej świątobliwości bezkarnie do boskich istot mógł zbliżyć... pan jesteś po raz trzeci zimnym! To oznacza wielki błąd natury; to znaczy, że się musimy do mego pokoju udać, aby przy miłym ogniu kominka, partyi pikiety, dobrych cygarach i flaszcze burgundera, zabić posepny dzień lipcowy.

Tak mówił młody, wesoły człowiek, który od pierwszej chwili swego pobytu w zamku Roda uczuł do doktora o kilka lat starszego siebie, zezére przywiązanie, a którego posepność coraz bardziej w niego zatopionego przyjaciela, prawdziwą troskę mu sprawiała.— On, co to losy ludzkie zwykł był dość lekko traktować, całkiem serjo nad tém przemyślał, coby mogło być przyczyną tej wielkiej zmiany w usposobieniu. Ale napróżno się tu i owdzie nibyto zdradzał, napróżno i serjo i żartem nastęczał się posepnemu towarzyszowi, napróżno się oświadczał, że jeżeli tylko można, chce podzielić ten jego ciężar który jemu samemu oczywiście za ciężko nieść było. Herman nie był nieczułym na życzliwość poczciwego młodego człowieka. Dziękował mu słowy, które prawdziwie z serca płynęły, serdecznie mu rękę ścisnął, ależ to było wszystko.

A gdy go wtedy ten, co swoje serce miał na końcu języka, za taką zatwardziałość łajał i o ile mógł gniewał się, mówił Herman:

— Niepotrzebnie się pan na mnie gniewasz, mój drogi panie, nie należą ja bowiem do tych ludzi, którym bogowie pozwolili to, co cierpią, innym wyjawić, a do tego jeszcze wtenczas, kiedy przyczyną cierpienia jest ich własna głupota. Nie chcę pana dłużej niepokoić; za kilka tygodni wyjeżdżam, a to przypomina mi, abym mój czas jak najkorzystniej zużył. Tu się przez parę godzin bezemnie obejda, a tam we wsi pod lasem, znowu teraz gorzej; chcę się tam teraz udać. Jeźlibym na herbatę nie przybył, chciój mię pan wymówić.

Herman uściśnął jeszcze raz przyjacielowi rękę, odszedł prędko, siadł w podwórzu zamkowym na konia i pojechał między góry, aby być sam na sam wraz ze swemi myślami.

Ponure góry odpowiadały burzliwej przyrodzie, która w tych dniach tak pośępnie wyglądała. Wdzięczny był Herman tej przyrodzie jak matce, która stroskanego syna, nie zarzucając pytaniami, tuli tylko do łona, aby się na niem spokojnie wypłakał.

Nie pytały się go owe szorskie skały, nie pytały go się ciemne sosny, które swe poważne wierchołki i w tył i naprzód zginały; nie pytała go woda z szumem płynąca rowami koło drogi, nie pytał go wiatr, który wzdychając leśną doliną przebiegał i jego gorące czoło chłodził; ani deszcz, który się długo i powoli sączył, i jego wargi zwilżał; nie pytały go one o jego tajemnicę, bo ją już od dawna znały. i tak też nie potrzebował im tego wyjawiać, eoby sam przed sobą najchętniej zataił, gdyby się zataić dało: że do złego jeszcze gorsze przybyło, że to stracił, co mu było w całym jego życiu jedyną prawdziwą wodzą, co go utrzymywało, a tém złem było to, że stracił szacunek samego siebie.

— Tak — mówił do siebie — szacunek samego siebie, szacunek, którego człowiek dotąd nie straci, jak długo jest w stanie według swego przekonania działać a który natychmiast znika, jak tylko człowiek czuje, że go opuszczają siły działania tak, jak powinien; dla tego cierpi nie to, co cierpieć powinien, co jest wszystkich śmiertelników spuścizną; on cierpi to, co jest spuścizną słabości, która pije chętnie truciznę, dla tego, że słodka.

On dopuścił się tego w pierwszej chwili, kiedy spojrzął na Jadwigę. Wtedy się opił słodkiej trucizny, która go zrobiła głuchym na głos rozsądka. Cóż go wtrąciło w tę niewolę służenia jakiemuś panu? Jego, co to już chłopcem ciężki dług wdzięczności do ostatniego grosza szlachetnie wypłacił, wdzięczności za łaskę królewskiej zależności, której nigdy nie mógł szanować, a która mu się gorzko uczuć dała. W tę niewolę wtrąciło go to, co mu ona niedawno powiedziała, gdy tą samą drogą o lubym zmroku wracali. Mógł sobie to sam sto i tysiąc razy powiedzieć, ale on to musiał z jej ust słyszeć, z ust kobiety, dla której trzy lata żył, dla której jedynie trzy lata oddychał! Nigdy nie miał tej siły, aby jej powiedzieć: dla ciebie to znośnię! Nigdy nie miał siły raz zakończyć tej ofiary.

Tak rozmawiał ze sobą nieszczęśliwy i stanął pod tym samym samotnym bukiem na łące, gdzie ją pierwszy raz ujrzał. Wiatr szumiał między liśmi, krople deszczu spadały na niego; on myślał o czemś straszniejszym niż to wszystko; on myślał o tém, o czem się zaledwie myśleć odważył, czego wiatrowi powierzyć nie chciał.

bo wiatr idąc naprzód, mógłby dalej zanieść to, co mu tak serce ścisnęło, więc spał konia jak wściekły ostrogą i pędził po mokrych łąkach wśród gęstej mgły, jakgdyby za nim było piekło, i jakby go pochłonać chciało.

Pojechał do Hünerfeld, najnędzniejszej z nędznych wiosek w lesie, konia zostawił przy pierwszym domku, w którym się warsztat kowalski i karczma razem mieściły i poszedł do swoich pacjentów, których liczba znowu się zwiększyła. Było tam wiele nędzy, bardzo wiele, tak wiele, że pomoc, jaką on niósł, tyle może pomagała, ile pomoże do osuszenia bagna wylewanie zeń wody dłonią. Tak on myślał, chodząc od jednej do drugiej chatki. W jednej potrzebowano jego pomocy gwałtownie; w drugiej, gdy go nie było, było bez tej pomocy strasznym położenie mieszkańców. Dowiedzieli się wieśniacy, że ich chce opuścić! Nie narzekali, ale dobrze czuli to nowe do dawnego przybywające nieszczęście. Jakaś młoda kobieta zauważyła: wtedy wszyscy pomrzemy. Jakiś znowu starowina dodał: tak, tak, a jak nas i nasz księżę opuści, a ten młody pan z Prus rządzić zacznie, to się tam nikt nie będzie nad biednymi ludźmi litować.

— Ależ nie, mój ojciec — rzekł młody chłopak. — Niedawno, gdym wioził drzewo z lasu, dał mi za to tylko talara, żem mu powiedział, że musi na prawo od bażantarni jechać, jeśli chce spotkać panią, która tam co tylko przed nim konno pojechała. Nie wiem, czym mu dosyć za tego talara powiedział. I chłopak się roześmiał.

Dobroduszny chłopiec pewnie sobie nic nie myślał w swym dobrodusznym śmiechu; ale Hermanowi teraz napowrót wśród mgły przez łąki jadącemu, dźwięczało to w uchu niby śmiech jakiegoś demona, któremu nic zrobić nie mógł, a który zuchwale to na jaw wydobywał, co uczciwy człowiek w najgłębszym tajniku swego serca ukrywał. — Tak, znowu się pokazała ta straszna postać, która go wprzód prześladowała, znowu ją widział to płynącą we falach mgły, to wiszącą u szyi swego parskającego rumaka, to znowu cisnącą go do siebie, wbijającą z szyderczym śmiechem swe szpony w jego serce. Dreżony jeździec zawtórował temu szyderczemu śmiechowi strasznydła.

Bo się też i było z czego śmiać! Przez trzy lata klęczał on z trwożliwą pokorą w sercu przed świętą postacią i nawet rąbka jej szaty nie dotknął, zaledwie się na nią swój wzrok zwrócić odważył, i to tak, aby nim swęj miłości nie zdradzić. Naraz zjawił się śmiałek, wyciągnął swą zuchwałą rękę po ową postać, postać nie mającą dla niego nic świętego, nie; po postać, że tak powiem, którą mógł sprofanować, która była dla niego kobietą jak i inne, zabawką dla



jego zachcianek, łupem tego zwycięzcy świata, który wszystko, co tylko świętém na ziemi, dla siebie zdobywał: potęgę, szacunek, bogactwo, szczęście u kobiet... wszystko to tylko ku sobie garnął, tylko dla siebie! Tak jest, tak było, tak być musiało! Ów obraz senny tego wieczora, w którym ją w jego objęciach widział, był cieniem, który straszna rzeczywistość w jego pełną przeczucia duszę rzuciła! Wszystko się najwidoczniej zgadzało. Nie pokorna wdzięczność za miłość kazała jej zapomnieć różnicy lat, kazała jej miłemu, dobremu, staremu księciu swą rękę podać — nie wdzięczność lecz fałszywa ambicya, gniew wzgardzonej miłości to zrobiły; nieszlachetna zemsta, uczucie tryumfu dostania się na ten wysoki szczybel, na którym ją ktoś inny widział niegodną, z którego ją ktoś straszny zepchnął! Opowiadanie rady dało wyraźny tego dowód; jej niepewność, chwiejność, gdy przyszło do stanowczej chwili; gniew hrabiego, gdy ujrzał swą zdobycz chwilowo sobie porwaną! Chwilowo! Co się odwlekło, to nie uciekło; przecież ją sobie mógł znowu zdobyć w stosownym czasie, czy wcześniej, czy później, a który właśnie teraz nadszedł.

— Wielki Boże, mówił Hermann, i ona to potrafi! ona! Zdradzić najlepszego męża, zdradzić swych przyjaciół, zdradzić swe lepsze przekonanie? Tak, swe przekonanie! albo jeżeli nie, to nie w sercu lecz tylko na ustach była ta jej nienawiść do arystokracji trzymającej rządy w swych rękach, nie dla swych zasług, lecz poprostu dla tego, że sami ludzie chcieli pana, że się sami korzyść chcieli przed tym, który posiadał tyle odwagi i zuchwalstwa, aby im włożyć jarzmo na kark a do ręki wziąć bat. — A jak ona to mówiła o jednakim naszym losie, który ją ze mną jeszcze w dzieciństwie złączył, — przez co całą naszą młodość strawiliśmy na wzdychaniu, dopókiśmy na ciele i duszy wolni krępujących nas łańcuchów nie pozrywali i zamiast zrzuconego jarzma nie wzięli na siebie świętego obowiązku przeciw gwałtowi i tyranii za nasze życie walczyć; niechby ta tyrania i gwałt pokazały nam się jak chęć podbojów, zastępy żołądków, idee kastowości... Te wspomnienia, myśli, uczucia, plany, o których mówiliśmy, któreśmy sobie nawzajem zwierzali, w którychśmy się nawzajem wzmacniali... wszystko to było tylko frazesami, czczą grą wyrazów, dowcipną zabawą wymyśloną na zabicie czasu i... niczém więcj.

I dla kogóż to wszystko; ta zdrada, to upokorzenie się, to odstępstwo, ta cała komedia? Dla jednego człowieka, który bez swych trzydziestu sześciu przodków, bez swego pełnego dźwięku nazwiska nie byłby niczém więcj, jak dobrym podoficerem, mającym dość silny głos, aby na rekrutów krzyczeć, posiadającym silną parę

rąk do karabina. i parę prostych nóg do paradowego marszu! dla człowieka, który z całego świata znał tylko koszary, ujeżdżalnię, a w najlepszym razie pole bitwy, na którym się ze swemi mozolnie wyuczonymi sztukami mógł popisować, dla człowieka, który na tych co w herbie trzech numynów, lub wcale herbu nie mają nie jak na ludzi ale jak na pakuły do przybicia ładunku spogląda; dla tego, co nie ma serca dla biedy i nędzy; dla tego, którego życie jest próżniaczem spędzaniem z dnia na dzień, a występek wspaniałą prerogatywą; dla tego, który każdej kobięcie tak prędko stanie się nieznośnym, jak prędko stał się takim swój młodej, pięknej żonie, której ma tak mało serca, że mu jój nawet to dziecię, które ona teraz pod swem sercem nosi, nie może miłości i szacunku godną zrobić... dla takiego człowieka!... Czyżbym temu uwierzył, gdybym na własne oczy nie widział?

Zatopiony w takich myślach jechał Herman nie uważając gdzie, aż naraz zrobiło się prawie zupełnie ciemno a wierzchołki drzew kołysane wieczornym wiatrem, szumiły nad nim. Najkrótsza droga z lasu do zamku prowadziła przez bażantarnię. Zmęczony rumak znalazłszy otwarte wrota, obrał tę najkrótszą drogę i stanął przed leśniczówką, jakby chciał dla siebie i dla swego jeźdźca znaleźć schronienie przed dészczem, który teraz gwałtownie lunał.

— Proszę, proszę! zawołał stary Prochatitz, którego tentent kopyt do drzwi sprowadził. Na taki czas, to nie warto jeździć; konia zaprowadzę do stajni.

Herman pozwolił się z konia zsadzić; czuł się bardzo osłabionym, wszedł do izby i prawie upadł bezwładnie na stołek.

Tak go zastał Prochatitz powróciwszy ze stajni. Przyniósł ze szafki butelkę i prawie zmusił Hermana do wypicia kieliszka wódki.

— Jeszcze jeden, rzekł, to krzepi ciało i ducha; niech pan doktor mokry surdut zdéjmie, a zanim w kuchni wyschnie, może się pan tym kocem okryje. Żaden mój surdut nie przydałby się na pańskie szerokie plecy.

Herman nie przyjął życzliwości starego; czuł się już zupełnie na siłach a za parę minut miał odjechać. Teraz dopiero obejrzał się w około i zadziwił się nie pomału, spostrzegłszy w pół ciemnej izbie wielką ilość stojących i leżących obrazów.

— To są obrazy pani, rzekł Prochatitz. Kazała mi je schować wtenczas, kiedy to herbaciany domek tak porządkowano. Chciałem je na strychu zamknąć ale właśnie dészcz padał, teraz zaś miałem je do drugiej izby zanieść. Oną się już o to nie troszczy, jakby to były jakie stare graty; a przecież to takie piękne rzeczy; patrz pan panie doktorze!

Stary wziął jeden obraz do ręki i ustawił przy niskiem okienku, przez które bardzo skromne światło wpadało. Herman zobaczył w obrazie siebie samego; było to wielkie studyum jeszcze nie zupełnie skończone, lecz o ile się z tego, co było zrobione, zdawało, z wielką starannością wykonane i dobrze trafione. Nigdy nie słyszał i nie widział, żeby Jadwiga nad czémś inném niż nad peizażami pracowała; była to próba, z którą się przed nim — mimo, że z nim wiele i chętnie o swych studyach mówiła — ukrywała; była to próba, któraby go pierwój była prawdziwie wzruszyła i zachwyciła; teraz bolesne uczucie, które jego serce napełniało, pokazało się w gorzkiem skrzywieniu ust.

— No, no, mówił stary, obracając obrazem, ja sobie myślałem, że to mistrzowskie dzieło. Ale nasza biedna pani teraz już nikomu dogodzić nie może.

I odniósł obraz z widoczném niezadowoleniem.

— Nikomu? rzekł Herman.

— Nikomu, odpowiedział Prochatitz, a nawet i panu, panie doktorze, czegobym wcale nie był przypuścił. Pana uważałem zawsze za jój najlepszego przyjaciela i zawsze sobie mówiłem: on jój zawsze wiernym zostanie choć ją inni opuszczają.

— Inni? zapytał Herman.

— Tak jest, ci inni, co tu są, odrzekł Prochatitz; nikt jój nie pozwoli nawet spokojnie odetchnąć, chociaż im tylko o ile mogła dobrze czyniła, i nikt od niej nigdy złego słowa nie usłyszał. Ludzie są zanadto źli, zanadto. Ale ten Dytrych, ten szubienicznik długo musi czekać, aż mu moją Metę dam za żonę.

— Cóż się stało? zapytał Herman, któremu serce podczas téj dziwnój rozmowy z Prochatitzem niespokojnie bić zaczęło.

— Cóżby się stało, wykrzyknął stary puszczałając gęste kłęby dymu ze swój krótkiej fajeczki. Raz zrobiła to, drugi raz owo, raz powiedziała to, drugi raz znown owo, a ludzie to wszystko przeinaczają, przekręcają jak im się podoba. Tak, tak, panie doktorze, pan tego tak nie usłyszysz; ależ my się żenować nie potrzebujemy, choćbym tysiąc razy powiedział, że tego słyszeć nie chcę, to się to wszystko na nic nie zda. Tak było zawsze; teraz znowu jakąś historiją wynaleźli, a pewnie gorszą niż dawniejsze, i we mnie ją chcą wmówić, we mnie, co przecież sam najlepiej wiem, że to wszystko straszny fałsz.

— Na Boga, cóż takiego? zapytał Herman.

— Ani na Boga, ani na Świętych, ani na nic nie potrzebujesz mię pan zaklinać. Ci ludzie nie słyszą i nie wierzą, jeżeli słyszą, tak jak i ja nie wierzę, co sobie tam w Rotebulu opowiadają,

a com wczoraj kupując proch u Zellera słyszał. Zaraz jakem tylko przyszedł, mówi: to mię cieszy, żeś mię pan przecież raz zaszczycił swoją obecnością; już dawno chciałem od pana całą historią słyszeć. Cóż za historią? pytam go. Przecież pan wiesz o czém myślę, odpowiada mi i podaje mi kieliszek doskonałej kminkówki.

— Opowiadał mi więc jak będąc w lesie, spostrzegłem połamaną pług; myślę sobie, że to znowu rogacza wścieklna napadła, byłbym ja z nim już dawno skończył, gdyby się pani temu nie była zawsze sprzeciwiała; idę więc w krzaki urznąć kilka prętów, patrzę a ten jegomość stoi sobie z drugiej strony Rody, i orze wszystkimi szesnastoma końcami ogromnych rogów po skale. Skąpałeś się, myślę sobie, pewnie to już ostatni raz, i składam się. W tém spostrzegam pana hrabiego z panią idących pod górę, chciałem na nich zawołać, żeby się wrócili, ale już za późno; jelen w jednej chwili był na skale i ztąd pędzi na nich galopem; wprzód nim pomyślałem tak na nich natarł, żem się strzelić obawiał; wreszcie skorzystałem z lepszej chwili.... no i oczywiście skończyłem z nim raz na zawsze.

— I to już wszystko? zapytał Zeller i uśmiechnął się a z nim i żona, która podczas tego z za kasy do nas przyszła. — Cóżby miało być więcej? mówię. — Nic złego, rzecze Zeller; ale coż pan myślisz o jedwabnej sukni, którą hrabia Mecie darował? Mojej Mecie? zapytałem i oczywiście musiałem przy tém zapytaniu bardzo ciekawie wyglądać, bo Zellerowa w jednej chwili przybiega i mówi, że to nic dziwnego, że hrabia Mecie suknią sprawił, kiedy ja mu życie uratowałem; i że mi pan hrabia pewnie jeszcze raz ten zaszczyt wyświadczy jak Findelmanowi, jeżeli nie osobiście, to przez swego kamerdynera. Na taką gadaninę zmarszczyłem oczywiście brwi i uderzyłem silnie kolbą mego sztućca o ziemię; Zeller zbladł, a ona zaczyna krzyczeć i usprawiedliwiać się, że o Mecie nic złego nie mówiła i że nie wierzyła temu, że hrabia z panią pod ową skałą jakie rendez-vous mieli, żem ja widział, jak się tam ściskali i całowali, żem potem hrabiego chciał zastrzelić, a zamiast jego jelenia trafił, że wreszcie hrabia Mecie suknią a mnie tysiąc talarów dał, aby tylko o tém nic nie mówić. Nakoniec powiada, że to wszystko, co Dytrych wczoraj wieczór w piwiarni pod czerwoną kurą powiedział: „za nic nie byłoby nic, a pan hrabia musi dobrze wiedzieć, dla czego na raz jest taki hojny“ — że to wszystko jest szczeré kłamstwo.

— Ale ja się chcę o tém wszystkiem przekonać, wykrzyknąłem i biegnę zaraz ze sklepu na zamek, gdzie wywołałem Metę i pytam ją o wszystko. Ta oczywiście płacząc powiada, że nie wie o niczém,

jak tylko o tém, że jój hrabia przez swego kamerdynera przysłał materję na suknię, co jój zazdrosny Dytrych za złe wziął i z tego powodu Bóg wie — co przed kimś mógł na nią nawygadywać. Potém idę ja do Dytrycha; coś ty nicponiu nagadał? — Ten filut powiada niby z gniewem, że on nic nie mówił, ale, że to nie na swoim miejscu, że się Filip zawsze z Metą w kurytarzu spotykają i to właśnie wtenczas, kiedy on w stajni siedzi. Ja mu na to powiadam: mój kochany, jeżeli się Meta tobie nie podoba, to tyś się mnie znowu nigdy nie podobał i na tém koniec; ale, że ty moją dziewczynę obgadujesz, to ci tego darować nie mogę. Teraz zaś pójdę do pana hrabiego podziękować mu za ten tysiąc talarów, który mi dał za to, że go nie zastrzelił. Ten urwisz na te słowa zbladł i prosi, żebym go nie robił nieszczęśliwym, że będzie zawsze cicho siedzieć i nikomu słowa nie powie, jak pani w nocy panu hrabiemu kartki posyłać będzie.

— Ja mu na to: kłamiesz, człowieku. Ten się znowu zaklina, że to szczerą prawdą; że zawsze odbierał z własnej ręki Mety kartki i oddawał Filipowi, który je panu hrabiemu zanosił; i że mu tego, co na własne oczy widział, nikt nie zaprzeczy.

Stary przestał mówić, poszedł ku oknu i otworzył je. Przestało trochę padać i pomiędzy drzewami przezierają trochę światła. Prochatitz stał w oknie i puszczał gęste kłęby dymu z swój krótkiej fajeczki. Nagle zgniółł ją w ręce, wyrzucił połamane kawałki za okno i obracając się rzekł z uniesieniem:

— A przecież to wszystko wierutne kłamstwo. Pan myślisz, że nie, panie doktorze?

— A cóżby było, gdyby to było prawdą? zapytał Herman.

— I ja o tém myślał, odrzekł spiesznie stary. Już ja sam siebie nie sto razy pytał: cóżby wtenczas było?... Dla czegoż pani nie może do pana hrabiego napisać listu, a nawet i nie jednego, a jednak.... jednak.... widzisz pan, panie doktorze, że mię to tak trapi, że głowę tracę. Dytrych jest straszny kłamca, jednak tak zuchwale okłamywać ludzi, jeżeli.... jeżeli.... do stu piorunów! Niech się pan hrabia strzeże, żeby się nie znalazł drugi raz w tém położeniu, w jakim był niedawno. Nie zawsze jestem pod ręką, a gdybym nawet był, tobym może już tak dobrze nie trafił.

Stary złapał się obiema rękami za głowę pięknymi czarnymi kędziorami pokrytą i biegł tak po pokoju; nagle stanął obok Hermana i rzekł spokojnym tonem:

— Jednak ja to muszę z mego serca raz zdjąć, a panu chętniej wypowiadam się z tego, niż proboszczowi, którego ja, jako protestanta nigdy za prawdziwie katolickiego księdza uważać nie mo-

gę. Temu wszystkiemu, co Dytrych powiedział wierzę i wierzyłem wprzód, nim on to powiedział. Ona była strasznie zmieszana tego wieczora, nimesz tu pan przyszedł do herbacianego domku. Ależ hrabia codziennie tu bywał i ja musiałem mu zawsze herbaciany domek otwierać; stał on godzinami w tém oknie, z którego widać kawałek drogi do zamku i czerwoną wieżę; a dzień przed tym wypadkiem z jeleniem przyjechał do mnie galopem i zapytał nagle, czy pani do bażantarni nie pojechała. Powiedziałem, że ja jęj nie widział, bom jęj rzeczywiście nie widział. Ten się na mnie tak dziwnie popatrzył, że mi się aż zimno zrobiło, nie powiedział jednak nic, tylko sobie kazał herbaciany domek otworzyć, gdzie potęm poszedł i z jaką godzinę przy oknie stał. To mi się nie podobało, bo — choć to może takiemu prostemu człowiekowi jak ja nie przystoi powiedzieć — ja ją tak kocham, jak moje własne dziecko. Jak się ona śmieje, to się całe moje serce uśmiecha, a jak ją widzę smutną, to mi nawet fajka cały dzień nie smakuje. A w ostatnich czasach, panie doktorze, była tak smutną! Jam sobie jeszcze do tego zawsze mówił, że to pan hrabia przyczyną tego. On mi już i tak wlaźł za skórę, ten prusak, co to w sześćdziesiątym szóstym moje ojczyznę ogniem i mieczem zniszczył, a teraz jeszcze tu przychodzi, żeby mojemu poczciwemu panu tyle boleści sprawiać i.....

Stary urwał, a głos jego ożywił się bardzo, gdy po chwili mówić zaczął:

— I gdym ich wtenczas stojąc ze strzelbą w rękę za krzakami, zobaczył idących sam na sam, w odludném miejscu, tak żywo rozprawiających, zapytałem sam siebie, czyby to było tak wielkim grzechem, gdybym z nim pierwěj skończył, nim większe nieszczęście nastąpi. Ale gdym widział podczas spotkania się z jeleniem, jak ten człowiek ze zwierzem nad ludzkie siły walczył, pomyślałem sobie.... nie, wtenczas nic nie myślałem — lecz zabiłem jelenia, a nie jego.

Stary po tēj spowiedzi westchnął ciężko i mówił dalej spokojniejszym tonem:

— Dzięki Bogu, zdjąłem już z serca ten ciężar; a teraz panie doktorze, możesz mię pan łajać i powiedzieć, że jestem uprzędnym człowiekiem, który w dzień strachy widzi. Ale przyczyną tego samotność i brak zajęcia. Ja prawie nie mam co robić, panie doktorze; nasz pan nie troszczy się o nas zupełnie, a leśniczy nąśladuje pana. Pan hrabia myśli tak samo, ale o to nam nie chodzi, bo on ma w swym małym palcu więćej krwi myśliwskiej niż książę i leśniczy w całym swém ciele. Jak on komendę obejmie, to

nie wiem, jak tam innym będzie, ale nam z zielonymi wyłogami u strzeleckiego ubrania lepij — z pewnością lepij.

Uczciwy Prochatitz chciał znowu złe przez to naprawić, że wynajdywał wszystkie możliwe dobre przymioty w swym nieprzyjacielu. Mówił, że go hrabia już parę razy do siebie ciągnął, ale on się z tego zawsze wywinął; że jednak jutro pójdzie do niego i — jeżeli cała ta historia o tysiącu talarów jest tylko cczą gadaniną — toć przecie należy się człowiekowi, któremu się życie uratowało, pozwolić do słowa przyjsć, choćby to nawet nie był taki pan jak hrabia.

Herman słyszał to wszystko jak we śnie. Odpowiadał nie wiedząc, co mówi; wreszcie znalazł się na drodze do zamku, nie mogąc sobie przypomnieć, w jaki sposób dostał się na siodło.

Nawałnica po krótkim przestanku znowu wybuchła, szumiąca i hucząca w lesie, wierzchołki olbrzymich sosen gięły się w tył i naprzód, a gałęzie skrzypiały i trzeszczały. Koń Hermana stawał parę razy, ale jeździec popędzał go ostroga.

---

## ROZDZIAŁ X.

Już przez kilka dni nie było tak licznego zgromadzenia na zamku, jak na dzisiejszej herbacie, w tak zwanym perskim pokoju. Tylko Hermana brakowało, którego pan von Ceizel usprawiedliwił. Hrabia miał jeszcze rękę na temblaku, zresztą nie było na nim wcale znać tych boleści, jakie przez kilka dni cierpiał. Chodził on teraz z panem von Ceizel wzdłuż sali rozmawiając żywo.

— Jeszczem panu nie podziękował — mówił hrabia — za subjekcyę, jaką panu tresurą ogiera sprawiłem. Cóż pan myślisz o wadachu, po powtórném spróbowaniu go?

— Jest to znakomity koń do szarży, wyrzekł z zapałem von Ceizel.

— No, zauważył hrabia, konia byśmy mieli, brakuje tylko szarży. Ale, ja myślę, nie potrzebujemy na nią długo czekać. Jak pan sądzisz?

— Ja nie wiem; w każdym jednak razie nie będę brać w niej udziału.

— Dla czegoż wzięłeś pan dymisyę? zapytał hrabia.

— Za daleko posunąłem się na rekonesansie pod Königrätzem, odrzekł pan von Ceizel; nie było to wprawdzie wbrew rozkazowi, bo żadnego nie miałem, jednak wbrew zapatrywaniu się pana

pułkownika, który za kilka w tym dniu popełnionych błędów potrzebował jakiegoś kozła ofiarnego, a że ja nie mam ochoty do odgrywania takiej roli....

— Rozumiem, rozumiem, rzekł hrabia. To wszystko da się jednak naprawić; a nawet jeżelibyś sobie pan nie życzył służyć w armii saskiej..... to ja w obec moich stosunków.....

— Darujesz pan hrabia, przerwał Ceizel, ja chciałem powiedzieć, że ostatni raz pod Königgrätzem dobyłem méj szabli.

— Rozumiem, rzekł hrabia, lecz jeżeli teraz dobędziemy szabli, to staniemy w ścieśnionych szeregach i frontem na zachód.

Obaj chodzili kilka chwil w milczeniu po sali. Przy stole mówił książę o jutrzejszém przybyciu markiza. Hrabia znowu zaczął:

— Czyś pan już tego feniksa widział?

— Nie, książę go poznał w jesieni w sześćdziesiątym szóstym, w podróży do Włoch.

— I zdaje się z nim bardzo sympatyzować.

— Jest to prawie pewném.

— Zdarza się często, że takie osobiste sympatyje nabierają pewnego rodzaju politycznego znaczenia.

— Ależ my żyjemy w największym pokoju z Francją, odrzekł von Ceizel, przypomniawszy sobie jak dziwnie żywo rozmawiał z nim książę, wracając wtenczas wieczór z bażantarni, — gdy mu mówił o spodziewaném przybyciu markiza.

— Mylisz się pan, rzekł hrabia donośniejsem niż dotąd głosem; przed sześćdziesiątym szóstym żyliśmy w pokoju, ale od sześćdziesiątego szóstego jesteśmy w wojnie z Francją, choć jeszcze ani jeden strzał nie padł. Jesteśmy jak dwaj gladiatorzy w arenie, bóg nieunikniony, chodzi tylko o to, kto go rozpocznie.

— Słyszac takich zapaleńców jak wy, zdawałoby się, że się już jutro zacznie, rzekł książę siedząc przy stole. Oczywiście, wy musicie najlepiej wiedzieć.....

— Jak W. K. Mość myślisz? rzekł hrabia przychodząc do stołu....

— Boście sami sprawcami téj sytuacji, kończył książę.

— My, sprawcami?

— Oczywiście, przez rok sześćdziesiąty szósty.

— Przyczyną tego położenia nie jest rok sześćdziesiąty szósty, on je tylko wyraźniejsem zrobił, a ja myślę, że to tak w prywatnych jak i politycznych stosunkach szczęściem..... przynajmniej dla odważnego człowieka.

Obaj rozmawiający nie podnieśli głosu, nie rozmawiali zapalczywie, a jednak pan von Ceizel rzucił błagalne wejrzenie na pa-



nie: Stefania zrozumiała go podczas gdy zamyślona Jadwiga nie brała żadnego udziału w rozmowie.

— Zapewnie już pan doktor nie przyjdzie, rzekła Stefania — chcąc nadać rozmowie inny kierunek.

— To mi prawdziwą przykrość sprawia, rzekł hrabia. Cieszyłem się, że mu będę mógł w obecności całego towarzystwa podziękować za troskliwość, jaką mię w tych dniach otaczał. Przytém przypominam sobie, że także i pani podziękować winien.

— Mnie? zapytała Jadwiga nie podnosząc oczów.

— Tak pani, odrzekł hrabia spojrzawszy w około, czy wszyscy słuchają, za wyborną receptę, którąś mi pani była łaskawa właśnie w ten nieszczęsny wieczór przysłać.

— Receptę? zapytał książę.

— W formie biletu, odrzekł hrabia z uśmiechem, w którym spodziewałem się znaleźć piękne podziękowanie za mój bohaterski czyn, a w którym wyczytałem tylko tę radę: bądź pan spokojny i nie żałuj nic lodu! Zimna rada, za którą pani najgorętsze składam podziękowanie, i którą tak wiernie spełniłem, że dziś mogę znowu me miejsce przy herbacie zająć.

Hrabia ukłonił się Jadwidze i usiadł z dziwną swobodą na stołku, co wszystko nadzwyczaj kontrastowało z wszystkimi innymi twarzami towarzystwa. Stefania zaczerwiniła się i schyliła się szybko ku swój ręcznej robocie; również prędko podniosła Jadwiga oczy na hrabiego, potem na księcia, którego znowu jakiś błędny wzrok krążył między hrabią a Jadwigą. Twarz jej była uderzająco bladą — wargi jej drgały. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, aby raz tój dziwnój scenie koniec położyć, gdy podczas tego wszedł lokaj, mrugnął na pana von Ceizla, szepnął mu parę słów, poczem na kawalerze widoczne przerażenie można było spostrzedz.

— Cóż się stało, kochany panie Ceizel? zapytał książę, któremu ta przerwa rozmowy bardzo na rękę była.

— Jeżeli W. K. Moś pozwoli, chciałbym.....

Tu Ceizel zrobił gest, dający księciu do zrozumienia, żeby się więcej w obecności pań nie pytał; książę jednak nie spostrzegł owego gestu i zawołał niecierpliwie:

— Mówże pan! Panie się już niepokoją, a przecież znowu nie ma nic tak strasznego.

— Ja sędzę także, że to zupełnie nic strasznego, rzekł Ceizel opamiętawszy się szybko; bardzo dziwny, ale nic złego nie rokujący wypadek: dowiaduję się właśnie, że koń pana doktora w tój chwili bez niego na dziedziniec przycwałował.

— O mój Boże! wykrzykła Stefania.

— Czyś nigdy nie słyszała, że ktoś z konia spadł? — zapytał hrabia.

— Doktor jest doskonałym jeźdźcem — rzekł książę, w każdym razie trzeba się zakrzętnąć koło tego. — Możebyś pan, panie von Ceizel....

— Właśnie wydałem rozkaz, rzekł kawaler, ale chciałem prosić o pozwolenie udania się samemu za tém.

— Owszem, bardzo dobrze, rzekł książę, udaj się pan zaraz, i zechciej nas pan o wszystkim jak najprędzej zawiadomić.

Kawaler chciał już wyjść z pokoju gdy nagle uczuł, że go ktoś za rękę chwycił; odwróciwszy się spostrzegł z największym zdziwieniem, a nawet przestachem Jadwigę, która jeszcze przed chwilą przy stole siedziała. Była biała jak trup a pan von Ceizel zaledwie jój głos mógł poznać, kiedy z jój drżących warg całkiem głośno lecz martwe wybiegły słowa:

— On nie żyje, powiedz pan!

— Ja nie wiem, ale mnie się zdaje że nie, odrzekł kawaler.

— On nie żyje! powtórzyła Jadwiga, ja....

— Na Boga, Jadwigo, cóż to jest? — zawołał książę, wziawszy ją za rękę, która jak martwa opadła. Panie von Ceizel — idź pan, idź! Nas to wszystkich tak dotknęło, choć może wypadek ten cały nie jest tak straszny.

Jadwiga patrzyła na niego błędnym wzrokiem; lecz zanim eós odpowiedzieć mogła, otwarły się drzwi i wszedł drugi lokaj.

— Czy go znalezione? zapytał książę.

— Tak jest W. K. Mość; znaleźli go na brzegu lasu wieśniacy idący do Hühnerfeld; wrócili więc zaraz, wzięli z piwiarni pod „Pstrągami“ nosze, i właśnie go przynieśli.

— I cóż? zapytał książę, który teraz strasznie zbladł.

— Był bez śladu życia, rzekł lokaj, ale doktor Strupp...

— To dawny doktor z Rotebul — rzekł książę, zwracając się do dam.

— Był właśnie w piwiarni pod „Pstrągami“, kiedy tam wieśniacy przyszli i udał się zaraz z nimi. — Powiedział, że to tylko omdlenie i nic więcej.

— Dla zaspokojenia pań, pójdę sam na miejsce, rzekł książę. Chcesz się pan ze mną udać, panie von Ceizel?

— Dobrzeby było, gdybyś się oddaliła, kochano Stefanio — rzekł hrabia gdy książę i Ceizel wyszli. Przed chwilą byłaś tak przestraszona, a teraz widzę, żeś trochę słaba. Tajny radca będzie ci co dzień bardziej potrzebniejszy,

To powiedziawszy hrabia, podał swój żonie rękę.

— Tak mi przykro, kochana Jadwigo, rzekła Stefania, która by teraz chętnie została — ale się nie odważyła odmówić życzeniu męża.

Jadwiga nie tylko nic nie odpowiedziała, ale się nawet nie ruszyła. Zdawało się, że nie słyszała hrabiego usprawiedliwiającego kilku słowy Stefanią, wyprowadzając ją do salonu.

Więc go aż do tego przyprowadziła! Jego błędny wzrok, jego posępny uśmiech mówiły: czy nie widzisz, że mi życie wydzierasz wypędzając mię ztąd? Nie chciała tego rozumieć — teraz przyszła rzeczywistość. Poszedł — bez pożegnania — na zawsze.

Błędnie patrzyła po sali, na piękne tapety, błyszczące kandelabry, filizanki i czajniki, na w nieładzie porozsuwane fotele; w tej bogato ozdobionej sali stała ona jedna sama. Wszyscy jak tu byli poszli, aby mu swoje współczucie okazać. A ona, dla której umarł, nie mogła się ruszyć, nie mogła jednym gestem zdradzić tego, co się w jej sercu działo, musiała zostać, cierpliwie czekać, — aż oni wrócą. . . . . o hańbo, o hańbo!

Zrobiła kilka szybkich kroków ku drzwiom i znowu stanęła.

Czy z jego ran znowu krew nie popłynie, czy jego martwe, jak trup wargi nie przemówią do mnie tą straszną mową, którą ja tylko rozumiem; odważyłaś się przyjść do mnie ty, coś mi się tak długo kochać pozwoliła, ty, co mi teraz spokojnie pozwalasz umrzeć abyś innego kochać mogła! — Jak ty możesz powiedzieć, że ja go kocham? Kto to śmie powiedzieć? O Boże, mój Boże!

Znekana upadła na krzesło spierając głowę na poręczy.

— Ale cóż to jest? zapytał hrabia.

Niespostrzeżony od Jadwigi wszedł do pokoju — i stał teraz przed nią.

— Nie pojmuję — mówił hrabia, jak może tak małej wagi przypadek całe towarzystwo tak bardzo zaniepokoić. Sam nie raz spadłem z konia i byłem jak bez życia. — Właśnie wracam od naszego pacjenta i jestem tego samego zdania — co i dawny doktor z Rotebul — choć się to zdaje bardzo głupi człowiek — że nasz doktor będzie w kilku dniach tak zdrów, jak ktokolwiek z nas. To samo mówiłem księciu; ale on nie wierzy, albo nie chce wierzyć. Mówiłem Stefanii, ta sama historia. Pani zdaje mi się masz nie tak zanadto delikatny organizm jak ci wszyscy.

Hrabia mówił to najspokojniejszym tonem. Nie chciał on po sobie pokazać, że zachowaniem się Stefanii był wzruszony; podczas tego wszystkiego wrzała w nim zazdrosna namiętność do Jadwigi. Zeby przyczyną wzruszenia, w jakim zastał Jadwigę, miał

być doktor, ani mu przez myśl nie przeszło, usiadł więc obok niej i zaczął cichym, poufnym tonem mówić:

— Zechcesz pani już naprzód wybaczyć moją niedyskretność. Nie chciałem się szczyścić łaską, jaką u pani znalazłem, nie było też to rzeczywiście żadnym szczyceniem się, lecz tylko obroną dla pani. Zdaje się, że to już ludzie na języku mieli, w każdym razie Stefania wie — od swej pokojówki, a ta od mego kamerdynera — że pani do mnie pisała. Rozumię się, że Stefania nie zapomni skorzystać z tak pięknego motywu do jakiejś wzruszającej sceny, — a przy jej braku wychowania można się spodziewać, że się niejeden o tém dowie, lub już dowiedział; matka z pewnością, a może i książe. Oczywiście zależało mi na tém, aby gadanie kres położyć. Jeżeli niestósowny środek obrał — a prawie muszę przypuścić, że ten był zły — to proszę, powiedz mi pani otwarcie, od pani chcę być chętnie zganionym.

Hrabia oczekiwał napróżno odpowiedzi.

— Czyż pani nie masz dla mnie jednego słowa? zapytał cicho lecz z pewnym wyrazem natarczywości.

— Przepraszam pana, nie słyszałam, coś pan mówił, rzekła Jadwiga podniosłszy nagle głowę i zaczęła chodzić po sali.

Hrabia zaciął usta. Czyż Jadwiga była tak zgniewana, że go słyszeć nie chciała; czy była tak bardzo wzruszoną, że go słyszeć nie mogła, i czy to wzruszenie miał na swą korzyść tłumaczyć? — Byłby je sobie też i tak wytłumaczył, ale podczas gdy jego wzrok spoczywał na wysmukłej kibiści Jadwigi, gdy ta jakby na nie uważając po sali się przechadzała, pomyślał sobie: „Jeden fałszywy krok, jeden nienależyty ton głosu — a cała gra na zawsze stracona“.

— Nie będę tego powtarzać — powiedział, raczej podziękuję pani za te kilka drogocennych wierszy — teraz już mogę otwarcie powiedzieć — którymi zdjęć mi pani wielki ciężar z serca. Ale pani znowu nie słyszy.

— Ale słyszę, odrzekła Jadwiga, zdjęłam panu ciężar z serca. Był bardzo ciężki!

— Nie pojmuję pani, rzekł hrabia — nie pojmuję pani sztyderstwa, goryczy, teraz właśnie, kiedyś mi pani sama podała rękę na znak przebaczenia; kiedyś z tej ręki wyczytał, że przeszłość powinna przejść, żeśmy nadal powinni żyć jak ludzie — którzy się pogodzili.

— Nie powinnam tego była pisać, rzekła Jadwiga.

— Bo to dało piękny temat tym, co to lubią obmawiać?

— Cóż mnie to obchodzi!

— Dla czegoż nie?

— Bo to jest niemożliwością; wy nam nigdy słowa nie do-  
trzymacie; zawsze się wam egoistom zdaje, że jesteście naszymi  
hołdownikami, choćbyście tysiąc razy powtarzali, żeśmy ze sobą na  
zawsze skończyli; do waszych celów nie wybieracie drogi, idziecie  
bez litości pierwszą lepszą — choćby ta przez nasze serce pro-  
wadziła.....

Mówiąc to chodziła tam i nazad po sali, ogon jój sukni szele-  
ściła, a świece w kandelabrach oświecały jój smukłą postać; głos jój  
falował, raz wrzał prawie namiętnością, to znów zaledwie go można  
było słyszeć. Hrabia siedział jak jaki potępieniec we fotelu, uważał  
na każdy jój ruch i uczuł, że tu jakaś nieograniczona, wszechwła-  
dna panowała siła, której skępować on nie mógł. Pytał on sam  
siebie, czy na kochanie istoty, która w każdej chwili mogła się dla  
niego stać niepojętą i która się już nawet taką stała, nie było  
szkoda czasu a może i..... zachodów.

— Jeżeli pani chcesz, abym ją rozumiał, przestań pani roz-  
mawiać ze mną zagadkami, rzekł.

— Nie żądam panie hrabio, abys mię pan lub ktoś inny z was  
rozumiał.

— Z was? lub ktoś inny z was? Takie słowa są za szorstkie  
dla arystokraty, jak mię nazywają; to znaczy stawiać mię bez względu  
na równi z innymi.

— A na czémże polega ta różnica pana od innych? zapytała  
Jadwiga stając i patrząc założywszy ręce, na piersi, swemi wielkimi,  
ciemnymi, pełnymi namiętności oczyma na hrabiego. Chcecie być  
zawsze bogami, dla których my mamy być ofiarą — której wy dla  
nas nigdy i pod żadnym warunkiem zrobić nie chcecie. Chcę panu  
jednak oddać słusność: jesteś pan uczciwszym niż inni, pańskie  
samolubstwo nie zaszło nigdy tak daleko, żebyś się pan za świętego  
uważał, nigdyś pan tego nie twierdził, żeś pan niezdolny do ofiary  
nigdyś pan wobec nas inaczej nie postępował, jak tylko tak jak wobec  
samego siebie, w całym swém życiu ze swém hasłem: „Naprzód!“  
„Naprzód!“ było pańskim hasłem od czasu wojny duńskiej, a jest  
niem i teraz. — Naprzód! czy przedmiotem naszego podboju  
baterya ogniem miotająca, czy jakie socyalne stanowisko, czy pię-  
kna kobieta..... naprzód! My nie znamy ni pardonu, ni żadnych  
koncesyj, serce, którego zgiąć nie możemy, złamiemy. — Żeś pan  
mego nie złamał, to nie w panu wina; we mnie leży powód, bo  
we mnie jest to, coby i inni wasi przeciwnicy w sobie mieć powinni,  
gdybyście ich waszém „Naprzód“ zwyciężyć nie mogli, a co jednak  
możecie i wykonujecie.

— A tém czémś jest?... zapytał hrabia.

— Miłość wolności, silna wola nie pozwolenia na ukorzenie siebie samego przed nikim; tak jest przed nikim. To coś pan mówić mi: nigdy tam nie zchylaj czoła, gdzie ci nie każe własne przekonanie; prowadź życie takie, jak je sama pojmujesz; idź raz wytkniętą drogą, nie daj się z niej sprowadzić, żednemi pochlebstwy, żadnemi groźby, choćby ona prowadziła nie wiedzieć gdzie — choćby nawet.....

— W me objęcia! wykrzyknął hrabia, skoczywszy naprzeciw Jadwigi, która się ani kroku nie cofnęła lecz spojrzała tylko na jego rozpalone oblicze surowym wzrokiem i rzekła spokojnie:

— Złą obrałeś pan sposobność; kto mnie w swych objęciach chce trzymać, musi obie ręce wyciągnąć. Panie hrabio, zapominasz pan, że pańska ręka na temblaku.

— A pani zapominasz, że ją z jój przyczyny tak noszę.

— Zdaje mi się, żeś pan już powiedział, że z nami kwita? Albo może pan chcesz przez to udowodnić, że się wasz rachunek z naszym nigdy nie zgadza. Nie obawiaj się pan, aby mię ta różnica w rachunku niepokoiła. Gdyby tak było, powiedziałabym panu: daj mi pan spokój, wyjeżdżaj pan jak najprędzej. Panie hrabio, ja tego nie mówię; słuchaj pan, ja tego nie mówię. Obawiam się — czy pana nasze długie tète-à-tète nie nudzi. Zdaje się, że ci, co nas opuścili już nie wrócą, nie chcę pana zatrzymywać, jeżeli pan za ich przykładem pójdziesz.

Hrabio zrozumiawszy, że chce, aby ją opuścił — odpowiedział na to ukłonem.

— Dziś wieczór, rzekł, jesteś pani w strasznym humorze.

— Więc się pan obawiaj!

— Nie jest to moim zwyczajem, jak równie i to, aby się sobą bawić pozwolić, jak to pani właśnie teraz robisz.

— Czy to jest małe wet-za-wet? Nie jesteś pan w pokoju swój żony.

— Nie naciągaj pani łuku za bardzo.

— Nie mam nic przeciwko temu, gdyby się złamał.

— Mogłoby to prędziej niż pani sądzisz nastąpić.

— Sądzę, że to tak prędko nie nastąpi.

— Jak pani zagadkami zaczęła tak pani zagadkami kończysz.

— Jest to bardzo dobrze, jeżeli koniec taki jak i początek.

— A jednak to jeszcze nie jest ostatnie słowo pani.

— Jeżeliś pan tego tak pewny, to zgoda, ale na dziś kontentuj się pan tém, cośmy sobie teraz powiedzieli.

— Będę pani posłusznym.

Hrabia uklonił się jeszcze raz i szedł ku drzwiom, w których się z księciem spotkał.

— A, rzekł książę, wy oboje sami? Gdzież hrabina?

— Właśnie teraz na moją prośbę udała się Stefania na spoczynek. Nieszczęśliwy wypadek obszedł ją bardzo; i ja właśnie co tylko wyjść miałem. Doktor się już pewnie ma dobrze?

— Dobrze, mnie się przynajmniej tak zdaje.

— Nie chcę więc księciu dłużej przeszkadzać, rzekł hrabia.

Po wyjściu hrabiego przeszło kilka minut panowało milczenie w perskiej sali. Książę był bardzo wzruszony; straszne podejrzenie, które go przez kilka dni prześladowało, zamieniło się dziś wieczór prawie w pewność. Kiedy hrabia o bilecie Jadwigi wspomniał, przeszło go coś, że już na jakieś ślady wstąpił. Przeczucie mu mówiło, że z biletem stoi coś innego w związku, o czym Stefania wiedziała. Bo i cóżby oznaczało to jej przerażenie. Teraz znalazł ich oboje sam na sam, w takim wzruszeniu, które oczywiście nie mogło być wywołane zwykłą towarzyską rozmową. Książę nalał sobie szklanke wody i zwilżył w niej swe drgające wargi. Gdy chciał szklanke na stole postawić, wysliznęła mu się ta z drżącej ręki i spadając na srebrną tacę rozłukła się w kawałki. Zdawało się, że Jadwiga tego nie słyszy, gdyż się nie ruszyła patrząc wciąż przed siebie.

— Jadwigo! rzekł książę.

Spojrzała. Chciał jej się spytać: kochasz hrabiego? ale gdy się jego oczy z jej oczami spotkały, odeszła go odwaga, rozstrzygające słowo wróciło bojaźliwie do serca i prawie nie wiedząc o tém co mówi, rzekł:

— Zdaje mi się, że cię dzisiejszy wypadek mniej obszedł niż Stefanią.

Jadwiga przesunęła ręką po czole i rzekła:

— Coś mówił?

— Mówiłem, że nieszczęście naszego Horeta, który cię niedgdyś zajmował, rzeczywiście mało cię obchodzi.

— Przecież nie umarł, rzekła Jadwiga.

— Czyż cię dopiero wtenczas ktoś obchodzi, jak umrze? zapytał książę.

Jadwiga znowu przesunęła ręką po czole i powtórzyła:

— Przecież nie umarł.

Wstała i przechadzała się po sali. Czyż teraz zaraz miała koniec wszystkiemu zrobić? Czyż miała powiedzieć: nie dręczcie mię; ty zarozumiałe ze swych sił, ty znowu bez żadnej woli, co się nie możesz zdecydować ani zostać, ani odejść, co nie chcesz ani życia, ani śmierci; i ty starcze co żądasz tego, czego w żaden spo-

sób mieć nie możesz; wszyscy mię dręczycie, a ja tego dłużej nie zniosę. Czyż to miała powiedzieć? Tego, co miało nastąpić nie obawiała się, i nie z bojaźni pierwiej milczała i hrabiego w tę zagadkową gmatwaninę wplątała. Cóż się to z niej zrobiło! Ależ ten starzec; ten blady, prawie siwy człowiek, nie zniósłby tego ciosu, tego ciosu, coby był w jego czułe, szlachetne serce uderzył. On był dla niej tak dobrym, bardzo dobrym.... wtenczas! i żywił nadzieję, że swą przysięgę wiernie wypełni. On i teraz był takim samym, lubym, szlachetnym. Nie, ona mu tego nie mogła wyrządzić, nie powinna tego robić, nie powinna rozrywać tego węzła, dopóki go on sam nie zerwie; powinna milczeć i cierpieć, jak długo on w milczeniu cierpieć będzie, tak jak teraz, jak teraz, kiedy mu boleść jego jeszcze piękne oczy głęboko włacza, kiedy jego białe czoło i twarz zorała głębokimi zmarszczkami.

Biedny człowiek!

Zbliżyła się do niego, nachyliła się i złożyła na jego czole pocałunek. Natychmiast potem wyszła ze sali.

Książę siedział zasłoniwszy oczy ręką jakby chciał sam przed sobą swe łzy zataić. On wiedział, że to tylko litość, litość! On był tak słaby, żeby to znieść, tak biędny, że jój był wdzięczny za tę kropelkę jój miłości, którą go uraczyła, miłości, którą kochała tego, którego on nienawidził, zdrajcę jego domu, podłego najemnika obcego pana, zuchwalca, który swą rękę po jego księstwo wyciągnął, który swą rękę wyciągnął po nią, która mu była droższą niż jego księstwo, niż cały świat!

— W. K. Mość mię wołał, rzekł Gleich, który już chwilkę za księciem stał a teraz udawał, że dopiero co wszedł.

— A, to ty, Jędrzeju, dobrze, żeś przyszedł. Zaprowadź mię do łóżka, jestem trochę słaby; podaj mi ramię.

— W. K. Mość bierze sobie wszystko zaraz do serca, rzekł Gleich do leżącego już w łóżku księcia, trzymając w jednej ręce suknie a w drugiej sznurek od firanki przy łóżku. Ludzie są dla W. K. M. niewdzięczni. Jak widzę, że się W. K. Mość o tego doktora tak troszczy, a on mimo tego chce odejść, to sobie myślę: Jędrzeju, on bez przyczyny nie odchodzi, jego ztąd coś wygania.

— Tyś go nigdy nie lubił, rzekł książę.

— A przecież to dobry człowiek, mruknął Gleich. Dużo łez popłynie jak on ztąd odejdzie. Czy W. K. Mość każe firankę zasłonić?

— Rozkazuję ci, abys to, co ci na sercu cięży powiedział, rzekł książę gwałtownie.



Gleich zmarszczył gęste brwi. Takie *ultimatum* było dla niego trochę zawczesne; sam nie wiedział, którą z dwóch kart, które w ręce trzymał ma zadać. Wiedział on dobrze, co chciał książę słyszeć, a nie było niepodobieństwem, żeby ona tak jak pierwój z doktorem, teraz z hrabią stosunków nie miała. List, o którym mu Dytrych opowiadał, rzucał dość podejrzenia, a gdyby go ten głupiec był otworzył, byłoby coś pewnego, tak zaś nie ma nic. Hrabiego książę nienawidził, to się rozumié. Ale, jeżeli hrabia w tę komedya wejdzie, to rzeczy mogą niebezpieczny obrót wziąć; z doktorem nie było tak niebezpiecznie a ostatecznie z nim był i pewniejszy rezultat.

— Czy usłyszę? rzekł książę.

— Jak skoro W. K. Mość rozkazuje, toć to jest moim obowiązkiem, a ponieważ się już wszystko kończy, to dosyć będzie, jeżeli powiem, żeby lepiej było, gdyby tu więcej nie wrócił.

— Spodziewałem się czego innego, rzekł do siebie książę.

Nie chce o tém mówić, pomyślał Gleich i rzekł:

— Jeżeli się przez trzy lata codzien widuje, jeżeli się przytém jest młodym a wreszcie i....

— O kim ty mówisz, wykrzyknął książę podnosząc się.

— O kimżeby innym jak nie o doktorze Horst, odparł Gleich.

— Głupis, rzekł książę kładąc się na poduszkę.

Gleich zagryzł swe cienkie wargi. Ale już za daleko poszedł i tu nie mógł stanać; a to „głupis“ gniewało to także.

— W. K. Mość myślał, że ja słyszę i widzę wszystko, co się koło mnie dzieje; a jeżeli się to wszystko, co się tu przez trzy lata działo, zbierze...,

Kamerdyner urwał, książę leżał zamyślony i mówił półgłosem:

— Niepodobieństwemby to nie było, a wyświeciłoby mi wiele rzeczy. Biedny człowiek, oczywiście... nie mógłby tu dłużej zostać. Ale dlaczego nie zrobiłeś mię na to pierwój ważnym?

— Nie sądziłem, żeby W. K. Mość te rzeczy tak lekko brał.

— Cóż tu było, żeby inaczej brać? rzekł książę. Tak, tak, biedny komar, spalił sobie skrzydła..... my się temu tak obojętnie przypatrujemy ale to boli, boli!

— Tak, tak, to rozstanie; dla tego też mówiłem, że wiele też popłynie jak on odjedzie.

Książę zapatrzył się na swego powiernika i rzekł:

— Możesz franke zasłonić.

Kamerdyner wypełnił rozkaz i wyszedł po cichu ze sypialni. Ale zaledwie się za nim drzwi zamkły, odsunął książę franke, usiadł

na łóżku i patrzył natężonym wzrokiem na salę, w której nocna lampa blade światło rzucała.

— Tak więc Jędrzej myśli? Tak daleko doszły jego zapatrywania się, których nigdy dobrze nie rozumiałem. No, może to być z jego strony; a nie można także i jej współudziału w tém wszystkim zaprzeczyć. Ale gdzież ten Jędrzej patrzy! Czy jego bystry wzrok nie widzi tego, co i ja i Stefania tak wyraźnie widzimy — że go chce oddalić wprzód nim inny przyjdzie! Może się obawia tego, którego wierność zna, o którym jest przekonana, żeby jej z oka nie spuścił? Jakże się z nim źle obchodzi od tego czasu; wszyscy uważają tę jej obojętność. Tak, tak i on wie o tém; do mnie to mówił w gorączce: nie przerywaj snu świętego! Tak, tak za mocno spałem! Któżby przypuścił, że ten starzec ma w sobie jeszcze tyle ognia! O nieba, ja mam dla nich za wiele ognia!

Książę zadrgał na całym ciecie; zdawało mu się, że w ciemnym kącie sali stała jakaś postać z nożem w ręce. To, co mu się zdawało jakimś straszidłem, był to obraz jego zmarłego ojca w naturalnej wielkości, a zwitek białego papieru, który tenże w ręce trzymał, wzięt za ów nóż widziadła. Światło lampy błysnęło na raz jaśniej, a książę zobaczył rzeczywistość.

— Twoja krew w moich żyłach płynie, mówił książę. Dałeś mi twą postać, twe rysy, jestem cały taki sam jak i ty, tylko, że nieszczęśliwszy. I ta, coś ją tak kochał, moja matka, poświęciła cię dla gorszego człowieka; ale cię przecie choć raz kochała; aleś ją przecie choć raz posiadał, miałeś syna, miałeś swego następcę, któremu tyle wzniosłych planów snudeś, z którym o nich mówić mogłeś. Ale ja! ja muszę żyć tém, czego prawie w rzeczywistości nie ma. Wzniosła idea twego życia pokazała ci się przecie raz tak, żeś ją widział, czuł, choć ona była fałszem; a któż ci to może wziąć za złe, żeś w nią wierzył! Ja zamiast wuja mam tylko siostrzeńca, a nie jego samego nawet, lecz tylko jego reprezentanta, który skrycie tajnami manowcami po zdradziecku ku mnie czołga. Przecie ja pierwój tych Prusaków nie tak bardzo nienawidziłem, jak teraz. Teraz odważyłbym się na to, czegobym pierwój nie był przypuścił.

I znowu zadrgnął książę na całym ciecie.

Podczas tego wybuchła straszna burza. Słychać było grzmoty, a gwałtowny deszcz lał prawie strumieniem po oknach sypialni, w ogrodzie zamkowym szumiało, wierzchołki drzew się zginały, wicher przeraźliwe piszczące tony w wysokich basztach wydawał, a cały zamek się trząsał, jakby przeczuwał, że się już wysłużyły te skały, na których się wznosił, i że już czas, aby runął wtenczas wła-

śnie, kiedy się jego pan z myślą zdradzenia swęj ojczyzny nosił, wtenczas, kiedy go te myśli tak trapiły, prześladowały, kiedy go w żaden sposób opuścić nie chciały, chociaż swą siwą głowę w jedwabne poduszki tłoczył, choć tak gorąco pragnął zasnąć, choćby na parę minut, aby te męczarnie przerwać.

---

## ROZDZIAŁ XI.

Po burzliwéj nocy zajaśniał sliczny poranek. Słońce lipcowe tak przypiekało, że cień wysokich murów zamkowych był prawdziwie pożądaną ochłodą dla przechadzających się po podwórzu. W ogrodach, w których ogrodnicy naprawiali zrządzone w nocy szkody, rozchodziła się cudowna woń kwiatów. Między gęstemi, jeszcze wilgotnemi liśćmi drzew, świergotało mnóstwo ptaków; z wielkich łąk wznosiły się lekkie mgły, tonąc wśród lasów na górach, których szczyty można już było z daleka widzieć.

Herman stał w swym pokoju przy oknie i przypatrywał się temu pięknemu widokowi.

— Któżby to był wczoraj przypuścić — pomyślał; — wczoraj zdawało się, że przyroda już nigdy swęj żalobnéj sukni nie zdejmie, a dziś uśmiecha się jak hoża oblubienica. Czyż sobie mogę brać za złe, że na ten sliczny widok uśmiechającego się nieba i ziemi, i me serce się uśmiecha, że w mą duszę wraca nadzieja, że się wszystko polepszy, że się wszystko zmieni? — Ale nie, nie; zanadto gorzkie rozczarowanie, zanadto wiele wczoraj wycierpiałem.

Sparł na dłoni głowę, która go jeszcze teraz po nocnéj gorączce strasznie bolała, patrzył długo w okolicę, wreszcie wstrząsnął nią z wyrazem goryczy na twarzy i zrobił ręką poruszenie jakby książkę zamykał.

Teraz już przyszło do rozstania. Mimo nocnéj słabości czuł się jednak na siłach; cieszyło go téż bardzo, że jego serce nie biło już tak gwałtownie, jak przed paru dniami; czuł on jego bicie, spokojne, regularne, bicie serca człowieka, który się rozstawać musiał, ale się téż chciał rozstać ze wszystkiemi w spokoju.

— W spokoju — w spokoju ze wszystkiém i ze wszystkimi, abym sam w sobie miał ten spokój, co przód w mém sercu panował, nim mi los tę próbę zgotował, którą tak źle odbyłem. Myślałem, że jestem jakimś wybrańcem, posiadającym klucz do rozwiązania wielkiéj tajemnicy świata, myślałem, że sobie potrafię — wbrew memu sercu powiedzieć to słowo: „Nie!“ — Pokazało się, ile się

jeszcze uczyć muszę, ile jeszcze nie umiem. Lecz już się skończyło, czy źle czy dobrze próbę odbyłem; żyję, oddycham, mogę więc jeszcze odpokutować to, com zgrzeszył przeciw idei wolności i przeciw prawdzie. Okułem się sam w kajdany, mogę je więc sam zrzucić. Nie drwię ja sobie z tych kajdan, one mnie dosyć nagniotły, ale tak samo, jak z méj duszy zrzuciłem, zrzucę je i z ciała. Parę pociągów pióra, a będę wolny na ciele tak, jak teraz jestem na sercu wolny.

Herman usiadł przy stoliku, aby do księcia pisać. Trzeba było tylko pierwój jedną trudność usunąć, ale się teraz przekonał, że to nie tak łatwo. Przyobiecał bowiem księciu i hrabinie, że ich dotąd nie opuści, dopóki się jego zastępca nie znajdzie. Dotąd nie zrobin on nic w téj mierze; a wiedział także bardzo dobrze, że dawnemu doktorowi z Rothebul nie można było żadnego niebezpieczniejszego pacyenta powierzyć. Była to przykra sytuacja.

W myśli przechodził wszystkich swych kolegów z uniwersytetu szukając, czyby go który z nich zastąpić nie mógł. Wszyscy mieli piękne stanowiska i nie można było przypuszczać, iżby który z nich chciał to, co sobie z mozołem zdobył, zamienić na stanowisko wcale nie nęcące.

Herman uczuł, że został daleko w tyle za swymi naprzód idącymi kolegami, że w wielkiej pustyni zgubił swą drogę. Lecz darmo, trzeba radzić. Lecz czy to jego obowiązkiem było? czy tylko jego samego? Najprostszą rzeczą było zwrócić się do hrabiego, jako najbardziej interesowanego i poprosić go o załatwienie téj sprawy. Dla niego nie było trudną rzeczą postarać się o doktora.

Zaczęty więc list do księcia położył na bok i zabrał się do pisania do hrabiego. W kilku wierszach przedstawił mu swą prośbę i już się podpisał, gdy w tém wszekł lokaj mówiąc, że pan hrabia chce się osobiście o zdrowiu doktora dowiedzieć.

Herman wstał, aby wyjść naprzeciw, a hrabia już stał we drzwiach i mówił śmiejąc się:

— A do sto tysięcy, tegom się nie spodziewałem po wczorajszym wieczorze, kiedy wiadomość o pańskim wypadku jak kartacz w całe towarzystwo wpadła i tyle awantur narobiła. Do takiego doktora, co się sam tak prędko wyleczyć umieć, można z pewnością mieć zaufanie. A jednak z tego wszystkiego, com słyszał, muszę wnioskować, że pański wypadek nie był wcale mało znaczącym. Jakże się właściwie rzecz miała?

— Chciałem się przed deszczem schronić, koń się tymczasem potknął, spadłem na ziemię, a on mię całym ciężarem przygniótł, poczem spłoszony uciekł.

— To samo myślałem, rzekł hrabia. Ale uwierzysz pan, z jaką radością zdjąłem dziś mój temblak.

— Żeby tylko nie zawczasie, rzekł Herman; możeby rękę jeszcze raz trzeba obejrzyć?

— Ja myślę, że się obejdzie bez tego, rzekł hrabia.

— Jak pan sądzisz, odparł Herman. Radziłbym panu jednak mieć się na baczności, jeżeli pan chcesz w krótkim czasie przyjść do zupełnej władzy w ręce.

— Jeżeli chcę! rzekł hrabia; oczywiście. — Wprawdzie mój urlop kończy się dopiero szesnastego, ale do tego czasu bawić się w jednorekiego, toby było nie bardzo przyjemnie. A kto wie, czy wkrótce nie będzie potrzeba obu rąk użyć. Dziś dostałem wiadomości z Berlina, w których piszący powołuje się na jakiś wypadek, który przed kilku dniami miał miejsce; ale co się to tam stało, o tém nic nie wiem; mój korespondent myśli, że ja tu mam gazety najświeższe, tak jakby to w Berlinie było, i nie wie, że my je zawsze choć o dwa dni później dostajemy! Nie mam wyobrażenia o tém, co się tam stać mogło, kiedy król w kąpielach, a hrabia Bismark w Varzin; musi to być jednak ważny i znany wypadek; jak skoro mój korespondent, człowiek, mający jak to mówią głowę na karku, nic o tém nie wspomniał. — Tyle tylko z tego wszystkiego wiem, że chodzi o jakieś nieporozumienie z Francją — ja powiadam, że ta burza wisi już długo i czy prędzej, czy później — lepiej jednak myślę, gdyby wcześniej — wybuchnąć musi. Dziś mamy wizytę jakiegoś Francuza, może się od niego czegoś dowiemy. Ale nie chcę panu dłużej przeszkadzać; jak widzę, byłeś pan zajęty.

Hrabia wstał, wziął czapkę i rękawiczki.

— Ale, ale, żona moja, która panu także swoje ukłony posyła — dostała dziś rano list od matki z Berlina, w którym jęj donosi, że tu przybędzie nieco wcześniej, to jest właściwie, — dziś mamy szóstego, więc tak ósmego lub dziewiątego — poznasz pan więc bojaźliwą mameczkę w towarzystwie swego domowego lekarza, tajnego radcy pana Winklera. Wyśmiałem się z tej zbytniej troskliwości, ale trzeba się ostatecznie na wszystko zgadzać, jeżeli się pragnie spokoju. Mniejsza jednak o to wszystko; muszę nawet wyznać, że moja żona zupełnie w tej całej historii niewinna i że tak samo jak i ja czuje to nieznośne położenie. Jestem przekonany, że pan pojmiesz dobrze taką sytuację.

Dalszy ciąg nastąpi.

# WIZERUNEK

POETY, SATYRYKA I MISTYKA

z XIII wieku\*)

przez

LUCYANA SIEMIĘSKIEGO.

Rok rocznie tysiące tysięcy dusz w dniu wielkopiątkowym czuje się wzruszonych do głębi i pociągniętych pod stopy krzyża na żaloszny jęk pieśni: *Stabat mater dolorosa*; a mało komu wiadome jest nazwisko natchnionego poety, który tę pieśń ułożył. Podobnie dzieć się zwykło i z tyłą innemi hymnami i pieśniami śpiewanemi Bogu na chwałę, że choć je wiele pokoleń powtarza i wiąże serce z każdym słowem, jakby im było z duszy wyjęte, to o nazwisko twórcy nie pyta. — Pieśń taka przeszła na własność wszystkich.

Ten sposób tracenia własności autorskiej, poczytałbym za najwyższy zaszczyt, o jakim może zamarzyć poeta.

---

\*) Najobszerniejszą wiadomość o życiu i pismach Jakopona z Todi, podaje między innymi Giovanbattista Modio, *I cantici del beato Jacopone da Todi, con diligenza ristampati, con la giunta di alcuni discorsi sopra di essi et con la vita sua, novamente posta in luce. In Roma appresso Hipp. Salviano, nel MDLVIII.*, niemniej Luc. Waddingo: *Annales minorum To. II*; z nich czerpał Ozanam do ustępu o Jakoponie w znakomitým swém dziele: *Les poètes franciscains*, z którego korzystał i niniejszy artykuł, niemniej z historycznej rozprawy p. Storek przy wydaniu wybranych poezyj Jakopona w Monasterze (Münster) 1864 r. — Niniejsza praca będąca częścią obszerniejszej, ma na celu obeznanie światłej Publiczności z zabytkami poezji mistycznej, dziś zapomnianej a przechowującej w sobie niezmiernie skarby duchowe.

Gdy jednak ten, co wyśpiewał „Stabat mater“, nie poprzestawał na tej jednej pieśni przyswojonej sobie przez kościół i wiernych; ale nadto w popularnym języku włoskim złożył wiele rymów całkiem nieznanymi u nas, a noszących piętno szczytnych natchnień, grających polyskami oryginalnej fantazyi — a co większa zachowujących tę indywidualność poety, która nie ulatnia się, nie wietrzeje, podobna w tém do ciał świętych, nierozsypujących się po kilka wieków, a wydających woń najprzedniejszą.

O tym nieznanym śpiewaku powszechnie znaną „Stabat mater“, przyjdzie mi teraz opowiadać tak szczegóły jego światowego i światobliwego żywota, jako też przebieg inne poetyczne utwory, splecione z życiem tej wyjątkowej, dziwnie charakterystycznej postaci, jaką wydały wieki średnie, bogate w tyle rodzajów heroizmu.

Na wstępie do Umbrii, tej kolebki św. Franciszka i przy zbiegu dwóch rzek Tybru i Naji, wznosi się na wzgórzu starożytne miasto Todi, mające piękną katedrę i troiste mury obronne cyklopejskie, rzymskie i średniowieczne, okalające jego przedmieścia. Był to gród zamożny i potężny, należący do Księstwa Spolettu, co mógł wyciągnąć w pole w trzydzieści tysięcy pieszych, a dziesięć tysięcy jezdnych pachołków; czternaście okolicznych zamków uznających zwierzchnictwo miasta, czuwało nad ludnością, należącą do tej republiki średniowiecznej.

W mieście tém, miotaném namiętnościami politycznymi, jak tyle innych miast ówczesnej Italii, mieszkała szlachecka rodzina Benedettich, w której przyszło na świat około 1240 r. dziecko płci męskiej i na chrzcie wzięło imię Jakóba. — O jego młodych latach nie ma nic w żadnym żywocie, ani też spotyka się wzmianka w pozostawionych po nim poezjach, chyba ta ogólna, że nad kolebką płaczącego chłopięcia, często stawała matka, przychodząc pieszcotami najtkliwszej miłości koć niemowlę, lub, że surowy ojciec różgą karcił wybryki. To pewna, że wychowanie odebrał staranne w szkole publicznej, gdzie przeszedł wszystkie trzy stopnie, to jest: gramatykę, retorykę i prawo. Aby się w tém ostatniem wyćwiczyć, udał się zapewne do Bononii, zkąd wyniósł obyczaje nieco rozpasane; tam bowiem hulanki, pojedynki, zemsty i odwety, były chlebem codziennym. Gdy jednak Jakób Benedetti otrzymał stopień doktorski, a ówczesnym zwyczajem przejechał się w szkarłatnej tódze na koniu, poprzedzony przez czterech uniwersyteckich trębaczy, miał już dosyć tego rozrzuconego studenckiego życia, i zaczął na prawdę przemysłować, co sam mówi, jakby w tym poczynającym się zawodzie naprawić nie jeden wyłom zrobiony w szkatule ojcowskiej.

W owych czasach więcej prawie niż dziś za parlamentarnych rządów używali wziętości prawnicy. Między tymi doktorami panującą książętą wyszukiwali sobie kanclerzy, a miasta brały podestów. Zresztą u Włochów XIII wieku, bardzo cheiwych zysku, a lubiących pieniactwo, jak starzy Rzymianie, prawnik z głośniejszém imieniem nie pokazał się na placu publicznym bez długiego orszaku klientów.

Jakób powróciwszy do rodzinnego Todi, zdawał się nie dbać o zaszczyty, więcéj mu szło o zrobienie majątku. Gonił téż za fortuną, nieprzebierając w środkach, a że umiał się zawsze znaleźć w zawiłym labiryncie digestów i kodexu, przeto prowadząc sprawy współobywateli, prędko stał się bogatym. — Do téj pomyślności potrzeba mu było jeszcze prawdziwego szczęścia; jakoż w mnóstwie dobrych partyj, jakie się nastრęcały, zrobił wybór panienki obdarzonej pięknoscią, urodzeniem i cnotą. — Otóż właśnie wśród tego powodzenia, uderzył go jeden z tych bolesnych ciosów, pod jakim człowiek musi się zwrócić do Boga.

Zdarzyło się, iż miasto Todi w r. 1268 wyprawiało jakiś festyn publiczny, na który zaproszona małżonka młodego prawnika, zajęła na wysokiej estradzie miejsce w szeregu szlachetnych dam, aby przypatrywać się widowisku. W tém, źle zbudowane rusztowanie załamało się. . . . Na trzask łamiących się belek i spadających desek, Jakób biegnie do żony, poznaje ją w stosie ofiar przygniecionych ciężarem, porywa ją i unosi, aby rany obetrzeć. Atoli ona, gdy suknię chciał jéj odpiąć, odpycha go mdlejącą ręką i błaga, by ją niósł w ustronne miejsce, co uczyniwszy, przy rozbieraniu postrzegł, iż pod bogatą szatą nosiła włósiennicę. W téj chwili niezsęśliwa Bogu ducha oddała.

Ta nagła śmierć, to niespodziane umartwienie pod pokrywką światowej elegancyi, wreszcie wyrzut sumienia, że to za grzechy jego nosiła tę włósiennicę, wszystko to jakby piorunem uderzyło w serce młodego prawnika. Niebawem gruchło po mieście, że dostał obłąkania, i rzeczywiście po kilku dniach ponurego otrętwienia, wziął się spieniężać swój ruchomy i nieruchomy majątek, aby go rozdać między ubogich.

Odtąd spotykano go często, jak okryty łachmanami, wałęsał się po ulicach ścigany przez pauprów, którzy go pokazywali palcami, wołając nań: Głupi Jakóbek. Opowiadano nawet, że zaproszony na weselne gody swojej siostrzenicy, przyszedł na nie od stóp do głów ubrany w pióra, jakby na wyszydzenie tych uciech światowych. Krewni wyrzucali mu to szaleństwo, on zaś odrzekł: „Jeżeli mój brat wystawnym przepychem chce podnieść blask naszego domu, czemuż nie miałbym dopiąć tego szaleństwem?“.



## II.

I tak się stało; nie bogactwa rozniosły sławę rodu Benedetich, lecz ten obdarty szaleniec, ukrywający pod obłąkaniem żalu i rozpaczny, jarzmo twardej pokuty, jakie na siebie nałożył. Nieustanna myśl o śmierci, nie dawała mu spoczynku; zrazu szukał on uspokojenia w księgach pisma św.; czytał je od deski do deski i tam się nauczył, jak przez dobrowolne przyjęcie ubóstwa, mógł odpokutować niedawny żywot swój wylany na rozkosze świata i zbyt goniący za pochlebniemi oklaskami popularności. Za te grzechy pyszałstwa szukał teraz upokorzeń, wzgardy i pośmiewiska ulicznej gawiedzi. Niedgdyś upajany własną wymową, bywał rzecznikiem fałszu i niesprawiedliwości — trzebaż było to złe odrobić i obyczajem proroków lud prawdy nauczać przykładem wymowniejszym niż figury krasomówcze. Owóż podobnie jak Jeremiasz stanął był przed mieszkańcami Jerozolimy z okowami na rękę i z jarzmem na karku, zapowiadając zbliżającą się niewolę, tak i on podczas hucznej biesiady pokazał się na pół nagi, pełzający na czworakach, z uzdą w ustach jak bydlę. Na ten widok biesiadnicy opuścili w zamyśleniu salę godową, mówiąc do siebie; „podobnaż to z takiej wysokości upaść tak nisko!“ — Innym razem jeden z jego krewnych wracając z targu, kupił parę tucznych kapłonów, a spotkawszy Jakóba, prosił go aby mu je zaniósł do domu. Jakóbek poszedł z niemi prosto do kościoła św. Fortunata, gdzie jego krewny miał swój grób rodzinny, i one kapłony złożył pod głazem grobowym. W kilka godzin potem właściciel kapłonów napadł z gniewem na Jakóba, wyrzucając mu że niedopełnił polecenia. Na to tenże: „wszakżeś mi kazał zanieść je do twego mieszkania; a kędyż twoje mieszkanie, jeżeli nie tam, gdzie masz na wieki zamieszkać?“. Były to słowa psalmisty? *Et sepulchra eorum domus illorum in aeternum.*

W miastach włoskich średniowiecznych, gdzie przy prostocie obyczajów, wrzały południowe namiętności, gdzie cała ludność żyła na ulicy lub na rynku, takie biblijne wspomnienia znachodziły odgłos między gminem, przeto też wymowne kaznodziejstwo, zastawiające się przykładami tyłu świętych, używało tam najobszerniejszej swobody. — Nieraz, kiedy szalony Jakób błazeńskimi conceptami ściągnął koło siebie tłumy gawiedzi, zmieniał ton i zaczynał prawić kazanie, a że szalonemu wszystko przebaczone, więc też ciął prawdę w żywe oczy, chłoszcząc nadużycia i występki mieszkańców. Dotąd jednak popularny ten mowca nie miał właściwego posłannictwa, będąc tylko tereyarzem zakonu św. Franciszka, czyli człowiekiem świeckim, który ślubował ubóstwu i miłosierdziu. — W tym stanie

na pół duchownym, wziął się z młodzieńczym zapałem do nauk teologicznych, aby wnikać w tajemnice wiary i zaczynać o zuchwałę pytania. Po dziesięciu latach spędzonych na czytaniu i rozmyślaniu, przekonał się, że z jego charakterem niesfornym i głową wichrowatą, mógłby snadno popaść w grube błędy, gdyby się nie poddał regule karności. — Jakoż w r. 1278 przyszedł jenialny szaleniec pukać do furty klasztornej, prosząc, aby go przyjęto do zakonu Braci mniejszych; lecz przełożony potrząsał głową i wahał się, odprawiając go z kwitkiem z dnia na dzień. — Zrozumiał Jabóbek właściwy powód tej trudności i w jakiś czas stawił się znowu przed przełożonym klasztoru, przynosząc, jakby na świadectwo zdrowej głowy dwa rymowane utwory, jeden łaciński, drugi włoski.

Łaciński wierszyk nie różnił się wprawdzie od zwykłych ćwiczeń szkolnych, ani stylem, ani nowością myśli, atoli pieśń włoska miała tyle ognia, tyle oryginalności w ujęciu rzeczy, a tak wdzięcznym rymem głaskała ucho, że się zakonnicy zdumieli. — Cierpienie i samotność, te dwie wielkie mistrzynie jenuzu, zrobiły z wymownego prawnika, niepospolitego poetę.

Podaję tu w ważniejszych wyjątkach ten wiersz, umieszczony w zbiorze jego poezyi. (*Jacopone. Poesie spirituali*), zaczynający się od słów: Udite nowa pazzia — che mi viene in fantasia.

Posłuchajcie! oto nowy  
 Bzik zajechał mi do głowy.  
 Umrzeć, umrzeć chęć mnie zbiera,  
 Bo źle żyłem, jak przechera,  
 Roskosz świata chcę porzucić  
 I na prostą drogę wrócić.  
 Czym ja człowiek? wraz pokażę:  
 Sam się zaprę i ukarzę;  
 Krzyż na plecy włożę sobie  
 I szaleństwo sławne zrobię.  
 A szaleństwa rodzaj taki,  
 Że pójdę między prostaki,  
 I gdy z nimi czas pobędę,  
 Świętej głupoty nabędę.  
 Ty wiesz panie czego pragnę,  
 Że do świata się nie nagnę,  
 Jeślim trwał w nim, to dla tego,  
 Żem chciał wyjść na uczoaego.  
 Metafizyk — ja wyświecę  
 Teologii tajemnicę.

Dojdę, jaka wiedzie droga,  
Przez sfer tyle aż do Boga....  
Święta Trójca w jaki sposób  
Jest jedna a nie z trzech osób,  
Jak słowo w Maryę wstąpiło,  
I ród ludzki odkupiło?... —  
Nauka boska to cnota —  
Tygiel do czyszczenia złota,  
Lecz gdy w sofizm się zacieka,  
Nie jednemu wbije ćwieka. —  
Posłuchajcie co ja myślę:  
Niby chory na umyśle.  
Chcę dziwaka przyjąć postać,  
By zupełnym głupcem zostać.  
Sylogizmy precz odemnie  
I wy kłamiące nikczemnie  
Sofizmy, problemy twarde,  
Wnioski pajęczce a harde.  
Krzyczcie sobie co pierś zniesie,  
Platonie i Sokratesie,  
Dowód z dowodem szermierzy  
I w kałuży każdy leży.  
Umysł prosty i bez plamy  
Sam się wzbije w niebios bramy  
Bez pomocy ich mądrości  
Do stóp boskiej wszechmocności.  
Wam zostawiam księgi stare,  
Którym miłował nad miarę;  
Cycerona nawet nie chcę,  
Choć melodyą uszy łechce.  
Wam zostawiam śpiewki, lutnie,  
Białoszyjki, co okrutnie  
Ócz strzałkami serce bodą,  
Oczarują, w końcu zwiodą,  
Wam zostawiam te floriny  
I dukaty i karliny,  
Genueńskie też talary  
I podobne im towary.  
Chcę się dać na twarde próby  
W zakonne oddam się kluby.  
A ukaże próba ducha,  
Czym ja spiż, czy cyna krucha. —

Na bój walny się gotuję,  
 Trud, trud krwawy przewiduję.  
 Chryste użyż twego męstwa,  
 A pewny będę zwycięstwa.  
 Krzyż ukocham ogniem świętym,  
 Już się czuję ogarniętym,  
 I pokornie proszę o to,  
 By mnie natchnął swą głupotą.  
 Rozmyślaniami karmiąc duszę,  
 Tryumf świata jęć wymuszę.  
 Niech wesoła, to stęskniona  
 Wciąż w słodyczach serca kona.  
 Czy obrawszy taką drogę,  
 Po niej do rajy dojść mogę.  
 Gdzie anielskich chórów pienie  
 Głosi pańskie uwielbienie.  
 Panie daj znak woli Twojej,  
 A duch mój się uspokoi,  
 Gdy pójdzie na Twe skinienie,  
 Bądź dać piekło, bądź zbawienie.

### III.

Po odczytaniu tych wierszy, bracia mniejsi nie wahali się już przyjąć Jakóbka do swego zakonu; poznali bowiem, że jego szaleństwo, było szaleństwem św. Franciszka, gdy w pierwszych latach swojej pokuty, biegał jak obłąkany, goniony przez zgraję uliczników, ciskających na niego błotem, lub gdy go spotykano wędasającego się po polach gorzko płaczącego nad męką Chrystusa Pana.— W podobnym stanie gorącej miłości znajdował się teraz pokutnik z Todi; ona to cudownie wzruszyła tą duszą skostniałą w paragrafach kodeksów i wykrętach pieniackich, ona pchnęła ją nietylko pod stopy krzyża, lecz i w samotne pola i lasy, wszędzie gdzie Stwórca objawiał się w majestacie swego stworzenia. Błąkał się więc z miejsca na miejsce, wyśpiewując psalmy, improwizując pieśni i oblewając je łzami, a kiedy go pytano, czego płacze? odpowiadał: „Płaczę dla tego, że miłość nie jest kochaną“.

Naciskany, żeby wytłumaczył: „po czém poznać, że chrześcianiin prawdziwie miłuje pana Boga? zazwyczaj mówił: „po tém poznaję miłość, że kiedy Stwórcę mego o coś gorąco proszę, a Pan Bóg tego nie robi, tém więcej go miłuję; co gdy mi da poznać, dwa kroć Go mocniej kocham“

Gorączkowe te uniesienia i porywy, nie były u niego skutkiem gorączkowej wyobraźni; one rzeczywiście kruszyły serce pokutnika. W ogniu bożej miłości mogła się tylko zapalić miłość do ludzi, w tym wieku zaciętych nienawiści. On prawnik zaprawiony na procesach i kłótniach nie tylko rozdzierających rodziny, lecz miasta i prowincye, teraz uczył, jak należy przebaczać krzywdy i obrazy; co więcej, miłość tę posuwał do ostatnich granic, mawiając; „Dla miłości Chrystusa chciałbym znosić z zupełnym poddaniem się wszystkim trudy tego żywota, wszystkie prace, dolegliwości, cierpienia, jakie tylko można słowy wyrazić, lub objąć myślą. Szczerze pragnąłbym, aby w godzinie mego skonu, szatani wzięli mi duszę i wydali ją na męki piekielne, a tak obmyłbym i własne grzechy i grzechy tych, co cierpią czyszczone upalenia; gdyby to być mogło, poddałbym się temu aż do dnia sądnego, i dłużej jeszcze, jeźliby się panu Bogu podobało. Najwyższa byłaby to dla mnie roskosz, gdyby ci, za których cierpiałem, wprzód niż ja dostali się do nieba i w żywe powiedzieli mi oczy, że mi nie do zawdzięczenia nie „mają“.

Jest tu zapewne przesada w tém zuchwałém życzeniu pokutnika; lecz czy św. Paweł nie pragnął być przeklętym, byle grzesznym zapewnić zbawienie.

Tak wybujałe uczucie ma tę niebezpieczną stronę, że się niekiedy w pychę przeradza, w pychę cynika mieszkającego w beczce.

Jakóbek z Todi pragnąc w sercach zaszczerpieć miłość Boga i ludzi, fundował ją na pogardzie dla siebie samego, zniszczenie samolubstwo kładł za pierwszy warunek. — Z tem wszystkiem człowiek nienawidzący złego, jakie w sobie nosi, nie powinien nienawidzić własnej istoty, którą otrzymał z rąk Boga; rozumiał to Jakóbek i dla tego godził jedno z drugim w ten sposób, że jak dla dogodzenia naturze nie należy popełniać występków, tak nie trzeba gwałcić natury dla wykorzenienia występku. — W zdaniu tém najwyraźniej odpierał ów niesłuszny zarzut zrobiony mistyce chrześcijańskiej, że takowa krępując naturę człowieczą, zabijała w niej życie. Owóż pokutnik z Todi, kładąc wędzidło na zmysły, pracował nad usamowolnieniem duszy, co wyrażał w następującej paroli, pełnej poetycznej wyobraźni. „Pewna panienska dziwniej piękności, miała klejnot niezmierniej ceny; pięciu zaś jój braci było zupełnie ogołoconych z majątku; pierwszy z nich był lutnistą, drugi malarzem, trzeci robił perfumy, czwarty trudnił się kucharstwem, a piąty haniebnym rufiaństwem. Zdarzyło się, iż lutnista przyciśniony potrzebą, przyszedł do siostry i rzekł jój: „Siostrzyczko moja, wi-

dzisz w jakim jestem niedostatku, dajże mi swój klejnot, a ja w zamian nastroję lutnię i zagram ci coś bardzo pięknego“.

Siostra na to mu odrzekła: „Skończy się granie, a z czegoż ja potem żyć będę? — Przebacz, ale klejnotu nie dam i zachowam go, póki nie znajdę małżonka, coby zapewnić mi utrzymanie“.— Po nim przyszedł malarz, za nim przyszli inni, a każdy prosił o odstąpienie klejnotu, ofiarując w zamian swoje usługi.— Wszystkich jednak odprawiła siostra jedną wymówką.— Wreszcie zjawił się wielki król i przyszedł ją prosić o ten diament. Dziewica odpowiedziała mu: „Chciój wiedzieć panie, że nic nie mam prócz tego kamienia; jeżeli ci go dam, cóż w zamian dostanę?“. I król przyrzekł pojąć ją za małżonkę, otoczyć uszanowaniem i zapewnić jej nieśmiertelność, słowem dać wszystko, czego tylko zapagnie. „Panie! — zawołała dziewica — obietnice twoje są tak wspaniałe i wielkie, że mi nie wolno odmówić ci tego klejnotu i składam go w twoje ręce“.

Cóż wyobraża ta dziewica? oto duszę człowieka — a ten klejnot? wolną wolę, jedyną własność, którą rozporządzać możemy.— Pięciu braci, to pięć zmysłów; a królem jest Bóg; dusza oddająca się Jemu, zostaje za tę cenę jego oblubionicą.

W tój epoce tak bliskich fundacyj św. Franciszka, każdy klasztor braci mniejszych, miał swoje tradycje domowe, swoich ulubionych mistrzów, których zdania i przykłady w żywej chowane pamięci, słowa i sposób myślenia Jakopona wiernie przechowało zgromadzenie zakonników. Towarzysze jego zapisali też jak w praktykę zamieniał był ową naukę w pogardzeniu sobą samym i okiełznaniu zmysłów. On, co tyle lat wertował Arystotelesa i Cycerona, jak i Justyniański kodex, odmawiał przyjęcia wszelkich zaszczytów kapłańskich; owszem chciał zawsze zostać braciszkiem laikiem i spełniać najpodlejsze funkcyje klasztorne.. — Został nawet przy szyderczém przezwisku, daném mu od pospólstwa; przywykły od dzieciństwa do wykwiutnego sposobu życia, przestawał na suchym chlebie i wodzie, a piotłun mięszał do potraw. Jeżeli czasem jaki przysmak obudził pożądlliwość podniebienia, odpokutował to przez inne umartwienia. — W tradycyi przechował się jeden przypadek, który najlepiej maluje jego niezłomną energię w stłumieniu każdej zmysłowej chuci. Pewnego razu podczas długiego postu przypomniał sobie wykwiutne i sute obiady, jakie niegdyś wyprawiał swoim przyjaciółom i przypomnienie to tak go ścigało, że omal nie skusił się do złamania postu. W niebezpieczeństwie tém wziął się na sposób i kawał surowej polędwicy zawiesił na sznurku w swój celi i tak długo trzy-

mał, aż się zepsuła i cuchła. „Oto przysmaczek, którego łaknęłyście — mówił do swoich zmysłów — delektujcie się teraz“. Tymczasem nieznośny fetor zepsutego mięsa, rozszedł się po korytarzach klasztornych i zdradził złamanie postu. Nastąpiło poszukiwanie po celach, odkryto przyczynę i winowajcę wsadzono do karceresu.

Wtedy to Jakopone pomszczony na samym sobie, ułożył pieśń tryumfu, z powtarzającą się zwrotką:

O serdeczna, o radości!  
Wyspiewajże pieśń miłości.

#### IV.

Zdawałoby się, że kiedy Jakopone już tak umiał zapanować nad ciałem i jego pożądlivościami, nie pozostawało mu nic więcej, jak skończyć żywot w zakątkach murów klasztornych; a tymczasem przeciwnie się stało, gdyż odtąd dopiero zaczyna żyć ten duch, co stoczywszy ze sobą tyle walk wewnętrznych, zahartował się i usposobił do zapasów publicznych, w które go popchnęły nieszczęśliwe i burzliwe czasy i wystawiły na ciężkie próby charakter namiętnego gorliwca. Nagrzeszył dużo, to prawda, ale też zważając na czystość jego intencji, wszystko odpuszczonem mu było.

Kłótnie i spory światowe, które jak mniemał Jakopone, zostawił był nazawsze za furta klasztorną, czekały go w kościele, a nawet w pozornej ciszy murów konwentu. W chwili gdy wstąpił do zgromadzenia Braci mniejszych, wielka ta duchowna rodzina, rozpadała się na dwa stronnictwa. Jedno co usiłowało wyłamać się z reguły pierwotnego ubóstwa, wołało o złagodzenie przepisów reguły, stosowniejszej — jak mówiono — dla aniołów niż dla ludzi. Drugie liczące nie wiele rygorystów, obstawało przy pierwotnej surowości, lecz oraz nie przyznawało władzy przełożonym, mieniać ich współnikami nadużyć. Pierwsi mieli za sobą braci piastujących godności zakonne, powagę życia klauzurowego, i tych nazwano: *Conventuales*. Drudzy wzbudzali podziw ostrością i szczerością pokutniczego życia, a zachowując ściślej ducha reguły nazwani byli; Bracią Spiritualną. Jakopone stojący po stronie tych ostatnich, rzucił się był w wir tego spisku, i zrazu słuszność zdawała się być po jego stronie. Zdarzyło się, iż gdy w r. 1294 stolica apostolska była opróżnioną od dwudziestu siedmiu miesięcy, kardynałowie postanowili skończyć to wdowieństwo kościoła i dać mu za naczelnika męża wielkiej świętości, w osobie pustelnika Piotra Morona.

Świątobliwy starzec, wyciągnięty z swęj pieczary i ukoronowany tyarą pod imieniem Celestyna V, począł zarządzać światem chrześcijańskim i szczególną uwagę zwrócił na najsurowsze przestrzeganie reguł klasztornych. Od niego to bracia spiritualni otrzymali przywilej utrzymania się przy pierwotnej regule zakonnej, i to w osobnych klasztorach, pod przełożonymi jakich sami wybiorą.

Dobrodziejstwo to powinno było ująć Jakopona; okazał się tęż wdzięcznym, nie w sposób któryby pochlebiał przyjaciołom, lecz raczej zmierzał do zbawienia ich duszy, co widać z jego wierszy, przesłanych do nowo obranego papieża, przemawiających szorstkim językiem przestróg i napomnień, do jakich dwory potentatów nie przywykły.

Oto kilka zwrotek dosadniejszych:

Pier Morone trzymaj się  
Bo na próbę wzięto cię.

---

Zobaczymy Cię przy dziele  
Wszak na puszczyś dumał wiele,  
Gdybyś światu zawód sprawił,  
Przekląłby cię i zniesławił.

---

Jak do celu mierzy strzała,  
W ciebie patrzy ludzkość cała;  
Sądź nie krzywo, by nie trzeba  
Po wyrok chodzić do nieba.

---

Mnie całego przeszło mrowie  
Gdyś rzekł: Tak chcę! bo w tém słowie  
Ciężkieś jarzmo wziął na szyję  
Ono duszę twą zabije.

Dalęj ostrzega go przed intrygami kardynałów i nepotyzmu, przed łakomcami chwytającymi tłuste prelatury i przed wszelkiego rodzaju frymarkami i kończy:

Odepchnij to silną ręką  
Być nie przyszło śpiewać cienko.



Te zatrważające ostrzeżenia jakie podniósł poeta, trafiły więcj niż trzeba do przekonania papieża Celestyna, który z cichego anachorety wyniesiony na stolicę apostolską, z przestachem ujrzał się sam jeden wśród wiru krzyżujących się intryg, namiętności i wadśni, grożących upadkiem chrześcijańskiej cywilizacji, a powściągniętych dotąd tylko samą dzielnością papieży. Jakoż nie wyszło pół roku, a Celestyn V złożył godność Namiestnika Chrystusowego i wrócił na puszczę. Zebrani w konklawie kardynałowie, dali mu następcę w osobie Benedykta Cajetani, sławnego i spotwarzonego Bonifacego VIII. Mąż ten nieugiętego charakteru, głębokiej nauki w prawie kanoniczném i cywilném, przytém doskonale obeznany ze sprawami kościoła, miał wszystkie przymioty niezbędne dla polityka statysty.

Była jednak obawa, aby te przymioty mocarza nie stanęły w sprzeczności z sumieniem kapłana i żeby ten biegły kanonista przestrzegając zbyt ściślejszej sprawiedliwości, nie zapomniał czasami o miłosierdziu. Tego to właśnie mógł obawiać się Jakopone, gdy papież dziwném widzeniem przerażony, udał się do niego po radę. „Widziałem mówił Bonifacy, dzwon bez serca, ale tak ogromny, że całą obejmował ziemię“.

„Trzeba wiedzieć Waszój Świątobliwości — odrzekł Jakopone, że wielkość tego dzwonu znaczy potęgę głowy kościoła, obejmującą całą ziemię; sercem jest, dobry przykład z góry: strzeż się abyś dzwonu nie zostawił bez serca“. Ta smutna przepowiednia zdawała się spełniać w przekonaniu Jakopona, w chwili gdy Bonifacy odwołał wszystkie nadania swego poprzednika, zniósł przywileje braci spiritualnych i poddał ich pod dawnych przełożonych. Cios ten uderzając w gorliwych reformatorów zakonu Ś. Franciszka, wzbudził dziwne pogłoski między ludźmi. Zaczęto obwiniać Bonifacego VIII, że na poprzedniku swoim wymógł abdykację, strasząc go widmami nocnymi, to więzieniem, chociaż pogłoski te nie zasługiwały na wiarę, jednakowoż nieukontentowani szerzyli je, a dobroduszni podawali sobie na ucho, tak, że w końcu pytano się czy godzi się uznawać Namiestnikiem Chrystusa, człowieka, który świętego zepchnął ze stolicy apostolskiej. Czy wreszcie abdykacja Celestyna V była dozwoloną a wstąpienie Bonifacego uprawnioném?

Takie to potężne podniosły się zewsząd zarzuty, gdy 10 Maja 1297 r. dwóch kardynałów nieprzyjaznych papieżowi, to jest: Jakub i Piotr Colonowie, zebrawszy garstkę stronników w zamku Lunghezza w pobliżu Rzymu, odważyli się zaprotestować uroczystym aktem przeciw elekcji Bonifacego VIII i uzurpacji stolicy św. i pozwać go przed sąd mającego się zebrać soboru. Jako-

pone podpisał się na nieszczęście pod tym aktem jako świadek; w skutek czego popadł pod ekskomunikę, równie jak dwaj kardynałowie i ich stronnicy. Mieszkał on od trzech miesięcy w klasztorze Braci spiritualnych w Palestrynie, twierdzy należącej do Colonnów.

Ztamąd to, z gniazda nieprzyjaciół papieżskich wychodziły wszystkie oskarżenia i potwarze. Jakopone dawny prawnik, dziś biegły teolog uwierzył w ich zaślepienie i srodze się omylił; atoli błąd jego pochodził ze zbytnej gorącości ducha i gorliwości o dobro kościoła. Opłakany ten czas najsromotniejszych skandalów, najlepiej daje się pojąć w następujących wierszach, w których przebija się więcej miłości, niż nienawiści i gniewu.

W streszczeniu podaję tę kanzonę, a raczej ten lament, zaczynający się od zwrotki:

Piange la ecclesia — piange e dolura  
Sente fortuna di pessimo stato.

Kościół nasz płacze i srodze boleje  
A płacze sercem widząc co się dzieje.

„O matko! — woła syn — czemu te łzy? jaki ich powód?

— O synu! odpowiada matka — nie mam ojca, ani małżonka, ani dzieci — przyjaciół mi zabrano. Rodzina moja chowała niegdyś zgodę ze sobą — a dziś wre nienawiścią i niewierni nazywają mnie wszeteczną, z winy mych dzieci dających gorszące przykłady.... Ubóstwo odtrącili od siebie, a cześć oddają złotu. Nie słusznyż to powód moich lamentów? Kędyż nasi patryarchowie pełni wiary? Kędyż prorocy pełni nadziei? Apostołowie pełni miłości, męczennicy duchem niezłomni? Przepych, buta, chęć błyszczenia, zepsuły mi do szpiku tę szlachetną gromadkę! Gdzież się podzieli słynni mądrością doktorowie? Widzę wielu ogromnie uczonych, cóż kiedy ich życie zeszło z prawej drogi! Przez nich najbardziej jestem pokrzywdzoną i zdeptaną. A wy zakonni ludzie! Niegdyś wstrzemięźliwość wasza jakąż nie napawała mnie słodyczą! Dziś kiedy zaglądam w cele klasztorne, nie znajduje dusza moja żadnej pociechy. Na moje wołanie nikt się nie odzywa; widzę jak w każdym stanie Chrystusa kładą do grobu.... O życie moje! O nadziejo moja! Boże! na toż przyszło żebyś w każdym sercu umierał“. Jeżeli miłość zawiedziona natehnęła Jakoponowi ten lament, to znowu podstępna polityka Colonnów umiała z tego korzystać. Skarga pokutnika z Todi osłonięta powagą jego imienia, ubrana śpiwnym rymem, przeleciała Włochy i wzburzyła umysły przeciw Papiężowi. Niektórzy żywotopisarze Jakopona odnoszą do téj epoki inny jego wiész satyryczny, w którym

z poza kaptura franciszkańskiego wygląda ręka polityka co go użyła za narzędzie, kanzona włoska już z góry wypowiada te zarzuty jakie niebawem sformułować mieli przeciw Bonifacemu juryści Filipa Pięknego.

Oto kilka strof téj ciętój satyry:

O Papiézu Bonifacy  
 Dużoś grał w grę tego świata  
 I lękaś się czy fortuna  
 Za to figla ci nie spleta.

W długiej téj kanzonie między wielu zarzutami spotykają się zwrotki, jak następujące, mniej jeszcze d innych jaskrawe:

Gdyś raz pierwszy przed ołtarzem  
 Odprawiał mszy tajemnicę,  
 Jasne niebo poczerniało,  
 Mrok padł na okolicę.  
 A na ołtarzu do jednéj  
 Wszystkie pogasły świece,  
 A gdyś hostyę konsekrował  
 Bił grom i błyskawice.

W takim duchu ciągnie szereg namiętnych pocisków czerpanych z opinii nieprzyjawnego stronnictwa. Następująca zaś strofa formułuje zarzut bezpośrednio wychodzący od poety, nie mogącego Bonifacemu przebaczyć, że zniósł przywileje braci spiritualnych.

Jak salamandra się cieszy  
 Siedząc w ognistym płomieniu,  
 Tak tobie siedzieć przyjemnie  
 W bezwstydzie, sprośném zgorszeniu....  
 Tyś jadowitym językiem  
 Z reguły zakonnój sztychł.  
 Ty bluźnierczym swoim krzykiem  
 Zakon przed ludźmi zohydzył.

Język ten wcale nie jest budującym, a szkaradnie brzmi w ustach zakonnika; atoli to jedno tłumaczy Jakopona, że wciągnięty w intrygę, obalamucony, uderzał tylko na uzurpatora stolicy ś. a nie na prawowitą głowę kościoła. Zresztą w tym wieku nieu-

stannych walk i zamieszek, często trafiało się, że na jednej drodze spotykały się dwa potężne duchy i zamiast poznać się i zbliżyć, stawały przeciw sobie [zaczepnie i raniły się wzajemnie tym orężem, którego lepiej mogli byli użyć w służbie Boga i bliźnich.

Bądź jak bądź Jakopone nie jest bez winy, spadła też nań okropna kara. Gdy bowiem w r. 1298 po długiem obłączeniu Bonifacy zdobył nareszcie gniazdo Colonnów, twierdzę Palestrinę, Jakopone wzięty był do więzienia, aby tam odpokutować rymowane zuchwalstwa. On sam opisuje ten loch podziemny, gdzie go zamknęto „niby lwa w klatce“, gdzie dzwonił kajdanami po kamienną podłodze, gdzie stróż więzienny przynosił mu codzień jadło, gdzie wreszcie był rynsztok, z którego zginając się chleptał wodę. Atoli twardy pokutnik żartował z tych surowości, nie można mu było bowiem gorzej dokuczyć, niż on sam sobie dokuczał. Od lat trzydziestu o nic Boga nie prosił, tylko o karę, a teraz widząc się wysłuchanym, śpiewał hymn dziękczynny przy wtórze kajdan.

Człowiek ten nieczuły na męczarnie, jednakowoż ugiął się pod brzemieniem ekskomuniki. W głuszy więzienną miał dość czasu zastanowić się nad sprawą, z powodu której odepchnięty został od łona rodziny chrześcijańskiej. Ujrzał się sam jeden w niełasce u Boga i u ludzi, podczas gdy przewodcy odszczepieństwa Colonnowie, w szatach żałobnych z powrozem na szyi, poszli upaść do nóg Bonifacego, uznanego teraz najprawowitszym naczelnikiem powszechnego kościoła. Skruszony tém więzień, prosił o przebaczenie winy w wierszach teńących jeszcze upokorzoną duszą, bo zdaje się wyzywać swego zwycięzcę i sędziego do walki. „Rozgrzesz mię — mówi — a inne kary zostaw, póki nie umrę. Zadawaj mi cios po ciosie, a ja przecież zwyciężę siłą miłości. Noszę bowiem dwie tarcze, co mię od pocisków bronią; pierwsza ze szczerzego dyamentu, czyli nieważność samego siebie, druga z karbunkułu, czyli miłość bliźniego“.

Bonifacy nie dał żadnej odpowiedzi na ten wyzew pobożny. Przeszło wiele miesięcy aż w r. 1300 przypadł powszechny Jubileusz, na który Ojciec Ś. zwołał wiernych z wszystkich ziem i krajów. Więzień z głębi swjej jamy mógł słyszeć pobożne pienia pielgrzymów, idących modlić się na grobie Apostołów. Gdy tak przeszło dwakroć sto tysięcy obcego ludu napełniło kościoły rzymskie, a skruszony grzesznik znalazł pokój wewnętrzny — on więzień — wyścieńczony umartwieniami, on najsurowiej pokutujący, sam jeden nie miał żadnego udziału ani w radościach, ani modłach, ani w Sakramentach chrześcijańskich tłumów. — Napisał więc do Papięza drugi list, a raczej więsz pokorniejszy niż pierwszy.

Grzechy nie uszły bezkarnie  
 Pastérz mię wygnał z owczarnie  
 I na żałosne beczenia  
 Nie mam, nie mam odpuszczenia.

W tój zwrotce mieści się jakby argument, który dalsza pieśń rozwija, co jest zwykłą formą u mistycznych poetów tak włoskich jak hiszpańskich. W dalszym ciągu woła: Jestem jak ślepiec krzyżujący na środku gościńca; gdy go strofowali o to przechodnie, on jeszcze bardziej krzychał: Boże! zlituj się nademną! Czego chcesz odemnie rzekł mu Pan: „Panie! wróc mi światło moich oczu, abym wielkim głosem śpiewał: Hosanna! Podobnie słowo twoje Ojcie Ś. odpuszczając mi grzechy wyrwie mię z bydłecój kałuży. Stan mojej duszy okropny! upada ona pod jarzmem śmierci. Błagam cię podaj mi rękę, i wróc mi rodzinie Ś. Franciszka, abym z nią zasiadł przy jednym stole“.

Żałosne i tak wzruszające błagania nie zmiękczyły surowości Bonifacego VIII. ♥

Opowiadają nawet, że pewnego razu przechodząc około więzienia gdzie siedział Jakopone, nachylił się do zakratowanego otworu i zawołał: „Jakubku! Jakubku! kiedyż tam wyjdiesz z tój ciupy?! „Ojcie Ś. — odrzekł zakonnik — wyjdę kiedy wnijdziesz“.

Przepowiednia niedługo dała na siebie czekać.

Na d. 1 Grudnia 1303 r. Sciarra Colonna, synowiec kardynała tego nazwiska, podbechtany przez Nogareta wysłańca Filipa Pięknego króla francuzkiego, wtargnął był do Anagni w trzysta koni, wyłamał bramy pałacu i rękę świętokradzką podniósł na papieża, który w miesiąc po tym gwałcie umarł ze zgryzoty.

Wypadek ten przeraził całe chrześcijaństwo; wielu nawet politycznych nieprzyjaciół Bonifacego przypomniało sobie, że są chrześcijanami i że taka niesłychana obelga dotknęła głowę kościoła.

Dante nieśmiertelnym wierszem napiętnował zbrodniarzy:

Widzę Lilię ciągną do Anagni  
 I Chrystus więźniem w namiestniku Swoim  
 Widzę powtórnie na pośmiech go dadzą  
 Widzę znów octu i żółci katusze  
 I pośród nowych łotrów go zabiją  
 A nowy Piłat w okrucieństwie swoim  
 Niestety jeszcze, bez wyroków prawnych  
 Chciwe swe żądze do kościoła wnosi. (Czyś. P. XX).

## V.

Więzień nasz otrzymał nakoniec wolność, i zdjętą zeń została ekskomunika, gdy Benedykt XI następca Bonifacego w moc buli wydanej na d. 23 Grudnia 1303 r. zniósł wyroki wydane na Colonnów i ich stronników. Wypuszczony na świat udał się do klasztoru braci mniejszych w Collazone i znalazł tam spokój na ostatnie dni życia. Stary, namiętny i gwałtowny szermierz, sterany w tyłu zapasach złągodniał, uspokoił się i serce jego stało się dostępne najkłiwszym uczuciom. Tkliwa przyjaźń złączyła go z bratem Janem z Alwernii, w którym zdawała się odzywać dusza Ś. Franciszka.

Pewnego dnia, kiedy tenże zachorował na zimnicę, i leżał zgnębiony na ciele i na umyśle, posłał mu wiérse i upominek. W wiérse upominał brata Jana, aby chorobę zniósł cierpliwie; w cierpieniach bowiem oczyszcza się człek grzeszny, a wolny od grzechu zdobywa chwałę. Upominek towarzyszący tym wiérsom składał się z dwóch sentencyj łacińskich: „Zawsze miałem i mam za rzecz wielkiej wagi, umiejętność obcowania z Bogiem. Dla czego? ponieważ w czasie tych zachwytyw, ćwiczy się nasza pokora“. „Atoli uważam za rzecz jeszcze większej wagi, aby umieć obejść się bez przestawania z Bogiem. Dla czego? ponieważ w godzinach téj próby, wiara ćwiczy się bez świadków, nadzieja bez spodziewanej nagrody, a miłość bez żadnych znamion przychylności Boskiej“. Jest to jak widzimy najzwieźlejsze streszczenie ascetyzmu chrześcijańskiego, w czém nie prześciga Jakopona nawet książka o Naśladowaniu Chrystusa. Podobnie jak w najextatyczniejszych kantykach św. Teresy i Jana od krzyża, wysoki nastrój namiętną miłością pałającego ducha, odzywa się w pieśni, którą Jakopone złożył w starości; jest to jakby ostatni dźwięk téj struny, co miała pęknać nazawsze.

Oto kilka wybitniejszych strofek téj pieśni:

Miłości Boża miłości  
Co w obleżeniu mnie trzymasz  
Ukochawszy cię szalenie  
Spokoju ze mną nie masz.

Już widzę jak ze stron pięciu  
Gotujesz się ku wtargnięciu;  
Przez wzrok, czucie, węch, smak, uszy  
Do warowni mojej duszy.

Bo gdy z bramy się wychylę  
Zaraz na mnie bijesz w sile.

Niech wyjść z siebie chcę przez oczy  
Wnet ta miłość mię obskoczy  
I maluje się we wszystkim  
Czy kształtami czy barw błyskiem  
I czaruje tak przyjemnie  
Że przebojem wchodzi we mnie.

W podobny sposób opowiada jak ta miłość wciska się przez inne zmysły, a tak opanowany przez nią, mówi dalej:

Jeżeli spotkam człowieka  
Co zkuszon w złém się zacieka  
Bez namysłu w niego wchodzę  
I obydwu cierpim srodze.  
O miłość ta, dziwnej cnoty!  
Gdy ukocha i lichoty.  
O Chryste ukrzyżowany  
Z téj toni wyrwij mię, proszę!  
Bo gdy widzę Twoje rany  
Usycham, że ich nie noszę.  
Czemuż dla mego zbawienia  
W siebieś wziął wszystkie cierpienia?

Jakopon około r. 1306, acz jeszcze niezgrzybiały starzec, lecz złamany umartwieniami ciała i spalony uściskami miłości Bożej, zapadł w obłożną chorobę i uczuł zbliżającą się godzinę śmierci. Bracia zakonni nastawiali nań, aby się nie ociągał z przyjęciem śś. Sakramentów, lecz oświadczył im, iż oczekuje przybycia brata Jana z Alwernii, wielkiego swego przyjaciela, z którego rąk chciał przyjąć ciało i krew pańską.

Zasmuciło to braci zakonnych, albowiem mało mieli nadziei, aby brat Jan z Alwerni mógł zdążyć na czas. Umierający nie zważając na to co mówili, podniósł się i usiadłszy na łóżku zaczął śpiewać pieśń: Anima benedetta, i nim ją skończył już obecni w celi zakonnicy postrzegli zdążających gościńcem dwóch braciszków; jednym z nich był brat Jan z Alwernii. Tajemny głos przeczucia kazał mu spieszyć do umierającego przyjaciela. Gdy wszedł do celi, ucałował chorego i udzielił mu śś. Sakramentów. Oblicze pokutnika

rozpromieniło się radością i zanucił pieśń: Jesu nostra fidanza; poczem napominał braci, aby chowali świętą zgodę, wyciągnął ramiona ku modlitwie i oddał Bogu ducha.

Działo się to w noc Bożego narodzenia, w chwili gdy księża odprawiając mszę w blizkim kościele śpiewali: *Gloria in excelsis*.

Pamięć sporów religijnych zatarła się z czasem, po Jakoponie została żywa tradycya jego umartwień i pokuty, przykład budującej miłości Boga, posunięty przezeń aż do ostatecznych granic natury człowieczeńj, a nareszcie liczne pieśni powtarzane przez gmin, któremi jak rosą niebieską połyskiwały romantyczne wzgórza Umbryi. Prostaczkowie ubodzy otoczyli miłością i uwielbieniem tego świętego męża, który dla nich śpiewał, i tłumy przychodziły modlić się na jego grobie. Jakoponowi oddawano cześć publiczną i policzony został w poczet błogosławionych kościoła, jak to widać z napisu na nagrobku wzniesionym mu w r. 1596 przez Biskupa Angelo Cesi w kościele ś. Fortunata w Todi, a mieszczącym relikwie Jakopona. Napis brzmi w tych słowach: „Tu złożone są kości błogosławionego Jakopona Benedetti z miasta Todi, zakonnika Braci mniejszych, który stał się szaleńcem z miłości Chrystusa, w ten szczególny sposób, że świat oszukał, a rozradował niebios“.

## VI.

Zwyczaj to powszechnie przyjęty, żeby szukając źródeł poetycznego natchnienia, znachodzić je wyłącznie w dziełach pogańskich starożytności. Tymczasem przykład Jakopona przekonywa najoczywistsiej, że i Ewanielia może ducha podobnie usposobić i wyobraźnię rozbudzić. — Odkąd Jakopone porzucił majątek, oklaski, zapasy prawnicze, przyjemności domowego szczęścia, zdawało się, że wziął rozbrat ze wszystkim co umysł ubogaca, odświeża i do czynności pobudza. Przyjaciele mogli żałować tej niepospolitej głowy zakopującej tyle zdolności w cichej martwocie klasztoru; atoli mylili się. — Jakopone wyzuwając się z tych naleciałości światowych, oswobadza się tylko. Poezja leży tak samo w duszy poety, jak posąg w bryle marmuru; uwięziona w niej, wychodzi na jaw w sprzyjających okolicznościach, które jak dłuto rzeźbiarza odłupują kawałki głazu, aby wyłonił się w kształt przez artystę pojęty. Podobnie żywot pokutniczy uderzając raz po raz w Jakopona, zdejmował z niego skorupę zmysłową próżności, roskoszy, pychy — skorupę nieprzepuszczającą promiennych natchnień, iskier zapału. Przez zerwanie ze światem, zbliżył się bardziej do natury. Niedarmo też w chwilach



najwyższego zachwytu, kiedy zdawało się, że wszystek zatopił się w Bogu, wołał:

Puszczę ja się na włóczęgę  
Aby czytać żywą księgę,  
Zwiedzę góry i doliny,  
Pola, lasy i równiny  
Czy tam spotkam ja sierotka  
Ciebie, o Miłości słodka?!

Wszystko co ten świat zawiera  
Do miłości mnie napiera,  
To bydełko na pastwisku  
I te ryby w wód łożysku,  
Ptaszki co w powietrzu żyją,  
Tój miłości czołem biją.

Dusza pojmująca ten śpiew stworzeń, umie go uszanować, i rytm rodzi się na ustach drżących z wzruszenia. Zresztą Jakopone wstępując pod sklepienia klasztorne, słyszał, jak się rozlegały hymnami S. Franciszka i S. Bonawentury; cóż więc dziwnego, że na ich nutę chciał śpiewać dalej; dla wycieńczonego postami i pokutą poezja była balsamem pokrzepiającym. Miał on do wyboru między dwoma mistrzami; między pieśnią Ś. Franciszka i sekwencją łacińską Ś. Bonawentury. Sekwencja dźwięcznym przeplatana rymem, przyjemnie wpada w ucho, i lepiej się podoba niż stary wiersz miarowy; wprowadzona też do kościoła za czasów Augustyna, coraz doskonaliła się, póki w trzynastym wieku najcudniej nie rozkwitła. Ś. Tomasz z Akwinu tworzył wspaniałe prozy na święto Bożego Ciała; a sławne *Dies irae* przypisywane Innocentemu III, \*) grobowym grzmotem wstrząsało sklepienia kościelne. Jakopone stanął na równi z poprzednikami swymi, i jęk Matki bolesnej odbił się w jego niezrównanej *Stabat Mater Dolorosa*. — Nasza katolicka liturgia nie zna nic bardziej wzruszającego nad ten żałośny tren, którego strofy jednotonne padają jak łyzy, ale tak słodkie, iż tylko boleść niebiańska pocieszona przez aniołów łyzy takie może wypłakać. Słowem jest to pieśń tak prosta, tak przemawiająca, że choć kto nie umie łaciny, wytłómaczy ją sobie w połowie sercem, w połowie nutą. Pieśń ta wystarczyłaby dla sławy poetyckiej Jakopona; atoli nie poprzestał na tém i złożył drugie *Stabat*, nie u stóp krzyża, lecz

1) Wadding: *anales minor...* a temi czasy ksiądz Gerlert robi twórcą tego niezrównanego *Kantyka* Tomasza z Celano, franciszkanina; być jednak może że Celano miał sobie poleczone wprowadzić tę pieśń do kościelnego obrządku.

przy żłóbku, gdzie Najświętsza Panna jaśnieje całą radością macierzyństwa. Lubo Stabat Mater Speciosa w niczem nie ustępuje poprzedzającej, jednakowoż dziwnym okoliczności zbiegiem śpiew żałobny przyswoiła sobie potomność od tylu wieków, kiedy o radosnym hymnie całkiem zapomniano i dopiero niedawno zwrócił on na siebie uwagę. — Lubo pomiędzy pismami Jakopona znachodzi się kilka innych pieśni łacińskich, widać jednak, że ten język uczonych nie na rękę był pobożnemu pokutnikowi, i podobnie jak nie przyjął święceń kapłańskich, aby zostać prostym laikiem, tak samo odrzucił i łacinę, aby składać pieśni w gminnym języku gór Umbryjskich. Raz wpadłszy w ten tór sypał pieśni za pieśniami trącające o najrozmaitsze przedmioty, czy to o najszczytniejsze zadania metafizyki chrześcijańskiej, czy o niezgody szarpiące kościół, czy o tajemnice ekstazy. — Zbiór jego poezyj liczy z górą dwieście kawałków. Często je przepisywano i ogłaszano drukiem. Rękopisów znajduje się wiele po publicznych i prywatnych księgozbiorach, a wydań liczą dotąd ośm od r. 1490 do 1617. Zaraz w początku tłumaczono je na portugalski i hiszpański język. Mistyczni poeci hiszpańscy naśladowali go, szczególnie pod względem formy, jak w tém można się przekonać z poezyi Luiza z Leonu, Ś. Terezy, Ś. Jana od Krzyża i Lopeza do Vega\*.

Pomimo że pokutnik z Todi w skrytości oddawał się studiom wiemy tyle przynajmniej, że stał się skończonym teologiem. Przypomnijmy sobie ten jego wiersz, którym żegna na zawsze uczonych i ich księgi, aby szukać prawdy na krótkiej drodze. Wszakże nie ufajmy tak ślepo tej udanej pogardzie wielkich duchów dla uczoności, zwykle bowiem raz zakosztowawszy tej służby, zostawali oni jej zwolennikami do końca życia. Kiedy Jakopone robił rozbrat z filozofią, to właściwie przychyłał się tylko do innego stronnictwa, i zrywając z dogmatystami, przechodził do obozu mistyków. Była to filozoficzna szkoła, biorąca początek od Dyonizego Areopagity, a ciągnąca się do Ś. Bernarda. We Włoszech mianowicie kierunek mistyczny objawiał się w niektórych okolicach, gdy mnóstwo osób oddawało się życiu kontemplacyjnemu. Umysły porwane ruchem krucyat, bałamucone objawieniami opata Joachima, nachylały się do odszczerpieństwa, gdy Ś. Bonawentura skierował je na mniej niebezpieczną drogę, i zatrzymał na wysokości z której mogły zatapiać się w Bogu bez stracenia równowagi. Jakopone poszedł za śladem tegoż przewodnika; widzimy go jak się przejął jego nauką, oprzenił jego światłem. Jeżeli mistyka ogólnie wzięta w wielu punktach nie wytrzymuje krytyki, to znowu przyznać potrzeba, że jest pewien mistycyzm, niepodlegający zarzutom; mistycyzm prawdziwy, będący

jądrem religijności. Każda religia nie ma przecież nic innego na celu, jak człowieka z Bogiem łączyć przez miłość, łaskę i nadprzyrodzony stosunek. Bez tego mistycyzmu nie byłoby teologii chrześcijańskiej. Ma go tak dobrze Ś. Tomasz z Akwinu, jak nasz Skarga i tylu innych, a tylko ludzie niewierzący, chytrze biorą go za jedno, z szczególnymi doktrynami filozoficznych marzycieli mistyków, gdzie z okruczami prawdy miesza się mnóstwo bałamuctw i błędów. Punktem wyjścia filozofii mistycznej jest ten moment, kiedy zstępuje w nas niebiańskie natchnienie, i odrazu odkrywa pojęciu naszemu to, czego byśmy nigdy nie odkryli za pomocą rozumowania. Atoli ten nagły promień wtedy tylko wpada w duszę, kiedy ta zapomni o sobie i w uniesieniu wyzwoli się z więzów zmysłowych.

Jest więc światło niedostępne dla uczoności, lecz dostępne dla enoty, jest droga moralna prowadząca do poznania prawdy, daleko pewniej, niż za pomocą argumentów logiki? Na tém się opierają mistycy, utrzymując, że najbystrzejszy rozum nic tu nie nada.— Jakopone idzie jeszcze dalej, i tonem przypominającym nie umiarkowanie i spokój Ś. Bonawentury, lecz gwałtowność Piotra Damiana, odrzuca od siebie i Arystotelesa i Platona; nietylko uczone tradycje starożytnych, lecz i scholastyczne subtelnosci— we wszystkiém upatrując tylko pychę wiedzy i czezość dysput sławnej podówczas paryskiej Sorbony, której przygania:

Przemądra szkoła Paryska  
Assyż do ziemi przyciska,  
Jéj lektory bałamutne  
Gotują nam rzeczy smutne.

Na inném miejscu, oddaje jednak cześć uczoności gdy mówi;

Prawdziwa mądrość miłością naucza  
Li do serc czystych dobiera klucza.

Śmiała droga obrona przez mistyków, nie jest przez to mniej mozolną i trudną. Unikając szeregu loicznych wywodów, rzucają się w głąbie duchowości, a tem samem nie mogą się obejść bez studiów psychologicznych. Pierwszém też ich zadaniem rozgmatwać płatanię natury upadłego człowieka, i zrozumieć prądy przeciwnych sobie namiętności, które go szarpia to na tę, to na drugą stronę. Jakopone podobnie jak wszyscy moralisci chrześcijańscy, liczy siedm wykroczeń naszej woli. Pięć ma siedlisko w duszy; to jest pycha z czterema córkami: zawiścią, gniewem, lenistwem i chytrością; dwa inne rodzą się z ciała: obżarstwo i rozpusta. Poeta wyprowadziwszy ten rodowód grzechu, przeraża się stanem duszy w złem pogrążonej,

i powiada, że gdzie się zagnieżdży pycha, to lepiej, żeby już sam szatan zamieszkał — a odmalowawszy każdy z tych grzechów, woła: „Pójdźcie tu ludzie, słuchajcie mnie, i dziwcie się! wczoraj było piekło w duszy, dzisiaj ją chce Bóg w raj przemienić“.

Zmiana ta nie jest wszakże dziełem jednej chwili: dokonywa się ona trzema zawodami życia; jeden zowią oczyszczający, drugi oświecający, trzeci jednoczący.

Naprzód tedy dusza ma wzbudzić w sobie obrzydzenie do swego upadku; co Jakopone objaśnia stósonną parabolą: „Gdyby król francuski — mówi on — miał córkę jedyną dziedziczkę tronu, chodziłaby w białych szatach, a o wielkich jej przymiotach mówionoby w całym królestwie. Gdyby zaś ta dziewica przez jakiś podły sentyment zakochała się w trędowatym i oddała się w jego ręce, cóżby o tym związku powiedziano? O duszo moja, tyś gorzej jeszcze postąpiła sobie, sprzedając się marnościom świata!“. — Pamięć niebiańskiego pochodzenia obudza żal i dusza płacze łzami, o których ślicznie powiada:

O łzy! w was tyle mocy i łaski,  
 Że i potęgi niczem koronne —  
 Przed sąd stajecie same, bezbronne  
 I nie zastraszą was żadne wrzaski.  
 Wracacie zawsze z zyskiem niepróżnym  
 Bo i Bóg nieraz bywa wam dłużnym. —

Atoli nie ma prawdziwego żalu bez stałego postanowienia, aby złe odrobić, odpokutować, z korzeniem wyrwać chwast grzechu. — Wola jest tu jak ów rolnik, co w zimno i upał zgięty pracuje w ziemi, a chociaż taki trud znosi, przecież nie zostawia roli odłogiem. — Tak oczyszczona dusza, usposobioną jest do wzniesienia się mocą swych zasług w wyższe sfery, gdzie Bog nie odmówi jej promienia swojej jasności. Przyjęte to u mistyków, że przystawiają do nieba drabinkę cnót, której szczeblami są: siedm darów Ducha św., potem cztery cnoty kardynalne i trzy cnoty ewanieliczne.

Drabinka wymyślona przez pokutnika z Todi, przypomina tę, o której śnił Jakób patriarchy, że oparta o ziemię, gubiła się w nieb przestworze; lecz drzewo jej rosą niebieską zwilżone, wypuściło liście i wydało owoce. Na pierwszym szczeblu stoi bojaźń i pokora, jako wstęp do doskonałości; na drugim ubóstwo i szczodrobliwość, wspólnie nienawidzące znikomych zbiorów; na trzecim litość i miłosierdzie; na czwartym posłuszeństwo i wyrzeczenie się siebie; na piątym wstrzemięźliwość i sprawiedliwość z wagą i mieczem; na

szóstym dobra rada i mądrość; siódmy zajmuje czystość, pojętność; ósmy siła i wspaniałość; dziewiąty wiara i nadzieja; dziesiąty wytrwałość z palmą w rękę; a nad nimi wszystkimi siedzi miłość, z ognistym berłem. — Albowiem, jak mówi Jakopone — miejsce to słusznie się jej należy, jako koronowanemu królowi, wszechwładnemu monarsze<sup>4</sup>. Dusza wspierając się na tych nieprzykrych szczeblach, gdy dojdzie do szczytu, w zachwyceniu ujrzy tam Istność niestworzoną, oświecającą promieniami swemi wszystkie twory. Widok ten uspokaja ją i teraz oddaje się kontemplacji. — Owóż gdy pojęciem dotarliśmy do samej prawdy, uczucie wydziera się, by się z najwyższym dobrem połączyć.

Połączenie to nie może wpierw nastąpić, dopóki dusza nie oderwie się od dóbr pomniejszych; jakoż w miarę odrywania się od nich, wznosi się coraz wyżej. Dla tego uważa on ubóstwo nie już za regułę żebrzącego zakonu, lecz za prawo władające w świecie duchów.

Jakopone podaje trzy stopnie wyzucia się z marności, które porównywa do trzech nieb starożytnej astronomii. Kiedy dusza wyzuka się z żądz bogactw, z pychy wiedzy i ubiegania się za sławą, natenczas promieniejąca cnotami, podobna jest do gwiazdzistego nieba. Atoli jak pod baldachimem gwiazd ścierają się cztery przeciwne wiatry; tak i w duszy walczą z sobą przeciwne potęgi; nadzieja z bojaźnią, wesele z cierpieniem. — Jeżeli dusza otrząśnie się z tych uczuć, staje na tym punkcie, gdzie wola objawia się bez obawy i bez nadziei, gdzie cnota w sobie samej czerpie pobudkę i odtąd staje się podobną do kryształowego nieba, wolnego od burz, i regularnym swym ruchem obracającego wszystkie sfery. Nakoniec dusza w ostatniem wysileniu może się wylenić z wszystkich wspomnień i obrazów życia, wyzuc się nawet z cnót, nie uważając je za swoją własność, i tak przejść niejako w stan nicości. Wtedy to dostaje się do empiraju, tej krainy nicości, lecz zamieszkaną przez Boga.

Zaprawdę, stan ten nie ma nazwiska; miłość jest tam bez słowa, bez myśli, bez namiętności, utopiona w przestworach światła, przestworach otoczonych ciemnością. Dusza żyje tam i nie żyje; istota jej należy do niej; przeobrażona w Chrystusie, miasto swęj woli, przyjęła wolę Boga.

Poeta w wielu pieśniach opiewał tajemnice tego unicestwienia; znał nawet niebezpieczeństwa tej wygórowanej mistyki i ostrzega duszę zapędzoną do ostatecznych krańców, aby nie spadła z tych wyżyn: „Jedna pokora i bojaźń uratuje cię; nie myśl o próżności sławy codzien kuszającej człowieka, aby coś sobie przywłaszczył“.

W rzeczy samej jest to przepaść. Kiedy poeta wprowadza duszę w krainę nicości, dla złączenia jej z Bogiem, przesada jego wyrażeń przypomina ów panteizm indyjski, który za najwyższą szczęśliwość poczytuje unicestwienie się osobistości człowieczej w ogromie boskości. Atoli ten jego wychwalany spokój spoczynku, w którym grzebie zarówno bojaźń jak nadzieję, że i zbawienie duszy staje się obojętnym, bo nawet gotów iść do piekła, aby tam zanieść swoją miłość, wszystko to prowadzi do owego kwietyzmu w jaki zawsze popadali fałszywi mistycy średnich wieków. Między braćmi spirytualnymi zakonu ś. Franciszka powstała też nowa nauka, wzniecająca niemalą obawę w kościele, aby z niej nie wyszło odszczepieństwo. Nauka ta da się streścić w tych słowach: „Podobnie jak panowanie Boga Ojca istniejące w Starym Testamencie ustąpiło miejsca Bogu Synowi w Nowym Zakonie, tak samo przyszedł czas na przyjście Ducha Ś. i teraz miejsce doczesnych przepisów zastąpi wieczna Ewangelia. Człowiek postawiony w tych nowych warunkach, może przez czas swojego pobytu na ziemi osiągnąć doskonałość błogosławionych, wolnych od grzechu. Odtąd nie będzie związanym żadnym prawem, a duch jego mając przewagę nad pożądlivością zmysłów, nie będzie się wahał dogadzać im ilekroć upomną się o swoje.

Doktryna ta wymarzona w medytacjach celi klasztornej, pochwyconą została przez dzisiejszego pseudomistyka Towiańskiego i głoszona jako nowy wynalazek, tymczasem jest to tylko odgrzana sekta średniowiecznych Fratriczellów i Beggardów.

Pokora Jakopona ochroniła go od popadnięcia w ten błąd; wie on o jej słabości, nie zapomina o niej nawet w najgorętszych zachwytach, a tych co się skłaniają do błędnej nauki, chłoszcze i gromi ostrym słowem; „Miłość pozbawiona mądrości nie wie sama jak przekroczy granicę i wywraca prawo, reguły i obyczaj, zdaje się jej, że już stanęła na tej wysokości, gdzie nic nie obowiązuje... Kto żyje bez prawa, zginie bez prawa. Idąc tą drogą, idzie się wprost do piekła, gdzie pójdą wszyscy burzyciele porządku Bożego“.

## VII,

Lubo powyższy ustęp o ile można streszcza i rozbiera mistyczne poezye Jakopona, z tém wszystkiem nie daje o nich wyobrażenia; ogniste i lotne strofy tych pieśni, z trudem tylko dają się podciągnąć pod jeden system teologiczny. Jeżeli jest ścisły związek w mistyce Jakopona, to go w poematach jego nie namacać, wyrwyją się one z jego duszy, mieszają z sobą, krzyżują się, brzęczą różnym tonem, podobne do roju pszczół, w ulu panuje ład i sfor-

ność, lecz nie ma go w roju, który wyleci na słońce i obsiada kwiaty. — Żeby dać o poezjach Jakopona wyobrażenie, trzeba by w ślad biedz za improwizacyami tego jeniusza tak nierównego lotu, trzeba by patrzeć na niego jak w zachwyceniu śpiewa zaręczyny duszy z miłością Bożą, jak pełen ironii opowiada dysputę duszy pragnącej pokutować, z ciałem co się wzdryga i wywija od chłosty, lub jak umie w czarowne szaty przystrajać duszę powołaną na rozkoszną biesiadę do raju. Przedmiot, około którego krążą jego mistyczne kancony wydawać się może monotony, za suchy, ależ jak cudownie umie go urozmaicać, jak z drobnego motywu wysnuwać całe morze harmonijnych modulacyj!... Słowem, żeby pojąć i zgłębić te utwory dziwniej oryginalności, a raczej te wynurzenia się wyjątkowego stanu duszy, żadna charakterystyka nie jest wystarczającą, trzeba je poznać, nie już w przekładzie, który choćby najlepszy nigdy oryginałowi nie sprostą, bo choćby ujął jego prostotę, tę naiwność niemal dziecinnie pieszczoną, to znowu utknie na tych misternych splotach rymów dzierzganych jak koronka, lub wysnutych tak naturalnie jak siatka pajęcza zwilżona rosą poranną i upryzmowana barwami tęczy; chciéj ją przenieść, za dotknięciem zburzysz tę misterną tkanekę... Taką misterną tkaneką są te pieśni mistyczne Jakopona, gdzie opowiada sceny miłosne między duszą a Bogiem i potraça o najszytniejsze wizye jakie tylko w najwyższej extazie odsłaniać się mogą wewnętrznemu oku, co na skrzydłach miłości i wiary gubi się w przepaściach nieskończoności. Taki stan duszy, gdy opowiada poeta nie tonem dytyrambu lub pindarycznego hymnu, lecz nutą naszych pastorałek i kolęd — odstępuje odwaga i prawie wstyd zbiera, że przychodziła pokusa tłumaczenia.

Niemogąc tedy pod tym względem zaspokoić tych, coby chcieli poznać się z mistyczną liryką pokutnika z Todi, ograniczyć się wypada do jednéj lub drugiejj kancony przystępniejszej tak pod względem formy jak pomysłu. Oto między innymi podają kanconę, w której wzdycha do stanu extazy maluje rozkosz spoczynku jéj w Bogu.

Jeżu! miłości krynico!  
 Niech Twe promienie  
 Ogień w mém sercu rozniecą  
 Rozpędzą cienie!

O słodki zdroju żywota  
 W płomiennéj obmyj mię fali  
 A serce z brudu i błota  
 W jasny się krzyszał wypali,

Ciemności je nie opadną  
 Chucią nie zmaci się żadną.  
 Niechże się dla mnie otworzy  
 Ów strumień miłości Bożej!

Miłości ognista strugo,  
 Wznieć w mojej piersi pożogę,  
 A będąc wiernym Twym sługą  
 W zachwyty rozkosz wpaść mogę.....  
 Od wszystkich więc grzechów zmazy  
 Uciekam jak od zarazy,  
 Pnąc się wyżej w tajemnicze  
 Światy, przed Tve oblicze.

O duszo! ty lotną strzałą  
 Zachwyty, wzbij się do Niego  
 I w chłodzie otaczaj chwałą  
 Nad wszystko ukochanego.  
 Uchem i okiem stęsknioném  
 Z Tobą tak szczelnie się skleję  
 Że otulony Twém łonem  
 Miłości ogniem zgoreję.

Więc dusza zamknięta w Tobie  
 O słodki Jezu mój Chryste!  
 Niech czuje o każdej dobie  
 To zamknięcie oczywiste.  
 Niech myśl obłudną i złości  
 Precz, precz ze siebie wymiecie,  
 I swą miłością w cichości  
 Ciebie, mój Jezu, oplecie. —

Daj się młodziutkim rosteczkom  
 Opleść jak splotem powoju;  
 Nie sprykszy się ssać usteczkom  
 Słodycze z Twojego zdroju.  
 Szatką z Twych dzianą promyków  
 O jakżeż się przyozdobię!  
 Nie wyrzuć mię z Twych tajników  
 Spoczynek jest tylko w Tobie.

Tylko w Twem łonie o miły!



Spoczynek ma pomieszkanie —  
 Duch co go zmysły oćmiły  
 W Twym blasku jasnym się stanie —  
 I w sercu co ci oddane  
 Inne już żądze nieznanne —  
 Bo kto się z Ciebie wychyli  
 Ten z Tobą zerwał w tój chwili.

## VIII.

Zrobiwszy wycieczkę w świat idealny, w towarzystwie pokutnika z Todi, w świat stworzony jego uczuciem i fantazyą, a pełen aniołów i postaci alegorycznych, oprzemienionych wiekiustą prawdą, rzucimy teraz krótki pogląd w świat rzeczywisty, gdzie się poeta uciera z grzesznym człowiekiem. Charakter Jakopona nie da się porównać w tym punkcie z anielskiem usposobieniem natchnionego malarza jakim był Angiello Fiesole, który opowiedziawszy cudownym pędzlem roskosze rajy, gdy się zabrał do malowania okropności piekła, nadał taki wyraz niewinności potępieńcom, a tak pocziwiał fizyonomię szatanowi, iż obraz jego zupełnie chybił celu; nie przeraził nikogo. Przeciwnie Jakopone ilekroć ochłonie ze stanu extatycznego, a oczy zwróci na zepsucie i rozstrój społeczeństwa swojego czasu, przedstawia je zaraz w tak jaskrawych barwach, że mimowolnie zapytujemy się, czy gromiący zakonnik nie popadł w przesadę? Zaprawdę nie mamy ścisłego pojęcia o stanie zepsucia i nadużyć średnich wieków. Zazwyczaj wyobrażamy sobie, iż w wiekach tych Chrześcijaństwo panowało wszechwładnie i bez walki nad duszami ujętemi w kluby przepisów kościoła; a tymczasem dwie ważne przyczyny, mało dotąd badane zagrażały i zasadom wiary i obyczajom. Jedną z tych przyczyn były jeszcze bardzo żywe wspomnienia i pozostałości po rzymskiem pogaństwie, mianowicie zabobon posunięty nieraz do tego stopnia, że we Florencyi gmin z trwożnym uszanowaniem i czcią otaczał posąg bożka Marsa, który wzięty z świątyni pogańskiej, stał na starym moście. Dualistyczne pojęcia grasowały w herezyi Albigeńskiej; a pod płaszczem filozofii Awerhoesa epikurejski materyalizm szerzył się po szkołach. Druga przyczyna, zagrażająca obyczajom, tkwiła w tych wyobrażeniach, jakie z sobą przyniosło barbarzyństwo cheiwe krwi, i niepohamowane w żądzach cielesnych. Kościół robił co mógł, stając w obronie życia ludzkiego; atoli wieki te lubowały się w krwawych scenach; wojna, ciągła wojna była hasłem powszechném. Czy to z pobudek zemsty, czy dla łupu i grabierzy, czy żeby się karmić widokiem męczarni; kto się czuł mo-

niejszym, napadał i gnębił słabszego. Na próbkę tych okropności dość przypomnieć Ugollina z synami zamorzonych głodem w więzieniu; lub tego Eccelina co jednego dnia żywcem spalił jedynaście tysięcy Padewczyków. A oważ rozwiązłość jaka się wkradła do klasztorów, aby potem przenieść się w pałace możnowładców, z kądem ciągle szturmowano do papieży o rozwody, i gdzie już przyjmowano mahometański zwyczaj utrzymywania haremów. Okrety wracające z wypraw krzyżowych przywoziły te nowości, które tak gwałtownie poczęły się szerzyć z uszczerbkiem chrześcijańskiego obyczaju, iż św. Bernard oskarżony o namawianie do krucyaty zmuszonym był uniewinniać się; on widział tylko szczytny cel — za następstwa wynikię z ułomności ludzkiej, nie odpowiadał.

Takie to były ciemne strony obrazu; a jednakowoż, choć tyle złego działo się w tych średnich wiekach, to niemniej miały one się nienawidzić to złe, i niewiedziały nic o naszym dzisiejszym pobłażaniu dla występku, a cóż dopiero o usprawiedliwianiu go przez składanie winy na poezję namiętności. Zresztą ówczesni mędrycy nie obawiali się ubliżać powadze władzy, jeżeli ogłaszali występki i zbrodnie potentatów. Żadne dostojenstwo nie mogło zasłonić od cenzury bo jeżeli zepsucie wkradło się do świętych przybytków, tedy ów bicz co przekupniów wypędził był ze świątyni, przechodził z rąk Piotra Damiana do rąk Grzegorza VII, z rąk Św. Bernarda do Innocentego III. Zresztą w wiekach tych z natchnieniem w parze szła polemika, wcale nie moderancka, lecz cięta, nieprzebierająca w łajaniach i sarkazmach. Poezya trubadurów podobnie miała cechy; kancony jej sławiły męstwo i piękność, a tak zwane sirwenty chłostały wykroczenia przeciw kodeksowi rycerstwa. — Nic też dziwnego, że i Jakopone szedł z duchem swojego czasu i pisał satyryczne wiersze zdolne zjadliwością swoją iść o lepsze z satyrykami nowych czasów, którzy jednak z trudnością dowiedliby tak czystych pobudek jak te co jego kierowały piórem. W ogóle nie mierzył on ostrzem swęj satyry w monarchów ani możnych włoskich patrycyuszów, a tēm samém i nie uderzał w wielkie zbrodnie trzynastego wieku. Satyry te składane w języku gminnym, ścięły w ogóle grzechy najpospolitsze, jak gwałt i ucisk, który najbiedniejszą klasę pozbawiał owoców potu i łez.

Maluje też niekiedy wstępną budzące obrazy, gdzie wprowadza na scenę skapstwo, lichwiarstwo, rozwiązłość, pychę, ale z tak odrażającą szpetnością, żeby w tēm większe podać obrzydzenie te alegoryczne postacie.

Niekiedy — i w tēm przypomina grabarza w Hamlecie — bierze trupią głowę i zapytuje ją, co zrobiła z oczami, ciskającemi

niegdyś takie iskry namiętne, lub gdzie się podział ten język ostrzejszy od miecza? Niekiedy pozywa grzesznika przed trybunał Najwyższego Sędziego i wkłada w usta szatana cały rejestr win ciężących na obżałowanym.

Miłość kobiet, dająca natchnienie tylu poetom, poruszyła nie-mniej żółtę tego satyryka, który jednak dotykając tego przedmiotu, trzymał się z daleka od scen rozwiązłych jakie malował Juwenalis, aby karcieć zepsucie obyczajów. Zna on mimo tego słabą stronę niewiast swego czasu — to też nie szczędzi im chłosty, za te wszystkie sztuczne środki, jakich używają, aby dodać sobie wzrostu i tusz, płci powrócić straconą białość i rumieniec.

Mniej to jednak waży w jego rozumieniu, niż niebezpieczeństwo na jakie bywa wystawiona dusza, kiedy się na jej zgubę spikną te czarujące demonki. Niedarmo też woła: „Kobieto, strzeż się zadawać śmiertelnych ran, w oku twém siedzi jad bazylizska. Wąż bazyliżek spojrzaniem zabija człowieka. Tyś okrutniejsza, bo gubisz duszę, wydierasz ją Chrystusowi, który ją drogą krwią swoją zapłacił“. — Mogłoby to wydawać się przesadą u poety; lecz surowy dla siebie, chciał pod tę surowość podciągnąć i te ułudy niewieście, straszne nieraz robiące w duszach spustoszenie. Wszystko to wchodziło w loiczny związek jego systematu.

Ta sama surowość z jaką poeta pokutnik roztrząsał i sądził społeczeństwo swego czasu, — rozciągała się i do spraw kościoła. Kochał go, lecz mu nie pobbłazał ani pochlebiał. Odkrywszy w niektórych klasztorach gnieźdzący się występki, przed którym uciekł od świata, uczuł się zdradzonym w swoich nadziejach, i podniósł krzyk zgrozy i zemsty. Oburzona Muza chwyciła za żelazną różgę Świętych pustelników, i chodząc od celi do celi chłostała wykraczających mnichów i mniszki. Między innymi alegoryami, opowiada on jak raz spotkał w przelocie jakąś duszyczkę zakonnicę zmarłej niedawno w stanie świątobliwym. Duszyczka ta przeżyła na ziemi lat pięćdziesiąt w dziewiczości, w milczeniu i postach, ale jak mu wyznała — nie umiała być pokorną; kiedy słyszałam jak mię nazywano świętą serce moje nadymało się pychą, i dlatego Pan Bóg odepchnął mię od siebie“.

W innej poezji wprowadza ubóstwo i każe mu opowiadać jak Pan Bóg posłał je na świat aby nawiedziło każdy stan i prosiło o przytułek. Ubóstwo zaczęło nawiedziny swoje od prałatów; atoli ci nie mogli znieść jego smutnego widoku i kazali służbie za drzwi wyrzucić. Ubóstwo udało się do zakonników, gdzie śpiewano pobożne pieśni; a chociaż każdy miał na sobie ciepłą rewerendę, żaden nie chciał i gadać z niem. „Mili braciszki — mówiło Ubóstwo —

czyście nie ślubowali we wszystkim naśladować Chrystusa?“ na co ję rzekli: „jeżeli się z tąd nie wyniesiesz co żywo, to ci pokażemy, że inna rzecz mówić, a inna robić.“ Nakoniec Ubóstwo zapukało do ferty Mniszek, a te na sam widok obdartej nędzarki przeżegnały się. Ubóstwo rzekło: „Bóg z wami moje siostry! mieszkałam niegdys w tym klasztorze; była tu pobożność i spokój. Teraz jakoś inaczej wygląda; niepoznaję ani sprzętów, ani twarzy!“ — „Czego tu chce ta stara widźma“ — krzyknęła mniszka — i parobcy klasztorni wypadli na nią z kijami. Ironia to, w innych czasach tak zwyczajna w ustach nieprzyjaciół kościoła, nie raziła w epoce kiedy życie duchowe zagrożone było, i prawie gasło wśród dostaków i bogactw w jakie opływało duchowieństwo i klasztory. Już św. Bernard wzdrygał się na zbytek w jedzeniu i picciu, jaki zakradł się do zgromadzeń zakonnych; łoża puchowe, wykwintne suknie, przepych w sprzętach i w przyborach do jazdy — zgoła, rozkosz światowa rozwiemożniona za kratą klasztorną. — Owoż kiedy na widok tych upadków duchownego stanu, zapalała się odwaga wielkich reformatorów wyszłych z łona tego samego kościoła nawiedzonego w swych członkach; inne duchy mniej dzielne i śmiałe, lecz niemniej czyste, widziały w tym gorszącym upadku przedmiot trwogi, ze znamion bowiem czasu wyczytywano te znaki jakie w różnych prorocत्वach zwiastowały bliski koniec świata. Dla tego to średnie wieki lubowały się bardzo w malowidłach Apokalipsy, a szczególnie w tym strasznym obrazie Antychrysta. Jakopone poświęcił mu także jedną pieśń pod napisem: „Bój z Antychrystem“. Teraz to pora — mówi on — popisać się z odwagą; przepowiedziane okropności zbliżają się, ze wszech stron ciągną i spadają piorunem. Księżyc się zaćmił; słońce powlekło się mrokiem; widzę z nieba spadające gwiazdy. — Stary wąż stargał swoje okowy; za nim ciągną tłumy tego świata; oto już wypił wszystkie wody téj ziemi, chciałby jeszcze pochłonać resztę Jordanu, i połknąć cały naród Chrystusa.“ Części wchodzące w skład tego obrazu, są to wszystko alegorye, które wykłada i tak: Słońce, to Chrystus, księżyc zaćmiony, to duchowieństwo, gwiazdy spadające — zakonnicy i t. d. Daje zatem téj apokaliptycznej scenie, zwrot satyryczny.

Z tych tedy rysów można mieć wyobrazenie o téj satyrze wcale odmiennie pojmoanej, niż we wzorach jakie nam przekazała starożytność, co nie przeszkadza aby odróżnić w niej charakter oryginalny a oraz czysto chrześcijański.

## IX.

Między lirykami Jakopona napotyka się kilka kawałków mających mniej więcej formę dramatyczną, lubo zawsze poeta nie może się wstrzymać, aby sam się nie wmięszał do działających osób i nie powiedział, że je widzi. Poemata te pisane są na różne święta i uroczystości, jak narodzenie Pańskie, Ukrzyżowanie, Zmartwychwstanie, Zielone Świątki, również w rocznicę św. Franciszka, św. Klary, św. Fortunata patrona miasta Todi. Można dostrzedz w niektórych tych scenach jakby przeznaczone były do odegrania przed publiką. Jest tu i Zbawiciel i dwaj uczniowie z Emaus, są i apostołowie gdy na nich wstępuje Duch św. a oni w świat się rozchodzą opowiadać słowo Boże. Na szczególniejszą jednak uwagę zasługuje mały dramacik przedstawiający najświętszą Pannę bolejącą nad męczeństwem Syna; dramacik, który przypomina sławne Stabat Mater. Prawdziwie kantyczkowy ten poemacik dziwnej prostoty i rzewności, usiłowałem w tłumaczeniu o ile się dało utrzymać w tonie naiwnym oryginału. Jest to dyalog między posłańcem, najświętszą Panną, pospółstwem i Chrystusem.

*Posłaniec.*

Bywaj o rajska królowo!  
 Pojmano twój Syna,  
 Straszna nań idzie godzina  
 On gotów nałożyć głowę.  
 I kto wie czy już w tej chwili  
 Biczowaniem nie zabili.

*Najświętsza Panna.*

A jakiż powód? nie wiecież  
 Że się kto targnął na niego?  
 Mój Chrystus nikomu przecież  
 Nigdy nie zrobił nic złego.

*Posłaniec.*

Pospieszaj Pani z obroną!  
 Synowi Twemu w twarz plwano,  
 Wleczono go i szarpano,  
 I przed Piłatem stawiono.

*Najświętsza Panna.*

Piłacie! o mój Piłacie  
 Nie dajcie męczyć mi Syna,  
 Niesłusznie go obwiniacie  
 Bo jakaż jest jego wina?

*Pospólstwo.*

Na krzyż! hej na krzyż zbrodniarza!  
 Wyroku nic nie odmieni.  
 On co się królem być mieni.  
 Naszą starszszynę znieważa.

*Postaniec.*

Patrz już niosą krzyż drewniany,  
 Tłum go stawia obłąkany  
 I na krzyża wysokości  
 Zawiesi światło światłości.

*Najświętsza Panna.*

O krzyżu z jakiej przyczyny  
 Bierzesz go? On mój jedyny  
 Możesz być winnym obrazy  
 Ten, co wolen grzechów zmayı?

*Postaniec.*

Patrz! już za rękę go wzięto  
 Na krzyżu ją rozciągnięto —  
 Dłoń przebił na wskrós góźdz wielki  
 I uwięztał w głębi belki.  
 Teraz drugą ciągną rękę  
 Na krzyżową dają mękę  
 Ból dopieka coraz gorzej  
 Bo mąk bez liku się mnoży  
 A teraz... patrz! patrz Maryjo!  
 Jak obie nogi przebija...  
 Przebili... i ciała brzemię  
 Utkło w to krwawe strzemię.

*Najświętsza Panna.*

Cóż pocznę po nim z rozpaczy?  
 Chyba się we łzach rozplynę...

Za niego mnie było raczój  
Wyrzeć to serce matczyne.

*Chrystus.*

Hamuj żal, o Matko miła  
Pragnę abys mię przeżyła —  
I moje ucznie wybrane  
Wspierała w dni opłakane.

*Najświętsza Panna.*

O Synu! nie mów tak srodze,  
Pozwól mi umrzeć niebodze —  
Krzyża się ramion uchwycę  
I skonam patrząc w Twe lice...  
— A tak syn i matka razem  
Jednym nakryją się głazem....  
Ciosem zabici pospołu  
Do jednego pójdziem dołu.

*Chrystus.*

Matko! w ręce twe oddaję  
Serce, co się we mnie kraje,  
Jan mój uczeń ukochany  
Będzie Twym synem nazwany.

*(Do Jana).*

Janie! tyś syn mój macierzy  
Ukochaj ją jak najszczerzej.  
Utuł, pocieszaj kobietę  
Bo jój serce wskrósź przebite.

*Najświętsza Panna.*

Synu! dusza z Twego ciała  
Przez usta już wyleciała...  
O mój świetlany niewinny  
Światło zaniósłś w świat inny,  
Co zostało, poczerniało....  
Byłeś biały, jasno-włosy,  
Licem wdzięczny jak niebiosy....  
Z jakiegoż ludzie powodu  
Zabili Cię tak za młodu?!....  
A zabili tak zdradziecko

Boleściwej matki dziecko?!....  
 — A ty nowy synu Janie —  
 Widziałeś brata skonanie!....  
 Ból uczułam nie człowieczy  
 Pierś mi przebodło sto mieczy. —

Gdybyśmy sobie wyobrazili tę scenę odegraną w dzień wielkopiątkowy, w przysionku kościoła, odegraną z tą namiętnością jaka cechuje lud prosty we Włoszech, a niezawodnie poznalibyśmy pierwsze ślady tragedii chrześcijańskiej, która właściwie nigdzie się nie rozwinęła tylko w jednej Hiszpanii. Jakiż to krzyk boleści odzywa się tu w każdym słowie, boleść nie ma nic efektowo - teatralnego, a jednak do głębi duszę rozdziera.

Podobnie radość nie miała nic wymowniejszego i bardziej ujmującego jak kolęda Jakopona na narodzenie Pańskie, czy gdy prowadzi pastuszków do stajenki, czy im kłekać każe przed najświętszą dziewicą i błagać aby pozwoliła choć na jedną minutę popieścić się z nowonarodzonym dzieciątkiem. Tylko w oryginale, podobnie jak nasze kantyczki i kolendy, można poznać te niezrównane piękności, i tę melodię muzyczną, tak samo przenikającą i rozrzucającą, jak to nucenie nad kolebką, któreby przypomniało nam nasze niemowlęstwo. — Ów tedy teolog, ów surowy cenzor kościoła i społeczeństwa, robi się maluczkiem z maluczkiemi, przemysłiwa jak ich zabawić, a i serce razem pokrzepić, i wynajduje kantyczki dziwniej prostoty i słodyczy.

Nasze pastorałki czy mogą być naśladowaniem Jakoponowych kreacji? nie mniemam. Poezya jego pisana po włosku, jak w ogóle cała literatura włoska, zupełnie była u nas nieznaną. O Dantem i Petrarce wiedziano tylko z ich łacińskich utworów. W XVI dopiero wieku poznaliśmy Ariosta i Tassa. O naśladowaniu zatem tego wzoru nie może być mowy, tak, jakbyśmy naśladownictwo kantyków Jakoponowych mogli wykazać najwyraźniej w literaturze Hiszpańskiej — ale co niepodpada wątpliwości, że te nasze kantyczki wytrysły z tego samego źródła. Tradycja franciszkańska przeniesiona do naszych klasztorów stworzyła i u nas ten rodzaj popularnej pieśni, która przeżyła już niejedną literacką sławę.

## X.

Czego jeszcze pominąć niepodobna w przeglądzie utworów tego śpiewaka ubogich, to jego hymnu na cześć Ubóstwa. Nigdy lud prosty nie miał gorliwszych i szczerzych sług, jak w tych żebrzą-



cych zakonach, dających mu przykład na sobie i nauczających go znosić los ubożuchny i błogosławić temu przeznaczeniu; one to bowiem ciężkie narzędzie pracy wyrobnika umiały zrobić lekkim — a co większa, w ciemną i chłodną izdebkę wpuścić promień nadziei. Zapewne też nieraz zdarzało się, że o zachodzie słońca, kiedy robotcza ludność wracała po dzienną pracę z pola, to z pługiem, to z motyką, to z wiązką chrustu, przyłączyło się do tego upałem dziennym znużonego grona, kilka zakonników Franciszkańskich, dobrze znanych ubogim miasta Todi, i z melodyą dzwonka bijącego na Anioł Pański, mieszało nutę ulubionej pieśni Jakopona, w której śławi Ubóstwo. Pieśń ta musiała być bardzo popularną, bo nadzwyczaj prosta, rzewna, a nadewszystko uśmierniająca niepokój wewnętrzny.

Oto ważniejsze z niej ustępy, o ile się dało, ujęte w prosty styl oryginału:

Dolce amor di povertade  
 Quanto ti degiamo amare!  
 Povertade poverella  
 Umiltade e tua sorella.

Ubóstwa słodka miłości,  
 Czemu cię serce ugości!  
 Tyś maluczka, ubożuchna  
 Jak pokora, twoja druchna,  
 Nie potrzeba ci nakrycia,  
 Do jedzenia i do picia;  
 Krom korzonków, wody, chleba,  
 Ubóstweczku nic nie trzeba;  
 Wybredniejszą zadowoli  
 Dorzucona szczypta soli.  
 Spokój znać w jej każdym kroku.  
 Niedopatrzyć troski w oku.  
 Ni się lęka by złodzieje  
 Włamali się w jej wierzeje.  
 Bez tłumoczka, jak wiatr lekka  
 Do drzwi puka, u drzwi czeka,  
 Zwykle z sobą nic nie nosi,  
 Oprócz chleba, co wyprosi.  
 Nie zna co miękkie łóżeczko  
 Co swój kącik, swe gniazdeczko;  
 Nie dla niej zastawne stoły:

Obiad je na ziemi gołój,  
Lecz na śmierć idzie bez wstretu,  
I nie pisze testamentu;  
O spadek po niej najpewniej,  
Nie pokłóca się jej krewni. —

.....  
O ubóstwo! tyś kochanką  
Moją, tyś nieba mieszkanką!  
Nosisz w sobie skarby nieba,  
Więc ci z ziemi nic nie trzeba.  
Gdybyć przyszła żądza złota,  
Wesołość twą zje zgryzota....  
....Ubóstwo nas doskonali,  
Od pokus trzyma najdalej  
I uczy gardzić tém wszystkim,  
Co robi losu igrzyskiem.

.....  
Po ulicach każąc chodzi,  
Do ubóstwa lud nawodzi.  
„Porzućcie mamonę złudną!  
Na tamten świat zabrać trudno,  
Te majątki i te zbiory,  
Godności, stroje, bisiory!  
Czy wziął kto z sobą majątek,  
Gdy śmieć przecięła dni wątek?  
Chcesz z ubóstwem zawrzeć śluby,  
Nie wdaj się z światem w rachuby,  
A sobą gardź bez litości,  
Wewnątrz i z powierzchności. —  
Ubóstwo nie mieć nie może,  
Na całym ziemskim przestworze.  
Samo niech poniża siebie,  
Choć z Chrystusem będzie w Niebie.  
O wielki ubóstwa święty  
Franciszku! Ty rozwinięty  
Wznieś proporzec — krzyża godło  
Nigdy jeszcze nie zawiodło!

Takie podniesienie ubóstwa, taka cześć oddana mu w obliczu wszystkich ziemskich wielkości — słowem dzieło św. Franciszka z Asyżu i jego uczniów, wystawione na widok wieków średnich, nie pozyska dzisiejszej opinii, a nawet ma ją wręcz przeciw sobie. Świat

nam współczesny, porzucił tamtą drogę, a wszedł na inną, która ma doprowadzić do równej porcyi szczęśliwości dla wszystkich. — Nie więc dziwnego, że dzisiejszość patrząc na te usiłowania ludzi dających ze siebie przykład i ofiarę, obwinia kościół, że zamiast ubóstwo wyzwolić i uzacnić, uprawnił żebractwo i poniżył godność człowieka przez jałmużnę. Lecz nie tu koniec wymówkom; zarzucono jeszcze społeczeństwu chrześcijańskiemu, że miłosierdzie jest jego wynalazkiem w tym celu zrobionym, aby się uwolnić od wymiaru sprawiedliwości.

Wszakże pomimo tych pięknych obietnic, jakiemi karmią nas założyciele ziemskiego raju, żebractwo i jałmużna pozostają nieuniknionym warunkiem każdego ustroju społecznego, a tém samém doli człowieka. Widoczne to, bo niezaprzeczone, że Opatrzność, wpierw jeszcze niż kościół, nałożyła obowiązek na człowieka względem drugich ludzi, na pokolenia względem drugich pokoleń, żeby sobie dobrodziejstwa świadczyły i to bez odpłaty; co więcej, najdumniejsze duchy postawiła w konieczności prosić o jałmużnę i przyjmować takową. Gdzież jest człowiek najbardziej wolny, któryby nie brał jałmużny, choćby od swoich rodziców i od ojczyzny; któryby nie był ubogim, czy majątkowo, czy umysłowo, i obchodził się bez żebrania o datek u możnych lub uczonych? któryż uczony nie schylał się do stóp uczeńszego od siebie, i nie żebrał o światło nauki? — a szczęśliwi, czyż nie żebrzą uciech? strapieni, czyż nie idą żebracłzy politowania na łonie przyjaciela? A też składki, loterje, bale, teatry wyprawiane na cele dobroczynne, z których zebrany grosz rozchodzi się na potrzebnych — czémże są inném, jeżeli nie jałmużną, tylko pod inną firmą?

W każdym razie nasz wiek najmniej ma prawa zarzucać kościołowi, że wypielegnował żebractwo, kiedy żebractwo praktykowało się zawsze i praktykować będzie pomiędzy ludźmi. — Pojął to św. Franciszek z Assyżu i stał się żebrakiem jak wszyscy, lecz na to, aby im służył; nieszczęśliwy bowiem najlepiej lubi, żeby był obsługowany przez podobnego sobie.

Z drugiej strony jałmużna, jaką przyjmowały zakony żebrzące, jałmużna zalecona i błogosławiona przez kościół, nie jest bynajmniej zachętą do próżniactwa. Jałmużna jest drobném wynagrodzeniem usług, które nie są płatne. Wielkie usługi oddawane społeczeństwu, bez jakich żaden naród obejść się nie może, nie kupują się, ani sprzedają, ani dają obliczyć na pieniądze. — Płacimy za towary po sklepach, ale nie jesteśmy w stanie zapłacić ani za poświęcenie się kapłana, ani za sprawiedliwość sędziego, ani za krew żołnierza. — Społeczeństwo daje im tylko chleb, aby mieli żyć z czego i służyć

mu. — Podobnie zdrowy wyrobnik daje swą pracę i odbiera zapłatę; lecz ubogi, który cierpi, zasługuje się, a w kościele reprezentuje i dalej prowadzi dzieło Chrystusa, taki ubogi przyjmuje jałmużnę. Z tej to, a nie innej przyczyny; wielkie zakony religijne w średnich wiekach powstałe, najuczciwsze i najczynniejsze, ślubowały ubóstwo i przyjmowanie publicznej jałmużny, przez co nadawały jej piętno szanowne i bynajmniej nie upokarzające; bo któżby śmiał powiedzieć, że społeczeństwo upokarza ubogiego, kiedy tym samym jałmużniczym groszem płaciło i tę naukę, jaką z katedr swych udzielały tak potężne umysły, jak św. Bonawentura, św. Tomasz z Akwinu.

Lecz wróćmy do poetycznego pokutnika.

Rymy jego miały to, czego dla nich pragnął, to jest podobały się prostaczkom i używały między gminem wielkiej popularności, co wnosić można z mnóstwa rękopisów, znajdujących się we Włoszech, Francji i Hiszpanii, niemniej z ośmiu wydań sporządzonych od 16 do 17 wieku. —

Ze zmianą wyobrażeń, a głównie że poezya przyjęła służbę dość niewolniczą w odnowionej i za wyrocznię uznanej starożytności, że wreszcie trzymała się dworskiej klamki, a tém samém zerwała stosunek z ludem i maluczkiemi — sława i pieśni pokutnika z Todi poszły w zapomnienie, tak dalece, że prawie nie było dlań miejsca w dziejach literatury. W ostatnich dopiero czasach odszukał go francuski znakomity pisarz Ozanam, a za nim poszli i inni.

Atoli nietylko same utwory poetyczne, lecz i postać poety wielka i oryginalna, gorejąca miłością Boga, miotana namiętnościami politycznymi, pokorna i zuchwała, uczona i kapryśna; zdolna do najwyższej ekstazy i do zapalczywych gniewów — postać ta ukazuje się jak nowe odkrycie na tle trzynastego stulecia, niby z gruzów wydobyty posąg dłuta nieznanego i jeniealnego mistrza.

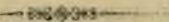
Nie sądźmy jednak, żeby Jakopone jako pisarz, nie miał stron ujemnych; ma ich i niemało: między innymi popada w grubą trywialność; wyobrażenia jego nie ma tej wstydlivosti, która się nazywa dobrym smakiem, a smak dobry nie znosi w niczém przesady. On przeciwnie lubuje się w odrażających obrazach; i tak, kiedy modli się do Boga, aby dla obmycia go z grzechów, spuścił nań wszystkie choroby, wylicza szereg tych chorób tak obrzydliwych, że same ich nazwy wstręt budzą. Mimo tego zawsze on zajmuje bardzo wysokie miejsce w poezji włoskiej. Poprzednicy jego byli tylko słabym echem trubadurów prowensalskich i jedni drugich naśladowając, żyli komunałem, kiedy on brzydzi się powtarzaniem rzeczy oklepanych. Nie naśladowuje nikogo, chyba kantyki św. Franciszka z Assyżu,

a i te służą mu raczej za motyw do jego waryacji wygrywanych na szeroką skalę. Dla niego sztuka robienia wierszy, nie jest zabawką, lecz obowiązkiem. Gwałtowne uczucia, jakie nim miotają, przeszły w jego styl i dają mu porywającą siłę. Słowem, można powiedzieć, że nim on zjawił się, poezya włoska ledwie wypierzyła się—jego kancony dały jej skrzydła.

Jakopone o wiele wyprzedził swoich poprzedników; jest to nie-mała zasługa; atoli ma on jeszcze drugą; oto utorował drogę największemu jeniuszowi poezyi, jaki po nim nastąpił.

Utrzymuje się tradycya, że Dante znał pokutnika z Todi, że go polubił, i że gdy jeździł w poselstwie do Filipa Pięknego, deklamował temu królowi jeden z satyrycznych wierszyków Jakopona, wymierzonych przeciw Bonifacemu VIII. Czy to prawda, czy nie? lecz to pewna, że gdy Dante zabierał się podnieść głos poetyczny, którego słuchaczami miały być całe pokolenia idących po sobie wieków, musiał nieraz sobie pomyśleć, że tych słuchaczy przygotował mu jego poprzednik, troisty poeta: teologiczny, satyryczny i gminny.

Trzy te pierwiastki czyż nie weszły w skład Boskiej komedyi?



# LISTY

## ALOIZEGO FELIŃSKIEGO.

WYDAŁ

**J. I. Kraszewski.**

Pamięci czcigodnego

GUSTAWA HRABIEGO OLIZARA.

Zmarłego w Dreźnie d. 2 lutego 1865.

poświęcone przez

J. I. Kr.

Historya ludzi to właściwie historia pojęć i idei, których oni byli przedstawicielami, które przyjęli, wyrobili i rozwinięte przez się, poprawione czy popsute oddali drugim... aby szły i przekształcały się dalej.

Nawet w swém życiu prywatnem człowiek jeszcze przedstawia nie oddzielną jakąś cząstkę samoistną, ale społeczeństwa swego składowy organ, i obyczajem, życiem, namiętnościami nawet i słabościami, reprezentuje wychowanie jakie odebrał, wpływy jakim uległ, sferę w jakiej się obracał.

Niema więc dla historii rzeczy obojętnych, należy do niej wszystko i wszyscy... Oderwana część staje się niezrozumiałą, sucha jak wykrojona sylwetka... ale połączmy ją na żywym tle wieku, a stanie się pojętną — spajając z tą całością z której wyszła i do której nierozzerwanie należy. — Człowiek co spędził życie na wsi u roli, niewyszędłszy za kres skromnych obowiązków głowy domu i pana gromadki... może tak dobrze należeć do historii swojego czasu, jak poroniony bohater który się spinał do sławy i znaczenia, a niedorósł obojga. W historii literatury bardziej jeszcze jak w innych... wszystko ma znaczenie i pomaga do poznania epoki, jej pojęć i wyobrażeń, drogi którą szła do dalszych swych dążąc przeznaczeń. Tu maleńkie nawet indywidua pewne strony ruchu w siebie ujęte, naj-

doskonalej przedstawiają. Bez nich obraz byłby niepełny. Dlatego gdy po drodze trafia pracujący na żywe obłamki przeszłości, chciwie je chwytą choćby na pozór nie były wielkiego znaczenia.

Dla postrzegacza, każdy pyłek może być przedmiotem studjów... cóż dopiero żywa istota... wlana w społeczność, na której się wszystkie jęj barwy odbijają.

Z epok w literaturze najmniej głośnych i półmartwych, które po sobie niewiele zostawiły śladów, materiał taki tem cenniejszy, że odsłania robotę ducha ukrytą. Nie spał on nigdy, ale czynności jego objawiały się raz dzielniej i wyraziściej, to słabiej i trwoźniej, raz im sprzyjało wszystko, to znów głużyło.

Do takich epok przygotowawczych należy u nas koniec panowania Poniatowskiego, czasy porozbiorowe, aż po chwilę rozbudzającego się znowu życia w końcu pierwszej ćwierci naszego wieku. Pisarze epoki Stanisławowskiej milkną, kraj się rozłamuje i rozsypują ludzie, ogniska nowe tworzą... Tradycje literackie zmieniają, prądy inne przerzynają odłogujące pole. — Życie się przenosi z Warszawy zbolałej i wycieńczonej na Wilno i Krzemieniec. Pisarze wykształceni na literaturze klasycznej greckiej i łacińskiej schodzą, ustępując miejsca literaturom na francuzkich wzorach wyrobionym... którzy gotują pole nowym na niemieckich ideach mającym wyrosnąć.

Daje się to postrzegać w całej historii literatury naszej iżeśmy zawsze odbijali w sobie, na swój sposób, co w Europie tętniało.

W chwilach gdyśmy tego posłannictwa nie spełniali, życie w nas ustawało. Ta rola na pozór skromna, wcale jednak nie była podrzędną. W świecie przyrody jak w świecie myśli niema funkcyi niepotrzebnych... w organizmie ludzkim niema organów bezużytecznych, są tylko których pożytku i zadania ślepotą nasza, krótkowidzenie nie dozwala dojrzeć.

Polska z materiałów, które wsiąkały z zachodu i wschodu tworzyła swe miody, na których lipową woń lub aromat roślin z jakich je brała czuć było — lecz miody te przetwarzała siłą swojego organizmu... Pojęcia europejskie szczepiły się tu na wschodnich płonkach jęj plemienia; a że do praw bytu należy, że co pracuje i rośnie to najsilniej wpływa i ruch swój udziela otaczającemu — zachód też na Polskę zawsze najsilniej działał, bo na zachodzie pracowała, ruszała się, dobijała ludzkość przyszłości.

Już od Stanisława Augusta epoki wpływ literatury starożytnej ulegać poczyna pod silniejszym francuzkiej... zamiast pierwowzorów, czerpiemy z naśladowców. Naśladowcy ci, francuzi, z literatury starożytnej biorą formy, ducha nie mogą ująć, a swego w tę robotę wlewają mało, bo go zużytkowują na innych polach i drogach...

My z księżycowych tych promieni literatury francuzkiej odbijamy jeszcze bledsze światła...

W dziejach i obyczajach tkwi przyczyna dla której Francya twórczą być nie może. Rewolucya ostatka XVIII w. wyczerpuje jęj siły, ruch przenosi się na pole filozofij i nauk społecznych — sprawa piękna ginie przy ważniejszej, sprawie bytu... Jest to też epoka, w której duch pozbywszy instynktu twórczego, rozumem buduje, na zimno, olbrzymie gmachy osnuwa w myśli — ale w jego dziełach niema natchnienia i niema pewności — jaką daje ślepy ale niemylny instynkt wieków pierwotnych.

Literatura z końca XVIII w., po wygaśnięciu encyklopedystów, po łabędzim śpiewie Chenier'a zamiera nim odżyje w Chateaubrian-dzie i pani Stael.

W Polsce po Krasickim, Naruszewiczu, Trębeckim... cisza przerywana tylko kilku nieśmiałemi głosami, które tonu pieśni i wątku myśli szukają, nawołując się jak w lesie zbłąkana gromadka. Wojny napoleońskie zabijają francuzką literaturę, która służyć uzur-patora być nie mogąc, niezależną być nieśmiejąc, staje się zwiędłą i nieznaczącą...

Wojny te, które iskrę uspiętego narodowego jenuzu doby-wają z uciśnionych a zbierających się do walki niemiec — pochła-niają i całe pokolenia i całych pokoleń umysłową działalność — Poezja, dramat odegrywają się na wielkich polach bitw, które o losach cywilizacji stanowią. Francya militarnie zwycięzka, wielka, sławna, duchowo jest już niższą od Niemiec, które z politycznej sceny zepchnięte, całą swą czynność skupiają w pracy naukowej i literackiej.

W Polsce — walka o byt pochłania wszystko. Cóż znaczy pieśń, gdzie się życia dobijać trzeba... Co nie jest walką o byt... milknie... ginie... uchodzi... Losy narodów i nasze rozstrzygają orężem i na pobojowiskach dyktowane traktaty...

Czytajmy pamiętniki z tych czasów... przypomnijmy sobie po-wieści dziadów i ojców — żył kraj mowami Napoleona, wieścią od oddalonych legionów... jutrem tylko a nadzieją...

Ani się dziwić można, iż wśród tęg troski, ani znuadne badania naukowe, ani pieśń nie była w myśli. Mała ledwie garść ludzi, co powołaniu zostali wierni, pracowała i rymowała po kątach...

W tęg to chwili dla literatury wcale niepomyślnęj, pomiędzy znanemi poetami czasu niepoetycznego wcale — znajdujemy imię Aloizego Felińskiego, autora Barbary. Najczynniejszy okres jego ży-cia rozpoczyna się z początkiem wieku, lub o kilka lat później;



kończy w r. 1820. Feliński lubo oddalony od ogniska Warszawy, a nawet od innych centrów działalności, lubo wieśniak i gospodarz... szczególnie w sobie przedstawia epokę tę rozbudzenia życia, której na Wołyniu motorem głównym był Tadeusz Czacki... Wypadek szczególny, dozwolił ś. p. Gustawowi Olizarowi z kosza na spalenie przeznaczonych papierów ocalić jego długą dosyć i charakterystyczną korespondencją z przyjacielem Rudzkim, później sekretarzem komisji oświecenia w Krzemieńcu. Z niej to i ze wspomnień własnych wyczerpniemy kilka szczegółów, które na ten chmurny perjod pewne światło rzucają.

Alozy Feliński jest dzieckiem tej części Wołynia, która właściwie Polesiem wołyńskim się zowie. Stara to Łuczana i Drehiczan sadyba, wśród której wznosi się u brzegów Styru, zameczko odwieczne za Witoldowych czasów dźwignięte, sławne zjazdem monarchów w XV wieku, później stolica ziemi łuckiej... naostatku dziś już wielka ruina. Za czasów ojca Felińskiego, Tomasza, który miał dwie wsie, jedną w Polesiu głębokiem położoną Osowę, drugą na Wołyniu żyzniejszym Wojutyn, Łuck żył tylko jako stolica sądownictwa, jako stolica biskupia, jako zjazdów obywatelskich ognisko. Majetności otaczające, z wyjątkiem niewielu drobniejszych, należały ogromnemi przestrzeniami do rodzin pańskich, już prastarych ruskich, jak Olizarowie, już to jak Platerowie, osiadłych później, do Czackich, do Krasickich i t. p. — Kraj ten lasami był olbrzymiami zarosły, a choć Styr spławny ułatwiał ich wyniszczenie i handel towarem leśnym, jeszcze naówczas puszcze te prawie się nietknięte zdawały... Dopiero pierwsza ćwierć XIX w. wyniszczyła je, i cios im ostatni zadała.

Wśród tych lasów niezmiernych, wsie i miasteczka połączone lichemi drogami, leżały nasypane na trzebieżach. Wiele z nich prawie uprawą roli się nie zajmowało; las, barcie, młyny, cały z nich dochód stanowiły... Majątki te polskie nie przynosiły wiele, lecz życie w nich było wygodne... Drobniejsza szlachta przy pańskich dworach się skupiała. Życie jeszcze w nich się gromadziło, od nich szło. Tomasz Feliński miał jako biegły prawnik stosunki z rodziną Czackich, która około Włodzimierza i Łucka znaczne posiadłości dziedziczyła. — Alozy Feliński od dzieciństwa niemal znał i zbliżonym był do Tadeusza Czackiego... o kilka tylko lat starszego od siebie. Główną szkołą w tej części kraju była Dąbrowicka, kk. Pijarów, w majątności hr. Platerów. Ona wychowała całe pokolenie ziemian Wołyńskich, wraz z Międzyrzeczką. Pijarowie naówczas jako spadkobiercy Jezuitów, oświatą kierowali... W naukach u nich pobieranych, kierunek francuzki przeważał. Łacina nie była zaniedbaną, lecz nadu-

życie jej u Jezuitów, zrodziło reakcję... Pijarowie pragnąc postępu, zwracali się ku pozornie rozwiniętej umysłowo Francji. Język francuzki, literatura, miały tu pierwszeństwo, nowożytne w ogóle nabierały ważności. Odbija się to w Felińskim, który wybornie pisał w języku francuzkim, i angielski nie był mu obcy. Po niemiecku nie umiał wcale, i nauczył się pono sam po włosku. Ze szkoły Dąbrowickiej przeszedł Feliński do Włodzimirskiej powiatowej, ale już naówczas więcej jeszcze u Czackich przesiadywał niż w szkole. Tadeusz Czacki musiał też wpłynąć na niego i poznać zdolności, gdy go w r. 1789 zabrał z sobą jako pomocnika do porządkowania archiwów do Warszawy. Zajmował się tu układaniem aktów, czego ślad pozostał w metrykach koronnych. Jeździł potem razem z Starostą Nowogrodzkim dla obejrzenia skarbu koronnego do Krakowa.

Stosunki te powstałe z Czackimi, wyjednały mu polecenie do hr. Tarnowskich pokrewnych im, i w r. 1791 Feliński umieszczony został jako nauczyciel przy młodym hr. Janie Tarnowskim siostrzeńcu Czackiego. Aż do r. 1794 i powstania Kościuszkowskiego, bawił w Horodowie lub Dzikowie w Galicyi, rezydencyi tej gałęzi rodziny.

Nie mamy szczegółów o udziale jego w wypadkach 1794 r. innych nad to, iż był przy Kościuszcze sekretarzem do francuzkich korespondencji.

Już w końcu wieku, po upadku i rozbiórce Polski, znajdujemy go na odziedziczonej ojcowskięj posiadłości na Wołyniu, procul negotiis, i tej epoki sięga przyjaźń czuła łącząca go z Rudzkiem, Tymienieckim i Wyszyńskim, zawiązana w Warszawie, rozdziałem raczej wzmocniona niż osłabła. Serdeczny ten węzeł czwórki: Rusia, Tysia, Wycia i Felsia — nieostał zerwany do zgonu. Oddaleni od siebie, wiernymi byli i przyjaźni i przekonaniom co ją obudziły. — Tu więc choć parę słów o przyjaciółach wiernych Felińskiego.

Rudzki, Franciszek Skarbek, urodzony w Warszawie w r. 1766 domownik i przyjaciel Ossolińskiego i Czackiego, wysoko wykształcony, znakomitych zdolności człowiek, który całe życie zawodowi publicznemu poświęcił i lat trzydzieści w komisji edukacyjnej niezmordowanie pracował — mniej daleko jest znanym, niżby załugiwał. Z prac piśmiennych nie pozostało po nim nic więcej prócz śladu zaginionego rękopismu: Myśli o świecie i życiu; ale to był przedewszystkiem człowiek czynu i wpływu, już jemu nie szło o sławę, o rozgłos, ale o fakta. Dawał za siebie działać innym, a pchał ich myślą swą i dozwalał by im spełnionej idei zasługa się liczyła. Wielkiei prawości charakteru, energii, umysłu jasnego, poświęcenia trwałego, pomagał Czackiemu w jego edukacyjnych planach

i był ich głównym wykonawcą. — Z papierów chyba tego czasu, dotyczących liceum Krzemienieckiego możnaby ocenić, co w dziele Czackiego Rudzkiemu przynależy, a pewnie część nie mała... Jako człowiek, miły był, uczynny i przyjacielski, pracowity bardzo, lubił literaturę, a sam niewiele pisząc, radą był piszącym skuteczną, i trafnym krytykiem. Najczulsza przyjaźń łączyła ich z Felińskim.

Do tej czwórki należał jeszcze Konstanty Tymieniecki (ur. wr. 1767) syn miecznika Sieradzkiego, wyborny tłumacz Ossiana, Terencyusza, Tompsona. Tymieniecki równie jak Feliński brał udział w wypadkach roku 1794, później osiadł na wsi, gospodarstwu i literaturze się poświęcając (zm. 1814 r.). Ostatnim ze czterech był Michał Wyszkowski, późniejszy wydawca pośmiertnych pism Tymienieckiego (urodz. r. 1770). Kaliszanie, urzędnik i literat., człowiek pięknego ukształcenia, wielkiego smaku, pierwszy Klementyny Tańskiej doradca i przewodnik, autor dziś mało znanych poezij.

Los tych czterech szczerych przyjaciół, których lata spędzone w Warszawie, w czasie czteroletniego sejmu i rewolucja Kościuszkowska zbliżyły — rozpedził potem po kraju... Rudzki pozostał przy Czackim i komisji edukacyjnej, Tymieniecki zamieszkał w swym dziedzicznym Prażnowie, Wyszkowski w stolicy, Feliński na Wołyniu, między Wojutynem a Osową — w pośród serdecznych Łuczan.

Stosunki wszakże nie były na chwilę zerwane, wszyscy pisywali do siebie, wszystkich ich zajmowała literatura.

Z tej to epoki mamy cały szereg listów Felińskiego do Rudzkiego, który się poczyna od r. 1795, a ciągnie aż do 1819. Liczba ich nie jest znaczna, ale rzucają światło na życie literata na wsi w owym czasie, na przedmioty którymi się głównie zajmowano, na to co czytano, na czym się kształcono, wreszcie na wszystko co się w życiu ówczesnem przeważnie odbijało.

W lutym już r. 1795, Feliński znajdował się we Lwowie, po ukończeniu rachunków z Czackim, który zgodził się na to, ażeby na wieś pojechał gospodarować. — Posiadłości niezawodnie tego wymagały. Rudzki był jeszcze naówczas w Dzikowie u hr. Tarnowskich... Oto list pierwszy :

Lwów, dnia 27 lutego 1795 r.

Na samym wyjeździe będąc, bardzo krótko do ciebie piszę, choć chciałyby bardzo długo. Niezmiernie się cieszę z tego żeś w Dzikowie; i nie mniej tobie jak hrabstwu wieszuję. Co za szkoda, że ja z wami teraz być nie mogę. Przeznaczenie moje widzę jest, być wieśniakiem, admirać z daleka wielkie genjusze, drwić trochę z głupich i z arystokratów, a kochać zawsze swoich przyjaciół. O wielu rzeczach miałbym z tobą pometafizy-

kować, ale cóż ja winien, że będąc o 30 mil od ciebie, nie można z sobą gadać. Pisuj przynajmniej do mnie choć najdłuższe traktaty metafizyki, fizyki, astronomii; byle nie polityki! Ty nawet nie potrafisz mi teraz zrobić tej materyi interesowną. *Je vois toutes mes idées reuversées, et je n'eu forme plus.* Antonowicza najserdeczniej ściskam. Pisałem do niego niedawno. Nie daruję poczcie, jeśli go mój list nie doszedł; ani jemu, jeśli mi na niego nie odpisał. Poznałem się tu z jego wielkim przyjacielem Makowskim. Pytał się mnie o jego powodzenie z największą ciekawością i przyrzekł, że sam będzie do niego pisał. Bienkowscy mu się ślicznie kłaniają. Muszę się też przed tobą pochwalić, że najlepiej skończyłem ze starostą Nowogrodzkim <sup>1)</sup>, podarł mój skrypt z dawnych rachunków u niego pozostały; obiecał mi darować wiele rzeczy na nowe gospodarstwo *et il m'a comblé de caresses et de promesses. En vérité j'ai lieu d'être content de lui, et je commence à croire qu'il a pu en effet m'aimer un peu. Pour moi, je vous aime toujours le plus tendrement et vous estime tous les jours de plus en plus. Adieu.*

Czekam z niecierpliwością długich twoich listów.

*Tout à vous.*

*A. F.*

W kwietniu już 1795 r. zamieszkał w Wojutynie i ztąd odzywał się do Rudzkiego, który znać nauczycielem będąc jeszcze przy młodym hr. Tarnowskim nudził się i nie był rad położeniu swemu, wyobrażając że mało jest użytecznym. List na pół francuzki, (co także owe czasy maluje) — odnosi się do tych stosunków:

Wojutyn, 16 kwietnia 1795 r.

*Mój Rusiu!* Sam nie wiedziałem, jak miałem przyjąć tyle oświadczeń, przyjaźni, szacunku, czułości; które w bardzo wielkich pakach od tyłu was odebrałem. Gdybym je wziął za żarty, tobyście się może gniewali; a gdybym im wszystkim zupełnie uwierzył, tobyście się pewno śmieli. Cóż tedy robić było, kiedy szło o reputacyą tyłu tak słusznych ludzi? Wolałem raczej wiaść o sobie opinią nadto dobrą, aniżeli o was nadto złą. Wreszcie złożyłem wiele na waszą przyjaźń, wiele na moje oddalenie. Oboje to zawsze inaczej wystawia rzeczy, aniżeli są w samej istocie. To powszechnie zdaje się nam dobre czego już nie ma. Pan Jan chwali teraz L..., którego dość dawniej nie lubił, dla tego podobno że umarł, a mnie czy nie dla tego że już nie jestem przy nim. Wada to jest serca ludzkiego, od której mało kto podobno jest wyjęty. Mógłże się spodziewać Wolter, odbierając od króla Pruskiego najczulsze listy, że potym skończywszy najśliczniej z tym swoim Salomonem, będzie musiał napisać:

*On m'a dit je vous aime, et j'ai cru comme un sot,  
Qu'il y avoit quelque sens attaché à ce mot.*

Wierz mi, kochany Rusiu, że im więcej w ciągu życia swojego poznaje się królów, panów i kobiet, tym coraz bardziej człowiek staje się niedowierzający. Nie idzie jednak za tym, że ja nim teraz jestem. Mógłżebym

<sup>1)</sup> Tadeusz Czacki.

się pozbawiać jedynej słodyczy, która mi zostaje w przyjaźni waszej? Ty mi twojej tyle już dałeś dowodów, że i na moment jeden wątpić o niej nie mogę. Nie będę ich wyliczał: dość tobie wiedzieć o tym, że o nich pamiętam.

Miałbyś wielką racją wymawiać mi uchybienie, gdybym wiedząc o twoim przebywaniu w Dzikowie, w moich listach zapomniał o tobie. Ale w tej mierze już podobno tłumaczył się przed tobą Wyszkowski; więc ja nie potrzebuję.

Chcąc utrzymać reputacyą, jaką powiadacie, że mam w Dzikowie, wypadałoby mi do was nie przyjeżdżać. Wiele zapewne na tym stracie, że dam się z bliska widzieć, ale ja wolę żebyście mnie więcej kochali a mniej chwalili. Przyjadę więc i będę miał najśłodsza rozkosz uściskania prawdziwych przyjaciół. Wieleż to, mój Rusiu, będę miał do gadania z tobą! historia twoich przypadków będzie dla mnie najinteresowniejszą, chociaż już je po części słyszałem. Wyszkowski mi je opowiadał, który ich był świadkiem i uczestnikiem. Nierazemy nad losem twoim, to jest nad jego dziwactwem, też same co i ty robili uwagi. Cóż z nich wypadło? to co wiemy dobrze, i co już nie jeden przed nami powiedział *qu'il faut un peu savoir souffrir et se moquer de tout*. Bardzo także ciekawy jestem wielu szczegółów ściągających się do żywotów naszych Sz... i h...tów. Słyszałem od Wysia, że ty miałeś sposobność poznać wszystko z bliska. Kilka anegdotek które mówił staroście Nowogrodzkiemu bardzo nas zabawiły, *mais il a ajouté que vous savez tout, plus en détail*.

Mam się także zapytać o wielu figurach, które kiedyś nas obojwóch mocno interesowały; ale to wszystko do widzenia się. Co do miejsca, w którym teraz zostajesz, szczerze ci go wieszczę i bardzobym nie życzył odmieniać. *Ce n'est pas que je n'en vois pas toutes les peines et quelques inconveniens. Je connais depuis 3 ans Mr. M... et j'en ai porté toujours le même jugement que vous en avez pris. Mais les difficultés doivent-elles rebuter un homme comme vous? Plus je connais les enfans et les hommes, plus je me persuade qu'Helvétiné a raison que les hommes ne sont rien par la nature et deviennent tout par l'éducation. Souvenez vous du changement que vous aperçûtes, vous même dans Mr. J..., croyez-moi que D... dont nous avons désespéré est beaucoup changé, rappelez encore quelques autres exemples de vos connaissances, et ne désespérez de rien. Songez d'ailleurs que vous êtes dans une maison où l'on sait vous apprécier, où l'on ne porte pas son jugement sur vous d'après ce que vous êtes à présent, mais d'après ce que vous étiez autre fois, et d'après ce que vous pourriez devenir. Ajoutez y encore un motif qui n'est par le plus faible, c'est que vous êtes au milieu de vos amis. Je connais votre noble fierté et je l'estime. Vous ne pouvez pas souffrir l'ombre de la dépendance. Mais avouez que s'il ya des circonstances où elle peut être adoucie, ce sont celles où vous vous trouvez actuellement. Eloignez sur tout de vout la plus bizarre idée, que vous pouvez devenir inutile. Quoi! lorsque vous veillez soigneusement sur l'éducation d'un fils (et remplacez par là tous les matres possibles) lorsque malgré cela vous contribuez tout aux amusements et à d'autres soins de la maison, quel moyen de vous croire inutile?*

*Enfin recevez mon avis, ou rejetez le; faites tout ce qui semblera bon, mais au nom de notre amitié, ne vous chagrinez pas, ne vous livrez pas*

*à cette humeur sombre, que je vous connais; et songez quelquefois que je suis votre ami, si cela peut vous consoler.*

*Je vous embrasse de tout mon coeur.*

### 3go 9bra Wojutyn.

*Mój Rusiu!* Zamiast długich listów któreś dawniej pisywał, odbieram teraz od ciebie, krótkie tylko *post-scripta*. Nie nauczyłeś się zapewne tego z korespondencyi *Popa* i *Swifta*, bo oni choć pisali rzadko, ale zawsze prawie długo. Prawda, że ty nie masz mi co donieść o partyi *Whigs* i *Thorys* i o nowinach *Londyńskich*, ale natomiast *Dzików*, *Skotniki*, *Rzeszów*, dostarczyłyby ci nowin. Dziękuję ci za opisanie awantury zaszłej między dwoma kawalerami dworu i wiadomość o weselu *Manci*. Wszystko to mię bardzo bardzo bawi; ale szkoda żeś mi nie doniósł o innym weselu, które mnie więcej interesuje. Ja, który siedząc spokojnie na wsi, nie mam nic do czynienia, radbym ustawnie czytać wasze listy i bazgrać do was jak najdłużej.

Ileż razy żałuję, że metafizykować z sobą nie możemy. Dostałem teraz właśnie *Emila Roussa*, czytam go z uwagą, tysiąc rzeczy znajduję w nim wyborynych, tysiąc myśli nad nim mi przychodzi, ale komuż je powiedzieć? Któżby je rozumiał, a nadewszystko któżby mi rozsądnie zaprzeczył? Szczęśliwys ty, co możesz czytać z *Antonowiczem*! Zazdrościłbym ci gdybym nie wiedział, że i twoje szczęście niedługo podobno trwać będzie. *Antonowicz* pojedzie, a ty zostaniesz z twoim elewem. Wtenczas rozumiem że znajdziesz moment dla napisania do twego przyjaciela. Teraz zapewne nie wspomnisz o mnie chyba czasem po obiedzie, kiedy nie masz z kim grać w bilard. Ja o tobie daleko częściej myślę niż raz na dzień, a kocham zawsze.

*Antonowicz* nic tą razą odemnie mieć nie będzie, bo w ostatnim dwuwierszowym przypisku pokazał humorek. Może też ten list już go w *Dzikowie* nie zastanie. Za pamięć o tańcach ślicznie ci moja siostra dziękuje; przyslij mi tylko *Carmagnola* na pocztę, a będzie tymczasem dosyć. Napisz też mi co o twojej, czy się mi nie kłaniała w twoim liście?

### Z Helenówki, we czwartek.

*Kochany Rusiu!* Kiedy pełną garścią sypiesz na mnie dobrodziejstwem, pozwól, żebym choć raz tobie za wszystko podziękował. Wzmocniwszy moje schorzałe ciało, orzeźwiłeś mój umysł przysłaniem listu *Wysia*. Zaraz siadam do niego pisać i jutro raniutko ci przyszlę. *Cymowi* powiedz że jest Bogiem medycyny i będzie zawsze moim. Nigdy lekarstwa tak prędkiego i tak dzielnego skutku we mnie nie zrobiły. Plaster ubezpieczył od zewnętrznego powietrza żołądek i boki i utrzymuje potrzebne ciepło, a proszki i żółtka wypędzają kaszel, który przez te dwa dni znacznie się zmniejszył i przestał nawet być mi dokuczającym. Niechaj przyjmie odemnie ten światły i dobroczynny *Boerhare* najczulsze podziękowanie. Wiem, że to najmiłsza nagroda dla jego serca.

Adieu, aż do jutra.

*A. Fel.*

*Kochany Rusiu!* Dowiedziałem się z ukontentowaniem od pani *Podczaszyny*, że cię reumatyzm porzucił, daj Boże aby na zawsze. Dla

zbudowania swojego przeczytaj przyłączone pismo, a osobliwie punkt 9. Stosuj się w edukacji swojej do tak pięknych prawideł, żebyś elewa na model szanowny JW. autora uformował.

*Mes compliments à Mr Narcisse à Mlle Adelaïde et au petit Gustave 1).*

We czwartek, w nocy.

Odsyłam ci moją długą bazgraninę do Wysia, którą sobie przeczytaj jeśli chcesz i odeszlij. Przyłączony także Epitr, kiedy można do niego zapakuj. Rozumiem, że już ci go dawał czytać Zielonka a większą część ja sam na pamięć ci powtarzałem. Jeśli list Domańskiego tak śmiały mógł przejść, rozumiem że to wszystko przejdzie. . . . .

11 marca 1800, z Helenówki.

*Kochany Rusiu!* Los który miesza zawsze dobre ze złem, czyli pewniej może, ja sam który mieszałem często kawior z wizią, ściągnąłem na siebie gorączkę którą p. Rudnicki dr. nazwał zgniłą. Jakakolwiek narzeczcie była, już jej nie ma, zostawiła tylko po sobie kaszelek, który tenże p. doktor zowie *kogluche* czyli *coquelouche*. Pięknie się on zowie, ale wierz mi że tak jest dokuczający, żeby znudził samego *Epikteta*. Gdyby przepukpi warszawskie go znały, nie kazałyby zjadać po sto par djabłów, ale jego życzyły. Koniec końców, że jabym bardzo rad go zbyć się albo przynajmniej zmniejszyć. Ty, który masz poufałość z równie światłym jak dobroczynnym Cymem, przedstaw mu prośby moje i recepty dr. Rudnickiego. Powiedz mu, że wszystkie okładania i smarowania zupełnie nic nie pomogły. Synopizma nie wiele pomagają, bo gdy w jednym miejscu ból ustaje, w drugim się wznawia. *Vessicatoria* wiem że będą przykre, ale gdy Cym innego sposobu nie znajdzie, i na to się zdecyduje. Udaję się jednak do niego naprzód jak do Boga lekarskiej sztuki. Niechaj szuka jakiego sekretu natury, z których większa część w głowie jego jest umieszczona. Jeśli, zupełnego uleczenia od czasu leniwego spodziewać się tylko należy, niech mi raczy przysłać jakie *Calmant*, a za wszystko jego łaskawce i ciebie wstawiającego się wielbić nie przestane.

Naczelnikom kolonii Korosteszowskiej 2) i całej kolonii, zdrowie, pokój i radość.

*Al. Fel.*

1801 d. 16 febr. w Usiczach.

*Dear Friend.* Wspólny nasz przyjaciel JP. Tokarski przywiózł mi miłą nowinę że się z tobą widział, żeś zdrow i że pamiętasz zawsze o swoich dawnych przyjaciółach. Ja w tym kraju przynajmniej jestem najdawniejszy z twoich, a w żadnym kraju nikt cię zapewne więcej nie kocha nademnie. Nie chcę rozjrzeć rany twojej wspominając ci o smutku, który, choć oddalony najmocniej dzieliłem i który wspólnie dzielę z wami wszyscy poczciwi i czuli. Przez pamięć dla niej, obowiązki twoje powiększyły się jeszcze dla tych sierot, które ty sam tylko potrafisz uformować na ludzi i osłodzić im, jeśli można ich smutek. Jabym był dosyć kontent z mojego losu, gdyby mnie nie oddalał od takiego jak ty przyjaciela. Żona

1) Narcyz i Gustaw Olizarowie młodzi.

2) Korosteszów, majątek Olizarów niedaleko Żytomierza.

moja, coraz mnie szczęśliwszym czyni: spodziewam się niebawem zostać ojcem, ale ta radość jeszcze jest z bojaźnią i niespokojnością pomieszana. Jeśli masz co od Wysia albo Tynia donieś mi proszę, albo mi jeszcze większą łaskę zrobisz przesyłając ich listy do ciebie pisane. . . . .

Kochaj zawsze prawdziwego twego przyjaciela.

23 marca, 1801 Osowa.

*Kochany przyjacielu!* <sup>1)</sup> Odebrałem bardzo prędko listy i książki, któreś mi raczył przesłać na Rafałówkę. Cieszę się bardzo, że mi się otwiera tak łatwa i pewna droga przypomnienia się czasem twojej dawnej przyjaźni, i dowiedzenia się o twojem i twoich zdrowiu. My oboje z dziatwą mamy się dobrze, wdzięczni jesteśmy za waszą pamięć, nawzajem zasyłamy wam najczulsze uściskania, i życzymy z serca abyście ciągle używali szczęścia jakiegoście warci.

Poznaję twoje serce w szlachetnem usiłowaniu zbliżenia mnie do pana \*\*\*. Gdyby to było podobne do zrobienia, któżby mógł zrobić snadniej, jak przyjaciel dwudziestoletni z którym często mieszkając razem, krótkiego nawet nieporozumienia się nigdy nie doświadczyłem. Byłbym z pośrednictwa twego szczęśliwy, gdyby względem postępowania p. \*\*\* ze mną w czasie trwającej między nami przyjaźni, pozostał mi teraz choć cień wątpliwości albo przynajmniej pozór do jego wymówienia. Wynurzyłem wszystko przed tobą, i nie wielebys miał trudności skłonić mnie do łagodniejszej strony. Lecz ani czas który mnie ostudził z pierwszego zapału, ani najdokładniejsze śledzenie prawdy, ani tłumaczenie się później osobiste p. \*\*\*, nie zostawiły mi już w tej mierze promienia nawet nadziei. Sam T\*\*\* przekonał się, że P. \*\*\* nie może i nie powinien więcej wymagać po mnie, jak milczenia: i to mu przyrzekłem pod warunkiem. Nie będę więc wytaczał naszej sprawy przed tobą. Opinii jaką mam o panu \*\*\* nie chcę przelewać w innych, lecz moja jest nie zachwiana i na całe życie. Chcę mieć tylko takich przyjaciół jak ty, i będę twoim do śmierci.

*Al. Fel.*

*PS.* To co na mnie mówił przed tobą P. \*\*\* ściaga się już do późniejszych czasów, po zerwaniu przezemnie z nim przyjaźni. Jeśli jednak chcesz wiedzieć czy i to jest prawdziwe, proś go ażeby ci pokazał ostatnich moich pięć listów i kopje swoich; z tych się przekonasz: 1) kto z nas unikał przyjacielskiej eksplikacyi; 2) że w żadnym liście nie ma wzmianki, jakobym ja w gniewie, wyjawiał rzeczy, podczas trwającego związku mnie powierzone. Jest to zarzut wymyślony po czasie, żeby służył za *rekryminacyę*; 3) że sam P.\*\*\* przyznaje mi, że przez cały ciąg naszej przyjaźni

<sup>1)</sup> Jeśli jaki list, to ten bezwątpienia, najdokładniej maluje całą żywość i szlachetność charakteru Felińskiego. Nie wiadoma nam jest osoba z którą Feliński zamierzał zrywać związki przyjaźni pomimo rad 20-letniego swego przyjaciela; a zatem nie możemy sądzić czyli postanowienie jego, wyłącznóm jest od wszelkich namiętności; ta jednakże chęć. przekonania pośrednika, że nie on pierwszy chybił związkom przyjaźni, że oceniać i szanować je umie, ta zwiążłość, moc myśli i wyrażeń, dostateczny dają nam obraz, człowieka i pisarza.

(*Nota wydawcy.*)



był dla niego szczery, wierny i gorliwy; 4) sposób usprawiedliwiania się, przybieranie kolejno przeciwnych tonów, niedostatek logiki, dadzą poznać kto się z nas mieszca i nosi na sobie cechę winnego. Przydaje to tylko dla tego, żem przymuszony odpowiadać.

W. Słowackiemu racz oświadczyć odemnie, że zawsze szanuję wysoko jego talenta i kocham jego osobę. Łaskawym na mnie w Krzemieńcu racz mnie czasem przypomnieć.

Osowa, d. 10 9bra, 1801 r.

*Kochany przyjacielu!* Wspólny nasz przyjaciel poczciwy Tokarski, odda ci tę moją odpowiedź na twój list, który przez p. Klemensa odebrałem. Cieszę się, że p. Klemens tak blisko mnie mieszkać będzie, bo jest dobry chłopiec, umie cię kochać i szacować. Miło mi będzie mówić z nim często o tobie. Piszesz, że mu zazdrościsz mego sąsiedztwa; ale też i ja mu zazdrościłem kilka lat mieszkania z tobą razem w Korosteszowie. Nie, kochany Rusiu, nie tracę ja jeszcze nadziei, że ty będziesz moim sąsiadem. Czuję aż nadto wszystkie przykrości twego stanu, ale znam Podczaszego, patrzę na szczęście Antonowicza i śmiem spodziewać się podobnego dla ciebie. Wszystko mi się zdaje, że jak skończysz edukację p. Narcyza, Olizarowie dadzą ci jaką wioseczkę w Rafałowczyźnie albo Zaborolczyźnie, np. Omalanik, gdzie będziesz spokojnie gospodarował, znajdziesz towarzyszkę godną siebie i doznasz nie tylko samych trosków ale i rozkoszy ojca; będziesz się cieszył tą niepodległością do której wzdychasz. Patrząc nadto na uformowanego przez siebie *Eleva*, doznasz jeszcze tych słodyczy, których ja nie doznaję, a zostawszy moim sąsiadem dopełnisz mojego szczęścia. Tyś mi nieraz mówił, a ja tego teraz doświadczam, że nie masz nad to prawdziwszej szczęśliwości na świecie. Bądź więc tak cierpliwym jak jesteś, a spodziewaj się więcej niż się spodziewasz.

Prawdę ci powiedział Klemens, że moja Józia zupełnie mnie szczęśliwym czyni; ale nie wiem za co wystawił ci moją córkę tak chorowitą, bo ta przebywszy szczęśliwie zwyczajne dzieciom słabości w najczterstwiejszym zostaje zdrowiu. Przyjedziemy może w strony wasze na wiosnę, i sam ją obaczysz. Nie będę ci jednak bardzo jój chwalił, bobyś się może zakochał i musiałbyś długo czekać . . . . .

Tysio <sup>1)</sup> jak Wyszkowski pisze, zagrzebał się w pustyni i zginął dla literatury i dla przyjaciół. Spodziewam się jednak, że i tego kiedyś znajdziemy. Ale ja widzę, podług dawnego zwyczaju, wtenczas chyba skończę list do ciebie kiedy papieru nie stanie. Bywaj że mi tedy zdrów i kochaj stałego przyjaciela.

*A. Fel.*

Żytomierz, 1808, 30 lipca.

*Kochany przyjacielu!* Spodziewam się, że przyjemnie ci będzie czytać przyłazony list od lubego Wysia, w którym cię najmiliej wspomina. Zasyłając ci najczulsze przyjacielskie uściskanie, proszę żebyś przypominał i pomagał u starosty Nowogrodzkiego JW. deputatowi Nowoszyckiemu, mającemu za sobą matkę mojej żony, w interesie który ci sam opowie. Przyjmę to tak, jak gdybyś dla mnie tę przyjaźń zrobił.

Bądź zdrów i kochaj kochającego.

*Al. Fel.*

<sup>1)</sup> Tymieniecki.

Kijów, 1811, 22 stycznia.

*Dawny i prawdziwy przyjacielu!* Odbieram list od Wysia <sup>1)</sup> i od ciebie. Tem miłsze mi są odezwy od starych i szczerych przyjaciół w tym czasie, kiedym na późniejszym się związku zawiódł. Pan \*\*\* siedem lat mojej rzetelnej i czynnej dla niego przyjaźni, czarną niewdzięcznością zapłacił. Zrzekam się obłudnej jego przyjaźni, i zrzekłem się bez żalu; znasz mnie: wiesz że to pierwszy raz czynię w mojem życiu; nie trzeba ci więc powiadać, jak ważne powody i jak gruntowne przekonanie się musiały ten krok uprzędzić. Wszystko zdolny jestem przebaczyć oprócz hipokryzji. Dla takich charakterów, byliśmy oba zawsze nieublagani. Niech go odtąd doświadcza kto chce; *il n'existe plus pour moi*.

Książki możesz mi przesłać przez Narcyza Olizara do Rafałówki, zkąd mnie dojdą. *Je l'aime et l'estime, comme un caractère noble et ouvert. Si je le connaissais moins je l'aimerais toujours en qualité de votre Elève.*

Bądź zdrów i szczęśliwy ile można. Kochaj mnie i czasem pisuj do dawnego i niezmiennego przyjaciela.

9 lipca, 1811, roku z Horodła.

*Cher ami!* JW. Antoni Urbanowski deputat, mój sąsiad, łaskawca i przyjaciel od szkół jeszcze, ma zamiar odwiedzić w tych dniach Krzemieniec. Żałuję że wyjeżdżając na wybory nie mogę mu towarzyszyć i w tej podróży. Lubiący on nauki i mający sam piękną bibliotekę, radby z bliska poznać wszystkie bogactwa panów. Racz mu być w tej mierze przewodnikiem i pomocą. I jak się z sobą poznacie, pewien jestem, że przybędzie dla pana nowy przyjaciel, a nowy dziwiciel dla gimnazjum wołyńskiego.

Bądź zdrów i szczęśliwy z lubą żoneczką i słiczną dziewoją twoją i kochaj dawnego przyjaciela. A. F.

13 stycznia, 1814 roku, Osowa.

*Kochany przyjacielu!* List twój 4. 7bris przez Sokołowskiego do mnie pisany, więcej jak we cztery miesiące dopiero mnie doszedł. Łatwo mogłeś się domyśleć, że odebrawszy list tak czuły, tak przyjacielski, tak miły dla mnie, i od ciebie, nie mógłbym się być wstrzymać od pisania natychmiast. Teraźniejszy odbierzesz od wspólnego naszego przyjaciela Klemensa. Zazdroszczę mu, że się będzie widział z tobą. Ja oddawna żądny jestem tej rozkoszy. Strawiliśmy z sobą dwie nocy, i jeszcze byśmy się nie nagadali, osobliwie po tylu tak ważnych wypadkach. Żal po stracie Czackiego i tak wielkiego męża i nas obu dobroczyńcy, chciałem dzielić z tobą, chciałem bieżyc na jego obchód pogrzebowy; ale ustnie powiem przyczyny dla których tego nie mogłem dopełnić. Życie Czackiego musi być dokładnie napisane, boście mieli najlepsze i najobfitsze materiały, a co najwięcej, pisane pod twojém okiem. Radbym mieć jego egzemplarz.

Wiesz o tem, że twój dawny Elew i przyjaciel N. Olizar obejmuje dobra i będzie mieszkać w mojem sąsiedztwie. Co za rozkosz dla mnie! Chce ją podzielić z tobą. Spodziewam się, że wkrótce przyjedziemy z nim

<sup>1)</sup> Wyszkowski.

razem do Krzemieńca, może więcej jak na dzień. Czas ten który tam przejdziemy będzie najmilszy dla nas, a może i nie bez przyjemności dla ciebie. Jak się już naściskamy, nagadamy i nametafizykujemy do woli, jeśli zechcesz, przeczytam ci moją Barbarę (której widziałeś próbki) już skończoną, już trochę poprawioną i nawet przerobioną w piątym akcie; ale z której chyba wtenczas będę kontent, kiedy ją poprawię po twoich uwagach.

List twój z dziełem Koziobrockiego dosyć mię ubawił <sup>1)</sup>. Tok wiersza doskonałeś naśladował, to szkoda, że różny druk; papier i kartka widocznie wklejona. Dobrze, jeśli ten żarcik dał ci kilka minut naśmiać się, ja także się śmiałem, ale wolałbym śmiać się z tobą razem, zawsze najszczerzej przywiązany stary przyjaciel.

A. F.

Dnia 16. 7ebr., Osowa.

*Kochany przyjacielu!* Jeszcze raz nasz p. Klemens jedzie do Krzemieńca, gdzie mu się tak bardzo podobało. Powiadał mi on, jak mu twoja dawna i stateczna przyjaźń wszystko uprzyjemniała. Nagrodzę i ja to sobie, zem się z tobą tak dawno nie widział, i kilka dni przynajmniej tobie i Krzemieńcowi poświęcę. Czasu jednak mojej bytności zamierzyć nie mogę, bo nie chcę być szalbierzem. Ach przepraszam, że napisałem *bydź* zamiast *być*, przeciw wyrokowi towarzystwa, lecz mniejsza o to. Łatwo się przyzwyczaję do prawideł sztucznych a bo przynajmniej do rzeczy obojętnych, ale jak wyperswadować kilku milionom ludzi, żeby wymawiali *ktory* zamiast *który*? Jaka różnica będzie między *strona la partie* i *stróna la corde* i t. p. Lecz porzućmy te pedagogiczne drobiazgi. Donoszę ci że bawiłem parę dni u p. Narcyza w Rafałowce i bawiłem najprzyjemniej. Znajduję w nim Elewa godnego ciebie.

Jeśli możesz przyslij mi wasze druki podające wiekom pamięć Czackiego. Rok już minął jakeśmy go stracili; boję się, żeby dłuższe spóźnienie nie odjęło tym pismom zalety nowości, dość im jednak prócz tój, zalet zostanie. Pamiętaj kiedy przyjdzie wielka sprawa o 10 dukatów w waszej komissyi z nami, żebyście ten ciężar rozdzielili na wszystkich successorów którzy brali majątek po Leonie Małyńskim i w proporcji ile brali. Jeśli wam dogodniej pilnować jednego najbogatszego, wiedz o tem, że ja jestem najuboższy; część jednak na mnie przypadającą natychmiast gotów jestem zapłacić.

O wszystkich moich dowiesz się od Klemensa, tak jak ja z radością dowiedziałem się o zdrowiu twoich. Całuję cię najczulej stary przyjaciel,

A. F.

Dąbrowica, 20 czerwca 1814 r.

*Kochany przyjacielu!* JW. graff Plater, w którego domu dziś bawię, powiedział mi że wyprawia do Krzemieńca. Korzystam z tój sposobności

<sup>1)</sup> Koziobrocki napisał wiersze w Polsko-zniemczalym języku; Rudzki napisał w tym samym rodzaju dedykację tych wierszów Felińskiemu i wydrukowawszy je na osobnej karcie przyłączył do egzemplarza jednego dzieła Koziobrockiego i dał go Felińskiemu.

(Nota wydawcy).

uściskania cię najserdeczniej. Wkrótce będę się z tobą cieszyć osobiście choć na krótko. Słyszałem, że mnie tam kondenujecie w swojej komisyy, mniejsza o to, byleście mnie kochali. Na twój przyjacielski list odpisałem. Co do projektu, który życzliwość, nieznajomość mnie, podyktowała, odpowiedziałem ci: zgadłeś, zgadłeś i bardzo zgadłeś. Jeżeli to prawda, co książkę K. Lubecki donosi, że Polska pod Rossyą ma egzystować podług granic 1792, wtenczas chyba gotów byłbym opuścić moją ulubioną spokojność i przyjąć jakie miejsce zgodniejsze z moją szczupłą sferą i do którego czułbym więcej zdatności i ochoty, a inaczej do śmierci powtarzać będę: *Stappy the man who wishes and care a Jew paternal bound.*

Bądź zdrów. Wzdycham, żeby te dwa lub trzy tygodnie nim cie zobaczą najprędzej upłynęły. Twój dawny i dozgonny przyjaciel.

A. F.

19 febr. (3 mar.), 1815 roku. Wołosów.

*Drogi i stary przyjacielu!* Musiałeś dawniej dowiedzieć się z gazet, ja teraz dopiero dowiaduję się z listu Wyszковского, że nasz wspólny przyjaciel, towarzysz naszej młodości, wyborny pisarz i najlepszy człowiek, nasz kochany Tyminiecki... Już nie żyje. Co za strata! Co za boleść! do tylu innych. Skromny, bez zabiegów, bez protektorów, ukryty na wsi żył niedość znany, niedość ceniony od niewielu dobrych i umarł ofiarą przesławiania złych i przewrotnych. „Zgryziony do duszy (tak sam pisał w ostatnim liście do Wyszковского d. 4 sierp. 1814 r.) mimo wołającą słuszną, niesporym postępowaniem w interesie tak ważnym dla mnie (w sprawie granicznej z sąsiadem najniegodziwszym) wystawiony przez to na ciągle nieprzyjemności, krzywdy i najokropniejsze gwałty, zagrożony rozuchwaloną przez ociaganą sprawiedliwość zbrodnią, przyduszony nareszcie obecniemi teraz przechodami, którym ani przymiotnika dobrać nie umiem, i bardziej nad te dokuczającą niepoczeźnością ludzi, zdaje mi się, że zmąsły tracę: zdumiony przewrotnością zniszczenia tylko, mego drobnego istestwa czekać powinienem. Jak to długo potrwa? i jak to długo wytrzymam? nie wiem.“ Co za styl! co za dusza! Nie, nie był on stworzonym na nasz wiek, wiek nieszczęść, podłości i otrętwienia; nadto był czułym, nadto szlachetnym, nadto dumnym. Czegoż miał żyć między niegodnymi siebie? Smutna dla nas ulga w takim żalu — niestety jedyna! Niedługo wytrzymał; był to już zaród śmiertelnej gorączki, która go nagle dnia 17 sierpnia z łona żyjących porwała. Umarł bez zmysłów, a zatem bez rozporządzenia. Brat i siostra odziedziczyli po nim najpiękniejszą część majątek. Wyszkowski ledwo od nich wyrwał, za odezwą towarzystwa jego rękopisma. Te są: 1<sup>o</sup> Trzy poemata Ossyana: *Ojthona*, *Karton*, *Pieśni Selmy*. 2<sup>o</sup> Lato z *Thompsona*, nieskończone. 3<sup>o</sup> O umowie towarzyskiej *Russa*. 4<sup>o</sup> O przyjaźni *Cicerona*. 5<sup>o</sup> Sześć komedyi *Terencyusza*. Pisz do mnie Wyszkowski, że chce zrobić pośmiertną edycją dzieł jego. Pochwaliłem i zagrzałem go bardzo do tak chwalebego przedsięwzięcia. Pisałem do Tarnowskiego który teraz bawi w Warszawie żeby mu pomógł. Radziłem wreszcie prenumeratę byleby wyrwać z nie-pamięci tak piękne pisma i tak drogiego przyjaciela imię; oświadczyłem się przyłożyć do jęj uzbierania — i ty zapewne tego nie odmówisz. Wyszkowski rozrzewniony tem doniesieniem tak je kończy: „Nasz Kopczyński cierpi na romatyzm, nogi mu słabieją, i jak sam powiada, odzywa się mu lat 80. Drogi ten nasz przyjaciel już prawie jedną nogą w grobie. Kiedy nam

zgaśnie, utracimy prawie wszystkich przyjaciół z którymi pedziliśmy młodość naszą; i prawie nas tylko dwóch i trzeci Rusio <sup>1)</sup> zostanie.“ Wspomnienie to zwrócił . . . moją do Krzemieńca. Pisząc do ciebie starałem się szukać ulgi w moim żalu, i w samej rzeczy ją znajduję, wiedząc że będziesz łyzy moje dzielił. Kochałeś Wysia jak i ja: znajdowałem nawet zawsze między waszemi charakterami jakieś podobieństwo: masz tak jak i on, równie tkliwą, równie nieuległą duszę. Zasmucę cię jeszcze donosząc, że Wyszkowski niedawno chorował, teraz zdrowszy ale zawsze osłabiony, na wiosnę do wód się wybiera. Czemuż przynajmniej nie możemy się nagadać o naszych smutkach? czemuż tak rzadko do siebie pisujemy? Racz oddać mój list Sienkiewiczowi; wielkich to nadziei młodzieniec i spodziewam się (co najwięcej mnie cieszy), że do wielkich talentów będzie łączył najlepsze serce. Przesłał mi dwie sceny tłum. *Ifigenia*, które mi się bardzo podobało. Nie chciałem go z początku zrażać drobnemi krytykami, zachęciłem go tylko żeby kończył. Scenę jaką, która mu się najlepiej uda, pošlę do pamiętnika. A jak całą tragedję skończy, wskażę mu miejsca do poprawy, i udoskonaloną trzeba będzie wydrukować, żeby pokazać Warszawie że pierwszy z Polaków dobrze Rassyna przełożył, młodzieniec i Wołynianin. Na Barbarę moją w Warszawie gotują krytykę, czyli raczej uwagi przyjacielskie, zarzucają długości, i to prawda. „Co do dykcji (pisze Wyszki) tegośmy rozdziału nie tknęli, szanując jako rzecz świętą wiersze tak treściwe.“ Zaszlepienie przyjacielskie! Wiem, że wiele jest złych; i nie uwolniłem go wcale ze ten komplement od tego żeby mi je wytknął.

Nim się doczekałem z Warszawy uwag nad moją tragedją, skończyłem tymczasem drugą. Nie jest ona moją, ale będzie w niej trochę może i mego. Winienem ją Alfijeremu, Włochowi, który, za naszych już czasów, w pewnym względzie udoskonił sztukę tragiczną, w pewnym względzie przebiegł kres *nec plus ultra* francuzkiego, a nie doścignął go w innych. Z jedenastu tragedji tego autora, najlepszą jest bez sporu *Wirginija*, i z dwudziestu *Wirginij* przez różnych pisarzów traktowanych, żadna inna równać się nawet z jego Wirginją nie może. *La Harpe* w swojej *Wirginij* (którą czytałem i ledwie mogłem doczytać), zdaje się być obok Alfijerego żakiem. Jednak ta sztuka pomimo najpierwszych i głównych zalet, pisana wierszem bezrymowym, stylem zwyczajnym i mocnym, ale czasem suchym, twardym, zawitym, bez farb i bez powagi, podług zdania samych nawet Włochów ubóstwiających Alfijerego, mogłaby uczynić jeszcze więcej wrażenia. Wyrzucają jej deklamacyą przeciw niewoli w ogólności, niestosowną do ducha rządu rzymskiego i wieku, który nie znał jeszcze nieszczęsnego Jakobinizmu i praw człowieka; wyrzucają niezaspakajające widzów rozwiązanie. Starałem się więc schwyćć jego piękności, a uniknąć, wskazanych i przez samego autora przyznanych powiększłej części błędów.

1) Umieściłem zdrobniałe nazwiska osób takie, jakie się w oryginalnej korespondencji znajdują, Tych czterech przyjaciół: *Wyszkowski*, *Rudzki*, *Tyminięcki* i *Feliński*, w listach swoich nazywali się: *Wysio*, *Rusio*, *Tysio* i *Felcio*. Sądziłem, że byłoby to znieważeniem charakteru przyjacieli, od dzieciennych lat zrosłej i ciągle trwającej, gdybym pieśczone nazwiska które sobie ciż przyjaciele i w późniejszym wieku dają, odmienić się ważył. (Nota wydawcy).

Czym naprawił, czym zepsuł — osądzicie. Przeczytam wam, jak będę pierwszy raz w Krzemieńcu.

Donieś mi też, co się tam dzieje w waszym Krzemieńcu. Syn mój dorasta; do gorliwości o wzrost nauk i sławę Wołynia, łącząc troskliwość ojca. Słyszałem, że książę Adam <sup>1)</sup> obiecał (jak mu ważniejsze prace pozwolą) sam zjechać, ożywić, podnieść wszystko, nasprawdzać brakujących nauczycieli i artystów, założyć porządną i wielką drukarnię, otworzyć nowe Towarzystwo Przyjaciół nauk i t. d., co daj Boże, Amen.

Nasza sprawa inną podobno postać w komisji wzięła. Opiekuję się tam mną i oznajm. Ja mieszkam teraz o dwie mile od Żytomierza w Wołosowie. Napisz czasem do mnie. Ale dość tej długiej gadaniny; jest to już wada wieku, wybaczysz; obaśmy starzy i starzy przyjaciele <sup>2)</sup>.

A. F.

PS. Napisz mi o Podczas. Olizarze i Gustawie co wiesz. Narcyz odemnie teraz daleko.

13 (25) kwietnia, 1815 r., Wołosów.

*Szanowny i drogi przyjacielu!* Miło mi, że najpomyślniejszą i najprzyjemniejszą dla serca mego wiadomość <sup>3)</sup>, winiem pierwszymu tobie. Noc całą nie spałem ciesząc się i myśląc o różnych wypadkach, przeszkodach, zwłokach i t. d., które jeszcze nastąpić mogą. Powtarzałem w myśli toż samo co i ty piszesz; czemuż teraz nie jesteśmy z sobą razem! Nie nagadaliśmy się tak jak niegdyś na dziedzińcu koszar Kadeckich. Tymczasem posłałem natychmiast twój list do Żytomirza Marszałkowi Giżyckiemu. Odpisał mi że już miał z Lublina tę miłą wiadomość; jednak wiele ją potwierdził list tak dokładny i twój, który chwytno z rąk do rąk. Ale czemuż to mój Rusiu, odzyskując ojczyznę myślisz tylko o dzieciach, a zapominasz o sobie? Czyś to tak przestarzały, że się jej nie zdasz? Czyż myślisz, że Polacy nie będą umieli cenić twojego serca, twojej głowy i twojego doświadczenia? Nie; ja lepiej trzymam o nowym pokoleniu, które daleko więcej, niż społeczna z nami młodzież, obiecuje. Kilku dniami wprzód doszedł mi twój list pod dniem 7 marca i mimo nazbyt pochlebnych dla mnie wyrazów był miły, bo od ciebie; wiem, że w zapale przyjaźni się myliłeś, ale nie mógłś chcieć mnie oszukiwać. Wyszkowski (od którego list przez tę samą pocztę odebrałem) zgodnie z tobą żąda także po mnie kilku słów dla zgasłego Tysia. Pisze, że sąsiedzi jego, przyjaciele i on sam, postanowili położyć mu na grobowcu kamień, z rzeźbą do

<sup>1)</sup> Czartoryski.

<sup>2)</sup> Możebym ukrzywdził czytelnika, gdybym chciał moje uwagi, a bardziej może umieszczenia się nad pięknością tego listu umieszczać. Każdy uczuć i ocenić je potrafi. Nie mogę jednak wstrzymać się od umieszczenia w tym miejscu kilku słów radości ztąd wynikłej, że list ten dla nas i dla potomności nie zginął; ileżbyśmy z nim stracili najpiękniejszych obrazów duszy, serca i talentu Felińskiego? Ten list jeden, wystawia nam dostatecznie, jakim Feliński umiał być przyjacielem, jakim obywatelem, jak pobłażającym i zachęcającym ocenić młodych talentów, i jak sam wielki swój talent rzadką i niewidzianą skromnością przyodzabiać umiał. (Nota wydawcy).

<sup>3)</sup> Że Aleksander I przyjął tytuł króla polskiego.

cechujących go przymiotów stosowną. Kamień ten jest już w rękę artysty, a napis zwałają na mnie. O gorliwości mojej nie wątpisz, ale pogadajmy wprzód z sobą mój Rusiu, jak to zrobić. Mnie się zdaje, że nadgrobek dla *Newtona*, *Franklina*, *Cezara* i t. p. najdoskonalszy jest jeden wiersz, jeden wyskok geniuszu, jeden promień światła, który nagle stawi oczom obraz dobrze znany światu; ale w nadgrobkach czeka który żył ukryty, którego nie prawie za życia nie było drukowanem; przyjaciele, którzy go sami znali, winni potomności odmalować cały jego portret w rysach ogólnych. Jeśli się najpierw na to zgodzisz; czytaj, sądz czy trafny, co najważniejsza; poprawiaj, skracaj, odmień, napisz cały inny; nie wątpię, że twój byłby godny Tysia, o co nam jedynie chodzi. Jeszcze jest czas; czekam twojej odpowiedzi; tymczasem czytaj mój:

Konstanty Tymieniecki urodz. r. d. Umarł r. d. i t. d. *Prawy Polak, poeta zachwycający i nie naśladowny; w mniemaniach, w postępowaniu, w pismach, w swoich tłumaczeniach nawet noszący cechę oryginalności. Kochany z zapamiętaniem od przyjaciół i dla nich wylany, ukrywał się przed innymi mniej może przez skromność jak przez szlachetną dumę, nie zdolny wejść w przymierze z nieprawością ani z głupstwem; żył w wieku wielkich odmian, zaburzeń i nieszczęść, a mający zbyt dużą tkiwość, padł jej ofiarą; od potomnych dopiero będzie, jak wart, oceniony, a cześć dla pamięci jego w Polakach rość będzie z ich oświeceniem, z ich cnotą i z ich sławą.*

Łatwo się domyślisz, że koniec był trochę odmienny przed twoim ostatnim listem. *Rodowitość* zamiast *oryginalność*, jak w terażn. Pamięt. Warszaw. nie wiem czybyś przyjął.

Przecież, jak mi pisze Wyszkowski, dzieła Tysia będą już niezawodnie drukowane. Prócz tych, o których ci doniosłem, wynalazł wiele innych choć niezupełnych. Pyta się mnie co z tego drukować? odpisałem mu: wszystko. Tobie nie mam potrzeby tłumaczyć się dla czego. Nasz Jan Tarnowski i Ludwik Plater osobisty przyjaciel i zapalony czciciel Tysia, dają na druk. Proszę Wyszkowskiego, żeby się spieszył, żeby ostrożnym był w gładzeniu, i raczej zachował drobne skazki, aniżeli narażał się na starcie niedostrzeżonych czasem piękności; żeby nawet zostawił choć osobną przy dziele pamięć nowości wprowadzonych przez zmarłego do pisowni (której, jak pisze Wyszkowski, tak dziwacznej, niech darują cienie Tysia, zostawiać nie można). Wyszkowski i w tym ostatnim do mnie liście nie przepomniał o *Rusiu*.

Obiecuje mi przysłać uwagi kilku literatów Warsz. nad Barbarą; ale Bóg wie kiedy. Sam wyznaję, że pomimo zatrudnień, są dosyć leniwi i niektórzy roztrzepani. Teraz się zapewne ożywią. WJX. Aloizemu Osiniowskiemu za pamięć najczulej dziękuję i nawzajem zasyłam mu uszanowanie. Czy nie raczyliby mi łaskawie przysłać *Biografię* Czackiego, jeśli już nakoniec wydrukowana?

NB. Czytałeś zapewne w Pamiętniku list Śniadeckiego i odpowiedź Kołłątaja: oba listy są bardzo dobre, napisz mi jednak, który ci się lepiej podobał? Uściskaj odemnie najczulej kochanego Sienkiewicza, którego krótki bilecik i Ode do *Losu* odebrałem. Błyskają w niej piękności godne jego. Jakiż ze mu teraz nie natchnie odrodzenie ojczyzny! Nim ją objawi światu, jeśli mu się zdawać będzie, niech ją raczy przysłać do mnie: wskażę mu najszczerzej co podług mnie będzie potrzebnem do jęj

udoskonalenia; bo radbym z duszy, żeby to dzieło pomnożyło chwałę poety, Wołynia i Polaków. Młody Tymowski (co pisał Dumę żołnierza polskiego w Hiszpanii) i Kostuś Piotrowski, będą także w tej materii zapewne pisać.

Muszę też ci donieść, że ja po *Wirginii* zająłem się nową pracą Krebillona: *Radamist* i *Zenobija*, którą już kończę i wyglądam.

18 Octobris, 1815 roku, z Wojutyna.

*Dawny i luby przyjacielu!* Cieszyłem się nadzieją, że przyjechawszy w te strony bliższe Krzemieńca, będę mógł przed wyjazdem moim do Warszawy osobiście z tobą się pożegnać. Lecz nadspodziewanie moje zastałem jeszcze w Woronczynie Kropińskiego, zabawiłem więc u niego i jeszcze raz być muszę; kilka zatem dni czasu mi ubywa

Kropiński czytał i odczytywał z rozwągą i uniesieniem, początek Ifigenii i Odę do losu *Sienkiewicza*, bardzo zgodził się ze mną, że to jest jedyny Polak, który w swoim wieku tak dojrzałe pisze. Spodziewam się, że z Warszawy sam do niego napiszę. Proś *Sienkiewicza*, żeby mi przysłał resztę pism swoich jakie ma lepiej wyglązone.

Szanowny Jurkowski (jak słyszałem) pisze o Krzemieńcu; niech będzie łaskaw kończyć i mnie choć na pocztę przesłać. Radbym także bardzo mieć Biografię Czackiego, którą wiesz że mi obiecano. Wszędzie i zawsze twój cały.

A. F.

26 (14) grudnia, 1815. Warszawa.

*Stary i drogi przyjacielu!* Wczora dopiero oddałem twój list siostrze twojej. Sam jesteś po części przyczyną tego spóźnienia, boś mi zły dał do niej adres. Powiesz zapewne, że tą złą przyczyną tylko się zastaniam, a że istotnie wciągniony nagle w ten wir wielkiego świata, trochem się zapomniał; i powiesz może prawdę. Cóżkolwiekbaż widziałem twoją lubą siostrzyczkę i widziałem z najżywszą radością: zdrowa, rzeźwa, wesoła i dobra jak zawsze, a nawet wcale nie podstarzała. Para dziatka Napoleonek czyli Franuś i Kazimierka piękne jak anioły, żywe i dowcipne jak matka. Popisywały się przedemną ze wszystkiego co umieją, i to na ich wiek wcale nie jest mało. Mieszkanie jej wygodne z pięknymi widokami, utrzymywane nie tylko z ochędóstwem ale nawet z wdziękiem. Wszędzie widać dobry gust, a razem duch porządku i oszczędności gospodyni. Zastałem ją że odczytywała twoje dawne listy, domyślił się więc, ile jej przyniósł rozkoszy nowy, który jej oddałem. Wyszowskiego i obu Zabłockich widuję często z rozkoszą. Wspominają cię czule, wypytują się o wszystko co się ciebie tyczy i bardzo by radzi ciebie widzieć tu choć na chwilę.

Książę Max. <sup>1)</sup> musiał wam obszernie pisać o naszych pismach i rozmowach z księciem Adamem względem gimnazjum Wołyni., mówić naszych, bo miałem szczęście i ja być do nich przypuszczonym. Chowam tych pism kopije żeby w czasie przekonać, żeśmy najszczerzej chcieli i starali się żeby było dobrze, lecz nie od nas zawisł skutek. Rozumiem,

1) Jabłonowski, Senator Kasztelan król. Polskiego.



że długo jeszcze rzeczy będą w zawieszaniu. *Nowosilców*, nowy minister oświecenia (?), nie tak prędko jeszcze z Warszawy wyjedzie.

Byłem świadkiem uroczystości niedzielnej, czytanej w Senacie Konstytucyj. Cóż ci mam o tem napisać? książę Adam umiał w szlachetnym głosie razem i wyrazić Tronowi należytą wdzięczność i utrzymać godność Narodu. Zresztą... powiem ci jak się obaczmy. Co do mnie: dotąd mi tu bardzo dobrze, mieszkam przyjemnie i swobodnie u Tarnowskiego <sup>1)</sup>. Znalazłem tu wielu dawnych moich łaskawych, którzy są dzisiaj daleko łaskawszy na mnie jak dawniej. Codziennie prawie otwiera mi się sposobność zabierania nowych związków bardzo pochlebnych dla zakopanego w głębi prowincyi wieśniaka. Wiem ja, że to wszystko prędko minie, jak się tyłu napatrzą na moją nie ciekawą facyatę i łysą głowę, i jak się nakrytkują do woli moich tragedij; ale ja ten moment uprzedzę, opuszczę tę niestałą kokietkę Warszawę i albo nigdy albo bardzo nieprędko do niej powrócę. Pisma moje drukują się na pięknym papierze, pięknym drukiem, i staram się, żeby były poprawne przynajmniej z myłek drukarskich.

Żonę twoją i dziatki ściskam, przypomnij mnie łaskawym na mnie w Krzemieńcu.

A. F.

Dnia 29 (17) kwietnia, 1816 r., Warszawa.

*Dawny i kochany przyjacielu!* Nie wymagasz zapewne odemnie ciągłej korespondencji (równie jak ja nie wymagam od ciebie), bo naprzód obaśmy nie próżniacy, powtóre wiesz dobrze, że gdybym ci ztąd najdłużej pisał, nie będę mógł napisać wszystkiego, ani nawet tyle ile ci powiem za pół godziny, i jeśli się, da Bóg, zdrowi z sobą zobaczymy.

Przez Starościnę Nowogrodską <sup>2)</sup> jadącą ztąd do Krzemieńca te kilka słów ci przesyłam i przyjacielskie uściskanie. Naprzód ci donoszę, że twoja siostra zdrowa. Widuję ją dość rzadko, bo i ją nie zawsze mogę zastać <sup>3)</sup>, widzujemy się jednak z przyjemnością dawniej przyjaźni i pomagamy sobie nawzajem, ilekroć zdarzy się sposobność. Ja niekiedy jestem jej sekretarzem, a ona zawsze jest tak łaskawa, że mi robi drobne sprawunki dla mojej żony i córki. Dziatki jej zawsze kochać się koniecznie każą. Dzierżawca twojej siostry trochę ją dreczy, jak zwyczajnie; a gorzej jeszcze rozkaz Prefekta, który każe z jej połowy płacić zaraz 12 zł. na kościół, który poprzednik obiecał murować. Wszystko to przemienie jak wszystko mija na świecie. Oba Zabłoccy (były Prezydent i Emeryk), Wyszkowski (który teraz

<sup>1)</sup> Hrabia Jan Tarnowski, Senator Kasztelan król. Polskiego.

<sup>2)</sup> Czacka z Dembińskich.

<sup>3)</sup> Ten list chociaż nic w sobie interesującego nie zawiera, tem jest jednakże zajmujący, że w niem widać tę szczególną i otwartą szczerłość jaka cechowała charakter Felińskiego w najmniejszych i najpartokularniejszych sprawach życia jego. Ten nie przesadny styl, te szczegóły tak mile, tak naturalnie oddane i ta, że tak powiem szlachetna prostota z jaką on i swoje i przyjaciół swoich opisuje uczucia, nie mogą, zda mi się, być obojętnymi dla czytelnika, który, w listach nie tyle *pisarza* jak *człowieka* szuka!

(Nota wydawcy).

jest weselszym nie będąc niczem), wszyscy twoi dawni przyjaciele ściskają ciebie, co dopełniam z uczuciem dawnego i wiernego twego przyjaciela.

A. F.

PS. Ludgarda była z największemi oklaskami dwa razy dzień podziękowań.

28 lipca, 1816 r., Warszawa.

*Kochany i dawny przyjacielu!* Miło mi od ciebie odbierać list trochę dłuższy, i z tem wynurzeniem się, które mi przepędzone z tobą młode lata przypomina. Pochlebiam sobie, że nikt lepiej odemnie znać nie może twojego serca i głowy. Udzielałeś mi nieraz swoich postrzeżeń nowych, głębokich i trafnych. Znając okoliczności twego życia nie dziwuje się, ale żałuję, że nie dla świata nie piszesz. Gdybym mieszkał blisko ciebie, notowałbym przynajmniej twoje myśli w rozmowach ze mną; a z nich zrobiłby się zapas użytecznych rzeczy a nie słów płonnych, z jakich książki nawet szacowane częstokroć się składają.

Mój tom pierwszy kończy się drukować, znajdziesz w nim dosyć popraw, ale możnaż wszystko poprawić? Do tomu drugiego pozbierałem uwagi znawców i w domu jeszcze nad nim popracuję. Jakże często żałuję, że nie jesteśmy z sobą razem! korzystałbym nieraz z twoich. Medal ten, czy nie medal, nie zasługuje na twoje uwagi. Ja sam opisać ci go nie umiem, bo ta rzecz jest dla mnie obca . . . . .

Reszta za widzeniem się, zawsze twój.

A. F.

27 października, 1816 r., Wołosów.

*Dawny i drogi przyjacielu!* Łajesz mnie, zapewne że powróciwszy z Warszawy nie byłem w Krzemieńcu, nie uściłem się jeszcze moim prenumeratorem i nawet nie pisałem do ciebie. Wszystko to jest źle zapewne; ale osądź sam czym ja winien. Nie bawiłem jeszcze kilku dni ciągiem w domu, taki się zrobił ze mnie włóczęga . . . . .

Lecz to są drobiazgi; donieś mi raczej o twojem i o twoich zdrowiu i o swoim powodzeniu. Ja Bogu dzięki zastałem wszystko dobrze w domu; myślę tylko na rok następny o edukacji mego syna. Jek się też twoi popisują?

Mam jeszcze do ciebie dwie wielkie prośby. *Naprzód* JWW. Zamoyscy <sup>1)</sup> chcą mieć dwóch ludzi młodych znających dobrze język polski, jednego do młodszych synów którzy mają zostać w domu, drugiego do starszych jadących za granicę. Pierwszego im znalazłem, proszę cię, czy nie znajdziesz w Krzemieńcu drugiego. Oto jest wypis z listu p. Zamoyckiego: *Proszę mi wybrać ucznia ze szkoły Krzemienieckiej któryby był charakteru pewnego, dobrych obyczajów i dobrze posiadał nasz język; któryby miał chęć do pracy i ochotę do wydoskonalenia się w naukach, do czego wszelką będzie miał łatwość będąc w Genewie z memi synami. Radzibyśmy ażeby się przywiązał do domu naszego, a powróciwszy z za granicy i nabyszy więcej wiadomości, zatrudnilibyśmy go biblioteką.* Znajdź takiego

<sup>1)</sup> Prezes Senatu król. Polskiego, żona jego z domu księżniczka Zofja Czartoryska.

bardzo cię proszę i do mnie napisz, a będziesz miał i od niego wdzięczność i od Zamoykich. Drugą prośbę zrozumiesz z wypisu który ci przyłączam z tegoż samego listu: *Mój mąż uprasza jeszcze o informację, czyli w szkołach Krzemienieckich (gdzie tyle pożytecznych nauk nieodtałowany Czacki zaprowadził) dają naukę budownictwa. W takim razie radby wiedzieć z jakich lekcji składa się takowy kurs. Siła lat trwa? Czy uczniowie na samą teorię przestają? Czy wychodzą ludzie zdadni i nareszcie na jaką możnaby takiego dostać?*

Bądź łaskaw dowiedz się o tem, donieś mi jak najprędzej a nade wszystko nie przestawaj mnie kochać.

A. F.

12 kwietnia, 1818 r., Żytomierz.

*Drogi przyjacielu!* Jestem w oczach twoich winowajcą: sądzisz żem ci nie odpisał na dwa listy, jeden przez p. Grudzińskiego, drugi 25 lutego pisany. Przecież pierwszy mnie całe nie doszedł, a drugi z rąk Wicegubernatora odebrałem. Otóż to jest pisywać przez *okazyje!* Ja się ich zarzekłem, i ty tak uczyni; kiedy ci ochota przyjdzie zrobić mi przyjemność, pisz poprostu na pocztę, a będziesz miał zawsze i prędko odpowiedź. Nie dać jej komukolwiek, osobliwie mieszkając na wsi, mam za winę, a nie dać trzydziesto-letniemu przyjacielowi zdaje mi się prawie zbrodnią. Używajmy tej jeszcze przynajmniej rozkoszy póki można, kiedy tak rzadko widywać się możemy. Ponieważ mi każesz donieść o sobie, przebac, drogi przyjacielu, że cię zasmucę. Od kilku tygodni najdotkliwsze nieszczęścia mnie obarczyły. Jeszcze nie otarłem był łez po stracie najlepszej matki, kiedy nagle i niebezpiecznie 17-letnia córka mi zachorowała. Pierwsze paroxyzmy gorączki były tak mocne, żeśmy całym domem pojechali dla ratowania jej do Żytomierza. Więcej szesnaście dni tu bawimy i Bóg nas pocieszył, gdyż od kilku dni paroxyzmy prawie ustały i nadzieja wstąpiła w serce rodziców. Miło mi wyznać, że wśród tych moich smutków JW. Plater ciągle starał się i stara przynosić mi, ile tylko może, ulgi i pocieszeń. Przez święta tu zapewne jeszcze zabawimy. Donieś mi lepsze wiadomości o sobie, swojej żonie i dzieciach, któreby moje serce orzeźwiły. Równie jak nas, zajmuje teraz ciebie Sejm Warszawski, a szczególnie ta ojcowska dobroć Monarchy dla Polaków! Czemuż dzisiaj nie żyje Czacki! On płynął przeciwko wiatrom i wodzie; teraz i wiatry najlepsze i woda pomyślna — upływa niestety! daremnie. Musisz zapewne wiedzieć o tem, że komisya oświecenia ofiarowała mi katedrę literatury w uniwersytecie warszawskim z przydatkami, ogółem 12,000 pensyi na rok; lecz tych łaskawych ofiar nie przyjąłem. Zrobiłem głupstwo powiesz mi zapewne; gdybyś jednak mię posłuchał, możebyś się zgodził ze mną. Wszak my bywało, po rozmówieniu się, byliśmy jednego zdania — przypomnij sobie. Czy też znasz osobiście Teodozego Sierocińskiego, którego *rozprawa o oryginalności* zda mi się bardzo dojrzała na młodego człowieka. Czy prawda że ma jechać do Warszawy? i do czego się szczególnie przykłada? racz mi donieść. Wiersze także waszego Zaborowskiego nie zdały mi się wcale tak złe jak *Świstek* powiada. Można takiego młodzieńca czasem sprostować, ale nie trzeba nigdy zrażać <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ah, żeby to coraz wzrastający *Naród krytyków* mógł te święte Felińskiego słowa pojąć i one ciągle mieć na pamięci! Nie jeden

Ciekawy jestem bardzo twego zdania o *Klasyzmie* i *Romantyzmie*. Czytałeś zapewne obu Szlegelów; jeśli nie, przeczytaj; i napisz mi otwarcie co myślisz, bardzo cię proszę. Wiesz że nie umiem po niemiecku, a na ciebie tylko spuścić się mogę. Nie zawiędz mię. Donieś mi także co myślisz o waszym Magnetyzerze, a nadewszystko kochaj dawnego przyjaciela.

A. F.

1818, d. 29 czerwca, Wołosów.

*Drogi przyjacielu!* Żal ci było, że Sierociński pierwiej niż ty odebrał moją odpowiedź; ale mi bardziej żal jeszcze, że wczoraj dopiero twój dawny list odebrałem, który mi tyle sprawił przyjemności. Bardzo mi się podobał twój *wózek który z tyłu pchany, a którego kierunek doliny lub góry co moment odmieniają*; trafne to i nowe podobieństwo lepiej wystawia *wolność człowieka*; niż wiele nudnych i długich o tém traktatów. Dodaćby jeszcze można, czy cel do którego dążymy, jest zawsze jednym i statecznym punktem? Czy zawsze go jasno widzimy? czy mamy wolność chcieć czego lub nie chcieć? i t. d. A zresztą cóż i z tego *chcenia* nawet *losem* dobrego? Ja np. który cię znam od lat trzydziestu, śmiało ręcę, że chciałbyś i mógł być dziesięć razy użyteczniejszym krajowi niż jesteś; ty toż samo prawie piszesz o mnie — i cóż z tego? Oba musimy czem inszem się zajmować niżbyśmy chcieli i podobno mogli. Niech nas uczynią spokojnymi o los naszych żon i dzieci, a wtenczas zobaczą czy mamy rzetelną i wytrwałą gorliwość w poświęceniu się dla ogólnego dobra. Ale porzućmy te marzenia i żyjmy spokojnie jak nasze położenie nam każe; a ci którzy nas z bliska nie znają, niech mówią o nas co im się podoba. Winszuję wam i Wołyniowi przybycia do Krzemieńca księcia Kuratora, ponieważ już tam jest i zajął się pracą; nie wyjedzie zapewne póki wszystkiego szczęśliwie nie ukończy. Słyszałeś może o tem, i sam uważałeś *w zdaniu czytaniem przez księcia na sejmie*, że nazbyt podobno pragnie doskonałości; lecz to póty staje się szkodliwem, póki prowadzi do wahania się i odwlekania czynności, lecz wśród działania bardzo jest pomocnem. Niech tylko więc działa, jak mu się zdaje, najmniej źle, a w istocie, będzie to jak można najlepiej.

Względem magnetyzera chciałem ażebyś mi napisał, jakie wzięteś przekonanie o magnetyzmie z tego coś własnymi oczyma widział; chciałem mieć *resultatum* jego w Krzemieńcu doświadczeń, i twoich nad niemi uwag. Radbym i teraz o tem wiedzieć, bo więcej ufam tobie niż wszystkim książkom. Szczęściem dostałem dzieło *A. W. Szlegiela* po francuzku *Cours de Littérature dramatique en 3 vol.* Czytam je raz trzeci; lecz ci mojego zdania nie powiem, bo wprzód chcę wiedzieć twoje. Ty możesz i to dzieło i inne o tem czytać w oryginale, znasz lepiej odemnie języki angielski i niemiecki; tobie więc ze wszechmiar pierwszeństwo. Przeczytaj jeszcze i tłu-

Tymon Zaborowski (który istotnie miał dużo do wierszopistwa zdolności) był zatrzymany w pracy swojej przez nierozsądne wysoki dowcip niektórych cale miernych pisarzy. Gdyby każdy z tych panów zastanowić się zechciał, ile do zrobienia krytyki mieć należy nauki rozsądnej i pobłażania; gdyby się w tym względzie sumiennie z sobą obrachował nie jeden, możeby porzucił tak szkodliwe dla rozwijających się talentów rzemiosło!

(Nota wydawcy).

macz: *Kalderona* którego ubóstwa *Szegiel*. Napisz mnie choć później o tem i kochaj.

A. F.

1818, d. 17 lipca, Wołosów.

Donoszę ci, mój dawny i drogi przyjacielu, że po czteromiesięcznych smutkach i trwogach o naszą córkę, Bóg nas nakoniec pocieszył. Ozdrowiała zupełnie, i w tych dniach błogosławiliśmy jej związkom z młodzieńcem którego jej serce wybrało, i który pozyskał nasz szacunek. Jego stałość, rozsądek i łagodność każą nam spodziewać się, że uczyni ją szczęśliwą, ile po ludzku być można <sup>1)</sup>. Zowie się Edmund Michałowski; będę ci go kiedyś prezentował i radbym bardzo, aby ci się podobał.

Żonki twojej rączki całuję i dziatki pozdrawiam. Bądź zdrow i zachowaj mi twoją przyjaźń.

d. 29 7bris, Wołosów, 1818.

*Drogi przyjacielu!* Przecież choć przy schyłku mego życia doczekam się może tego, że będę mógł żyć z tobą, z którym lat kilka w mojej młodości tak słodko żyłem i którego przez lat trzydzieści serdecznie szacuję i kocham. Wierzę bardzo, że się z tego szczerze cieszysz, i nie tylko przez wzgląd na wspólną naszą przyjemność; bo jeśli może wątpisz (równie jak ja sam) o mojej zdatności, o mojej gorliwości nie wątpisz. Czyżby jej nie ożywiła we mnie ufność Księcia, dobro Wołynia i pamięć Czackiego?

1) Filozof, przewidział, że przy najlepszych przymiotach zięcia swego, córka jego *po ludzku* tylko szczęśliwą być mogła! lecz ojciec byłby się zagryzł z boleści, gdyby mu przyszło być świadkiem nieszczęścia dwojga ludzi których on związkowi błogosławił. Feliński umarł, zostawiwszy ozdrowiałą jeszcze córkę i znajdującego na jej szczęście, swoje. Lecz mnie przyjacielowi zmarłego i dzieci jego opiekunowi, zostawiły nieba smutny obowiązek przypatrywania się ciągłym męczarniom tej opłakaniej rodziny, bez możliwości przynoszenia jakiegokolwiek ulgi. Wkrótce po śmierci Felińskiego wraca nieszczęsna choroba córki jego. Wszystkie starania lekarzy, czuwania męża są są próżne; chwilowe przerwy w okropnym jej stanie zamiast uspokojenia nas i cieszenia, groziły tylko: rychłym powrotem i silniejszymi napadami, okropnej choroby! W tym samym prawie czasie, śmierć brata, ciotki i choroba matki, na zawsze już zdaje pograżyła zdrowie i szczęście biednej Felińskiego córki!

Przy tylu pociskach, Edmund Michałowski, czułem obdarzony sercem, ciągle dawał dowody charakteru; w samym kwiecie życia nie może już żyć dla siebie: ale umie i chce żyć dla dzieci i tej żony, która nieszczęściem, ocenić już nie potrafi! Obecny świadek, codziennych jego postępowań, winienem podać je na wzór wszystkim synom, ojcom i mężom; a jednego będąc przekonania, z sławnym mówcą i rymotwórcą naszym Koźmianem, który powiada: że *prywatne cnoty, są zakładem publicznych*, sędzę że wydobywając je z cieni ustronnego życia i wystawiając na jaw, nie samą przyjaźni dług należy wypłacać.

(Nota wydawcy).

Wrazł on w nas nauką i przykładem, co to jest być urzędnikiem publicznym. Ty już lat wiele pracujesz w tym zawodzie, ja mam dopiero do niego wchodzić. Wiem jakie mię czekają prace i przykrości; ale te mnie nie zraża. Twoja przyjaźń, światło, znajomość osób i okoliczności, długim mieszkaniem w Krzemieńcu nabyta, pocieszać i wspierać mię będą.

Przyłączam odpowiedź Sierocińskiemu. Bardzo rad będę z blizka go poznać. Lecz dosyć już tej bazgraniny. Niezadługo nagadamy się do woli, bo listy widzę są prawie dla starych przyjaciół. Lubą zoneczkę twoją ucałuj odemnie w rączki i uściskaj dziatwę.

Zawsze twój.

A. F.

Żytomierz, d. 18go 9bris, 1818.

*Drogi przyjacielu!* Gdybym się był jeszcze wahał czy mam przyjąć poruczone mi od księcia Kuratora obowiązki, twój list byłby mnie pewnie nakłonił. Odkrywając w nim serce dawnego przyjaciela, i pokrzepiając moją odwagę, przyniosłeś mi wiele pociechy. Miło mi dowiadywać się od ciebie, że uczniowie krzemienieccy radziby widzieć opiekującego się nimi powiększej części przyjaciela lub krewnego ich rodziców. Nie wątpię że pozyskam sobie przyjaźń prefekta i profesorów, moich przyszłych kolegów, skoro mię bliżej poznają; bo czuję dobrze, że praca i troski, nagana lub chwała, wszystko nam będzie wspólne. Wielu obywatelów oświadczyło mi łaskawie, swoją we mnie ufność i przyrzekło nawet pomnożyć liczbę uczniów. Osoby składające komisyya mają dla mnie (jak sobie pochlebiam) przyjaźń lub dobroć; Prezesa <sup>1)</sup> bardzo szanuje książe Kurator, Borejko kocha, a wszyscy szanują; spodziewam się więc pozyskać jego względy jeśli na nie zasłużę. Pomoże mi do tego i kochany powszechnie Pisarz Komissyi, którego przyjaciele spodziewam się że będą moimi. Los mi jeszcze nowe szczęście przynosi: kochany Antonowicz będzie lat kilka mieszkał w Krzemieńcu, szanowny i gorliwy Drzewiecki <sup>2)</sup> (który od lat dwudziestu mię kocha) jest Marszałkiem dozorcą. *Nil desperandum Tenero duce, et auspice Tenero.*

Proszę cię zobliguj Glüksberga, aby (jeśli nie ma u siebie) zapisał dla mnie: *Cours analytique de litterature universelle p. le Mercies (N. L.)*. Nowe to dzieło wyszło w Paryżu. Czytałem o niem zdanie w dzienniku francuzkim *Minerve*.

Przypomnij mi także przyjaźni L...; niech się nie gniewa żem przed trzydziestu laty nadto surowo krytykował jego wiersze w Warszawie, bo ja nawzajem dawno przestałem się gniewać za jego pamiętną ambasadę do mnie. Jakoż nie było za co. Bądź zdrów i kochaj dawnego przyjaciela.

A. F.

1) Michał Sobański.

2) Józef Drzewiecki, Szef w legionach Polskich, towarzysz Kniaziewiczów Fiszerów, etc.

Wołosów, 16 grudnia.

*Drogi przyjacielu!* Wczoraj dopiero miałem przyjemność wszystkie listy wasze razem odebrać; i nowy powód mam powtórzenia ci mojej prośby, abyś rzeczy ważniejszych nie pisywał do mnie przez okazy, ani pod cudzą kopertą; ale wprost do mnie na poczte.

Łatwo się domyśliłeś z jakim zapałem chciałym jak najprędzej widzieć w naszym kraju *dobrą* księgarnię i *dobrą* drukarnię. Co do pierwszej, projekt twój *praktykantów* pomyślnie się tu uda, trzeba tylko czekać na to zjazdu obywatelów; polecić ten projekt któremu z pierwszych urzędników, coby miał rzetelną gorliwość i mieszkał pospolicie w Żytomierzu; znajdziemy takiego. Co do drukarni, los jej zawisł od księgarni; i dobrze bardzo że do obu razem gorliwy Glücksberg się interesuje, a nadewszystko że ty sam raczyłeś się podjąć być na czele jej rządu. Jestem już teraz zupełnie w tej mierze spokojny, i obaczysz ile się będę starał ci pomódz. Dzieła Krópińskiego, Trembeckiego, i inne, i inne, muszą się koniecznie w Krzemieńcu drukować. Piękny papier zapewne wcześniście zapisali. Snuje się tu jeszcze nowy projekt który zapewne przyjdzie do skutku, jeśli ważniejsze pierwiej przyjdą. Tym ważnym i bardzo ważnym, jest projekt izb dozorczych, którego mi osnowę przysłałeś. Poznaje, bardzo chwale jego zamiary, słowem poznaje w nim ciebie. Znasz ty ogólnie prawidła, lecz nie jak *Professor*, tylko jak *Administrator* który znając ich i ducha, umie do okoliczności miejscowych zastosować. Jedność władzy, tegość *ekzekucyi*, powinny być na celu; lecz tam gdzie rzeczy są w początkach, gdzie nauki i stan nauczycielski są po większej części w *apathy* lub pogardzie, gdzie wszystko trzeba ożywić, zachęcić, oświetlić i pomnożyć, tam rzeczą jest bardzo ważną zainteresować do sprawy oświecenia jak najwięcej osób światłych, majątnych i znaczących: trzeba więc starać się jedno z drugim pogodzić.

Tego zamiaru dójdzie rozumiem wasz projekt, jeśli 1<sup>o</sup> linija demarkacyjna między władcami będzie jasno i dokładnie odznaczona, a chęć zrobienia lepiej nie będzie przeszkadzać do zrobienia dobrze; 2<sup>o</sup> jeśli będzie dodano, aby Izba dozorcza w tabellach po skończeniu każdego roku drukować się powinny, przekonała współobywatelów, że *naprzód* co do funduszków te nie tylko utrzymała ale i pomnożyła, *powtóre* co do stanu edukacyi, że każdy członek Izby i dozorca powiatowy bądź z własnego majątku, bądź ze swoich starań przyłożył się do dobra nauk, do udoskonalenia jakiego instytutu, szkół powiatowych lub parafialnych, albo przynajmniej do obmyślenia funduszu dla jednego z uczniów celujących lub ubogich. Ktoby uważał że to byłoby nad jego siły, niech się nie podejmuje tak szanownego urzędu. Ten coby tylko umiał *imponować*, *strofować*, wicherzyć, łąjąc lub opisywać, nie powinien tam zasiadać, gdzie prezydował Czacki i ma prezydować Sobański. Ja, który przez tyle lat żyłem z obywatelami, wiem że można im bardzo ufać, ale trzeba ich umieć dobrać, albo raczej pozwolić im aby się sami dobrze dobrali, jak słusznie oto troskliwy jest nasz książę Kurator. Te dwie *klauzury* które ci podaje, jeśli przyjmiesz *naprzód*, wprost będą sprzyjać dobrze edukacyi krajowej. *Powtóre* odstręczą od urzędu niezdolnych, małe mających środki, lęklivych lub zbyt zuchwałych, albo przynajmniej przymuszają leniwych a bojących się wzgardy, żeby dobrym użyciem swego majątku, wyrównali innych pracowitości. Jest

to myśl tylko rzucona, którą ty potrafisz rozwinąć, udoskonalić, i może z niej co użytecznego wyciągnąć. Musiał ci mówić Kruczkowski (którego najczuliej odemnie uściskaj) co pisał do mnie Borejko. Jest to człowiek bardzo dobry i rzetelnie gorliwy, ale długie doświadczenie i pamięć tylu pięknych u nas projektów spełzonych na niczem, zrobiły go *niewiernym Tomaszem* jakich podobno i w Krzemieńcu jest nie mało. Spodziewam się z Borejkiem razem świętować i wzmocnić jeśli można będzie, jego zachwianą wiarę. Mam przyjemność często się widywać z Gustawem Olizarem, który cię bardzo kocha, i wiele z nim o tobie mówimy. Ostygł trochę

Rzypisałem się już aż nadto długo do ciebie, a ty masz co lepszego robić niż mnie czytać. Bądź zdrow z żoneczką i dziećmi, przypomnij mnie czasem swoim przyjacielom, a nad wszystko mnie kochaj jak ja ciebie.

Zawsze twój

A. F.

1819, d. 2 marca, Wołosów.

Z ostatniego twojego listu jeszcze bardziej się przekonuję, mój dawny i drogi przyjacielu, jak szczerze pragniesz abym najprędzej był w Krzemieńcu. I ja radbym z serca być użytecznym tym kochanym i tegim chłopakom, o których mi piszesz; lecz tyle widzę i przewiduję przeszkód, trudności i niesmaków, że na niepewność wypadku bardzo jestem spokojny. Uczyniłem co zdawało mi się że powinien: przyjąłem wezwanie Księcia.

Słusznie pisze do ciebie Krópiński, że dla Krzemieńca poświęcić chce swą spokojność. Ja tem lepiej umiem czuć tę jego ofiarę, że niedawno dni kilka najmiliej w Woronczynie przepędziłem. Ma piękny dom, piękny ogród, dosyć książek, dobrą wioskę, a nadewszystko bardzo przyjemną i najprzywiazalszą żonę. Mimo to jednak przypominałem mu ustawicznie, że w nim jest nasza i Wołynia nadzieja.

Przed trzema dniami miałem prawdziwą przyjemność: był u mnie kochany Karol Sienkiewicz z swoim bratem. Powiadał mi, że młodzież krzemieniecka odzyskuje dawny do nauk zapał, że konwikt funduszowy pod dozorem Sierocińskiego bardzo się podniósł, że Sierociński prócz lekcji, które mu dobrze idą, ma być jeszcze redaktorem Pamiętnika Naukowego, do oddziału Literatury i t. d. Wszystko to, jak się łatwo domyślisz, sprawiło mi najżywszą radość i ożywiło moje nadzieje.

Przypomnij kochanemu Gustawowi że obiecał do mnie z Krzemieńca napisać i prędko przyjechać choć na krótko do siebie. Oczekuję go niecierpliwie, a przynajmniej że zdrow i dobrze mu się powodzi. Lubiej twojej żonce podziękuj że o mnie raczy pamiętać. Wieleż to lat jakem was i dzieci waszych widział! My tu wszyscy zdrowi i weseli toż samośmy i o was słyszeli i tego wam z serca życzymy.

F.

Żytomierz, dnia 24 kwietnia, 1819 r.

*Mój dawny, drogi i stały przyjacielu!* Nie odebrałem jeszcze od Weleżyńskiego pisma z uniwersytetu, lecz w liście twoim do Platera czytałem co i względem mnie donosił. Jeśli to już nie podlega wątpliwości, najmiliej mi jest odbierać tę wiadomość przez ciebie, któryś i najgoręcej tego życzył, i najusilniej się starał, i nakoniec sam siebie za mnie tak często narażał. Miło mi będzie dowodzić, ile to czuje tobie i wszystkim którzy jedno z tobą, myśleli i czynili; lecz zapomnę na zawsze tym, którzy



dla dobrych może przyczyn, przeciwnego byli zdania, całém staraniem mojem będzie, pierwszych usprawiedliwić ufność, a drugich przekonać, że słabą zdatność i niedoświadczenie zastąpić czasem może szczerą gorliwość i pracowitość.

Gdybyś nie był tak bardzo zatrudniony, gdyby nie ta teraz twoja kadencya, prosiłbym cię żebyś mi podał swoje myśli względem mego przyszłego bytu. Co tam zastanę? co mam przywieźć?

Ty wreszcie potrafiłbyś lepiej mnie o wszystkiém nauczyć, niżli ja się ciebie zapytać. Lecz będzie na to czas, jeśli nowa jaka burza wszystkiego nie przewróci. Serca tylko mego dla ciebie nic już do śmierci nie zmieni. Ściskam cię najczuliej, żoneczki twojej rączki całuję i cieszę się że was i działki wasze wkrótce obaczę. Antonowicz, Kruczkowski, Sierociński i wszyscy inni o których ty wiesz najlepiej, raczą przyjąć upewnienie o mojej rzetelnej przyjaźni.

Zawsze twój A. F.

Wołosów, dnia 17 maja, 1819 r.

*Drogi przyjacielu!* Poruczam twojej przyjaźni odpowiedź moją do Księcia i do Sienkiewicza.

List Księcia do JKs. Osińskiego, któregoś kopiją raczył mi przysłać, bardzo mię interesuje. Aleś ty zrobił jak poeta dramatyczny, przed samém rozwiązaniem zawiesiłeś moję ciekawość aż do drugiej poczty. Czekam jęj najniecierpliwiej, to jest wyglądam upewnienia, że ten szanowny i kochany mąż nie opuści Krzemieńca. Najmocniej tego pragnę i dla dobra szkoły i dla jego przyjaciół, których ma tak wielu. Ja sam radbym bardzo korzystać z jego przyjemnego towarzystwa, nauki i słownika, bez którego nie można porzucić wszystkich bogactw i zalet ojczyźstęj mowy. Znajdą się zapewne środki do wydrukowania tak pożądanego dzieła pod okiem autora i w Krzemieńcu.

Wyglądam twego długiego listu.

i ściskam ciebie najczuliej.

A. F.

Dnia 23 maja 1819 r. z Żytomierza.

*Drogi przyjacielu!* Musiałeś już odebrać moją odpowiedź na twój list pierwszy, teraz na drugi odpowiadam i za oba ci najczuliej dziękuję.

W liście JKs. Osińskiego do Księcia, pochlebném mi jest co pisze o mnie, lecz nierównie więcej mnie cieszy to że zostanie w Krzemieńcu. Będę się starał korzystać z jego światła i zasługiwać sobie na jego przyjaźń.

Radbym bardzo żebyś teraz pojechał do Puław. Twoje uwagi pomogłyby zapewne do udoskonalenia tak ważnego dzieła, a zresztą radziłbyś żeby nie było zbyt drobnych szczegółów, bo to co cesarz podpisze niepodobna będzie zmodyfikować, choćby nawet doświadczenie potrzebę tego wskazało. Przyłączam bilet do Gustawa, może go jeszcze w Krzemieńcu zachwyci. Radbym bardzo widzieć go najprędzej w Korosteszowie.

Nie chce mi się teraz długo do ciebie pisać, bo cieszę się nadzieją, że niezadługo będę mógł całe nocy z tobą na słodkiej rozmowie przepędzać. Ty jednak racz jeszcze choć raz jeden do mnie długo napisać odpowiadając

na moje zapytania, albo raczej poddając mi swoje myśli względem tego co mi potrzeba wiedzieć przed moim ztąd do Krzemieńca wyjazdem.

Wszystkim łaskawym na mnie czyli raczej na nas obudwóch, oświadczyć moje przyjaźń i ukłony; żonki twojej całuje rączki i ciebie ścisłkam najczulej. Zawsze z całego serca twój.

A. F.

Dnia 14 czerwca, 1819. Wołosów.

*Drogi przyjacielu!* Powróciwszy z Korosteszowa, gdzie ucieśliśmy dość przyjemną gawędę, odpisuję ci na dwa twoje listy które mnie razem prawie doszły i z których bardzo jestem kontent, jak ze wszystkich twoich. Wdzięczeń ci jestem, żeś ujął dla mnie kochanego JKs. Osinińskiego i odpowiadź jemu na ręce twoje przyłączam.

Prawda, że Książę kazał mi przyjeżdżać do Krzemieńca pierwszych dni czerwca, ale *po odebraniu potwierdzenia*, którego dotąd nie mam, a zatem czekam. Gdybym się go nawet prędko doczekał, bałbym się moją przytomnością na egzaminach sprawić przykrość S... Najlepszy czas do przyjazdu, jak sam powiadasz, są wakacje. Będę się jednak starał koniecznie kilku tygodniami uprzędzić pierwszy dzień września, żeby się zawnazasu do wszystkiego, powoli i porządnie przygotować.

Wszystko co mi piszesz względem mojej przyszłości *moralnej*, jest bardzo trafne, wyborne, doskonałe. Byłoby to może próżnością powiedzieć *i ja tak myślałem*, powiem więc bezpieczniej *i ja tak myślę*. Postanowiwszy sobie nic nie czynić interesownie, porywczo i bez przekonania się gruntownego że tak lepiej, nie będę wcale dbał na stronnictwa, plotki i kabały. Idąc prostą zawsze i jawną drogą, pociechę znajdę nawet wśród niepomysłnych wypadków. Zresztą otwarcie mówiąc, wiele spodziewam się przeszkód, ale też wiele wsparcia i pomocy. Mając oddawna za prawidło *doux dans les formes, vigouré dans le fond* znajdę chyba takich nieprzyjaciół, których przełamywać jest powinnością i pokonać chwałą. Oto jest moje wyznanie wiary.

Co do mojej przyszłości, jak piszesz, *materjalnej*, nie wygodnie jest trochę, drogo skupować sprzęty i meble, które za cztery lata a może i prędzej na mało się zdadzą, i płacić z góry, mając we cztery miesiące dopiero część pensji odebrać. Ale znajdują się na to środki, a najlepszy ten, aby żyć skromniej jeszcze, niż wystarcza. Odetnę wszystko cokolwiek dogadzałoby tylko próżności niezgodnej z moim urzędem, stanem i moim nawykniem. Żeby zaś zostało mi więcej sposobów do ujęcia sobie obywatelów, kolegów a nawet uczniów (o co się będę najusilniej starał), odetnę cóżkolwiek od moich wygod i przyjemności; nie poświęcę jednak ani grosza ze szczupłego majątku mego, który winienem zachować dzieciom. Tak uczę rozsądek, słuszność i przykład Czackiego.

Myśl twoja względem planu który się układa teraz w Puławach, zdaje mi się bardzo dobra i radbym aby była tam wiadomą i potwierdzoną. Radbym nawet abyś tam sam mógł pojechać, ale na krótko, boby mi bardzo przykro było nie zastać cię w Krzemieńcu.

Proszę cię o odesłanie listu do Księcia.

Reszta czyli raczej prawie wszystko do szczęśliwego widzenia się.

Twój do śmierci.

A. F.

Dnia 8 lipca, 1819 r. Wołosów.

*Drogi przyjacielu!*

Przy końcu tego miesiąca będę miał szczęście i roskosz powitać ciebie, twoją żonę, wasze dzieci, moich łaskawców i przyjaciół, których powiększej części winienem tobie. Nie masz dla mnie kłopotów, trudności, umartwień, kiedy będziemy razem.

Napisz jeszcze do mnie raz jeden, i kochaj zawsze. *A. F.*

Dnia 21 lipca, z Wołosowa.

*Drogi przyjacielu!* Odsyłam przodem moje paczki i proszę ciebie abyś je kazał w mojej przyszłej stancyi złożyć, albo jeśli jeszcze nie można, w twojej własnej.

Wkrótce spodziewam się ciebie uściskać i jestem już tą samą myślą szczęśliwy.

Zawsze twój.

*A. F. \*)*

---

\*) Noty wydawcy znaleźliśmy w rękopiśmie danym nam przez hr. G. Olizara i zachowaliśmy je w całości. *J. I. Kr.*

# UCZTA MYŚLIWSKA

NA BESKIDZIE \*).

przez

WINCENTEGO POLA.

Jak cały rok boży z kolei szły łowy!  
Nie czekał on \*\*) rosy, lub pierwszej ponowy  
Lecz na co się godzi, co było na porze  
Na błotach, czy wodach, na polu, czy w borze  
Z kolei dorocznej po świecie brał sobie —  
I była tam sprawa myśliwska na dobie.  
Gdy owsy szły w mleczek, starosta już jedzie  
Na Beskid, po górach wybierać niedźwiedzie;  
Bo Misio się tłumi po leśnej polanie....  
Więc godzi się jemu za ludzi karanie:  
I owsy góralom i woły wytluka —  
To dawaj tropowca! z pradziada prawnuka!  
Bo niedźwiedź z Połoniu, to gruba już sztuka!  
Z panami na Węgrach miał dobrą zażyłość —  
Więc kiedy zagości w Beskidach Ich Miłość:  
Zjazd bywał na stariej granicy wspaniałej  
I Węgry tak pana Starostę kochały —  
Że chociaż myśliwskie zabrania to prawo,  
Ruszyli jelenie u siebie obławą —  
I ucztą na dziale Starosta ich raczy,  
I nigdy nie wrócił bez kilku rogaczy!  
Hej, uczta to była rycersko-myśliwa!  
A kto tam i gości i społem przebywa,

\*) Jest to wyjątek z nowego jeszcze niedrukowanego poematu znakomitego naszego poety, p. t. „Pan Starosta Kiżlarski“.

\*\*) T. j. Pan Starosta.

Ten pewno do śmierci tę ucztę pamięta :  
Boć było wszystkiego tam prawie do zbytku  
O kuchni to nasi, o owym napitku  
Radzili honeste węgierskie panięta —  
I chociaż nie było obawy tam słoty,  
To nasi i Węgrzy prowadzą namioty  
Ze sobą na Beskid i kredens i kuchnie —  
I kiedy ta wrzawa myśliwska przygłuchnie,  
To między węgierskim, a naszym taborem —  
Ucztują pośrodku i każdy swym dworem --  
I gości i czyni i górą się niesie —  
Huk tylko z moździerzy, aż szumi po lesie...  
I bigos wyjeżdża na pierwsze już danie,  
A Węgry to jeszcze papryką go pieprzą —  
Więc po nim głowizna z kolei tam stanie,  
A Węgry bo, z dzika, ją mają za lepszą —  
I całe barany na rożnach się pieką,  
I razem tam z rożnem podane na wrząco —  
A potem tam trochę o beczkę się trąca....  
Do końca już ucztę niebardzo daleko :  
Bo głuszce, jarzabki, ciętrzewie już dają.  
W tém nagle gospodarz powstanie od stołu,  
A za nim wraz wszyscy wesoło powstają  
I niosą od ognia, u licha, czy wołu? —  
To na stół ostatnie wyjeżdża już danie,  
I jeleni pieczony pośrodku tam stanie :  
Tak cały z rogami, jak w lasach się nosił,  
I leży pokornie, jak gdyby się prosił —  
I krajczy węgierski na klocek aż staje,  
I dobył kordelas i sprawnie tam kraje,  
I pieczeń królewską na ostrzu podaje. --  
I jeleni na stole i beczka na stole —  
Więc chodzi jedynie o dobrą już wolę :  
Do jadła nie trzeba myśliwym przynuki,  
Lecz kiedy tam przyszło nareszcie do wina,  
To mają i nasi i Węgrzy swe sztuki —  
Więc każdy tam swoje praktyki poczyna :  
Starosta z puzderka puhary dobywa,  
Bo trzeba już pubar obesłać kolejną —  
A na to się Węgry złośliwie zaśmieją :  
— Bo inna na Węgrzech praktyka myśliwa —  
Puharów nie wozim, lecz mamy tu trąbki

I pono tam wina nie cedzą przez ząbki  
 I u was. — Na łowach Mosanie pij z rogu!  
 I nie ma ratunku, i oddaj się Bogu!  
 Bo nosi wspaniałe węgierski wół rogi,  
 Więc straszno i spojrzeć gdy legnie na stole!  
 A inni podają aż rogi bawole —  
 I wasy pokręcą i brzęczą w ostrogi....  
 Więc wszyscy to znali co wreszcie się święci,  
 Gdy Węgier zabrzączy i wasy pokręci —  
 Więc choćbyś się w rogu miał w końcu utopić,  
 To padło do kropli ostatniej go dopić!

Dopieroż po uczcie gdy ognie rozniecą —  
 To łuny z Beskidu na niebie aż świecą....  
 I tutaj dopiero pogwarzyć najmiliej —  
 I gwarzą, aż w końcu ognisko już gaśnie —  
 I każdy się zwolna na stronę pochyli,  
 I plecie coś drzemiąc, aż wreszcie już zaśnie....

Nad szumnym taborem noc głucha osiada....  
 I każdy jak kamień do ziemi przypada  
 I tylko świerk gonny straż nocną tam trzyma,  
 I gwiazdy czuwają jasnemi oczyma,  
 I tylko tam jodła swojemi bisiory  
 Ocienia uroczo obadwa tabory,  
 I chyba koń parsknie przy nocnym obroku.  
 Lub psina zaskomli gdy sfora ugniecie,  
 I słyhać szmer wody w dalekim potoku,  
 I mgła się nareszcie bałwani po świecie.

Aż kiedy podbiegnie jutrzienka do gwiazdy,  
 Wracają z dalekiej wyprawy objazdy,  
 I starszy objezdnik na trąbce znak daje,  
 I obóz myśliwy do razu powstaje;  
 A co tam w objeździe?

Ha, mamy dziś misia,  
 A jeśli się uda to może i rysia,  
 Bo zepsuł sarneczkę, a kiedy ją skruszy,  
 To pewno oblegnie i z miejsca nie ruszy.  
 Więc czeladź i dworscy, nuż pieski na leski,  
 Sobaczki na krzaczki, ogary na jary!

# UWAGI WSTĘPNE

do

niektórych spostrzeżeń w przedmiocie języka

przez

PROF. DR. JÓZEFA MAJERA.

Są pewne zawody, pewne powołania, które zdają się upoważniać każdego do zabierania w nich głosu, i to tém śmielej im mniej się niemi zajmował, a już najzupełniej stanowczo, jeśli nie z niemi nie miał do czynienia. Że tu na pierwszym miejscu stoi polityka, a zaraz za nią medycyna, to podobno żadnej nie ulega wątpliwości. Gdzie polityk lub lekarz z powołania liczy się z faktami, a przewidując wypadki, w obawie mylnego kroku szuka pomocy w całym zasobie mozolnie nabytych wiadomości; tam samorodny statysta ma na zawołanie gotową polityczną radę, a pierwsza lepsza matrona kwapi się z poleceniem niezawodnego środka lekarskiego. Bacząc jak dalece ta polityczno - lekarska intuicya spólną jest ludziom różnego wieku, płci i wszelkiego stanu, niemal przypuścićby trzeba, że człowiek przychodząc na świat, tak gotową przynosi ją z sobą, jak zdolność jedzenia i picia.

Czy jednak rzecz tak się ma, czy inaczej, mógłby kto zapytać: co w ogólności ma ona spólnego z uwagami jakie podać tu zamierzam w przedmiocie języka? W istocie, że każdy politykuje, każdy pospiesza z poradą lekarską, może to sobie być rzeczywiście prawdą, nie rozjaśnia to przecież ani jednego gramatycznego usterku, nie

wykazuje i nie usuwa ani jednej obcej do języka naleciałości. Gdyby zatem uwagę powyższą odnosił ktoś do przedmiotu jakim zająć się zamierzam, mógłby ją słusznie nazwać niewłaściwą, inaczej jednak rzecz mu się przedstawi, jeżeli wzmiankę o wdawaniu się w obcy sobie zawód odniesie nie do przedmiotu ale do osoby.

Otóż zamierzając nakreślić kilka uwag w przedmiocie naszego języka, nie dziw, że myśl powyższa nasunęła mi się prawie mimo woli; widząc bowiem co się dzieje gdzieindziej, sam sobie zadać musiałem pytanie: azali, nie będąc z powołania lingwistą, nie wdzieram się w obcy sobie zawód, i nie narażam się tém samém na zarzut, którego sam w innych razach bynajmniej nie szczędzę?

Wyznaję, że przykład innych nie był dla mnie bez otuchy; że więcej jeszcze dodawało mi jęj, pobłażliwe już przed kilkunastu laty przyjęcie moich uwag w gronie ówczesnej komisji Towarzystwa nauk.; najwięcej zaś uwaga, że różnem być może stanowisko, z jakiego właściwości, błędy lub poprawność języka oceniaćby można. Zdawało mi się zatem, że wtenczas dopiero byłoby to z méj strony śmieszne nadużycie, gdybym przekraczał stanowisko, na którym zostawać każdy myślący nie tylko ma prawo, ale obowiązek; stanowisko uznanych zasad gramatycznych, prostej logiki wcielającej się do języka bezwiednie, i tego poczucia, które wdraża się każdemu, kogo od dziecięctwa nie owiało technienie obcej mowy, a które podsycza w nim jeszcze wrodzona miłość własnego języka. Zdawałoby się, że gdzie do wykazania prawdy wystarczają powyższe warunki, tam nie dopuszcza się nadużyciako niemi uzbrojony występuje w szranki, chociażby subtelniejsze lingwistyczne tajemnice z grubsza tylko były mu wiadome. — Idzie tylko o to, czy owe, że tak powiem, domorosłe warunki, mogą kiedykolwiek wystarczyć do wykazania błędów popełnianych w języku?

Jedna z naszych powag lingwistycznych <sup>1)</sup> mówi: „Umiejętność językowa u niemców przyszła już po wielu próbach do téj świadomości, że rozumowanie a priori celem poznania prawd językowych nie płuży i na nie się

---

<sup>1)</sup> Profesor Suchecki w rozprawie: Dwa zagadnienia z zakresu języka polskiego, 1871.



nie przyda, a usposabia jeno do bezużytecznych o języku marzeń i wiedzy do pomyłek grubych“. Co się zaś tyczy poczucia, przyznaje, że: „wprawdzie bywało ono dawniej źródłem rzadko zawodném poznania prawdy językowej; ale gdy w nowszym czasie poczucie to zamąciło się bardzo poczuciem francuzkiém, niemieckiém i rossyjskiém, toć różne poczucia dzisiejszych polaków nie wystarczają do rozstrzygania przeróżnych wątpliwości i stają się źródłem dowolności, sporów i błędów a nie zdrojem prawdy stanowczej“.

Obu tym uwagom, a mianowicie téż ostatniej, słuszności w żaden sposób odmówić nie można. Osluchanie się przy często powtarzanych wyrażeniach choćby i najdziwaczniejszych, pociągające za sobą pewne nawyknięcie, nietylko przytępia wrażliwość na usterki, lecz nawet z inąd wykazanych uznać nie dozwala. Tym więc sposobem wyrobione poczucie, zamiast żeby miało być w poszukiwaniu prawdy kierownikiem sądu, prostą drogą do błędu prowadzi. Wszakże z tego samego wynika, że cokolwiek na niekorzyść poczucia powiedziećby można, odnosi się to już do poczucia spaczzonego wpływami obcemi. Przecież na szczęście nie braknie nam jeszcze i takiego, które się wypielęgnowało wśród innych warunków, a które poparte jakim takim obyciem się z pisarzami dawniejszymi, miałyby po swojej stronie choć w części to prawo, które przyznaje autor poczuciu ducha języka z czasu dawniejszego. Może téż z tych resztek swojskiego poczucia dla tego właśnie skwapliwiej korzystaćby trzeba, że inaczej, przy rozmaganiu się w języku obcych naleciałości, możebyśmy go niezadługo wcale nie spotkali<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Na dowód, że żądanie to nie jest przesadzone, niech mi będzie wolno odwołać się do tego, co ks. Malinowski w odpowiedzi prof. Małeckiemu (Pozn. 1868. str. 13) mówi o Lelewelu: „Zajiste! Lelewel, chociaż nie był gramatykiem, miał w tym względzie (jim, jich) lepszy instynkt od wszystkich naszych gramatyków“. Ja dopominając się w sprawie języka o niejakie prawa dla nielingwistów z zawodu, nie idę tak daleko; rozwiązanie bowiem wszelkich wątpliwości wymagające głębszej znajomości fonetyki, etymologii i tym podobnych zasad i środków lingwistycznych, zostawiam właściwym w tej mierze badaczom, zachowując sobie

Wobec uwagi pierwszej, a więcéj jeszcze wobec tego co szanowny autor mówi w inném miejscu, mianowicie zaś: „że powaga autorów pracujących w różnych zawodach naukowych, nie jest bynajmniej nieomylném źródłem prawd językowych, ale jest niém jedynie tylko wszechstronna umiejętność filologiczna i lingwistyczna“; wobec mówię tego, reszta warunków, które zdaniem mojm w właściwych razach mogłyby upoważniać do zabierania głosu w przedmiocie języka, zgoła straciłaby znaczenie.

Przecież ośmieliłbym się tu zapytać: czyli bezwzględne zastosowanie takiego twierdzenia nie mogłoby uleść zarzutowi? Pojmuję ja znaczenie ścisłych badań lingwistycznych, a ceniąc je wysoko nawet i wtenczas, gdy, jak n. p. w zastosowaniu do Antropologii, wypada mi w téj mierze robić niejakié zastrzeżenia; nie wahałem się poddawać rozbiorowi z powołania lingwistów każdéj wątpliwości językowej, dla którój usunięcia nie mogły wystarczyć warunki, o których powyżéj mówiłem; co téż szanowny nasz autor przyznaje sam w powołaném miejscu. Mimo to przecież twierdzę to stanowczo, że na nieszczęście często i bardzo często spotkać się można z takimi błędami w języku, które, żeby wykazać, nie konie-

---

w razie potrzeby jedynie skromny głos w przedmiocie fizjologii głosek.

Tu dla przykładu jeden tylko szczegół. Czytam n. p. w jednéj gramatyce, że „samogłoski wymawiają się przez samo tylko mniejsze lub większe otworzenie gęby i wydanie głosu“; otóż wypadaloby mi uczynić tu uwagę, że na-przód głos w ścisłym rozumieniu nie jest koniecznym warunkiem wymówienia nietylko samogłoski ale i spółgłoski, może to bowiem nastąpić szeptaniem, t. j. prądem powietrza przedzierającym się przez tak rozszerzoną głośnię (*glottis*), iż głos powstać nie może; a powtóre, przy prostém tylko, mniejszém lub większém otworzeniu gęby, da się słyszeć *a* i nie więcéj, inne zaś wszystkie samogłoski wymagają już jakiegoś przycięśnienia z przodu lub w tyle kanału mownego. Jeżeli n. p. w ciągu wygłaszania *a* przyweżę okrągło wargi, to przez pewne brznięcia pochylone *a* przejdzie w *o*, przy dalszém zwięzaniu *o* zamieni się w *u*, to zaraz w *w* i t. d. Podobnie dopiéro przy podniesieniu korzenia języka *a* przejdzie w *e*, to w *y* i t. d. Muszą tu zatém być już czynne te same narzędzia, których udział gramatyk dopiero przy spółgłoskach za konieczny uważa.

cznie trzeba się udawać aż do pierwiastków mowy i porównawczego rozwoju języków.

Jeżeli n. p. dałoby się słyszeć takie wyrażenia jak: robić examen, byli tam panny, czynię uważnym, zostałem stać, widziałem go iść, ilekroć razy, badać na białko, trzymać szkołę, wnosić na uznanie wyboru, zgłosić konie, społeczeństwo, zdać sprawozdanie, okna dają na podwórze (są lub wychodzą), uszparować sobie, człowiek to bardzo pojedynczy, statki krzyżują (krążą), przekonanie w sprawiedliwość, stoi w stosunku, marszałek przeszkodzony, biorę sobie wolność i wiele tym podobnych uchybień przeciw składni, prostej zgodzie wyrazów, właściwemu ich znaczeniu lub prostej logice; to pytam się, czy w takich razach dla wykazania błędu potrzeba sięgać aż do zendu lub sanskrytu, jako źródła języków indo-europejskich? czy nie wystarczy tu zwykła znajomość gramatyki, odrobina zastanowienia i niespaczone obczyzną poczucie ducha własnego języka? A przecież te i tym podobne wyrażenia i zwroty tłumią jego właściwość najszkodliwiej i prowadzą do tego, że nie raz zdanie wypowiedziane polskimi wyrazami, tak dalece jest niemieckim lub francuzkiem, że przełożywszy je na jeden z tych języków dopiero łatwiej zrozumieć je można. A cóż dopiero, gdy do tego przymieszają się wyrazy wprost obce, lub tylko z swojska przykrojone!

Pocieszają nas wprawdzie lingwiści, że mimo wszelkich nieprzyjaznych wpływów, język żadnego ludu nigdy tak się nie wyrodził, żeby nie zachował swojej rdzenniejszej właściwości, ze względu na pierwiastki i sposób ich kojarzenia, słowem na swoją wewnętrzną budowę<sup>1)</sup>. W zastósowaniu do naszego przedmiotu, wynikałoby z tego ta pociecha, że jakimkolwiek zmianom i przepostacieniom uleżby mógł nasz język w różnych dzielnicach kraju, a na-

<sup>1)</sup> W Max. Müllera odczytach o umiejętności języka (Warsz. 1867. str. 17) czytamy między innymi: „Celt może zostać anglikiem, ale język nigdy, bo języki nie mieszają się nigdy. W słowniku angielskim badacz znajdzie cząstki celtyckie, normandzkie, greckie i łacińskie; lecz mimo to ani kropla krwi obcej nie wdarła się w system organiczny języka angielskiego (teutońskiego pochodzenia)“.

wet w różnych zakątkach świata, będą to zmiany powierzchniowe, które nie zaszkodzą bynajmniej jego rdzenną właściwość.

Smutna to jednak byłaby pociecha, choćbyśmy zresztą przed lingwistyczną prawdą czołem uderzyli! Owa rdzenna wytrwałość, jak wytrwałość pierwiastków chemicznych, zapewne może być dla badacza ciekawą, obojętną jednak będzie dla tego, kto patrzy na rzeczywistość i ocenia skutki. Wszak z krędy i marmuru dadzą się ostatecznie wydobyć także jednaki pierwiastki; podobno jednak nie bardzoby się ucieszył, kto poszukując marmuru, znalazłby w jego miejsce kręde, bo jej nie użyje ani na kolumny gmachu, któryby zbudować zamierzył, ani do rzeźby mającej wyrazić jego myśl i uczucie. A niechże chemik dokonana ostatecznie dzieła, niech rozłoży po swojemu i kręde i marmur; przekona nas zapewne, że między nimi różnica tylko powierzchniowa, że w obojgu tkwią utajone te same składniki: kwas węglowy i wapno, ale po takim rozkładzie, gdzież już będzie szukać krędy lub marmuru?

Otóż nie inaczej rzecz mi się przedstawia i ze skutkami przeobrażeń naszego języka; zwolna musiałyby one doprowadzić do tego, żeby, mimo jedności pierwiastków, potworzyły się narzeczka tak od siebie dalekie, tak obce, tak odmienne i tak niezdatne do skojarzenia w jednolitą całość, jak kręda z marmurem. Przecież i w całej rodzinie języków indo-europejskich da się wykazać owa rdzenna jedność, co zapewne nie małą wobec nauki stanowi zasługę lingwistycznych chemików; czyż wszelako mimo to nie zmusza nas rzeczywistość w należących do tej rodziny językach: greckim, francuzkiu, niemieckim, polskim i t. d. widzieć języki całkiem sobie obce i niezrozumiałe bez osobnej nauki?

A cóż powiedzieć o pokrewieństwie między językami aryjskimi a semickimi? Halléguen tak okazał się niewybrednym w ocenianiu spólnego rodowodu tych obu gałęzi, że do uznania rzeczywistej spólności ich źródła wystarcza mu już ta okoliczność, iż w obu znajdują się czasowniki, zaimeki i wykrzykniki (*Bull. de la Soc. d'Anthr.* Par. 1862. III. p. 205). A ponieważ i zwierzętom nie brak wykrzykników, więc o krok tylko dalej, a dojdzie się do zdania, które nie wiem wreszcie żartem czy serio, wypowiedział Pierquin de Gembloux (*Idiomologie des animaux.* Par. 1844. p. 106): że, jak się wyraził, aż do

katakлизму fonetycznego wieży babilońskiej, człowiek i zwierzęta musieli mówić jednakim językiem.

Skoro atoli, pomijając nawet mytyczne epoki wyrobienia się języków, z uwagi na to co nas bliższe i pewniejsze, możemy powziąć przekonanie, iż przy owych, że tak powiem zewnętrznych zmianach naszego języka, mimo nie naruszenia budowy wewnętrznej, moglibyśmy się z czasem wcale nie rozumieć; pragnąc więc tego unikać, niepodobna patrzeć na nie obojętnie.

Najwłaściwiej byłoby zapewne, gdyby z powołania lingwiści zajmować się chcieli wyplewianiem tego rodzaju chwastów językowych; jeżeli jednak kierunek ich pracy od tego ich odwraca, niechże przynajmniej będą pobłażliwymi dla tych, którzy wstępują tu w szranki z mniejszym zasobem lingwistycznych wiadomości; bo choćby nawet czasem się mylili, to licząc się z swojemi siłami, chętnie przyjmą naukę, a pozostanie im zasługa, że zwrócili uwagę na to, co może rzeczywiście wymaga poprawy.

Są to, że tak powiem, czaty ochotnicze, które widząc przed sobą słaby zastęp nieprzyjacielski, w poczuciu własnej siły, mogą się z nim rozprawić; wobec mocniejszego, zawiadamiają o tém główne oddziały i do nich się cofają. Jak dalece przy zaniedbaniu tego rodzaju bacności nieprzyjaciel mógłby wtargnąć i znaleźć się niepostrzeżony pod boki wodzów, zajętych kreśleniem szerokich planów kampanii; niech o tém sądzą wojakowi. Ja tymczasem, stosując to do mojego przedmiotu, upewnić mogę, że na nieszczęście w własnych pismach naszych najbieglejszych, najgruntowniejszych, najpracowitszych przywódców lingwistycznych, dostrzegam ślady przeoczenia takiego wtargnięcia nieprzyjacielskiego. Jakże bowiem nazwać napotykaną tam takie n. p. wyrażenia: Postawione pytania redukują się na trzy następne (do trzech następnych); on ale twierdzi (ale on); w mowie spółgłoska opiera się zawsze na jaką samogłoskę (o jaką lub na jakiej); używa się to w pytaniu wnet prostym, wnet ubocznym (już — już); posądzony za plagiatora (uznany za, posądzony o, o plagiatorstwo); nacisk (u) nie należy kłaść po mazursku i t. p.<sup>1)</sup> A przecież pisarze ci, jak powiedziałem, są

<sup>1)</sup> Pomijam tu: przekonuję, wyświecenie prawdy

w przedmiocie lingwistyki słusznie cenionymi badaczami, nie brakuje w ich pracach ani *á* pochylonego, ani *j* przed *i*, ani znajomości sanskrytu, litewszczyzny, a przynajmniej starosłowiańszczyzny. Możnaż zatem przypuszczać, żeby sami nie byli w stanie ocenić wadliwości powyższych wyrażeń? Bynajmniej! wszak między nimi znajdują się i takie, na które sami w pismach swych nastają<sup>2)</sup>.

Jest to poprostu z ich strony przeoczenie, wynikłe z zajęcia myśli w innym kierunku, ale dowodzące zarazem, jak dalece nawyknienie do składni i wyrażeń obcych, owo osłuchanie, oswojenie się z wyrażeniami błędnymi, nie jest bez wpływu i na tych, których wyroków w sprawie języka z pokorą słuchamy. Co gdy tak jest, cóż byłoby dziwnego, gdyby i w ciągu tych uwag dały się także widzieć skutki tego wpływu?

A cóż powiedzieć o pismach codziennych? Wydawcy tychże zmuszeni występować codzien z ogromnym arkuszem, nie mają na to czasu, żeby z osobna baczyć na poprawność języka; wnoszą więc z sobą taki, jaki wyrobili sobie w miarę dawniejszej nauki i późniejszej wprawy, ani myśląc o tém, że wnoszą tam zarazem i te wszystkie błędy, które chcący niechcący tak się ich czepiły, jak pajęczyna w jesieni czepia się nawet najschludniejszej i wykwintnej odzieży.

Skoro zaś taka jest potęga wpływów językowi szkodliwych; skoro z upływem czasu zwiększają się ich skutki w postępie rosnącym; skoro wszystko to dzieje się w obec pełnych zresztą zasługi prac naszych lingwistów; jeżeli zatem i nielingwista, znalazłszy potemu sposobność, spostrzeżeń swoich nie zachowa dla siebie, lecz podzieli się nimi

i t. d. już dlatego, że o tych wyrażeniach jeszcze tak i owak mówićby się dało: wyznają jednak, że tymczasem wolę zawsze pisać i mówić przekonywam, a zamiast wyświecania, wyjaśnienie prawdy już z tego powodu, żeby stosownie do dawniejszego znaczenia słowa wyświecić, nie zdawało się iż chcę prawdę wypędzić.

2) Przypomina mi się tu ów nauczyciel, który napominając ucznia, że nie należy mówić trza, wyraził się: pamiętaj, że nie trza mówić trza, tylko trzeba! Może to tylko anegdotka; jak jednak widzimy, nie bardzo daleka od prawdy.

z innymi; toć zaprawdę dopełni on tylko swego obowiązku.

Być może, iż wobec uwagi, że każdy ma prawo wypowiedzenia tego, co mu dyktuje jego przekonanie, uzna kto cały powyższy wywód za zbyt obszerny; ja przecież inaczej się na to zapatruję. — Zwolennik nauki ścisłej, niechętny zatem płytkim objawom dyletantyzmu, zebrawszy niektóre spostrzeżenia w przedmiocie języka, zachowałem je do własnego użytku, nie kwapiąc się z ich publikowaniem. Gdy jednak z jednej strony nie brakło do tego zachęty, z drugiej zaś znowu i zdania lingwistów i własne przekonanie o potrzebie naukowej ścisłości, stały temu na przeszkodzie; zdawało mi się zatem, że nie będzie od rzeczy, jeżeli w miejsce samych spostrzeżeń, uwagi powyższe zrobię tymczasem przedmiotem rozprawy. Dotyczą one poniekąd metody badania, i z tego też względu mogą mieć niejakię wartość.

Wszakże metoda badania polega nietylko na obmyśleniu środków prowadzących dodatnio do wykrycia prawdy, ale i ujemnie, przez usuwanie wszystkiego, coby temu stało na zawadzie. Takiem utrudnieniem osiągnięcia skutku byłby w naszym przedmiocie brak należytej oględności i uwagi na to, żeby dobra wola nie poszła za daleko; żeby w zapędzie nie mięszać dobrego ze złem, nie kwapić się z mniemaną potrzebą rugowania tego, co w najgorszym razie byłoby dla języka obojętnem, a co większa, może nawet i przydatnem, jeżeli nie chcemy zrobić mowy suchą i sztywną na podobieństwo matematycznej formuły. Do tegoto zmierza kilka uwag, które jeszcze uczynić zamierzam.

Skutek, o którym wspomniałem niewątpliwie nastąpićby musiał, gdybyśmy, mając dogodne wyrażenia dla oddania pewnych delikatniejszych odcieni myśli, jedno z nich rugowali koniecznien, np. dlatego, że w taki sam sposób wyraża się francuz albo niemiec, i to bez należytego dowodu, że istotnie jest ono u nas przemycionym towarem. Wszakże idzie tu tylko o to, żeby wyraz lub wyrażenie które uderza nas podobieństwem do obcego, nie było przeciwne dawniejszemu znaczeniu, składni językowi właściwej, lub prostej logice, bo w takim razie nie wiem zaprawdę, w jaki sposób mogłoby ono być językowi szkodliwe.

Tak np. do mocno podejrzanych o pochodzenie niemieckie należałoby wyrażenie: nie jestem w stanie, gdyż po niemiecku mówi się także: *ich bin nicht im Stande*. Pytam się jednak, co w tém wyrażeniu byłoby zdrożnego? Gramatycznie i logicznie nie ulega ono zarzutowi; chybaby zatem wypaczało dawniejsze właściwe znaczenie wyrazu stan. Atoli i tego dostrzedz tu nie mogę; — stan bowiem zdawna oznaczał położenie, okoliczności, w jakich się ktoś lub coś znajduje, następnie sposobność, możność (LINDE). Były więc swojskie warunki potemu, żeby według toku myśli lub potrzeby stylu wyrazić się bądź: nie mogę, bądź nie jestem w stanie. Skoro zaś Niemiec, tłumacząc się przez: *ich kann nicht, ich bin nicht im Stande*, a nawet *in der Lage*, w miarę okoliczności, potrzeby urozmaicenia mowy, lub oddania pewnych odcieni myśli, rzeczywiście ze swobody téj korzysta, skoro i francuz znalazłby na to różne wyrażenia nie wyjmując i *être en état, n'être pas en état*; to nie pojmuję, dlaczego my tylko, ograniczając się jedynie i wyłącznie do nie mogę, mielibyśmy dobrowolnie nakładać pęta językowi. Ten dopiero słusznie ulegałby zarzutowi, ktoby popadł w ostateczność przeciwną, a zapomniawszy o: nie mogę, wyrażał się potrzebnie lub niepotrzebnie przez nie jestem w stanie; bo byłaby to jakaś pretensjonalność, czy wymuszoność, w ogóle dziwactwo, w niektórych razach szkodliwe nawet jędrności języka, jak np. w wyrażeniu: nie mogę i nie chcę. Podstawienie nie jestem w stanie za nie mogę, osłabiłoby w tym razie dosadność odmowy, ile że w wyrażeniu nie jestem w stanie, mieści się niejako usprawiedliwienie, i mimo odmowy jakgdyby okazanie życzliwości, coś jak: nie mogę mimo chęci; zkad następnie nawet pewna nielogiczność w połączeniu nie chcę i nie jestem w stanie; gdy tymczasem zamiast chcę, lecz nie mogę, bardzo logicznie a może i lepiej mógłbym się wyrazić; chcę, lecz nie jestem w stanie, np. zapłacić długą. Wyrażeniem tém wskazuję odrazu, iż nie płacę jedynie dlatego, iż mię nie stać na to, nie mam środków potemu, czego samo „nie mogę“ jeszcze nie wyraża, ile że przyczyną niemożności wypłaty mogłoby być np. zastrzeżenie sądowe lub coś podobnego. Ztąd widać, że ściśle biorąc, jedno z tych wyrażeń nie



może zastąpić drugiego, że zatem jedno i drugie ostałby się mogło i powinno.

Pofolgujmy też nieco swobodzie wyrażen w mowie z zadania swego lekkiej i żartobliwej, jeżeli zwłaszcza wyraz jakiś osobliwy użyje się wyjątkowo właśnie dla podniesienia tego jej charakteru. W tento sposób pojmuję ja np. samo w sobie dziwne wyrażenie: Warszawa się rozkarnawała. Jużciż trudno przypuścić, że ten, co tak się wyraził, używać będzie rozkarnawania w mowie poważnej, jako równoznacznego z oddawaniem się zabawom! — chciał on żartobliwie wyrazić, że Warszawa używa co się zowie zapust czyli karnawału i nie więcej. Toż samo rozumieć o czarném na białém zamiast na piśmie, wyrażeniu zresztą w polskim języku nie nowém i innych tym podobnych.

Bądźmy wreszcie oględni w nastawianiu na niektóre zwroty, przenośnie i przysłowia znajdujące podobne sobie w języku niemieckim lub innym. Mogły one być u nas samorodnemi i były niemi nie raz rzeczywiście; bo przecież jednakie nasuwają się wszędzie źródła porównań, jednakie obrazy, jednaki tok myśli logiczny, a przy jednakich przyczynach, nie trudno o podobne skutki. Tak np. niemiec mówi: *durch die Finger sehen*, a już na wskrós polski REJ z NAGŁOWIC słowo w słowo wyrażał się podobnie; w niemieckiem mamy: *er hat die Nase bekommen*, a w Adag. CNAPIUSA podobne temu poszedł z nosem. Lub znowu, po polsku wyrażamy się pięknie: przymrużać na co czy, ale i francuz mówi: *fermer les yeux sur quelque chose*; nasze przysłowie: nie wszystko złoto co się świeci, znajdzie się i we francuzkiem: *tout ce qui reluit n'est pas or*, a może i w każdym języku. Dawne wyrażenie: mówić na wiatr, napotyka się dosłownie już w pisarzach łacińskich: *dare verba in ventos* (Ovid. Am. I. 6. 42), a przysłowie, którego dzieckiem nasłuchałem się w domu rodzicielskim: pieczone gołąbki nie przyjdą do gąbki, znajduję w zbiorze wyciągów z poetów łacińskich: *non tibi per ventos assa columba venit*. (Flores poetar. Vratisl. 1740. p. 54<sup>1</sup>).

<sup>1</sup>) Ciekawém byłoby tu zasobniejsze porównanie przysłów polskich z obcemi; do tego jednak brakuje mi swobodnego czasu. — Rzuciwszy okiem na *Adagia Żeglickiego*, nasunęły mi się

Że takie porównania i przenośnie niekiedy tylko się do siebie zbliżają, lecz nie są ze wszystkiemi jednakie, dowodzi to najlepiej, że jeden naród nie brał ich od drugich, lecz że pomimo to, każdy używał do porównania tego samego przedmiotu. Tak np. dla wyrażenia śmiechu lekceważącego, w różnych językach odnoszą się do twarzy przeciwnika, ale Niemiec stosuje to do całego oblicza (*einem ins Gesicht lachen*), Francuz do nosa (*rire au nez de quelqu'un*), Polak zaś do oczu (rozśmiałem mu się w oczy). Polak nie chce mierzyć chłopą korcem, Francuz i Niemiec łokciem. Podobnie dla wyrażenia że coś jest w wysokim stopniu, Polak, Niemiec i Francuz biorą za miarę ciało człowieka, atoli Niemiec jest tu czasem najskromniejszy, bo gdy się kocha to czasem wprawdzie po uszy, zwykle jednak tylko po szyję (*bis auf den Hals verliebt*); Polak w różnych okolicznościach idzie nieco wyżej, bo za miarę daje uszy (zakochany nigdy po szyję lecz zawsze po uszy, mam już tego po uszy); a Francuz sięga po za głowę (*ŕen ai par-dessus la tête*) w czem w niektórych wyrażeniach naśladuje go i Niemiec.

Jeżeli jakiegoś zwrotu, przenośni, przysłowia, nie potępiam bezwzględnie dlatego tylko że się znajduje i w obcym języku, to z tego nie wynika, jakobym z drugiej strony nie uznawał w tej mierze potrzeby szczególnej baczności; mając bowiem do czynienia z językami obcemi, nie trudno o przeoczenie tego, co jako właściwość języka polskiego szanowanem być powinno; a że tych właściwości nie mało, dowodzi tego już kilka powyższych przykładów. Kto na to zwraca uwagę rodaków, choćby też nawet troskliwość

---

następujące godne może uwagi: Bąk się przebije a mucha uwięźnie (*Irretit muscas, transmittit aranea vespas.* Juven.) Co ma wisieć nie utonie (*Cui fatum e furca est pendere, haud mergitur unda.* Neoth). Czego się skorupka za świeża napije, tém zawsze traci (*Quo semel est imbuta recens, servabit odorem testa diu.* Hor.) Dał ci Bóg dary, używaj miary (*Dii tibi divitias dederunt artemque fruenti.* Hor.). Księdzu do brewijarza (*Curet sua templa sacerdos.* Virg.). Dobry trunek na frasunek (*Cura fugit multo diluiturque mero.* Ovid.). Dobrym szkodzi kto złym folguje (*Bonis nocet quisquis pepercerit malis.* P. Syr.). Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle (*Diabolorum apostolae sunt vetulae.* Hugo Card.). Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada (*In laqueos quos posuere cadunt.* Prop.).

swoją nad miarę rozszerzył, pewnym być może uznania; co bowiem przechodziłoby granice słuszności, to się nie utrzyma, to zaś eoby nie ulegało temu zarzutowi, stanowczo obrócić się musi na korzyść języka, tak, że w każdym razie mniej szkodliwą być tu musi przesada, niżli obojętność. Zażyłość wreszcie z pisarzami poprawnymi dawniejszymi i świeższymi, i owo poczucie ducha własnego języka, o którym z początku mówiłem, stać tu powinny na straży.

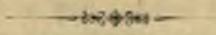
Kończąc te ogólne uwagi, streszczam je w 4ch następujących wnioskach.

1) Są uchybienia w języku, które chociaż nie naruszają jego rdzennej właściwości, nie mniej jednak są dla niego szkodliwe.

2) Tego rodzaju usterki w języku dadzą się wykazać bez koniecznych w innym razie głębszych lingwistycznych wywodów.

2) Spółność przedmiotów porównań i logicznego toku myśli, mogła w różnych językach dać początek niektórym jednakim wyrażeniom, przenosiom i przysłowiom, tak, że mogą one być czysto-polskie, chociaż podobne znajdują się i w językach obcych.

4) Liczniejsze jednak są takie przypadki, gdzie myśl tę samą różne języki wyrażają w sposób sobie jedynie właściwy, które więc wymagają szczególniej baczości; nieogłędnie bowiem wprowadzane do własnego, pozbawiają go jego rodzinnego charakteru.



# Studyum Socyologiczne

przez

BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

## Plato i jego Rzeczpospolita.

### III.

Skończywszy z kształtami rządów, Sokrates uważał, że państwo jako wzór przez niego przedstawione jest najszczęśliwszém, najnieszczęśliwszém zaś despotyczne. Kształt rządu przytém zawsze odpowiada charakterowi przeważającemu w narodzie; leży więc tu w związku twierdzenie, iż każdy naród sam jest sprawcą swego losu państwowego.

W dziesiątej księdze znajdujemy zawziętą filipikę przeciwko poezyi. Z poetycznych utworów dozwala tylko hymny. Wiedza, mądrość jest to jedyny przedmiot dla człowieka. Oddawna już toczy się walka pomiędzy poezją i wiedzą. A wypada usunąć poezją dla tego, że nie opiera się ona na prawdzie, ale na udawaniu; w naszym zaś państwie jedynie sprawiedliwość i doskonałość panować powinny.

Dotąd nie mówiliśmy o największém szczęściu, jakie przypada sprawiedliwości. Jest niém to, że sprawiedliwość jest ukochana od Boga, a niesprawiedliwość znieawidzona. Po śmierci spotyka wszystkich ludzi należyta zapłata.

Każdy człowiek przed wszystkimi innymi naukami najwięcej przykładać się powinien do tego, aby odróżnić dobre życie od złego, a następnie wszystkich sił dołożyć, ażeby zastosować się do życia lepszego. Dobrém zaś jest to życie, gdzie panuje sprawiedliwość i umiarkowanie, a w mieniu mierność. Wówczas człowiek będzie najszczęśliwszy.

W streszczeniu podanem starałem się uwydatnić sposób rozumowania Platona i przekonania jego społeczno-polityczne, szczególnie zaś socyologiczne i dotyczące chowanny, pozostawiłem do oddzielnego wykładu. Każdy łatwo dojrzy, że ścisłego rozumowania w Rzeczypospolitej szukać niepodobna. Występuje np. Plato przeciwko potętom, że w ich utworach nie ma i nie może być prawdy, a tymczasem sam wszędzie, gdzie to tylko mu dopomaga, powołuje się na nich. Podstawą i treścią główną jego rozumowania jest to, że w państwie dobrze urządzonej powinny istnieć trzy stany (rządców, obrońców i karmicieli), które muszą odpowiadać trzem władzom duszy (rozumowi, uczuciu i woli), albowiem władze te muszą objawić się w państwie; a ponieważ istnieją te władze, istnieć więc muszą i trzy stany. Sposób taki dowodzenia napotkaliśmy już u Platona przy wykładzie o ideach. Opierając się na powyższej podstawie, rozróżnia nasz myśliciel następujące ustroje państwowe: arystokratyczny, tymokratyczny, oligarchiczny, demokratyczny i despotyczny. — Arystokratyczny kształt rządu jest jedynie sprawiedliwy, ponieważ daje przewagę rozumowi. Tam, gdzie panuje uczucie (meztwo), tymokracja wyrósć musi. Żądze (czynniki woli) sprawdzają oligarchiją, demokracją i despotyzm. Konieczność wszakże rozróżnienia tych trzech rządów zmusza Platona do wyróżnienia też rodzajów żądz, które podług niego są albo niezbędne, albo zbyteczne (chucie), albo też zbrodnicze. Niezbędnym żądzom odpowiada oligarchija, zbytecznym, demokracja, a występny, despotyzm. Z tego przykładu widzimy, że Plato dowolnie obiera sobie taki punkt wyjścia, jaki mu w danej chwili najwięcej ułatwia wysnuwanie wniosków. I tak, władze duszy prowadzą go do wyróżnienia ustrojów państwowych; a ponieważ tych ustrojów jest pięć, a tylko trzy są władze duszy, przeto ostatnią władzę duszy znowu rozkłada na trzy części.

Najlepszy ustrój państwowy, podług Platona, jest ten, w którym panuje rozum, inteligencja. Ustrój taki nazywa arystokratycznym. Jednak arystokracja jego nie jest podobna ani do starożytnej, ani do tej, jaka dziś istnieje. Arystokracja Platona w zasadzie też jest rodowa, ale w rzeczywistości powstaje z wyboru, przy czem koniecznie dwa warunki posiadać winna: doskonałość cielesną i umysłową. Kto posiada te przymioty, ten tylko ma prawo do arystokracji; kto zaś ich nie posiada, ten nie ma przystępu do niej. Jeżeliby taki rygorizm zastosować ściśle do teraźniejszej arystokracji, to bodaj czy nie zostalibyśmy zupełnie bez niej. Przytém arystokracja Platona nie powinna mieć majątku, ponieważ nie bogactwo ma być jej środkiem do panowania, ale mądrość, rozum. Nie

ulega przeto żadnej wątpliwości, że podobna teoria nie pozyszcze uznania u dzisiejszych przedstawicieli i zwolenników arystokracji. Słowem, arystokracja Platona nie ma wspólnego prócz nazwy z dzisiejsza arystokracją.

Jeżeli zwrócimy się do dziejów ludzkości, to przekonamy się, że dotąd najwięcej sprzyjał i sprzyja panowaniu inteligencji ustroj demokratyczny, ponieważ przy tym ustroju stosunkowo najprędzej i najłatwiej może zdobyć sobie uznanie istotna zasługa oparta na wiedzy.

Przytém demokracja ma tę wyższość od arystokracji Platona, że dążąc do równości wszystkich bez wyjątku, nie oddziela inteligencji od narodu i nie stawia jęj ponad nim, ale usiłuje cały ogół uczynić inteligentnym, wcielić rozum w masę. Demokracja, odwołując się do samodzielności i świadomości wszystkich obywateli, już tęp samym ułatwia panowanie rozumu <sup>1)</sup>. Demokracja domaga się we własnym interesie rozpowszechnienia oświaty, dojrzałości umysłowej ludu, gdy tymczasem arystokracja wszelka chciałaby jak najdłużej zachować przy sobie opiekę nad resztą społeczeństwa. Sam Plato, pomimo swych arystokratycznych przekonań, dla tego że żył wśród demokratycznego społeczeństwa, przyszedł do tego przekonania, że wychowanie jednakowe powinno być wszystkim obywatelom udzielane.

Oddzieliwszy inteligencją od reszty społeczeństwa, Plato rozciąga nad ostatniem opiekę pierwszję. W tym punkcie pokrewieństwo myśli jest największe pomiędzy Platonem i Augustem Comtę'm. Opieka, przeciwko której tak umiejętnie walczy Henryk Tomasz Buckle <sup>2)</sup>, powinnaby, podług ich systematu, ogarnąć całe społeczeństwo. Bez opieki zaś ta wspólność, do której się podniosła myśl grecka w naszym myślicielu, zdaje się być niemożliwą; a dopóki wiedza nie znajdzie możności pogodzenia jęj z osobistą swobodą każdego, dopóty trudno przypuścić, aby człowiek wyrzekł się jednego z największych swych skarbów, jakim jest wolność.

Przechodzimy teraz do szczegółów porządku społecznego, jaki panować ma w państwie Platona.

Rozważając stosunek dwóch płci wzajemny do siebie, Plato przychodzi do tego przekonania, że kobięta powinna zająć równe

<sup>1)</sup> Weber, mówiąc o skutkach urzędzeń demokratycznych Periklesa, przyznaje, że wpłynęły one bardzo na rozwój umysłowy Ateńczyków.— *Allgemeine Weltgeschichte*. Lipsk, 1859. T. II., str. 513.

<sup>2)</sup> *Historja cywilizacji w Anglii* — przełożył Władysław Zawadzki. T. II. Lwów 1865. Zwłaszcza rozdziały: IX, X i XI.

stanowisko z mężczyzną. Pierwszy on zatem podniósł głos za wyzwoleniem jej społeczném. Niezawodnie, położenie kobiety w Grecyi, jakie tam się wytworzyło w skutek swobody panującej, różniło się bardzo od wymagań podaniowych i prawnych, tak że nie mogło to nie zwrócić uwagi wielkiego myśliciela. Podług zdania jego, różnica tylko zdolności do zajęć pewnych może stanowić o przeznaczeniu różnych ludzi do tego lub owego zawodu; ale to, że kobieta rodzi, a mężczyzna ją zapładnia, stanowi właściwą sobie tylko płciową różnicę, nie zaś jaką społeczną. I dla tego sądzi, że zatrudnienia strażników i ich żon mają być jednakowe <sup>1)</sup>. Niéma bowiem zajęć w państwie oddzielnych dla mężczyzn i dla kobiet; we wszystkich zajęciach mogą przyjmować udział obydwie płci, ponieważ zdolności równomiernie są w nich podzielone, tylko we wszystkich zdolnościach kobieta okazuje się słabszą istotą od mężczyzny <sup>2)</sup>. Pyta więc Plato przez usta Sokratesa: „czyż tylko mężczyznom przekazemy wszystkie zatrudnienia, a kobiecie żadnego? I jakżebyśmy to mogli? — odpowiada Glaukon. S. Zgodnie z naszym twierdzeniem, jedna kobieta może mieć uzdolnienie do medycyny, a druga nie mieć uzdolnienia — jedna może być muzycznie wykształconą, a druga nie być. — Gl. Dla czego by nie. — S. A więc jedna może mieć uzdolnienie do gimnastycznych ćwiczeń i do wojny, a druga nie mieć w sobie wojowniczości, ani też być gimnastycznie wykształconą. — Gl. Może, przynajmniej tak sądzę. — S. A więc również może miłować mądrość lub mieć wrogię dla niej usposobienie? Może być odważna albo łękliwa? — Gl. Zdarza się tak. — S. A więc jedna kobieta bywa zdolna do strażowania, a druga nie bywa? Czyż nie to samo wykazaliśmy i w stosunku do mężczyzn przeznaczonych do strażowania? Gl. Zupełnie to samo. — S. Więc zdolność do strażowania państwa jest jednakowa u mężczyzny i u kobiety, u ostatniej jeno więcej jest słaba, niż silna? — Gl. Tak wypada <sup>3)</sup>. Płeć nie przeszkadza u psów ganiać na polowaniu lub strzedz trzody <sup>4)</sup>, a to dla tego, że jednakowo je układają do tych zajęć. To też dziewczęta należy kształcić tak samo jak i mężczyzn <sup>5)</sup>.

W tym względzie Plato otwarciej i śmiej wypowiada swe wi-  
dzenie rzeczy, niż to nawet czynią dzisiejsi zwolennicy porównania  
praw kobiety z prawami mężczyzny. Dla niego, na wykłady którego

<sup>1)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 5.

<sup>2)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 5.

<sup>3)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 5.

<sup>4)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 3.

<sup>5)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 3.

uczyszczają i kobiety, zupełnie było rzeczą jasną, że kobieta może tak samo jak i mężczyzna zajmować się wyższymi badaniami, i z tego powodu nie waha się przyznać konieczności kształcenia jednakowo obydwoh pćci. To samo możemy powiedzieć o Platonie, gdy mówi o stanowisku społeczno-politycznym kobiety. Powiada wyraźnie, że mężczyźni i dodane im kobiety wspólnie strażnictwo pełnić winni <sup>1)</sup>. Mówiąc zaś o kształceniu i wybieraniu mędrców do zarządu państwem, dodaje, że to samo stosuje się i do kobiet, ponieważ mają one otrzymać równy udział z mężczyznami <sup>2)</sup>. Plato nie waha się nawet i co do tego, że kobiety również i w wojnie udział przyjmować powinny <sup>3)</sup>.

Wspólność pomiędzy mężczyznami i kobietami powinna być zupełna. Wszystkie kobiety są w ogóle dla mężczyzn i odwrotnie. Dzieci są też wspólne, i ani rodzice dziecka, ani dzieci swych rodziców znać niepowinni <sup>4)</sup>. Wszakże ustawy nie dopuszczają nieporządkowego i dowolnego łączenia się dwóch pćci, czuwanie nad tem stanowi obowiązek rządców. Ażeby pokolenie było dobre, wypada co najniżej łączyć lepszych mężczyzn z lepszymi kobietami, a co najrzadziej gorszych z gorszymi. Potomstwo tylko od pierwszych należy starannie chować. Koniecznym jest jednak w tem wszystkim zachowywać tajemnicę, ażeby nie wywołać rokoszu. Wesele urzędą się prawnie, przyczem sprowadzają się młodzi, czynią się ofiary, a poeci układają stosowne śpiewy. Liczba takich połączeń pćciowych stanowi tajemnicę rządców, którzy, mając na względzie wojnę i choroby, starają się, aby liczba strażników zawsze była jednakowa i aby państwo co do ludności ani się zwiększało, ani się zmniejszało <sup>5)</sup>. Tylko te dzieci są prawe, które poczęte zostały przy błogosławieństwach i modłach. Jeżeli zaś urodzi się dziecko w skutek takiego związku, którego rządcą nie połączył, to takie dziecko zostaje uznanem jako nieprawe <sup>6)</sup>. Tym mężczyznom i kobietom, u których przeminie pora rodzenia, pozostawia się zupełna swoboda wybierania przyjaciół. Gdyby jednak taka kobieta zaszła w ciążę, to nie należy dopuszczać urodzenia dziecka; a jeżeli się to stanie, wypada natenczas z dzieckiem tak postępować, jakby ono nie doznawało pielęgnowania. Osobom połączonym węzłami pokrewieństwa nie wolno łączyć się z sobą. Należy przeto zapobiedz łączeniu się męszczyzny z matką, siostrami

<sup>1)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 6 i 7.

<sup>2)</sup> Rzeczpospolita, ks. VII, rozdz. 17.

<sup>3)</sup> Rzeczpospolita, ks. V, rozdz. 14.

<sup>4)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 7.

<sup>5)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 8.

<sup>6)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 9.



córkami i wnukami. To samo się rozumie i o kobiecie. W tym celu mężczyzna nazywa synami i córkami wszystkie dzieci, które się urodziły w 7 do 10 miesięcy do dnia jego wesela; a dzieci te zowią go ojcem. W ten sposób określa się również i nazwa wnuków. Wszystkie dzieci w stosownym czasie zrodzone po zaszyłych weselach pomiędzy ojcami a matkami uważają się za braci i siostry. Prawo atoli dopuszcza żenienie się braci z siostrami, jeżeli los tak zrządzi, a Pythia wyrok potwierdzi <sup>1)</sup>). Połączenie może stanowić nagrodę dla dzielnych młodzieńców za zasługi okazane w wojnie lub w innych sprawach, a to tem bardziej, iż nadarza się przytem wymienita sposobność, aby owi dzielni młodzieńcy przyczynili się do jaknajwiększej liczby dzieci <sup>2)</sup>) Płodzenie potomstwa powinno przypadać na najpiękniejsze lata człowieka. W przecięciu najpiękniejsza pora dla kobiety wynosi 20 lat, t. j. od dwudziestego do czterdziestego roku; dla mężczyzny zaś 30 lat, t. j. od przejścia pory burzliwości do 55 lat. Jest to najpiękniejszy wiek dla obydwóch płci tak ze względu cielesnego jak i ze względu umysłowego. Płodzenie dzieci w młodszym lub w starszym wieku, uważać należy jako przeciwne bozkiemu i ludzkemu prawu (postępu), a które żąda, aby z dobrych powstały jeszcze lepsze, z pożytecznych jeszcze pożyteczniejsze pokolenia <sup>3)</sup>). Po urodzeniu właściwe urzędy zabierają dzieci. Urzędy te są złożone albo z mężczyzn albo z kobiet, albo z mężczyzn i kobiet razem, bo u nas urzędy są wspólne dla mężczyzn i dla kobiet, dodaje przytem Plato. Potomstwo od dobrych rodziców (ze względu na powyższe przymioty) pochodzące oddaje się do żłobków pod opieką nianieek, piastunek, które mieszkają osobno w pewnej części miasta (państwa) dla nich przeznaczonęj. Potomstwo od złych rodziców pochodzące lub dotknięte kalectwem ukrywa się w nieznanem nikomu miejscu. Rządcy obowiązani są dostarczyć dzieciom należyty pokarm. W tym celu posyłają do żłobków jako mamki, karmicielki, — te matki, u których piersi nabrzmiały mlekiem; zachowuje się jednak przytem ta ostrożność, by żadna matka nie poznała swego dziecięcia. Jeżeli zaś nie wystarczy matek, to rządcy powinni się postarać o inne kobiety z mlekiem. Czuwanie po nocach i inne przykrości z pielegnowania dzieci połączone leżą w obowiązku nianieek i mamek, wypada bowiem ulżyć żonom strażników przynoszenie dzieci <sup>4)</sup>). Urządzenie takie społeczeństwa strażników jest najlepsze dlatego, że ze-

<sup>1)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 9.

<sup>2)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 9.

<sup>3)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 9. Plato, jak widzimy, sformował już pojęcie postępu.

<sup>4)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 9.

spala interesy i uczucia wszystkich, a przytem usuwa przyczyny niezgody pochodzącej z rozszczepienia się interesów, co się wyraża przez słowa: moje i niemoje <sup>1)</sup>. Zatajenie związków pokrewieństwa przyczynia się do wiązania całego społeczeństwa ściślejszemi stosunkami, zamienienia go jakby w jedną wielką rodzinę, ponieważ każdy w otaczających go osobach widzi albo ojca albo matkę, albo brata, albo siostrę, albo syna, lub córkę i t. d. Nikt nie może powiedzieć o drugim, że jest mu obcy <sup>2)</sup>. Sądzić również należy, że przy podobnym ustroju zwiększy się uszanowanie i uległość młodych względem starszych <sup>3)</sup>.

Urządzenie podobne uważa Plato za konieczne dla strażników. Wprawdzie, przeświadczenie jego głębokie o doskonałości tego porządku zdaje się wskazywać, że myśliciel nasz przedstawił w nim modłę, wzór również i dla innych stanów, t. j. głównie dla stanu karmicieli czyli dla ludu rządzonego; wszakże nigdzie nie wypowiada, aby uważał za potrzebne ukształtowanie familijnych stosunków całego ludu na wzór urzędnika przedstawionego dla strażników. Przeciwnie Plato wbrew dzisiejszym dążeniom oddziela i odgradza strażników od reszty społeczeństwa, przypisując właściwy im tryb życia, a to dlatego, aby jak najlepiej odpowiedzieli swemu przeznaczeniu. W urzędzeniu skreślonym stosunków rodzinnych podziwiamy dowcipne obmyślenie wszystkich szczegółów; widzimy atoli jasno, że zastosowanie ich do życia rzeczywistego, skępowałyby najzupełniej swobodę osobistą człowieka, rozeciągając dozór i opiekę nad każdym niemal jego postępkim i zachowując ścisłą reglamentację życia prywatnego. Plato, nie doświadczywszy sam życia rodzinnego, mniej jeszcze czuł potrzebę jego od innych Greków, którym stanowisko podrzędne kobiety w rodzinie <sup>4)</sup>, skupienie się życia w miastach i jego publiczność nie dały poznać wysokiej wartości domowego ogniska. Już w tym względzie odznacza się głębszym poglądem Arystotelesa umysł indukcyjny, który, przypatrując się rozwojowi społeczeństw, dostrzegł, że podstawą główną państwa jest rodzina. Lecz dopiero w późniejszej dobie historycznej, gdzie życie roznieciło się po wsiach skupione tylko we własnym kole, wzrósł w społeczeństwie ludzkim pociąg do życia rodzinnego. To samo, co powiedziałem o rodzinie, można powiedzieć i o miłości. Świat

<sup>1)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 10.

<sup>2)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 11.

<sup>3)</sup> Rzeczp. Ks. V, rozdz. 12.

<sup>4)</sup> Mąż np. miał prawo zapisać swą żonę przyjacielowi; tak postąpił ojciec Demostenesa, który przekazał testamentem Demophonowi żonę swą a matkę wielkiego mówcy.

starożytny <sup>1)</sup> nie znał tej miłości dwóch osób płci różnej, jaką różnieciły obyczaje rycerskie, która wniosła tyle światła i ciepła do życia rodzinnego i towarzyskiego, a którą Grecy zmysłowo pojowali, stawiając wyżej przed nią przyjaźń i miłość wzajemną mężczyzn do siebie. W rozprawie o miłości, która stanowi treść „Uczty“ ukochanie młodych chłopców uważa się jako więcej uduchownione, aniżeli ukochanie kobiet. Przypuszczając nawet, że nie uwzględnimy potrzeby serca ludzkiego, która znajduje zaspokojenie swe w rodzinie i miłości; to i tak przecież, najważniejszy cel, którego by dopięć pragnął Plato przez zatajenie związków krwi, osiągnąć się nie da, ponieważ nietylko pokrewieństwo, ale i pewne wrodzone psychiczne usposobienia jednych ludzi zbliżają do siebie, a drugich przeciwnie oddalają od siebie. W sercu człowieka zdradza się pomimowolne uczucie, przyjazne lub niechętnie, które stawać zawsze będzie jako zawada ujednostajnienia się uczucia dla wszystkich. Można gorąco ukochać cały ogół jako ogół; ale pomiędzy jednostkami zawsze objawiać się będzie ta niewyjaśniona siła, która pociąga pewne osoby do łączenia się z sobą, a którą Goethe nazwał powinowactwem <sup>2)</sup>.

Przechodzimy dalej do streszczenia przekonań Platona, jakie posiadał o wychowaniu i wykształceniu, a nad któremi pod niejednym względem zastanowić się wypada. Naukę, podług zdania naszego myśliciela, wypada udzielać dzieciom nie przymusowo, ale w sposób bawiący, w zabawach; albowiem gwałtem narzucony przedmiot naukowy nie pozostaje w duszy <sup>3)</sup>. Najlepsze wykształcenie oddawna jest już znane: jestto gimnastyka dla ciała, a muzyka dla duszy. Pod muzyką należy rozumieć i mowę <sup>4)</sup>. Plato, którego bujna wyobraźnia uczyniła poetą w filozofii, wrogiem jest budzenia wyobraźni w dzieciach, a to tém bardziej, że utwory poetyczne rozsiewają gorące kłamstwa. Muzyka właściwa działa zbawiennie, ponieważ wpaja w duszę dziecka uczucie piękna. Wychowanie przez muzykę

<sup>1)</sup> Na wschodzie (Sakuntala) miłość jest pragnieniem roskoszy; gorąca, namiętna, oslepiająca — jest raczej lubieżnością uduchowioną, aniżeli przywiązaniem do wybranej osoby. To samo da się powiedzieć i o Saffo. W starożytności kobiety kochano dla ciała, a dopiero w czasach rycerskich powstaje le culte des dames, okazywanie pewnej czci religijnej dla niewiast, co się wyraża nawet w stawianiu jej obok imienia Boskiego (Dieu et Madame).

<sup>2)</sup> Znany jest romans Goethego: „Powinowactwo“ (die Wahlverwandschaft), który stara się wykazać, że i w życiu towarzyskiem ludzi działa siła podobna do tej, jaką widzimy przy chemicznem łączeniu się ciał z sobą.

<sup>3)</sup> Rzeczp. Ks. VIII, rozdz. 16.

<sup>4)</sup> Rzeczp. Ks. II, rozdz. 17.

najważniejszóm jest, ponieważ najmocniej wraża się właśnie rytm i zgododźwięk, i tak potężnie uczepi się jój to, co płodzi układność i robi duszę układną <sup>1)</sup>. Człowiek należycie w muzyce wykształcony najbystrzej ucuwa, co jest niedokładnego i niepięknego w tworach przyrody lub człowieka. „Zatem, słusznie wzdrygając się przed tém wszystkiém, piękne wielbi i raduje się jemu, i przyjmując je w duszę, tymi widokami się karmi, i pięknym i zacnym staje się; szpetne zaś i gani słusznie i nienawidzi, jeszcze młodym będąc, nim naukę objąć zdolny <sup>2)</sup>. Kto pozna muzykę, ten pokocha i naukę — pokrewną z nią <sup>3)</sup>. Ćwiczenia gimnastyczne zahartują zdrowie dzieci, aby w dojrzalszym wieku nie potrzebowały używać lekarstw“. Gdzie zbytnia troskliwość o całość ciała ma miejsce, tam w enocie się ćwiczyć i próbować zgoła niepodobna; chorym się bowiem ona czuë ciągle zmusza człowieka i nie ustawaë w stękanu nad ciałem <sup>4)</sup>. Połączenie wykształcenia gimnastycznego z muzyczném, korzystnie wpływa na urobienie charakteru. Sama gimnastyka rozwijałaby surowość i dzikość charakteru, sama muzyka łagodność i miękkość. Dzikość przyrodzona charakteru pod wpływem należytego wykształcenia przeobraża się w męztwo, łagodność zaś niestosownie rozwijana wyradza się w miękkość <sup>5)</sup>. Z pomiędzy kształcącej się młodzieży wybierają się na strażników ci, którzy przyzwyczaili się panować nad sobą i zdolni są wytrzymać rozmaite próby <sup>6)</sup>. Dorosłe dzieci wypada brać na wojnę, jeżeli niejest bardzo niebezpieczna, aby zamłodu przyuczwały się do niej, opatrywały na miejscu rany swych ojców i swych matek i dopomagały im podług możliwości. Dozór nad temi dziećmi poleca się wyborowym strażnikom. Dzieci przypatrują się walce, siedząc na koniach, co w razie niebezpieczeństwa ułatwia im ucieczkę pod przewodnictwem dozorujących strażników <sup>7)</sup>. Dla przyszłych wojowników i rządców potrzebna jest umiejętność arytmetyki <sup>8)</sup>, geometrii i astronomii <sup>9)</sup>. Muzyka przyzwyczajają do [praw liczbowych <sup>10)</sup>. Dyalektyka wskazuje stosunek pomiędzy naukami i prowadzi do poznania idei <sup>11)</sup>.

1) Rzeczp. Rozm. III, str. 14.

2) Rzeczp. Rozm. III, str. 14.

3) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 12.

4) Rzeczp. Rozm. III, str. 16.

5) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 17.

6) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 20.

7) Rzeczp. Ks. V, rozdz. 14.

8) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 8.

9) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 9.

10) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 12.

11) Rzeczp. Ks. III, rozdz. 12, 13 i 14.

Że greckie wychowanie musiało do wysokiego stopnia rozwijać zdolności, świadczą nam dzieje, literatura i wiedza greków. Plato pochopny do reform, w sprawie jednak kształcenia umysłu uważa, że najlepszy sposób jest już oddawna używany w Grecyi. Kształcono tam nie tylko umysł, ale i ciało — za pomocą gimnastyki; uczono nie tylko dobrze myśleć, ale wpajano też i poczucie harmonii — przez naukę muzyki. Dopiero w nowszych czasach zrozumiano ważność gimnastyki w ogólnym rozwoju cielesnych i duchowych sił człowieka, jakkolwiek oddawna już istnieje przysłowie: „mens sana in corpore sano“. W ostatnich czasach Edwin Chadwick znany Anglii dobrze ze swęj pożytecznej działalności, przedstawił nowy dowód, jak pożytecznem jest łączenie pracy umysłowej z pracą fizyczną. Według jego licznych spostrzeżeń, dzieci z zamożniejszych rodzin, przez cały dzień pozostając w szkole, nauczyły się mniej niż dzieci rzemieślników, które pracowały naprzemian w szkole i warsztacie. Uważa więc za pożyteczne z podwójnego względu zachowanie systemu półczasu do wychowania dzieci, ponieważ system ten, dzieląc czas pomiędzy szkołę i warsztat, oddziaływa nie tylko korzystnie na rozwój umysłu, ale wzmacnia i siły ciała. Muzyka nie otrzymała dotąd takiego uznania jak gimnastyka; wszakże liczne stowarzyszenia chóralne w Niemczech, a następnie powstające w Anglii i Francji, zdają się wskazywać, że i muzyka zajmie z czasem właściwe jej miejsce w wychowaniu ogólnem, lecz nie ta muzyka, która wraz z gimnastyką tańców służyła do popisu salonowego, jeno ta, co oddziaływa harmonijnie na umysł i charakter człowieka.

Myśl Platona o nauczaniu dzieci przez zabawy, Fryderyk Fröbel ujął w systemat cały. — Spostrzeżenie naszego myśliciela, iż za pomocą wychowania można przeobrazić korzystnie właściwości psychiczne dziecka, posiada wielką doniosłość, i jakkolwiek zwracano się do tego przedmiotu już kilka razy, wszelako dopiero od przyszłości należy się spodziewać użytkowania należytego w pedagogii tej prawdy naukowych.

Trudniej wytłumaczyć wpływem życia greckiego przekonanie Platona o tem, że wychowanie i wykształcenie kobiet i mężczyzn powinno być jednakowe, jakkolwiek filozof nasz odwołuje się w tym względzie do przykładu Lacedemończyków. Słuszniej tu uznać przenikliwość umysłu wielkiego myśliciela. Prawo kobiet do całego obszaru wiedzy, który uważano przez długi czas za przystępny tylko dla mężczyzn, dopiero w ostatnich czasach i to z wolna zaczęło zdobywać uznanie dla siebie. — Ameryka wyprzedziła w tym względzie Europę; wyprzedziła ją i w innym względzie, a mianowicie prowadząc na naukę do jednej szkoły uczniów obojga płci. Korzystny

wpływ pomieszania tego płci w szkołach znajduje świadectwo u ludzi poważnych, którzy się temu zbliżka przypatrzili<sup>1)</sup>, James Fairchild przełożony kolegium oberlińskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jest tego zdania, że połączenie chłopców z dziewczętami w jednej szkole, pomaga do utrzymania szkolnego porządku i wpływa na uszlachetnienie obyczajów i stosunków wzajemnych. — Co do postępu w naukach, Fairchild nie uważał różnicy pomiędzy jedną i drugą płcią. Plato wszakże wyprzedził i Amerykę: w państwie swoim nie tylko kształci razem obiedwie płci umysłowo, ale i fizycznie. Dziewczęta gimnastykują, robią broń i jeżdżą konno<sup>2)</sup>. A ponieważ u Greków gimnastyka<sup>3)</sup> odbywała się nago, przeto nauczyciel nasz stanowczo jest tego zdania, że płeć żeńska powinna zastosować się do ogólnego zwyczaju, i to nie tylko małe ale i dorosłe dziewczęta. Wielu to będzie wyśmiewać, powiada, ale poważny umysł zważać będzie na pożytek, a nie na śmieszność<sup>4)</sup>.

Wszystko to, co mówi o wychowaniu i wykształceniu dzieci, Plato stosuje tylko do przyszłych wojowników i rządców; o ludzie rządzonym zapomina. Wiemy atoli, że w „Prawach“ żądał powszechnego i jednakowego wykształcenia dla wszystkich obywateli.

Państwo Platona, jak nam wiadomo, składa się z trzech stanów: rządzącego, wojskowego i pracującego. Stosunek ich winien być wzorowy. „Jak zowie naród swych rządców w innych państwach? zapytuje Sokrates. „Władcami w większej części państw — odpowiada Glaukon, a w demokratycznych zowie ich tak samo rządcami. S. — A w naszym państwie jak uczyni naród? — Jaką nazwę, prócz nazwy obywateli da on rządcom? Gl. — Wybawców i pomocników. S. — A jak ci nazywać będą naród? Gl. — Zapłatodawcami i karmicielami. S. — A jak w innych państwach rządcy nazywają naród? Gl. — Niewolnikami<sup>5)</sup>).

1) Zasada ta znajduje coraz więcej zwolenników w Europie. Krytyka przyjęła przychylnie dzieło Karoliny de Barrau p. t.: „La femme et l'éducation“, pierwszy rozdział którego wypowiada stanowczo, iż dziewczęta powinny otrzymywać to samo wykształcenie, co i chłopcy. Nawet kilka rodzin francuskich, łączącwszy się razem, postanowiło zastosować tę zasadę do swoich dzieci.

2) Rzeczp. ks. V, rozdz. 5.

3) Gimnastyka od γυμνος — goły.

4) Rzeczp. ks. V, rozdz. 3.

5) Rzeczp. ks. V, rozdz. 11. Plato uważa nawet, że człowiek światły nie będzie postępował z niewolnikami dziko, ale z godnością. — Ks. V, rozdz. 7.

Z tego ustępu jak również i z tego zdania, że w państwie należy dbać nie o szczęście pojedynczej klasy, ale o szczęście całego narodu <sup>1)</sup>, widzimy, jak się zapatruje Plato na ogólny stosunek stanów; lecz jakim ma być ten stosunek w swych szczegółach, tego nie uwidoczni Rzeczpospolita.

Rząd i kierunek w państwie, należy wyłącznie do rządców.— O ukształtowaniu rządu, o podzieleniu czynności pomiędzy rządca-mi, itp. szczegółach, nie ma wcale mowy. Nawet z pewnością nie możemy powiedzieć, czy Plato na samym szczycie państwa umieścić jedną osobę, czy też więcej, czy też wszystkich rządców <sup>2)</sup> postawił w równym do siebie stosunku. Ostatnie przypuszczenia zdawałyby się stwierdzać następujące słowa; „Jak nazywają siebie wzajemnie rządcy w innych państwach? — Glaukon. Współrządcami. — Sokr. A nasi jak nazywają siebie? — Glaukon. Współstrażnikami <sup>3)</sup>.— Nareszcie liczba mnoga jakiej używa Plato, mówiąc o rządcach, zdaje się wskazywać, że nie miał na myśli jednego tylko rządcy.— Dwa pozostałe stany, ile można wnosić ze wszystkiego, nie przyjmują żadnego udziału w rządzeniu. To też myśliciel nasz pragnie aby rządcy byli doskonałymi, a mogą być tylko doskonałymi rządcy filozofowie, którzy podług Platona umieją godzić czyny i wiedzę. Ludzi takich wybierać należy z wielką oględnością, poznawszy na-przód dokładnie, jakimi są ich przymioty, jakim jest ich męstwo i jakim usposobienie do nauki <sup>4)</sup>. Przymioty konieczne dla rządcy są: pewność siebie, męstwo i ile można piękna budowa ciała, dzielne zacne usposobienie, przenikliwy umysł, zdolność do nauki, pamięć, nieugiętość charakteru, zamiłowanie pracy <sup>5)</sup>. Wybór ludzi, którzy mogą w późniejszym wieku zostać rządcami, rozpoczyna się bardzo wczesnie, od lat bowiem dziecińczych. W tym celu trzeba bacznie zważać na dzieci, ich postępowanie, zajęcia i zdolności. Wybór pada na te dzieci, które okażą najwięcej zdolności w nauce i które będą umiały zawsze sobie dobrze poradzić w rozmaitych okolicznościach i niebezpieczeństwach. Po dwudziestym roku życia wybrani używają większych zaszczytów, niż reszta ich rówieśników. W tym czasie wykładają im, jaki jest wzajemny stosunek nauk pomiędzy sobą, jakie zachodzi pomiędzy naukami pokrewieństwo, jaka jest ich istota i dają przytém na nie ogólny pogląd. Kto z tój mło-

<sup>1)</sup> Rzeczp. ks. VII, rozdz. 5.

<sup>2)</sup> Wypada tu atoli zauważać, że nie wszyscy wprawieni do rządów, zostawali rządcami, lecz z kolei pełnili posługę państwową.

<sup>3)</sup> Rzeczp. ks. V, rozdz. 11.

<sup>4)</sup> Rzeczp. ks. VI, rozdz. 15.

<sup>5)</sup> Rzeczp. ks. VII, rozdz. 15.

dzieży największy postęp w naukach uczyni i kto dobrze sprawować się będzie na wojnie i w innych czynnościach prawem przepi-sanych, ten po ukończeniu lat 30 wejdzie do liczby nowych wybranych, których jeszcze większe zaszczyty oczekują, niż poprzednich. Teraz zbadać należy zdolność każdego do dyaletyki <sup>1)</sup>. Ten co okaże do niej zdolność, ma się jej uczyć przez 5 lat, wyłącznie tylko na nią czas poświęcając. Dyaletyka dopiéro w tym wieku staje się korzystną, ponieważ nie prowadzi już do czezych rozpraw, jak to zwykle wcześniej bywa, lecz przedstawia potężny środek do szukania prawdy. Po odbytej nauce dyaletyki, wybrani wracają znowu do spraw codziennych życia, aby nabrali potrzebnego w niém doświadczenia i w tym względzie nie stali niżej od innych; a prócz tego, aby można było ocenić ich wartość w samém pełnieniu rozmaitych czynności praktycznych. — W codzienném téż życiu wykaże się, o ile są oni wytrwałymi w swych postanowieniach. Trwać ma ta próba przez lat piętnaście. Gdy nareszcie ci wybrani dojdą do lat 50ciu, wówczas należy, aby oni ujrzeni, jakim jest to dobro samo w sobie i dla siebie; a to w tym celu, aby służyło ono dla nich jako wzór przy kierowaniu państwem, pojedynczymi obywatelami i własnym życiem. Zajmują się oni głównie umiejętnością, a z kolei pełnią posługę państwową — nie jako rzecz zaszczytną, ale jako konieczną i kształcą sobie przytém następców. Spełniwszy zawód, odchodzą do Wypł Błogosławionych i tam pędzą dalszy żywot. Państwo powinno urządzać publiczne uroczystości poświęcone ich pamięci <sup>2)</sup>.

Plato powiada, że władza królewska, jeżeli król nad sobą panuje, jest najlepsza, najsprawiedliwsza, a więc i najszczęśliwsza <sup>3)</sup>. Można przeto wnosić z tego ustępu, że myśliciel nasz pragnął, aby główny ster państwa znajdował się w ręku jednego rządcy. Król Platona atoli nie jest podobny do zwykłych królów. Przedewszystkiem nie jest on dziedziczny, ale obieralny. Przychodzi do władzy starcem. Wybór jego odbywa się przez całe dziesiątki lat — tak że charakter jego i zdolności dobrze są znane całemu ogółowi. Jest to raczej papież z absolutną władzą, któremu się ona powierza w zaufaniu, że nieomylnie jego jęj nie nadużyje. Dzieje wszakże inaczej mówią. A nawet, gdyby i możliwem było osiągnąć powyższe zadanie, to i w takim razie system ten cały zawierałby w łonie swém grzech pierworodny, a mianowicie, że tłumiliły w masach na-

<sup>1)</sup> Rzeczp. ks. VII, rozdz. 16.

<sup>2)</sup> Rzeczp. ks. VIII, rozdz. 17.

<sup>3)</sup> Rzeczp. ks. IX, rozdz. 6.



rodu poczucie samowiedzy i samodzielności, które jedynie prowadzą do udoskonalenia i które w życiu społecznem wydają najpiękniejsze owoce.

Stan obrońców, czyli wojowników, powstaje także z wyboru. Tych wojowników, którzy okażą tchórzostwo, należy natychmiast usunąć z tego stanu i umieścić albo pomiędzy rzemieślnikami, albo pomiędzy rolnikami. Tych zaś, którzy odznaczają się męstwem, należy wieńczyć i pozwolić im, dopóki trwa wojna, kochać, a nikomu, czy to będzie kobieta, czy mężczyzna, nie wolno wymówić się od ich miłości <sup>1)</sup>. Przemian dzielnymi wojowników oczekują rozmaite zaszczytne nagrody, a po śmierci godny ich pogrzeb <sup>2)</sup>. — O ukształtowaniu społeczeństwa wojowników mówiliśmy. Uznano w niem za najważniejsze wiązadło — wspólność. Własności przeto jednostkowej, czyli osobistej, mieć im nie należy. „Najprzód dobytku żaden żadnego na własność posiadać nie ma, jeżeli nie na odzowną konieczność; zatem mieszkania i szafarni nie ma mieć żaden takich, do którychby każdy co zechce, nie mógł wstępować; żywności zaś, jakiej potrzebują szermiercy mężowie wojny umiarkowani i mężni, podług wymiaru innych obywateli — w nagrodę za strażowanie mają pobierać tyle, ażeby im ani zbyło na rok, ani zabrakło; uczęszczając na wspólne biesiady, oboźnie żyć mają społecem... Im nie wolno mieć się rękoma i dotykać złota i srebra, ani otaczać się, ani pić ze srebra i ze złota <sup>3)</sup>. Przyczyny niezgody ustaną w państwie, gdy nie będzie różnicy pomiędzy mojem i nie mojem; owszem, naówczas zapanuje większa ścisłość pomiędzy wszystkimi, albowiem każdy będzie uważał wszystko jakby własne <sup>4)</sup>. Przepisy te stosują się do strażników, lecz prawdopodobnie nie miały wcale obowiązywać rzemieślników i rolników, czyli cały stan oznaczony ogólną nazwą karmicieli. Ustrój stanu wojowników nosi na sobie widocznie cechy lacedemońskie, jak np. życie oboźne społecem i wspólne obiady, i pod wielu względami podobny jest do ustroju dzisiejszych armij stałych. Tak samo wojskowi są na żołdzie narodu, stanowią odrębny stan, żyją razem w koszarach lub oboźnie i jedzą ze wspólnego kotła. Oczywiście Platona więcej zachwycało to państwo, w którym wojskowi stanowili stan oddzielny, aniżeli to państwo, w którym każdy obywatel obowiązany był do posługi wojskowej, a jakim było państwo demokratyczne Aten. Dzisiaj inne w tym

1) Rzeczp. ks. V. rozdz. 14.

2) Rzeczp. ks. V. rozdz. 13.

3) Rzeczp. Rozm. III. str. 24.

4) Rzeczp. ks. V. rozdz. 12.

względzie wyrobiło się przekonanie. Wojsko, stanowiąc stan odrębny, odzwyczajają się od uczuć wspólności obywatelskiej<sup>1)</sup>; przeciwnie uzbrojenie narodu daje mu rękojmię obrony własnych praw i możność skutecznego oparcia się gwałceniu swobody. Nareszcie ostatnie wojny wykazały, że system wojskowy dążący do uczynienia niemal każdego obywatela zdolnym do służby wojskowej, pozwala skupić na razie większe masy ludzi, którzy ani gorzej, ani z mniejszą wytrwałością biją się od postarzałych w szeregu żołnierzy.

Co się tyczy trzeciego pracującego stanu, to Plato widocznie nie uważał, aby warto było obszerniej o nim mówić. Stan ten w jego pojęciu był niski, w którym ludzie uganiaли się za pieniądzem, zyskiem, nie troszcząc się wcale o doskonałość. Tchórzów, jak widzieliśmy, wykreślał ze stanu wojowników i umieszczał ich za karę do stanu rzemieślniczego lub rolniczego. I możnaż czego innego spodziewać się od myśliciela, który mały zarobek i ręczną robotę jako wstyd przynoszące uważał?!<sup>2)</sup>

W jaki sposób czynności społeczne miały być podzielone w państwie Platona, nie wiemy. Dla czynności religijnych są tam kapłani i kapłanki<sup>3)</sup>. O sądach jak najgorsze miał wyobrażenie nasz filozof. „Złego zaś i podłego wychowania w mieście, — powiada — czy będziesz mógł wynaleść większy dowód, nad owo potrzebowanie lekarzy i biegłych sędziów nietylko przez prostaków nizezemnych i rękodzielników, ale i przez owych, którzy roszeją prawo do szlachetniejszego wychowania? albo czyż to nie sromotą i nie wielkim dowodem niewykształcenia się wydaje, żeby być zmuszonym używać najmowanej od innych, jakoby swych panów i rozjemców, sprawiedliwości, a to z niedostatku własnej?“<sup>4)</sup>

Takiem jest idealne państwo Platona. Nie pociąga nas ono ku sobie. Braknie mu dwóch ożywczych pierwiastków: swobody i miłości, której pierwotnym i nieustannym źródłem jest rodzina. Mimo to wszakże zasługą jest wielką naszego myśliciela, iż śmiało przystąpił do badania podstaw społecznych i do budowania na nich zgoźniejszego z niemi ustroju. Nie udało mu się ta praca, ale myśl raz poruszona, zachęciła innych do pójsicia w jego ślady. Filozof

1) W 1848 r. w Lipsku wychodził rodzaj czasopisma bardzo ciekawego p. t.: *Die Gegenwart*. — W pierwszym tomie tego pisma znajdujemy opisanie wypadków majowych 1848 r. w Moguncyi, podczas których interes kastowy wojska objawił się bardzo wstrętnie. — W tymże przedmiocie jest tam ciekawy artykuł p. t.: *Das volksthümliche Heerwesen*.

2) Rzeczp. ks. IX, rozdz. 13.

3) Rzeczp. ks. V, rozdz. 9.

4) Rzeczp. ks. III, str. 16.

nasz rozumiał dobrze trudność urzeczywistnienia swego ideału, atoli nie sądził, iżby to wcale było niemożliwem<sup>1)</sup>. I słusznie powiada, że trzeba naprzód zastanowić się nad pożytecznością badanego przedmiotu, a następnie dopiero rozważyć, czy to, co jest pożytecznem, jest możliwem lub niemożliwem<sup>2)</sup>. Na poparcie tego zdania, możemy się odwołać do tój okoliczności, że wiele rzeczy, które za niemożliwe uważano, w późniejszym czasie ze zmianą pewnych warunków okazały się możliwemi i dobrimi.

Była chwila, że Rzeczpospolite Platona chciano urzeczywistnić. Zająć się tém miał Plotyn popierany przez cesarza Gallena, a cesarzowa Salonina przyrzekła potrzebne do tego miasto zbudować. — Skończyło się atoli wszystko na dobrych tylko chęciach.

---

<sup>1)</sup> Rzeczp. ks. VI, rozdz. 14.

<sup>2)</sup> Rzeczp. ks. V, rozdz. 7.

# Człowiek przedhistoryczny.

przez

DR. KAROLA LIBELTA.

Rozliczną jest różnorość roślin i zwierząt, które nauki przyrodnicze opisowe dzielą na klasy, rzędy, gatunki, rodzaje, odmiany, albo je sprowadzają do racjonalniejszych podziałów. Widzimy zmiany sztuczne i naturalne w rodzajowaniu się istot organicznych, ale ich nie postrzegamy w gatunkach. I owszem tak nazwane mieszańce (hybrydy) np. muły, powstające z fizycznego połączenia się konia i osła, nie rozplądają się dalej, są bezpłodne, i stanowią wyraźną granicę, przedzielającą dwa osobne gatunki od siebie i nie pozwalającą na zatracenie ich właściwego ustroju, jakoby niechybnie nastąpiło przez dalsze krzyżowanie. Nie zdybaliśmy nigdy natury, że tak powiem na uczynku, aby ze zwierzkokrzewu powstał robak, z robaka skorupiak, z tego ryba lub gad, i tak następnie aż do zwierza ssącego i człowieka. Prosta tego przyczyna. Natura nie robi przeskoków, ale tysiącami lat mierzy wolne przemiany jednego gatunku w drugi. Pięć palcy rąk ludzkich, tak cudownie urobionych u człowieka, widzimy już naznaczone w pletwach rybich, w kłębowatych i niezdaranych łapach płazów, w palcowym ustroju nóg ptasich i zwierząt czworonożnych. Wszakże jeszcze u małp najwięcej zbliżonych do ludzi, ręka, jak powiada profes. Grati olet, zdając sprawę akademji umiejętności w Paryżu ze sekcji szympansa z okolic Afryki ekwatorialnej, — ręka jest

tylko hakiem do chwytania, a palec wielki nie może się ruszyć bez równoczesnego poruszenia innych palcy, gdyż nie ma osobno poruszającego się mięśnia, jak to jest u człowieka. U małp mniejszych wielki palec ma przynajmniej siłę, u antropoidów, stracił nawet siłę, nie zyskawszy wolnego osobnego ruchu. Paznogie u małp acz krótkie, ale niekształtne, niegiętkie, to jeszcze pazury zwierzęce, nie paznogie ludzkie.

Z tych to powodów wielu przyrodników, jak pomieniony Gratiolet, Blainville, Flourens, uważają różnice gatunków organicznych za odwieczne i osobnym wykształtem form na zawsze od siebie odłączne <sup>1)</sup>. Zgodni z nimi są poligeniści, przyjmujący tak nazwane środki kreacyi, czyli na pewnych przestrzeniach ziemi osobnymi typami przedstawiające się roślinności i zwierzęcości, które tam snadź z powodu osobnych klimatycznych i geograficznych stosunków od wiekuistych czasów w tych formach się rozmnażały. Od epoki Aristotelesa, który pierwszy nam przekazał podział zwierząt na dziewięć klas, nie się w tym podziale nie zmieniło; istnieją te same klasy, co dawniej. Wszakże paleontologiczne odkrycia naprowadziły nowszych przyrodników do przyjęcia czasowego postępu coraz doskonalszych gatunków organicznych, odbywającego się w długich periodych geologicznych. Z tym ostatnim systemem łączy się także nowy system pana Tremaux, członka instytutu, którego zasadą jest: „jakie grunta, takie płody.“ <sup>2)</sup>, z tą tylko różnicą, że nie same geologiczne pokłady, ale sam różnorodny rozdział gruntów w wielkich i małych ładach ziemskich, dostatecznym jest do wywarcia stanowczego wpływu, jeżeli nie na gatunki to na rasy i rodzaje istot organicznych, ku czemu już kilkowiekowy pobyt na jednem i tém samém miejscu wystarcza. Pokolenia Fut, dziś rozmnożone w Sudanie, przepędzone tam zostały przez Faraonów z okolic Nilu, a były to pokolenia rasy kaukazkiej — wyraz fut na wyspie Madagaskar dotąd znaczy biały — a dziś zamienieni zupełnie w mu-

<sup>1)</sup> L'espoir est de soi même impérissable, éternel. Et puisqu'il est éternel, il est fixe (Florens Ontologie naturelle 3. édit. pag. 18).

<sup>2)</sup> „Tel sol, tel produit“ (Origine et transformations de l'homme . part. pag. 17).

ryznów. Z osad Trackich, Frygijskich, o rudych włosach i modrem oku, jak ojciec kościoła Teodor namienia, z osadników Egipskich, powstał w Grecyi piękny ród Helenów. Podobnie z osadników przybyłych i autochtonów, powstałi Rzymianie, dzisiejsi Francuzi, Angliacy i t. p. Krzyżowanie się ras wpływa na zmiany potomstwa, ale w obec wpływu gruntowego i klimatycznego, mniejszego jest znaczenia na wyrobienie osobnego narodowego typu.

Tym wszystkim systemom o gatunkowości tworów organicznych, brak podstawy na doświadczeniu opartej, i dlatego Duruy <sup>1)</sup> były minister oświecenia powiada: „mimo wielkiej ciekawości naszej jak gatunki powstały, pytanie to dla nas nierozwiązane, nie odsłonimy nigdy tajemnicy, którą Bóg dla siebie zatrzymał“.

Od Aristotelesa i Hippokratesa aż do Burdacha i Müllera fizjologia widzi, że są dwa kierunki czynne w porządku istot żyjących: jeden utrwała gatunek typowy, drugi go urozmaica, ale nadaremnie dotąd biedzi się, aby działanie tych dwóch kierunków do przekonania rozwiązać. Mówiąc o kometach i gwiazdach spadających <sup>2)</sup> podaliśmy doświadczenia czynione przez Dra Reichenbacha na bukowej górze Labisberg. Pokazało się z nich, że aerolity, spadające z powietrza na ziemię, darzą ją niklem i kobaltem, których bardzo mało posiada, a krom tego fosforem, magnezją i siarką, których nastarczyć nie może do produkcji ziarna zbożowego. Zwróciliśmy przytém uwagę, że aby światy planetowe utrzymać w stosunku z powszechnym żywotem nieskończonego stworzenia nietylko obłoki kosmiczne, z odległych przepaści niebios przybywające, stanowią ogniwa takiego związku, ale i pierścienie ciałek meteorycznych, wyczerpanych przez słońce i planety, służyć mogą do użyźniania skorupy globów planetarnych i do tworzenia z nich siedzib do coraz doskonalszego organicznego i psychicznego żywota. Fizjologia patrząc tylko w ziemię i klimat, zapomina o związku naszego planety z resztą światów, a przecież z tego tylko związku wypływać może coraz wyższy, astralny żywot planetarnych mieszkańców.

<sup>1)</sup> Zob. jego artykuł w *Revue contemp.* z 31 lipca 1864 r. *Histoire de la formation du sol français.*

<sup>2)</sup> Nakład wydawnictwa Mrówki, Lwów 1869.

Z powodu tego ostatniego widzenia rzeczy, nie przypisujemy i my wielkiego znaczenia do fizyologicznej wadli o gatunkach, jaka mianowicie między uczonymi Cuvier i Geoffroy Saint-Hilaire miała miejsce, i spodziewamy się rozwiązania tajemnicy o gatunkach więcej od wzrostu fizyki astronomicznej, aniżeli od geologii i fizjologii. Wszelako to jedno z całego poprzedniego wywodu wyciągamy dla siebie następstwo: że aby powstał jakikolwiek gatunek tworów żyjących, potrzeba wprzód dla niego warunków bytu. Z czego wypada, że naprzód powstać musiały rośliny wodne, a następnie zwierzęta w wodzie żyjące. Gdy się lądy wyłoniły, przemagające upały ustały, powietrze wyklarowało i pokazywały się rośliny lądowe, gady i płazy poczęły czynić przejście od wodnych do lądowych zwierząt. Z postępem czasu rozwinęły się owady i ptaki, a na ostatku dopiero czworonożne żyworodne zwierzęta, gdy już lasy i knieje dawały im żywność i przytułek. Wreszcie rodzaj ludzki należy do ostatnich i najdoskonalszych tworów żywotnych, gdy już dlań były warunki nie tylko fizycznego ale i psychicznego i duchowego żywota.

Z t $\acute{e}$ m zdaniem, jako wynikiem fizyologicznych i paleontologicznych bada $\acute{n}$ , stawamy przed zadaniem, z k $\acute{a}$ d się wzi $\acute{a}$ ł rodzaj ludzki, i jakim był przedhistoryczny człowiek. Nie odrzucamy teorii Darwina, Karola Vogta. Maj $\acute{a}$  one niezaprzeczon $\acute{a}$  swoj $\acute{a}$  warto $\acute{s}$ c, bo wykszta $\acute{l}$ ciły materialn $\acute{a}$  stron $\acute{e}$  kwestyi cz $\acute{l}$ owiecze $\acute{n}$ stwa. Ale pominęły całkiem stron $\acute{e}$  duchow $\acute{a}$ , i to jest ich ujemno $\acute{s}$ ci $\acute{a}$ . Kto pojrzy w swiat inteligencji, który duch ludzki zbudow $\acute{a}$ ł; w swiat dziej $\acute{o}$ w, umiej $\acute{e}$ tno $\acute{s}$ ci, sztuki, przemysłu, handlu, w swiat wynalazk $\acute{o}$ w i zacieka $\acute{n}$ , w niesko $\acute{n}$ czone dzieło stworzenia, — prawie zdumie $\acute{c}$  się trzeba, jak mo $\acute{z$ na by $\acute{l}$ o o t $\acute{e}$ m wszystkim zapomnie $\acute{c}$ , tego wszystkiego nie wiedzie $\acute{c}$ , i jako non plus ultra nauki postawi $\acute{c}$  twierdzenie, że cz $\acute{l}$ owiek od ma $\acute{l}$ py pochodzi. Gdzie $\acute{z}$  jest swiat ma $\acute{l$ py, gdzie dzieje i post $\acute{e}$ p gorill $\acute{o}$ w, szympan $\acute{s}$  $\acute{o}$ w, orangutan $\acute{o}$ w, by je cho $\acute{c}$  w milionow $\acute{e}$ j cz $\acute{a}$ stce z post $\acute{e}$ p $\acute{o}$ wemi dziejami ludzkimi por $\acute{o}$ wna $\acute{c}$  mo $\acute{z$ na? Je $\acute{z}$ eli tylko materialny, fizyczny ustr $\acute{o}$ j cz $\acute{l}$ owieka b $\acute{e}$ dziemy che $\acute{c}$ eli uwa $\acute{z}$ ac, to $\acute{c}$  cz $\acute{l}$ owiek nie tylko do ma $\acute{l$ py po $\acute{l}$  tym wzgl $\acute{e}$ dem podobien, ale i do wieprza os $\acute{l}$ a i innych zwier $\acute{z}$ at ss $\acute{a}$ cych.

Typ zwierzęcy w człowieku, wydoskonalony prawda, ale w zasadach utrzymania żywotności organizmu jest ten sam, co i w innych zwierzętach pacierzowych. Są te same zmysły, które nas łączą ze światem zewnętrznym; to samo serce, które reguluje krew przez żyły i arterye obiegającą, ten sam żołądek trawiący pokarm i wydzielający hylus pożywny; te same przybory do uskutecznienia trawienia, jak żucie przez zęby, połykanie przez śliny, wspomaganie pracy żołądkowej przez wątrobę, żółć i śledzionę, wydzielanie odchodów przez kiszki, nerki i dziurkowatość skóry; te same płuca do oddychania, te same środki płodzenia macicznej ciąży i żywego rodzenia; ten sam układ mózgu, mlecza pacierzowego i gangliów; te same muszkuły ruchu zostające pod przewodnictwem nerwów. Im doskonalsze zwierzę, tém większe podobieństwo tych zasadniczych podstaw ustroju zwierzęcego do ludzkich. Między małpięciem gdy się uleżę, a dziecięciem gdy się urodzi, prawie różnicy nie widać. Ale od chwili jak jedno i drugie oddychać i karmić się zaczyna, nabierają innego bo już ludzkiego kształtu, kości i rysy głowy dziecięcia, a w zwierzęce formy przekształcają się kości i rysy głowy małpięcia. Wszakże i w pierwszych związkach embryonu ludzkiego nie tam ludzkiego nawet płciowego nie rozeznac. Jest to embryo zwierzęce, które dopiero z czasem rozwija się w wyraźniejsze formy ludzkiego czy zwierzęcego typu. Przypuszczamy pod materyalnym względem więcej jeszcze. Kość ludzka pacierzowa kończy się, o czém się każdy ręką przekonać może, tak wyraźnym odcinkiem gnata, że wyraźnie widać, iż tam miało być przedłużenie na ogon zwierzęcy, który już u małp bezogonowych odpadł, jako niepotrzebny, i odpadł téż od człowieka.

Ale czyż na tych fizjologicznych podobieństwach cała istota człowieka, jako człowieka polega? — Nie, i stokroć razy nie. Bo przeznaczeniem jego być człowiekiem, a nie zwierzęciem, zostać istotą myślącą, nie instynktową; rozwinać ducha swego przez postęp, budować świat nowy, świat ludzki, świat inteligencyi, a nie zostawać na tym samym stopniu zwierzęcego przyrodzonego trybu życia, bez myśli samodzielnie się rozwijającej, bez pomysłu zamieniającego się w czyn, bez postępu naprzód w coraz szerszém kole wiadomości.



Z człowiekiem dopiero powstał świat ducha, świat samowiedzy, poznania wielkich nieodmiennych praw natury, praw moralności i społeczności ludzkiej. Aż do granic ostatecznych tego duchowego świata dotarło zwierzę. Przypuszczamy, że stanęły u nich najbliżej bezogonowe małpy; ale ich nie przekroczyły. Od owęj Darwinowskiej i Vogtowskiej teoryji, stokroć wyższą jest tradycya z genezy Mojżeszowej, że Bóg ulepił człowieka z mułu ziemie, tchnął weń ducha swego i stworzył go na obraz i podobieństwo swoje. W téj tradycyi cały przycisk położony i słusznie na ducha, będącego podobieństwem bożem. I tak jest. Człowieczeństwo ze zwierzęcości ulepione, ale w niém tchnie i żyje duch boży. Jego przeznaczeniem rozwijać się do coraz większej doskonałości, — może do zdobycia sobie nieśmiertelności, do sprowadzenia królestwa bożego, o które się w pacierzu modlimy.

Nie o warunki bytu człowieka, jako zwierzęcia więc chodzi, ale o warunki jego duchowego bytu, o których zapomniano. Jakież one są? Natura je sama nakreśliła. Naprzód niemowlęstwo blisko półtoraroczne i układanie się w tym czasie miękkich jeszcze i nie zwartych tam, gdzie będzie siedziba przyszłej inteligencyji kości czaszkowych. Jest to pora układania się i wzmacniania części muzgowatych, tych naczyń przyszłych władz ducha, i formacyi czaszki, której rodzice nieraz nagnieceniem dopomagają do form, jakie im się widzą prędszemi <sup>1)</sup>. Niemowlę w tym czasie wie dzie żywot zwierzęcy, uczucie tylko w niém działa i robi je niespokojnem i krzykliwem. Zwolna wrazenia wzroku, słuchu, czucia i smaku zamieniają się na wyobrażenia. Zaczyna poznawać osoby i rzeczy. W pół roku ząbki pierwsze poczynają się wyrzynać. Już wskazuje rączkami, ale jeszcze ani mówić, ani stopek stawiać nie może, aż w trzecim półroczu gwałtem się garnie do własnego ruchu i do wymawiania słów pierwszych mama, tata, lala, ku wielkiej pociesze rodziców. Tak długiego nie-

---

<sup>1)</sup> Ils avaient la coutume dans quelques unes de ces îles (Philippines) de mettre entre deux ais la tête de leurs enfans, quand ils venaient au monde, et la pressaient ainsi, afin qu'elle ne demeure pas ronde, mais qu'elle s'étende en long. Ils lui aplatisaient aussi le front, croyant, que c'était un trait de beauté de l'avoir ainsi. (Relations de divers voyages enrioux. Paris 1,664 II).

mowlęctwa będącego wyrabianiem się mózgu, tego przyszęłego duchowego narzędzia, u żadnego innego zwierzęcia niedopatrzysz.

Następuje powtóre większa daleko długość i niezaranność wieku dziecinnego, czego u innych zwierząt w tój rozciągłości nie spostrzegamy. Wskazuje ona najwyraźniej, że tyloletnia piecza rodzicielska około dzieci, przeznaczona nie tyle do ich wyżywienia, ile od ich wychowania, to jest do wolnego i swobodnego rozwijania ich umysłu, do obeznania ich z tēm wszystkiem, co rodzice czy z tradycyi od przodków, czy z własnego postrzeżenia i doświadczenia nabyli. Dziecko niezwykle jest pojętne i ciekawe; wszystko je interesuje i zaciekawia; wrażliwość wielka, pamięć nadzwyczajna, wyobraźnia czynna, pragnienie wiedzy wyraźne. Szuka u starszych wyjaśnienia, przyjmuje wszystko w dobrej wierze, ale własnego o rzeczach sądu jeszcze nie ma; stan umysłu jego jest dogmatyczny a nie krytyczny. Takiej szkoły między rodzicami i dziećmi, między starszem a młodem pokoleniem, będącój pierwszem udzieleniem się rozumu doświadczonego do rozumu dopiero nabywającego doświadczeń — napróznobyś szukał między zwierzętami. Tam ptastwo uczy swe młode podlatywać, wyprowadza je na miejsce żeru; samica wodzi do pewnego czasu za sobą swoje potomstwo, dopóki ono samo nie potrafi o sobie radzić. Ale na tēm się kończy cała rodzicielsko-zwierzęca instrukcyja; pieczołowita nieskończenie, gdy idzie o zaradzenie potrzeb młodego, słabego pokolenia, ale kończąca się z ustaniem tych potrzeb. Gdy młode w siły podrośnie ustaje na zawsze wszelki związek między rodzicami a potomstwem, pamięć nawet tego stosunku zaciera się zupełnie. U zwierząt celem ostatecznym jest wyżywienie młodego pokolenia, obmyślenie mu wygodnego i bezpiecznego gniazda lub legowiska, ale wychowania tam nie ma, bo go całe nie potrzeba. Zadaniem zwierzęcia jest, żeby żyło i mnożyło się, nie żeby się kształciło. Przyrodzone własności jak schludność i ochędóstwo, czas grzania się, wędrówki w dalekie kraje, budowa gniazd, szukanie kryjówek, przeczuwanie nieprzyjaciela, sposoby karmienia się i łowienia zdobyczy, użycie do obrony lub do napadu przyrodzonych narzędzi lub środków, leczenie się z ran za pomocą śliny, życie czy to we wodzie, czy na wodzie, czy na lądzie, przyswajanie się do człowieka,

wykonywanie pewnych stałych zatrudnień wśród gromadnego życia, jak to widzimy u mrówek, u pszczoł i bobrów i tak dalej — tego wszystkiego nabywa młode zwierzątko nie przez naukę samicy lub samca, ale przez przyrodzony instynkt, który się w niém odzywa i do wykonywania zachowawczych i raz na zawsze wskazanych przez naturę właściwości napędza.

Po trzecie, człowiek późno dojrzewa, a ze względu na inne zwierzęta, nawet nader późno rozwija płodność swoją. W ciepłych krajach gdzie wiek krótki, starość prędką, więc i dojrzałość wcześniejsza, dziewczyna w jedenastym, młodzieniec w trzynastym roku pobierają się w małżeństwo. W południowym Egipcie widać nieraz małżeństwo igrające w piasku. Atoli w zimnych sferach dojrzałość o cztery i więcej lat później, w obu płciach następuje. Najwidoczniejsza w tym skazówka, że fizyczna progeneracya u zwierząt ssących stoi na pierwszym miejscu, i dlatego, po nabraniu sił, już w pierwszym, drugim, najpóźniej w trzecim roku życia się rozpoczyna. Wśród ludzi do jedenastu i dwudziestu lat opóźniona, drugie dopiero zajmuje miejsce, odstępując pierwszeństwa umysłowemu wykształceniu człowieka w wieku młodym ku temu najsposobniejszemu. Bo też wykształcenie to wzmaga się i rośnie z czasem w olbrzymie rozmiary, z postępem wiedzy ludzkiej coraz rozleglejszej; kiedy zakres działania zwierzęcego, ku czemu posiada zmysły, a więc i myśli, pamięć, wyobraźnię, rozwagę i niejaki sąd o rzeczach, w małym kółku jednostajnych i tych samych zawsze właściwości, bez żadnego naprzód postępu obraca się.

Po czwarte śmiech i płacz, to już pierwsze duchowe znamiona, któremi człowiek najpowszechniejsze uczucia swoje, radości i smutku we twarzy, będącej zwierciadłem jego duszy i jego ducha objawia. Już one w niemowlęciu, gdzie jeszcze myśl uspiona, ale uczuciowe powroty widać, z niewymownym wdziękiem wyrażają się, gdy albo przezroczyście, jakby z krynicy, łza po pulchnem liczku się stoczy, albo uśmiech wdzięczny, około usteczek jego osiadzie i dołkiem różanego lica i lubem wejrzeniem oczu, do nas się umili. W dalszym wieku łza rozbraja nasz gniew i upór, a uśmiech wzięczy się nadobnym ustrojem całej twarzy, z której radość i wesele ducha przegląda. Nie posiada tych duchowych wdzięków żadne zwierze, bo nie ma ducha. Ma ono psychiczne objawy, ale nie ma spi-

rytualnych. Uczucia jego duszy: gniew, namiętność, radość, strach, smutek, objawiają się figurą całego ciała, uszami, ogonem, postawą, głosem, ruchem; z błysku oka dojrzeć jakiś błysk psychicznego ognia, lub jego przygasnienie; atoli, że zwierz nie ma twarzy, jeno pysk i ziewy, nie się tam wyższego wyrazić nie może. A jeżeli pies warezając, kły swoje odsłania, kot rozdrażniony grzbiet najeży i ogon wypręży, jeżeli oblicze małpy roznamiętnione fałdzi się a zęby naprzód wystają — to w tém wszystkim tak mało jest duchowego, że to człowiek grymasem nazwał, tak jak przezwał skomleniem, znaki dolegliwości nowoułężonego zwierzęcia. Płacz i śmiech są jedynie ludzkie i dlatego duchowe objawy, fizyologicznie w twarzy przedstawione. To jest deszcz i pogoda ducha naszego. Jak na świecie deszcz daje naturze oblicze ponure, smętne, i formy piękna dopiero występują, gdy się słońce pokaże, chmury rozchodzą, i siedmiobarwista tęcz od strony zwilżonego powietrza zaświeci; gdy przemoże pogoda przy lazurze nieba; w świetle wschodzącego południowego lub zachodzącego słońca różnemi formami piękna płonie; — tak i płacz nie mile rysy twarzy nastraja i dopiero pięknieje, kiedy pogodniejsza myśl oblicze wypogadza, oko zwolna tylko jeszcze łzę roni, a już blaskiem radośniejszego usposobienia zabłyśka, a około ust już nawet uśmiech pociechy zaigra. Śmiech jest ciągłą pogodą twarzy, niekiedy wdzięczny i nadziei pełen, jak różnobarwny poranek, hałaśliwy jak południowa spieka słońca, smętny ale miły, jak cudne kolory światła mającego się ku zachodowi. W tych wszystkich zmianach i odmianach śmiechu i płaczu, odgadniesz ich duchowe znamiona, któremi stwórca człowieka samego obdarzył, a zwierzętom ich odmówił.

Po piąte: patrząc na dziecię, na te cudne, nadobne formy ciała, to zda się istny aniołek; — ale ono w tej piękności bezbronne i bezopatrne. Zwierz, leże się z tém wszystkim, albo mu natura w krótkim przeciągu czasu, to wszystko sama nadaje, czego do przyszłego żywota swojego potrzebuje, opatruje go przyrodzonymi narzędziami i środkami, któremi sobie żywność zdobywać i bronić się od napaści może. Zwierz sam sobie nie przydaje, ani przydać nie może; często nawet zapomina, czem go przyroda obdarzyła, jeżeli nie znalazł sposobności wykony-

wania tych przyrodzonych właściwości; gęś nie będzie pływać, jeżeli będzie chowana bez jakiegobądź przestrzeni wody; bobry przestają budować swoje mieszkania, jeżeli je cywilizacya ludzka z dawnych bezpiecznych siedzib wypędza. Zgoła zwierz przynosi ze sobą wszystko, czego potrzebuje. Sam tylko człowiek rodzi się i rośnie bezbronny, bezopatrzny. Nie dała mu natura ani szponów, ani pazurów, ani rogów, ani kłów, ani kopyt, ni do napaści ni do obrony. Sama mu została siła muskularna rąk i nóg, nie mająca wszakże nic prócz pięści, czemby władała. Ciało jego nagie dotkliwie uczuwa zmiany powietrza, a wielokroć ulega zniszczeniu od zimna, upału lub wilgoci. I co mu Bóg stworzyciel za te wszystkie niedostatki i niedobory ofiarował? Tehnął nań i dał mu ducha swego, dał mu rozum, którym zdobyć sobie ma, czego mu nie dostaje, obronić się potężniej od napaści, niżby to potrafiła trąba słońca, rogi byka, kły dzika, zażartość tygrysa; — którym wiaśać ma w posługi wszystkie siły natury i stworzyć dla siebie świat osobny, nowy, świat intelligencyji. Oto jest przeznaczenie człowieka, oto główny warunek jego duchowego bytu, oto naczelną różnicą jego od reszty zwierząt.

Bóg — powiada pismo — szóstego dnia stworzył człowieka a siódmego dnia odpoczął. Zaprawdę tu był koniec stworzenia, bo stworzeniem ducha, który sam będąc nieskończony w nieskończoność się rozwijać musi, i ludzkość do coraz wznioślejszych wyżyn podnosi. Przed tym światem wiedzy, piękna i dobra, jaki duch ludzki sobie wystawia, przyroda cała w niezmiernych potęgach uklęka jak sługa przed panem swoim, bo ten pan jest wiedzą, a ona cała bezwiedną; przed tą duchową potęgą człowieka znikają w nic całe na ziemi, morzu i powietrzu rozmnożone królestwa zwierząt, bo rozum, ducha, tylko posiada człowiek, nim staje się postępowym, nieśmiertelnym i podobnym Bogu stworzycielowi, reszta jest materją co się składa i rozkłada, jest psychą w niej działającą, nie wedle swoich praw, ale wedle praw niezmiennych przyrodzenia. Wedle ciała nie różni się człowiek od reszty materialnego świata, ale wedle ducha różni się całym postępowem i całą nieskończonością swoją. W tém tylko ograniczony, że rodząc się w niewiadomości dobrego i złego, co stanowi jego niewinność, wszystko sobie sam zdobywać, inaczej, że uczyć się musi. Ale w tém ograniczeniu jest jego wywyż-

zenie, że sam sobie wszystko zawdzięcza, że staje się jednym z pracowników duchowego świata, nad którym miliony rozumów, tysiące talentów, sta geniuszów pracowały i pracują, zawsze naprzód tocząc wielki rydwan oświaty. W tej pracy, duchowej, postępowej, boskiej, żadne zwierzę nie ma udziału, nie ma go ani gorillo, ani orangutan.

Z tych pięciu co dopiero wymienionych warunków duchowego istnienia człowieka, następują jeszcze inne, będące już onych następstwami: pięknota ciała, postawa prosta, mózg i mowa artykułowana. Są one człowiekowi mniej więcej wspólne z innymi zwierzętami, tylko że uduchowione i udoskonalone.

Uroczemi są okolice nieba, nocą smętny blask księżyca, firmament gwiazdami iskrzący, mieniające się światła zorzy północnej; za dnia pod różowym rzutem promieni słonecznych, cudne widoki na ubarwioną i urozmaiconą powierzchnię ziemi. Co za wspaniałość morza, co za potęga rozhukanych żywiołów i burzy, jakież to misterny kwiat roślin w swojej woni, i w swoich kolorach! Przepyszniemi są farby piór pawich, papuzich, kolibrowych; co to za urok polotnej sarny lub jelenia, jakież to cudne oko lamy, jaka chędogość i jak zdrowy połysk sierci zwierząt ssących. W szczegółach wszystko to piękniejsze formy od form ludzkiego ciała. A jednak pięknota ciała tego jest wyższą dlatego jedynie, że z niej duch przegląda, który je owłada. Niesie przysłowie, że ludzie do łez skłonni są dobrzy, inne sokratesowe powiada, że w pięknem ciele piękna dusza. Wielka prawda, bo łza z rozczulenia płynie, a z pięknych rysów złe przeglądać nie może. Bywają ludzie nawet szpetni, a jednak gdy te niezdarne formy duch owładnie, gdy z ust słowo zachwycające płynie albo pod palcami boska melodia z instrumentu się wydobywa, gdy poświęcenie nas ogarnie — oko nasze po za temi szpetnymi formami doзира tylko wrażenia ducha, który je opromienia, uszlachetnia i robi w nich cud przemienienia. To, co nas w nich unosi, zachwyca, porzywa, to nie ciało; to znakomity talent. to świetny geniusz, to sam duch nieśmiertelny. Przed jego potężnem spojrzeniem z twarzy i oka, dziki zwierz drapieżny, nawet lew, król zwierząt, uchyla się i korzy. Oto to przezieranie się ducha w ciele ludzkim, ten jego łysk ele-

ktro-magnetyczny, nastrajający oko niezwykłym blaskiem, ta jakby aura natchnienia ożywiająca rysy twarzy; ruchy całego ciała, to jest owa duchowa pięknota, o której mówimy, a której nie ma zwierzę. Jego piękność jest tylko materialna, psychiczna, nie duchowa.

Istota, stworzona na obraz i podobieństwo boskie, nie mogła pełzać na czterech, z głową ku ziemi pochyloną, musiała mieć twarz i wzrok wzniesione do góry, w nieskończoność przestrzeni niebios. Ztąd postawa człowieka wzniosła i prosta, z głową, jako siedliskiem umysłu, podniesioną na szczycie całego tułubu. Tylko niemowlę, we wieku, w którym umysłowość dopiero się ze zwierzęcości rozwija, czołga się na czterech; ale jak tylko wzmacniają się jego muszkuły, z natężeniem chwytają się, czego może, i pnie się do prostej postawy, a jaka radość rodzicom, gdy już o własnych chodzi siłach. Jeżeli niektóre zwierzęta wyuczają się stawać i chodzić na tylnych nogach, jest to nużąca je sztuka, której się im prędzej tym chętniej pozbywają. Wszakże są gatunki małp, najwięcej zbliżonych do człowieka, które chodzą w prostej postawie; ręce już mają odrębnie zbudowane od nóg i chwytają w dłoń czy kamień, czy owoc, czy gałęzi kawał. Samica małpa przytula z troskliwością rękoma małpię swoje do piersi, gdy je karmi. Na teatrach małpich widzieć można, z jaką naturalnością te ruchliwe zwierzęta sposoby życia ludzkiego naśladowują. Moznaby sądzić, że to małpoludzie, naturalni przodkowie rodzaju ludzkiego. Ani przeczyć temu myślimy, że małpa przyrodzonymi właściwościami swojemi stoi na samej granicy, gdzie się duchowa istota człowieka poczyną, i właśnie dlatego tłumaczymy sobie, że cały organizm małpi zbliżonym musiał być do ustroju człowieka; że odpadły niektórym gatunkom małp ogony, te główne znamiona czworonożnej zwierzęcości; że pozbawione zostały narzędzi zaczepnych i obronnych drapieżnego zwierzęcia; że zęby ich, acz na przodek podane, nie utoczone są do zagryzania i do szarpania; że paznogie, acz twarde i niegiętkie, zastąpiły rogowe szpony i kopyta; że nareszcie cała postawa podniosła się w górę, bo stanęła na granicy nieskończoności, której nie pojmuje, ale w którą poзира ciekawie. Ta ciekawość bez duchowego pojęcia, jest chęcią naśladowania wszystkiego, co człowiek robi. I to naśladownictwo jest charakterystyczną cechą małpiego rodu. Psyche ich sięga

w dziedzinę ludzkiego ducha, ale mechanicznie, bezwiednie, z samego wrodzonego popędu do naśladowania, bez względu na to, czy dobrze, lub źle, naśladuje. Wyuczone małpy odgrywiają publiczne widowisko; ale rzuć pomiędzy nie jabłkiem, a wszystkie wypadną z roli swojej i pobiegną za jabłkiem. One tak komedią odgrywiają, jak pies z liter układa wyrazy, jak zając z pistoletu strzela, jak koń menueta tańczy. Jest tam myślenie, ale nie rozum; są wnioski pewne, ale nie ma sądu o rzeczach; jest obca, ludzka, ale nie własna, zwierzęca wola; jest ćwiczenie, wprawa, ale nie przyrodzona potrzeba. Małpa, mimo tego wielkiego zbliżenia organicznego do człowieka, zachowała całą jeszcze naturę zwierzęcą, nietylko w zewnętrznym swoim wizerunku, który przedstawia zwierzę, nie człowieka, ale i w całym żywocie swoim. Ona nie wynajdzie, bo nie ma przemyśłu ni poznania potrzeby; z zakresu przyrodzonych swoich właściwości nie wystąpi, ani nie postąpi naprzód, zawsze w tém samym kółku się obraca; żyje życiem zwierzęcym, jakie jęj natura nakreśliła, a od życia ludzkiego bojaźliwie stroni. Pod tym względem misterne budowy ulów pszczoelich i dawne budowy mieszkań bobrowych, stawiają pszczoły i bobry wyżej małp, które celu życia swojego nie znają, ani go ulepszyć nie pragną, bo obrane z rozumu i ducha, sposobów i środków ku temu nie mają. Naśladownictwo tego, co u ludzi lub innych zwierząt widzą, jest najwyższym szczeblem, do którego się ich psychiczne usposobienie podnosi, a to naśladownictwo, będące skutkiem nadzwyczajnej ruchliwości i żywotności ich temperamentu, jest im zabawą, nie potrzebą, jest mechanizmem, a nie myślą badającą, lub postępową.

Mózg i nerwy, to cudownie naciągnięte struny psychicznego żywota zwierząt i duchowego żywota ludzi. Tajemnicą niedocieczoną jest sam początek każdego żywota. Filozoficznie można to uważać jako stworzenie z niczego, jako połączenie atomu treści i formy do atomu ciała, z którego się rozwija życie. Pierwsza zarodu komórka, powstała z elektrycznego tchnienia dwupłciowego żywota, musi w jąderku swoim już mieć materią żywotną nerwową, rozwijającą się w przedzę włókien nerwowych, które dalej kształcą i budują organizm, aż się w nim i ganglie brzuchowe i wszystkie nerwy zmysłów, ruchu i czucia wraz z mleczem pacierzowym i mózgiem rozwina i czas



porodu się wypełni. Wszystkie téż doskonalsze grupy zwierząt nerwami i mózgiem są opatrzone, acz w różnej mierze, w różnej jakości i obfitości tego cennego materiału, który reguluje psychiczny żywot zwierzęcia. Gdzie ten materiał stać się ma narzędziem, nie już psychicznych, ale i duchowych wrażeń i objawów, tam jego jakość i obfitość musi być stosunkowo doskonalsza i większa. Jakość mniej zwracała uwagi. Zdawało się, że materya mózgowa u zwierząt i ludzi z tych samych składa się części, i że żaden nowy pierwiastek nie wyróżnia jednego mózgu od drugiego. Zwrócono więc głównie postrzeżenia na objętość, ciężar i zewnętrzne formy mózgu. Interesujące pod tym względem są anatomiczne i fizyologiczne badania pana Gratiolet, któregośmy już wyżej przytoczyli, nad mózgowym składem czaszki szympansa, a czaszki człowieka. Nie możemy się tu wdawać w szczegółowe jego anatomiczne rozbiory<sup>1)</sup>, notujemy tylko wypadek. Ze wszystkich zwierząt mózg małpi najpodobniejszy jest do mózgu ludzkiego, a podobieństwo jest tak wielkie, że gdyby podług mózgu klasyfikowano zwierzęta, musiano by ludzi i małpy postawić w jednym rzędzie. Typ jest ten sam, rozkład części mózgowych ten sam, a jeżeli znajdują się jakieś odmiany, są one tylko drugorzędne, nie nadwierzają w niczem jedności typowej<sup>2)</sup>. W tych jednak różnicach drugorzędnych, np. fałdach i wklęsłościach, które się inaczej formują u dorosłego człowieka niż u małpy, w objętości masy mózgowej, i w rozmaitym stosunku jej pojedynczych części do siebie, upatruje prof. Gratiolet różnicę tak stanowczą, iż orzeka kategorycznie, że w żadnej epoce mózg ludzki — typicznie podobien do mózgu małpiego — nie jest nigdy mózgiem małpy<sup>3)</sup>. Wyprowadza ztąd wniosek, że z powodu tej podrzędnej różnicy władze umysłowe człowieka wcale są inne od władz umysłowych małpich. My się zgadzamy na ten wniosek uczonego profesora, mimo przeciwnego zdania pana Trémaux, który owe różnice mózgowie podrzędne tłumaczy tem, że inny jest sposób życia

1) Zob. *Revue des sours scientifiques*. 1864, Nr. 16.

2) „*toutes les différences portent sur des caractères secondaires. Mais ces différences n'altèrent en rien l'unité du type.*“

3) *A aucune époque, ce cerveau humain, semblable typiquement au cerveau du singe, n'est un cerveau de singe.*

małpy, a inny człowieka. My owszem utrzymujemy, że mózg, jako narzędzie, reguluje takim a nie innym sposobem życia, a nie przeciwnie. Jaki mózg, taki żywot. — Gdyby mózg małpi i ludzki był ten sam co do treści i formy, musiałyby objawy życia tych dwóch istot być te same, a przynajmniej powinnyby w czémkolwiek być przekroczoną granicą, która świat zwierzęcy, małpi, oddziela od świata duchowego, ludzkiego. A tego nie postrzegamy.

Przechodzimy do mowy ludzkiej, jako ostatecznej, ale zasadowej różnicy między człowiekiem a zwierzem. Jest ona tylko środkiem komunikowania się istot między sobą. Jest to głos, którym się one nawołują, którym na zewnątrz wyrażają poruszone uczucia swoje. Ogólny to objaw zwierzęcości. Głosy przy stękanii, ziewaniu, śmiechu, przestraszeniu, bóleści, płaczu, są jej objawami i wśród ludzi. A póki niemowlę przeważnie żyje życiem uczuciowem, nie umie inaczej wyrażać potrzeb, dolegliwości i radości swjej, jak tym głosem zwierzęcym. Pod tym względem jest wspólność używania głosu między zwierzętami i ludźmi. Rozmaitość władającego uczucia nastraja głos różnemi modulacyami, które tak zwierzę jak człowiek rozumie. Inna jest rzecz, gdy chodzi o wyrażenie myśli, o nadanie głosowego znaku na przedmiot, na czynność, na stosunek rzeczy do siebie, na sąd o rzeczach. Tu już modulacja głosu, będąca tylko jego muzyką, nie wystarcza. Tu trzeba wypowiedzenia. Aby myśl jasno zrozumiała uczynić, trzeba ją osobnemi wyrazami wypowiedzieć. Ku temu służy artykulacja głosu. Za pomocą narzędzi ustnych, podniebienia, języka, zębów i warg, oddech głosowy zmienia się na rozmaite brzmienia samogłosowe i spółgłosowe, z których układają się wyrazy na oddanie znaczeń myśli. Znaczenia tego uczyć się trzeba. Uczy go się dziecię od matki, uczy go się człowiek od człowieka. Mowa zatem ma dwie osobne części: formowanie z brzmień głosowych odpowiednich wyrazów i poznanie znaczenia tych wyrazów przez osobę przystępującą do gotowej już mowy. Jedno i drugie jest pracą duchową, a mianowicie pierwsze tak wysoko duchową, że mowie ludzkiej dawano początek boski, jakoby Bóg sam pierwotną mowę człowiekowi nadał, tak zdumiewającym jest rozum w źródłowości i w pochodzeniu i w odmianie wyrazów. Poznanie znaczenia jest rzeczą pamięci, której refleksya rozumu pomaga, ale i sa-

mém powtarzaniem nabytém być może. Toć i zwierz, nawoływany zawsze tym samym wyrazem, słuca na głos sobie znajomy, jakby na nazwisko swoje.

Na tę pracę ducha, czyli na formacyę mowy, nie zdobydzie się nigdy żadne zwierzę, ani nawet małpa. Nie dla tego żeby nie potrafiło z tchu głosowego wyrobić artykułowane głosy, boć te same posiada narzędzia mowne. Toć papuga i szpak wyucza się mechanicznie wymówienia dość wyraźnie kilku wyrazów mowy ludzkiej, a i w głosach zwierzęcych dosłuchujemy się takich znamion, że je naśladować potrafimy naszymi artykułowanymi zgłoskami. Nie byłoby tam może tyle brzmień osobnych, ile ich ma mowa ludzka — z powodu mnóstwa tych brzmień tak wieloakcentowa i tak wielonarzewowa — nie byłoby na formacyą tych brzmień głosowych tylolicznych wpływów położenia kraju, klimatu, temperamentu i zatrudnienia; ale byłaby zawsze dostateczna ilość prostych głosek, sposobna do złożenia z nich wyrazów. Bo takie zapewne były początki i mowy ludzkiej, która się dopiero z postępem oświaty wśród ludów wykształcała. Atoli do formacji takich głosów i zlewania ich we wyrazy zwierzę nie czuje żadnej potrzeby; bo pozbawione ducha, nie posiada żadnego tej potrzeby rozumienia. Ze wszystkich przyczyn, jakie przytaczano, dla czego zwierzęta nie mówią, wydaje mi się ta najodpowiedniejszą, iż dla tego nie mówią, że nie mają co mówić. Nie można odmówić zwierzętom duszy, a więc i myślenia <sup>1)</sup>. Ale to myślenie nie wyzwoliło się jeszcze do samodzielności i samotwórczości, które to przymioty są udziałem ducha. Myślenie duszy zwierzęcej nie jest jako myślenie ducha, nieograniczone i nieskończone, z wewnętrznym popędem rozwijania się naprzód; lecz jest zakreślone kołem samych potrzeb zwierzęcia i jego właściwości, które zawsze zostają te same i po za które myśl zwierzęcia nie przechodzi. Zwierzę nie ma żadnych potrzeb, bo wszystkiém opatrzyła je natura. Instynkt przyrodzony wie dzie je do wykonywania szczegółowych właściwości, i nie potrzeba, żeby je inne zwierzęta współgatunkowe w tém pouczyły. Samiec i samica nie pouczają swoich młodych, ale je zachęcają, gdy już podrosły, do wykonywania przyrodzonych ruchów,

1) Zob. wyborne w tej mierze dzieło prof. P. Scheitlina p. t.: *Versuch einer vollstaendigen Thierseelenkunde*. Dwa tomy, w Stuttgardzie, 1840 r.

do których w młodości swojej były niesposobne. W trzech tylko peryodach zwierzę rozwija cały zasób psychicznej przemysłności swojej: w zaspokojeniu głodu, w akcji odzywającej się płodności, i w pieczy o wychowanie i wykarmienie ułożonych młodych. Na tak szczupły zakres działań zwierzęcia wystarcza zupełnie naturalny głos jego, którym się raz po raz odzywa w czuciach i potrzebach swoich. Wielką więc i nieprzebytą granicą pomiędzy ludźmi a zwierzętami pozostanie mowa ludzka, środek udzielania się wzajemnego między sobą, wyrób ducha ludzkiego, by tym środkiem wytworzyć osobny świat inteligencji.

Wyróżniliśmy, ile nam się wydaje, ducha ludzkiego od duszy zwierzęcej i świat ludzki od świata zwierzęcego. Pozostają nam jeszcze dwa ważne pytania w przedmiocie człowieka przedhistorycznego: Jak i kiedy się ten świat ludzki począł, i gdzie się począł?

Religie wszystkie odnoszą początek rodzaju ludzkiego do Bogów, którzy i nadal pieczę i rządy swoje nad nim rozciągają. Tradycje te religijne dają do zrozumienia, że to, co w człowieku jest wyższego nad zwierzęta, boskiego być musi pochodzenia, a tém samym nieśmiertelne. Co w nas tli jasnością rozumową, pojęciem rzeczy nadprzyrodzonych, jestto ów ogień święty, który Prometeusz wykrał Jowiszowi z nieba. Naprzeciw temu staje materialna teoria najnowszych czasów, przyjmująca wolne w eonach lat samodzielne rozwijanie się tworów organicznych, od najniższych do najwyższych. Na przedostatnim szczeblu stoją małpy bezogonowe z postawą prostą i wykształtem rąk; na ostatnim szczeblu stoją ludzie, dziś jeszcze przedstawiający obraz najrozmaitszego wykształcenia, od dzikiego i nieumiejętnego barbarzyństwa zaczawszy, aż do narodów stojących na wysokości dzisiejszej oświaty. Wniosek ztąd naturalny, że w odległych, przedhistorycznych czasach rodzicami ludzi były wżwyż wspomniane małpy. Jeżeli je dla podobieństwa do kształtu ludzkiego nazwiemy ludomałpami, to potomstwo z nich, które pod szczęśliwemi okolicznościami uczyniło pierwszy krok postępowy w dalszym rozwoju zwierzęcym, musiało utworzyć małpoczłowieka, już kształtniejszego i rozumniejszego, ale zawsze jeszcze zbliżonego do małpy. Dopiero z kolejną wieków po licznych progeneracjach odpadły znamiona małpiego pochodzenia i powstał człowiek obdarzony rozumem

i mową. Jedno i drugie w małych tylko rozmiarach pokazywało się u małpoludzi i dopiero podniosło się i rozmgło z większą czaszką, a ztąd z większą objętością mózgu człowieczego.

Cały ten wywód polega na domysłach i sięga w epoki tak odległe, że żadna z nich nie pozostała tradycją. Sama tylko paleontologia jakies pozostawiła ślady, ale tak rzadkie i niedostateczne, że z nich trudno do pewnego przekonującego dojść wypadku. Kości i czaszek ludzkich z tych oddalonych okresów wynaleziono nader mało, a nawet i szkielety małp owoczesnych do rzadkości należą. Czaszki ludzkie z tej epoki są małe, tył głowy więcej rozciąglły niżeli przodek, co byłoby dowodem wykształconego, bardziej uczuciowego niżeli umysłowego życia owych ludzi. O małpoludziach, w ogóle o przejściowych typach między małpą a człowiekiem nie wiemy. Żaden okaz paleontologiczoy na takie przejście nie wskazuje. Nie zgoła nam nie wiadomo, jaki był żywot tych pierwotnych ras ludzkich, i czy porozumiewali się mową jaką. Nie trafia do naszego przekonania, aby od objętości mózgu wyłącznie zależeć miały rozum i mowa. Między dzikimi wychowany człowiek stanie się dzikim, między ludożercami ludożercą; wychowany jak Kaspar Hauser nie rozwinię władz rozumu ani nie nabędzie mowy. Zwierzęca natura w nim przemoże, a umysłowe zdolności nie rozwijane, nie podniecane, pozostaną jak we śnie letargicznym, mimo obszernej czaszki i stosownej objętości w niej mózgu. Nie potrzeba sięgać w przeszłość; terażniejszy jeszcze czas przedstawia różnolite rasy ludów najrozmaitszego wizerunku pod względem pięknoty, barwy ciała, ukształtu głowy i zdolności umysłowych. Pokolenia brudnych Laponczyków i Eskimosów na północy, brzydka i ograniczona rasa Papusowa w Australii, niewolnicze rodziny murzynów w Afryce, lud barbarzyński Batakondów w Brazylii; resztki karłowatych Askedów; kretyny pojawiające się w okolicach górzystych, do tego stopnia co do władz umysłowych ubezwładnione, iż wymierają z niepłodności. Są to tyloliczne dowody upośledzonych ras ludzkich; że pomimę ludy pierwotne Ameryki czerwonoskóre, żyjące jeszcze dziś w stanie dzikości i barbarzyństwa, acz w pobliżu cywilizacji amerykańskiej. — Istnieją zatem, mimo zabiegów chrześcijańskich misyonarzy i gorliwości rządów oświeconych w rozszerzaniu oświaty

i religii nowego przymierza, istnieją i dziś jeszcze wielkie liczby pokoleń i ludów, uporeczywie trzymających się dzikości i barbarzyństwa, nienawistni wszelkiej cywilizacji. Cywilizacja nie ogarnia zatem całej ludzkości. Ona w jednym miejscu postępuje naprzód, ale w drugim upada. Czem dziś dawna Assyrya, Babilon, Persya, czem Egipt i Finicya; czem dzisiejsza Grecya, gdzie potomkowie światowładnego Rzymu? Co się stanie z Paryżem, Londynem, za lat pare tysięcy?

Podobno między religijno-idealnymi pomysłami a materialną teorią nowszych fizyologów i etnologów leży prawda, acz także tylko domysłowa i dlatego nie mająca pretensyj być niezawodną. Przyjąć należy postęp tworców organicznych na globie planety naszego; ale postęp, jaki sprowadzają koniecznie nowe doskonalsze warunki bytu, naniesione czy to nowymi pokładami ziemi, czy zmianą klimatu, czy nieznanymi dotąd wpływami firmamentu. Postęp taki, jaki przyjmują przyrodnicy nasi, aby się z wy-moczka pierwotnego, przez wojnę wszystkich przeciw wszystkim, przez zwycięstwo mocniejszych i doskonalszych nad słabszemi i mniej doskonałemi, przez krzyżowanie rass, rozwinął robak, dalej skorupiak i mięczak, następnie ryba, płaz, ptak, zwierz ssący i nareszcie człowiek;—postęp taki jest przypuszczeniem, ani na postrzeżeniu ani na żadnej konieczności rozumowej nie opartem. A wprowadzać łańcuch taki przemienienia się gatunków z jednego jednokomórkowego tworów, od pierwotnego okresu żywotności ziemi naszej, przez cztery następne okresy geologiczne, a więc przez miliony lat, jest pomysłem nader śmiałym, jeżeli nie zuchwałym.

Paleontologia i geologia wskazuje nam te epoki żywota naszego planety. Możliwość więc przypuszczeń, kiedy pod wpływem ciepła, elektryczności i wilgoci, tworzyły się nowe pokłady ziemi, by dać nową podstawę doskonalszym tworom, że musiała być z początkiem każdej epoki obudzona w powietrzu, ziemi i wodzie tak potężna żywotność i płodność całego naszego planetarnego przyrodzenia, iż dawała środki i sposoby nowych doskonalszych gatunków żywych tworów, nowym stosunkom tej epoki odpowiednich. Jakie to były środki i sposoby, to już jest tajemnicą, którą my odchylić bodaj kiedy potrafimy. Może działały wpływy astralne, elektryczne, aeorolityczne i spo-

wodowały na ziemię zarodki nowych tworów. Może świeże stosunki ziemi samęj wyrabiały materją samorodną i opatrzona macież przyroda wychowywała pieczę swoją pierwsze eksemplarze nowych gatunków, które się potem same rozplądzały. Może wreszcie pod wpływem onej żywotności przyrodzonej i w stosunkach odpowiednich, z organizmów już istniejących wyradzały się organizmy nowogatunkowe, jak Wenera powstać miała z pijany morskiej, jak wilezyca wykarmić miała Romula i Remusa. Któż to dziś odgadnie? Dwa obrano kierunki tłómaczenia téj tajemnicy: cudowne pod rządem Boga stwórcy dziejące się stworzenie świata i jego tworów, i materyalne, samodzielne, pod niecofnionemi prawami postępu rozwijające się, tworzenie się ciał niebieskich i tego wszystkiego, co się na tych globach żywego w kolei wieków pojawiło. Jednostronne te dwa kierunki idealności i materyalności, dałyby w połączeniu więcej do prawdy zbliżone domysły rozwiązania owego ważnego dla nas pytania, *jak* powstał rodzaj ludzki. Jak wiary i religije z serc ludzkich umiejętność nie wypędzi, bo to węzeł moralny społeczeństwa ludzkiego, tak się i w naukach przyrodniczych nie obędzie bez uznania i poznania téj nieskończonej mądrości twórczej, jaka się objawia w najmniejszych niedojrzałych tworach i w kołujących ogromach całych światów; a ta mądrość jest odblaskiem i rządem Boga stwórcy.

Po nierozwiązaniem przez nas pytaniu: jak powstał człowiek, łatwiejszem już jest oznaczenie czasu, kiedy powstał, bo nam tu geologia i palentoloja pewniejsze już, a nie domysłowe podaje wskazówki. — W nowym Orleanie, powiada pan Trémaux <sup>1)</sup> przy dobywaniu gazu, znaleziono czaszkę Indyanina w takiej głębokości, że wnosząc z wieku, do jakiego odnieść należy skamieniałości roślin, które się w późniejszych, wyżej owej czaszki położonych pokładach znajdowały, przyjąć trzeba, że ta czaszka tam od 57,000 lat leżała. Nie pokładamy wielkiej wartości na ten przykład, bo nam autor tego obrachunku szczegółowo nie przytacza, i nie wspomina nawet, ażali jakie były z tego powodu paleontologiczne poszukiwania. Ważniejszymi są czaszki odnalezione w Neanderthalu i w Engis, które były przedmiotem rozlicznych uczonych poszukiwań.

<sup>1)</sup> Origine et transformations de l'homme T. I. str. 319.

Między Düsseldorfem a Elberfeldem, w tak nazwanej dolinie Neaudra, trafiono w jaskini, uformowanej z wapiennego kamienia, szkielet ludzki z czaszką. Ta ostatnia najwięcej jest interesującą, bo pozwala robić wnioski, jaka mogła być inteligencya ówczesnego człowieka. Otóż rzeczywiście forma téj czaszki ma jeszcze zwierzęce wydatności dolnej szczęki, przodek czaszki nader mały, w tył zgięty, czoło wąskie, tył głowy wydatny, cała budowa bardziej zbliżona do małpiej, niżeli do dzisiejszej ludzkiej głowy. To podobieństwo do głowy małpiej uwydatnia się w nader wąskim płaskim i w tył przygniecionem czole, a występującymi naprzód kośćmi brwi wypukłych. Odpowiadają czaszce była reszta szkieletu. Kości niezwykle grube, we wszystkich stawach mocno rozwinięte, wskazywały na bieg więcej zwierzęcego niż ludzkiego żywota, to jest używającego sił ciała, nie umysłu.

Mniej więcej tego samego kształtu są odnalezione czaszki i kości dolnoszczękowe w pokładach, nie już czwartego ale trzeciego utworu, (okres tercyerowy), jakie znaleziono we Francyi. Dolna szczęka ma kość grubą zaokrągloną, wystawa podbródka prawie żadna, i oblicze nie miało śnać tego nadobnego zakończenia twarzy ludzkiej, którą daje podbródek, będący wyłącznem znamieniem człowieka. Dwa rzędy pięknych zębów, które dziś zdobią usta nasze, nie miały wówczas tego uroku. Z trupiej ówczesnej czaszki widać, że zęby naprzód wystawały, jak u zwierząt, że były większe i krzywo wyrastały. Trzy odtylne zęby miały tę samą rozciągłość, jaką dotąd mają także zęby gorilla i orangutana, to jest ostatni na tyle jest największy, a trzeci od końca najmniejszy. U murzynów i papuasów te trzy zęby mają równą rozciągłość, zaś u ukształconych pokoleń ludzkich, rozciągłość ku tyłowi się zmniejsza, ząb na samym tyle jest najmniejszy. Z tego wszystkiego wypada, że pierwotna rasa ludzka kształtem swoim zbliżoną była do zwierząt, a czaszka miała podobieństwo do czaszki małpiej. Choć z tego weale jeszcze nie wypada, że rodzaj ludzki wyłagł się z małp bezogonowych. Nie poznanoby się téż na tém, że odnalezione szkielety i czaszki kopalne do ludzi a nie do małp należą, gdyby obok nich nie znaleziono zarazem wyroby rąk i przemysłu ludzkiego, broń, sprzęty i narzędzia kamienne. Nic podobnego nie najduje się przy szkieletach



małpich, bo i dziś widzimy, że twórczości żadnej nie mają.

Jeżeli rodzaj ludzki postąpił w generacjach późniejszych od kształtów czaszki zwierzęcej, do form jej więcej ludzkich, to podobny postęp znajdziemy i w gatunkach zwierząt ssących. Kopalny niedźwiedź pierwotny (*ursus prisceus*) znajdujący się w grotach i jamach podziemnych, różni się tём głównie od późniejszego niedźwiedzia brunatnego, że głowa tylna i szczeka dolna stanowiły jedną kość, i ziew spodni tylko razem z głową mógł się poruszać <sup>1)</sup>). Niezdarna i do zwierzęcia zbliżona postać pierwotnego człowieka, kształcąca się później sama przez się do form doskonalszych, nie byłaby jeszcze dowodem, że pierwszy człowiek był z małpy spłodzony. Pojąć bowiem trudno, dlaczego ten potomek małpi z ustrojem głowy tak do ojca podobnym, już przemyślał i wyrabiał, kiedy całe pokolenie małpie ani dawniej ani teraz na twórczość jakiegobądź wyrobu się nie zdobywa.

W bliskości belgijskiego miasta Leodium (Liège) jest tak nazwana jama Engia, w której znaleziona odwiekowa czaszka ludzka przybrała nazwę czaszki Engisowej. Wiele ona późniejsza od czaszki Neandrowej, bo już wskazuje więcej wykształcone czoło i przodowej części czaszki, chociaż zawsze jeszcze z widoczną przewagą rozciąglejszej o wiele tylnej części głowy. Zawsze więc jeszcze przewaga uczuciowego życia nad umysłowem. Szkielety kopalne ludzi z Denise i z Natchez, ponad rzeką Mississipi, zdają się pochodzić z epoki, w której żył mamut. O wiele późniejsze jeszcze są szczątki kopalne ludzkie, wydostawane z palafitów, czyli mieszkań nawodnych. Czaszki prawda jeszcze powiększej części są małe, ale już do form ludzkich więcej zbliżone. Są to już kwarcyerne okresy czasu, kiedy jakieśmy na początku tego ustępu rzekli, człowiek już w połowie epoki trzeciego utworu, a więc przed epoką lodową, znalazłszy potrzebne warunki swego psychicznego i duchowego bytu, pojawił się na ziemi.

Nie mamy pewnych dostrzeżeń, by oznaczyć czas, ile go potrzeba, by się pokład powierzchni ziemi naszej o jedną stopę powiększył, ani mamy pewności o ileby się

1) Origine et transformations de l'homme str 146 T. I.

ten czas dzisiaj wypośrodkowany dał do przeszłości zastosować, która pod innymi warunkami pokłady ziemi formowała. Atoli grubość pokładów daje zawsze pewną stosunkową miarę do obliczenia czasu w przybliżeniu. Pokłady czwartego utworu mają do 700 stóp grubości, pokłady trzeciego utworu dochodzą do 3000 stóp objętości. Biorąc połowę tej epoki ostatniej, w której się już ukazał człowiek, będziemy mieli objętość skorupy ziemskiej na 2200 stóp. Jeżeli przyjmujemy stuletni perjod formacji jednej stopy, dojdziemy do liczby 220,000 lat, jeżeli niżymy ten peryod formacji na 10 lat, uzyskamy jeszcze liczbę 22,000 lat, jak istnieje rodzaj ludzki na ziemi. Nie przesadzam w niczem ani tradycjom genezy mojżeszowej, ani wypadkom badań uczonych geologów i antropologów, które bliższe o wiele czasy przyjmują. Dają tylko miarę, jak do odleglejszych sięgnąć można epok.

Po jak i kiedy, następuje trzecie pytanie gdzie się począł rodzaj ludzki? Jeżeli zauważymy przepaść odległych wieków, do których się odnosi początek rodzaju ludzkiego, brak zupełny podań, krom religijnych więcej idealnych i poetycznych, niż rzeczywistych tradycyj; jeżeli pomnimy, że przedhistoryczny człowiek przez liczne generacje zostawał w stanie umysłowego niemowlęstwa, przekonamy się, jak słabe są podstawy do wskazania miejsca, z którego się rozwinął rodzaj ludzki. Dość jako osobliwość namienić, że znalazł się ktoś, który umiejętnie dowodził, że Niemce były tym rajem ludzkości. Był nim d'Omalius d'Halloy, uczony belgijski, przyszedł przez zgromadzenia międzynarodowego antropologicznego w Belgii, opierający głównie swe dowodzenie na epoce kamiennej, której ślady wedle niego tylko w Niemczech się znajdują<sup>1)</sup>. Dziwić się tu pretensyjom niemieckim, które za czasów rzymsko-niemieckiego cesarstwa uważały wszystkie inne ludy, a sławian w szczególności, za hołdownicze sobie, a dziś germanizować chcą świat cały!

Niejaką podstawę do wyszukania miejsca na kuli ziemskiej, gdzie się począł rodzaj ludzki, daje nam nowa teoria pana Trémaux, utrzymująca i dowodząca: 1) że powierzchnia ziemi złożona z najświeższych osadów, po-

<sup>1)</sup> Comptes rendus de l'Académie des sciences T. LIX, str. 931.

siada w sobie najwięcej żywiółów do wydania doskonalszych tworów, kiedy dawniejsze pokłady, tercyarne, im odleglejszych sięgają czasów, tém są niesposobniejsze do wytworzenia i wychowania istot doskonalszych; 2) że wędrówki ludów, przenoszących się z pokładów ziemi lepszych na gorsze, degenerują ludzi; rasa biała staje się między Kafram i czarną, odważna słabą, wykształcona ograniczoną; przeciwnie jeżeli się przenoszą z ziem gorszych na lepsze, podnoszą się w oświecie, murzyni bieleją, odwaga rośnie, przemysł, handel, nauka rozmogają się.

Zważywszy zatem, mówi autor tej teorii, że ze środkowej Azji rozchodziły się wędrówki i kolonie na wschód do Europy, na zachód do Chin i Indyj, na południe do Egiptu i Norwegji; zważywszy dalej na powinowactwo języków indo-europejskich dowodzące wędrówki z jednego miejsca, — znajdujemy, że dawna Baktriana, dzisiejsza Bukaria w Turkestanie, jest tym rajem ziemskim, który wydał człowieka. W księgach Zendavesta i w tradycjach Indów utrzymuje się podanie o kraju błogosławionym, aryjskim z pochodzenia (Airyana Vaega), położonym na północ płaskowzgórza Iranu. Wyraz zaś Aryan znaczy ludzi czystych, łagodnych i zdolnych. Urodzajność tego kraju była tak wielka, że dawała setne ziarno w plonie. Kraj był oddzielony na północ stepami kirgizkimi, niegdys zalaniem morzem, którego reszty morze kaspijskie i Aral przedstawiają; na zachód leżą dyny piasku latającego, na wschód wznoszą się śnieżyste góry Belur. Mieszkańcy żyli w odosobnieniu, i z trudnością dostawali się obcy do ich szczęśliwego kraju. Wszakże udało się młodemu polakowi oficerowi Witkiewiczowi i anglikowi Aleksandrowi Burns, dotrzeć w ich siedziby, i anglik podał ich opis, który zgadza się z tém, co Kwintus Kurecyusz napisał o tych okolicach w wyprawie Aleksandra Macedońskiego. Później francuz Blocqueville dotarł z armią perską do Bukaryi. Od czasu Alexandra W., wiele się tam zmieniło. Nie ma i śladów wielkiego państwa, które w starożytności tu istniało. Od morza kaspijskiego i od dynów piaszczystych, piaski zasypują coraz dalej urodzajne grunta Baktryany. Armia perska, zmieniawszy koryto rzeki Oxus, sprowadziła wyschnięcie drugiej rzeki Kyzil, przerwała

komunikacye handlowe, które się temi rzekami w Turke- stanie prowadziły. Wszakże reszta mieszkańców zawsze jeszcze dzielna i piękna, przypomina Turków, którzy w XIV i XV wieku z tych okolic wyszli, i stali się po- strachem całej Europy.

Oto raj rodzaju ludzkiego i jego wzrastająca zaguba. Wszakże całe to badanie, zdaniem naszym raczej jest po- etyczne, niż naukowe. Że Azya, a mianowicie jej najwię- ciej uposażone okolice, były siedliskiem późniejszego roz- mnożenia się rodzaju ludzkiego, że tam była pierwsza kultura, że z tamąd szły wędrówki i osady w inne od- leglejsze strony, zdaje się nie ulegać wątpliwości; bo na to mamy historyczne nawet dowody. Ale inna jest rzecz, aby tam Adam i Ewa się rodzili, albo powstali. Wysta- wiając sobie pierwszych rodziców w całej doskonałości czło- wieczeństwa, naprzód w zupełnej niewinności, następnie już z wiedzą dobrego i złego, to rzecz bardzo naturalna, że szukamy dla nich miejsca rozkoszy czyli raj, w któ- rym świat zwierzęcy rozkazom człowieka pokornie ulega, a żywność dlań samorodnym owocem, mlekiem i miodem płynie. Lecz jeżeli geologja w dalekiej przedhistorycznej epoce przechowała nam ślady szkieletów i czaszek, z któ- rych widać, że pierwotne generacye ludzkie zwierzęce pro- wadzić musiały życie, to zaprawdę obojętną a zawsze nie wysledzoną będzie kwestją, gdzie były pierw ich siedziby, a nikomu przez myśl nie przejdzie, szukać dla nich oko- licy raj. Gubimy się tu w samych domysłach i fantazyach i pytanie zostanie nierozwiązane, ażali pierwsze okazy czło- wieka na jednym, czy na wielu punktach powstawały; czy tak rozmaite rasy i plemiona ludzkie miały osobnych swo- ich Adamów i Ewy, czy też osiedlające się po różnych częściach ziemi pokolenia pod wpływem klimatu, słońca i gatunku gruntów wyradzały się w osobne typy, kolorem i budową ciała, i różnorodnym stopniem umysłowego ukształ- cenia, tak wielce od siebie odróżnione. Zkąd się wzięli ludzie to dzieci, to już pewnej oświaty, na których natra- fiono w nowo odkrytej Ameryce i w Australji. Jak stoi w ogóle kwestya autochtonów? Czém się dzieje, że jeżeli Azya była kolebką rodzaju ludzkiego, to jed nak nie w Azyji i Ameryce natrafiamy na kopalne resztki antediluwialnego człowieka? Widzimy, że aby rozwiązać te ważne i inne

z niemi połączone pytania, mniej nam badać należy, gdzie-  
by prawdopodobnie było geograficzne położenie raję, jak  
raczej geognostycznie dochodzić, jak daleko rozciągnął się  
zalew wód morskich i jakie lądy odsłonięne już były za  
historycznej i odleglejszej jeszcze tereyarnęj epoki. Boć  
tylko na lądzie a nie na nieprzejrzanych toniach wód po-  
wstać mógł i mnożyć się primordialny człowiek.



# KOBIETY HISTORYCZNE

PRZEZ

XAWEREGO LISKEGO.

---

## III.

### KATARZYNA THÉOT.

Katarzyna Théot <sup>1)</sup>? Któż jest Katarzyna Théot? zapyta nie jeden z czytelników naszych.

Odpowiedź na to krótka: Oto, „Matka Boska“, arcykapłana gilotyny Robespiera. Nie wierzycie, a więc posłuchajcie:

Nie należymy do tych, którzyby w wielkich elementarnych wypadkach dziejowych nie chcieli widzieć nic innego, jak stek drobnych, osobistych intryg, którzyby negując w dziejach wszelkie wyższe prawa rozwoju ludzkości, chcieli w nich wykazywać tylko zbiór osobistych sprawek i knowań stanowiących razem wzięte wielkie wypadki dziejowe, nie należymy do tych, a mimo to przyznać musimy, że na pozór drobne a nawet czasami śmieszne tylko zajście nieraz przeważnie wpłynęło na wypadki olbrzymiej doniosłości, nie wywołało, nie spowodowało, nie stworzyło ich, lecz dorzuciło ową jedną kroplę potrzebną, aby tak już po same brzegi pełne naczynie doprowadzić do wylewu. Mówi się nie raz o majestatycznie płynącym potoku dziejów świata. Rzeczywiście potok ten z pewnej odległości jest wspaniały, imponujący. Lecz niestety historyk ma obowiązek nietylko zbliżyć mu się przyjrzeć, lecz zarazem pójść za wszystkimi jego odnogami, zbadać ich początek, ich bieg, zanalizować wodę w każdej z nich. Możliwa to praca a nieraz jak niesmaczna a nawet nieczysta. Ile to brudu, ile to zgniłego powietrza, ile to zjadliwych odorów, ile tu zabójczych gazów przy analizie tej wydobywa się na

---

<sup>1)</sup> Scherr, Farrago.— L. Häusser, *Französische Revolution*.

jaw! Czyż znamy więcej imponującą, więcej aż na wskróś wzruszającą tragedję dziejową od rewolucyi francuskiej? Pewno nie. Lecz i tutaj niestety owe imponujące wrażenie wyniesie tylko ten, który się z parteru lub łoży przyglądać będzie wspaniałej tragedyi rewolucyjnej. Biada zaś temu, którego ciekawość lub powołanie wprowadzą za kulisy między nieubranych aktorów, między różnorakie maszynerye. To co tutaj zobaczy, zamieni mu ową wspaniałą tragedję w podłą farsę sklejoną błotem i krwią. Zamiast grzmiących kroków Nemezy, usłyszy kocie skoki podłej intrygi, zamiast heroiczych trymetrów Melpomeny, plugawe rymy harlekina i to harlekina z morderczą maczugą w ręku. Tylko za kulisami wielkiego teatru świata dowiedzieć się możemy, o ile to ludzkie słabości i żądze, o ile to osobiste potrzeby, obawy, namiętności, podłości i złości współdziałają, przy wielkich wypadkach dziejowych.

Taką to zakulisową scenę, taki drobny a jednak wpływowy wypadek zamierzam przedstawić czytelnikom w tym tu obrazku.

---

Jeszcze często teraz napotykamy w licznych dziełach zdanie, jakoby upadek Robespiera w dniu 9 Termidora (27 lipca) 1794 r. był skutkiem z natury koniecznej reakcyi ludzkości przeciw akcyi terroryzmu. Abstrahując od tego, że owa termidorowska „ludzkość“ nie jest niczém inném jak bajką — toby już wiarę w takie zapatrywanie powinien osłabić ten fakt, że spisek przeciw Robespierrowi przygotował i wyniańczył człowiek taki jak „Anakreon gilotyny“, Bârere, który dotychczas wszystkie najbardziej krwawe, najbardziej groźne dekreta terroryzmu przyoblekał w szatę słodkich, uczuciowych, kwiecistych poematów lirycznych — że głównym, pierwszym heroldem przy dramacie z 9 Termidora nie był kto inny, jak Tallien, wrześniowy okrutnik z 92 r., krwawy satrapa z Bordeaux z r. 93, i że wreszcie w pierwszych szeregach ataku na „dyktatora“, stały owe hyeny gilotyny Collet d'Herbois, Billaud, Voulland, Vadier, Carrier.

Nie było to więc „sprzysiężenie litości“, jak niesłusznie zwano dzień 9 Termidora, lecz spisek krwiożerców przeciw krwiożercom. Że się spisek ten udał, że doprowadził do upadku „dyktatora“, w tém mniej zasługa spiskowców, jak całego stanu średniego, dotąd przez terroryzm ciemzonego, ssanego, mordowanego. Czynny opór mieszczaństwa po dzielnicach, trzymany w żelaznych szponach terroryzmu i bierny opór tych kół, nad którymi Jakobini dotąd wszechwładnie rozporządzali, one to zdecydowały nie tylko dzień ten, lecz i przyszłe koleje Francji. Nie jeden człowiek ze swymi przyjaciółmi, lecz cały system został tutaj potępiony przez opinją

publiczną, nie jeden człowiek, lecz terroryzm sam upadł tutaj, w tém właśnie przedewszystkiem bładzili owi wyżej wymienieni spis-kowcy, owi przeciw dotychczasowemu przywódcy swemu buntujący się terroryści w tém, że sądzili, iż teraz ich czas nadszedł, reakcja się zaczęła i pędziła naprzód i naprzód, tak samo jak poprzednio terroryzm.

Robespierre, o którego upadek przedewszystkiem albo raczej jedynie chodziło spiskowcom z 9 Termidora, Robespierre był fanatykiem, prawdziwym fanatykiem od stóp do głów. Już Mirabeau mówił o nim: „Nie śmieście się z niego, bo on wierzy w to, co mówi“. Ta wiara stanowiła właśnie główną jego siłę. Nie miał on nic w sobie, coby mogło olśnić, przekupić widzów. Głos cienki, nieprzyjemny, sposób mówienia bez polotu, bez ciepła, bez werwy i kolorytu, myśli obracające się zawsze w tém samym kole, wygłaszane monotónnie, z namaszczeniem kaznodziei metodystów, powtarzające się bezustannie tak, że kto go raz słyszał, ten już naprzód wiedział, jak mówić będzie przy innėj kwestyi. Jeźli Bārera Burke słusznie nazwał Anakreonem gilotyny, Robespiera z powodu wiary i namaszczenia jego nazwać można arcykapłanem gilotyny; „*le prêtre*“ zwali go zwykle współczesni.

Nie miał więc Robespierre powabu, lecz pozostał wiernym nauce swėj wśród wszelkich zmian nawet wtedy, kiedy przynosiła nie wawrzyny lecz szyderstwo. Z niezachwianą na chwilę konsekwencyą bronił i wygłaszał swą wiarę, wiarę w „*contrat social*“ Russa, któremu się oddał z fanatyzmem. Świat znał samotnego dziwaka, którego tak liczne protesta zapisywać musiał *Monitor*, a tłum opamiętał człowieka, który na pierwszym miejscu stale i niezmiennie stawił zdanie zarówno proste jak ponętne: lud jest czysty i dobry, lecz ci, którzy nim rządzą, którzy go zastępują, są źli.

Robespierre zawsze był tym samym; z świętoszkowatém, faryzejskiém samochwalstwem wynosił on siebie samego, kadził sobie samemu z powodu téj stałości i niezmienności i wyrobił sobie powoli powszechne jēj uznanie. Takie uznanie zawsze jest wielką potęgą, témbardziej zaś w tak burzliwych czasach, w których nie było człowieka prócz niego, któryby nie przechodził najlichnieszych zmian.

Już w listopadzie 92 r. opisywano go w piśmie *patriote français* w ten sposób: „Huczy przeciw wielkim i bogatym, zadawalnia się małym, nie zna fizycznych potrzeb; ma tylko jedną misję, a nią jest: mówić, mówi więc bezustannie, tworzy sobie szkołę i ma gwardyą przyboczną dla swėj osoby; z góry nabiera Jakobinów, jeźli wie, że sobie zjedna pomiędzy nimi stronników; milczy, jeźli



się obawia, że kredyt jego mógłby ucierpieć, wyrzeka się stanowisk, na którychby mógł służyć ludowi, a wybiera dla siebie pozycje, na których panować nad nim może; pokazuje się, kiedy może zwrócić na siebie uwagę, znika, kiedy widzi, że scenę zajęli inni, ma on wszystkie rysy charakterystyczne nie wielkiego fundatora religii, lecz naczelnika sekty; wyrobił sobie sławę ostrości obyczajowi, dążącej do świętości, wchodzi na ławę, prawi o Bogu i Opatrzności, nazywa siebie opiekunem ubogich i uciśnionych i ma za sobą święte kobiet i słabych na duchu\*.

Jeżeli ten *à la prêtre* rys Robespiera odstręczał od niego wielu mężczyzn, jeżeli żyrondistowscy wolterianie i terrorystyczni ateści nie szczędzili sarkazmów „kaznodziel“ Robespierrowi, to z drugiej strony właśnie ten kaznodziejski, namaszczony ton, połączony z schludności, powierzchownością i skromnością życia domowego zjednywał Robespierrowi entuzjastyczną cześć kobiet. Dziwacznym, niepodobnym wydać się może, a jednak tak było w rzeczywistości, że człowiek, uważany powszechnie za główny filar okropnego terroryzmu od jesieni 92 r. do lata 94, dla kobiet był bożyszczem nie w zmysłowym, lecz w religijnym znaczeniu. Na tym nawet polegała jedna z głównych podstaw popularności jego, jeszcze w czerwcu 94 roku tak ogromnej, że jeden z jego głównych zwycięzców Billaud-Varennes tylko prawdę mówił, kiedy mu się krótko przed 9 Termidorem wymknęły słowa: „Co prawda, gdybyśmy Robespiera wcześniej byli zaczepili, w oczach opinii publicznej uważano by to za jedno ze zdradę ojczyzny“. Naturalnie popularność ta bynajmniej nie przeszkadzała, żeby zmienny tłum „zbawiciela Maxymiliana“ nie miał opuścić wtedy, kiedy ster władzy z rąk jego wydarto. Ów „wdzięczny“, „wspaniałomyślny“, „szlachetny“ lud dotąd zawsze jeszcze tak samo postępował ze wszystkimi swymi „zbawicielami“.

Widocznie przy długiem, konsekwentnem ubieganiu się o dyktaturę przepomniał Robespierre o tém, że owa „*aureo popularis*“ jest chwiejna jak trzcina, jest piaskiem, który każdy wiatr uniesie, na którym stałej i gruntownej władzy założyć nie można. Dalej strącona pod gilotyną głowa Dantona, strącona więcej przez St. Justa, właściwego doktrynera i systematyka gilotynizmu, niż przez samego „dyktatora“, stała się dla Robespiera kamieniem, o który się miał potknąć, kamieniem, który sam sobie niepotrzebnie położył na drodze, bo Danton wówczas już nie mógł być dla niego niebezpiecznym rywalem o dyktaturę. Kiedy zaś Robespierreiści i jego wewlekli pod gilotynę, zadrżeli od zgrozy i trwogi najzatwardziali terroryści, poczuli, że kiedy on runął, może nadejść dzień, w któ-

rym i ich taki sam los spotka, postanowili więc sami usunąć tego, który im takim niebezpieczeństwem zagraża.

Tak więc sam przez się zaczął się tworzyć zgodny spiszek przeciwników Robespierrowi w szeregach własnych jego dotąd adeptów. Nic tego sprzysiężenia ciągnie się daleko w tył. Szydercze uwagi o „dewotkach“ Robespiera już się zaczęły odzywać na jesień 92 r. Kiedy 5 listopada roku tego Robespierre się bronił przeciw oskarżeniu wytoczonemu przez Louveta izmieniem Żirondy, galerye w *salle de Manège* ledwie pomieścić mogły tłum entuzjastycznych wielbicielek owego „*homme de la vertu*“, które na słowa jego słuchały „*avec le transport de la dévotion*“, jak powiada świadek naoczny Vilate, i obisypywały je rzeszystymi oklaskami. „Po ukończonej sesji, opowiada dalej Vilate, spotkałem się przy *café Debelle* z Rabaudem Saint-Etienne, który zawołał: „Cóż to za dziwak ten Robespierre z tém swémi kobietami! Czyż to nie kapłan, który chce zostać Bogiem“ i Weszliśmy potem do kawiarni Payen i zastaliśmy tu Manuela, który nam mówił: „Widzieliście tego Robespiera ze wszystkimi jego dewotkami“?— „Widzieliśmy — odpowiedział Rabaud, jutro trzeba napisać artykuł w „kronice“, w którym go namalujemy jako księdza“. Malowanie to zaś nie było bez skutków.

Na wiosnę 1794 r. liga przeciw Robespierrowi już prawie była zawarta a każdy dzień pomnażał jéj, członków. Wiedzano bowiem, że Robespierre na seryo zamyśla o „oczyszczeniu“ wydziału dobra publicznego i komitetu bezpieczeństwa. Ludzie jak Vadier, Voulland i Bâreze już naprzód czuli jakies nieprzyjemne uczucie tego aktu oczyszczającego, tak samo i inni. Powiernicy „dyktatora“ nie robili bynajmniej tajemnicy z tego, że niedogodnych dla Robespiera ludzi jak Carrier, Fouché, Fréron, Tallien i Barras, którzy prócz tego jako komisarze konwentu na prowincyi władzy swéj nadużywali jak najhaniebniej, należy koniecznie pociągnąć do odpowiedzialności, czyli innemi słowy zawlec ich pod gilotynę. Collot i Billaud zaś zbyt ściśle z nimi byli związani, żeby i oni niebezpieczeństwa ich nie mieli uważać za swoje. Z nimi łączył się nie mały zastęp członków *de la sainte Montagne*, którzy rzeczywiście kierowali się przekonaniem, że „dyktaturze“ Robespiera jako niebezpiecznej dla republiki, trzeba koniecznie zapobiedz, gasząc ją, jeżeli potrzeba, w krwi samego dyktatora. Wszyscy zaś bez wyjątku sądzili, że po upadku jego nastąpi ich panowanie, nie przypuszczali, że reakcja raz rozpoczęta musi w dalszym biegu im samym zgotować los, który oni przeznaczali Robespierrowi. Bo czemużby nie miała? W czémże oni różnili się od niego? Czyż owszem nie stał on jeszcze wyżej od nich, nie od-

znaczał się przed nimi przynajmniej wiarą w przekonania owe i czystością życia prywatnego, brakiem chciwości?

Zręcznie wyzyskać umieli nieprzyjaciele jego także tę okoliczność, że jak wiadomo, zwłaszcza za jego staraniem konwent zadekretował restytucją wiary w Boga i nieśmiertelność duszy. Uchwała ta, jeżeli uwzględnimy stosunki ówczesne, nie jest bynajmniej tak śmieszna i głupia jak się na pozór wydaje. Przyznaję, że pozornie trudno wystawić sobie większe szaleństwo, jak zgromadzenie polityczne uchwalające exystencją Boga i nieśmiertelność duszy, jakby jakie prywatne lub polityczne prawo. Lecz, jeżeli zważymy szaleństwa, do jakich właśnie wtedy ateizm się posuwał, w uchwale tej będziemy widzieli choć jaki taki przynajmniej zwrot ku lepszemu, zwrot choć jeszcze nie do chrześcijańskiej, to przynajmniej już do pewnej jeneralnej, religii a więc choć w części zerwanie z dotychczasowem zezwierzęceniem człowieka.

Robespierre bystrzym okiem poznał, że szalejące w Paryżu orgie ateizmu dla ludności Francji muszą być zgorzeniem tak wielkim, że już one same mogą być w stanie wpędzić ją przemocą właśnie do obozu przeciwnego. Uznawał on przynajmniej potrzebę religii w człowieku i w tym to celu wypowiedział 18 Floreala (8 maja) 1794 r. ową znaną mowę, która się zakończyła dekretem konwentu: „*Le peuple français reconnaît l'existence de l'Être suprême et l'immortalité de l'âme*“.

Obchodzona 20 Prairiala (8 czerwca) „uroczystość najwyższej istoty“, przy której Robespierre jako prezydent konwentu prowadził uroczystą procesję, znów nie jest tak śmieszna i głupia, jak się pozornie wydaje. Zwrot ku lepszemu, ku religii zadokumentowany w uchwale konwentu z 8 maja, w tej uroczystości przywlekl widoczne dla wszystkich ciało, zuchwały na papierze stał się uroczystym dla wszystkich obchodem. I tutaj Robespierre działał przynajmniej z wiarą, z wewnętrznym przekonaniem, jego zimna, nigdy się nie ożywiająca twarz, tą razą jaśniała radością. „Przechodząc do sali wolności — powiada świadek naoczny Vilate — spotkałem Robespierrea, ubranego w mundur deputowanego, z bukietem kłosów i kwiatów w rękę, radość po pierwszy raz jaśniała z twarzy jego“.

Radość ta niedługo trwała. Właśnie uroczystość z 20 Prairiala dała dotychczasowym jego stronnikom spiskującym teraz przeciwko niemu powód lub pozór do rzucania na niego zjadliwych oszczerstw. „Aha — mówili szanowni ci panowie, teraz wprawdzie jeszcze tylko na ucho — Robespierre wierzy w Boga. Robespierre jest księdzem, który z zabobonu chce zrobić stopień, który go ma zaprowadzić do

dyktatury. Robespierre religii używa za płaszczyk pokrywający ambitne jego zamiary“!

Wkrótce nadarzyła im się sposobność, że publicznie w konwencie poprzeć mogli te dotąd z cicha tylko wypowiedane podejrzenia. 8 czerwca obchodzono uroczystość „najwyższej istoty“, 15 czerwca jeden ze spiskowców Vadier, czytał w konwencie raport o „mistycznej“ konspiracji, która się przeciwko republice miała ugrupować około Katarzyny Théot, „Matki Boskiej“.

---

Trudno w dziejach świata znaleźć więcej głupią bajeczkę, jak ta cała farsa z „Matką Boską“, a mimo to nie była ona bez znaczenia, bo była pierwszą klęską „dyktatora“ w konwencie od chwili, kiedy krwawe jego rządy we Francyi się zaczęły, od chwili kiedy groźny fanatyk zaczął używać gilotyny jako miotły wymiatającej to, co w oczach jego było śmieciem i brudem.

Katarzyna Théot przysłała na świat w r. 1716 w parafii Barnton w dzisiejszym departamencie Manche. Uboga chłopka, wrazała bez wszelkiego wykształcenia, zarabiając sobie na chleb jako prosta służebnica. Jakie powody przewróciły jęj w głowie czy moralne, czy fizyczne, niewiadomo; dosyć, że w niejasnym jęj mózgu wyrobiło się z biegiem czasu silne, chorobliwe przekonanie, że „jest dziewicą, mającą niepokalanie począć małego Jezusa, którego z nieba przyniesie anioł, aby dał pokój całej ziemi“. Naturalnie tak ważnej tajemnicy nie mogła „dziewica“ zachować w sobie, a skutkiem tego w r. 1779 jeszcze za rządów królewskich sześćdziesięcioletnia „dziewica“ weszła w kollizyę z ówczesną policyą. Już wtedy liberalniejszy duch wiać zaczynał w kraju; na kilkanaście lat przedtęm byłyby ją pewnie spotkała najokropniejsza kara śmierci. Teraz zaś, kiedy po krótkim śledztwie sędziowie się przekonali, że Katarzyna po prostu cierpi na pomieszanie zmysłów, wypuszczono ją po pięciu tygodniach z Bastylli i umieszczono w domu obłąkanych, w którym pozostała aż do r. 1782. Wtedy na własne jęj żądanie wypuszczono ją i ztąd poznawszy, że waryacya jęj jest zupełnie spokojna i nieszkodliwa. Nikt wtedy pewnie nie przypuszczał, żeby osoba ta mogła wyjść na fundatorkę sekty religijnej. Dopiero w dwa naście lat potęm, kiedy szalone orgie ateizmu paryskiej demagogii zawracały jednym głowę, drugich niechęciły i oburzały i zgrozą napełniały, kiedy spaczono idee rewolucyi z r. 89 do niepoznania, dopiero wtedy wypływa znów Katarzyna na jaw, aby przez samo istnienie swe wpływać na ważny zwrot rewolucyi.

Tylko w czasie takim mogła ona znaleźć czcicieli i czcicielki a i tu jeszcze wcale nielicznych. Około téj „*Chère Mère de Dieu*“ utworzyła się gmina o 35 do 40 członkach, mężczyzn, kobiet i dzieci. Pierwsze miejsca w gronie tém zajmowali: doktor Quevremont, któremu pisma Messmera po części a pisma Swedenborga do szczętu w głowie przewróciły, i Dom Gerle, były kartuz, były członek konstytucyjnego zgromadzenia narodowego, jeden z efektownych statystów podczas przysięgi w sali gry w piłkę, z dziecinnego entuzjasty teraz dziecinny waryat, gorliwy członek klubu Jakobinów, któremu Robespierre jako prezydent wystawił *l'attestation du civisme*. Należała do sekty téj jakaś markiza de Chatenois, jako i dwie inne młode i piękne panie, blondynka zwana „śpiewaczką“, brunetka „gołębiem“, a obie odgrywające pierwsze role w śmiesznych, dziecinnych mysteryach, które się odbywały pod strychem w mieszkaniu „Matki Boskiej“ niedaleko Panteonu w Paryżu. „Śpiewaczka“ miała obowiązek zaintonować hymn, którym wierni witali zjawiającą się „Matkę“, hymn z takim refrenem:

Ni culte, ni prêtres, ni roi,  
Car la nouvelle Ève, c'est toi!

Ostry wąż policyi konwentowej, komisji bezpieczeństwa, wywietrzył wkrótce błazeński ten kult „Madonny“. Senart, jeden z najprzebieglejszych pomocników komisji bezpieczeństwa, odebrał polecenie, żeby się dał wtajemniczyć w mysterya „Matki Boskiej“ i przy téj sposobności zabrał całą sektę do więzienia. Senart kazał się przez jednego z członków sekty, który ją zdradził, wprowadzić do świętego przybytku „Madonny“, poprzednio atoli rozstawił na około domu wystarczający oddział policyantów.

„Towarzysz mój — opowiada Senart w swych pamiętnikach“ — wprowadził mnie pod pozorem, że chcę zostać członkiem ich synagogi, obaj zatem przybraliśmy odpowiednie pobożne miny. Wszedłszy do niby to przedpokoju, spotkaliśmy człowieka, przybranego w białą suknię. Rzekł on do nas: „Bracia i przyjaciele siadajcie!“ Przewodnik mój poszedł wtedy do bocznego pokoju, z którego wrócił w towarzystwie kobiety, witającej mnie temi słowy: „Śmiertelniku, chodź do nieśmiertelności!“ Nie mogłem się wstrzymać, żeby się wewnątrz nie rozśmiać na te małpiarstwa, powierzchownie jednak udałem powagę i uszanowanie. Wtedy wprowadzono mnie do komnaty „Matki Boskiej“. Zjawiła się kobieta, a chociaż była godzina ósma rano a w pokoju zupełnie jasno, zapaliła jednak lichtarz o trzech ramionach, stojący ponad fotelem, i położyła na krześle książkę. Potém

spojrzała na zegarek i rzekła: „Godzina się zbliża, „Matka Boska“ nadchodzi! „Wtedy zadzwoniono; niebawem z alkierza, do którego drzwi zastaniała biała kotara, wyszła stara kobięta, której głowa i ręce trzęsły się bezustannie, a którą dwie inne kobięty z wielką czcią trzymały pod ramiona. Posadzono starą na fotelu wzniesionym jak tron, obie kobięty klęcząc ucałowały jęj ręce i pantofle i wstały mówiąc: „Cześć niech będzie Matce Boskiej!“ Potęm podano jęj śniadanie, złożone z filiżanki kawy z mlekiem i torcikami. Tymczasem wszedł Kartuz Gerle, uklękl przed Matką Boską i pocałował ją w policzek; wtedy ona rzekła do niego: „Proroku Boga usiądź!“ Kobięta nazwiskiem Geoffroy miała obowiązek wypełniać rolę, zwaną objawicielki. Wzięła do ręki książkę i postawiła krzesło, na którym leżała, obok Dom Gerla, pomiędzy tych, których miano przyjmować. Po prawej stronie jego na niskim krzeselku siedziała ładna blondynka, którą zwano „śpiewaczką“, po lewej wspaniała, piękna brunetka, którą nazywano „gołębiem“. Kiedy wszyscy obecni przyrzekli poddać się pod rozkazy proroków Boga, odczytała „objawicielka“ ustę z apokalipsy. Potęm wniósł Gerle ręce do góry i zaprowadzono nas przed tron Matki Boskiej. Kiedym przed nią uklękl, schwyła mnie jedna z kobięt za głowę a Katarzyna Théot rzekła do mnie: „Synu, przyjmuję cię do liczby moich wybranych. Będziesz nieśmiertelnym“. Rzekłszy, pocałowała mnie w czoło, policzki, oczy, brodę a potęm wypowiedziała sakramentalne słowa: „Łaska zrana jest na Ciebie!“

Na tęm skończyła się ceremonia przyjęcia, ale zarazem także cała ta farsa błażęńska. Senart bowiem otworzył okno, czyhającym policyantom dał umówiony sygnał a biedną „Madonnę“ wraz z całą jęj gminą odprowadzono z nie małym hałasem do *Concięrgerie*, owego przedsionka śmierci, w którym w czasie terroryzmu osadzano wszystkich tych, którzy niebawem stanąć mieli przed trybunałem rewolucyjnym.

Przyaresztowanie Theotystów miało mieć jeszcze ważniejszy od samęj sprawy epilog. Senartowi prócz oficjalnego polecenia, dano tajną instrukcyę. Stosownie do nięj rozkazał „Monchard“ komisię bezpieczeństwa, aby po odprowadzeniu przyaresztowanych jak najściślej przeszukano całą świątynię „Matki Boskiej“.

Kiedy przerzucono i przeszukano wszystkie ubogie sprzęty mansardy zamieszkałej przez Katarzynę Théot, odkryto wreszcie w łóżku Pseudomadonny drogocenną relikwię.

Relikwią tą był list, który Katarzyna napisać miała do Robespiera. obrońcy Robespiera twierdzą, że list ten był sfałszowany, podsunęty przez nieprzyjaciół „dyktatora“, zarzut o tyle prawdopodobny, że Katarzyna sama autorką jego być nie mogła, bo nie umiała pisać. Z tego atoli bynajmniej jeszcze nie wynika, żeby go nieprzyjaciele „dyktatora“ byli podsunęli. Cóż bowiem prawdopodobniejszego, jak że, kiedy Katarzyna pisać nie umiała, napisał go jęj „prorok“ Dom Gerle, gorliwy adept Jakobinów, zaopatrzony w świadectwo obywatelskiego usposobienia przez samego Robespiera, lub którykolwiek z jęj czcicieli, posiadający sztukę pisania.

W liście tym Pseudomadonna nazywała Robespiera „synem najświętszjęj istoty“ i „słowem wiecznym“ (*le fils de l'être suprême, le verbe éternel*) i witała go jako „zwiastowanego przez proroków Messyasza“ (*le messie dé signé par les prophètes*).

Raport Senarta, list znalezione i wystawione przez Robespiera „prorokowi“ Gerle świadectwo usposobienia obywatelskiego dla Barrera były wystarczającym materiałem, aby z tej śmiesznej farsy zrobić ważny, doniosły spisek. Raport, który Vadier 17 Prairiala (15 Czerwca) 94 roku odczytał imieniem wydziału bezpieczeństwa na sessji konwentu, pochodził bowiem z pióra „Anakreonta gilotyny“. — Nie wymieniano w nim wprawdzie z nawiska „Messyasza“ Theotystów, lecz opisano go tak wyraźnie, że każdy wiedział dobrze o kogo tu chodzi. Przytem Barère namalował Pseudomadonnę i wszystkich jęj czcicieli tak jaskrawemi kolorami, że wydawało się, jakoby sekta ta była nie mniej i nie więcej, jak groźnym spiskiem przeciw całości republiki, spiskiem związanym z Pittem i emigrantami. Cały ten raport zęcześnie dążył do tego, aby ubawić konwent, wystawić na śmieszność Robespiera, zadać mu dotkliwy cios przez oskarżenie sekty, w którą go wmieszano, lub w którą sam się wmieszal, a w ogóle połechtać przyjemnie nienawidzących „dyktatora“ członków konwentu.

„Anakreon gilotyny“ tą razą rzeczywiście sam siebie przewyższył. Poemat jego ze śmiesznych premiss wyciągający krwawy wniosek osiągnął jak najzupełniej cel swój. Wyśmienie ubawiony konwent raczył się śmiać (*on se tordait sur les bancs*), postanowił wydrukować raport i rozesłać go po departamentach, i zgodził się na ostateczny wniosek referenta. Wniosek ten zaś brzmiał: Katarzynę Théot, kartażerę Gerle, doktora Quevremont, margrabinę de Chateinois i wdowę Geoffroy przekazać niezwłocznie trybunałowi rewolucyjnemu.

Tak zęcześnie i skutecznie w konwencie przeciwko Robespierrowi użytęj dźwigni chciał Vadier popróbować także w klubie Jakobinów,

odczytując tutaj wieczorem tego samego dnia jeszcze raz poemat „Anakreonta“. Lecz tutaj w pretorium swém „dyktator“ stał jeszcze na silnych nogach. Jakobini nie raczyli się śmiać, owszem odpowiedzieli mówny szemraniem.

Śmieszność wówczas we Francyi była jeszcze wielką potęgą, która w danych stosunkach mogła się stać nawet niebezpieczną.

Robespierre czuł, że nie powinien pozostawić bez odwetu żadnego sobie ciosu, że nie powinien chodzić ze śmieszną glorią „Messyasza Matki Boskiej“ Katarzyny Théot. Całej doniosłości zaczepki z 15 Czerwca, zdaje się, nie czuł on, lecz za to tym silniej czuł się obrażonym w próżności swój, a w gniewie postąpił, jak było można, najgłupiej, t. j. postanowił „śmieszłą farsę“ jak sprawkę tę nazywał, przytłumić jednym zamachem, ubić ją tak, żeby już o niej nadal nie mówiono, Widocznie przepomniał Robespierre, że przez taki dyktatorski zamach nieprzyjaciołom swym dać musi nową silną podnieję wyzyskać „*la farce ridicule*“ jeszcze więcej na jego niekorzyść. Robespierre więc udał się do wydziału dobra publicznego żądając, aby całą tę sprawkę z „Matką Boską“ ubito lub przynajmniej odroczone. Koledzy jego z wydziału udawali, jakoby wcale nie wiedzieli, że sprawa ta stoi w jakimkolwiek związku z nim, zwracali uwagę jego na to, że tu chodzi o wyraźną uchwałę konwentu, że biegu sprawiedliwości tamować nie można i t. d. Nie troszcząc się o takie zarzuty, Robespierre zawołać kazał prokuratora przy trybunale rewolucyjnym, Fouquier-Tinville, i w przytomności całego wydziału, w jego własnem imieniu rozkazał mu, aby odroczył całą procedurę w sprawie „Matki Boskiej“. — Panowie wydziałowi nie śmieli ani mruknąć. Nie dosyć na tém, Robespierre rozkazał Fouquierowi przynieść akta sprawy téj, a kiedy je rzeczywiście niebawem przyniesiono, wziął je spokojnie pod pachę i poszedł z nimi. Fouquier, wcale nie stronnik Robespiera, wściekły pobiegł do wydziału bezpieczeństwa, wołając: on, on, on, nie chce tego!“ — „Aha, Robespierre“ — mruknął obecny Vadier.

Gdyby nie wdanie się Robespiera okropny rejestr gilotynowy kata Samsona byłby niewątpliwie wzbogacony jeszcze o rubrykę „Matki Boskiej“. Rozkaz Robespiera bowiem uratował życie Pseudomaddonnie i czcicielom jój. Odtąd już mowy nie było, żeby ją pociągnąć przed trybunał rewolucyjny. Katarzyna Théot w parę tygodni po przyaresztowaniu umarła naturalną śmiercią w Conciergerie skutkiem starości. — Dom Gerle siedział tam jeszcze nieco



dłużej, potem go wypuszczono i pewnie także innych członków sekty téj, choć z aktów tego wykazać nie można.

Vadier, Barère i spółnicy zaś zupełnie cel swój osiągnęli. — „Dyktator“ w konwencie pierwszą poniósł klęskę, był wystawiony na śmieszność. Wysadzona w dniu 9 Termidora kontrrobepierrowska mina w części przynajmniej napełniona była prochem wziętym z téj na pozór śmiesznej farsy. Dnia tego nawet jeszcze raz Vadier w konwencie wrócił do „Matki Boskiej“, poczytując między innemi upadającemu „dylitatorowi“ za zbrodnię, że sprawkę tę nazwał: „*la farce ridicule*“.



R Z E C Z  
O OBCHODACH WESELNYCH LUDU  
w Polsce i na Rusi

ze szczegółowym zwrotem do dzieła:

Obchody weselne, przez Pruskiego (Zygmunta Glogiera),  
czytana na posiedzeniu Towarzystwa naukowego krakowskiego

przez

OSKARA KOLBERGA.

(Dokończenie).

Następnie określa autor wysokie symboliczne i moralne znaczenie głównego pieczywa weselnego, jakim jest kołacz i korowaj. Słusznie mówi (str. 136), że historia chleba jest tak starożytna jak ród ludzki i u wszystkich narodów jest podobną (co do istoty swój), bo chleb jest wiecznym symbolem życia, pracy, gościnności, zamożności i domowego ładu. Mimo to chleb u nas przybiera pewne kształty narodowe, a kołacz i korowaj najdobitniej kształty te uwydatniają, będąc od wieków ciastami obrzędowymi. I dlatego, gdy nie ma innych świadectw (prócz pieśni i zwyczajów dzisiejszych) jaką była forma i użytek tego ciasta w czasach pogańskich, a domyślać się trzeba w obrzędach i pieśniach przechowania wielu resztek starożytności, woli zatem autor przejrzeć i rozebrać to, czego albo sam był świadkiem, albo co inni badacze w swych opisach podali. Co do kształtu weselnego pieczywa, sposobu jego przyrządzania i nazwy, zachodzi pewna różnorodność (mówi autor str. 137), w różnych okolicach. Należało mu powiedzieć, że zachodzi ważna różnica. Sam bowiem pisze, że w Wielkopolsce i Krakowskiem, a w ogóle nad Wisłą i Wartą jest pospolitą nazwą kołacza, (inniej nazwy tam nie znają); na Litwie ciasto to weselne zowie się karwojus,

korowajus (wpływ Rusi), nad Dniestrem, Dnieprem i Bugiem korowaj, w Lubelskiem i Łomżyńskiem niekiedy korowal, na Wołyniu pieką miejscami obok korowaja oddzielnie i kołacz. Wszakże kształt korowaja lubo okrągły, zbliżonym jest do wielkiej a czasem i nadętej bułki chleba nastrzępionej zielem, gdy tymczasem kołacz ma raczej kształt okrągłego i ozdobnego placka, niby tortu niskiego. Oprócz tego, pieczenie korowaja na Rusi w całej żyje jeszcze pełni, z wielu połączone ceremonijami i śpiewami, gdy wypiek kołacza z mniejszym daleko zachodem odbywa się w Krakowskiem, Rzeszowskiem, u Górali i t. d., a w znaczną już poszedł poniewierkę miejscami w Sandomierskiem, na Mazowszu nad Wisłą i Bzurą. W Kujawach zaś (aczkolwiek są ślady, że i tu go pieczono, ob. Lud Ser. III, str. 338 i 343), i w wielkiej części Wielkopolski, zastępują go dziś proste placki pszenne i ciasta pieczone bez innego trudu jak każde zwyczajne pieczywo i są podawane z kawą do użycia. Kołacze znanymi zawsze były na Rusi obok korowajów, zwłaszcza u szlachty; ta bowiem trzymając się obyczajów swjej prowincyi, przejmowała zarazem i mazowieckie lub wielkopolskie przez kolligacye i stosunki; rumiany kołacz nie gorzej jęj pewnie smakował od pulchnego korowaja. A przytem obie nazwy biorą źródło swe (jak twierdzi Marcinkowski) w wyrazach: koło, krąg. Sute koło korowaja obrzędy, nastęrczają szerokie do studyów pole. Sam korowaj (mówi p. Pruski) jako symbol całego żywota przyszłego nowożeńców, mieści w sobie jeszcze wiele innych symbolicznych znaków, odnoszących się do wszystkich warunków przyszłej pomyślności. Sam Bóg go miesi, Przechysta przyświeca tęg robocie, aniołowie noszą wodę, Chrystus nakrywa chustą, a pieśń wzywa owe ciasto by szło między ludzi: —Ruszaj korowaju iz hożoho raj. — Po upieczeniu przystraja się rutą, kaliną, zatyka w niego wilec (gałązkę, różczkę uwitą) niby drzewo życia z chleba wyrastające (Marcinkowski). Autor nader zajmująco szczegółóły działan przy korowaju przedstawia. Daje późnięj zestawienie różnych waryantów tego obrzędu, zamieszczając w pośród nich i te, które przy pieczeniu kołacza się zachowują. Nie dosyć jednak wszystkie te waryanty są liczne, niedosyć systematycznie uporządkowane, ażeby z nich przez porównanie z sobą każdego szczegółóły, odszukać znaczenie napotykaných wyrażen w pieśni i dokładnie o wszelkiej rosnącej kwestyi na razie zawyrokować można było. Wielce ciekawym jest sposób pieczenia korowaja w ziemi bielskiej i około Zambrowa, pierwszy raz tu i bardzo szczegółóły przez autora opisany. Jakkolwiek co do kołacza wielkopolskiego mniej mamy danych, na których dokładnie oprzećbyśmy się mogli, nie ma jednak wątpliwości, że znaczenie

jego musiało przed laty być wyższe, niż je dostrzegamy dzisiaj; dowodzi tego częste przytaczanie go w oracyach drużbów i w pieśniach (jak np. w pieśni przezemnie podanej do Bibl, Warsz. 1847 r. tom II. N. 42).

Ostatni przed ślubem wieczór (mówi autor na str. 155) zowie się u nas dziewiczym wieczorem. Nie wszędzie atoli nosi on miano, lubo wszędzie niemal jest istotnie jakoby uroczystością dziewic, nucających rzewne i pożegnalne pieśni przy wiciu wianków i strojeniu weselnéj różgi. Wieczór ten rozpoczyna właściwe obrzędy weselne kilka dni trwające, i zarówno w domu narzeczonej jak i w domu pana młodego obchodzonym bywa; bardzo często atoli zdarza się, że ten ostatni, przybywa w towarzystwie wesołych drużbów do swojej bogdanki, by się wraz z niemi ucieszyć u niej rozmową i tańcem.

Na Litwie, wedle dawnych świadectw (pisze autor str. 156) spraszała młoda swe towarzyszki i te przez cały wieczór śpiewały z nią żałosne pieśni (Mart Giesme) opłakujące stratę jej wianka, żegnając rodziców, domowe ściany i wszystkie sprzęty. Takież pieśni śpiewane są dzisiaj podczas wesel nad Wartą, Wisłą, Bugiem i Narwią; śpiewane nie tylko dzisiaj ale od wieków, bo to siostry i rówieśnice litewskich (a pieśń podobną napotykaemy i w broszurze XVI wieku: kiermasz wieśniacki). Autor mówi z tego powodu (str. 157): „Dowodzi to tylko wspólności obyczajów nad Wisłą, Bugiem i Niemnem już w czasach dawnych; za wiele tylko jeszcze mamy przesądów historycznych, abyśmy dostatecznie wspólność tę ocenić mogli“.

Ze zdania tu wyrzeczonego pokazuje się, że autor dzieląc, jak się przyznaje, przesady wspomniane wraz z innymi ludźmi, pragnąłby jednak otrząsnąć się z nich, by z ubitej dotąd drogi, którą za mylną poczytuje, wejść na wyrozumowany świeżo przez siebie manowiec. Odpowiada on w zupełności axyomatom poprzednio postawionym, a ztąd też odpowiednią poprzedzającym wywołać musi replikę. Wszakżeż, jeżeli o ogółowe chodzi obrzędu oznaczenie, wspólność dopiero przezeń wspomniana ukazuje się i nad Odrą, Elbą, Renem, Dunajem, Dnieprem i t. d., to jest wszędzie gdzie są idące za mąż i żegnające się z progiem domowym dziewice, jakkolwiek obyczaj ten mógł w różnych miejscach pod odmienną występować formą, lub w mniejsze lub większe z postępem czasu i pod wpływem wielu okoliczności pójść zaniedbanie. Jeżeli tedy, na tle tej wspólności zasadniczej, powszechnéj, znajdziemy jednakże ważne wszędzie (mówiąc językiem etnografa) odmiany w szczegółach i formie między obyczajami zachowywanymi np. nad Odrą i Wisłą, to tém samém prawém znajdziemy je i między temi, jakie się pra-

ktykują np. nad Wisłą i Niemnem; należy tylko umieć i chcieć ich dopatrzeć, co jest właśnie zadaniem sumiennego badacza, a co bynajmniej ani sposobowi myślenia, ani stosunkom zobopólnym tych ludów między sobą nie uwłacza.

Rozszerzając w tonie raz nastrojonym swoje utyskiwania, autor dodaje zaraz potem: „Błędnie widzimy w przeszłości przed uniją polityczną dwa narody (Litwę i Polskę) jako dwa obozy, a nie widzimy ich odwiecznego sąsiedowania, pożycia, codziennych domowych stosunków, pokrewieństw i zlewania się przez długie wieki w jedną krew, w jeden obyczaj.“ — Zdanie to jest owocem nader bujnej imaginacji autora, ogarniającej w swym polocie wszystkich i wszystko, więc ani poważnemi studjami dziejowemi ani badaniami etnograficznymi nie poparte. Pragnęlibyśmy szczerze dla dobra nauki, aby autor i inni którym błędne zapatrywania się wytyka, w błędach tych pozostali jak najdłużej, a przekonają się z czasem, że mniemane błędy, albo wcale niemi nie są, albo przynajmniej nie w tym okazują się świetle i stopniu, jak sobie to autor wyobraża. Juźciż każdy to przyzna, że gdzie nastąpiła unija, musiały być dwa narody, inaczej unija ta nie miałaby celu. Przecież i mimo jój zawarcia przez stan rycerski, lud spodem żyjący pozostał z obu stron w warunkach dawnych swego bytu i po dziś dzień przedstawia dwie grupy etnograficznie różne. Zresztą i samaż nawet Litwa, lubo stanowiła wówczas jedno ciało polityczne, pod względem jednak etnograficznym mieściła w sobie cząstki wielce różnorodne.

Zlewanie się w jeden obyczaj i krew z powodu odwiecznego sąsiedowania, pożycia, stosunków i t. d., było więc tylko wynikiem unii szlachty litewskiej z koronną, na zrównaniu praw i przywilejów tego stanu u obu narodów opartej, a która pociągnęła następnie za sobą mieszczan, ludzi majątniejszych i naukowych, skłaniając ich do przyswajania sobie obyczajów i sposobu życia koroniarzy, używania w mowie i piśmie języka polskiego lub białoruskiego i t. p. Lud zaś rzadko kojarzył się z sobą bliższemi związkami, i tylko na pograniczu, aczkolwiek działanie to czas jakiś nader mogło być żywym, mianowicie podczas częstych napadów Litwy i Jaćwieży, i osadzania w tamtych stronach Mazurów. Tycze się to każdego niemal pogranicza, boć żaden naród ni państwo w Europie chińskim murem od sąsiedniego odgrodzonym nie jest i nie było. Więc zgadzając się, że obyczaje, tradycye, mniemania, przesady, pieśni miejscowe, będąc ruchomemi jak ludzie, przechodzą z jednego do drugiego narodu i na odwrót, nie możemy nie dostrzedz także, że lot ich modyfikuje się oporem napotykanym w obyczajach, tradycjach i t. d., nowój miejscowości do której dotarły; więc wycisnąwszy na

nich większe lub mniejsze bytności swój piętno, giną lub słabną one, im dalej w głąb kraju się zapuszczają, a tém samém nie są w stanie przeniknąć całej masy ludności. Ztąd to pochodzi, że chociaż na Litwie napotykamy wiele cech słowiańszczyznę przypominających, jednakże znajdziemy i takie, które słowiańszczyźnie zupełnie są obcemi.

By tylko małe zrobić tu porównanie, położeniu wyż wspomnionemu odpowiednie, powiemy, że myliłby się grubo ten, ktoby etnograficznie chciał dowodzić wspólności narodowej i pokrewieństwa plemiennego, np. Bretonów, Basków i Wallonów z Francuzami, jakkolwiek wszystkie te ludy w obrębie Francji żyją i wielorako się z sobą kojarzą. Wspólności podobnej nie znajdzie etnograf w żadnym z dzisiejszych (większych) państw europejskich.

Ażeby dać obraz dziewiczego wieczoru w całym kraju, autor przechodzi go ziemiami i okolicami. Wprawdzie trzyma on się tu pewnego porządku geograficznego, zaczynając przegląd swój od ziem ruskich, gdzie istotnie wieczór ten z wszelkimi obchodzony bywa ceremonijami, by następnie obejrzeć Krakowskie, Wielkopolskę i Mazowsze. Mimo to, zdarza się i tu, że przeskakuje w nader odległe przestrzenia od siebie okolice, lub wtrąca krótką wśród tekstu o dalekiej ziemi wiadomość tam, gdzieby wiadomość tę raczej do notki na dole umieszczonej odesłać lub na inne właściwsze przenieść należało miejsce. Przy tego rodzaju opisach, pożądaną byłoby rzeczą, albo zachować ściśle porządek ziem wskazany nam przez kartę geograficzną, albo mając na względzie prędko badaczy pożytek, dać im najprzód opis obrzędu z tej okolicy, gdzie takowy najdokładniej i najbardziej szczegółowo został skreślonym, aby następne opisy, acz dokładne, ale coraz inaczej, a częstokroć krócej, słabiej i w kalectwie go przedstawiające, dały mu możność śledzenia, ile obrzęd taki przez czas i inne ucierniał wpływy w różnych miejscach. Sądzę, że niema potrzeby dowodzić, ile sposób podobny byłby pouczającym. Na Podlasiu (mówi autor na str. 157) za nadejściem wieczoru urządzają za stołem tak zwany *posah* (posad), rodzaj jakoby tronu książęcego, z kołków i desek zbitego, na którym zasiada młoda obok brata, którego wkrótce wyręcza, kupiwszy ją od niego, pan młody; nie darmo też wówczas obdarzeni oboje bywają szumnym tytułem kniazia i kniahyni. Tak uczczeni, słuchają oboje pieśni družek, odbierają błogosławieństwo rodziców padwszy im do nóg, a pysar spisuje bogate wiano (posag) widne już z pysznie ustawionego posahu z ręcznikiem na ławie uścielonym, złożone często z pary tylko ręczników, z poduszek, butów i krowy, przy przenosinach późniejszej na owym ręczniku prowadzonej. Na Ukrainie, Podolu i Biało-

rusi znaczne już w obchodzie tego obrzędu zachodzą odmiany. Trafnie tu autor tłumaczy znaczenie wyrazu: są dzony (przeznaczony, gdy mowa o zięciu lub synowej), jak niemniej wyrażenie: witać kosmato, gdyż oboje młodzi zwykli siadywać na koźnuchu. Ważnemi obrzędu tego szczegółami są: wicie różgi i wianków, ich ogrywanie, strojenie wilców, i derewców, targ o pannę młodą, czynności przy korowaju, dary i t. d. Podobnie odbywa się wieczór dziewic i na Litwie, lecz tu tak język pieśni i przemów, jak ich forma i obrazowanie się odmienne. Ważną jest wskazówka, z jakich mianowicie ziół i kwiatów wience plotą się w różnych okolicach, niemniej w jakie zioła przystraja się chleb, korowaj i t. d., lubo symboliczne znaczenie niektórych ziół, krzewów i drzew w wielkiej części odgadniętem już zostało przez dawniejszych badaczy. Znaczenie ruty znanem jest powszechnie. Na Podlasiu i Polesiu często wspominają o trój-zielu (rucie, mięcie i barwinku). Pieśń o jabłonce, która na gałązkach swych okrywa się liściem i owocem, a panna młoda rwie z niej 12 jabłek dla starosty (śpiewana już to przy rozplecinach) jest symbolicznem drzewem życia ludzkiego a tutaj dziewicy, powiada autor. Tu robi on wzmiankę o starym u nas zwyczaju zasadzania drzewek w maleństwie dzieci i wróżenia potem z ich wzrostu o doli przyszłej dziatki. Podobne znaczenie drzewa życia mają i wilce na Ukrainie wite (Marcinkowski) i wtykane w chleby i korowaje, na których (jak i na różgach) zawieszają się miejscami wience w stosownych chwilach. Wysokiej wartości poetycznej są pieśni o wiankach i kalinie nucone pod Bielskiem, Wizną i t. d. W końcu rozdziału mówi autor o starodawnem znaczeniu kaliny w pieśniach miłosnych, weselnych i przystroju pieczywa wstępującej. Jest to krzew poświęcony krasie dziewiczej, krzew miłości. Nazwę jej niektórzy (Marcinkowski) wyprowadzają od sanskryckiego wyrazu kalana (związek), inni od greckiego kallos (piękny, krasny). Autor sądzi, że pochodzi ona od wyrazu kał (z kąd również powstały wyrazy: kałuża, kalisz i t. d.) to jest: od miejscowości nisko położonej, wilgotnej, któremu to wyrazowi później dopiero nadano znaczenie: bagniska, błota i brudu. Powiada on, że sama pieśń tłumaczy nazwę kaliny:

Czego kalino w dole stoisz,  
 Czy ty się letniej suszy boisz?  
 Gdybym się suszy nie bojała,  
 Tobym w tym dole nie stojała.  
 Stojałabym na tej górze,  
 Ubrałabym się (w jagody) ku jaworze i t. d.

Nie wchodząc na teraz w słuszność twierdzenia autora, sądzimy jednak, że w pieśni pomienionej kalina przemawia głównie dlatego w ten sposób, że się pragnie przed słońcem (światłem) ukryć, bo i dziewczyna smutną jest po utracie wianka i przezuwa tragiczny koniec jaki ją czeka z rąk własnego brata.

Pod napisem: Przybycie pana młodego, opisuje autor jego przyjazd na koniu wraz z drużyną do domu weselnego młodój, nazajutrz rano po wieczorze dziewic, by wspólnie z nią i jej orszakem wyruszyć ztąd do ślubu, który zwykle dawany bywa w Niedzielę. W wielu miejscach w kraju, zastaje orszak młodego wrota od domu narzeczonej zamknięte, i dobijać lub dopraszać się musi wejścia; na Litwie scena ta przechodzi w dyalog szerokich nieraz rozmiarów i dramatyczny przybiera zakrój. Niekiedy oba orszaki wyruszają oddzielnie, i spotykają się dopiero przed kościołem. Ponieważ z wyjazdem młodego z jego domu i z przybyciem do narzeczonej, łączą się różne zwyczaje, obrzędy i ceremonije, więc autor robi szczegółowy ich przegląd okolicami po kraju. Ale i tu czuć się daje brak systematycznego onych zestawienia, a brak ten ładu niezmiernie poszukiwania utrudnia. Ustęp np. o przypinaniu do boku pana młodego i drużyny bukietów robiących się już z ruty, już z barwniku, rozmarynu i t. d., podług okolicy i zwyczajów miejscowych (jakić? jakich?) oraz o wróżbach przedślubnych, należało zamieścić przed opisem przybycia młodego czy to w krakowskiem, czy w Wielkopolsce i t. d., albo też po wszystkich tego rodzaju opisach, nie zaś wśród tychże i przy rozmaitych innych okolicznościach <sup>1)</sup>. Toż samo tycze się i ustępu o grajkach, którzy chodzą grając na dzień dobry po wsi i budzą gości z oznajmieniem aby się schodzili na weselne gody. Wszelkie przytoczone tu zwyczaje tłumaczy autor dokładnie i z istotnym przedmiotem zamiłowaniem. Lecz i tu znowu (na str. 196-7) w zwykłym sobie sposobie, rozwodzi się nad zwyczajów tych jednolitością, niemal tożsamością nad Bugiem, Niemnem, Berezyną, Dnieprem, Dniestrem, Wisłą, Pilicą i Wartą, w ustępie mieszanię wiele niezaprzeczonych i pięknych prawd z przywidzeniami jego głoszącym, a świadczącym najwyraźniej, że nietylko nie zna dokładnie zwyczaju nad Odrą, Elbą, Renem, Dunajem, Donem i t. d., zachowywanych, ale co większa, że badaniom etnograficznym ani właściwej rozciągłości nadać, ani każdego szczegółu właściwe potrafi wskazać stanowisko. I dlatego dobrze robi, gdy skończywszy

<sup>1)</sup> Cytację o kłodzie jako mierze w nocce na str. 191 umieszczoną nie popiera autor żadnym dowodem, jakkolwiek rzeczą jest wiadomą, że kłoda była także miarą.



rzecz o dyalektach i rodach leśnych i polnych (gdzie zresztą wiele nader sprawiedliwych poczynił uwag), mówi wreszcie (na str. 198), że: wraca do rzeczy. Z przytoczonych w dalszym ciągu wiadomości, najciekawszymi są te, które z pod Tykocina, Bielska i Wysokiego podaje, dołączając i drzeworyt gałęzi czyli różeczki z wieńcem, oraz obyczaje drobniej szlachty, u której i długa oracja bywa w użyciu. Oracye podobnego rodzaju znachodzimy także w starych broszurach drukowane; podobne oracye recytowano przed laty i na dworach możnej szlachty i panów.

Przystępując do opisu Rozplecin, autor zwraca uwagę na znaczenie warkocza czyli kosy, który wraz z wieńcem jest godłem dziewiczej krasy, i który wraz z wieńcem traci dziewica przy oczepinach. Rozplecinom towarzyszą odwieczne pieśni i ceremonije; włosy młodej rozplata jej brat albo bliski krewny, družbowie je czeszą, druchny czyli swachny zdobią w koronę. Odbywają się one już to wieczorem lub w nocy; już z rana przed wyruszeniem do ślubu. Pięknie przedstawia tu autor stosunek rodzinny brata do siostry, (str. 217), tak dobitnie odmalowany w znaniej pieśni, śpiewanej czasami przy rozplecinach, a zwykle przy oczepinach:

Waż się wije po drzewinie,  
Moja matko mąż mnie bije;  
przyjedź, przyjedź, pożałuj mnie i t. d.

Autor mówi (na str. 219) że: „Sadowienie panny młodej na dzieży i składka na warkocz na Mazowszu, w Wielkopolsce, nad Dniestrem, ma to samo znaczenie co prowadzenie jej na posad i składanie darów na Litwie i części Rusi; więc jest to obrzęd jeden w dwojakiej formie.“ Z punktu widzenia etnograficznego, dwie te formy są jednak różnicami obrzędu. Przyjmując atoli z autorem wyrażenie: forma, znaleźlibyśmy przecież zaraz, że obrzęd rzeczony, i to w drugiej swjej formie, powtarza się z małemi odmianami po zagranicami kraju, jak to stwierdzają opisy wesel w Węgrzech słowiańskich, Rumunii i t. d. Na Białorusi znów sadzenie na posad i rozpleciny, są jakoby dwoma tuż po sobie następującymi obrzędami, a połączenie ich z sobą przedstawia dopiero pewną całość, czyli jeden obrzęd w pełni, z dwóch innych wzajem się dopełniających złożony. W Wielkopolsce rozpleciny poszły już w zaniechanie, i rzadko gdzie się dokonywają. Nader ważną, bo symboliczną mającą znaczenie, jest wzmianka autora, że obcięty warkocz rzuca się miejscami na bieżącą wodę (Łukowskie, Lubelskie). Po rozpleceniu warkocza i rozczesaniu włosów, następuje przypięcie

wieńca (korony), wstążek i kwiatów. Tak ubrana pozostaje już młoda aż do oczepin.

Po odebraniu błogosławieństwa rodzicielskiego, po pożegnaniu i pokłonach złożonych rodzinie i wszystkim weselnikom (nie wyjmując dzieci), następuje wyjazd do ślubu, do czego zachęcają młodą kobiety stosownymi śpiewami. Scena błogosławieństwa i pożegnania wszędzie nader jest rzewną; tém rzewniejszą staje się ona, gdy młoda jest sierotą. Oddzielne też pieśni nuca się dla panny młodej sieroty, wzywające jeszcze i zmarłych rodziców by wstali z grobu błogosławić córcie do ślubu. Przed wyjazdem miewa starosta do oblubieńców mowę, wystawiającą im obowiązki przyszłego stanu. Nie wątpimy, że zestawienie takich przemów, (gdyby je wszystkie zebrać zdołano), ukazałoby nie jeden ciekawy sposób zapatrywania się ludu naszego na sprawy żywota czy to uroczyste czy powszednie, i obyczajowość jego w ogóle w pięknie wystawiłaby światło. Wśród pieśni pożegnalnych (str. 235) nosi jedna nader starożytną cechę, t. j. ta, w której powtarza się często wykrzyknik: Łado! Łado! (z Lubelskiego). Wartoby się przekonać jak daleko (topograficznie) wykrzyknik ten słyszeć się daje i do jakich pieśni i wariantów jest przyczepiony. Autor parę ich tylko przytacza z Gołębiowskiego <sup>1)</sup>. Ja sam posiadam ich kilkadziesiąt, zebranych powiększej części na porzeczcu Bugu, Wieprza i Sanu, i w swoim czasie ogłosić wraz z memi spostrzeżeniami nie omieszkać. Wielce charakterystycznymi są pieśni pożegnalne (str. 236) z kilku dawnych broszur cytowane; pokazują one jak dalece w dawnych czasach zwyczaj i śpiewy szlachty zbliżonemi były do ludowych. Przechodzi dalej autor okolicami (ale także bez ścisłego porządku) różne pieśni i sposoby pożegnania, a żal dziewicy wszędzie jest ich treścią. Przed wyjściem z chaty, obchodzą narzeczeni trzykrotnie stół i kłaniają się kątowi (na Rusi); w innych miejscach obchodzi družba lub matka trzykrotnie wozy zaprzężone na podwórzu, przy czém różne pomniejsze zachowują się ceremonije. Uwaga o niskich pokłonach jest trafną (str. 244); zgadzam się z autorem, że źródłem tej uniżoności nie jest bynajmniej ucisk jakiemu podlegał lud ze strony panów, ale cześć nieograniczona i poszanowanie dla starszych; zdaje się on zatem być pozostałością surowego patriarchyalizmu, w zamierzchłej jeszcze starożytności przyniesionego z dalekiego Wschodu.

<sup>1)</sup> Autor uważa (na str. 279); Ładę za bóstwo Ledę (wedle Długosza). Rzecz ta wymaga głębszych studyów, równie jak i twierdzenie Jucewicza o Dydisie.

Bardzo ciekawym i zajmującym jest opisany zwyczaj ucałowania chleba weselnego w ziemi Bielskiej przed wyjazdem do ślubu. Chleb ten, są to cztery ogromne pirogi, ułożone na czterech rogach stołu. Autor sądzi zatem, że nazwa tego ciasta pochodzi właśnie od zwyczaju, że go kładą po rogach (z ruska pi-roh) stołu. Gdy zapytał na jaką pamiątkę czynią to całowanie?— wieśniak odpowiedział mu, że: na to, aby w przyszłym pożyciu wspólnym nowożeńcy umieli swój chleb uszanować. W tej odpowiedzi mieści się całe obrzędu znaczenie. Dalej wyraża się autor (str. 249) z tego powodu: „nie zgodzę się ze zdaniem jednego z badaczy, że lud w obrzędach swoich zapomniał zupełnie ich znaczenia. Nie zgodzę się dlatego, że znaczenie wielu obrzędów objaśniali mi lepiej starzy wieśniacy, aniżeli niemieccy uczeni piszący całe tomy o naszych rzeczach z wielkiem o sobie zarozumieniem. Trzeba zajrzeć do życia i serca narodu, trzeba żyć się z duchem jego i bez uprzedzeń zapatrywać się na przyszłość, aby zrozumieć ją i wytlómaczyć. Nie przeczę, że znaczenia wielu prastarych symboli i obrzędów lud zapomniał; lecz wiele znowu rzeczy wiadomych mu, nie usłyszeli badacze z ust jego dla pewnych przyczyn i t. d.“.

Gdyby autor, młodzieńczym jak widać porwany zapałem w rodzaju Mickiewiczowskiego: Miěj serce i patrzaj w serce!— zastanowił się choć chwilę nad zdaniem, które pióro jego przelało na papier, niebyłby go z takim absolutyzmem, a przecież tak pobieżnie wygłosił, a przynajmniej złagodziłby był o wiele cierpkość zawartych w nim wyrażań. Zajęci od dawna i to bez przerwy podobnego rodzaju pracami, wiemy sami ile z postępem czasu doświadczenie nauczyć człowieka może, i z kąd korzyść dla siebie czerpać on powinien. Posłyszawszy jak wielkie zasługi położyli uczeni niemieccy i francuzcy dla etnografii, lingwistyki i innych pomocniczych nauk historycznych, wzięliśmy się do przepatrzenia i studyowania wielu ich dzieł, bo zaprawdę wszystkich, coraz się mnożących, ani czas, ani okoliczności przeczytać nawet nie pozwalają; i wyznać musimy, że nie mały już z pracy tej odnieśliśmy pożytek, a sąd nasz o tej rzeczy pod wielu rozjaśnił się względami. I dlatego, czytając powyżej skreślone zdanie, nie wiemy czemu się bardziej mamy dziwić? czy zarozumiałości niemieckich uczonych całe tomy o naszych piszących rzeczach bez należytego ich zgłębienia i rezultatami tak niewytrawnych pojęć i sądów zarzucających cały świat uczony, czy też pewności siebie samego p. Pruskiego, który przeczytawszy wszystkie te tomy (boć po wyroku jego wątpić nam się nie godzi, że je czytał), nie odniósł najmniejszego z nich dla siebie pożytku, i wiele

straciwszy na to czasu, potępić był zmuszony wszystkich bez wyboru. Nie jest nikomu tajemem, a i własne nasze uczy nas przekonanie, że wielu Niemców istnie pisano o słowiańszczyźnie brednie, (jak np. Wuttke, Adler i t. d., o Wielkopolsce), że innym sumieniejszym nie zawsze udało się trafnie znaczenie wielu rzeczy odgadnąć i wyłożyć je bez uprzedzeń (tém bardziej, gdy obok kilku dość mętnych źródeł, obfitości materyałów nie posiadali); ale byli i tacy, którzy przełamawszy trudności i pozbywszy się uprzedzeń, wielkie mimo szczupłości nieraz materyałów poczynili dla nauki zdobycze, a których prac lekceważyć nie będzie żaden sumienny badacz jakiegokolwiek bądź narodu. Że pominiemy tu dzieła ogólniejszego znaczenia, słowiańszczyzny mało lub pośrednio tylko dotykające, braci Grimm'ów i Kuhn'a (którego metoda dociekań etnograficznych jest ze wszech miar znakomitą), których zatem znajomość wcale nie będzie bez korzyści, równie, jak i znajomość dzieła czecha Hanusza o mitologii, wspomnieć nam wypada o pisarzach specjalnie słowiańskim (a głównie polskim i lechickim) poświęcających się rzeczom, o których to zwykle z należytą odzywają się bezstronnością i oględnością, jakimi są: Haupt, Temme, Mannhardt, Toeppen, König i kilku innych. By tylko jednego dotknąć przedmiotu (t. j. chleba), o którym wyżej była mowa, i zdania jednego tylko z wymienionych odsłonić pisarzy, przytoczę tu kilka spostrzeżeń skreślonych przez Toeppena w dziele jego; *Aberglauben aus Masuren* (Gdańsk, 1867). Mówi on przy opisie wesela (na str. 86 i 90 swego dzieła), że družba całym pędem konia przywiałowawszy z domu weselnego, oddaje powracającej od ślubu pannie młodej bochenek chleba owinięty w serwetę, który ona wdzięcznie przyjmuje na znak, że w ciągu życia starać się będzie o obfitość chleba. Na str. 96 mówiąc o przesadach odzywa się: że całkowitego bochenka chleba nie pożyczą ani podarują oni nikomu, dla tego, aby z nim razem nie uleciało błogosławieństwo z domu; więc w razie użycia chleba na ten cel, napoczynają go wprzód, odcinając choć odrobinę by została w domu. W innym znów miejscu napomyka, że gdy przypadkiem upuszczą na ziemię kromkę chleba albo książkę do nabeżeństwa, to natychmiast podniosłszy je z ziemi, całują na znak poszanowania daru i słowa Bożego. I w ogóle Toeppen wychwalając bardzo charakter ludu mazurskiego (którego wad nie pomija), utrzymuje z całą otwartością, że łagodność, uczynność i gorąca ludu tego pobożność, za wzór służyćby mogły zimniejszemu daleko, bardziej wyrachowanym i mniej gościnnym gminom niemieckim w okolicy. W podobny sposób odzywa się i Haupt, gdy mówi o Serbach łużyckich.

W dawniej Litwie (mówi autor na str. 250), jak świadczy opisujać jej zwyczaje w XVI wieku Łasicki, (który korzystał wielce z Meletius'a), trzykrotnie oprowadzano nowożeńców (więc po ślubie) koło ogniska. Dzisiaj oprowadzają ich tam (na Żmudzi) przed ślubem około stołu, tak jak to widzieliśmy nad Narwią, Bugiem, Prypecią i Dniestrem. Tu wyraża się autor, że ognisko ma to samo znaczenie co i stół, bo jest zarówno ołtarzem domowego chleba. Etnograf jednak, choćby nawet pewną między obu tymi przedmiotami dostrzegł i uznał analogję, winien je odróżnić, tém bardziej, gdy różnice te wskazują na różne wyobrażeń postronnych ludów wpływy. Wskazówką podobnych wpływów jest i wiadomość przez Toeppena podana (w tegoż *Abergl. aus Masuren*, str. 86—87 i 90), że po dziś dzień oprowadzają tam (w Prusach wschodnich) po ślubie młodą mężatkę po trzykroć około pieca. Odpowiada to twierdzeniu Łasickiego i znaczyłoby zajęcie w posiadanie ogniska przez nową gospodynię, na straży domowych postawioną progów.

U szlachty grał nadto w całej Polsce tak przy obiedzie jak i przy ślubie wielką rolę kobierzec, o którym autor wiele ciekawych przytacza szczegółów. Zdaje się, że u włościan ma go poniekać zastąpić ręcznik, którym w pewnych okolicach zaścielają stopnie ołtarza, by na nim przyklekli oblubieńcy dla odebrania ślubnego błogosławieństwa.

W ustępie traktującym o ślubie, przytacza autor wszelkie wiadome mu zwyczaje w czasie pochodu i jazdy do kościoła zachowywane, oraz wróżby dotyczące pomyślności przyszłego stadła.— Przepowiedni tych jest tak niezliczone mnóstwo, że autor aniby był w stanie popisywać wszystkich; nie mamy mu tego za złe, przekonani, że nowo dostrzeżone, zebranemi i spisaniem z czasem zostaną. Badacz jednak upomniałby się o uporządkowanie i ponumerowanie wróżb przytoczonych, a zarazem o wskazanie ich ojezyny lub napomknienie, o ile są upowszechnionemi. Wprawdzie w końcu ich wyliczenia, powiada autor (na str. 254), że: „Wiele jeszcze wróżb dobrych i złych zostawia się domyślności serca, a wychodzą one na jaw przy zdarzonym wypadku, znane są wszakże w całej Polsce“, — ale mimo to, znane (?), owe wróżby należało mu wymienić (lub do źródeł, zkać je czerpać można, odesłać), choćby tylko dla dogodności cudzoziemców, z dzieła jego korzystać pragnących.

Rycerski potem przytacza on obyczaj przystępowania do ślubu staropolskiej szlachty. Mówi nadto, że zwyczajem u nich powszechnym, družbowie prowadzą do ołtarza pannę-młodą, a druchny panamłodego; od ołtarza zaś odprowadzają młodego mężatki a młodućę

żonaci. Są jednakże u włościan różne zwyczaju tego odmiany, co do zachowania się družbiących narzeczonym osób. W Wielkopolsce i na Kujawach druchny wprowadzają młodą do kościoła, opasując ją chustkami, družbowie zaś młodego; do stopni ołtarza prowadzi starszy družba tak młodego jak i młodą. Po ślubie družba oddaje znów napowrót młodego družbom, a młoduchę druchnom, lubo baby usiłują ją wziąć między siebie. I w ogóle służba družbów i druchen kończy się dopiero wówczas, gdy baby biorą młodą do komory do oczepin, wykupiwszy ją od druchen. W okolicy Tykocina odprowadza żonę od ołtarza sam pan-młody. W niektórych miejscach Wielkopolski, gdy młodzi przystępują do ołtarza, jedna z matek wkłada na głowę klęczącym wianeczki z rozmarynu, które kapłan odebrawszy i pobłogosławiwszy w miejsce używanych pospolicie obrączek, kładzie napowrót na nowożeńców głowy. Słusznie uważa autor, że jest to pierwotna forma ślubna kościelna, istniejąca dotąd w kościele Wschodnim, gdzie się wieńczeniem zowie. Wianeczki podobne widzieć się także dają i u Serbów łużyckich, (a miejscami i w Wielkopolsce). W wielu okolicach używa u nas lud wieńca takiego w kształcie korony stale już na głowie narzeczonej przypiętej, gdy kapłan zamienia obrączki.

O ubiorach weselnych, równie jak o wieńcach (dodaje autor) ciekawa i pouczająca, krom materyałów nagromadzonych, napisaćby się jeszcze dała książka. Narzeczeni w ubiorze swym unikają barwy czerwonej, szczególnie w prowincjach północnych; w Małopolsce mniej na tę okoliczność zważają.

Na str. 263 mówi autor: „Wzmianki o pogańskich ślubach Litwinów podają: Miechowita, Długosz, Kromer, Strykowski, Łasicki, Kojalowicz, Schitz, Ens, Hartknoch, Narbutt i inni. U stariej Litwy nie było wielożeństwa, ale małżeństwo (małżeństwo, jedno-żeństwo<sup>1)</sup>); chociaż u rodów pruskich przeważało wielożeństwo, ale i tam pierwsza żona sprawowała dom. — Mężczyzni mogli mieć po trzy żony, lecz podanie o Wajdewucie już o jednej wspomina. Bóstwo oblubieńców wadle Łasickiego zwało się Pizio. Ślub zawierano za przyzwoleniem rodziców dziewczki, którą ojciec rodzajem targu odstępował. Był rodzaj zaręczyn, a biesiada ta zwała się przepiciem córki użgeru dukteri (Narb. Dzieje Lit.). Tylko trzeba się rozejrzeć w tych starolitevskich obrzędach,

<sup>1)</sup> Pruski fałszywie wywodzi wyraz małżeństwo od małżeństwo. 1) to wyraz złożony z manż- (mąż) i žen- (żona) manżeństwo, česk manželstwo, pol. małżeństwo, w obu językach z dwu n jedno dyssymilowało się na l w česk. drugie, w polsk. pierwsze.

aby ujrzyć w dzisiejszych naszych zwyczajach z nad Wisły, Dniepru i Dniestru to ogniwo odwiecznej obyczajowej wspólności i jednoczenia się rodów naszych w czasach wielce starożytnych. Wojny, jakie prowadzili z sobą panowie i książęta, nie tylko, że nie przeszkadzały narodowemu jednoczeniu się rodów, ale przeciwnie były najpotężniejszym czynnikiem w rozwoju ówczesnych dziejów naszych: one zawiązywały stosunki, mieszały lud, przeprowadzały go z jednych okolic w drugie, tysiącami branek przeprowadzały obyczaj domowy z jednych rodów w drugie, zlewały krew rodów w jeden naród i t. d. — Symboliczny u starój Litwy obrzęd targu o córkę zwanego przepiciem jěj, widzimy dziś prawie w całym kraju, a pieśń z nad Dniestru i Bugu głosi: Propyla maty doczku i t. d“.

Ustęp ten wypowiedziany, tyle pięknych zawierający słówek i wyrażeń, nie ma jednak innej dla badacza wartości naukowej, jak chyba tylko podaną w nim wiadomość, że przepijanie córek przez matki (choćby w pieśni tylko), przyszło z Litwy do Rusi, czy też odwrotnie i upowszechniło się w całej Polsce, za pomocą ujednostajnienia obyczajów skutkiem wojen, przez wzajemne wpływy, mieszanie się ludu, przeprowadzanie domowego obyczaju branek pędzonych z jednych rodów w drugie, zlewanie się w jedną krew itp. Niewiadomo tylko, gdzie obyczaj tak piękny i zaeny miał pierwotne swoje gniazdo, czy na Litwie, czy na Rusi, czy w Wielkopolsce; bo zaiste, podnieta do niego, jak w ogóle do picia, nie tylko w wymienionych tu prowincjach, ale i w wielu ościennych i dalszych krajach w jednakowym istnieć mogła stopniu. Gdyby rzeczywiście skutkiem wymienionych przez autora, a tak ruchliwej natury przyczyn (którym mimo-to tak wielką moc przypisuje), wszelkie obyczaje, wyobrażenia, wiara, zwyczaje i t. d. jednego rodu a następnie i całej prowincyi, spływały w zupełności w obyczaje, wyobrażenia i t. d. innego rodu a następnie prowincyi, a co większa, gdyby obyczaje, wiara i t. d. całego jednego szczepu, przesiąknąć do gruntu zdołały obyczaje, wiarę i t. d. innego, sąsiedniego szczepu, wówczas z oddziaływania zobopólnego tych potęg moralnych, musiałyby się utworzyć jakieś ciemne amalgamma obyczajowe, jakaś różnorodna mieszanina, która pokrywając i przenikając prawdziwą i pierwotną każdego rodu czy prowincyi cechę grubemi warstwami obcych naleciałości, zamiast utworzyć pewną pożądaną dla dociekań naukowych całość, łatwo przydatną po obejrzeniu jěj szczegółów do rozjaśniania wielu następczących się zagadnień etnograficznych, utrudniałaby owszem badanie takowe i uniemożliwiła rozwiązanie tój tak rażącej sprzecznych z sobą żywiołów gmatwaniny. Na szczęście

dla nauki, rzecz nie zaszła jeszcze tak daleko, jak się to autorowi zdaje, a cały wpływ jaki prowincye sasiednie na siebie wywierały i wywierają, redukuje się do stopnia wskazanego już przez nas poprzednio, gdy była mowa o dziewiczym wieczorze i o wzajemnym na siebie wpływie wyobrażeń mazowieckich i litewskich.

Przy wzmiance zresztą o ślubach dawnych Litwinów, autor w obronie ich wstrzemięźliwości bezzasadnie usiłuje wyraz: małżeństwo (czeskie mandželstwo) naciągnąć na znaczenie jakoby wyrazów: mało-żeństwo, jedno-żeństwo. Jest to prosta igraszka wyrazów, i nie więcej. Z powoływaniem się także na powagę Łasickiego i Narbutta należałoby mu być ostrożniejszym. Nowsi bowiem krytycy, w badaniach dziejowych, obyczajowych i mytologicznych obu tych pisarzy, zbyt wiele upatrują fantazyi i mrzonek, aby na nich ze wszelkiem polegać można bezpieczeństwem. — Łasicki téż w tych jedynie na zupełną zasługuje wiarę podaniach, które czerpał z Melecjusza <sup>1)</sup>.

Powrót nowożeńców do domu, odbywa się wśród okrzyków całego orszaku weselnego, głośnego hukania i wystrzałów różnej broni palnej, a rodzice według powszechnego zwyczaju, witają przybywających u progu chlebem i solą. W wielu okolicach (mianowicie na Rusi czerwonej i w krakowskiem) weselnicy rozdzielają się wracając od ślubu: Pan-młody ze swoją drużyną udaje się do swego domu, a młoduca do swego; gdy bowiem licznymi są obiedwie drużyny, to w obu domach zastawiają ucztę, aby goście w podzięk poszli. — Bardzo często, (a miejscami niemal zawsze) wstępują na kilka godzin do karczmy, by dać matce czas stosowne na przyjęcie gości porobić w domu przygotowania. Przy powrocie, równie jak i przy każdej innej czynności, uważają na znaki złą lub dobrą zapowiadające dolę. I tu poczet wróżb nie byłby małym. Dalej przytacza autor zwyczaje zachowywane przy powrocie w Krakowskiem, Wielkopolsce, Kujawach, Sandomierskiem i t. d. Na str. 276 mówi on: „Niekiedy na progu wrót, gdy przybywa drużyna, kładą siekierę obróconą ostrzem do ulicy, by nie dopuścić wstępu złemu do weselnego domu; podobnie robiono i przy wyjeździe do kościoła, kładąc siekierę ostrzem do chaty, aby złe nie wyszło za weselnikami (czy wszędzie jest ten zwyczaj? — tu brak cytacyi). Wszędzie niemal znajdują weselnicy wrota do domu zamknięte i o wpuszczenie do chaty dopraszać się muszą. Na Litwie (str, 280) wra-

<sup>1)</sup> Malecysz czyli Malecki był w połowie XVI wieku pastorem w Elku w Prussach wschodnich. Obacz rozprawę Ant. Mierzyńskiego o Łasickim w Roczn. Tow. nauk. Krak. 1870.



cając z kościoła, zajeżdżają także weselnicy wprzódy do gospody; młoducha wita szynkarzę długiemi zapytaniem, czy ojciec jej tu nie wstępował, szukając uprowadzonej córki. Przechowała się w tém (mówi autor) pamięć starego symbolicznego obrzędu porwania dziewczicy na znak brania jej w posiadanie. W obrzędzie tym, u stariej Litwy, dwaj krewni pana - młodego udawali gwałtowne porwanie dziewczicy, co zwano parwestuwes; po czém pan - młody wypłacał rodzicom za córkę posag (Dzieje Lit. I. 220). Porwanie to było niegdyś zwyczajem powszechnym u pogan (Marcinkowski). Nestor powiada, że u Drowlan porywano dziewczice u wody. Są ślady tego u Słowaków w roku 1720 i po niedawne czasy w Serbii naddunajskiej. Postawa zuchowata i dziarskość naszej drużyny weselnej, osobliwie pana - młodego zawsze niemal występującego konno, oraz liczne w pieśniach i zwyczajach napomknienia, przekonywują najdowodniej, że zwyczaj podobny istniał i w Polsce. Młody miał tym sposobem okazać śmiałość, mężstwo i dzielność swego ramienia, i dowieść, że będzie umiał niemi osłaniać od przygód przyszłą swoją towarzyszkę, poczem dopiero, jako jej godny, przyzwolenie rodziców otrzymał. Rycerskość bowiem wówczas za pierwszą uważana była cnotę. O zwyczaju tym wspomina i Gołębiowski.

Następnie mówi autor o zwyczajach istniejących przy powrocie od ślubu na Białorusi, Polesiu, Wołyniu, Ukrainie, Pobereżu, Podlasiu, Mazowszu, u Kurpiów. W wielu miejscach przyjmuje nowożeńców u progu matka młoduchy z chlebem w rękę i w wywróconym (wełną na zewnątrz) kozuchu; miejscami przyjmuje tak nowożeńców jej świekra przy przenosinach. Przy porównaniu, należałoby wykazać systematycznie wszelkie każdego obyczaju odmiany i ich ojczyznę, na co jednak, jak to powiedzieliśmy wyżej, autor zbyt mało posiada materyałów. To co mówi on o chlebie i soli (stron. 286) było powszechnem w całej Europie; na Zachodzie atoli wczesniej niż u nas w zapomnienie poszło. — Nader interesującemi są w następstwie uwagi jego o znaczeniu owsa, jak niemniej pieśń spisana przy tej sposobności pod Tykocinem.

Przyjęcie orszaku pana - młodego w domu narzeczonej, te same niemal i wówczas także sprowadza obrzędy i zwyczaje, kiedy takowy, po odbytej w domu własnym krótkiej biesiadzie poślubnej, przybył następnie z orszakiem do domu żony, gdzie biesiaduje jej drużyna (na Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie, u Hucułów w Krakowskiem). Na Litwie za przybyciem, nim go wpuszczają, stawiają mu u wrót mnóstwo trudności do zwalzenia, które przecież nie ze wszystkim odpowiadają tym, jakie zwalczyć on musi na Podlasiu, Wo-

łyniu i t. d. jakkolwiek pierwiastkowo z jednakową mogły one powstać pobudki, t. j. ze zdobycia sobie bogdanki zbrojnego.

I dla tego Litwa, pomimo wielkiego w zwyczajach i obyczajach do Słowian zbliżenia i bezustannego oddawna z niemi obcowania, dopóki nie będzie sama w sobie gruntownie i wszechstronnie zbadaną, i z wielu błędnych jakie o jęj pogaństwie mamy wyobrażeń oczyszczoną, dopóty tak pod względem dziejowym jak i etnograficznym, nie da się z istotną korzyścią z Polską i Rusią porównywać. Bo jeżeli jest prawdą to co utrzymuje autor, a czemu zresztą do pewnego (powiedzieliśmy wyżej do jakiego) stopnia nikt przeczyć nie myśli, że w niektórych zwyczajach, a szczególnie w wymienionych dopiero, przechowała się pamięć owych czasów, gdzie pogańska Litwa napadała na osady sąsiednich Dregowiczów, Krewiczów i Mazurów, a zabierając tysiące branków na matki swych rodzin i gospodynie domów jednoczyła się obyczajem i krwią z sąsiadami (raczej wszczepiła u siebie wiele obyczajów chrześcijańskich dotąd jęj obcych), skutkiem czego mieszały się ludów tych (a osobliwie szlachty) obyczaje — to niemniejszą też będzie prawdą, że zadaniem etnografa i dziejopisa jest przedewszystkiem wysledzenie wzajemnych wpływów tych ludów na siebie i ukazanie wśród mieszczaniny z tego działania powstałej, jakie w niej właściwie cechy i pierwiastki są pozostałością litewską, jakie krewicką, jakie mazowiecką, a jakie wspólną i odwieczną wszystkich własnością. Działanie jego powinno przedewszystkiem być analityczne.

Zbyt śmiałym zdaje nam się twierdzenie autora, jakoby w pieśniach i obyczajach ludu (str. 293) należało jedynie szukać materjałów do cywilizacji narodu. „Historja szkół (powiada on), nie jest jeszcze historją cywilizacji; obyczaj narodu jest pierwszą jego oświatą, jest tą niwą, w miarę żyzności której, wyrasta bujniej lub karłowacieje w narodzie drzewo nauki“. — Owszem, (odpowiadamy), historja szkół jest już do pewnego stopnia historją cywilizacji narodu, aczkolwiek cywilizacji pewnej tylko jego warstwy, w danej epoce działającej swe rozpościerającej. Wszakże warstwa ta, lubo nie bardzo zasilana sokami z obyczajów ludu czerpanymi, wywierała w owej epoce przeważny wpływ nietylko na dzieje narodu polityczne, ale i na dzieje jego obyczajowe, a wpływu tego piętno odbiło się po części i na niższych narodu warstwach. Więc pominiętą w ogólnym rysie być nie może, i tylko dopełnić jęj powinna ta cywilizacja tradycyjna ludowa, jakiej żąda autor, a bez której rzeczywistości nie byłoby całkowitego i wiernego cywilizacji narodowej obrazu.

Następny rozdział o obiedzie weselnym, który właściwie jest wieczera, rozpoczyna autor ustępem o świetnych zastawach stołowych dawnych panów polskich, i przytacza ciekawe spisy potraw i dań tak u możnej, jak i u mniej zamożnej szlachty. Mówi później, że i lud wcale nie skąpi, boć to największa uroczystość domowa w jego życiu. Picie wszelakiego zdrowia, acz na całym świecie było i jest w użyciu, miało przecież w Polsce swe partykularne reguły, od których rzadko kiedy odstępowano; i dziś przepisów takich i form jest u ludu nie mało, gdzie donice, faszki, szklenice, kieliszki i kubki różnym kształtem we wstęgi, rutę lub kalinę, bywają przystrajane i w sposób ludowi właściwy, podawane. Zwykłym napojem jest gorzałka, piwo lub krupnik (gorzałka parzona z miodem). Jakkolwiek jadło w tak obszernym kraju, stosuje się głównie do roślinności, żyzności i obfitości trzód i bydła danej okolicy, są jednak potrawy ulubione wszędzie, a niektóre z nich konieczne. Do takich, oprócz mięsa z rosółem i barszczu, należą z jarzyn: groch, jaglana kasza, kapusta, pasternak; w Kujawach i Wielkopolsce: czernina i kluski; na Białorusi pirogi, oładki ze śmietaną, kapusta. Dzieci, jako małoletnie do obrzędowego weselnego stołu nie zasiadają (a dzieje się to i po za granicami Polski), lecz później strawę swą otrzymują, o którą skwapliwie się dopominają, albo dobijają; družbowie i bojary wszędzie prawie do stołu usługują, a muzyka gra zwykle podczas objadu i ugoszczoną bywa dopiero później. — Przy obiedzie słyszeć się dają i śpiewki, a między nimi nader dawne do grochu; po obiedzie i wiwatach, wszyscy chórem dziękują za objad przy odgłosie muzyki. Młodzi zwykle siedzą przy sobie na poczestnym miejscu, już to w rogu stołu, lub przy kacie, już w środku stołu, bądź obok siebie, bądź w pośród najbliższych swych krewnych, a niekiedy w osobnej komorze. Zwyczaj pod tym, jako i innym względem, należałoby rozgatkować dokładnie, według prowincyj. W pierwszym dniu takiej uczyty podejmują gości rodzice młoduchy, w następnych dniach wesela uczestnicy zwykle się na nią składają. Czasami do pana-młodego należy dostarczenie napitku.

Z okoliczności obdzielania dziatwy jadłem, w różny sposób według zwyczajów miejscowych mówi autor (na str. 315): „Obyczaj był i jest u nas jeden, a tylko jak pieśń, która ma często w tej samej wsi kilka odmian, taki obyczaj nie może być bez odcieni właściwych okolicom. Owszem odcienie te są dowodem miejscowej rodowitości; tam, gdzie niema odcieni, to w tém dowód, iż rzecz przyszła gotowa, a nie wyrobiła się na miejscu. Języki np. francuski i łaciński, tylko w gniazdach swoich dzieliły się na dyalekty, i odcienie, ale ludzie używający ich w obcych narodach, przyjmują

jeden sposób mówienia. Jak się ma tam z mową, tak się ma u nas z obyczajem, w którego odcieniach widzimy stare formowanie się naszego narodu“.

W twierdzeniu tém autora, jak w wielu poprzedzających, jest tylko cząstka prawdy. To, co mówi on o językach, tycze się tylko grammatyki i pisowni (i to pisowni autorów klasycznych), nie zaś wymowy; gdyby było inaczej, to zkądżeby się wzięła np. łacina średniowieczna, kuchenna, węgierska, francuska i t. d. Myli się autor, sądząc, że przejmowane od obcych obyczaje i pieśni (zwłaszcza w różnych epokach i z różnych naleciałe miejsc), nie ulegają w ustach ludu przeróbce, kalectwu i zepsuciu. Owszem, nie brak na to przykładów, że wedle prowincyj i różnych ludu pojęć, ulegają im równie silnie jak i własne, samorodne; bo gdzież jest prawo, któreby rzeczy ustnej a tak ruchliwej, stanowczość sakramentalną nadać i trwałość zapewnić bez skazy było w stanie? — Ale wieśniacy nasi stosunkowo małą takich obyczajów i pieśni przejęli liczbę, udzielając przeciwnie wiele swoich własnych cudzoziemcom.

Wyborny daje nam autor opis weselnój uczyty z ziemi Bielskiej (str. 319), a spostrzeżenia jego i uwagi przy tej sposobności poczynione, są w ogóle bardzo pouczające. Na str. 325 w notce pragnąłby nazwisko kurpiów zamienić na puszczaaków, gdyż sam ów lud, jak twierdzi, nadaje sobie tę ostatnią nazwę, uważając pierwszą za ubliżenie. Jakkolwiek powody, które przytacza, wiele za przyjęciem tej ostatniej nazwy przemawiają, wątpimy jednak, aby uznawszy ich słuszność, etnografowie zarzucili utartą już dawno nazwę i wprowadzali na jej miejsce nową. Boć zresztą, jak nie hańbi wcale lud ten noszenie kurpi czyli kierpców, zamiast innego obuwia, tak też nie można mu za szczególną poczytywać zaletę, że mieszka w puszczy, a nie na uprawnych łąkach zbożowych. Co do rodowodu kurpiów, to rzecz zupełnie inna; tu autor, wedle naszego zdania, wiele ma za sobą słuszności. Są to po większej części czystej krwi Mazurowie, (jak się wyraża Pasek), przenoszeni tu z okolicznych polnych dóbr (mianowicie biskupich) w leśne, lub osadnicy wolni, (głównie mazowieccy) szukający utrzymania w bartnictwie i myśliwstwie, nie zaś zbieranina awanturników i zbiegów z różnych prowincyj, jak to niektórzy mniemali dotąd; ztąd też i argument, że znaleźć się między nimi mogły pojedyncze przybłędy (jak to w każdej puszczy miewa miejsce), zdania autora obalić bynajmniej nie zdoła. Więc też i różnica, jaka się między nimi a Mazurami wyrobiła, byłaby głównie skutkiem odmiennego ludów tych sposobu życia i zajęcia.

Kończy dzieło rzecz o obdzielaniu korowajem i kołaczem domowników i gości weselnych, który to zwyczaj przez wyznaczonego do krajania družbę lub swata (co do korowaja) wykonywany bywa, osobliwie we wschodnich kraju okolicach. Towarzyszy mu, równie jak towarzyszyło poprzednio ciasta tego pieczeniu, mnóstwo ceremonij i śpiewów, nader ściśle jeszcze w wielu miejscach dochowywanych i dokładnie, znaczenie tego pieczywa określających. Obrzęd podobnego rodzaju w Krakowskiem, Wielkopolsce i w ogóle w zachodnich stronach kraju (jeżeli kiedykolwiek w równem tu był jak na Rusi rozwoju) w znaczną już dzisiaj poszedł poniewierkę, i tylko pieśni pozostałe, a dotąd nucone o kołaczu, świadczą o większem niegdys obrzędu tego upowszechnieniu. Podobnie téż i dwory możnych brzmiały głośno w dawnych czasach pieśniami do téj odnoszącemi się uroczystości, jak o tem przekonywają gęste napomknienia w dziełach i broszurach XVI wieku, z których cytuje autor wyjątki.

Ukończywszy w ten sposób treść tomu pierwszego, zapowiada autor wydanie tomu drugiego, obejmować mającego dopełnienie t. j. opis obrzędów poślubnych, mianowicie oczepin, płasów, przenosin i t. d., a nadto porównanie naszych zwyczajów weselnych ze zwyczajami postronnych ludów, spis wyrazów znaczenie obrzędowe mających, roślin, przysłów i t. p. słowem wszystkiego, co z weselem ma styczność, a w końcu znaną mu biblijografię tego przedmiotu w naszej literaturze.

Dzieło jego, owoc mozolnej pracy, mimo usterek wyżej wykazanych a będących w części skutkiem niedostatku materiałów — a w części nie dość jasnego i wyrobionego poglądu na istotne etnografii cele, ma jednak tyle stron dodatnich, podaje tyle nowych i ważnych dla nauki wiadomości i wyjaśnień, że je każdemu badaczowi najgoręcej polecić i odniesienie wielkich z niego korzyści obiecywać można.



# SPÓR BOTANIKÓW

O PYTANIE :

„Dla czego korzeń rośnie na dół a łodyga do góry <sup>1)</sup>“ ?

przez

E. G.

(Dokończenie).

Zastosowywanie się kształtów korzenia do szpar jakie napotyka, o którym wspomina Hofmeister, jest owszem według Franka w pewnej sprzeczności z ową twardością jaką ten uczony przypisuje czepczkowi korzeniowemu. A zresztą takie zastosowywanie kształtu nie nie przesądza, bo napotykamy je często i u organów w górę rosnących np. u wielu grzybów i porostów, na korze drzew rosnących.

Co się tyczy doświadczeń z kiełkowaniem roślin nad rtęcią, Frank do wprost przeciwnych z Hofmeisterem doszedł rezultatów. Umocowywał on roślinki tak, że ich korzonki znajdowały się nad powierzchnią rtęci, i pod różnemi były do niej nachylone kątami, umieszczał nawet niektóre płasko na powierzchni rtęci. Wszędzie okazało się, że korzonki przy dalszym wzroście w rtęć się zagłębiały. Prawda, że po kilkunastu godzinach znów na wierzch się wydostawały; ale to było naturalnym skutkiem hydrostatycznego ciśnienia rtęci w górę, które po pewnym czasie przewyciężyło opór stawiany przez sprężystość starszych części korzeni i wypychało je na wierzch. Rzeczywiście zagięcie w górę nigdy nie następowało na końcu korzenia jak chce mieć Hofmeister, ale zawsze w starszych

<sup>1)</sup> Rękopism niniejszego artykułu napisany był jeszcze w lecie roku zeszłego, od tego czasu ukazały się różne nowe prace, które na naszą kwestyą nie małe rzuciły światło. Nie chcąc przerabiać całego artykułu zostawimy go niezmienionym a odnośne prace uwzględnimy w dopiskach.

jego częściach. Jeżeli więc korzeń może wrosnąć w środek większej od swojej ciężkości gatunkowej, jeżeli nadto może w tym środku wykonać zwykłe swoje zagięcie na dół, to fakt ten jest wręcz przeciwny twierdzeniom Hofmeistera o plastyczności tkanki końca korzenia i sam jeden wystarcza do obalenia teoryj na tej plastyczności opartej.

Frank zauważył, iż korzenie rośliny wodnej Jussieua są gatunkowo lżejsze od wody i rzeczywiście rosną one nie na dół ale w górę, co zdawało się przemawiać za teorią Hofmeistera. Ale gdy Frank wyjął roślinę z wody i umieścił ją w przestrzeni parą wodną nasyconej, korzenie, pomimo że znajdowały się teraz w środku mniejszej od swojej gęstości, nie zagięły się na dół ale rosły dalej w górę, widocznie więc nie mniejszy ciężar gatunkowy ale natura organizacyjki sprowadza ten wyjątkowy kierunek wzrostu korzeni Jussieua.

Ta obserwacja naprowadziła Franka na myśl doświadczenia, w którym sztucznie starał się zmniejszyć ciężkość gatunkową korzenia. Umocował on roślinki kiełkujące grochu nad wodą tak, że liścienie były nad wodą a korzonki pograżone były w wodzie, końce ich pozaginał w górę i przez złączenie ich nitką ze starszą częścią korzonka w tém położeniu umocował, do samych koniuszeczków przylepił za pomocą laku rozpuszczonego w spirytusie na cieniuchnej nitce baloniki z waty. Te baloniki ciągnęły koniec korzenia w górę tak, że gdy było ten koniec obciążone, wypływały na powierzchnię wody pociągając za sobą uciętą część korzenia. Gdyby więc korzeń biernie tu działaniu zewnętrznych sił ulegał, rosłby dalej w górę. Tymczasem koniec jego zagiął się po pewnym czasie na dół i pociągnął za sobą balonik waty.

Fig. 3.



rzonka w tém położeniu umocował, do samych koniuszeczków przylepił za pomocą laku rozpuszczonego w spirytusie na cieniuchnej

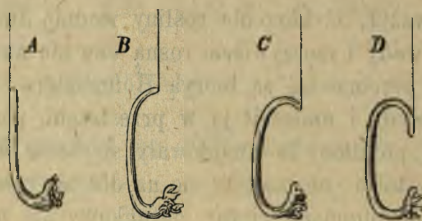
Co do przewężenia się przyrostu korzeni roślinki umieszczonej w aparacie rotacyjnym, to Frank nie wierzy, aby to mogło nastąpić skutkiem wyciągnięcia się masy plastycznej, twierdzi, że z dzisiejszych danych anatomicznych zrozumiećby się to nie dało, mówiąc, że trudno prawie przypuścić, aby komórki w organie jak groch w worku utrząść się dały. Frank powtórzył takie doświadczenie Johnsona z tym samym co i sam Johnson rezultatem.

Prócz powyższych, Frank podał jeszcze jedno bardzo interesujące doświadczenie. Zawieszał on w przestrzeni nasyconej parą wodną i w ciemności na nitce roślinkę kiełkującego grochu tak, że koniec korzonka przylepiał do nitki. Aby zmniejszyć ciężar roślinki, obcinał jęj liścienie. W ten sposób korzonek roślinki był prostopa-

dle skierowany w górę. Po pewnym czasie koniec korzonka zaczął tworzyć łuk wypukłością ku górze zwrócony, który zwiększał się coraz więcej, tworząc w końcu haczyk, tak że koniec korzonka zwrócony został prostopadle na dół. Ten rezultat

wzrastał w sposób z plastycznością korzeni pogodzić się nie da, bo gdyby ona tych wszystkich doświadczeń, Frank zaprzecza stanowczo plastyczności końca korzeni a tém samem i całą teorią Hofmeistera za mylną ogłasza. Lecz cóż stawia na jej miejscu. Niestety wyznać należy, że zwalwszy tłumaczenie Hofmeistera, nie zdołał na jego miejsce ze swojej strony postawić rzeczywistego objaśnienia. Mówi tylko, że zaginanie się korzeni na dół nie jest bierne ale czynne, że pochodzi ono od silniejszego wzrostu tej połowy korzenia, która jest ku górze zwróconą. Że tak jest, to samo przez się jest widocznym; to, tak Frank jak Hofmeister jak i ktokolwiek inny uznać musi, bo gdyby obie strony równie długie pozostały, to zakrzywienie miejsca miełoby nie mogło. Frank mierzył po jednej i po drugiej stronie zakrzywionej części korzenia długość kómorek i przekonał się, że w równym od osi oddaleniu organu na stronie wypukłej jest ona większa niż na wklęsłej, i to również łatwym było do powiedzenia i to nie jest z teorią Hofmeistera w sprzeczności, ale właśnie chodzi o to, aby wyjaśnić dla czego to ma miejsce. Że powodem tego silniejszego wzrostu jednej połowy jest działanie siły ciężkości, o tém wiedzieliśmy już od doświadczeń Knight'a, więc już od początku bieżącego stulecia, w tym względzie Frank nic więcej nas nie nauczył. Ale idzie o to, aby wyjaśnić, w jaki sposób siła ciężkości ten nierówny wzrost wywołuje, to wyjaśnienie miała na celu teoria Hofmeistera, Frank rzeczywiście wykazał, że go osiągnąć nie zdołała i to jest jego zasługą, ale więcej nic nad to nie zrobił i dziwić się należy jak mógł twierdzić, że kwestyą rozwiązał. Przejdźmy teraz do zaginania się części nadziemnych w górę, i tu znów zobaczymy negatywny głównie rezultat prac Franka. Hofmeister jak widzieliśmy upatrywał przyczyny zaginania się w górę w różnicach naprężenia tkankowego na dolnej i górnej stronie poziomo leżącego organu. Frank przeci-

Fig. 4.



rzeczywiście istniała, to koniec plastyczny stale w górę musiałby być zwrócony.

W konsekwencji tych wszyst-



wnie twierdzi, że ruch ten jest zupełnie od naprężenia tkankowego niezależny i pochodzi wyłącznie od silniejszego wzrostu tej strony organu, która jest na dół zwrócona. Co do doświadczenia Hofmeistera z liśćmi cebuli wręcz zaprzecza, aby ono wykonać się dało (rzeczywiście i Sachs napróżno starał się to doświadczenie powtórzyć <sup>1)</sup> ze starszemi liśćmi, u młodszych zaś daje rezultat wprost przeciwny temu, o jakim mówi Hofmeister.

Frank rozumuje w sposób następujący: Gdyby zagięcie w górę pochodziło od różnic w naprężeniu tkanek, to jeżelibyśmy zaraz po zakrzywieniu odosobnili tkanki naprężające i naprężone, to ponieważ prężność już nie istnieje, więc te pojedyncze części powinnyby się wyprostować i wrócić do pierwotnej długości, a tkanki bierne obu stron stać się znów równymi. Wychodząc z tego założenia, Frank robił odpowiednie doświadczenia, aby się przekonać czy to rzeczywiście ma miejsce. Odcinał kawałki łądyg, mierzył ich długość i umieszczał w ciemności, przykrywając odciętą powierzchnię wilgotną ziemią. Gdy nastąpiło zakrzywienie, oznaczał najprzód jego wielkość jak również długość tkanek biernych obu stron i rdzenia w całym organie, następnie zaś tkanki te odosabniał i znów mierzył ich krzywizny i długości. Otóż okazało się w sprzeczności z konsekwencjami Hofmeisterowskiej teorii, że długość dolnej tkanki biernej pozostała większa od górnej, że krzywizna dolnej tkanki biernej zmniejszała się, górnej zwiększała o tyle o ile następuje zakrzywienie się tych tkanek odosobnionych z organu prostego, że wreszcie rdzeń zachowywał w całości a przynajmniej w części długość całego organu.

Tak więc naprężenie tkankowe istniało w tym zagiętym organie zupełnie tak samo jak gdyby on był prostym, więc jego różnice na dwóch połowach organu zakrzywienia wywołać nie mogły, zakrzywienie to pochodzi od przewagi wzrostu na tej stronie poziomego organu, która jest ku dołowi zwrócona. Prostowanie się odosobnionego rdzenia w pewnych razach nie tu nie przesądza, okazuje tylko, że rdzeń nie uległ działaniu siły ciężkości przyspieszającej wzrost dolnej jego strony i jest tylko biernie do zagięcia zmuszony, co tłumaczy się zwykle wcześniej niż w innych tkankach następującem obumieraniem rdzenia. To tłumaczenie wydaje nam się być nieco naciągane a przynajmniej brak mu doświadczalnych podstaw; jeżeli bowiem rdzeń jest tu biernie zmuszony do zagięcia się w górę, to w ogóle jego czynność naprężająca, ustaćby musiała,

<sup>1)</sup> „Handbuch der Experimental-Physiologie der Pflanzen. — Leipzig. 1865, st. 505.

boć nie może jednocześnie téj saméj tkanki wyciągać i być przez nią wyciąganym, czy zaś rzeczywiście naprężające działanie rdzenia ustaje, o tém Frank nie wspomina wcale <sup>1)</sup>.

Cokolwiekbydz rezultat pracy Franka i to we względzie wyjaśnienia przyczyny zaginania się organów nadziemnych rośliny w górę, jest znowu ujemny. Przez wykazanie niezależności tego ruchu od naprężenia tkankowego, zbił on tłumaczenie postawione przez Hofmeistera, ale na jego miejscu swego nie postawił. Bo czyż można nazwać tłumaczeniem to, że powiemy, że siła ciężkości sprowadza, że organa poziomo lub ukośnie położone, rosną na dolnej stronie silniej niż na górnej, skutkiem czego następuje zagięcie w górę. Że tak jest to prawda, ale dla czego? Jaki jest powód, że siła ciężkości inaczej działa na korzenie a inaczej na łodygi? tych pytań Frank nawet sobie nie stawia, uważając je może za niepodobne do rozwiązania. Nie chce on nawet przyjąć hipotezy Sachsa <sup>2)</sup>, która przypuszcza, że silniejszy wzrost dolnej połowy, powodujący zagięcie w górę, pochodzi od większego napływu soków, które jest skutkiem prostego tych soków ku dołowi ciężenia. Hipoteza ta wydaje mu się być zbyt grubą, woli więc wyrzec się wszelkich pokusom bliższego wyjaśnienia téj zawilég kwestyi.

Na cios wymierzony przez Franka przeciwko swojej teorii odpowiedział Hofmeister w sposób nader gwałtowny w *Gazecie Botanicznej* z r. 1868 nr. 16 w artykule „o zaginaniu się na dół wierzchołków rosnących korzeni“. Samo zaczęcie artykułu od słów: „pewien dr. A. B. Frank z Lipska (ein Dr. A. B. Frank aus Leipzig etc.)“ daje miarę rozdrażnienia, w jakim się znajdował Hofmeister. Jakkolwiek nie przypominamy sobie, aby Frank gdziekolwiek chciał dotknąć osobistości Hofmeistera, ostatni wyraża się, że z tym panem nie ma co mówić, bo sposób w jaki przemawia Frank, stawia go po za obrębem wykształconego towarzystwa. I o cóż to taki gniew? o to, że Frank nie chce wierzyć, aby korzenie miały końce

<sup>1)</sup> Najnowsza praca o zaginaniu się łodyg w górę, są pomiary Sachsa „Längenwachstum der Ober- und Unterseite horisontalgelegter sich aufwärts krümmender Sprosse“ (Mierzenia długości górnej i dolnej strony poziomo położonego w górę się zakrzywiającego organu). Z niej pokazuje się, że działanie siły ciężkości poziomo leżącego organu, nie tylko przyspiesza wzrost jego na dolnej stronie, ale i zwalnia wzrost na stronie górnej, t. j., że wzrost strony dolnej zaginającego się w górę organu, jest szybszy; wzrost strony jego górnej, wolniejszy, niż wzrost tego organu w normalnem położeniu. Naprężenie tkankowe takie, według Sachsa, większe jest na górnej wklęsłej stronie, aniżeli na dolnej wypukłej.

<sup>2)</sup> Handb. d. Exp. — Physiol. d. Pfl. s. 510.

plastyczne. Czyż warto sobie psuć krew dla tak błahej rzeczy, pomyśli nie jeden z czytelników. Ale przejdźmy do argumentów jakimi Hofmeister broni zagrożonej przez Franka swojej teorii.

Z zupełną słuszością jak nam się zdaje mówi Hofmeister, że tłumaczenie zjawisk, którymi się zajmujemy podane przez Franka, nie jest właściwem tłumaczeniem, ale po prostu omówieniem. Że tak jest, mówiliśmy już wyżej, to jednak nie przesądza o prawdziwości tłumaczenia podanego przez Hofmeistera.

Co do kiełkowania na poziomej płycie, nasz uczony obstaje przy rezultatach swoich dawniejszych doświadczeń i nie wierzy, aby podania w tym względzie Franka mogły być prawdziwe, a możliwe wyjątki objaśnia jak dawniej.

W doświadczeniu z zawieszenia roślinki za koniec korzonka na nitce, widzi Hofmeister potwierdzenie plastyczności korzenia, bo jak twierdzi, sam koniec zawsze zwrócony jest prostopadle w górę, a tylko starsza część może utworzyć haczyk o jakim mówi Frank. To tworzenie się haczyka, objaśnia Hofmeister z przesuwania się środka ciężkości w czasie wzrostu roślinki. To objaśnienie nie jest nam dosyć jasne, dla tego je pomijamy.

Oryginalnym sofizmatem usiłował Hofmeister zmniejszyć doniosłość doświadczeń nad wrastaniem korzonków w rtęć. I teraz przytacza szereg doświadczeń, w których prawie nigdy korzonki w rtęć nie wrastały, ale nadto powiada, że choćby korzonki w rtęć wrastały a nawet w niej na dół zaginać się mogły, to pomimo to, ruch ten mógłby być tylko biernym. Rtęć korzonka nie macza, więc pomiędzy ostatnim a pierwszą jest przestrzeń spowodowana przez depressją kapilarną, w tę więc przestrzeń koniec plastyczny korzenia wchodzi przez bierne ciśnienie, to powoduje nową depressją i utworzenie nowej przestrzeni, w którą korzonek wejść może i t. d. Tym razem chciał sobie chyba Hofmeister zażartować z czytelnika, bo jak następnie słusznie Frank zauważył, w ten sam sposób każde ciało gatunkowo lżejsze od rtęci, jeżeli tylko przez nią maczane nie jest, tonącby w niej winno, a przecież tego nikt jeszcze nie widział.

Bardzo interesującym i wielką bystrością umysłu nacechowanym, choć zresztą nieco naciąganem jest rozumowanie Hofmeistera z okazji powtórzenia doświadczenia Johnsona.

Podaje on, że ciężarek 0,23 gr. wystarczał do zagięcia w górę końca korzonka ważącego 0,013 gr. Przy obciążeniu 0,04 gr. korzonki rosły dalej poziomo, nie zaginając się ani na dół ani w górę, ale i ciężarek 0,168 gr. 13 razy większy od wagi, końca korzenia nie wystarczał do zagięcia go w górę, więc rezultat dla teorii pla-

styczności niezbyt korzystny. W tym kłopotcie radzi sobie Hofmeister następującym rozumowaniem, w którym znów ów niepozorny czepeczek korzeniowy pierwszorzędna odgrywa rolę.

Przecięcie poprzeczne końca korzenia pionowo na dół rosnącego jest kołem, także przecięcia korzenia, który rósł w kierunku poziomym jest elipsą lub figurą której oś dłuższa stoi pionowo. Ten kształt eliptyczny pochodzi ztąd, że górna połowa korzenia jest grubsza i silniej ku górze wypukła aniżeli dolna. Ten wzrost grubości odpycha czepeczek tak, że ta na dolnej stronie dalej ku tyłowi zachodzi aniżeli na górnej, co rzeczywiście na podłużnym przecięciu końca poziomo rosnącego korzenia pod mikroskopem widzieć można. Skutkiem tego jest, że na górnej stronie powierzchnia tkanki plastycznej nie pokrytej czepeczkiem jest większa, aniżeli na dolnej. A że czepeczek przez swoją twardszą konsystencję i prężność tkankową utrudnia zaginanie się korzenia, więc zagięcie w górę będzie utrudnione niż zagięcie na dół, to też gdy do pierwszego już ciężar samego końca korzenia wystarcza, dla wywołania drugiego nawet ciężar 13 razy od niego większy jeszcze jest za mały. Mimo całej subtelności tego rozumowania, tylko przy bardzo dobrej woli możnaby na niem poprzestać, choćby też tylko dla tego, że przecie i przy zagięciu na dół nietylko górna naga ale i dolna czepeczkiem pokryta strona końca korzonka zagiąć się musi.

O ruchach części nadziemnych w górę, mało tu Hoffmeister wspomina, ważnem jest tylko jego twierdzenie, że nawet organa już nierosnące wcale od dawna, mogą zaginać się w górę, że więc w ten sposób zagięcia przez nierówny wzrost dwóch połów tłumaczyć nie można. Za przykład stawia ogonki liściowe bluszczu.

W obronie swojej napisał znowu Frank w Nrze 35 i dalszych Gazety botanicznej z tegoż roku artykuł pod tytułem: „O zarzutach Hofmeister'a przeciwko mojej nauce o geotropizmie“. Twierdzi tu, że jego sposób tłumaczenia jest rzeczywiście objaśnieniem, wyłączającym to, jakie podał Hofmeister, a nie prostem omówieniem tylko. Że pojęcia Franka wyłączają Hofmeisterowskie, na to się zgadzamy, aby jednak były rzeczywiście tłumaczeniem faktów, na to, jak to już wyżej okazaliśmy, zgodzić się nie możemy.

W artykule tym opisuje znów wszystkie znane nam już doświadczenia, które z tym samym co dawniej rezultatem powtórnie wykonał. Przechodzenie ich znowu po szczególe nie miałoby dla nas żadnego interesu, bo tam gdzie przy tem samem w jednakowy prawie sposób wykonywane doświadczenia każdy z experymentatorów widzi co innego, gdzie np. jeden widzi jak korzenie w rtęć wrastają, drugi jak się po jej powierzchni czołgają, tam mówię, jedynym

sposobem wyrobienia sobie pewnego przekonania jest powtórzyć samemu te doświadczenia, dla tego też wspomnimy jeszcze później pokrótce o rezultatach, jakieśmy przy tem powtórnie otrzymali.

Nowe argumenta Franka, jak np. to, że nie możemy nawet do 90° zagiąć końca korzenia bez złamania go, albo, że przy przyciskaniu do twardego przedmiotu końca korzenia, tenże pęka wylewając swój sok komórkowy, zdają mi się mieć małe bardzo znaczenie. Ważniejszym byłoby to, że w tem poniżej 5°C., w której korzenie nie rosną, nie mogą się też na dół zaginać, ale na to znajdujemy odpowiedź w znaczeniu, jakie przypisuje Hofmeister czepeczkowi korzeniowemu.

Co do zaginania się w górę, Frank stanowczo zaprzecza, aby ono mogło mieć miejsce nawet bez wzrostu organu. Być może, powiada on, że organ będąc w normalnem położeniu, przestał się już wydłużać, ztąd jednak bynajmniej nie wynika, aby nie mógł się wydłużać wtedy, gdy położenie jego zmienimy na nienormalne. Rzeczywiście ogonki liściowe bluszczu, o jakich mówi Hofmeister, nawet starsze niż jednoroczne przy zaginaniu się w górę, wydłużają się, pomimo że wzrost swój podłużny dawno już ukończyły.

Za dowód wielkiego taktu ze strony Franka pocytujemy, iż w swojej odpowiedzi w niczem nie dotknął osobistości Hofmeister'a a nawet zgryźliwe i niegrzeczne zaczepki ze strony tego ostatniego, zupełnem pokrył milczeniem.

I tym razem nie pozostawił Hofmeister Franka bez odpowiedzi. W N. 3 i dalszych gazety botanicznej z r. 1869, ogłosił artykuł pod tytułem: „O biernem i czynnem zaginaniu się wierzchołków korzeniowych na dół“ Hofmeister ubolewa tu przede wszystkim, że znajomość elementarnych zasad fizyki, nie jest tak rozpowszechnioną jak on przypuszczał, i że zmusza go do wejścia w szczegóły, które z kądinad byłyby zbyteczne. Mimo tych szczegółów jednak, mimo obszerności artykułów nie sądzimy, aby i tą razą mógł kogo Hofmeister o prawdzie teorii przekonać. Nie podaje on żadnych nowych argumentów, ale kładzie główny nacisk na warunki w jakich doświadczenia odbywać się winny. Aby zagięcie końca korzenia na dół mogło mieć miejsce, potrzeba według niego koniecznie zetknięcia się jego z płynną wodą i odpowiedniej dla vegetacyi temperatury, inaczéj czepeczek nie rozluźni komórek swéj tkanki, a pokrywając całą część plastyczną korzenia, nie dopuści zagięcia się jego na dół. W źle wykonywanych doświadczeniach, widzi Hofmeister źródło wszystkich zarzutów przeciwko swojej teorii, bo twierdzi, że przy niekorzystnych dla vegetacyi warunkach zagięcie czynne na dół może mieć rzeczywiście miejsce, nie ma ono jednak nic wspólnego

z normalnym biernym zagięciem na dół, i następuje przynajmniej w odaleniu 5 un. od końca. Tak podaje, że w doświadczeniu Johnsona przy jednakowym obciążeniu przez O, 134 gr. stosownie do warunków temp. i wilgoci następowało zagięcie w górę, dalszy wzrost poziomy, albo wreszcie nawet wygięcie na dół z podniesieniem ciężarka. To jednak czynne wyginanie się na dół, niema według Hofenmeistra żadnego znaczenia dla rośliny, siła bowiem jego ma być zbyt słabą, aby mogła rozsunąć cząstki ziemi. To ostatnie twierdzenie brzmi nam dość oryginalnie, bo jakkolwiek małą byłaby to siła, zawsze jest większą od tej jakiej to samo znaczenie przypisuje Hofmeyster. Doświadczenie Johnsona proponuje Hofmeyster zastępować nadal przez dogodniejsze doświadczenie z ważką. Jeden talerzyk obciążyć małym ciężarkiem, a drugi przykryć wilgotną bibułą, i na niej wesprzeć koniec korzonka. Gdyby zaginanie było wyższem powinnyby nastąpić i podzielić szalkę z ciężarkiem. Tymczasem już ciężarek O, 3 gr. wystarcza nawet do zagięcia korzonka w górę, więc dowód plastyczności końca korzonka. Nam się zdaje, że to niczego nie dowodzi, bo w takim razie waga ciężarka o 10 razy mniejsza powinna by już wystarczyć na zagięcie korzonka w górę.

Hofmeister znów powtarza doświadczenia z kiełkowaniem na poziomej płycie i nad rtęcią, i w obu znów widzi potwierdzenie swjej teorii. Opisuje w jaki sposób najlepiej doświadczenia z rtęcią wykonywać, twierdzi, że w bardzo wyjątkowych tylko razach korzenie w rtęć zagiąć się i wnąć mogą i to najwyżej 2 m. m. głęboko, co objaśnia także w ten sposób, że najprzód następuje zagięcie w górę, a potem dopiero koniec korzonka może swobodnie wygiąć się na dół, a dochodząc w prostopadłym kierunku do rtęci, może się w nią cokolwiek zagłębić. Jeżeli korzeń dojdzie do ściany naczynia rtęć zawierającego, to i tak tylko chwilowo uchodzi między te ściany i rtęć, później zaś odchyła się na bok i wychodzi na powierzchnię rtęci. Kończąc artykuł oświadcza, że sądzi, że rzecz wytłómaczył w sposób dla każdego zrozumiały i przekonywający, i że z tego powodu kwestyją tą więcej zajmować się nie będzie.

Frank nie odpowiedział już na ten artykuł bo rzeczywiście nie miał już powodu odpowiadać, wkrótce jednak potem ogłosił w gazecie botanicznej Dr. J. C. Müller docent uniwersytetu Hejdelberskiego artykuł pod tytułem: „Tymczasowa notatka z badań nad zjawiskami wzrostu korzeni“. Z niepospolitą arrogancją wyraża się, że nie myśli mieszać się do sporu między Frankiem a Hofmeisterem, gdyż jak powiada obaj ci panowie wychodzili z domysłów które dla niego były niczem, i że przedewszystkiem chciał te dane doświadczalnie ustalić. Stawia sobie tedy za zadanie zbadanie praw rządzących

wzrostem korzeni. W tym celu używał on zwykłej metody Ohlerta znaczenia korzeni kreskami i mierzenia raz po raz odstępów między nimi, a tylko metody tej z większą używał dokładnością nieużywając do mierzenia odstępów katetometru, za co też nie oszczędza sobie pochwał. Mierzenia powtarzał w krótkich odstępach czasu, a rezultaty wyrażał w liniach krzywych, w których odcięte stanowił czas, rzędne odległość kreski lub wierzchołka korzenia od pewnego stałego na korzeniu punktu. W ten sposób Müller przekonał się że w czasie niezbyt długim całkowity przyrost korzeni jest proporcjonalny do czasu, bo linia wyrażająca odległość końca korzenia od stałego punktu jest prosta, przyrosty zaś cząstkowe są tym mniejsze im część korzenia którą uważamy, dalej leży od jego końca, bo tym [w linie które wyrażają odległości pewnej kreski od stałego punktu są krzywe, i tym bardziej zbliżają się do równoległości z osią odciętych, im dalej od końca są położone. Oto główne rezultaty, które Müller przybiera, tylko w formy bardziej dla zwykłego czytelnika niezrozumiałe, mówiąc, że przyrost całkowity jest funkcją liniową, przyrost cząstkowy funkcją nieliniową czasu, i stara się te prawa ująć w algebraiczne wzory  $y = a + bt$  dla porostu całkowitego gdzie  $a$ , jest rzędna punktu stałego na korzeniu,  $b$ , styczną tryg. kąta, jaki linia całkowitego przyrostu tworzy z osią odciętych  $t$  czas, dla przyrostu zaś cząstkowego daje wzór  $y = a - T + bt$  gdzie  $T$  oznacza odległość punktu danego od końca korzenia, ma ono być funkcją czasu, jaką zaś to obiecuje Müller rozebrać w obszerniejszej swój pracy.

W rozszerzeniu rezultatów doświadczeń rotacyjnych Knigt'a twierdzi Müller, że nietylko kierunek, ale i siła wzrostu zależy od kierunku i natężenia wypadkowej zewnętrznych sił działających. Twierdzenie tego zdania widzi w rezultatach swoich badań z aparatem rotacyjnym. Widział on, jak podaje stale nie tylko odchylenie się korzenia od pionowego kierunku, ale jednocześnie silniejszy wzrost tegoż, nie zauważył jednak nigdy jakiegokolwiek zwięźnienia o jakim na poparcie swój teorii o plastyczności końców korzeni wspomina Hofmeister. W konsekwencji tego wnosi Müller, że natężenie wzrostu musi też zależeć od gęstości środka, że w środku gęstszym musi być mniejsze jak w rzadszym. (W doświadczeniach porównawczych znalazłem przecięciowy stosunek przyrostu w wodzie do przyrostu w rtęci jak 6 i 7).

Co się tycze doświadczeń z kiełkowaniem nad rtęcią, Müller twierdzi, że korzenie w rtęć wrastają i że to jest stanowczym dowodem, że przy zaginaniu się na dół, wykonywują pewną pracę, że więc wobec tego teorya bierności tych ruchów, ostać się nie mo-

że <sup>1)</sup>. Müller mówi, że oznaczał zależności między tą zewnętrzną pracą mechanizmu a procesem spolenia przy kiełkowaniu roślinki i obiecuje rezultaty podać w obszerniejszej swęj pracy. Podobne zależności byłyby niewątpliwie niezmiernie interesujące, ale niestety, o ile wiemy, dotąd ich Müller nie ogłosił <sup>2)</sup>.

Ostatnim, który występował w zajmującej nas kwestyi, był Spesneff. W artykule ogłoszonym w jednym z sierpniowych nu-

<sup>1)</sup> W sprzeczności z tem w artykule zamieszczonym w ostatnich numerach „Gazety botan.“ z r. 1870, Müller twierdzi, że wrastanie korzeni w rtęć, nic ani za, ani przeciw teorii Hofmeister'a nie mówi, bo działanie rtęci jest czysto zewnętrzne na cały koniec korzonka, kiedy siła ciężkości na każdą komórkę, na każdy molekuł po szczególe oddziaływa. Nie rozumiemy, jak zdanie podobne z pod pióra tak naukowego człowieka wyjść mogło. Prawda, że działanie rtęci jest inne, aniżeli działanie siły ciężkości, to też nikt nie twierdzi, aby pierwsze, drugie zносиło, i nikt też opierając na wrastaniu korzeni w rtęć, nie zaprzecza, aby zaginanie się korzeni na dół, nie było skutkiem działania siły ciężkości, ale doświadczenie to stanowczo wyłączać musi bierne ciążenie całej masy końca korzonka, jakie dla wytłumaczenia tego zaginania, przyjmuje Hofmeister.

<sup>2)</sup> Obiecana praca Müllera ukazała się w Nr. 41, 42, 43 „Botanische Zeitung“ 1871. Co się tycze praw wzrostu wyrażonych w formułach algebraicznych, spotykamy tu tylko obszerniejsze powtórzenie i wyprowadzenie już nam znanych równań. Równania  $T = f(t)$  i tu Müller bliżej nie oznacza. Natomiast ważne i interesujące są porównawcze doświadczenia Müllera nad szybkością wzrostu korzeni w wodzie, rtęci i glinie garncarskiej. najszybciej wzrost odbywał się w wodzie, wolniej w rtęci, a najwolniej w glinie. Oczywiście przyczyny tego szukać należy w większym oporze, jaki glina i rtęć stawia wzrostowi korzenia, niż woda. Przy przecięciu tego oporu, większa praca mechaniczna musi być wykonaną, do tego potrzeba zużyć więcej siły; ta ma swoje źródło w procesie palenia materiałów zapasowych nasienia, jeżeli ten próces w rtęci, glinie i wodzie (przy jednakowych zkał-inał warunkach) odbywa się jednakowo, więc i siła działająca wszędzie będzie równą, więc dla wykonania większej pracy, dłuższego potrzebować musi czasu, więc w jednostce czasu więcej może rozsunąć cząstek ciała gatunkowo lżejszego jak woda, nie gęstszy jak rtęć, lub zbitego jak glina; ztał przyrost w wodzie musi być szybszy, niż w rtęci lub glinie, co rzeczywiście doświadczenie stwierdza. Müller oznaczał maximum obciążenia, przy jakim jeszcze korzeń rosnąć może i przekonał się, że to dla kiełkującej kukurydzy wynosi około 6,5 gr, to znaczy, że jeżeli korzeń przy wzroście potrzebuje podnosić ciężar 6,5 gr., to przyrost jego już nie da się dostrzedz. Müller oznaczył także ilość wydzielającego się przy wzroście kwasu węglowego i przekonał się, że ilość jego jest ta sama, czy korzenie rosną swobodnie, czy też muszą pokonywać pewien opór.

Co się tycze zaginania się korzeni na dół, Müller mierzył siłę i jaka ta ma miejsce za pomocą spiralnej sprężyny, którą korzeń przy zaginaniu się na dół, musiał rozciągać. Notowano wyciągnięcie, a po odjęciu korzonka, równoważono je ciężarkiem odpowiednim.



merów Gazety botanicznej, 1870 r. pod tytułem „Do pytania o zaginaniu się na dół korzeni“ (Zur Frage der Abwärtskrümmung von Wurzeln).“ W nim podaje tylko rezultaty powtórzenia doświadczeń Franka, które zupełnie zgodnie z rezultatami tego ostatniego, a w przeciwieństwie z teorią Hofmeistera wypadły.

O artykule Müllera w końcu r. 1870 w Gazecie botan. ogłoszonego, mówić nie będziemy, bo nie zawiera on nic, co by na naszą kwestyą światło rzucić mogło <sup>1)</sup>.

---

W ten sposób oznaczył się zaginającą korzonek wyki na dół naokoło 0,7 gr., kiedy jego koniec zaginający się, ważył tylko 0,03 gr. Siła ta więc przeszła 20 razy przewyższa ciężar korzonka, co naturalnie za teorią plastyczności bynajmniej nie przemawia.

<sup>1)</sup> Na posiedzeniu 15go lipca 1871 r. towarzystwa fizyczno-lekarsk. w Würzburgu, Sachs niewątpliwie najznakomitszy z dzisiejszych fizjologów roślin, dał krótkie sprawozdanie z doświadczeń swoich nad naszą kwestyą (Botan. Zeit. z r. 1861 Nr. 44). — Zajmował się on zboczeniami korzeni od właściwego ich kierunku pod wpływem pewnych okoliczności. Jeżeli mianowicie korzeń był z jednej strony w zetknięciu z ciałem wilgotnem np. gąbką, cegiełką torfu itp., wtedy koniec korzonka zaginał się wklęsłością ku temu ciału i rósł ściśle do niego przylegając ukośnie, lub nawet poziomo stósownie do położenia tego ciała wilgotnego. Jeżeli jednak przyrząd umieszczono w przestrzeni nasyconej parą wodną, wtedy fakt ten nie występował i następowało zwykle zagięcie na dół. Doświadczenia te, które szczegółowo są opisane w drugim zeszyte czasopisma wydawanego w Würzburgu przez Sachsa, mogą rzucić nie małe światło na naszą kwestyę i stanowić jedno kryterium dla każdej teoryi dążącej do jęj wyjaśnienia.

Do ostatnich publikacyj w naszej kwestyi, należy rozprawa inauguralna p. Teofila Ciesielskiego: „Untersuchungen über die Abwärtskrümmung der Wurzel. Breslau. 18712.“ Praca ta, która zyskała pochwałę ze strony tak znakomitego znawcy, jak Sachs (Arbeit des Bot. Inst. in Würzburg. Zeszyt 2, str. 119), daje najprzód treściwy ale wyczerpujący przegląd literatury, następnie własne obserwacye, wreszcie nową hipotezę do wyjaśnienia zaginania się korzeni na dół. Z dziedziny faktów, oprócz powtórzenia niektórych dawniejszych doświadczeń, znajdujemy w pracy pana Ciesielskiego dwie nowe obserwacye: 1o. „zaginanie się korzenia na dół, następuje tylko wtedy, gdy koniec korzenia nie jest uszkodzony“, jeżeli przeciwnie zostanie uszkodzony np. odcięty w samym wierzchołku na pół milimetra długości, wtedy nie tracąc zdolności wydłużania się, traci zdolność do zaginania się na dół pod wpływem siły ciężkości.

2o. Prosty korzonek kiełkującej kukurydzy Ciesielski ułożył na powierzchni wody tak, że woda maczała tylko dolną stronę korzenia, przytem wierzchołek korzenia zamiast na dół, zagiął się w górę, a wznosiłszy się 3 — 4 mm. nad powierzchnię wody, zagiął się na dół, potem dosięgnąwszy powierzchni wody, powtórnie w górę się zagiął, potem znów na dół itd. — U korzonków roślin groszkowych, zjawisko to nie występuje tak wyraziście, ale według Ciesielskiego, zaginanie się na dół, ma następować nierównie wolniej w więcej rozwartym łuku, aniżeli w zwyczaj-

Na zakończenie podamy tylko rezultaty, jakie sami przy powtórzeniu powyżej opisanych doświadczeń, otrzymaliśmy.

Na drewnianej deszczułowce umocowano kiełkujące nasiona grochu tak, aby korzonek płasko leżał na deszczułowce, ostatnią położono na talerzu z wodą dla utrzymywania ciągłej wilgoci i wstawiono wszystko w skrzynkę blaszaną z podwójnymi ścianami, między które wlewano wodę i nagrzewano lampką gazową tak, aby termometr umieszczony w środku skrzynki, wskazywał 27 — 30° C.

nych warunkach. Tak samo ma się w górę zaginać korzonek rosnący na poziomej, mokrej płycie. Więc zetknięcie jednej strony korzonka z wodą, sprawia tu przyspieszenie wzrostu tej strony.

Już w tym miejscu zwrócić musimy uwagę czytelników na rażący kontrast pomiędzy temi obserwacjami Ciesielskiego, a tylko co opisanymi przez nas doświadczeniami Sachs'a. Tam zetknięcie lub większe zbliżenie jednej strony korzonka z wilgotnym przedmiotem, wywoływało opóźnienie wzrostu, tu u Ciesielskiego, sprowadza jego przyspieszenie. — Cóż o tem sądzić? Czy przypuszczać, że jeden z obserwatorów widział to, czego nie było? Nie, zapewne tylko bliższe, niedostrzeżone jeszcze warunki, te różnice spowodowały, albo też fakta przez Ciesielskiego obserwowane odnoszą się wyłącznie do pewnych wyjątkowych tylko roślin.

Teraz musimy! jeszcze w kilku słowach dotknąć objaśnienia, jakie usiłuje dać Ciesielski do wytłumaczenia zaginania się korzonków na dół. Za punkt wyjścia służy Ciesielskiemu doświadczenia Traubego nad wzrostem sztucznych komórek, które powstają przy włożeniu kryształku chlorku miedziowego do roztworu żelazosinku potasu. Powstaje komórka z błoną z żelazosinku miedzi i zawartością rozpuszczającego się chlorku miedziowego. Ta komórka rośnie przez intususcepcję przeważnie od strony w górę zwróconej, a to jak i Traube utrzymuje dla tego, że ten roztwór żelazosinku potasowego, jest mniej stężony,

Z tego doświadczenia Ciesielski wnosi, że i roślin zawartość komórkowa mniejszego zgęszczenia więcej jest zdolna do wydzielania błony roślinnej, aniżeli zawartość gęsta. Soki odżywcze z liśćmi do korzonków doprowadzone są za pomocą osiowej wiązki włóknonaczynnej; ztąd rozchodzą się w górę i na dół do parenchimy korowej i naskórka. Otóż skutkiem działania siły ciężkości w poziomo leżącym korzonku, soki gęstsze mają się nagromadzać na dolnej, rzadsze na górnej stronie korzonka, a więc strona górna, jako mająca soki mniej zgęszczone, miałaby rosnać silniej, strona dolna z zawartością bardziej zgęszczoną, a więc mniej zdolną do wydzielania błony komórkowej, słabiej; naturalnym zaś wynikiem tego nierównego wzrostu, musiałoby być zagięcie się na dół. — Ciesielski badał pod mikroskopem przecięcia podłużne zgiętych korzonków i przekonał się, że rzeczywiście na stronie wypukłej zawartość jest rzadsza, przezroczysta; na wklęsłej, gęsta, ciemna.

Ta hipoteza Ciesielskiego w żaden sposób nie może wytrzymać krytyki. Przedewszystkiem musimy zapytać, dla czego p. Ciesielski zupełnym pokrył milczeniem zaginanie się łodygi w górę. — Działania siły ciężkości tak na korzenie jak i na łodygi się rozciąga, wszelka więc hipoteza prze-

Prawie nigdy nie obserwowano, aby korzonek przyległ do deszczułki, jak to podaje Hofmeister, w wyjątkowych tylko razach miało miejsce podniesienie końca korzenia w górę, ale w tem właśnie miejscu, w jakim zwykle następowało zagięcie na dół, były to więc te nieprawidłowe wypadki, o jakich wspomina Frank. Najwięcej, a nawet prawie zawsze zdarzało się, że starsze części korzenia zaczęły od deszczułki odstawać, koniec zaś ciągle był na niej wsparty, wyraźnie jakby to podniesienie starszych części spowodowane było przez dążenie korzenia zaginania się na dół, powstrzymywane przez

---

dewszystkiem wyjaśnić winna, dla czego działanie to na łodygę jest wprost przeciwnie jak na korzenie, aby hipoteza p. Ciesielskiego mogła być możliwą dla łodygi, potrzebaby wykazać, że taż sama siła ciężkości która powoduje nagromadzenie się gęstszych soków na dolnej stronie poziomo leżącego korzenia, sprowadza soki rzadsze na dolną stronę łodygi, co zdaje się nam być zupełnym niepodobieństwem. Obserwowanie na wypukłej stronie korzenia mniej zgęszczonych soków, nie na wklęsłej, niczego nie dowodzi, jest ono jak to już Vocht zauważył (l. c. p. 220) raczej skutkiem, aniżeli przyczyną silniejszego wzrostu tej strony.

Doświadczenie z kukurydzą, któreśmy opisali, w którym koniec korzonka w jednej stronie przez wodę maczanego, zagina się w górę, co Ciesielski objaśnia przez rozcieńczenie się soków dolnej strony, niczego nie dowodzi, bo naprzeciw niego stoją obserwacje Sachsa, w których właśnie silniejsza transpiracja (a więc zgęszczenie soków) po jednej stronie powodowała silniej na tej stronie wzrost. Prawda, że to doświadczenie ogłoszone było już po wyjściu pracy Ciesielskiego, nie mogły więc przez niego być wzięte pod uwagę, ale podobne doświadczenia robił już Johnson. Sądząc z cytata, zdawałoby się, że p. Ciesielski zna tę pracę, bo przy literaturze cytuje: „Edinb. new. philos. journal 1828 s. 312“, gdzie właśnie według cytaty Sachsa ta praca się znajduje, podobnie cytuje autor Linea B. V 1830 p. 145 des Literaturberichts, gdzie właśnie znajduje się referat tej pracy. Jeżeli autorowi znaną była ta praca, to przy stawianiu swej hipotezy należało ją uwzględnić; jeżeli nie, to trzeba było podać, z kąd się zaczerpnęło cytate.

Tak więc i na hipotezę p. Ciesielskiego zgodzić się nie możemy i nadal uważać musimy kwestyą przyczyny geotropizmu dodatniego korzeni i ujemnego łodyg za nierozstrzygniętą.

Do tych nienormalnych zagięć się końców korzeni zaliczyć trzeba także fakt, który niedawno sam miałem sposobność obserwować. Nasiona zwyczajnej rzodkwi kiełkowały na wilgotnej bibule w strumieniu czystego tlenu. Niektóre korzonki przy jednym doświadczeniu 10 ze 100 zasianych miały koniuszeczki korzonków raz, a nawet 2 razy spiralnie skręcone. Widocznie tu była ciągła przewaga wzrostu po jednej stronie. Komórki po stronie silnie rosnącej były silniej wydłużone ale węższe niż po wklęsłej a ich ścianki poprzeczne były do podłużnych nachylone tak, że tkanka przybierała pozór przejścia do proseuchimatycznej. Takie korzonki prawie zawsze napotykałem przy kiełkowaniu w tlenie, nigdy przy kiełkowaniu w powietrzu. Wytlumaczyć tego faktu dotąd nie jestem w stanie.

stałą przeszkodę. Rzeczywiście jeżeli niezmiennie położenia roślinki, było ją zwolna podnieść nad deszczułkę, korzonek obniżał się przez sprężystość może starszych części, widocznie więc, że te ostatnie były biernie przez koniec korzenia, dążący na dół, podniesione.

Prawda, że w myśli teorii Hofmeister'a przypuścićby można, że najprzód nastąpiło czynne zagięcie w górę starszych części korzenia, przez co korzeń tegoż został podniesiony, potem ostatni biernie zagiął się na dół, a gdy doszedł do deszczułki, wydłużanie się komórek do niej go przyciskało i tem samem powodowało biernie już podniesienie starszych części korzenia, ale przypuszczenie takie byłoby zupełnie dowolnym, bo nie obserwowano nic, coby na jego prawdopodobieństwo wskazywało.

Na dno słoika szklanego nalano wody, Do korka przyklepiono lakiem dwie nitki jedwabne, koniec każdój z nich rozszczepiono na pojedyncze włókienka i między nie włożono koniuszek korzonka kiełkującego grochu i przyklepiono lakiem spirytusowym. W ten sposób roślinki zawieszono były w słoiku za koniuszki swoich korzonków, dla zmniejszenia ich ciężaru, liścienie poobcinano. Słoik wstawiono w tę samą skrzynkę blaszaną i jak zawsze temperaturę utrzymywano w 27 — 30° C. W miejscu, gdzie zwykle korzeń zagina się na dół, po pewnym czasie zaczęło tworzyć się małe zakrzywienie, które coraz bardziej się zwiększało, tak, że wreszcie koniec korzenia był zwrócony prostopadłe na dół, przybierając niejako kierunek samej nitki, na której był zawieszony i tworząc z resztą korzenia wyraźny haczyk. Zwrócono szczególną uwagę na sam koniuszek korzenia i widziano, że on stale zwrócony jest na dół, co już w żaden sposób z plastycznością jego pogodzić się nie da.

Roślinki kiełkujące grochu z zagiętymi korzonkami umocowano w naczyniu z wodą, tak, że liścienie były nad wodę a korzonki zagłębione były w wodzie i były końcami zwrócone w górę. Do tych końców na nitkach jedwabnych umocowano kawałeczki korków znaczących w laku spirytusowym. (W ten sposób zastąpiono doświadczenie Franka z owemi kuleczkami z bawełny). Z powodu swej mniejszej od wody ciężkości gatunkowej, te kuleczki z korków ciągnęły końce korzonków w górę. Siła z którą w ten sposób końce korzonków były ciągnięte w górę (która z łatwością dałaby się obliczyć zmierzwszy tylko objętość tych kulek), była znacznie większa niż ciężar końca korzenia, zwłaszcza też pogrążony w wodzie, bo odcięty korzeń koreczka wypływał z korkiem na wierzch. Mimo to widziano w jednym wypadku zupełnie wyraźnie jak koniec korzonka zagiął się na dół i wciągnął za sobą głębiej w wodę korzonek, siła więc,

jaką to wykonał musiała być większą od tej, z jaką korzonek był ściągnięty w górę, a tym bardziej od ciężaru końca korzenia, więc to zagięcie na dół biernem być nie mogło. W innych wypadkach zagięcie na dół mniej było widne lub wcale nie nastąpiło, co jednak nie zmniejsza znaczenia pierwszego wypadku.

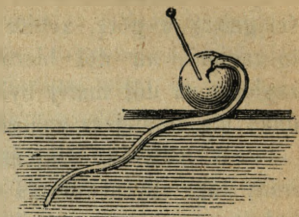
W naczynko szklane nalano rtęci do wysokości 2 cm. na nią wody tak, aby utworzyła warstwę kilku mm. Przez środek naczynka położono wąską deszczułeczkę, a na niej szpilkami umocowano kiełkujące nasionka grochu, tak aby koniec korzonka dotykał ręki, ale w niej się nie nurzał. Hofmeister zanurzał koniec korzonków w rtęci, przez co naraził swoje rezultaty na dłuższy ze strony Franka zarzut, że hydrostatyczne ciśnienie rtęci musiało w końcu zniszczyć opór sprężystości korzonka i wcześniej lub później na wierzch go wydestać.

Frank a za nim Spescheff umocowywali roślinki tak, że korzonki rtęci nie dotykały wcale, ale dopiero w skutek wzrostu do niej dochodziły. To wydaje nam się być niestosownem z tego względu że zawsze na obronę teorii Hoffmeistera przytoczyćby można, że zagięcie na dół nastąpiło wpierw nim korzonki doszły do rtęci, co by na jedno wyszło jak gdyby korzonki już od samego początku skierowane były w rtęć pionowo, wtedy wydłużanie się komórek mogłoby pomimo plastyczności wepchnąć w rtęć koniuszeczki korzeni. Aby obu tych zarzutów uniknąć, umocowywano jak wspomnieliśmy roślinki tak, aby korzonki końcami rtęci dotykały ale w niej nie były zagłębione. Co się tyczy kierunku to najczęściej korzonki płasko na rtęci białej, a więc tworzyły z nią kąt  $0^{\circ}$  w innych razach były do powierzchni rtęci nachylone pod pewnym kątem nie dochodzącym zwykle  $45^{\circ}$ . Przynajmniej w połowie wypadków obserwowano, że korzonki nawet te, które płasko na powierzchni rtęci leżały, zaginały się na dół i wchodziły w rtęć. Czasem więcej niż 24 godzin rosły będąc już w rtęci pogrążone, a długość zanurzonego końca nie 2 mm. najwyżej jak rtęć Hofmeister ale do 12 mm. dochodziła. Co więcej obserwowano szczególnie w jednym wypadku jak korzonek prawie płasko na rtęci leżący zagiął się na dół, i w rtęć zgłębił, gdy doszedł do pewnej głębokości, sprężystość jego starszych części nie mogła w zupełności przewyciężyć hydrostatycznego ciśnienia rtęci, tak, że w odległości około 4 mm. od końca korzonek zagiął się ku górze, nie wynurzył się jednak po nad rtęć, a znów koniec jego cały w rtęci zanurzony, powtórnie zagiął się na dół, i rósł jeszcze kilka milimetrów dalej. W ten sposób część korzonka w rtęci pogrążona, była 2 razy załamana (fig. 4.) raz ku górze,

drugi raz na dół. W obec tego wypadku zaledwo zasługuje jeszcze na wzmiankę, że gdy korzonek doszedł między ściany naczyń, a rteć nie wyginał się na bok jak utrzymuje Hofmeister, ale zaginał na dół i rósł zaraz aż do dna naczyń. Z tego zaginania się korzeni na dół w rteći możnaby nawet przybliżoną obliczyć siłę z jaką to uskuteczniają. Koniec korzenia zdolny do zaginania się, wynosi około 2 mm. przyjmują jego średnicę = 1mm, to mniej więcej objętość jego wynosić będzie około 2 mm. cub; ciężkość gatunkowa rteći jest 13, więc 2 mm, cub waży 0,026 gr. Siła z jaką korzeń pchany jest w górę, odrzucając od tego przybliżoną wagę korzenia 2 0 003 gr, pozostanie siła 0, 023 gr, którą koniec korzenia przewyciężyć musi, aby mógł się w rteći zagiąć. Siła więc z jaką korzeń dąży do zagięcia się na dół, musi być w tym razie większa jak 0, 023 gr. a więc musi być przeszło 8 razy większa niż ciężar końca korzenia, widocznie więc niemożliwą jest rzeczą, aby zaginanie się na dół pod wpływem samego tylko ciężaru końca korzenia następować miało, i niemożliwym jest przypuszczenie plastyczności w tkance korzenia.

Tak więc po powtórzeniu doświadczeń, na których opierali się botanicy spór wiodący, i my stanowczo przystąpić musimy do zdania Franka, że Hofmeisterowska teoryja plastyczności utrzymać się nie da, że tak jak w zaginaniu się części nadziemnych rośliny w górę tak i zaginanie się korzeni na dół, jakkolwiek wywołane jest działaniem siły większości, nie jest biernem, ale jest wynikiem czynnych sił w samej roślinie działających, których rezultatem jest silniejszy wzrost jednej połowy korzenia, które tu bezpośrednio zależne od siły ciężkości, ale których natury zupełnie dotąd nie znamy. Na tém wyznaniu naszej niewiedomości moglibyśmy rzecz całą zakończyć, ale wypada nam jeszcze uprzedzić zarzut jakiby nas słusznie mógł spotkać. Nie jeden z czytelników zauważy, że przecież w naturze nie zawsze korzenie prostopadle na dół, ani też łodygi i gałęzie nie wszystkie pionowo rosną w górę. Korzenie nieraz rozchodzą się w ukośnym a nawet poziomym kierunku. Gałęzie też bardzo rzadko tylko zupełnie stoją poziomo. Dla zupełności wspomnieć musimy, nie wdając się w szczegóły o najogólniejszych powodach te różne kierunki wzrostu wywołujących. Wszystkie one dadzą się sprowadzić do działania dwóch sił zewnętrznych: ciężkości i światła. Te dwie jednak siły w różnorodny sposób na rozmaite organy roślinne wpływ swój wywierają. Już powyżej widzieliśmy, że

Fig. 4.



siła ciężkości w korzeniach, powoduje zagięcia na dół, w łodygach zagięcie do góry; a więc w pierwszych zagięcie w kierunku swojego działania, w ostatnich w kierunku przeciwnym. Ztąd pierwsze działania nazywamy geotropizmem dodatnim, ostatnie geotropizmem ujemnym. Frank przyjmuje jeszcze trzeci rodzaj geotropizmu, który nazywa geotropizmem poprzecznym (*transversalis Geotropismus*), rezultatem którego jest wzrost organu w kierunku prostopadłym do działania siły ciężkości, leżąc w kierunku poziomym. Tak mianowicie gałęzie naszych drzew iglastych, gałązki lipy, wiazu, grabu, rosną stale poziomo. Znajdując się w innym położeniu, wykonywują odpowiednie ruchy, aby dojść do poziomego położenia. Te ruchy odbywać się mogą zarówno w ciemności jak w świetle, więc zależeć mogą jedynie od siły ciężkości.

Drugą siłą wpływającą na kierunek wzrostu roślin jest światło. Wpływ jego nazywamy heliotropizmem, a i ten wpływ nie zawsze jest jednakowym. Jedne organa roślinne zwracają się stale do światła, inne od niego się odwracają, inne wreszcie przybierają kierunek prostopadły do kierunku światła; znów więc kierunek poziomy. Ztąd Frank rozróżnia takie dwa stany ujemny i poprzeczny heliotropizmem. Te więc różne działania siły ciężkości światła i sił wewnętrznych rośliny wzajemnie się kombinując, sprowadzają różne kierunki wzrostu rośliny. Od przewagi jednego lub drugiego wpływu kierunki te zależą. O tym przekonać się możemy starając się sztucznie wpływy te rozdzielić. Objasnimy to na przykładzie łodyga pieniężnika (*Lysimachia numularia*) (to jest pieniążek), czołga się po ziemi; zdawałoby się więc, że ona odstępuje od ogólnego prawa zaginania się łodyg pod wpływem siły ciężkości w górę. Jeżeli przed wierzchołkiem tej łodygi zrobimy otwór w ziemi, to łodyga rosnąc dalej zagina się na dół i wejdzie w ten otwór; napozór więc zachowuje się jak korzeń. Ale jeżeli sztucznie ocienimy łodygę, tak że ona zupełnie od wpływu światła będzie zasłonięta, wtedy zagnie się w górę i pionowo dalej rosnąc będzie. Mamy tu więc dowód, że (*Lysimachia numularia*) jak inne, ma dążność zwracania się w kierunku przeciwnym sile ciężkości ale obok tego posiada drugą dążność odwracania się od światła czyli ulega ujemnemu geotropizmowi i ujemnemu heliotropizmowi. Ale że heliotropizm jest wpływem silniejszym usuwa więc słabszy wpływ siły ciężkości i sam nadaje kierunek wzrostowi łodygi. Normalny układ liści z poziomym położeniem, zależnym jest według Franka od geotropizmu i heliotropizmu poprzecznego, a wpływ obu jest różny u różnych roślin. Frank w dziełku swoim: „O naturalnem położeniu organów roślinnych“ wydanem w roku zeszłym opisał

bardzo wiele podobnych wypadków, w których różne wpływy siły ciężkości i światła z sobą się kombinują. Opierając się na tém podobieństwie fizyologicznego działania dwóch tak różnych sił jak siła ciężkości i światła, Frank przypuszcza, że istota tych sił jest podobnej natury, spodziewa się nawet, że może dalsze fizyologiczne badania rzucać światło na związek tych sił między sobą. O ile ta nadzieja jest uzasadnioną, rozstrzygać nie myślimy; o przyszłości wprawdzie przesądzać nie można, ale może lepiej by było pozostać na własnem polu, a kwestje te teoretycznej fizyki zostawić właściwym specjalistom. Ważniejszym dla nas byłoby wyjaśnienie, w jaki sposób te siły zewnętrzne działają na nadanie odpowiedniego kierunku organom roślinnym. Widzieliśmy już że heliotropizm i geotropizm dodatni i ujemny Frank objaśnia tylko mówiąc, że siła ciężkości lub światła przyspiesza lub opóźnia jednostronny wzrost organu, w bliższe szczegóły nie wchodzi.

Dla wyjaśnienia geotropizmu i heliotropizmu poprzecznego Frank przypuszcza polarność w molekułach błon komórkowych <sup>1)</sup>. Nie bę-

<sup>1)</sup> Z ostrą krytyką przeciwko tym pojęciom Franka o poprzecznym geotropizmie i heliotropizmie, wystąpił uczeń Sachsa Hgo de Vries w swojej pracy: „Ueber einige Ursachen der Richtung bilateral symmetrischer Pflanzentheile“ (O niektórych przyczynach kierunku dwustronnie symetrycznych części roślinnych), ogłoszonej w czasopiśmie Sachsa „Arbeiten des botanischen Instituts in Würzburg, zeszyt II. 1872. Twierdzi on, że przyjęcie owego poprzecznego geotropizmu i heliotropizmu niczem nie da się usprawiedliwić i jest zupełnie zbyteczne, bo bez niego możemy wszystkie kierunki organów roślinnych wyjaśnić. Vries wykazał doświadczalnie, że w dwustronnie systematycznych organach istnieje pewne naprężenie pomiędzy dolną a górną stroną morfologiczną organu, a to skutkiem tego, że jedna z nich szybciej rośnie niż druga, tak np. co do liści w początku gdy liście są jeszcze w pączku dolna ich strona rośnie silniej, później gdy się rozwiną wzrost strony górnej przeważa. Zjawisko w których górna strona organu rośnie silniej, niż dolna Vries nazywa epinastją, te w których wzrost strony dolnej przeważa hyponastją. Otóż przez kombinowanie się geotropizmu i heliotropizmu dodatniego i ujemnego z epinastją i hyponastją oraz przez wprowadzenie w rachunek mechanicznego ciężaru organów roślinnych i ich części, możemy sobie wytłumaczyć wszystkie kierunki organów roślinnych nie wyłączając tych do wyjaśnienia których Frank użył hipotezy geotropizmu i heliotropizmu transversalnego tak np. poziomy układ wielu liści które Frank przez poprzeczny geotropizm tłumaczył, Vries objaśnia przez wzajemne równoważenie się geotropizmu ujemnego z epinastją. Poziome położenie łodyg rdestu ptasiego (*polygnum aviculare*), dla których Frank przyjmuje poprzeczny heliotropizm, Vries objaśnia przez równoważenie się jednego ujemnego geotropizmu z ujemnym heliotropizmem.



dziemy wchodzić tu w odnośne rozumowania Franka, bo nie piszemy traktatu ogólnego o geotropizmie i heliotropizmie, ale mieliśmy tylko na celu przedstawić czytelnikowi jedną z najciekawszych kwestyj, jaką się nauka o geotropizmie zajmuje, a tylko dla jasności potrąciliśmy o resztę, chcielibyśmy jeszcze tylko zwrócić na jedną rzecz uwagę. Sięgając po głębsze objaśnienie zależności kierunku organów roślinnych od siły ciężkości i światła. Frank zdaje się je widzieć w Darwinowskiej walce o byt. Nie ulega wątpliwości, że ta świetna teoria zarówno tu jak wszędzie gdzie idzie o wyjaśnienie zjawisk życiowych pominiętą być nie może, ale nie należy się łudzić; tłumaczenie pewnego zjawiska przez walkę o byt, nie jest ostatecznym, ale tylko tymczasowym przejściowym wyjaśnieniem, którego używamy tylko z braku zupełniejszego. Ma ono tę zaletę, że jest według wszelkiego prawdopodobieństwa prawdziwe, ale nie można go uważać za zupełne. Każde objaśnienie na mocy teorii naturalnego wyboru, ma w sobie jedno wielkie  $x$ , jedną niewiadomą a tą jest dziedziczność. Wieki zapewne jeszcze upłyną, nim to  $x$ , zastąpione będzie właściwą wartością. Do tego przyczynić się może tylko coraz gruntowniejsza znajomość historii rozwoju tak całego organizmu, jak każdego pojedynczego organu i dokładna analiza każdego zjawiska na podstawie czysto mechanicznych fizyczno-chemicznych praw przyrody. Walka o byt już przez to samo, że tłumaczy nam wszystkie zjawiska organicznego świata, nie może być ostatecznym wyjaśnieniem żadnego. I tak, części zielone roślin, mają zdolność rozkładania kwasu węglanego, ta zdolność rozwinęła się u roślin pod wpływem walki o byt, ale czyż powiedziawszy to wyjaśniliśmy pytanie w jaki sposób części zielone roślin mogą kwas węglowy rozłożyć? Bynajmniej. Wyjaśnienie będziemy mieć wtedy dopiero, gdy oznaczymy wszystkie warunki w jakich ten rozkład następuje, gdy poznamy cały proces chemiczny jaki przy nim ma miejsce. To też nauka w tym kierunku postępuje, znamy już dość dokładnie wpływ światła na rozkład kwasu węglowego, wiemy jakie promienie najsilniej go pobudzają, znamy niezbędność chlorofilu, wiemy, że rozkład następuje w ciałkach chlorofilowych, ale nie mamy jeszcze procesu chemicznego jakiemu kwas węglowy ulega nim się w krochmal przemieni. Są i tu pewne wskazówki, pewne przypuszczenia, ale do znajomości całego procesu bardzo wiele brakuje, to też nikt kwestji rozkładu kwasu węglowego przez rośliny za rozwiązaną nie uważa. Tak samo rzecz ma się wszędzie, tak samo z geotropizmem i heliotropizmem. Przez to, że powiemy, że pod wpływem walki o byt wyrobiła się w korzeniu zdolność zwracania się w kierunku siły ciężkości w łodydze zdolność przeciwna bynajmniej kwestyj nie

rozwiążemy. Zupełne rozwiązanie będziemy mieć wtedy dopiero, gdy zastosowując znane prawa działania siły ciężkości światła do danych o budowie tych organów o naprężeniu tkankowym, prawach ich wzrostu z matematyczną ścisłością teoretycznie dojść będziemy mogli do tych rezultatów, jakie wskazuje nam doświadczenie. Jakkolwiek daleko dzisiaj jeszcze od tego jesteśmy to jednak nauka tak olbrzymim postępuje krokiem, że zaledwie wątpić można że i na nasze pytania znajdzie w końcu zadawalniającą odpowiedź.

\*  


# DRUGI HANDLU ZBOŻOWEGO

przez

J. N. SADOWSKIEGO.

## III.

Urządzenie wielkiej instytucji komisowej w Gdańsku z zawiązanym od niej kantorem w Londynie uważamy za wykończenie organizacji handlu zbożowego ku górze.

Nie mniej ważne znaczenie przypisujemy wykończeniu téjże organizacji ku dołowi.

Środkowe jej ogniwo jest nieledwie gotowém w istniejących już domach komisji zbożowego i bankach zajmujących się przeważnie odnośnemi czynnościami. Życzyłoby tylko należało, żeby takich zakładów było więcej, albo, żeby te, które już istnieją, większém rozgałęzieniem swych komandyt i agentur obejmowały szersze koła i przez ogarnięcie wszystkich węzłów handlu zbożowego wyzwoliły stanowczo producenta od drobnych spekulacji miejscowych.

Do utworzenia jednak prawdziwie organicznej całości brakuje jeszcze jednego ogniwa wypływającego od dołu, któreby zbiorową siłą objęło racjonalny zarząd wysełek zaraz z miejsca produkcji i wystąpiło w znaczeniu reprezentacji solidarnego poręczycielstwa producentów.

Nieodzowną konieczność takich spółek producentów, jeśli wszystkie korzyści zorganizowanego handlu zbożowego mają być dla kraju w zupełności wyzyskane, wyjaśni kilka uwag, których niezaprzeczalność uznać musi każdy znający jakokolwiek nasze stosunki.

W obecnym stanie rzeczy zboża nasze odbywają często nader niekorzystne wędrowniki. Ileż to razy okolice posiadające liczne bro-

wary i gorzelnie po wyczerpieniu wszystkich zapasów jęczmienia przyległych obszarów sprowadzają go po drogiej cenie z zagranicy, gdy w tym samym czasie z innych zakątków kraju naszego wychodzi jęczmień za granicę, po nader niskiej cenie. U owsa, którego niektóre okolice kraju naszego wcale nie sieją, a który inne prawie wyłącznie produkują, niewłaściwość podobnych wędrowek należy po prostu do niezmiennego porządku rocznego. To samo dzieje się z żytem na przednowku; podaż z poszukiwaniem nie mają tu wśród kraju należytego czucia ku sobie; miejscowe przesilenia konsumcyjne przepłacają żyto rąk trzecich, często zagranicznych, a obfitość innych okolic zbywa go po zwyczajnych cenach. Poślednie grochy zbywają się nieraz za bezcen na targach przepłacających wybór wrzącego grochu, a wyborowe gatunki szukają bez celu zbytu na targowiskach podrzędnej konsumpcji. Czyste siemie polskiej koniczyny wchodzi jedną drogą do Szląska, a innemi drogami wypychają do Polski szlasy gospodarze swoją koniczynę pomieszana z lnianką i innemi szkodliwemi zielskami. Najwyborowsze gatunki pszenicy zopatrują często w chwili nieurodzaju w kontynentalnych częściach obszaru konsumcyjnego miejsca takie, które różnicę ceny między wyborową, a podrzedną pszenicą prawie wcale nie znają, a na targi poszukujące gorliwie pięknej pszenicy i płacące za nią stosunkowo znaczną nadwyżkę nad bieżące ceny, zdąża pszenica podrzednego gatunku, którą tam lekceważą i zaniedbują,

Żeby kto sobie zadał pracę śledzenia i brania ściśle pod krédkę wszystkich cen niewłaściwie niżonych na tych krętych drogach — wszystkich niedoszłych zysków z braku dotarcia do miejsce najkorzystniejszego zbytu, a policzył przytém cały nadmiar kosztów krzyżującego się przewoźnictwa i licznego magazynowania, przeróbek i przeładowywania po drodze, toby pewno doszedł do przekonania, że przynajmniej trzecia część należącej się producentom właściwszej ceny ginie przez niestósowność kierunku pierwotnych wysełek, i to bez policzenia nawet tych strat, które naród rólniczy, skutkiem nieprzewidzenia przesilen zachodzących w potrzebach miejscowych, ponosi na zupełnie powołaniu swemu przeciwném odkupywaniu własnego zboża z rąk zagranicznego kupiectwa.

Otóż tym wszystkim nienormalnościom naszego handlu zbożowego zaradzić tylko można ujęciem wysełek z miejsca produkcji w ręce takiej organizacyi, któraby przez wyższe ogniwa o wszystkich ruchach poszukiwania zawczasu poinformowaną być mogła, a ze swego stanowiska przewidzieć znów zdołała możność miejscowych

przesileniu konsumcyjnych, następujących skutkiem nierozstropnego wywozu.

Jeśli w poprzednio zarysowanych ogniwach organizacyi komisji zbożowego chodziło o najkorzystniejsze dotarcie do najbogatszych źródeł popytu za zbożem, to w urzędzeniu ostatniego jej ogniwa chodzi głównie o umiejętne uregulowanie podaży, która jeśli ma wyzyskać najwyższe możliwe korzyści musi się w najdrobniejszych nawet szczegółach ściśle naginać do wszystkich zbadanych u góry ruchów poszukiwania.

Nie mniej ważne są względy na kredyt producentów, które urzędnicy spółek rolniczych wymagają. Zbiorowa solidarność wprowadza z wielką łatwością wszystkie potrzeby rolników na rachunki ciągłe z wyższymi kołami finansowymi i uwalnia ich od lichwy pokątnego kredytu. Weksle puszczone w obieg za jej pośrednictwem, nie obciążają tek domów komisowych, ale owszem przez możliwość korzystnego puszczenia ich każdej chwili w dalszy obieg, nabywają znaczenia wartości kursowych, przyczyniają się do większego obrotu kapitałowego i wpływają przez to na możliwość obniżenia stopy procentowej pobieranej przez nasze banki, która dziś, wobec zupełnie odwrotnych stosunków nie może jeszcze być niską.

Na podstawie wyjaśnionych co tylko dwóch głównych zadań spółek rolniczych: umiejętnego uregulowania podaży i solidarnego poręczenia kredytu, łatwo nam teraz będzie oznaczyć zakres ich działania.

Spółki te nie mogą się zajmować ani handlem, ani nawet komiśsem zbytu zbożowego z tej prostej przyczyny, że się na decydujące w osiąganiu najwyższych cen pojawy płoszukiwania tylko z dołu i z daleka zapatrywać mogą. Muszą więc przybrać charakter czysto - ekspedycyjny i pośredniczyć tylko między rolnikiem a właścicielami domami komisowymi. Oprócz się zaś powinny na dwóch wypróbowanych już na Zachodzie zasadach ekonomicznych, na solidarności kredytu rolniczego, w czém sobie za wzór wzięść mogą znane w Belgii i Francji *unions du credit* i na zasadzie przyjętej przez bardzo rozgałęzione w Anglii „bióra próbkowe“. Pierwsza zasada przyczyni się do zupełnego wyrwania rolników z niszczących rąk lichwy pokątniej, druga zaś zapobiegnie najskuteczniej wskazanym powyżej zboczeniom wysółek.

Próbki dostarczane w dostatecznej ilości, umożliwiają zachowanie jednej części ich numerów w biurze do dalszej kontroli ekspedycyjnej, a rozsełanie reszty taką samą liczbą oznaczonych do odpowiednich domów komisowych. Odebrane ztąd wskazówki, na jakich targowiskach pewne gatunki zyskać mogą najwyższą możliwą

cenę, będą zarazem wskazówkami do najstosowniejszego skierowania wysełek, które z najprzyległych producentom stacyi transportowych podążą wprost na miejsce najkorzystniejszego zbytu z uniknięciem wszelkich kosztów, jakich krzyżujące się i przechodzące dużo rąk przesłki ze szkodą producenta po drodze dotąd doznawały.

Pierwsze kroki stawiane na tej drodze spotkają się z trudnościami niezwykle dotąd manipulacyi, ale kilka miesięcy gorliwej pracy wystarczy na uzyskanie rutyny, która z czasem wszystkiemu podoła.

Wykończona w ten sposób organizacya ogarniającego cały kraj komisju zbożowego, nie może chybić celu, bo się opiera na takich czynnikach ekonomicznych, których skuteczność jest już udowodnioną i powszechnie uznaną. Główną jej podstawą jest racjonalny podział pracy, owa najpotężniejsza dźwignia wszelkiego powodzenia w przedsiębiorstwach nowoczesnych. W tym zaś podziale pracy uwzględnionemi zostały najważniejsze czynniki współzawodnictwa (korkurencyi) i kredytu. W miarę więc zadań wydzielonych osobnym ogniwom, zbiorowa czynność całej organizacyi opiera się: na bacznem śledzeniu wszelkich pojawów poszukiwania, na naginaniu do nich odpowiednich ruchów podaży, na opanowaniu wszystkich węzłów najtańszego przewoźnictwa, na powszechnej solidarności kredytu i odpowiedniemi pośrednictwem między wyższemi a niższemi kołami finansowemi, na ciągłym przegładzie ogólnych ruchów wielko-handlowych i finansowych u góry, a na szczegółowej znajomości miejscowych stosunków u dołu. Umiejętne zespolenie tak licznych, a nader skutecznie działających czynników w najważniejszej gałęzi prac narodowych musi koniecznie wyrósć na potęgę, która połamie wszystkie przeszkody tamujące dotąd wzrost cen miejscowych, taniość przewożenia i zniżenia odsetek kredytu rolniczego.

Ze względu na wydzielenie szczegółowych zadań osobnym ogniwom organizacyi komisowego handlu zbożowego, rozmieszczenie też ich po całym obszarze wywozowym nie może być rzeczą obojętną.

Zastanowienie się nad pytaniem, na których z wyliczonych poprzednio czynników ekonomicznych oprzeć się przeważnie powinna zasada rozmieszczenia ogniw organizacyi po kraju, utwierdzić powinno w przekonaniu, że decydującym musi tu być czynnik najmniej ruchomy, najbardziej z miejscowością związany. Takim zaś czynnikiem są różne systemy transportowości. Ogniwa więc organizacyi komisowego handlu zbożowego osiadać powinny w miejscach jeograficznego zetknięcia się jednego systemu przewoźnictwa z drugim.

Centralna więc instytucja komisowa powołana do śledzenia wszelkich pojawów wielko-handlowego popytu, uwidoczniających się najwydatniej między głównymi targowiskami wyspiarskiego zachodu, a portami północnych wybrzeży kontynentalnych; powołana następnie do łamania przeszkód stawianych wyzyskaniu najtańszego przewoźnictwa okrętowego, umieścić się musi w taki sposób, żeby z jednej strony wnikać z łatwością mogła w stosunki najważniejszych targowisk obszaru konsumcyjnego, a z drugiej strony stykała się z ogniskiem portowym kontynentalnym, zbierającym największą ilość promieni dowozu z tych obszarów wywozowych, których sprawy handlowe ma załatwiać.

W obszarze więc wywozowym bałtyckim, na który w przegładzie naszym dróg handlowych w tej chwili przeważnie zwracamy uwagę, urządzenie kantoru w Londynie odpowiada najskładniej pierwszemu zadaniu, umieszczenie zaś głównej siedziby instytucji w Gdańsku drugiemu.

Londyn bowiem jest niezaprzeczenie najważniejszym targowiskiem obszaru konsumcyjnego europejskiego i punktem, z którego cały ogół ruchów popytowych najłatwiej można ogarnąć. Ale w dalszym rozwoju instytucji centralnej nie obejdzie się bez założenia jeszcze agentur w Hullu, Amsterdamie (Rotterdamie) i Antwerpii, ze względu na właściwości tych placów handlowych, ułatwiających w pewnych porach korzystny zbyt różno-gatunkowego towaru. Londyn jest bowiem miejscem luksusowego spożywania i tu właśnie pszenice naszego obszaru, najwyborowsze z całej kuli ziemskiej odnosić powinny zasłużone premje swęj wyborowości, które dotąd przeważnie spekulacya kupiectwa gdańskiego pochłania.

Między Hullem a Liwerpoolem rozciąga się zaś najważniejszy obszar zbitęj przemysłowości angielskiej opierającej się o Manchester, Leeds i Sheffield. Od strony wschodniej Hull jest głównym portem dowozowym tego obszaru mniej wybrednej konsumcyi, gdzie nasze średnie pszenice znaleźć powinny odpowiednie umieszczenie. Amsterdam i Rotterdam, a ubocznie i Hamburg są miejscami najlepszego zakupu na spekulację w chwilach stagnacyi ruchu handlowego i chwiania się cen targowych. — Antwerpja łączy w sobie przemiennie wszystkie własności poprzednio wymienionych portów, a jest oprócz tego najlepszym barometrem zmian zachodzących w potrzebach konsumcyjnych Francji i obszaru nadreńskiego. Z tych to przyczyn agentury w wymienionych portach miałyby wielkie znaczenie dla kantoru londyńskiego i głównego zarządu instytucji w Gdańsku.

Gdańsk jest niezaprzeczenie najgłówniejszym ogniskiem wszystkich promieni dowozowych, zbiegających ku niemu nie tylko rzekami ale i kolejami żelaznymi. Stanie się zaś ważniejszym jeszcze ogniskiem obszaru bałtyckiego, skoro wszystkie koleje żelazne, bądź już zaczęte, bądź na seryo zamierzone wykończonymi zostaną.

Wypada nam pod tym względem rozszerzyć się nieco obszerniej nad zbierającą się tu siecią, której dotknęliśmy już pobieżnie z innego względu, której jednak w widoku umieszczenia głównej instytucji komisowej w Gdańsku należy się staranniejszy przegląd.

Najważniejszym promieniem dowozowym Gdańska jest kolej żelazna Warszawsko - Alexandrowsko - Gdańska, — łącząca w Warszawie i w Skierniewicach trzy linje, z których jedna wciąga w zakres głównego promienia okolice między Narwią a Bugiem położone, druga przebiega Podlasie, a trzecia (Wiedeńsko-Warszawska) dotyka krawędzi niw Sandomirskich i Kaliskich.

Promień ten nabierze niebawem nierównie większego znaczenia. Projektowana linia z Warszawy na Mławę do Gdańska skróci o wiele główne odległości, zamierzona linja z Sandomierza do Piotrkowa wciągnie w zakres głównej sieci najurodzajniejszą część Kongresówki, a najważniejszą na przyszłość będzie linja Lubelsko - Warszawska, o której dobrze zwykle poinformowane czasopisma wspominały już kilkakrotnie, jako o rzeczy zdecydowanej.

Pod wpływem zabiegów czynionych przez interesantów kolei Czerniowiecko - Lwowskiej, którzy obecnie mają silne poparcie w Wiedniu, kolej ze Lwowa do Tomaszowa zacznie się budować w bardzo krótkim czasie, a w takim razie nastąpi też niezawodnie połączenie Tomaszowa z Lublinem. Przez wybudowanie tych dwóch linii wpłyną do sieci głównego dowozu gdańskiego wszystkie linje zbierające się we Lwowie, a obejmujące ramionami swemi prowadzącymi od Czerniowiec, Podwołoczysk i Bród całą wschodnią Galicyę, Bukowinę i przyległe części Podola.

Drugi taki dopływnik do sieci dowozowej gdańskiej przygotowuje się drogą łączenia się z sobą kilku ubocznych dotąd komunikacji. Połączenie ich zamieni się na ważną linję Szląsko - Gdańską. Od kolei Górnoszląskiej prawobrzeżnej odrzańskiej mają prowadzić do Poznania linję Kluczborsko - Poznańską. Dnia 26go maja r. b. otwartą już została prosta komunikacja między Poznaniem a Bydgoszczą idąca przez Gniezno, a nadto od linii Kluczborsko - Poznańskiej odłame się później osobna gałąź<sup>1)</sup>, która ją

<sup>1)</sup> Gałąź ta powstanie przez skrzyżowanie się kolei Kluczborsko - Poznańskiej z koleją Oleśnicko-Gzieźnienską, a może przez zlanie się obydwu projektów w jeden.



w Gnieźnie na kolej Poznańsko - Bydgoską wprowadzi. Powstanie ztąd bardzo prosta droga z Mysłowic do Gdańska na Kluczborek (albo Oleśnice). Gniezno i Bydgoszczę wzdłuż pogranicza Kongresówki i Szląska, która szalę handlu zbożowego większej części Szląska, całej Wielkopolski i całego obszaru Zachodniej Galicji przeważy stanowczo na stronę dowozu Gdańskiego, pozostawiając Szczecinowi tylko zachodnio-północną część Szląska, Brandeburgię i nadodrzańskie Pomorze.

Z tych to względów wybór Gdańska na siedlisko centralnej instytucji komisowej obszaru wywozowego bałtyckiego, powinien zyskać usprawiedliwienie.

Domy komisowe i banki zatrudniające się komisem zbożowym, mają przeważnie zadanie dyrygowania oddanego im w komis zboża na targi zagraniczne podług zachodzących konjunktur zbożowych. Najstósowniejsze więc rozmieszczenie ich, wskazują główne węzły kolei żelaznych, szczególnie takie, które się z przystaniami spławu rzecznego i z nadgranicznymi stosunkami ościennych państw stykają. W takich punktach nazawieżywało się od dawna dużo stosunków miejscowych, opartych na podstawie między - okolicznych wymian, a one same przez się wskazywały już na potrzebę powstawania takich instytucyj, o jakich tu mowa. Dla tego wszystkie założone dotąd banki i domy komisowe, zawierujące się w gronie ludzi światłych i umiejących ocenić stosunki do pewnych miejscowości przywiązane, obrały bez wyjątku miejsca najodpowiedniejsze swemu przeznaczeniu.

Bank toruński obrał miejsce nadgraniczne, łączące początek głównego spławu na Wiśle z ważną nadgraniczną stacją kolei żelaznej, a w komandytowy sposób ogarnął przyległy ważny węzeł Bydgoszczy, połączony kolejami z Berlinem i Gdańskiem, a kanałem Bydgoskim, Brdą i Notecią z porzeciami Wisły i Odry.

Bank Kwileckiego, Potockiego i Spółki, zajmując środkowy węzeł Wielkopolski, ogarnął najważniejsze ognisko wszystkich stosunków Księstwa Poznańskiego, spławu Warty i Krzyżownicy w części już gotowych, w części na wszystkie strony projektowanych kolei żelaznych. Dopóki się sieć kolei żelaznych w wskazany powyżej sposób nie przekształci na ogólną sieć dowozu bałtyckiego zbiegającą się w Gdańsku, waga stosunków handlowych Poznania, ciąży dziś jeszcze ku Szczecinowi. A że przewaga wpływu tej ostatniej drogi portowej sięga obecnie jeszcze przez Szląsk i Galicyę aż do granic Podola, Bank Kwileckiego, Potockiego i Sp., oceniając należycie obecny stan rzeczy, rozprzestrzenił bardzo racjonalnie działanie swoje wzdłuż tej ważnej drogi przez założenie filii

w Wrocławiu i agentury w Tarnopolu. Tej ostatniej agenturze daje się silnie czuć brak spółek ekspedycyjnych w Brodach i Podwołoczyskach. Gdyby obywatele podolscy umieli ocenić ważność solidarnego wystąpienia w sposobie roztrząsanym przez nas w ustępie o spółkach producentów, toby oprócz cen wielko-handlowych wyzyskać jeszcze mogli na wielką skalę taniłość kredytu pruskiego.

Kraków czyli raczej Kleparz i Baran <sup>1)</sup>, bo właściwe miasto Kraków uboczny tylko udział bierze w handlu zbożowym) jest środkowym targowiskiem dosyć obszernego obszaru przemysłowego, którego stosunek do skali cen wielko-handlowych mieliśmy już sposobność wykazać. Z wyłuszczonej już na swém miejscu przyczyn (por: N. II naszego artykułu) osiedlony tu bank galicyjski dla handlu i przemysłu, zajmujący się ubocznie i komisem zbożowym pośredniczy więcej w miejscowych niż w wielko-handlowych stosunkach zbytu zbożowego. Natomiast dom komisowy tegoż samego banku w Tarnowie, znajdując się już po za granicami rzeczzonego obszaru przemysłowego, dopełnia zadania nierównie szerszego, rządząc się w miarę konjunktur chwilowych na przemian względami wielko-handlowymi, lub względami potrzeb konsumcyjnych krakowskich. Szerokiemu rozwinięciu się komandyt banku gal. dla handlu i przemysłu, stawa na zawadzie zasada przyjęta przez Bank narodowy co do reeskonty weksli ograniczonej do osób w obrębie Izby Handlowej Krakowskiej zamieszkałych. W obrębie więc Izby handlowej Lwowskiej występuje tylko sam bank lwowski, którego działanie byłoby płodniejsze w następstwa, żeby się szerokim wieńcem agentur otoczył, a wpływu swego użył na powołanie do życia Spółek rolniczych na podstawie racjonalnej ekspedycyi zbożowej i solidarności kredytu opartych.

Założony niedawno dom handlu wywozowego w Warszawie, w wyborze miasta tego zyskał najważniejsze w kraju naszym ognisko przemysłu, miejsce znacznej konsumcyi, główną krzyżownicę bardzo ważnych kolei żelaznych, opartą o spław największej rzeki krajowej. Znajdujemy więc tu zespólenie znacznej liczby ważnych warunków dobrego osiedlania się.

W dalszej głębi obszaru dowozowego Gdańskiego pozostają jeszcze nietkniętymi punkta, które wyrosć powinny na ważne węzły handlowe, w których przeto albo osobne domy komisowe, albo komandyty lub przynajmniej agentury Domu Warszawskiego powstać powinny. Takim jest Brześć litewski, jako środkowy punkt nad-

<sup>1)</sup> Osada przy komorze nadgranicznej pod samym Krakowem z targowiskiem zboża przywożonego z królestwa kongresowego.

bużański, główny węzeł budujących się kolei od Wschodu całą Litwę, Wołyń i Ukrainę przebiegających, i późniejszego dopełnienia ich linjami północnymi i południowymi, które na najkrótszej drodze łączyć będą morze czarne z bałtyckiem<sup>1)</sup>. Oprócz tego Brześć Litewski przez kanał Muchawiecki łączy się z ważną siecią wód górnej Przypeci, na której odbywa się znaczny ruch handlowy koncentrujący się obecnie w Pińsku. Zaslugują też na uwagę: Nur leżący na skrzyżowaniu się spływu Buga z koleją Wileńsko-Warszawską, Piotrków przysły węzeł kolei obejmujących bardzo żyzne okolice, i Lublin, który dziś już jest środkowym punktem obfitego w zboże obszaru, a stanie się może niezadługo węzłem handlu zbożowego Podolskiego, skoro się po wykończeniu zamierzonych kolei żelaznych waga jego po najprostszej drodze ku Gdańskowi przechyli.

Wielkopolskie części kongresówki mają swój osobny dom komisowy, który dziś szczególną uwagę powinien zwrócić na zamierzoną koleją nadgraniczną szląsko-poznańską, jako na przysły swój trakt zbożowy do Gdańska.

Z tego rzutu oka na jeograficzne rozmieszczenie Domów komisowego wynika, że główna część obszaru produkcyjnego bałtyckiego, na którą dotąd zwracaliśmy bliższą uwagę, z wyjątkiem kilku zaniedbanych dotąd miejscowości, posiada w najważniejszych swych punktach wystarczającą prawie liczbę instytucyj pośredniczących w handlu zbożowym i że wszystkie rozmieściły się na zupełnie zadaniu swemu odpowiednich węzłach komunikacyjnych.

Chodzi więc tylko o to, żeby i ostatnie ogniwa organizacyi, które powstać powinny, w równie racjonalny sposób się rozmieściły. Jako wychodzące bezpośrednio z łona produkcji rolniczej, rozszerzającej się przeważnie w obszarach dróg zwyczajnych, trzymać się muszą miejsc, gdzie się stykają drogi świata z drogami miejscowej komunikacyi, gdzie transport na osi szuka najbliższego dotarcia do spławu rzek, lub do kolei żelaznej. Możliwość łatwego zetknięcia się z wszystkimi rolnikami, obok łatwości porozumienia się z wyższemi kołami i dogodność w dyrygowaniu wysyłek są głównymi warunkami wyboru odpowiedniej miejscowości. Resztę względów wskazać powinna znajomość miejscowych stosunków.

Pozostaje nam jeszcze wykazać różność zadań przypadających na udzielne ogniwa pod względem wpływu, jaki każde z nich wyrzucić może i powinno naniżenie kosztów odnośnej transportowości i na lepsze jej uregulowanie.

---

<sup>1)</sup> Z Brześcia poprowadzoną będzie kolej przez Białystok do Ełka (Lyck) w Prusach wschodnich, z kąd już gotowa prowadzi do Królewca.

Decydującym w tej mierze jest niezaprzeczone pewnik, że kto jest panem przeważnej części wysyłek krajowych, a może je składać na różne drogi, ten jest zarazem panem całej sytuacji przewoźniczej i może na nią wywierać wpływ stanowczo naginający ją do swoich celów. Jeżeli wpływ tego rodzaju, przeważnie moralny, powinien tylko wywieranym być w granicach tego, co jest godziwem i służyć tylko na złamanie uporczywego się mniej godziwymi względami, to natomiast w zespoleniu wielkich ilości zboża w jednej zbiorowej ręce i w rozszerzaniu obszaru dowozowego przez otworzenie widoku zyskowniejszego eksportu, spoczywa ważny a rzetelny czynnik ekonomiczny działający z korzyścią obu stron na obniżenie cen szerzej i stałej zatrudnionego przewoźnictwa. Otóż z rozszerzeniem się sieci kolejowej i odpowiednim rozgałęzieniem się organizacji komisji zbożowej nastanie w obszarze naszym chwila uwydatnienia się wskazanego czynnika ekonomicznego. Tę chwilę wypada żarliwie pochwycić i jak najstaranniej wyzyskać na korzyść obniżenia cen transportowych we wszystkich kierunkach naszego wywozu zbożowego.

Naczelnemu komisowi zbożowemu przypadnie wtenczas zadanie zajęcia się przewozem morskim. Oprócz zabiegów o uchylenie niedogodności portowych, jakie jeszcze napotka i o ustalenie dobrych stosunków między ekspedycją a przewoźnictwem zwyczajnym, za główny przedmiot usiłowań swoich uważać powinien wywołanie nowego przedsiębiorstwa przewoźniczego na wielką skalę. Nieprzerwana stałość zatrudnienia i wyłączne używanie okrętów najodpowiedniejszego bezczkomiaru, jako nieodzownych warunków taniaści przewozu morskiego, musi być myślą przewodnią tych zabiegów. Regularne odchodzenie i przychodzenie stale w jednej gałęzi przewoźnictwa zatrudnionych okrętów uzdalnia je do przyjmowania ładunków zwrotnych (Rueckfrachten) po umiarkowanej cenie, a zyskana przez to ich obfitość wpływa znów na możliwość ustalenia niższych cen przewozu zboża. Staranne zabiegi czynione w tym kierunku, a połączone jeszcze z pośrednictwem w osiągnięciu najkorzystniejszych warunków asekuracyjnych, są najwłaściwszym środkiem do zyskania najtańszego, jaki być może, przewozu morskiego. Dalsza rutyna rozwijająca się na podstawie racjonalnych zasad zdobywać się będzie na pomysły coraz świeższe i coraz skuteczniejsze i uczyni w ten sposób zadanie naczelnego komisji niezmiernie znaczącem.

Banki i domy komisowe zając się powinny przeważnie taryfami kolei żelaznych, żeby z ich niżaniem nie tylko zyskać taniaść najdłuższych transportów, ale i miastom portowym odjąć

możność wyzyskiwania ich jako protekcyi dla stosunkowego obniżania swych cen miejscowych. Najskuteczniejszy nacisk wywiera w tej mierze zęczone posługiwanie się na przemian kolejami równoległemi. Przyszła kolej Mławska, a obecna Bydgoska <sup>1)</sup> z Warszawy, kolej prawego a lewego brzegu Odry na Szlązku, kolej Karola Ludwika a Zadniestrzańska, która z luźnych dotychczas ogniw w jedną linię niezadługo się złoży, przyszłe koleje Lwowsko-Lubelsko-Warszawska, a Sandomirsko-Piotrkowsko-Skierniewicka, do której niebawem od jakiegokolwiek stacyi kolei Karola Ludwika łączna linia się znajdzie, podają, jako linie równoległe, możliwość rozlicznych kombinacyj na uzyskanie tak zwanych „refakcyj“. W dalszém rozgałęzieniu się sieci kolejowej znajdują się daleko liczniejsze środki zaradcze, których czujne pochwytywanie przez instytucye przeselające wielkie ilości zboża, musi doprowadzić do obniżenia taryfy zbożowej.

Zniżenie taryfy zbożowej na kolejach żelaznych jest rzeczą nadzwyczaj ważną. Zboże przebywa po kolejach żelaznych najrozleglejsze przestrzenie kraju. W rachunku kosztów transportowych pozycya opłaty przewozu kolejowego wyraża się najwyższą sumą. Ale nierównie ważniejszym od względu na zyskaną oszczędność kosztów jest wzgląd na współzawodnictwo zbóż naszych z amerykańskimi, co w ustępie rozbierającym szczegółowo ten przedmiot wykażemy. Tu tylko, uprzedzając późniejsze dowody, stawiamy zasadę, że zniżenie taryfy zbożowej na kolejach (oczywiście w połączeniu ze zniżeniem reszty kosztów wszelkiej transportowości) nie jest samym tylko zyskiem dla rolników, ale nieodzownym warunkiem utrzymania produkcji zbożowej kontynentu europejskiego wobec zabiegów amerykańskich.

Wszystko to wypadnie nam później obszernie wyłuszczyć i udowodnić. Na tém miejscu chodzi tylko jeszcze o wykazanie możliwości zniżenia taryfy zbożowej bez zachwiania przez to przedsiębiorstwa kolejowego.

Od czasów agitacji o „taryfę fenigową“ kwestja zniżenia taryf kolejowych do *minimum* znoszącego prawie znaczenie przestrzeni zajmowała najpoważniejsze umysły ekonomistów. Wpadano w tych usiłowaniach na najrozmaitsze pomysły. Jedna część ekonomistów

---

1) Kolej Toruńsko - Jabłonowsko - Grudziądzko - Malborska, która do Jabłonowa już jest otwartą, a od Jabłonowa ma być w niezadługim czasie zbudowaną, skróci o wiele linię Warszawsko-Gdańską, która dziś na Bydgoszcz kołem obiega.

upatrywała jedyną możność obniżenia taryfy w zamianie prywatnych przedsiębiorstw kolejowych w instytucję państwa, któraby składając ciężar utrzymywania kolei na całe społeczeństwo, pracować mogła z zrzeczeniem się zysków przedsiębiorstwa <sup>1)</sup>. Nie można nie uznać ważnych zalet tej dążności, szczególnie ze względu na usunięcie ogromnych kapitałów od gry giełdowej a zwrócenie ich na drogi płodniejszego zatrudnienia, ale nad całą tą teorią wypada już przejść do porządku dziennego przynajmniej na czas bardzo długi z tej prostej przyczyny, że na wszystkie ważniejsze linie kolei żelaznych przedsiębiorstwa prywatne zyskały już koncesye przeciętnie na lat blisko dziewięćdziesiąt wydane. Prawda, że przy tych koncesyach zawarowane zostały rozmaite rodzaje skupu, ale po większej części tak uciążliwe, że o niemi w obecnym położeniu finansowem państw europejskich chyba w jednych Niemczech pomyślećby można.

Nierównie praktyczniejszą jest teoria centralizowania kolei żelaznych w rękach wielkiego przedsiębiorstwa prywatnego wzdłuż linii rozciąglęj, na której się pewien wysoobniczny system równo-rodzajowego ruchu przewoźniczego uwydatnia. Zasada takiego centralizowania, oprócz przemawiających za nią argumentów naukowych, ma jeszcze za sobą pomyślny skutek doświadczeń poczynionych na kolejach amerykańskich. Do kategorii takich linii, należą główne promienie dowozu zbożowego do wielkich portów wraz z przyległemi do nich ramionami. Do niej się też w właściwem miejscu odwołamy.

Pominiemy resztę projektów mniejszej doniosłości, jak np. przy-  
mus rządowy i t. p., ale nie możemy pominąć ogólnej uwagi, że żadna z tych teoryj nie wpada na pomysł wprowadzenia ładu w cha-  
otyczność ruchu towarowego.

Bezwzględność zasady: „*laisser faire, laisser aller*“ straciła już swą dawną wziętość między ekonomistami, ale w badaniach, co w jej miejsce postawić, oglądają się prawie wyłącznie na pomoc państwa i uporządkowanie ustawodawcze.

Od czasów Carrey'a zaczęto prawda mówić o zbliżeniu producenta do konsumenta, ale zbliżenie to pojmowano lokalnie, w sposobie decentralizacji przemysłu i rozmieszczenia

1) W naszej literaturze myśl tę podjął M. Bochenek, docent ekon. pol. przy Uniwersytecie Jagiellońskim w bardzo starannie opracowanej broszurze: „Stanowisko państwa wobec kolei żelaznych, z uwzględnieniem szczególnem stosunków zachodzących w Austrii“. W rozprawie tej znajdzie czytelnik szczegółowe i na statystyce kolei austriackich oparte wyjaśnienie korzyści ze scentralizowania kolei wynikających, których tu skutkiem szczupłości ram artykułu naszego tylko pobieżnie dotknąć mogliśmy.

go po znaczniejszych miejscach w obszarach rolniczych; nie znajdujemy natomiast nigdzie myśli skierowanej w stronę uregulowania popytu i podaży na podstawie zasad organizacyjnych, ułatwiającego stosunki między producentem a konsumentem i zbliżającego ich przez to do siebie nie lokalnie, ale ekonomicznie, szczególnie przez usunięcie całego szeregu zbędnych a bardzo kosztownych pośrednictw spekulacyjnych. Wchodząc na tę drogę w specjalnym zakresie handlu zbożowego, starajmy się zbadać, czy połączona z tém zamiana systemu składowego na obrotowy i uregulowanie podaży na podstawie stałego zaopatrywania potrzeb konsumpcji nie wprowadzi do transportowości kolejowej takich zmian, któreby w połączeniu z centralizowaniem ich stanowczo na obniżenie taryfy zbożowej wpłynąć mogły. Jeśli się to okaże, to nie tylko jedna część téj zawiłej kwestyi będzie dosyć zadawalniająco rozwiązana, ale nadto zyskamy wskazówkę na jakiej drodze wszystkie odnogi téj kwestyi wypadają brać pod rozwagę.

W kraju przeważnie rolniczym a mało przemysłowym, głównym przedmiotem wywozu są płody rolnicze — przedewszystkiem zboże, a stosunkowo mniejszym przedmiotem dowozu wyroby zagraniczne i towary kolonialne.

Z tego wynika, że już w przecięciu rocznym ogólnego ruchu towarowego nie ma zupełnej równowagi dowozu z odwozem t. j. warunkiem, na którym polega zupełne wyzyskanie materiału przewoźniczego (wagonów itp.) i ścisłość obliczenia liczby w jakiej go utrzymywać wypada.

W nierównie wyższym stopniu przyczynia się do zachwiania téj równowagi okoliczność wynikająca z obecnych stosunków handlu zbożowego, w których chwilowo ożywiony ruch sprowadza nawał prac przewoźniczych a długie często okresy stagnacji handlowej porę zupełnego braku zatrudnienia. Skutkiem tych wydarzeń powtarzających się peryodycznie, zarządy kolei żelaznych przygotowane muszą być na czas nawałnych wysełek i utrzymywać znaczne parki rezerwowe,

W czasach nagłego wywozu zboża, przygotowane towary importowane nie wypełniają użytych pod zboże wagonów, tak, że większa ich część wraca bez ładunku zwrotnego, a w czasach stagnacji zbożowych wysełek wydarza się to samo w odwrotnym kierunku wagonom użytym pod towary zagraniczne.

Skutkiem tych nienormalności, prawie połowa parków kolejowych, albo stoi bez użycia, albo odbywa w połowie bezpłodne podróże nie odrzucając odsetek od wyłożonego na nie kapitału.

Na podstawie tych nienormalności ruchu towarowego uregulowała się wysokość naszej taryfy zbożowej. Kto tę nienormalność zdoła uchylić, ten sprowadzi obniżenie taryfy zbożowej bez wszelkich apelacyi do państwowego ustawodawstwa.

Ale przypatrzmy się jeszcze potęgowaniu się tych nienormalności w szeregu drobnych przedsiębiorstw kolejowych na jednej linii jednorodząowego dowozu i odwozu.

Wystawmy sobie sieć dowozu gdańskiego, którąśmy powyżej zakreslili zupełnie wykończoną, a na tej sieci zboża idące od Czerniowiec przez Lwów, Tomaszów, Lublin, Warszawę, Alexandrów, Toruń, Jabłonowo i Malborg, nim się w Tczewie dobiją do rządowej kolei dowożącej je do Gdańska. Na tym jednym promieniu przyszłego dowozu gdańskiego mamy szereg sześciu drobnych przedsiębiorstw kolei żelaznych, z sześcioma parkami rezerwowymi, i ogółem kosztów wyrzuconych na sześć dyrekcyj kolejowych z sześcioma biurami głównego zarządu, i sześcioma kosztownymi radami zawiadowczymi. Zcentralizowanie tych sześciu drobnych przedsiębiorstw w rękach jednego wielkiego przedsiębiorstwa sprowadziłoby znaczne oszczędności. Podług przyjętych na zachodzie zasad, wartość parków kolejowych oblicza się na 14% kapitału kolejowego. U nas, gdzie zachodzi potrzeba utrzymywania większych parków rezerwowych, stosunek wartości parku do ogółu wartości kolejowych musi być nierównie wyższym i pewno nie rozmiemy się z rzeczywistością, przyjmując go na 20%.

W obec wyjaśnionych powyżej nienormalności ruchu towarowego, część przypadająca u nas na park rezerwowy, przyjmiemy w wysokości 8 od sta, w mniemaniu, że się w tém przypuszczeniu raczej poniżej niż powyżej rzeczywistości znajdziemy. Chociaż więc zcentralizowanie sześciu przedsiębiorstw w jedno, nie będzie mogło dla rozszerzonego zakresu czynności, skasować od razu pięciu parków rezerwowych, to jednak, przez wyręczanie niedostatku okazującego się na jednej stacyi siłami rozporządzalnemi innych, ograniczyć go będzie mogło przynajmniej na połowę poprzedniego zasobu, a to już jest niemałą oszczędnością, bo reprezentuje wartość 4% ogólnej wartości kapitałowej wszystkich części kolei żelaznych, czyli przenosząc to na dochód, pozostający takim samym przy użyciu kapitału o 4% mniejszego, podnosi o dwudziestą piątą część zysk czysty.

Nierównie wyższą jest oszczędność z zespólenia zarządu wynikająca. Koszta ogólnego zarządu wynoszące na liniach znacznej rozciągłości tylko około 5% ogólnego dochodu kolejowego (brutto obliczonego), dochodzą na krótkich liniach do wysokości 10%.



Oszczędność tych pięciu odsetek, stanowiących różnicę wypadającą na korzyść wielkiego zarządu długiej linii, przechodzi cała w rubrykę czystego zysku, podnosząc go w miarę stosunku, w jakim w każdym szczegółowym razie, czysty zysk do ogólnego dochodu zostaje, — zawsze jednak w bardzo wysokiej kwocie.

Takie są korzyści wynikające z samego tylko zespólenia małych przedsiębiorstw w rękach jednego wielkiego przedsiębiorstwa, a przytoczone dane, wpływające na podniesienie czystego zysku są zarazem podstawą obliczenia możliwego obniżenia taryfy zbożowej.

Nierównie większe podwyższenie czystego zysku wynika jednak z uregulowania podaży zbożowej na podstawie ciągłego zaopatrywania potrzeb konsumpcyjnej zagranicznej w połączeniu z zamienieniem systemu składowego na obrotowy, a szczególnie z zamierzonego przez nas połamania przeszkód stojących na zawadzie wyzyskaniu najtańszego ze wszystkich przewozu morskiego.

Ciągłość przesełek zbożowych przywraca zachwianą dziś tak nienormalnie równowagę dowozu z odwozem i zmniejsza przez to o połowę koszt eksploatacji pociągów kolejowych w stosunku wysokości stopnia, w jakim się to zrównoważenie osiąga. Liczby obrachunkowe podać dopiero będzie mogła statystyka ruchu każdej osobnej kolei, na której ciągłość przesełek zaprowadzoną zostanie, ale zasada sama przez się jest jasną i niezbitą i nawet przed przejrzaniem tych liczb szczegółowych zyskać można przekonanie, że dla kolei, na których okresy stagnacji przewoźniczej przeważają chwile zbyt ożywionego ruchu, wyrównanie dowozu z odwozem, zmniejszające o połowę koszt wyprawianych pociągów w przeciągu czasu ogarniającym prawie połowę roku jest po prostu nieodzownym warunkiem jakiegokolwiek opłacania się kolei.

Przełamanie zaś zapór wyzyskania najtańszego przewozu morskiego jest dla kolei dowozowych tego portu, w którym się to uskuteczni, źródłem nadpływu niezwykłych zysków wynikających z kolosalnego rozszerzenia obszaru dowozowego.

W szczegółowym zastosowaniu do obszaru dowozowego Gdańska zwiększającego się w takim razie kosztem obszaru dowozowego Odessy, wzrost obszaru gdańskiego a z nim i odpowiednich zysków kolei znajdujących się w jego obrębie, opiera się na zmianie stosunku dotychczasowych kosztów dalszego przewozu obu portów do kosztów następnie się wyrabiających.

Odległość Gdańska od Odessy wynosi po załamach gotowych już i budujących się dotąd kolei żelaznych blisko 270 mil. Przewóz zboża na tej przestrzeni kosztuje więc za 100 kilogramów 18 złp.

Miejscowe ceny Gdańska strącają przeciętnie 12 złp., odeskie zaś zaś 24 złp. od ceny londyńskiej za sto kilogramów. Skoro się więc sieć kolei żelaznych między Gdańskiem a Odessą dopełni, co nastąpi od strony wschodniej po wykończeniu kolei od Berdyczowa do Brześcia Litewskiego, albo od Białej przez Żytomierz do Brześcia, a od strony zachodniej po ukończeniu linii prowadzącej od Żmirynki <sup>1)</sup> do Wołoczysk, a następnie od Lwowa przez Tomaszów i Lublin do Warszawy, to granice między obszarem dowozowym gdańskim a odeskim zakreślą się podług obecnego stanu rzeczy w odległości 225 mil od Gdańska, a 45 mil od Odessy, bo od tego punktu suma kosztów transportu kolejowego i kwoty strącenia na cenach londyńskich wyniesie tak w jedną, jak w drugą stronę równo po 27 złp. Punkt ten trafia nieledwie na samą koleją Kijowsko-Winnicko-Żmirynkowską t. j. na sam środek Ukrainy i Podola <sup>2)</sup>. O te okolice, z natury nadzwyczajnie żyzne, a które pod wpływem powstających kolei żelaznych wzrosną w ogromną obfitość zbóż, rozpocznie się nieunikniona walka ekonomiczna obu obszarów dowozowych.

Jeśli Odessa, mając dobrą przystań, potrafi urządzić swoje przewoźnictwo morskie w rodzaju najracjonalniej pod każdym względem zorganizowanych wielkich mesażeryj nawigacyjnych, jeśli zdoła wzięść górę we Włoszech w konkurencji ze zbożem węgierskim, jeśli zyska na morzu Śroziemnym jakiś punkt handlowego oparcia w tym rodzaju, jaki mają zboża węgierskie w Lindau i Rohrschach i z tego punktu zdoła ubiegać te zboża na targu Masylijskim w chwilach przesileni konsumcyjnych południowej Francji, odsełając do Londynu tylko najwyborowsze partje swego zboża <sup>3)</sup>; jeśli następnie, skutkiem tych wszystkich zabiegów, zdoła w cenach swych miejscowych strącenie na cenach londyńskich zni-

<sup>1)</sup> Żmirynka, jest ostatnią gotową stacją kolei Odesko-Bałtsko-Podolskiej. Od wschodu dobija do Żmirynki kolej Kijowska idąca na Winnice.

<sup>2)</sup> W stronach zbliżonych do środkowego punktu kolei Kijowsko-Żmirynkowskiej, rachunek obu portów tak wypadnie na 100 kilogramach

I. Koszta przesyłki do Gdańska (około 225 mil a 2 gr.) = 15 złp.

Strata w Gdańsku na cenach londyńskich = 12 „

Razem strat i kosztów w przesełce do Gdańska: 27 złp.

II. Koszta przesyłki do Odessy (45 mil a 2 gr p.) . . . = 3 złp.

Strata w Odessie na cenach londyńskich . . . . . = 24 „

Razem tak samo jak w Gdańsku: 27 złp.

<sup>3)</sup> Odeskie zboże nadchodzi zwykle do Londynu w złej kondycji i bywa tu z téj przyczyny zaniedbywaném.

żyć o kwotę wyrównywającą kosztom ponoszonym na stu milach transportu kolejowego, to przez to samo sprowadzi granice obszaru dowozu gdańskiego do dawnych przedkolejowych linii, zakreślonych Bugiem, Wisłą i Sanem.

Jeśli natomiast zabiegi obszaru Gdańskiego zdołają obniżyć o połowę dotychczasowe ceny transportowe na kolejach i na morzu, to obszar ten przesięgnie linię kolei prowadzącej z Krzemienczuka do Bałty i zabierze Odessie cały handel zbożowy.

Po stronie obszaru Gdańskiego są korzyści lepszego położenia i rozleglejszego kredytu, większa łatwość zawiązywania stowarzyszeń, a przede wszystkim wyższość inteligencji, tak, że walka ta w razie użycia równych zabiegów, nie może być wątpliwą.

Stosując teraz to wszystko do obniżenia taryfy zbożowej na kolejach, widzimy, że właśnie drogą jej uskutecznienia, w połączeniu z przełomem zapór taniego przewozu morskiego, koleje obszaru Gdańskiego zyskać mogą potrójne prawie zatrudnienie w przewoźnictwie zboża, bo zasoby prowincyj południowych o tyle przewyższyć mogą ilość dotychczasowego dowozu, co znów w połączeniu z korzyściami wynikającymi z zasady stałego zaopatrywania potrzeb konsumpcji i wyłącznego przez to opanowania targów angielskich, skłonić powinno dyrekcję kolei, pod wywarcieniem oczywiście stosownego nacisku, do obniżenia swych taryf zbożowych, przynajmniej o połowę dotychczasowych wymagań.

Przejrzeniem wszystkich odnośnych stosunków staraliśmy się rozświetlić szerokie pole działania na zmniejszenie kosztów transportowych kolejowych, otwierające się staraniom banków naszych komisyjnych, którym zadanie to przypada z podziału pracy zorganizowanej.

Ostatnim zaś ogniwem komisji zbożowego, przypadnie wywieranie wpływu na naprawę zwyczajnych dróg krajowych i urządzenie coraz racjonalniejszego przewoźnictwa na osi, dopóki brak rozgałęzienia sieci kolejowych wymagać tego będzie. Zadanie to na pozór najniższe, ale w rzeczy samej dla wielu okolic prawie najważniejsze. Rozbiór czterech głównych systemów przewoźnictwa, wykazał nam transport na osi jako stosunkowo najdroższy. Bardzo rozległe przestrzenie kraju naszego, nie mają jeszcze ani kolei żelaznych, ani uregulowanych spławów. Po zmianach zaszłych w stosunkach włościańskich, daleki dowóz folwarcznymi siłami, staje się prawie niepodobieństwem. Najem powózek włościańskich skutkiem małej wagi możliwego ich obciążania nawet na krótkich odległościach opłacać się nie może. Karawany czumaków powstać tylko mogły

na stepie, gdzie popas wołów nie nie kosztował. Drogość transportu dochodzi tu miejscami granic prawie zupełnej niemożności wywozu.

Główna zawilgość kwestyi dróg potocznych polega na tém, że do doprowadzenia ich stanu do jakiegokolwiek znośności, trzeba pracy wieków. Są one jednak podstawą powszechnego dobrobytu, pojętego na najszerszą skalę. Z tej to przyczyny były one w krajach cywilizowanego zachodu przedmiotem nieustannej pieczołowitości tak rządu, jak i wszystkich kół interesowanych. W Anglii wzrost ich postępuje z rozgałęzianiem się kolei żelaznych. Francya pracuje nad ich udoskonaleniem już od czasów rzymskich, a w ostatnich czasach wydała na nie kolosalne summy. To też niewyczerpalność zasobów, jaka się w tym kraju, mimo przerażających spustoszeń ostatniej wojny pokazuje, w znacznej części przypisać należy postępowi działanemu w udoskonaleniu jej dróg wicyalnych.

Szczupłość ram rozprawy naszej, nie dozwala nam rozwodzić się nad całą szerokością tej kwestyi. Ograniczymy się na rzuceniu kilku uwag, jak sobie w okolicach zupełnie zaniedbanego dróżnictwa z wywozem zboża poradzić można.

Całą usilność zwrócić tu trzeba na przerznięcie całej okolicy przynajmniej jedną szosą dobijającą do stacyi kolejowej, lub do najbliższego spławu i urządzić na niej stały transport na wozach ciężarowych.

Wóz urządzony pod wielkie ciężary, łączący silną budowę z dokładnem osadzeniem kół na osi, z domierzoną średnicą koła do wzrostu koni tak, żeby pociąg działał poziomo i z przyrządem do rozłożenia ciężaru naprzód i w tył po za koła, żeby ciężar na jak najmniejszej podstawie zbliżonych do siebie tylnych i przodkowych osi spoczywał — zabrać może 5000 kilogramów, gdy tymczasem na zwyczajnym wozie folwarcznym nie uwiezie się więcej jak 1500, a na włościańskiej powózce, najwyżej pięćset.

Wozem ciężarowym przewozi się więc zboże cztery razy taniej niż folwarczną uprzeżą, a dziesięć razy taniej niż przez najem powózek włościańskich.

Wynik tych danych powinien stać się podstawą zaprowadzenia odpowiedniego przewoźnictwa po szosach, do których już tylko boczny dowóz na zwyczajnych wozach pozostanie. Przedsiębiorstwo racjonalniejszego przewoźnictwa na osi, może, albo bezpośrednio wpływać z urzędzeń Spółki rolniczej, albo pod wpływem jej zachęty i na podstawie jej wskazówek powstać, jako przedsiębiorstwo prywatnej spekulacji.

Wzory przedsiębiorstw włościańskich tego rodzaju, rozwinęły się już na ziemi polskiej. Powiat Ostrzeszowski i południowa część

Odolanowskiego w Ks. Poznańskim, znajdowały się dawniej, jeszcze przed powstaniem szos, a następnie kolei żelaznych, w nader trudnym położeniu co do wywozu swych płodów. Kilka osad włościańskich widząc niemożność własnego wywozu, a wielką trudność wywozek folwarcznych, chwyciło się z własnego popędu zbiorowego przewoźnictwa. Coraz stósowniej ulepszanie wozów i uprzęży i ciągłość zajęcia, sprowadziły już w początkach tego przedsiębiorstwa znaczną ulgę w kosztach wywozowych. Z powstaniem szosy z Sycowa (Poln. Wartenberg) do Wrocławia, wozy zwyczajne zaczęły się zamieniać na ciężarowe i oddawały wykazane powyżej tanie posługi, aż nareszcie zbudowanie kolei żelaznych w kierunku poprzedniej szosy, uchyliło potrzebę dalszych usiłowań prywatnych.

Za pośrednictwem podobnych przedsiębiorstw, skuteczniać się powinien przewóz we wszystkich okolicach, których ani spławne rzeki nie przyczynają, ani koleje żelazne dotąd nie dotknęły.

Oczywiście, że urządzenie transportu na wozach ciężarowych, uważanym być powinno za tymczasowe tylko,, a główne usiłowania zwrócić wypadnie Spółkom rolniczym w stronę odpowiedniego rozszerzenia sieci kolei żelaznych i regulowania spławów. Czego najwymowniej glosy prasy i najgorliwsze zabiegi ludzi prywatnych, nawet możliwych, nie dokażą, to z większą nierównie łatwością osiągną siły zbiorowe, szczególnie, jeśli się opierają na znacznych finansowych środkach. Potęgą zaś finansowych środków spółek rolniczych, nie tyle polegać będzie na wysokości złożonego kapitału zakładowego, ile na wysokości obrotu na rachunkach ciągłych, przez co w końcu solidarny interes całej okolicy i zaangażowane wyższe koła finansowe, bardzo skutecznie glos firmowych popierają.

---

Powstanie Spółek ekspedycyjnych i komisowych i rozmieszczanie się ich po głównych węzłach handlu zbożowego, leżących między najlepszymi targowiskami zachodu, a najodleglejszymi nawet producentami obszaru wywozowego, nazwalismy organizacją komisur zbożowego nie w tém znaczeniu, żeby jedna Spółka od drugiej materialnie zawisła być miała, albo żeby jakakolwiek wspólność administracji, nadzoru lub kapitału zakładowego między niemi zachodziła, ale z téj przyczyny, że rodzaj powstawania ich, wybór miejsca i wytknięcie sobie szczegółowych celów, powinny być ogranicznie pomyślane i wychodzić z dobrze pojętego i powszechnie uznanego planu producentów oparcia podaży na podstawie systematycznie obmyślanych środków, prowadzących do osiągnięcia

najwyższych możliwych cen przez ścisłe naginanie się do wszelkich ruchów poszukiwania i przez wyzyskanie najtańszych kosztów transportowych na całej rozciągłości przewozu zbożowego.

Przez wyzyskiwanie najtańszych kosztów transportowych, nie rozumiemy znów bynajmniej wyzyskiwania przedsiębiorstw zajętych transportowością. Obniżenie kosztów transportowych staraliśmy się wszędzie oprzeć na czynnikach ekonomicznych działających z korzyścią obu stron interesowanych. Na racjonalnie ułożonym systemie zatrudnień wzajemnie się wspierających wszystkie części powinny dobrze wychodzić. Producent powinien zyskać wyższe ceny swych płodów, zarobek przewoźnictwa opartego nie na chwilowych wysokich, ale ciągłych średnich cenach powinien w przecięciu rocznym przedstawiać wyższe summy, a na spółki pośredniczące powinny spłynąć wielkie dywidendy.

Żeśmy spółek pracujących na wyosobnionych polach organicznie pomyślanej całości nigdy inaczej nie uważali, jak za zupełnie samoistne, wynika już ze znaczenia, jakieśmy im w zakresie kredytu rolniczego nadawali. Pod tym względem musimy jeszcze wrócić do poruszonej już poprzednio myśli zyskania w kredycie angielskim, kredytu zastępczego, a pracującego nierównie taniej od wszystkich kontynentalnych.

Tej taniości nie osiąga się jednak od razu we wszystkich gałęziach kredytowych.

O ile komis naczelnego pośrednictwa stosunki swe obrachunkowe z młynarstwem i kupiectwem zbożowym londyńskim zdoła wprowadzić na rachunki ciągłe w bankach angielskich, o tyle od razu korzystać będzie z dwudsetkowej stopy procentowej, po której banki angielskie prawie stale pracują. W kwestyi jednak ulżenia tekem domów komisowych, w razie obciążenia ich weksłami krajowymi, zachodzą szczegółowe zwyczaje miejscowe, w których choć pobieżnie trzeba się rozpatrzeć. W notowaniu kursów angielskich znajdujemy zawsze rubrykę kursu weksli zagranicznych różną i co do czasu, w jakim się pojawia, i co do kraju, z którego weksle pochodzą.

W początkowo zawiązywanych stosunkach, kurs weksli zagranicznych na targu angielskim normuje się podług stopy procentowej kraju, z którego pochodzą. W dalszym jednak rozwoju stosunków polepsza się znacznie, a zmienia się peryodycznie podług rodzaju podpisów, jakie w każdej chwili kursują.

Zasadą ogólną obniżenia dyskonta weksli zagranicznych jest zmaganie się stosunków handlowych między Anglią a tym krajem,

którego weksle puszczają się w obieg i renoma firm znajdujących się w danym razie na ofiarowanych wartościach.

Wzmaganie się stosunków handlowych, uwidocznia się najwydatniej przez wychodzenie wszystkich z rąk jednego pośrednictwa, a brak firm renomowanych kraju naszego, zastąpić musi solidarność kredytu rolniczego, reprezentowana przez spółki producentów. Solidarność ta o tyle więcej nabędzie znaczenia na targach angielskich, że się widocznie opierać będzie na stosunkach zdrowych, na konsygnowaniu gotowego towaru, a sprowadzać będzie korzyść stałego zaopatrywania konsumcyi angielskiej, na które wszystkie koła angielskie przyjaznem spoglądają okiem. Ważność więc Spółek rolniczych nie ogranicza się na samém zyskaniu tańszego transportu, wyższych cen za zboże i lepszego miejscowego kredytu, ale sięga wpływem swoim nawet w zakres najwyższych kół finansowych angielskich. Jeśli wszystkie te względy nie przekonają rolnictwa krajowego o potrzebie zwrócenia swych usiłowań w tę stronę, to wątpićby wypadło o skuteczności wszelkich rozumowań, jakimi się do niego odzywać można.

---

W ustępie wykazującym konieczność powstania komisju niezależnie pośredniczącego z targami zachodu w połączeniu z rozszerzeniem się komisów kontynentalnych i zakładaniem Spółek rolniczych, objaśniającym zarazem wpływ, jaki Domy komisowe i Spółki rolnicze wywierać mogą i powinny na зниżenie kosztów transportu, podniesienie cen miejscowych i obniżenie stopy procentowej — przejrzelismy już sieć kolei obszaru dowozu Gdańskiego; żeby w obec widomego przykładu zyskać jaśniejszy pogląd na rzeczy.

Wypadnie nam teraz zając się przeglądem dalszych sieci kolejowych całego obszaru produkcyjnego i zwracaniem się ich ruchu towarowego ku innym portom.

Wstępując w zabużańskie strony, wkraczamy w rozległy system kolei żelaznych państwa rosyjskiego, który w głównych zarysach w całości przedstawić musimy.

Za punkt środkowy całego systemu kolei żelaznych państwa rosyjskiego, uważamy Orzeł (Oreł). Tu nie tylko zbiera się zboże wszystkich środkowych gubernij do dalszego wywozu, ale miasto to jest zarazem główną krzyżownicą najważniejszych komunikacyj kolejowych rosyjskich.

Zbierają się tu od północnego i południowego Wschodu liczne promienie prowadzące od Niżnego Nowogrodu i Moskwy przez Tułę, od Saratowa i Carycyna nad Wołgą przez Tambów

i Borysoglebsk, od Władykawkaza, leżącego u stóp gór kaukaskich, przez Nowy Czerkask (nad morzem Azowskiem), Charków i Kursk.

Z tych linja Niżnonowogrodzko-Oreńska jest zupełnie ukończona, linja Saratowsko-Oreńska gotową jest na przestrzeni od Tambowa do Orła, a linja Carycyńsko-Oreńska na przestrzeni od Borysoglebska do Orła. Na linii Władykawkazko-Orełskiej, braknie jeszcze odcinka Władykawkazko-Nowoczerkaskiego. Reszta ukończona.

Projektowana południowa kolej z Charkowa do Krymu zwiąże Orzeł z Sewastopolem.

To są promienie zbierające się w Orle od wschodu. Drugi niezmiernie ważny oddział promieni kolejowych, rozchodzi się z Orła wachlarzem ku Zachodowi.

Pierwszy z tych promieni, zupełnie już wykończony, prowadzi z Orła przez Brańsk, Smoleńsk, Witebsk, Połock, Drysę i Dynaburg do Rygi.

Drugi, środkowy, prowadzi na Kursk, Nieżyn, Kijów i Winnicę do Żmirynki w kierunku ku środkowemu Dniestrowi.— Linja ta już wykończona.

Ostatni idzie przez Kursk do Charkowa linją południową, z kąd się ku Zachodowi odbija. Z Charkowa buduje się kolej do Krzemieńczuka, a ztąd, gotowa już, prowadzi na Bałtę do Odessy.

Dwa główne promienie, idące z Orła w jedną stronę wzdłuż Dźwiny do Rygi, a w drugą przez Krzemieńczuk do Odessy, stanowią dwie główne drogi handlu zbożowego środkowej Rosyi. Korzystniejsze z wielu miar stosunki portu bałtyckiego, przeważają zapewne w kierunku ku Rydze.

Środkowy promień, wiodący od Orła przez Kijów w głąb Podola jest początkiem drogi ogólnego wielkiego handlu międzynarodowego. Wykończenie odcinka zamierzonego ze Żmirynki przez Proskurow do Wołoczysk zwiąże linię Oreńsko-Kijowsko-Żmirynkowską z siecią kolei żelaznych Galicyjskich, przez co uzupełnioną zostanie bardzo ważna droga wielkohanlowa łącząca Niżny-Nowogród z głównymi ogniskami handlowymi państwa austriackiego. Stosunki międzynarodowego handlu, które na tej linii powstaną, nabiorą nierównie większego jeszcze znaczenia po wykończeniu kolei węgierskiej z Munkacza na Stryj do kilku węzłów sieci Galicyjskiej, przez co linja Orel-Kijów-Wołoczyska stanie się odcinkiem Wielkiej komunikacji handlowej między Niżnym No-



wogrodem i Moskwą z jednej, a Rieką (Fiumą) z drugiej strony.

Cały karawanowy handel północnej i środkowej Azji, zbiegający się ostatecznie w Niżnym Nowogrodzie i cały handel środkowych gubernij rosyjskich, skupiający się w Moskwie, wejdzie tą drogą w ścisłą styczność z całym tym ruchem handlowym, który wybrzeża śródziemnego morza ożywia.

Na tej linii odbywać się będą i mniejsze międzynarodowe wymiany. Północne, górskie Węgry obfitują w żelazo, które jest bardzo pożądanym artykułem dla fabryk rosyjskich, a same cierpią często niedostatek zboża, w które się dziś, mimo uciążliwości dróg górskich w większej części zaopatrują na osi z Galicyi\*).

Zboża Wschodniej Galicyi i Podola znajdują tu więc stały bliiski odbyt.

Taki odbyt w handlu zbożowym jest bardzo pożądanym. Jak bowiem ruch wielkiego handlu zbożowego zapobiega zbyt niskim cenom drobnej spekulacji miejscowej, tak naodwrot ożywiony ruch miejscowych targów podtrzymuje skalę cen wielkchandlowych na stósownie wyteżonej wysokości. Współbieganie się różnych stron, przynosi zawsze korzyści producentom.

Krzyżująca się z koleją Orelsko-Ryską droga żelazna z Moskwy na Smoleńsk - Mohilew i Mińsk do Brześcia litewskiego, gotowa już do Smoleńska, a budująca się obecnie w dalszym ciągu, wpada w Brześciu na kolęj Terespolsko-Warszawską. Jeżeli niezadecydowany dotąd ostatecznie odcinek z Kutna do Poznania przyjdzie do skutku, to linja ta stanie się jedną z najważniejszych linij europejskich, łączącą w najogólniejszym znaczeniu cały Wschód europejski z Zachodem, a w szczególności targowisko Niżnego Nowogrodu i Moskwę z targowiskami Lipska i Frankfurtu nad Menem.

Oprócz zakreszonych tu głównych linij, które w przyszłości będą podstawą całego ruchu handlowego w państwie rosyjskiem, wymienić jeszcze musimy dwie inne pomyslane pod wpływem względów wojennych, a podnoszące i uzupełniające strategiczne znaczenie poprzednich.

---

<sup>1)</sup> W czerwcu r. b. przywołono w Wiedniu na roboty wstępne do kolei Stanisławowsko - Husiatyńskiej. W razie połączenia Husiatyna ze Żmirynką, a Stanisławowa z najbliższym punktem kolei Munkacko - Stryjskiej — tą drogą odbywałaby się po najprostszej linii komunikacja między Niżnym Nowogrodem a Rieką.

Wytłómaczemy się później z tego, dla czego i o tych, obcych naszemu przedmiotowi względach, chociaż ubocznie tylko wspomnieć musimy.

Otóż tedy z Witebska poprowadzoną ma być kolej na Mohilew, gdzie się z Moskiewsko-Warszawską skrzyżuje, dalej na Homel i Czernihów do Nieżyna, gdzie przerznie w poprzek linię Orelsko-Kijowską. Ztąd podług niezdecydowanych jeszcze planów pójdzie albo na Nowo-Moskowsk, albo na Krzemieńczuk do Krymu i do Nikołajewska. — Od tej zaś kolei odbije się powyżej Czernihowa druga linja, która przerzynając Dniepr w bliskości Bielicy, podaży na Bobrujsk, Mińsk, Mołodeczno, Smorgonie do Landwarowa\*), gdzie zetknie się z linią Królewiecko-Wierzbołowski-Landwarowską, a skrzyżuje się z Petersburgsko-Warszawską.

Po zakreszeniu wszystkich ważniejszych linii, możemy teraz rzucić okiem na ich znaczenie strategiczne.

Orzeł jest krzyżownicą, przez którą wszystkie siły zbierające się od północnego Wschodu i ze środkowych gubernij w Moskwie, tak samo wszystkie siły z nad dolnej Wołgi nadpływające kolejami: Saratowską i Carycyńską, a w końcu i wojska Kaukazu i Dońskięj Kozaczyzny posługujące się linią Władykawkazko-Kursko-Orelską mogą być w najszybciejszy sposób podług zachodzącej potrzeby przerzuconemi albo drogą Smoleńsko-Witebsko-Dynaburską ku zachodnio-północnym, albo drogami Orelsko-Kijowsko-Podolską i Orelsko-Krzemieńczucko-Bałtą na zachodnio-południowe, albo narreszcie drogami Orelsko-Smoleńsko-Brzeską i Orelsko-Kijowsko-Brzeską do Królestwa Polskiego, t. j. do środkowo-zachodnich granic państwa. Siły w ten sposób skoncentrowane w którejkolwiek z wymienionych okolic, wzmocnione być mogą każdój chwili siłami leżącemi w okolicach Petersburga drogą Petersbursko-Odeską, przerzynającą wszystkie linje bieżące od Wschodu nad granice zachodnie w Dynaburgu, Landwarowie, Brześciu litewskim, w Berdyczowie i Bałcie.

Taka będzie, po wykończeniu całego systemu dróg żelaznych, łatwość zebrania wszystkich sił całego państwa na jakimkolwiek danym punkcie nadgranicznym.

W razie prowizorycznego ustawienia wojsk wzdłuż całej granicy zachodniej, i to ze względów na łatwiejsze zaopatrzenie w ży-

---

\*) Mało znany Landwarów, jest na linii Warszawsko-Wileńskiej ostatnią stacją przed Wilnem, do której kolej Królewiecko-Wierzbołowska, zamiast do Wilna dochodzi. Obecnie stanie się Landwarów krzyżownicą bardzo ważnych linii.

wność, w kilku równoległych pasach, wspomniana cotylko kolej Dynabursko-Białostocko-Brzesko-Bałtska, następnie Landwarowsko-Mińsko-Bobrujsko-Nieżyńska, a w ostatku łuk kolei obiegający Dźwinę i Dniepr od Rygi przez Witebsk, Smoleńsk i Nieżyn aż do brzegów morza Czarnego, ułatwią komunikacje rozstawionych korpusów między sobą i utrzymają je w zupełnej gotowości do spiesznego zebrania się na którymkolwiek nakazanym nadgranicznym punkcie.

W razie zaczepnego działania teatr wojny przenosi się za granice państwa i wykonują się ruchy, które nie mają związku z naszym przedmiotem ekonomicznym, i dla tego nas nie obchodzą.

Ruchy zaś, zachodzące przy odpornym działaniu, obchodzą nas z tego względu, że wykazują, w jaki sposób sieć, dzisiaj tylko w szerokich rysach rzucona, może, albo też ze względów strategicznych nie może być szczegółowo uzupełnianą — w którym to ostatnim razie wypadnie nam szukać zawczasu środków zastępczych, nie oglądając się na próżno na przyszłość kolei żelaznych.

Pierwszą linię obronną, stanowi Wisła, drugą Bug, trzecią Dźwina z Dnieprem.

Obrona Wisły, której bieg średni tylko jest w rękach rosyjskich, polega przeważnie na sile obwarowanego frontu. Oskrzydleniu tej pozycji zapobiedz tylko można przez szybkie wybiegnięcie za granicę i opanowanie całej Wisły. Wszystkie więc koleje, które służą oskrzydleniu, służą zarazem i jedynie skutecznej obronie. Niema więc obawy, żeby którakolwiek z linii wymienionych przez nas w obszarze dowozowym Gdańskim dla przeszkód strategicznych przyjść do skutku nie miała.

Na linii bużańskiej fortyfikacje Brześcia litewskiego zasłaniają wszystkie linje dalszego odwrotu. W razie oskrzydlenia tej pozycji od strony południa, zapewniają odwrót linje: Brzesko-Mińsko-Smoleńska i Brzesko-Białostocko-Landwarowsko-Dynaburska. W razie oskrzydlenia z odwrotnej strony, pozostają linje: Brzesko-Kijowska i Brzesko-Bałtsko-Krzemieńcucka <sup>1)</sup>.

Wszystkie więc wyliczone poprzednio przez nas koleje, których znaczenie ekonomiczne wyjaśniliśmy kilku uwagami, nietylko nie-

<sup>1)</sup> W czasie kiedy zbieraliśmy materiały do rozpatrzenia się w budowie kolei żelaznych w Rosji w r. 1871) były dwa projekty: 1) linja z Berdyczowa do Brześcia, i 2) linja z Białej przez Żytomierz do Brześcia. Jedna z nich jest już na ukończeniu. Jesteśmy jednak tego zdania, że dla zyskania dwóch wstęg komunikacyjnych od Brześcia na południe, względy strategiczne skłonią do wybudowania obu kolei. Od jednej z nich odbije się boczna gałąź do Bród.

przeszkadzają widokom strategicznym, ale owszem są koniecznymi liniami bezpiecznego odwrotu i dla tego właśnie ze względów strategicznych musimy wyczekiwać bardzo rychłego ich ukończenia.

Ostatnią linią obrony na obszarze produkcyjnym zbożowym jest linia Dźwiny z Dnieprem. Tuż po za tą linią obiegający wielki łuk kolejowy poczynający się u wybrzeża zatoki ryskiej a sięgający przez Dynaburg, Witebsk, Mohilew, Nieżyn i Krzemieńczuk (albo Nowo-Moskowsk) aż do wybrzeży morza czarnego, utrzymuje styczność wojsk ustawionych do obrony linii Dźwino - Dnieprzańskiej. Pozycjami centralnymi tej obrony będą w miarę głównego kierunku wymierzonej zaczepki: Dynaburg, Smoleńsk albo Nieżyn.

Pod względem ważnych wyników ekonomicznych odnoszących się do komunikacji wywozu zbożowego, który nas tu wyłącznie zajmuje, obchodzi nas tylko ostatnia pozycja i dla tego, z pominięciem dwóch poprzednich, tylko nią samą się zajmiemy.

Armja skoncentrowana między Czernihowem a Krzemieńczukiem ma ognisko swe w Nieżynie, główny dowóz zasobów wojennych i możność dalszego odwrotu na linii Nieżyńsko - Orelskiej <sup>1)</sup>, podstawę działania w Dnieprze a wytyczne odwetów zaczepnych w linjach: Nieżyńsko-Kijowsko-Berdyczowskiej i Nieżyńsko-Bobrujsko - Mińskiej. — Mając przed sobą przestronny teatr wojenny, przedzielony bagnami Prypeci na dwie połowy północną i południową, może szanse obrony oprzeć na takiej kombinacji, że na jednym z tych wielkich odcinków podzielonego teatru wojennego działać będzie małemi siłami odpornie, a na drugim wystąpi całą resztą sił zaczepnie. Szanse leżące w tym rodzaju odpornego działania połączonego z zaczepnemi odwetami, polegają na nieodzownym warunku, że zakreślone poprzednio dwie połowy teatru wojennego zostaną przedzielone rzeczywistą przeszkodą niedozwalającą wojskom wkraczającym do Rosji przez Litwę i Wołyń żadnej możności łączenia się z sobą. Ten zaś warunek obudza w nas przekonanie, że rząd rosyjski nie zezwoli tak łatwo na żadną kolej przerywną w poprzek bagna Prypeci.

Kwadrat objęty linjami łączącemi narożniki Mińska, Brześćcia litewskiego, Berdyczowa i Czernihowa, zawiera przeszło 1600 mil kwadratowych, t. j. znacznie większą przestrzeń niż

<sup>1)</sup> Linja ta łączy armię naddnieprzańską z zasobami zbożowemi Orła i zasobami wojennymi Tuły i Moskwy; rezerwy zaś ściągać można przez Orzeł, jako główną krzyżownicę wszystkich kolei państwa.

Galicja, a ze względów strategicznych słabe ma tylko widoki zyskania odpowiedniej sieci kolejowej.

Nim przystąpimy do badania możliwych środków zastępczych, zdejmujemy kilka rysów dawniejszej historii handlu téj okolicy, które pod wpływem nowszych dróg zatrą się niebawem w rzeczywistości, a zatarłyby się później i w pamięci ludzkiej.

Pińsk był od dawna ogniskiem bardzo rozległego, chociaż nie zbyt zamożnego handlu. Okoliczność ta wywołała nawet w drugiej połowie przeszłego wieku urządzenia, jakie poprzednio nigdzie w Polsce nie powstały — wykopanie aż dwóch kanałów. Kanał Rzeczypospolitej, zwykle Muchawieckim zwany, łączący Muchawiec z Piną, powstał w r. 1770. Około tego samego czasu wykopanym został kanał Ogińskiego celem połączenia Jasiołdy ze Szczarą.

Ale budownicy tych kanałów nie mieli na względzie podniesienia żeglugi na wyższy stopień. Chodziło im tylko o uzupełnienie dróg wodnych takich, jakie były i dla tego zastosowali rozmiary i urządzenia kanałów do potrzeb ówczesnego stanu żegluznego, jaki się na porzeczu Prypeci poprzednio był wyrobił. Kanały te, równie jak rzeczki, które z sobą łączą, nie są więc uzdolnione do noszenia statków jakokolwiek znacznej objętości i odpowiedniej zabrodności, tylko ułatwiają spław tratw spojonych stósownie do własności rzek. Większe statki rzeczne chodzą tylko po dolnej Prypeci, a na górnym jej biegu i na kilku jej południowych dopływnikach zjawiają się tylko w czasie wylewów, ale Jasiołdą i Piną na kanały nie schodzą. Kanał Ogińskiego i Szczara mają swoje osobne małe statki znane na Niemnie aż do Kowna pod nazwiskiem bajdaków z kanału Ogińskiego i półberek ze Szczary. Z resztą w powszechném używaniu są tylko tratwy.

W czasie małej wody dla licznych mielizn z wyjątkiem odcinka od Mozyra do ujścia rzeki, tylko tratwą na całej Prypeci ujedzie. Utrzymał się tu więc aż do ostatnich czasów dawny sposób spławiania towarów na tratwach, sięgający swym początkiem jeszcze czasów Witolda, który do odwiecznej drogi z nad Ilmenu przez Kijów ku Carogrodowi, derzucając ważny nowy gościec handlowy z Kaffy, gdzie się za czasów genueńskich zbierały towary wschodnie przez tak zwaną „Witoldową łąźnię“ <sup>1)</sup> do portów bałtyckich, pierwszy przez środek Litwy zarysował drogę wielko-handlową i torował ją wszystkimi środkami znanymi ówczesnemu wiekowi,

---

<sup>1)</sup> Była to komora celna (tamoźnia) na Tawani, ostrowie dolnego Dniepru, przy którym znajdował się najdogodniejszy bród przez łączę z jedną strony, a łatwy przewóz przez wązki nurt Dniepra po drugiej.

nsuwając zawady wywrotów leśnych na rzekach, przetrzebając gościńce przez lasy niedostępne, sypiąc groble w miejscach grząskich i budując mosty, których nazwy („Witoldowych mostów“) zachowały dotąd pamięć jego w dróżnictwie litewskim.

Nie ma wątpliwości, że gdyby późniejsze czasy były uzupełniały dzieło Witolda środkami, jakie im postęp wieków nastრęczał, gościniec ten wielkohandlowy byłby podrósł do wielkiego znaczenia, sprowadził większą jednolitość narodu i utorował w cywilizacyjny sposób drogę do opanowania Krymu, o który się, przy ospałości ogółu, napróżno kusily dorywcze zabiegi Żółkiewskiego (syna hetmanowego) i kilku innych możno-władzców świeckich i duchownych.

Na drodze téj spotykamy się z nowemi rodzajami transportowości. Na piaszczystym stepie Nogajskim przenosily towary konie objuczone. Na obejściu porohów po Niżu czarnomorskim i stepie Czerkaskim i wzdłuż Dniepru znajdujemy od najdawniejszych czasów ochotników przewoźnictwa, których w nieco późniejszym czasie zaczęto nazywać „Kozakami“, nim się jeszcze pojęcie kozaczyzny w znaczeniu gromadnie na pewnej przestrzeni osiadłego, a w jednej części zbrojnego ludu wyrobiło. Blizkim więc jest domysł, że pierwsze zawiązki zaporoskiego łupieztwa powstały w ten sam sposób, jak się na wielu wybrzeżach morskich pierwotne przewoźnictwa z braku powagi władz publicznych przerodziły w piractwo morskie. Czy do tych samych czasów na Niżu czarnomorskim i stepie Czerkaskim odnieść wypada początek wozów czumackich, to na teraz pozostaje jeszcze pytaniem otwartém.

Tak samo dopatrzeć się nie można wyraźnego śladu włók<sup>1)</sup> między Jasiołdą a Szczarą, Piną a Muchawcem, Ptyczą a Wilią, albo Berezyną a Ulłą, chociaż ich się domyślać wypada, bo były między Łowatem a Dźwiną, Dnieprem i Wołgą. Pozostał téż wyraźny ich ślad w nazwie Wyżnego-Wołoczoka w okolicy, gdzie przechodził dawny handel z Wołgi przez Mstę na jezioro Ilmeńskie,

1) Włokami, albo przewłokami (po ros. *wołoki*) nazywa się rodzaj pierwotnego przewoźnictwa używanego w odludnych miejscach na wązkich rozstępach międzyrzecznych zwykle w blizkości źródeł rzek między poczynałkami się spławami jednej a drugiej, poprzedzający transport na osi.— Polegał on albo na przewłóczeniu lżejszych łodzi wraz z towarem, albo na przeciąganiu samego towaru na saniach odręcznych (włókach) i ściąganiu do drugiego spławu drzew międzyporzecznego lasu na podłożonych płóznach, celem zbicia tratwy do dalszego spławu przywiezionego pod wodę towaru. Powstaje on wszędzie, gdzie potrzeba międzyporzecznego wymian wyprzedza powstanie międzyrzecznych osad, utrzymujących inwentarz pociągowy.

a do ostatnich czasów t. j. aż do założenia kanałów Aleksandryjskiego i Katarzyńskiego utrzymały się włoki między Szeksną a jeziorem Kubeńskim, ztąd szła dalej droga wodna aż do fińskiej zatoki i na rozstępie między Wyszegdą i Kamą. (J. H. Blasius. Reise im europ. Russland 1840 und 1841).

Zdaje się więc, że włoki były bardzo dawnym rodzajem przewoźnictwa słowiańskiego, używanego na rozstęпах między porzecznymi, kreśliły pierwszy zarys późniejszych linii kanalizacyjnych, a co najważniejsza, że w krainach odwiecznych puszczy, znaczą miejsca pierwszych osiedleń i to takich, które powstając skutkiem potrzeby międzyplemiennych wymian, stawały się zwykle zlewkiem obu plemion z przewagą plemienia bardziej potrzebującego wymiany.

Śledzenie więc przewłóczysk nie jest rzeczą prostą ciekawości, ale naprowadzić może na drogę najważniejszego badania rozsiedlenia się plemion, które, oprócz wędrowek, parciem innych plemion spowodowanych, mogło się też odbywać drogą ruchów wywołanych potrzebami ekonomicznymi. Z tej strony nikt tej rzeczy nie badał, a sposób ten stałby się mógł bardzo płodnym w następstwa.

W obszarze puszczy litewskich wczesne powstanie bitych dróg Witoldowych, mogło zatrzeć niedostrzeżone dotąd ślady przewoźnictwa włókowego.

W jego miejscu znajdujemy na porzeczu Prypeci inny pokrewny rodzaj przewoźnictwa zimowego na saniach. Niedostępne a ztąd bezdrożne niższe spłazy porzecza zatapiają się wezbraniem jesiennym i w tym stanie zamarzają w bardzo równą powierzchnię. Po spadnięciu śniegów powstają tu tory bardzo rozległych, prosto wytyczonych dróg, które w wysokim stopniu ułatwiają komunikację zimową. Temi drogami nietylko od zamarzłych na spławie statków i tratów, ale i z najdalszych stron zwożą się towary do głównych

---

Inne rodzaje używania przewłok powstają czasem i pod innymi warunkami. Znane są w Grecji przewłóczenia ówczesnych okrętów przez istrym koryncką. Statki płynące z greckiej części Włoch do morza egejskiego, obawiając się opływania przyładka malejskiego, osławionego przez burze panujące w tej stronie, wpływały do zatoki korynckiej a przewleczone przez istrym, płynęły morzem egineckim do wschodnich wybrzeży greckich lub do osad azjatyckich. Okoliczność ta stała się jedną z przyczyn wzrostu Koryntu. Inny przykład mamy w północnej Ameryce. Myśliwi wysłani na połów zwierząt wydających futra kosztowne przez kompanią hudsonską, budują przestronne ale letkie statki z kory brzozonej zszywanej łykiem. Na tych statkach płyną od jeziora Winipeckiego aż ku ujściom rzeki Mackenzie i wracają z futrami zupełnie niezamieszkanym krajem, przeciągając po lądzie swe statki na okół każdego wodospadu lub innych zawał.

węzłów handlowych. Przewoźnictwo to od Czernihowa i Owru-  
cza sięga aż do Mińska i Pińska, wnikając i w dalsze strony  
Pojezierza litewskiego. Przewóz na saniach nierównie jest tańszym  
od przewozu na osi po złych drogach i współzawodniczy nawet ko-  
rzystnie ze spławem odbywającym się pod wodę na Prypeci.

Na czas otwarcia Witoldowej drogi, idącej przekątnią Litwy  
przypada też przełożenie przeważnej części handlu litewskiego z od-  
wiecznej drogi idącej przez Nowogród, Wołchowem, Ladogą, Nową  
i Fińską zatoką do miasta Wisby na Gotlandyi, na opisaną już po-  
przednio drogę między -porzeczną od Kowna przez Gilgę, Hafy,  
Pregolę i odnogi Wisły do Królewca i Gdańska.

Wyprawa z roku 1394 zwana „Heidenfahrt“ (Voigt VI. 23)  
zaznacza pierwsze jej zbadanie. Za Witolda zaczęła się już tworzyć  
osada kupców gdańskich w Kownie, która się później w słynny  
w dziejach handlu litewskiego „kantor Gdański“ zamieniła.

Wówczas zboże nie było jeszcze głównym przedmiotem wy-  
wozu. Inne towary wchodzące w ruch handlu litewskiego, łączące  
z małą wagą stosunkowo wysoką cenę, znosiły łatwiej wyliczone tu  
rodzaje przewoźnictwa. Były nimi przedewszystkiem wysoko wów-  
czas ceniony bursztyn, niedźwiedzie, bobrowe, rysie i wydrze futra,  
łośiowe i wołowe skóry, miód i воск, len i konopie, konie tabuno-  
we, żubry i tury.

Ze skutkiem względnej drogości różnorodnjawego z ciągłym  
przeładowywaniem połączonego przewoźnictwa zboże nie mogło wów-  
czas być przedmiotem przeważnego wywozu, wynika już z zestawie-  
nia przeciętnych cen Gdańskich z początku XV wieku, które Hirsch  
(H. G. D.) z archiwów miejscowych ogłosił.

W czasie kiedy łaszt żyta kosztował w Gdańsku 5, a je-  
czmień 3 do 4 grzywien (Mark<sup>1)</sup>), 40 skórek (*ein Zimmer*) ku-  
nich kosztowało 20 grz., bobrowych 11 — 15 grz., pośledniej-  
szych futer 3 — 4 grz. Beczka miodu kosztowała 3 grz., funt  
okrętowy (= 320 funtów targowych) wosku 32 grz., łaszt (około  
1000 kil.), mięsa solonego 9 — 10 grz., koń według wartości  
3 — 16 grz., łaszt lnu 40 grz. Bursztyn w wielkich wyborowych  
kawałkach równał się wartości drogich kamieni; miał bursztyno-  
wy w większych okruchach płacono beczkę po 44 grz., w drobniej-  
szych 14 grz. W dodatku zbywało się i tratwy. 100 sztuk tratwo-  
wego drzewa płacono w Gdańsku po 20 grzywien.

1) Podług badań Vossberga (*Geschichte der preussischen Münzen etc.*)  
grzywna gdańska w początkach XV. wieku miała wartość około 3 talarów  
dzisiejszej monety pruskiej.



Przy takim stosunku cen różnych towarów, zboże nie mogło być jakkolwiek nawet znaczącym przedmiotem wywozu litewskiego, tém bardziej, że obok uciążliwości przewozu, cło pobierane w Łabawie (na rzece Dejnje) nie od wartości towarów, ale od ryczałtowego spławu ciążyło stosunkowo bardziej na taniem a ciężkiem zbożu, niż na innych lżejszych i pakowniejszych, a stosunkowo nierównie droższych towarach.

W zamian za bursztyn, futra, len, wosk i inne płody litewskie wchodziły do Litwy od południa ówczesne towary wschodnie a z nad Bałtyku przeważnie sukna brabantkie. Głównym jednak przedmiotem dowozowym była sól, na której Litwie zupełnie zbywało.

Głównym składem solnym był wówczas Gdańsk. W początkach XV wieku sól gdańską, przy zwyczajnym dowozie z za morza, jeśli jej znaczne dowozy holenderskie nie zniżyły, płacono po 8 grzywien za łaszt zawierający 16 beczek. Zwożono ją tu wówczas z Lizbony i z Baie i Brouage, leżących na zachodnich wybrzeżach francuskich. Mimo tak dalekiego transportu morskiego sól gdańska dowożona drogą międzyporzeczną do Kowna rozchodziła się ztąd po całej Litwie aż do Prypeci, wytrzymując aż po te kresy współzawodnictwo z solą krymską. Sól nadwożańska dla długości lądowego transportu uchodziła za najdroższą i dochodziła nie wiele dalej jak do Smoleńska.

W późniejszych czasach zmieniła się postać rzeczy. Z upadkiem przewagi floty hanzeatyckiej na morzach zachodnich dowóz soli lizbońskiej i „bajskiej“, jak wówczas zwano sól francuską, doznał dotkliwych trudności, a z drugiej strony lepsze wyzyskiwanie soli krymskiej w połączeniu z rozgałęzieniem się stosunkowo taniego rozwoźnictwa czumackiego przeważała szalę współzawodnictwa na rzecz soli południowej. W ostatnich czasach szły przez Pińsk na całą Litwę wyłącznie wysełki składu Krukowskiego<sup>1)</sup>, dopóki otwarcie kolei Królewiecko - Wileńskiej w połączeniu z koleją Wileńsko-Warszawską nie wprowadziły znów współzawodnictwa soli pruskiej. Obecnie (przed wykończeniem odcinka kolejowego Brzesko-Mińskiego) dochodzi sól krymska, podług sprawozdania kupców Pińskich tylko już do Prużan i Słonima. Dalej na zachód i północ położone strony zaopatrują się wyłącznie w sól pruską.

Polska sól podrzędnie tylko i nie stale zaopatrywała potrzeby Litwy.

1) Kruków (Kriukow) nad Dnieprem naprzeciwko Krzemieńczuka jest obecnie głównym składem soli południowej Rosyi.

Zajęliśmy się przy dłużej rozmowem soli dla tego, że popyt za nią był po wszystkie czasy podstawą ruchu handlowego na drodze Witoldowej, wpływał na zmiany międzykrajowych wymian i stosunków i dla tego bardzo blisko obchodził losy tego wielkiego międzykolejowego wycinka, którym się obecnie zajmujemy. Była ona w tych stronach „towarem przewodnim“.

Ruch w handlu zbożowym ożywiać się zaczął za czasów Kazimierza Jagiellończyka, ale potwierdzenie rozszereżonych przywilejów kantoru Gdańskiego w Kownie w roku 1441 listem odręcznym nie tylko wszelkie zyski z pośrednictwa wielko-handlowego płynące oddało w ręce niemieckie, ale nadto rozwijające się już kupiectwo narodowe w samym zarodzie stłumiło. Zboża litewskie szły przeważnie do Królewca.

Do Gdańska, dla kosztów dalekiej żeglugi dochodziły tylko w razach wielkiego ożywienia ruchu handlowego w tém mieście. — W najmniejszej zaś ilości wypływały z Poługi. Najżywszy ruch handlu zbożowego litewskiego przypada na okres sięgając od początku panowania Zygmunta Igo do końca panowania Władysława IV.

Głównym węzłem tego handlu było zawsze Kowno.

Na znaczenie Kowna składały się nie tylko dodatnie, ale nawet i ujemne warunki. — Nietylko bowiem to, co w Litwie obudzało i ułatwiało ruch handlowy miało swą wagę ku Kownu, ale i najważniejsza przerwa ogólnego ruchu trafiła na to miasto i zmuszała do założenia tu przystani.

Do rzeczy dodatnich policzyć wypada ujście do Niemna w bliskości Kowna kilku rzek litewskich, między któremi najważniejszą jest Wilia z dopływnikami swemi; dalej tę okoliczność, że ku Kownu, jako najważniejszemu grodowi, zasłaniającemu Litwę od Krzyżaków torować się zaczęły od bardzo dawnych czasów liczne drogi przez okalające je puszcze. Kiedy więc Kowno ukazuje się po raz pierwszy na widowni dziejów handlu litewskiego, występuje już jako węzeł dróg wodnych i lądowych.

Licniejsze są ujemne warunki, które założenie przystani w Kownie nakazywały. Od miejsca, w którym dolny Niemen opuszcza wysokie brzegi pojezierza litewskiego ściągają się równe niziny aż do brzegów morza. Przez to żegluga na dolnym Niemnie i na hafie wystawioną jest na niebezpieczne wichry, na hafie nawet na piętrzące się wały, po których pływać mogą tylko statki odpowiednio zbudowane i głęboko zanurzające się w wodę. Górnym zaś i środkowym Niemnem aż do Kowna płynąć tylko mogą statki budowane swą uzdolnioną do spławiania się nad sterzącymi na dnie rzeki zawadami kamiennymi, nad które zwyczajny stan wody wynosi

się tylko od 3 do 4 stóp. Dla tego największe wiciny Niemnowe, nawet przestronne i długie są tak płasko zbudowane, że się nigdy głębiej nad 2½ stopy nie zabradzają. Do tej samej miary schodzi téż zabrodność statków na Wilii.

Jeśli się w dawniejszych i późniejszych czasach pojawiły głębsze statki płynące aż do Kłajpedy i Królewca, to te do Kowna spływały tylko w czasie wielkiej wody.

Zachodziła więc od wieków i zachodzi dotąd konieczność przeładowywania w Kownie towarów na inne statki.

Okoliczność ta w zestawieniu z brakiem przedsiębiorczości litewskiego mieszczaństwa, której zresztą utrudnienia krzyżaków a później księstwa pruskiego stawały zawsze na przeszkodzie, były przyczyną, że się w ostatnie otwory handlu litewskiego cisnęło obce przewoźnictwo i kupiectwo, które z przywilejem, lub bez przywileju w ręku, wywierało zawsze pewien rodzaj monopolowej uciążliwości.

Oprócz właściwości żeglugi niemnowej ciągnęła niepewność pokuju za czasów krzyżackich była przyczyną, że wszystkie towary krajowe z miejsca swego tylko do Kowna mogły być przesłane, zkad dopiero podług okoliczności wypadało obrać albo drogę dalszej żeglugi, albo przewiezienie ładem do Połagi, lub gościńcem żmudzkiem do Rygi.

Wynika z tego wszystkiego, że warunki, które zwracały cały handel litewski do Kowna, były tego rodzaju, że jemu samemu nadawały wprawdzie znaczenie ważnego miasta handlowego, ale dla ogółu całego handlu litewskiego nie były zbyt zbawiennymi i nawet miejscowemu handlowi kowieńskiemu nie pozwalały rozwinąć się na szerokiej podstawie narodowej.

Od chwili upadku Kowna w czasie wojen szwedzkich, zachwiały się tak ogólny handel Litwy jak w szczególności i handel zbożowy. Ożywił się na chwilę w czasach założenia kanałów Muchawieckiego i Ogińskiego, a zmartwiał zupełnie w ostatniem stóleciu.

W okresie największego ożywienia, zboża wołyńskie spływały Styrem, Horyniem i Słuczem do Prypeci i dobijały się pod wodę do Pińska. Pińsk pośredniczył w dalszej odstawie ich do Kowna. W Kownie nabywały je faktorye niemieckie na rzecz Gdańska lub Królewca. Zboże okolic Czernihowskich pomijając uciążliwość podbijania się Prypecią pod wodę przeważnie na saniach dostawały się do Mińska, a ztąd szukały przez Wilno drogi zbytownej do Kowna.

Handel przechodzący tak liczne ręce i tak uciążliwe drogi, mógł tylko utrzymać się w okresie najświetniejszym, kiedy zamieszki

w krajach zachodnich stały na przeszkodzie rozwijaniu się tamtecznego rolnictwa, skutkiem czego do portów polskich jak do śpi-chlerza po zboże zjeżdżać musiano. Po zmianach zaszyłych na zachodzie na niekorzyść handlu zbożowego obszarów bałtyckich, odleglejsze okolice zaczęły się z niego zwolna wycofywać. Najodleglejsze czernihowskie strony zamieniły się w zboża w przeważnej części na uprawę lnu, konopi i tytoniu, wytrzymujące z większą łatwością daleki transport. Właściciele ziemscy północnego Wołynia ścieśniając użycie rąk roboczych w rolnictwie, obrócili oszczędzoną w ten sposób robociznę na wyroby leśne. Ciągłe wyzyskiwanie lasów bez zaprowadzenia odpowiedniej kultury leśnej grozi na przyszłość smutnymi następstwami. Miarę dotychczasowego postępu w upadku lasów poleskich i wołyńskich podają nam kupcy pińscy w ogłoszonym r. 1863 podaniu do gubernatora mińskiego, napisanym celem skłonięcia rządu do zezwolenia na budowę kolei żelaznej z Pińska do Białegostoku. W dawniejszym czasie drzewo przeznaczone na spław wiślany lub niemnowy nie schodziło nigdy niżej 30 stóp długości, a 8 werszków<sup>1)</sup> grubości w ociosaniu w kostkę; obecnie zaś miara ta spadła na 23—24 st. długości, a 6 werszków grubości.

Nowa sieć kolei żelaznych rosyjskich zapewnia teraz najbardziej dotąd odosobnionej czernihowskiej gubernii łatwy przewóz tak do portów bałtyckich, jak i czarnomorskich i spowoduje zapewne ważne zmiany w stosunkach rolniczych. Północny zaś Wołyn oddalony zbyt daleko od kolei kijowsko-brzeskiej, pozbawiony nadziei zyskania kolei żelaznej, któraby w poprzek Prypeci łączyła w najdogodniejszym kierunku kolej Kijowsko-Brzeską z Mińsko-Brzeską z przedłużeniem do Białegostoku, jako przewidzianego węzła łączącego kolej Warszawsko-Petersburską z Królewiecko-Brzeską, pomysłu powinien o udoskonaleniu żeglugi na dorzeczu Prypeci aż do punktów łącznych z kolejami.

Względy, które, jeśli stan rzeczy dobrze przenikamy, nie pozwalają na kolej łączącą linię wołyńską z linią litewską powinny skłonić rząd rosyjski do racjonalnego urządzenia spławów na dorzeczu Prypeci, ale i strony interesowane nie powinny zaniedbać stosownych przedstawień.

Na polu uszlawniania rzek podług wymagalności udoskonalonej żeglugi, które wobec szaleńczego budowania samych kolei żelaznych zbyt długo zaniedbanym zostało, obudza się obecnie w Niemczech

<sup>1)</sup> Werszok =  $\frac{1}{10}$  arszyna, arszyn zaś = 2 st. wiedeńskie = 0,711 metra. Werszok więc mniej więcej :  $1\frac{1}{2}$  cala. Stopa w obrocie handlowym w Rossji = 1 st. 8 cali wiedeńskich = 0,538 metra.

ruch zbawienny. Inżynierowie pobudzeni rozległymi planami licznych kanałów tak miedzymorskich jak międzyrzecznych pracują usilnie w tym kierunku, zwracając przytém swą uwagę i na racjonalniejsze uszlawnienie rzek samych. Oprócz rzucanych pomysłów do udoskonalonego łańcuchowego holowania (Kettenschleppschiffart) na Elbie, ogłoszony niedawno szczegółowo opracowany projekt racjonalnego uszlawnienia Odry powinien zwrócić uwagę inżynierów krajowych i skierować ją w kierunku zajęcia się pomysłem wstawienia całej sieci rzek naszych w wykończającą się zwolna sieć kolei żelaznych, przez coby dowóz na osi najkosztowniejszy ze wszystkich rodzajów przewoźnictwa, ścięsniał się do rozmiarów bardzo mało znaczących.

Mamy tu na myśli broszurę ogłoszoną niedawno w księgarni Reisewitza w Opolu *Die Schiffbarmachung der Oder*, którą się publiczność szlázka bardzo żywo zajmuje. Autorem jój jest budowniczy Fessler.

Zasada tego pomysłu jest bardzo prostą. Zamiast spławu po skośnej powierzchni wód wywołanej jój spadem naturalnym, ma iść w czasie małej wody spław po schodach przez odpowiednie podniesienie wody w poziom ułożonych. Podniesienie to wody ma nastąpić przez zastawy na zakrętach wierzchołkiem kąta ku nadpływającej wodzie zwrócone (Nadelwehren), a kanałem na cięciwie zakrętu wykopanym pójdzie statek, który w końcu umieszczona śluza sprowadzi na poziom następnego schodu.

Podług niwelacyi Odry, od Bogumina do Kistrzyna stanąć ma 114 takich zastaw i pogłębić przez to całą rzekę o pięć stóp, wynosząc o tyle jój wody nad poziom zwyczajny. Kwestya uniknienia zamuleń nie jest jeszcze dostatecznie rozstrzygnioną, ale wprowadzoną na dobrą drogę badań. Służą jój tymczasowo za podstawę doświadczenia porobione przy kanale Wińskim (*Winske-Canal*) pod Opolem. Koszta uszlawnienia w ten sposób Odry od Bogumina (Oderberg) do Kistrzyna szczegółowo obliczone, są bez porównania niższe od kosztów założenia kolei żelaznej téj saméj długości i zapewniają przez to większą taniaść transportu.

Na czas wielkiej wody otwierać się będą wszystkie śluzy, a woda wznosząc się nad zastawy, popłynie tak zakrętami, jak i kanałami. Podług danych niwelacyjnych, powierzchnia jój ułoży się w skos o tyle nad wszelkie zawady wyniosły, że żegluga w tym czasie nietylko dawném łożem po zakrętach, ale i kanałami odbywać się będzie mogła, przez co łańcuchowe holowanie w żadnym czasie przerwy nie dozna.

Tym samym przedmiotem zajmuje się nadbudowniczy Albrecht w numerze 17 pisma *Deutsche Bauzeitung*. Albrecht oblicza obok kosztów zakładowych zarazem wysokość dochodu opartego na statystyce tych towarów, które jako za ciężkie na kolej, zejdą na wodę i na ilości tych wyrobów, które dziś (jak cegła etc.) na wielką odległość wcale puszczać się nie mogą. Rezultat tych obliczeń bardzo pomyślny. Opłaty spławowe, stosunkowo bardzo niskie i utrzymujące koszty spławu, znacznie poniżej kosztów transportu na kolejach, przyniosą 5% i zamortyzują oprócz tego, w krótkim czasie koszty zakładowe. Wtenczas opłaty będą mogły być niższe do tego stopnia, że koszty spławu wynosić tylko będą  $\frac{1}{3}$  dzisiejszych kosztów kolejowych.

Ze względu na taniość przewozu, na stosunkową nizkość kosztów zakładowych, i na doniosłość jaką dokładne rozwiązanie tej sprawy zyskać może w zastosowaniu do siatki rzek naszych, powinno się ustalić przekonanie, że techniczne badanie poruszonego tu przedmiotu nie tylko jest u nas na czasie, ale do rzędu najważniejszych kwestji ekonomicznych należy.

W przytoczonym już urzędowym przedłożeniu kupców pińskich, znajdujemy wśród uzaleń na trudności spławu po Jasiołdzie, Pinie i kanałach w połączeniu z niemi zostających, wzmiankę o tak niskiej wodzie w czasie suszy, że spław po niej zapewnić sobie tylko można przez podniesienie jej rzuconemi na prędce płotynami — wyraźnie zastawami w rodzaju proponowanych do udoskonalenia spławu Odry.

Stalsze zakłady tego rodzaju powstały też były przed kilkudziesiąt laty na Horyniu, celem podniesienia wód na przestrzeni od Horynia do Ostroga. Podług świadectwa Steckiego (Wodyń) podniesienie wód, mimo zbytecznie ścieśnionych miejscami grobli, oddawało znaczne przysługi spławom na wspomnianej rzece. Zapewne skutkiem ścieśnienia łoża bez zapewnień odpływowych na czas wielkiej wody, zakłady te później zerwane zostały.

Praktykuje się więc już na dorzeczu Prypeci w samorodny sposób, to, co w racjonalnym udoskonaleniu zaprowadzonym być powinno i jest arcyważną wskazówką, że zdrowym okiem dostrzeżone właściwości miejscowe, same na to naprowadzają.

Zastósowanie rozwiniętych tu zasad racjonalnego uspławiania rzek o zmiennym stanie wody, do porzeczka Prypeci, pociągałoby za sobą o tyle więcej nakładu, że nizkość brzegów większej części zbiegających się tu rzek, wymagałaby częściowego ogroblenia koryt, ale zastósowanie się do tej właściwości porzeczka w połączeniu z jednocześnie obmyślonym systemem osuszenia przyległych okolic, pod-

niosłoby kulturę tych pod każdym względem zaniedbanych stron i opłacałoby się tém bardziej przez wynikający ztąd nadbitek korzyści krajowych.

Uspławnienie Prypeci i jej dopływników, nie wyłącza też bynajmniej powstania kolei, chociaż nie przerzynającej porzeccza, to przynajmniej poprowadzonej od Pińska do kolei Mińsko-Brzeskiej, a w przedłużeniu i do węzła Białostockiego, przez co zboża północnego Wołynia mogłyby się zwracać, podług zachodzących widoków większej korzyści, albo Muchawcem przez Brześć i Warszawę do Gdańska, albo przez Białystok i Ełk do Królewca, albo nareszcie przez Białystok i Wilno do Libawy, koleją Kowieńsko-Libawską.

Królewiec i Libawa staną się naturalnemi portami zbóż schodzących po kolei landwarowo-nieżyńskiej, a współzawodniczyć będą z Gdańskiem na Wołyniu. Przewaga Gdańska zdaje się o tyle być pewną, że skutkiem większej łatwości zawiązywania się stowarzyszeń komisowych w obszarze jego dowozu i większej potęgi środków kredytowych, łatwość dostania się drogą komisową przez Gdańsk do Londynu, ma więcęć zapewnioną przyszłość.

W obecnym stanie rzeczy Królewiec ma mniej przestarzałych nawyknień miejscowych, ale w tym samym stosunku też mniej środków finansowych i mniej stosunków kupieckich na targach zachodnich.

Rzeczny port królewiecki jest nieco głębszy od portu na Motławie. Można by go pogłębić i zabrodniejszym uczynić dojazd przez haf do Piławy, żeby podług rozwiniętych powyżej zasad przez odpowiednie zastawy uchylić letni odpływ wód Dejną, a komunikację z hafem kurskim ograniczyć na istniejący już, ale niedokładny kanał. Wtenczas Pregola nabrałaby więcęć złobiącej siły i samaby resztę zrobiła. Tak samo można postąpić sobie na Niemnie z odnogą Gilgą na korzyść nierównie ważniejszej Russy w przejeździe na haf i do Kłajpedy.

Libawa jest świeżo powstającym portem o stosunkowo słabszych siłach kupieckich, gdzieby naczelne pośrednictwo komisowe dla Litwy, było nader pożądane. Przystań jej, dostatecznie głęboka, ma jeszcze tę korzyść, że skutkiem wiatrów północnych zmiatających zawiązki lodów wzdłuż prostej linii wybrzeża, prawie nigdy nie zamarza. Braknie jej tylko dostatecznej ochrony od wiatrów burzliwych. W ostatnich czasach rząd rosyjski czynił wielkie nakłady na port libawski. Ekonomisci rosyjscy rokują mu wielką przyszłość — i życzyłyby należało, żeby dla Litwy północnej

mógł zastąpić Rygę, wyszukując ją w podobny sposób, jak Gdańsk swój obszar dowozowy.

Zwrócimy się teraz do jednego z ostatnich założeń naszych, do współzawodnictwa zbóż amerykańskich z europejskimi.

Od zachodnich krańców obszaru dowozowego miast St. Louis i Chicago w państwach Illinois i Missouri, gdzie się obecnie najobficiej wyładzają zboża, do portów wschodniego wybrzeża północnej Ameryki liczy się około dwudziestu pięciu stopni geograficznej długości. Jest to w przybliżeniu ta sama odległość, która środek Wołynia od Londynu oddziela. Gdyby więc urządzenia komunikacyjne stariej Europy dorównywały już urządzeniom niedawno powstałej północnej Ameryki, to po obliczeniu równych kosztów, bo na równych odległościach poniesionych, pozostałoby jeszcze Ameryce przewyżczenie przebycia całego tysiąca mil morskich do podjęcia współzawodnictwa z Wołyniem. Ta różnica podług miary znanych dzisiaj środków, nie byłaby wcale do pokonania.

Możliwość podjęcia takiego współzawodnictwa polegać więc musi na różnicy, jaka zachodzi między stosunkami przewoźnictwa z głębi Ameryki do jej wybrzeży, a z krain zabużańskich do Londynu. —

Po wyswobodzeniu się pierwszych trzynastu państw (states) amerykańskich z pod jarzma angielskiego, stan okręgów udzielnych Nowego Yorku, Massachusettsu, Nowego Jersey i Pensylwanii, w których leżą miasta portowe: Boston, New York, Filadelfija i Baltimore przedstawiał pod względem komunikacji z głębią krajów północnej Ameryki daleko smutniejszy obraz od najgorszych komunikacji ziem naszych w najdawniejszej nawet przeszłości. Góry Allegańskie oddzielały od powyżej wymienionych państw związkowych przestrzenie dzisiejszych państw Ohio, Indiana, Kentucky, Wisconsin i Missouri, które jako kraje głównej produkcji zbożowej przeważnie nas obchodzą. Większą część tych przestrzeni zaalegańskich, przepływała wspaniała rzeka Ohio, odlewająca swe wody do znanego olbrzyma rzek Missisipi uchodzącego do zatoki Meksykańskiej, ale od pierwszych jej spławów przez góry, a następnie w poprzek rzek, które na wschodniem wybrzeżu płyną wszystkie z północy na południe, niepodobna było przewieźć do portów wybrzeża jakiegokolwiek płodu rolniczego, bez zużycia przez transport na osi przynajmniej potrójnej jego wartości. Nadto na Zachodzie państwa Nowego Yorku i w północnych kończynach Pensylwanii, rozaczało swe wody jezioro Erie, równające się swą rozległością małemu morzu. Z jeziora tego można było przestronną



komunikacją płynąć do jeszcze większych jezior: Hurońskiego, Michiganu i Górnego, których spojony łańcuch sięgał aż okolic źródeł rzeki Missisipi, a których wybrzeża dotykały najurodzajniejszych przestrzeni amerykańskich, ale od jeziora Erie do najmniej ze wszystkich portów odległego Nowego Yorku, transport na osi jednej beczki (= 1000 kil.) miasu albo pszenicy, kosztujących na drogim wówczas targu Nowo-Yorkskim 25 i 50 dolarów, wynosił najmniej sto dolarów<sup>1)</sup>. Jezioro Erie miało prawda przez jezioro Ontario i rzekę ś. Wawrzyńca odpływ do morza atlantyckiego w posiadłościach angielskich, ale od jeziora Ontario przegradzał je znany wodospad Niagary ucinający wszelką możliwość dostania się ztąd morzem do portów Zjednoczonych Stanów.

Z temi uciążliwościami komunikacyjnymi łączyły się jeszcze groźne widoki polityczne. Kolonie hiszpańskie, osiadłe nad dolnym Missisipi, mające swobodny dopływ do krajów zaallegañskich, mogły je sobie przyswoić lub opanować, a następna koalicja tej możliwej nowej potęgi z nieprzejednaną jeszcze Anglią, mogła stłumić w samym zarodzie świeżą jeszcze rzeczpospolitą mającą wówczas tylko trzy miliony mieszkańców.

Cała więc przyszłość zawiązku państw zjednoczonych, polegała na energii tej garstki przedsiębiorczych mieszkańców i na pomyślnym skutku usiłowań zwróconych w stronę otworzenia komunikacji z krajami zaallegañskimi.

Jako owoc długoletniego wyteżenia usiłowań w tę stronę, powstały dwa olbrzymie dzieła budownictwa wodnego: kanał Eryjski i kanał Pensylwański. Pierwszy poczyna się u jeziora Erie pod miastem Buffalo i dochodzi do rzeki Hudson pod miastem Albany. Rzeka Hudson zaś uchodzi do Atlantyku pod Nowym Yorkiem. Przez otworzenie tego kanału Nowy York stał się miastem portowem wielkiego systemu wodnego sięgającego w głąb Ameryki północnej aż do krain położonych nad źródłami rzeki Missisipi i stanowiącej przez długi czas największą drogę wielko-handlową północnej Ameryki.

Niemniejsze znaczenie posiada kanał Pensylwański. U zachodniego podnóża gór Allegańskich nad spływem Allegany i Monongaheli, dwóch od miejsca połączenia się spławnych dopływników rzeki Ohio, leży miasto Pittsburg. Przez wąwozy łączące doliny gór Allegańskich przeprowadzono z wielkim nakładem kanał łączący punkt spływu wspomnianych dopływników Ohia z rzeką Susque-

<sup>1)</sup> Max Freiherr v. Kuebeck. „Americanisches Communications-Wesen“. Wien. 1872.

haną, uchodzącą pod Baltimore do zatoki Chesapeake, a kanałem bocznym połączono znow Susquehane z Delawarem, uchodzącym pod Filadelfią do zatoki delawarskiej. W ten sposób portom Bałty-morskiemu i Filadelfijskiemu otworzyła się wielka handlowa droga rozgałęziająca się na całe porzecze rzeki Missisipi.

Najbliższém następstwem otworenia tych dwóch ważnych komunikacyj z krajami zaallegañskimi, było przystępowanie kolejne tych krajów do Unii.

Przystępujące do Unii kraje, korzystając znow we własnym interesie z dopływników rzek Ohio i Missisipi, łączyły je wszystkie z łańcuchem jezior położonych na północy, tak, że od wschodnich brzegów rzeki Missisipi, w państwie Illinois aż do wschodnich wybrzeży Nowego Yorku, Pensylwanii i Marylandu, ciągnie się teraz nieprzerwana sieć krzyżującej się na wszystkie strony kanalizacyi.

Przed przystąpieniem do Unii państwa Illinois (w r. 1818), wszystkie ważniejsze linie kanałowe, szukały odpływu na jezioro Erie, dla tego, że kanał Eryjski mógł większe statki do morza sprowadzać, niż pensylwański. W tym kierunku idą kanały: Ohio-Erie, Miami, Wabash-Erie, do których mniejsze boczne dobiegają. Dopiero w państwie Illinois skierowała się zaraz pierwsza ważna linia do Michiganu. Kanałem od rzeki Illinois do wspomnianego jeziora główna część porzecza Missisipskiego połączoną została z łańcuchem jezior północnych. Rzeka Illinois uchodzi do Missisipi w pobliżu miejsca połączenia się tej rzeki z Missouriim. Na niezmiernie ważném zbiegowisku tych rzek, powstało miasto St. Louis, a przy ujściu kanału stała wówczas tylko nędzna wioska indiańska, znanego dziś bardzo nazwiska Chicago.

Tak stały rzeczy, kiedy zastosowanie pary do lokomotyw wprowadziło w używanie zakłady kolei żelaznych. Amerykanie rzucili się do wyzyskania nowego wynalazku z całą energią świeżego przedsiębiorczego ludu.

Zasady koncessjonowania kolei żelaznych w Ameryce, są zupełnie odmienne od zasad zastosowywanych na kontynencie europejskim. Względy strategiczne nie wchodzą tu w rachubę; rząd więc nie wywiera żadnego wpływu na kierunek linji. W granicach tego, co ogólnemi ustawami nie jest wzbronioném, wolność wszelkiego przedsiębiorstwa nie doznaje żadnych ukróceń. Formalność koncessjonowania ma tylko kontrolę godziwości zamiarów na celu. Ochrona koncessjonowanych już kolei żelaznych od niszczącego wpływu współzawodnictwa w bliskim równoległym kierunku nie wchodzi wcale w zakres kompetencyi rządowej.

W początkach powstawania kolei żelaznych, każde odosobnione państwo koncesjonowało je u siebie. Wolność przedsięwzięciom wywołała dużo kolei żelaznych równoległych, na których współzawodnictwo samo zniżało ceny opłat. Częste krzyżowanie się ich z rzekami i kanałami, nie tylko nastęrczało sposobność składania towarów zawałnych, w których pośpiech nie był wyraźną wymagalnością, na tańszy zawsze transport dobrego spławu i przemian odwrotnych, ale nadto ograniczyło do najmniejszych rozmiarów kosztowny transport na osi.

Powstającym w ten sposób siatkom państw odosobnionych, brakło spójni międzypaństwowych. Kongres państw zaczął więc wydawać koncesye na koleje łączne, międzypaństwowe. — Powstały ztąd linje wielko-handlowe, ale zostające w wielkiej liczbie rąk z wszystkimi niedogodnościami zbytnich rezerwowych parków i wysokością kosztów ogólnych, które dalsze zniżanie cen mimo wzrostu przesełek uniemożliwiały, a tém samém i współzawodnictwu spławowego przewoźnictwa podoleć nie mogły. Bez wszelkiego wpływu z góry, jedynie na podstawie dobrego zrozumienia rzeczy, zaczęły się zawiązywać towarzystwa skupu drobnych przedsięwzięciom na długich linjach wielko-handlowych, a szczególnie na dwóch najważniejszych: Chicałgo-New-York i St. Louis-Baltimore i Filadelfia. Pod wpływem bowiem wnikanía w głąb kraju kolei żelaznych, miasta St. Louis i Chicago wyrosły na dwa główne ogniska handlowe wewnętrznego obszaru produkcyjnego, pierwsze w państwie Missouri w samym węźle najpotężniejszego dorzecza amerykańskiego, drugie nad przylegającą do tego obszaru zatoką najgłówniejszego jeziora wielkiego systemu roztok północnych, który się w końcu w porzecze rzeki św. Wawrzyńca zamienia, a w kanale Eryjskim ma swój wielko-handlowy odpływ do oceanu atlantyckiego.

Na tych dwóch wielkich linjach kolejowych (Chicago-New-York i St. Louis - Baltimore), z których pierwsza potęca w najważniejszych punktach o południowe wybrzeża jezior północnych i przerzyna najważniejsze dwa kanały Wabash-Erie i Ohio-Erie, druga zaś przerzynając te same kanały i dopływники rzeki Ohio, trzyma się jój pobliza i kierunku. zespolił się główny handel między wewnętrznym obszarem państw północnej Ameryki, a przeważnie przemysłowym wybrzeżem.

Na pierwszój z tych linii (Chicago - New York) towarzystwa skupu zespoliły skonsolidowane odcinki Chicago i Nord Western, Lake-Skore (Buffalo-Cleveland) i centralny Nowo-Yorkski, na drugiej (St. Louis-Baltimore) pensylwański i inne pomniejsze.

Jak z początku rozdrobnienia przedsiębiorstw były zbyt wielkie, tak później i kosolidowania ich wyrosły w przesadę. Sam odcinek Chicago i Nord Western zespólił 1257 mil. Zbytnie zespalanie utrudnia administrację i stawało się tu nawet powodem nadużyć finansowych, ale mimo to zespolone linie przynoszą w przecięciu 15% dywidendy, a obniżyły przeciętną opłatę na 1¼ centów am. za beczkę i milę, co nie dochodzi nawet wartości jednego grosza polskiego za 100 kilogramów.

Mimo tak znacznego obniżenia opłaty na kolejach żelaznych, wszelkie towary stosunkowo do wielkiej swej wagi niską cenę mające, szczególnie płody roślinne a między nimi i zboże schodzą przeważnie na jeszcze tańsze spławu wodne.

Ceny opłat od spławu inne są na rzekach, inne na kanałach, inne na jeziorach; różnią się jeszcze między sobą podług zmienności stosunków popytu za nimi i ich podaży i podług zawieru następujących się statków. Trudno więc z luźnych i niezupełnych podań wyciągnąć ich przeciętną. Ale że są przeciętnie niższymi od kolejowych, to się okazuje z danych statystycznych, udowadniających przeważne schodzenie płodów rolniczych na wodę tak w czasach niskich jak i wysokich cen targowych.

I tak w r. 1858 przy średniej cenie 33 dolarów za beczkę, przechodzące kanałami Nowo-Yorkskimi „płody pożywne roślinne“ wynosiły 1,208.589, na kolejach zaś tylko: 914.206 beczek.—W r. 1861 przy niskiej cenie 25 dol.: na kanałach 2,122.237, na kolejach 1,220.332 beczek. W r. 1866 przy podniesionej cenie 44 dol. na kanałach: 1,763.931, na kolejach: 1.531.785 beczek. — W r. zaś 1864 przy bardzo ożywionym ruchu i wysokich cenach 65 dol. na kanałach: 2,122,237, a na kolejach; 1,379.738 beczek <sup>1)</sup>.

Większa taniość przewozu spławowego na rzekach i kanałach polega na jednostajnej wystarczającej głębokości wody, na prostej linii ich koryt, umożliwiających racjonalne holowanie całych szeregów statków i na stosunkowo wielkim beczkomiarze ostatnich.

Wykazy Nowo-Yorkskich kanałów i kolei, jako części schodnic całej sieci wodnej i kolejowej, dają najnormalniejszą miarę zajęć na wszystkich liniach przewozowych i dla tego użyliśmy ich za dowód naszych utrzymań.

Poprzedzający zarys stosunków przewoźnictwa amerykańskiego wyjaśnia nam przyczynę, dla której płody rolnicze amerykańskie po

<sup>1)</sup> Powyższe dane statystyczne wyjęte z tablic Kuebecka, opartych na dziele uznanej w Ameryce wiarogodności: „Manual of the Railroads of the United States. 1869, by Henry Poor.

przebyciu od państw środkowych do portów nadbrzeżnych przestrzeni równajacęj się odległości Wołynia od Londynu, mogą jeszcze przebyć 1000 mil morskich oceanu atlantyckiego i stanąć do współzawodnictwa z nami na targowiskach zachodniej Europy. Ograniczenie najdroższego transportu na osi do najmniejszych rozmiarów, współzawodnictwo drobnych przedsięwzięć na kolejach równoległych, skonsolidowanie linii wielko-handlowych i wynikające ztąd obniżenie cen opłat kolejowych, wstawienie w sieć kolejową wszechstronnie udoskonalonej sieci wodnej, na której udoskonalenie racjonalnego holowania sprowadza jeszcze niższe koszty od przewozu na kolejach — oto cała tajemnica tak doniosłego rezultatu.

Wszystkie więc czynniki, któreśmy w przeglądzie różnych rodzajów naszego przewoźnictwa, jako nieodzowne wymagalności koniecznej naprawy stosunków handlu krajowego z zasad naukowych wywodzili, znajdujemy tu w kształcie dokonanych czynów, jako wynik długoletnich doświadczeń.

Ale mimo tych wszystkich usiłowań żarliwie zapobiegliwego narodu, współzawodnictwo jego z nami, ma swoje granice.

Doświadczenie ostatniego lat dziesiątka poucza nas, że zgromadzone na wybrzeżach zboża amerykańskie, nie puszczają się prędzej na ocean atlantycki, dopóki ceny londyńskie nie wyniosą się nad średnią swą wysokość wynoszącą 56 szylingów za kwarter, czyli 25 szylingów za 100 kilogramów.

Jeśli wszystkie poruszone przez nas ulepszenia transportowości krajowej i przewozu morskiego, w połączeniu z oddaniem zbóż naszych w ręce komisju utworzonego na podstawie organicznie pomyslanego planu będą mogły przyjść do skutku, do czego, jak się to w ciągu rozprawy naszej staraliśmy wykazać, jedynie dobrze skierowanej gorliwości producentów<sup>1)</sup> potrzeba, to przy zwyczajnych cenach londyńskich będziemy mieli w kraju ciągle ceny takie, jakie dotąd rzadko kiedy w czasie przesileni konsumcyjnych osiągamy. — W czasie zaś takich przesileni spotykamy się zaraz z współzawodnictwem zbóż amerykańskich, które czas ożywionego ruchu do tego stopnia skracają, że zboża z głębi kraju często dosyć wcześniej nadejść nie zdołają i przeważna część korzyści spada, jak dziś rzeczy stoją, jedynie na gotowe składy miast portowych. W razie więc zamienienia systemu składowego na obrotowy drogą odpowiednio urządzonego komisju i ścisłego zastosowania ruchów naszej podaży

---

<sup>2)</sup> Mówimy o gorliwości samych producentów, boć i przeważna część banków komisjowych z ich łona wychodzi.

do zjawisk zachodzących w popycie za zbożem, sprowadzimy prąd do bardzo szczupłych rozmiarów, korzystne dla nas przesilenia konsumcyjny, ale będziemy za to mieli stałe ceny przynajmniej tak wysokie, jakimi dziś są tylko w chwilach bardzo ożywionego popytu za zbożem i usuniemy stanowczo z targu angielskiego współzawodnictwo amerykańskie, zastępując niodobory, które dotąd Ameryka pokrywała, rozszerzeniem własnej produkcji.

Ale prócz współzawodnictwa w handlu zbożowym, w którym możemy i powinniśmy wziąć stanowczą przewagę, pozostanie nam jeszcze drugie współzawodnictwo z mąką amerykańską.

Najtaniiej produkowane zboża Illinoiskie i Missouryjskie, schodzą się w Chicago, przebywają ztąd najtańszy spław jeziorny do Buffalo i dostają się kanałem Eryjskim do młynów Rochesterskich. Nadpływają więc do Rochesteru najtańsze surowe płody, jakie tylko w Ameryce przemysł młynarski przerabiać może. Wyrobiona tu mąka idzie dalszym ciągiem kanału Eryjskiego i rzeką Hudson do Nowego Yorku, ztąd ją do Liwerpoola wysełają. Są oprócz tego liczne młyny w Wirginii, pracujące pod równie sprzyjającymi warunkami.

Taniość surowego płodu, podniesienie o trzecią część wartości wyrobu w stosunku do równej wagi zboża, sprawiają, że mąka może łatwiej wytrzymać daleki transport i dla tego bez wielkiego względu na chwilowe ceny angielskie, odpływa prawie stale do Liwerpoolu.

Skoro więc przez zamienienie systemu składowego na obrotowy, przez racjonalne urządzenie podaży i ulepszenia we wszystkich rodzajach przewoźnictwa, zdołamy usunąć zboża amerykańskie z targowisk zachodniej Europy, rzecz jasna jak na dłoni, że Ameryka uderzy w stronę rozszerzenia swego młynarstwa i będzie chciała współzawodniczyć z nami wyrobem znoszącym daleki transport.

Wchodząc na tę drogę Amerykanie, nie zniosą nigdy tego tysiąca mil morskich, który nam na wszystkie czasy niezaprzeczoną przewagę nad nimi w rękę oddaje, ale zamieniając cały swój wywóz na mąkę, zmuszą z czasem i nas do stopniowego zamieniania handlu zbożem na handel mąką.

Trzeba się więc zawczasu zająć i tym zwrotem rzeczy, z którym się rychlej czy później niezawodnie spotkamy.

Kwestja ta poruszana już była u nas kilkakrotnie, ale nie rozbierano jej nigdy wszechstronnie.

Podnoszono już u nas, bardzo nawet gorliwie, tę ważną okoliczność, że kraj nasz wywożąc zboże, wywozi w niem pierwiastki będące podstawą żyźności naszój ziemi. Rozszerzony wywóz zboża,

stanowiący chwilową korzyść naszych rolników, podkopuje przyszlą obfitość naszych zasobów zbożowych. Są to złote słowa niezaprzeczonej prawdy, które już często były wygłaszane, ale kraj nie wiedział i nie wie dotąd, jakich środków ma się chwycić na uchylenie grożącego mu niebezpieczeństwa.

Przejdziemy z kolei wszystkie czynniki ekonomiczne wchodzące w zakres téj kwestyi i starać się będziemy zestawić z nich najkorzystniejsze dla naszych stosunków kombinacje.

Jeden z lepszych młynów krakowskich zyskuje ze 100 kilogramów pszenicy, następujące rodzaje mlewa ;

|                                |      |
|--------------------------------|------|
| Nr. 0000 .....                 | 1.4  |
| „ 000 .....                    | 14.7 |
| „ 00 .....                     | 3.1  |
| „ 0 .....                      | 5.6  |
| „ I. ....                      | 2.5  |
| „ II. ....                     | 6.   |
| „ III. ....                    | 29.  |
| „ IV. (już rumiana mąka) ..... | 7.4  |
| „ V. ....                      | 6.4  |
| „ VI. ....                     | 1.2  |
| Olsborn .....                  | 5.4  |
| Czerwona Mąka .....            | 14.3 |
| Manco .....                    | 3.   |
| Razem .....                    | 100. |

Okazująca się tu obfitość numerów wywołaną została popytem kół krajowych szczególnie wybrednego rodzaju. Najwyższy numer w wielkim handlu wcale nie bywa poszukiwanym. Dla oparcia rachub na stosunkach wielkohanlowych wypadnie nam sprowadzić pewne numera do jednej kategorii i z cen odnośnych numerów wyciągnąć przeciętną.

Ściągamy więc wszystkie numera zerowe, jako mąkę wyborową oznaczoną zerem; numera I — III jako mąkę średnią właściwą piekarską (I), resztę uważamy za poślednią mąkę, która zużywając się w rolnictwie, powinna pozostawić swe pierwiastki ziemi.

Zyskamy więc ściągniętą tabliczkę:

|                        |       |
|------------------------|-------|
| Nr. 0 wyborowa .....   | 24.8  |
| Nr. I średnia.....     | 37.5  |
| Nr. II poślednia ..... | 34.7  |
| Manco.....             | 3.—   |
| Razem.....             | 100.0 |

Przy cenie 12 złr. za sto kilogr. pszenicy, przeciętne ceny nr. 0 wynoszą u nas 22 złr. za sto kilogramów, nr. I 16 złr.; a nr. II 3 złr. za tę samą ilość. Stosunek cen mąki do cen zboża znajdujemy nieomal ten sam zagranicą.

Choćbyśmy więc przy wywozie mąki zagranicę nie mieli zyskiwać za nią wyższych cen nad krajowe, tylko stały jęj odbył mieli zapewniony z oszczędnością transportu na tęg części pośledniej mąki (34,7%), która w rolnictwie zużyta zostanie i na 3% Manka, to względny rachunek zysków ze sprzedaży zboża a mąki, wypadłby jak następuje :

|                                                                                            |                      |
|--------------------------------------------------------------------------------------------|----------------------|
| Za 100 kil. pszenicy dostajemy.....                                                        | 12 złr. — c.         |
| Za 24,8 kil. wyb. mąki.....                                                                | 5 złr. 46 c.         |
| Za 37,5 kil. średniej mąki.....                                                            | 6 złr. — c.          |
| Oszczędność na transporcie 34,7% mąki<br>pozostawionej w domu i 3% Man-<br>ka — około..... | 1 złr. 50 c.         |
|                                                                                            | <u>12 złr. 96 c.</u> |
| Różnica na korzyść wziętku za makę.....                                                    | — złr. 96 c.         |

Wywożąc więc mąkę zamiast pszenicy, zyskujemy na każdych 100 kilogramach tylko 96 centów w gotowiznie, ale natomiast zatrzymujemy darmo 34,7% grubęj mąki i ctrań na zasilenie ziemi naszej przez spaszanie w gospodarstwie i zyskanie odpowiednich korzyści z chowu inwentarży.

Korzyść ta wzrastałaby jeszcze znacznie, gdyby przy rozgałęzioném młynarstwie, wszelkie zboże spasane zwykle w gospodarstwie, zamieniało się na mąkę, a w miejsce wyciągnionej z niego wyborowej mąki na wywóz zagranicę zostawiało się odpowiednią część średniej mąki na zużycie w rolnictwie.

Oprócz więc nieodzownej konieczności ochronienia ziemi naszej od nieuniknionego wypłodzenia, zamiana handlu zbożem na handel mąką, pociąga jeszcze za sobą znamienite zyski.

Nikt też w ogóle nie wątpi o tych korzyściach, ale daleko zawilszą rzeczą jest rozprawienie się z zachodzącemi trudnościami tak w handlu mąką, jak i w rozgałęzieniu się młynarstwa na odpowiednią skalę.

Pierwszą trudność znajdujemy w zbyciu mąki zagranicą. Najwyższe zera mąk naszych uważają za przesadne i wcale ich nie chcą kupować. Numera zaś, które lepszy pokup znajdują, chwalą z pozoru, ale robią uwagę, że u nas nie zważają na racjonalną mieszalinę zboża do mielenia, co się w korzyściach pieczywa uczuć podo-



bną daje. O przyczynach tego nie mamy dostatecznego wyobrażenia. Przytaczamy szczegóły zaczerpnięte ze źródeł, które się zbytem mąki zagranicą zajmowały, jako rzecz, którąby na miejscu racjonalnie zbadać należało. Tak w Londynie jak w Belgji lubią mieszać zboże bałtyckie (przeważnie nasze) z duńskim i miejscowem, albo też bałtyckie (którego zawsze pragną) z miejscowem i chilejskiem (z Chili pochodzącem). Mają to być mieszaniny najkorzystniejsze. Czy w tém jest co racjonalnego, czy też proste uprzedzenie, jak się to jeszcze w niejednym razie wydarza nawet w kołach, gdzieby się tego nie wypadało spodziewać, dość, że tak jest i że ta okoliczność rozwojowi młynarstwa naszego stawa na przeszkodzie. Że zaś w każdej gałęzi przemysłu nie tylko na rzetelną dobroć wyrobu, ale i na gust a nawet i uprzedzenia odbiorców zważać wypada, więc zakładający młyny z wyrachowaniem na wywóz mąki, musi się do wymagalności miejsc zbytowych nakłaniać i badać je na miejscu jak najstaranniej.

Mąki węgierskiej nie używają w Belgji, tylko na domieszanie do pieczywa w małej ilości. Ztąd pochodzi niewielkie powodzenie wielkich młynów na akcyje w Węgrzech pozakładanych.

Niemniej ważną trudność sprawiają koszta obrotu przemysłowego wyższe u nas niż gdzieindziej.

Wszelka techniczna praca jest dotychczas u nas nierównie droższą niż w Niemczech.

Ze względu na to, że tylko wielkie zakłady, w których para jest siłą poruszającą, rzeczywiście opłacać się mogą, cena węgla kamiennego odgrywa ważną rolę. Na zmielenie sześciu centnarów zboża przy maszynie o sile 60—70 koni potrzeba 1 centnar węgla. Cena węgla wzrasta bardzo nagle w miarę oddalania się od kopalni. W kopalniach górno-szląskich centnar węgla kosztuje 15—18 gr. p. Na odległość każdej mili staje się o jeden grosz droższym, jeśli go się na kolei żelaznej przewozi. Gdzie zaś transport na osi zachodzi, tam wzrost ceny węgla jest tém naglejszy. U nas oba warunki obciążające cenę węgla, trafiają właśnie okolice, którym zamiana handlu zbożem na handel mąką najbardziejby się przydała. Przy użyciu koksowanego węgla oszczędza się 50—60% na transporcie, ale traci znów pewien procent siły ogrzewającej. Trzeba więc szukać rady na to w środkach zastępczych.

Mimo zaczepek, jakich z wielu względów i z różnych stron doznaje turbina, nie możemy się rozstać z myślą dawno powziętą, że w jej udoskonaleniu polega cała przyszłość młynarstwa polskiego. Główną jej korzyścią jest możność zastosowania do niej każdego spadku wody. Udoskonalenia skutecznie w akademji bu-

downiczéj berlińskiej wydają 0,8 zasobu pracy wody, przez najwyższe możliwe zrównanie szybkości obrotu turbiny z prędkością ubiegającej wody i zredukowanie do możliwego minimum straty siły pochodzącej z pierwszego uderzenia o wierzch przyrządu.

Zostawiając jednak teoretyczne spory o wartość turbiny znawcom bardziej kompetentnym od nas, wolimy zdanie nasze poprzeć przykładami wziętymi z praktyki.

Posłuży nam do tego porównanie dwóch przedsiębiorstw bardzo podobnego rodzaju, z których jedno posługuje się przeważnie siłą pary, drugie opiera się na wyłącznym użyciu turbiny. Wyższa korzyść wynikająca z oszczędności najdroższego w każdym przedsiębiorstwie czynnika pracy ludzkiej, zostaje w naszym zestawieniu po stronie turbiny.

W zakresie wyrobów lnianych najpierwszą jest niezaprzeczenie w całym cesarstwie rosyjskiem tak pod względem dokładności, jak i różnorodności wyrobów fabryka panów Hielle i Dietrich w Żyrardowie, ale pod względem stosunku produkcyjnego wynikającego z zestawienia wartości wyrobów z użytą do jej wytworzenia pracą ludzką, przewyższa ją Tammerforska fabryka wyrobów lnianych założona na akcyje w Finlandji. Dowodem tego są następujące wykazy:

Fabryka Żyrardowska posługuje się machinami parowymi o sile 250 koni a ubocznie i kołami wodnymi. W fabryce znajduje się 8400 wrzecion i 500 warsztatów tkackich. Pracuje w niej 1900 robotników. Towarów wypładza fabryka za 1,000.000 do 1,200.000 rubli srb. W fabryce Tammerforskiej wyłączną siłę mechaniczną stanowi pięć turbin o sile 310 koni. Znajduje się w niej 8000 wrzecion i 229 warsztatów tkackich. Zatrudnia ludzi 800, produkując rocznie towaru za 806,500 rubli srb. — Kiedy więc stosunek produkcyjny fabryki Żyrardowskiej wyraża się przez 1:631, tenże sam stosunek w fabryce Tammerforskiej oznaczyć wypadnie przez 1:1008; czyli innymi słowy: w czasie kiedy w fabryce Żyrardowskiej jeden robotnik wypładza wartość 631 rubli srb., w fabryce Tammerforskiej produkuje wartość 1008 rubli srb. <sup>1)</sup>

Chociaż przyczyn tak świetnego rezultatu produkcyjnego nie można upatrywać wyłącznie w użyciu turbiny to jednak przytoczone dane świadczą wymownie o możliwości użycia jej z korzyścią w zastępstwie pary i powinny zwrócić staranną uwagę techników naszych

<sup>1)</sup> Szczegóły wyjęte z dzieła: Friedrich Matthaei, „Die Industrie Russlands, Leipzig 1872“. Dzieło to oparte na danych zebranych w czasie wystawy Petersburskiej w roku 1870.

ku rozwiązaniu kwestyi zakładania wielkich przedsiębiorstw młynarskich w stronach, do których dowóz węgla kamiennego połączony jest ze zbytmi kosztami transportu.

Do wyliczonych już trudności dodać ostatecznie należy brak kapitałów tak zakładowych jak i popędowych i wysokość ich odsetek zniżającą zysk czysty i utrudniającą współzawodnictwo z młynarstwem zagranicznym. Na zakłady młynarskie takiej rozległości, żeby cały handel zbożowy na handel mąką zamienić mogły, potrzeba kapitałów nierównie znaczniejszych nad te, które drogą obrotu finansowego zyskać możemy. Trzeba jednym słowem uzbierania kapitałów własnych, a do tych inną drogą nie dojdziemy, jak drogą najkorzystniejszej sprzedaży tego, co już posiadamy.

Z tych przyczyn staraliśmy się o wyjaśnienie wszystkich warunków wpływających na podniesienie cen zboża i zostające z tém w związku rozszerzenie wywozu, ażeby po uzyskaniu drogą racjonalnego handlu zbożowego i zapasu kapitałów własnych i rozległych stosunków z najtańszymi kołami finansowymi w Anglii przystąpić do stopniowo odbywającej się zmiany handlu zbożowego na handel mąką, do którego ostatecznie zmusi nas współzawodnictwo amerykańskie.

W stopniowem zaś rozwijaniu się młynarstwa krajowego, powinniśmy z początku przeważnie mieć na oku, najpierw potrzeby własnego kraju a następnie najbliższe obszary konsumcyjne kontynentalne. Zamiast łamania się z przeszkodami zachodzącymi na targach zachodnich, łatwiej nam będzie zaspokoić najpierw mniej wybredne żądania bliższych zagranicznych targowisk na mąkę.

Młyny górnego Szląska doznają przez to powodzenia, że im zwoziemy z rozległych stron kongresowego królestwa tanie zboże na Baran pod Krakowem. Własne młyny parowe oparte o kopalnie Dąbrowy i turbinowe na Prądniku i Szreniawie wywoziłyby z większą korzyścią kraju mąkę do górnego Szląska.

Parowe młyny dolnego Szląska i Luzacyi na drodze wywozowej z Leszna zabijają odwieczne nasze wiatrakowe młynarstwo, korzystając z taniości naszego zboża na targu Leszczyńskim. Urządzenie młynów parowych po naszej stronie wstępowałyby w współzawodnictwo z niemi na podstawie równej taniości węgla kamiennego i tych samych warunków kredytowych, a miałyby za sobą większą taniość surowego płodu.

Nad Notecią od Łabiszyna do Nakła i nad Brdą w Bydgoszczy rozsiadło się dosyć rozległe młynarstwo wpływające korzystnie na podniesienie cen miejscowych całych Kujaw i północnej części Pałuk. Rządowe młyny w Bydgoszczy zaopatrują magazyny wojskowe. W Turze nad Notecią jest zakład kupców Szczecińskich

na wywóz mąki obliczony, z których żytnią wysyłają stale do miasta Bergen w Norwegii, a pszenną zaopatrują miejscowe potrzeby Szczecina, wysyłając nadbitek w czasie odpowiednich konjunktur zbożowych do Hullu w Anglii. Ale oprócz zboża zużywanego przez młyny, przeważna jego część idzie Notecią, Wartą i kanałami, następnie Hawelą poza Berlin do Branibora, gdzie się znajdują wielkie młyny i wraca ztamtąd w kształcie mąki do Berlina. Daleko właściwszą byłoby rzeczą zaopatrywać potrzeby Berlina mąką krajową, opierając zakłady młynów parowych o świeżo odkrytą w bliskości kopalnię węgla.

Urządzenie młynów turbinowych nad górnym Styrem, albo nad którymś z dopływów Dniestra w wschodniej Galicyi znalazłoby odpowiedni odpływ na mąkę do górnych Węgier, skoro się sieć kolei żelaznej ukończy na przestrzeni między Lwowem a Munkaczem.

Na tych pierwszych próbach łatwiejszego współzawodnictwa i dogodniejszych warunków wywozu wzmogłoby się młynarstwo krajowe i wyrobiłyby się odpowiednie siły techniczne. Toby torowało drogi do ogólnej zamiany handlu zbożowego na handel mąką na ten czas, w którym kapitały narosłe przez podniesienie cen miejscowych na to zezwola.

Na tém kończymy „na dziś“ uwagi nasze nad drogami handlu zbożowego. — Dalecy jesteśmy od mniemania żeśmy przez nie cały przedmiot wszechstronnie wyczerpali. Niemieliśmy nawet tego zamiaru. Chodziło nam jedynie o to, ażeby dotknąć ile możności wszystkiego, rozszerzyć widokrąg przedmiotu, odnieść najważniejsze szczegóły do właściwych czynników ekonomicznych i przez wielostronne poruszenie szczegółów wchodzących w zakres tak ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego obudzić odpowiednie prace monograficzne.

Ten sam zamiar łączyliśmy z ubocznymi wycieczkami naszymi na pole historyczne. Niechodziło nam w nich o zarys obejmujący jakakolwiek całość i dla tego nie powtarzaliśmy tego, co Felix Łojko, profesor Jaroszewicz i inni w tej materji już opracowali, ale staraliśmy się poruszyć rzeczy albo zupełnie przez nich pominięte, albo zbyt pobieżnie dotknięte i odnieść podniesione szczegóły do zmian systemów przewoźnictwa, które za główną podstawę rozwoju handlowego uważamy. Zmiany zachodzące w tych systemach w połączeniu z otwarciem dróg nowych stanowią zawsze epoki w dziejach handlowych.

Prac zaś monograficznych, które koniecznie poprzedzić muszą tak wyczerpujące opracowanie dziejów handlowych, jako i prawdziwie wszechstronny pogląd na stan obecny dokonać tylko może zbior-

rowa siła badań przedsiębranych na miejscu po wszystkich główniejszych węzłach handlowych obu obszarów, tak produkcyjnego jak i konsumcyjnego.

Zamiar nasz uważać będziemy za osiągnięty, jeśli przez poruszenie głównych czynników wchodzących w zakres handlu zbożowego zdołamy wprowadzić prace monograficzne na właściwe tory.

Nie będziemy też pracy naszej uważali za podjętą na próżno, jeśli przez uwagi nasze zdołamy w rolników naszych wpoić przekonanie, że obecny stan handlu zbożowego nie zezwala na obojętne wyczekiwanie jakiegoś szczęśliwszego zwrotu mającego spaść jakby z obłoków, tylko że trzeba umiejętnie przyłożyć czynną rękę do zwrócenia tych korzyści w ręce producenta, które dziś przeważnie bogacą wielkie kupiectwo portowe i drobną spekulację krajową, a w znacznej nawet części giną bezowocnie brakiem racjonalnego urzędzenia podaży.



---

#### Sprostowanie.

Na stronie 308, wiersz 16, zamiast „lnianka“, czytaj „kanianka“.

# JÓZEF SUPIŃSKI

(Pisma Józefa Supińskiego wydał Jan Welichowski  
we Lwowie, 1872, w druk. zakładu Ossolińskich. — Tom I.  
„Myśl ogólna fizyologii wszechwiata“. — Tom II. i III. „Szkoła  
polska gospodarstwa społecznego“. — Tom IV. „Listy treści  
społecznej“. — Tom V. „Życiorys Supińskiego“ — dramat:  
„Tatarzy“ i „kilka pism pomniejszych“).

przez

J. N. SADOWSKIEGO.

## I.

W przedmowie do świeżo wyszłego z pod prasy drugiego wydania dzieł Józefa Supińskiego, znajdujemy zestawienie zdań, które się o tych dziełach w czasie pierwszego ukazania się ich na widok publiczny w różnych stronach ziem naszych pojawiły. Z samej liczby pojawiających się recenzyj wynika wyraźne przeczucie światlejszej publiczności, że się niespodzianie w obec jakiegoś ważnego zwrotu w nauce gospodarstwa społecznego znalazła, ale treść oceny nowo pojawiającej się pracy, rozchodzi się w dwóch kierunkach. — Przeważna część ówczesnych recenzentów uznała ważność oparcia całej teorii na podstawie praw przyrody i przyjęła bardzo sympatycznie nazwę „szkoły polskiej“, ale w uznaniu tém zawarła się w zakresie zdań zbyt ogólnikowych; mniejsza zaś część wchodząc w same tylko wywody ścisłej ekonomii, a wchodząc w nie ze stanowiska szkół obcych, uważała zakres zaprowadzonych nowości, za mało znaczący i polegający więcej na zmianie nazw, niż rzeczy. — Żadna ze stron recenzujących nie postarała się o zyskanie punktu widzenia, z któregoby spór o stanowisko Supińskiego w nauce go-

spodarstwa społecznego w zupełnie stanowczy sposób można rozstrzygnąć.

Rozwój każdej nauki odbywa się w sposób organiczny. Na zachodzące więc pytanie, czy pewne świeżo zaprowadzone do niej zmiany stanowią rzeczywisty jej postęp i na nowe właściwemu jej rozwojowi zupełnie odpowiednie tory ją wprowadzają, w taki tylko sposób rozstrzygająco odpowiedzieć można, jeśli się przejrzy dotychczasowy loiczny postęp jej rozwoju i na podstawie takiego przeglądu orzecze, czy zachodząca świeżo zmiana wypływa z jej dotychczasowego przebiegu na podstawie ścisłych praw wewnętrznego jej ustroju, czy też tylko z przypadku i bez koniecznej potrzeby w jej zakres się wdziera.

Chcąc więc stanowisko Supińskiego w obec nauki gospodarstwa społecznego w należyty sposób określić, trzeba się zająć dotychczasowym postępem tej nauki i doprowadzając go aż do kresów, gdzie się wątpliwości o bezwzględnej prawdzie systemu dotychczasowych zasad wykażą, sumiennie ocenić, czy teoria Supińskiego wątpliwości te stanowczo uchyla i nowe tory dalszego rozwoju otwiera.

Musiemy więc w głównych zarysach przebieg dotychczasowe dzieje ekonomii politycznej.

Gospodarstwo społeczne dawnością swoją sięga aż do czasów powstania na świecie ludzkości i najpierwszych jej potrzeb, ale nauka ujmująca je w wyrozumowany system, jest stósunkowo bardzo młodą i pojawiła się dopiero wtenczas, kiedy bardziej skombinowany ogrom potrzeb ludzkich domagać się zaczął umiejętności środków zaspokojenia swego.

Teoria powstająca wśród stosunków wynikających z krzyżowania się bardzo licznych czynników ekonomicznych, nie mogła od razu pochwycić właściwej podstawy całego ruchu społecznego, ale pochwytowała i systemizowała przeważnie te czynniki, które w chwili jej powstania najbardziej się uwydatniały.

W ten sposób powstał najpierw system merkantylny, opierający ocenę bogactwa narodowego przeważnie na towarze mającym znaczenie wspólnej miary wszystkich wartości i będącym przez to najdogodniejszym środkiem wymian, a powstał wtenczas, kiedy niedawne zaprowadzenie wojsk regularnych w połączeniu z długoletnimi wojnami, panujące trwonienie gotowego grosza na dworach królewskich i po rezydencyach możnych panów, zwracały szczególnie uwagę na poszukiwanie brzęczącej monety. Uwydatniało wówczas tembardziej ten czynnik ekonomiczny puszczenie w obieg wprowa-

dzonej przez Hiszpanią niezwykłej liczby drogich metali, które w średniowiecznym gospodarstwie, opartém na wynagradzaniu wsiatkiego ziemią i surowemi płodami, zupełny przewrót sprawiły, a zwrócenie uwagi na sposób, w jaki wzrosły w zamożności większe handlowe miasta średniowieczne za pomocą ruchu podtrzymywanego ciągłym obiegiem gotowego grosza, przekonywało wszystkich tém bardziej o jego znaczeniu. Usprawiedliwia zaś poniekąd teorye merkantylne względ na to, że przy ówczesnym, nie dość jeszcze upowszechnioném zaprowadzeniu wzajemnych kontów kupieckich, przy nader ograniczonym obiegu wszelkiego rodzaju bądź prywatnych, bądź publicznych piśmiennych wyrażen wartości i przy zupełnym prawie braku rozległego kredytu, gotowy grosz rzeczywiście przeważniejszą niż w obecnych czasach miał potęgę i był niezaprzeczenie tém, co wówczas „nervus rerum“ nazywano.

Pod wpływem wyliczonych zajęć społecznych, zapoznano właściwe znaczenie grosza gotowego, jako miernika wartości, a ztąd środka tylko do skuteczniania wymian. Widziano w nim przeciwnie najważniejszy cel pragnień i rozsądnie obmyślanych ubiegań, orzeczono, że tylko nagromądzenie gotowizny, stanowi bogactwo krajowe; że zwiększanie lub zmniejszanie się srebra i złota w obiegu krajowym, jest właściwém znamieniem panującego w nim stanu majątkowego i pozostaje w stósunku prostym z wzrostem lub upadkiem krajowego bogactwa. Celem gromadzenia w kraju pieniędzy, zalecał system ówczesny zbywanie wszystkiego za gotówkę, co się tylko w kraju udało wyrobić i wypłodzić. W stosunkach między-krajowych uważano na to, aby przez komory graniczne wychodziło więcej płodów i wyrobów krajowych, niż wchodziło obcych, a natomiast wpływało do kraju więcej gotowego grosza, niż zeń wypływało. Nazywano to korzystnym bilansem handlowym.

Lubo system ten ekonomiczny zwany merkantylnym, znalazł i w literaturze swych reprezentantów uczonych, głównie jednak osoby panujące i rządzący krajami ministrowie byli żarliwymi jego zwolennikami. — Z téj to przyczyny powstały pod wpływem przekonań merkantylnych, wszystkie sztuczne środki państwowe, przeznaczone na urzeczywistnienie zamiaru zaopatrzenia kraju w gotowe pieniądze. Głównemi z tych środków były: zakazy wywozu drogich metali i surowych płodów używanych w fabrykach krajowych, zakazy dowozu wyrobów zagranicznych, protegowanie handlu wywozowego, sprowadzki surowców i nadawanie odpowiadających tym zamiarom przywilejów, monopolów, premij, pożyczek rządowych i t. p. uwzględnień. Starano się nadto zawierać w téj dążności traktaty



handlowe i nabywać kolonie zamorskie w znaczeniu przymusowych targowisk na odbiór wyrobów krajowych.

Wyobrażenia merkantylnie, bez zgłębienia docieczonych później a w pewnej części dziś jeszcze nie rozstrzygniętych praw, rządzących harmonijnem zespóleniem interesów społeczno-ekonomicznych, zdają się niewtajemniczonymu w te prawa na pozór bardzo stósonwnemi, bo wzięte są z doświadczeń gospodarstwa prywatnego. Ale interesa większych społeczności podlegają zupełnie innemu porządkowi rzeczy. To też system merkantylny powstał w czasach, kiedy porządek społeczny średnich wieków, głównie na luźnym tylko związku interesów prywatnych oparty, zaczął wątleć, a polityczny system rządów absolutnych zaczął wzrastać. Wyobrażenia ekonomiczne, wzięte z poprzednich doświadczeń czysto-prywatnych, przeszły w nowy skład rzeczy już publiczny, a zespólenie władzy w jednej ręce, nadawało sposobność i chęć urządzania wszystkiego w państwie podług swęj myśli, jakby u siebie — w prywatnej własności. Rządy związujące szeroki ogół, były już publiczne, a znajomość rzeczy rządząca gospodarstwem społecznem jeszcze jak dawniej, prywatna.

Skutkiem zaprowadzonych środków, powstał z jednej strony sztuczny, niezdrowy wzrost przemysłu, a z drugiej upadek rolnictwa. Przemysł pozostawiony w swych niedołężnych formach średniowiecznych, mimo pozornego wzrostu, nie mógł stworzyć oczekiwanych cudów w gromadzeniu pieniędzy. Mimo wszelkich wysileń, skarby państw się wypróźniły, a rozrzutność dworska, która w zaufaniu do niewyczerpalności źródła merkantylnych zabiegów nie stawiiała sobie granic, wpędziła państwa absolutne w kolosalne długi.

Wśród powszechnego braku pieniędzy na wydatki państw, ludzie myślący zaczęli badać rzeczy gruntowniej i rozglądać się za pewniejszymi źródłami dostatków. Podstawy merkantylizmu uległy ostręj krytyce. Ścisłejsza rozważa nad naturą pieniędzy, wróciła im z łatwością znaczenie, jakie po wszystkie czasy miały w praktyce, choć tego w teorii dotąd nikt nie wypowiedział. Poznano, że będąc towarem, jak każdy inny towar, są jednak dla powszechnie uznanych dogodności, najwłaściwszą miarą wszelkich innych wartości i że właściwem ich przeznaczeniem jest służenie wymianom, że skutkiem tego powinny obiegać, a nie być poszukiwanemi na gromadzenie, sprowadzające stagnację wymian.

Łatwo też było poznać gruntowniejszęj rozważce zgniliznę przemysłu trzymającego się ciągle form średniowiecznych, a protegowanego tak starannie przez system merkantylny, ale wówczas nie umiano jeszcze nadać mu nowego kształtu. Zaniechano go więc,

jako przedmiotu w tym zwrocie mniemań, za mniej korzystny uznanego, a szukano innych źródeł bogactwa. Zwrócono uwagę na zaniedbane pod wpływem poprzedniego systemu rolnictwo podupa-dłe, a jednak jakkolwiek wszystkich żywiące, mające zawsze jeszcze swe znaczenie, z powodu praw i powagi przywiązanych wówczas do posiadłości ziemskich.

Było to wpadnięciem z jednej ostateczności w drugą.

Na zaniedbanie rolnictwa zaczęto zwać całą winę powszechnej nędzy. Rzucono się przedewszystkiem na stawiane mu zapory i powstawano na uwzględnienia rywalizujących z niemi zabiegów.

Powstał drugi system ekonomiczny, zwany fizyokratycznym, którego głównym krzewicielem był Franciszek Quesnay.

Zdaniem Quesnaya sama tylko ziemia wydaje płody nowe, przemysł przerabia tylko już istniejące. Ona więc jest jedynym źródłem bogactw. Tylko praca rolników jest prawdziwie płodną, praca reszty ludności może tylko być użyteczną.

Zachętą do rolnictwa może tylko być zysk czysty (produit net) jako pozostający nadbitek po odtrąceniu wszystkich kosztów. Zapewnienie tego zysku, wymaga zniesienia wszelkich pęt tamujących rozwój rolnictwa.

Żąda więc fizjokracja: opieki nad rolnicwem, usunięcia wszelkich przeszkód ze wspólności użytkowania wynikających, nieograniczonej podzielności ziemi i wolnego handlu. Jój dewizą jest: *laisser faire, laisser aller*.

Oprócz tej bezpośredniej i wprost na wzrost rolnictwa wymierzonej opieki, żąda fizjokratyzm jeszcze pośredniej pomocy przez zniesienie monopolów, przywilejów wszelkiego rodzaju i uwzględnień udzielanych dotychczas innym zawodom.

W zamian za te dogodności doznane ze strony rządu, przejąć znów powinna ziemia, zdaniem Quesnaya wyłącznie cały ciężar podatku. Z wyobrażeniem o wyłącznej płodności ziemi łączy się bowiem w odpowiedni sposób wyłączność jednego tylko podatku, na jedynym źródle bogactw opartego. Radzi więc zaprowadzić jeden tylko podatek i to gruntowy.

Trudności, jakieby się w wykonaniu tych wszystkich wymagałości przedstawić mogły, nie usiłuje nawet zbijać szczegóło, usuwając wszelkie wątpliwości jednym ogólnym sofizmatem, że co w gruncie rzeczy jest przez rozum za niezbitcie rozsądne uznane, to w każdym zastosowaniu musi ostatecznie wydać pomyślny rezultat. O nic więc nie pytając, trzeba burzyć, co było dotąd, a zaprowadzać, co się za rozsądne uznało.

Widzimy w tém charakter wszelkich zapatrywań się na rzeczy panujący w przededniu rewolucyi francuskiej, tak jak w merkantylizmie uznać już musieliśmy system głównie do myśli rządów absolutnych przypadający.

Mimo całej jednostronności systemu fizyokratycznego, mimo wyraźnej mylności głównego twierdzenia, że tylko praca rolnicza jest płodną w skutki realne, a przeto sama tylko wypładza rzetelne wartości, system ten stał się ważnym i płodnym w następstwa przez zagadnienia, które wywodem swym poruszył.

Krytyczne wycieczki jego na merkantylizm wstrząsły w posadach przestarzałe formy średniowiecznej przemysłowości, pozytywnie rozjaśnił raz na zawsze niezbitą rzeczywistość płodności ziemi i położył podwaliny wolnego handlu i niekrępowanego niczém współzawodnictwa.

Najważniejszą zaś przysługę zrobił naukowemu pojnowaniu rzeczy rozbiciem jednego z najstarszych, bo przeszło dwudziestowiekowego przesądu, jakoby pieniądze wyłącznie były bogactwem i postawieniem pytania: „co jest właściwém źródłem zamożności“?

Chociaż sam system fizyokratyczny niedostatecznie odpowiedział na postawione sobie pytanie, to samém wywołaniem téj kwestyi podał sposobność ludziom myślącym do gruntownego badania jęj i stał się pobudką do prac następnych lepiej tę rzecz rozstrzygających.

Przez prace fizyokratów utworowaną została droga trzeciemu z rzędu systemowi nauk ekonomicznych zwanemu zwykle przemysłowym (indystryjnym). Pierwszym i najważniejszym badaczem na tém polu był Adam Smith, który otwiera nową szkołę krajów przemysłowych, głównie angielską. Opiera się zaś na nowym czynniku przeważnie w krajach przemysłowych występującym — na pracy. System Adama Smitha nie jest jednak tak jednostronnym jak poprzednie. Rozszerzenie widokregu nauk ekonomicznych przez A. Smitha polega na tém, że uzupełnił ilość czynników wchodzących w zakres bogactw narodowych, obejmując ich znaczeniem wszelkie możebne wartości naszego świata, nie wyłączając nawet zdolności umysłowych, o ile się do pomnożenia lub udoskonalenia ich przyczyniają; że oprócz względu na interes producentów, wciągnął w zakres badań ekonomicznych i interes spóżyawczy; że zamiast pośrednich źródeł bogactw, z których za wyłączne źródło poczytywał merkantylizm gromadzenie pieniędzy, a fizyokraci ziemię, on samą pracę, jako najpierwotniejsze źródło wszelkich wartości uznał; że nauką o skuteczności jęj podziału i zastąpienia jęj mechanicznej części machinami, sprowadził olbrzymi wzrost produkcji, tak, że odtąd nauka ekonomii społecznej, zamiast być, jak po-

przednio nauką o ściąganiu do kraju pieniędzy, albo nauką o ważności płodów rolniczych, stała się uniwersalną nauką badającą powstawanie, rozbieganie się i spożywanie bogactw, a w dalszém następstwie nauką o sposobach sprowadzenia dobrobytu powszechnego.

Podział pracy wsparty kapitałami i machinami, potęgowałby mógł produkcją w nieskończoność, gdyby nie granice, jakie temu postępowi stawia ograniczona możność ich zbytu.

Dla tej potrzeby otwartych wszędzie targowisk system wolnego handlu wprowadzony już przez fizyokratów stał się w nowej szkole Adama Smitha przedmiotem jak najusilniejszej propagandy.

Wprowadzenie w życie zasad szkoły przemysłowej, okazało najpierw ogromny swój wpływ na niesłychany wzrost produkcji, ale wykazało też dużo stron ujemnych wynikających z ich zastosowania.

Nagły wzrost produkcji, rozszerzył niesłychanie przepaść dzielącą wielką nędzę od zbytku bogactw, która szczególnie w samych ogniskach rozległej przemysłowości, wydała ohydny proletaryat. Niemniej szkodliwym stał się rozstęp między krajami przeważnie rolniczemi i mniej przerabianiu płodów oddanymi a krajami przemysłowemi. Ponoszenie kosztów dowozu surowych płodów i przywozu wyrobów spada całym swym ciężarem na kraje rolnicze, które dla braku kapitałów, skupionych w ogniskach przemysłowych, nie mogąc z nimi współzawodniczyć, stają się państwą wyzyskiwania. Szkoła przemysłowa nie podaje na to lekarstwa.

Zastanawianie się nad sposobami uchylecia tych niedogodności międzynarodowych wywołało w łonie szkoły trzy odcienia, które jednak stanowczo złemu nie zaradziły.

Wywody Bastiata, chociaż z wielką zręcznością możność sprowadzenia harmonijnych stosunków na drodze swobodnego współzawodnictwa wykazują, są zbyt optymistyczne i szczegółowych sposobów wyłamania się ze stosunku wyzyskiwań narodom przeważnie rolniczym nie podają.

Fryderyk List, ekonomista niemiecki, nie upatruje bogactwa w nagromadzeniu wartości, ale w przysposobieniu zdolności krajowych, w wytrawném wykształceniu przedsiębiorców i wyrobionej umiejętności robotników. (*Theorie der produktiven Kraefte*). Ale na zyskanie tych umysłowych zasobów szuka wyłącznej rady w protekcyi.

Nie wzdryga się też przed częściową przynajmniej protekcyą Amerykanin Carrey, którego teoria zbliżenia konsumenta do producenta przez decentralizację przemysłu i rozrzucenie drobnych ognisk przemysłowości po całym obszarze ziemskim byłaby

nader zbawienną, gdyby wskazała naukowy sposób rozbicia wielkich ognisk przemysłowych i możność współzawodniczenia z nimi bez dostatku i taniości kapitałów i sposoby łatwego wyrobienia odpowiednich sił technicznych i roboczych.

Z tego pobieżnego przeglądu dotychczasowych dziejów nauki gospodarstwa społecznego zyskujemy najpierw ten nader ważny wynik, że wszystkie jej teorie występujące w szeregu zmieniających się systemów i szkół są nietylko dziećmi pewnej epoki dziejowej i charakteryzujących ją stosunków ekonomicznych — ale nawet wśród tych epok jedynie usystemizowaną abstrakcją wyosobnionych krajów. System merkantylny jest odbiaskiem dążności tych rządów absolutnych, które się na rozkładzie stosunków średniowiecznych w środkowej Europie ustalały, teoria fizykratów charakteryzuje zapatrywania się ludzi wyszłych ze szkoły encyklopedystów w przededniu rewolucyi francuskiej, system przemysłowy jest przeważnie teoretycznym rozjaśnieniem wzrostu produkcji przemysłowej, która po ogólném zaprowadzeniu machin i podziału pracy, rozwinęła się głównie w Anglii przy kopalniach węgla kamiennych i przy pomocy kapitałów nagromadzonych z poprzedniego handlu morskiego, szukających umieszczenia w przedsiębiorstwach zwracających je wraz z odsetkami w krótkim czasie i zapewniających przez to ciągłe ich krążenie. Co więcej, teorie angielskie naginają się w postępie swoim coraz bardziej do miejscowych widoków najważniejszych kół przemysłowych tak dalece, że najświeższych prac ekonomicznych angielskich szkoły Smitha nie nazywają już inaczej w Niemczech jak „szkołą Manchesterską“ dla tego, że w całym systemie swęj polityki handlowej, w zasadach przyjętych co do taryfy ceł i przewoźnictwa, w wytknięciu zasad obrotu kapitałowego, w rozumowaniu nad agitującą się obecnie kwestją kopalnianą i w zapatrywaniu się na kwestyę robotników są prawie wyłącznie wyrazem życzeń i dążeń wielkich przedsiębiorstw manchesterskich.

Trzy główne systemy, które się dotąd wyrobiły, są tylko trzema kartami wyciętymi z ogólnych dziejów gospodarstwa społecznego skutecznijającego się od czasu pojawienia się ludzi na ziemi, zamienionemi w teorie naukowe.

Każda z tych teori rości sobie prawo do niezbitęj słuszności w rozstrzyganiu kwestyj ekonomicznych; każda ogłoszone prawdy uważa za niewzruszone i pod każdym względem do racjonalnego zastosowania zdolne, czyli, jak się filozofia nowoczesna wyraża, za absolutne, gdy tymczasem większa ich część odnosi się do czasu, w którym powstały i do stosunków, z których wyrosły, i ma tylko

znaczenie prawd względnych. W każdej z tych teoryj znajduje się niezaprzeczenie pewien, może nawet znaczny zapas prawd absolutnych, co się bardzo wyraźnie pokazuje z potężnego wpływu, jaki każda z nich w swoim czasie wywierała, ale z ujemnych stron, występujących nawet w łonie najbardziej sprzyjających im okoliczności miejscowych, i z trudności, a czasem nawet zupełnej niemożebności zastosowania ich wcalej mierze gdzieindziej i w innym czasie pokazuje się jak najwydatniej ich przeważna względność.

Najujemniejszą zaś ich stroną jest okazujący się w ich własnym systemie brak zasad wyróżniających prawdy bezwzględne od względnych. Jest to dowodem, że teoryom, jakie się dotąd pojawiały braknie uniwersalnej podstawy naukowej. Naukowość ich polega dotąd przeważnie na ujęciu w ogólne formuły obserwacji nad prawami wewnętrznymi, które w pewnej epoce i w krzyżowaniu się stosunków pewnych obszarów uwydatniały się jako niemi rządzące.

To też w obecnym stanie nauk ekonomicznych, ludzie działający wśród odmiennych stosunków, nie tyle przysłużają się krajowi, jeśli się ukutych na obcym gruncie formułek wyuczą, i życiem do gospodarstwa krajowego przenieść je usiłują, ile się przysłużyć mogą ci, którzy, badając powstanie tych formułek, ze stosunków właściwych im miejscowości, uzdalniają umysł do dojrzałego badania własnych stósunków i działania wśród nich w samorodny sposób.

Niedostatek prawd bezwzględnych w dotychczasowych systemach z jednej strony, a z drugiej spostrzeżenie, że gospodarstwo społeczne równa się wiekiem wiekowi całej ludzkości, a systemy obecne formułują tylko prawa rządzące pewnymi okresami ogólnych dziejów gospodarstwa społecznego, naprowadziły umysły głębszych myślicieli ekonomicznych na zdanie, że właściwą uniwersalną naukową podstawę ekonomia polityczna zyskać dopiero może przez gruntowne zbadanie ogólnych dziejów gospodarstwa społecznego. W badaniu tém dopiero metoda porównawcza zdoła wyróżnić te prawa, które po wszystkie wieki i wśród wszelkich stosunków rządziły rzetelnym postępowaniem gospodarstwa społecznego od tych, które miały tylko przelotne znaczenie przywiązane do ograniczonego czasu i miejsca. Na tej drodze powinniśmy zyskać stanowczy system prawd bezwzględnych i zarazem na tymże systemie opartą racjonalną zasadę przeradzania się praw bezwzględnych w zastosowania względne do miejscowych stosunków.

Doniosłość takiego zysku jest sama przez się tak widoczną, że jej wcale udowadniać nie potrzeba. Ale samo przystąpienie do

badania dziejów gospodarstwa społecznego ma jeszcze swoje zawiłości. Stawa tu odrazu na zawadzie ten sam brak podstawy ściśle naukowej, o której już mówiliśmy, do której wypadaloby odnieść ocenę zajęć zbadanych. Inaczej wypadną badania przedsięwzięte pod wpływem zdań merkantylnych, inaczej uskuteczni je fizyokrata a inaczej znów zwolennik szkoły przemysłowej.

Błędne kółko wynikające z braku zasad wolnych od tendencyjnych widoków zasuwa się więc i na ostatnią drogę, która ma do celu doprowadzić.

Stanąwszy wobec takiej zawady zamykającej otwory ostatniego wyjścia, stawamy zarazem w miejscu, w którym nam w rozwoju dziejów nauki ekonomicznej umieścić wypadnie naszego Supińskiego.

Z ogólnego przeglądu dziejów nauk ekonomicznych wyciągnęliśmy pewnik, o który nam głównie chodziło, że każdy z pojawiających się z kolei systemów naukowych opierał się przeważnie na jednym z czynników wchodzących w skład trwającego od wieków gospodarstwa społecznego, i to na takim, który w epoce powstania systemu główną rolę odgrywał.

Otóż Supiński wprowadza w zakres nauki nowy czynnik gospodarstwa społecznego — odwieczne prawa przyrody, czynnik mający tę wyższość nad używanymi dotychczas za podstawę osobnych systemów, że jest niezaprzeczenie najstarszym, bo jako odwieczny, wyprzedza nawet samo powstanie gospodarstwa społecznego i występuje w znaczeniu nieodzownego warunku jego pojawienia się na świecie, który nadto jest czynnikiem niezmiennie wpływającym na cały ustrój gospodarstwa społecznego, bo jest wpływem praw rządzących wszystkim z nieprzebraną koniecznością raz na zawsze określonego porządku wszechrzeczy. Z tej to przyczyny nie podlega w żadnej mierze widokom tendencyjnym i zbliża nas do najogólniejszego a najważniejszego zadania nauk ekonomicznych, które na zyskaniu systemu prawd bezwzględnych polega.

Żaden z systemów naukowych, opierając się przeważnie na jednym z czynników ekonomicznych, nie zapoznawał wyraźnie znaczenia reszty czynników. Merkantylizm w zabiegach swoich za bręczącą monetą wyzyskiwał jak mógł najbardziej płody ziemi i skutki pracy ludzkiej; fizyokraci nie gardzili bynajmniej pieniędzmi, a przemysłowcy obracając kapitałami, o jakich merkantylizm wcale nie marzył, wyzyskują ziemię bardziej niż którykolwiek z poprzednich systemów. Wszystkie razem zaś opierały się na pewnym zasobie znajomości praw przyrody, których wyniki zużywały i zużywają dotąd

na wprzęgnięcie sił przyrody do pracy na korzyść społeczeństwa. Cała różnica zachodząca w odmienności systemów, polega na wygórowanej roli, jaką każdy z nich wydzielał czynnikowi użytemu za podstawę bieżącej teorii. To też Supiński nie jest pierwszym, który zwrócił uwagę na usługę, jaką badania praw przyrody przynoszą gospodarstwu społecznemu, ale niezaprzeczenie pierwszym, który ten czynnik podniósł do znaczenia podstawy osobnego systemu i uczynił go próbnikiem bezwzględności prawd ekonomicznych.

Wprowadzenie praw przyrody do nauki ekonomicznej, nabiera tym większego znaczenia przez to, że zupełnie konsekwentne zastosowanie ich do gospodarstwa społecznego, robi znaczny wyłom w tych trudnościach, które ze stanowiska jednostronnego zapatrywania się szkół specjalnych, historycznemu badaniu rzeczy na zawadzie stawały.

Loiczny bowiem wywód prawd ekonomicznych z praw przyrody, każe nam iść torem prowadzącym od najogólniejszych praw kosmicznych do szczegółowego ich rozwoju w planetarném życiu ziemi.

Idąc zaś tym torem, spotykamy się najpierw z prawami grawitacji i planetarnego obiegu ziemi około słońca; z położeniem skośnym tej ostatniej do swjej drogi obiegowej, co w połączeniu z jej kulistością spłaszczoną u biegunów, prowadzi najpierw do rezultatu, że promienie słoneczne działają na nią pod nierównymi i peryodycznie zmiennymi kątami, że pod wpływem stosunku tej skośności promieni słonecznych powstają odpowiednie różnym stopniom ogrzania prądy powietrzne i połączone z nimi zjawiska meteorologiczne.

Wynikające ztąd różnice klimatów i oparta na nich rozmaiłość roślinności i jeograficznego rozmieszczenia zwierząt na powierzchni ziemi, wprowadza nas odrazu w różnorodność pierwotnego bogactwa ziemskiej przyrody, a zarazem w czasy pierwszego postawienia wobec tej różnorodności pierwotnych mieszkańców ziemi.

Znajdujemy się więc odrazu w zakresie pierwiastków rozpoczynającego się gospodarstwa społecznego, które wychodząc od zaspakajania najprostszycch potrzeb ludzkości na podstawie różnorodności bogactw przyrodzonych, rozżarzało zarazem iskrę wiedzy człowieka na badaniu używanych przedmiotów, i przechodząc z wolna do coraz bardziej mnożących się potrzeb, coraz większej liczby przedmiotów rzeczowych, coraz dokładniejszego badania ich własności i gromadzenia ich, weszło zwyczajnym biegiem rzeczy na drogę wymian tak wiedzy, jak przedmiotów przyrody, i tak, idąc dalej nieuniknioną koleją następstw, doszło do uprawy ziemi, do jej opano-



wania, do wyrobów pracy ludzkiej, do wyręczania jęj siłami przyrody, do wymian wszelkiego rodzaju miejscowych, międzykolicznych i międzynarodowych, aż nareszcie zeszło do składu tych licznie krzyżujących się stósunków, który dzisiejszy stan jego odznacza.

Pokazuje się z tego, że wprowadzenie praw przyrody w system nauki ekonomicznej prowadzi, przy ścisłym pilnowaniu się loicznego ich następstwa, schodzącego od praw najogólniejszych i najprostszych do coraz szczegółowszych i coraz bardziej skombinowanych, prostą drogą do badania historycznego rozwoju gospodarstwa społecznego t. j. właśnie do tęg wymagalności, do której, podług wyjaśnień podanych na wstępie naszej rozprawy, doszedł także loiczny rozwój nowoczesnych nauk ekonomicznych.

Ze Supiński rzucając swą myśl jeniałą, nie poszedł tą drogą, na którą dotychczasowy rozwój nowoczesnych nauk ekonomicznych wskazywał i której sama ścisłość zastosowania własnej jego teorii wymagała, to stało się z wielką szkodą nietylko jego własną, ale i narodu i samej nauki, bo, wchodząc na nią, trafił na myśl kiełkującą na wszystkich punktach całego pola obecnych nauk ekonomicznych i byłby znalazł od razu rozgłosne powszechnie uznanie nader pomocne we wszystkich nowych usiłowaniach, którego my się teraz dla niego i dla stanowiska nauki krajowej dobijać powinniśmy szeregiem prac skierowanych w wskazaną stronę, pod przewodem myśli przez niego wytkniętych.

Tylko przez dalsze rozwijanie zasadniczej myśli Supińskiego, w kierunku ostatnich wymagalności obecnie panującej nauki, spełnić się może, jego, równie zdrowo, jak pocziwie pomyślany zamiar wywołania: „szkoły polskiej gospodarstwa społecznego“.

Właściwe tory, któremi pójść powinna zamierzona szkoła, żeby w zgodzie z zasadami teorii Supińskiego i wymagalnościami obecnego stanu nauk ekonomicznych dotrzeć do rezultatów praktycznych, wykazać dopiero będziemy mogli po skutecznieniu szczegółowego rozbioru jego pism ekonomicznych.

W części obecnej, wprowadzającej jedynie czytelnika na stanowisko, z jakiego dzieła Supińskiego oceniać zamierzamy, z myślą upomnienia się o miejsce należące mu się w rozwoju nauk ekonomicznych, a zarazem wydobyć z jego teorii praktycznych rezultatów dla kraju, pozwolimy sobie tylko jeszcze dorzucić kilka słów kładących nacisk na nieodzowną potrzebę wyraźnej szkoły miejscowej, któraby i system swój opierając o podstawy, z jakich stosunki nasze wyrastają — czém w kraju przeważnie rolniczym nie-

zaprzeczenie są odpowiednie prawa przyrody, i pracami swemi szczegółowemi zwracając się ciągle w stronę wyswobodzenia nas od wyzyskiwań przez kraje przemysłowe, była dla nas w zabiegach ekonomicznych tém, czém jest obecnie np. szkoła Manchesterka dla przemysłowych kół angielskich.

Oprócz tych względów dotyczących bezpośrednio dobrobytu krajowego, wypada nam niezaniecbywać i względów na uczone koła europejskie. Świat uczone nie tyle rachuje się z pomysłami, pojawiającemi się tu i owdzie, ile z wpływami, jakie wywarły na miejscowe stosunki, ogromem i doniosłością prac, jakie w rodzimych swych kołach wywołały.

Najsmutniejsze doświadczenie w téj mierze zrobiliśmy na tym meżu potężnego ducha, którego czterechsetletnią rocznicę niedługo obchodzić będziemy. Gdyby w miarę zasobu umiejętności matematycznych, których ówczesny stan u nas równał się zupełnie zagranicznemu, pomysł Kopernika wywołał był u nas szkołę astronomiczną opartą na jego systemie, toby Newtony i Keplery były się w naszych kołach wyrabiały, a światła zagraniczne musiałyby się obliczać z inicjatywą naszej naukowości, gdy tymczasem teraz same nawet źródło pierwotnego pomysłu sobie przywłaszczają. Jaka ztąd szkoda wyrasta dla wszelkich stosunków krajowych, to najlepiej pojmują ci, którzy się o wyrządzenie nam téj szkody tak usilnie starają.

W obecnej chwili na polu sztuk pięknych, obojętność krajowa gotuje nam podobną szkodę przez brak usiłowań o założenie szkoły Matejki. Zostawiając odpowiedzialność za to ostatnie zaniedbanie tym, których stan majątkowy i stanowisko do téj odpowiedzialności pociąga, zwracamy się do współpracowników na polu ekonomii politycznej, żeby ze swéj strony nie dozwolili zaginać w zamęcie pojęć narodowych pomysłom wielkiej wagi Supińskiego. — O ile siły nasze na to wystarczą, starać się będziemy dorzucić do téj pracy nasz grosz wdowi w drugie części obecnego artykułu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## PRZEGLĄD LITERACKI.

---

**System prawa narodów:** I. Rys rozwoju prawa narodów w dziejach, napisał K. B. Szaniecki, Dr. praw. Kraków. W drukarni *Czasu*. Nakładem autora. 1872. Str. 182.

Opuściło co tylko prasę dzieło p. Szanieckiego: „Prawo narodów.“ Jest to jedna z tych gałęzi prawa, które dotąd nie mają ściśle ustalonych granic. Idealiści pragną wywieść teorię prawa narodów z zasad absolutnej słuszności; realisci zaś, czystej krwi, uważają prawo narodów za pewien rodzaj form konwencjonalnych, które, jak grzeczność i przyzwoitość w towarzyskiem pożyciu, tak długo tylko trwają, póki ich kto nie złamie.

Żaden z tych kierunków nie ma podstawy ściśle naukowej. Autor poszedł jedyną drogą, na której podstawy naukowe zyskać można — drogą historycznego rozwoju cywilizacji świata, którego różne stopnie wyrabiały w umysłach ogółu różne rodzaje wyobrażeń o stosunku wzajemnego pozaszanowania samodzielności narodów i składały się zwolna na ten zasób stałych reguł i przyjętych powszechnie zwyczajów, stanowiących dziś, po uzyskaniu powszechnego uznania, prawo zwyczajowe, którego sędzią jest opinia publiczna, a najskuteczniejszą strażą dobrze zrozumiany interes państw pojedynczych, które w „krzywdzie jednego narodu,“ jak się autor wyraża, „przymuszone są widzieć zadatek krzywdy drugim.“

Innego sądu nie ma na rozstrzygnięcie spraw spornych w zakresie objętym prawem narodów.

Z wielką słusznością wyjaśnia jednak autor, że wykonywanie prawa narodów zyskało na ścisłości od czasu, jak sprawa wypowiedania wojen przestała być rzeczą ambicyj prywatnych głów dynastycznych, jak służba wojenna stała się obowiązkiem wszystkich, a koszta prowadzenia wojen wpływem ogólnej obywatelskiej ofiarności. Zyskało się przez to instancje na które się oglądać trzeba, które tembardziej i wyłączenię staną się wpływowemi, skoro się rozwój życia konstytucyjnego z postępem wieków udo-  
kładni.

My dodamy ze swęj strony, że na ustalenie opinii publicznej działającej najskutecznięj drogą powyżęj wyłuszczonej wpływów, najdzielniejszy skutek wywierają jasno opracowane wykłady prawa narodów, a dziełem tego rodzaju przysługuje się w tęg chwili autor takięj własnęj publiczności, która w odwoływaniu się do tych praw ma najwięcęg własnęj interesu. Jak każda sprawa zyskać tylko może na jasnem jęj wyłuszczeniu, tak i sprawę naszą odwoływania się do prawa narodów jedynęj poprzeć może racjonalne zgłębienie tego prawa. Z tego też tytułu polecamy publiczności naszęj dzieło Dr. Szanieckiego.

Jest to praca staranna, z jasnym poglądem na rzeczy i udatnie skreślona, która w pierwszej swjej części, świeżo wychodzącej, daje nam „rys rozwoju prawa narodów w dziejach,“ a w następnej zapowiada systematyczne zestawienie zasad, reguł i zwyczajów, które się już dziś stały przedmiotem ściśle określonego i dla tego staranniej przestrzeżanego prawa narodów.

W „Rysie rozwoju prawa narodów w dziejach,“ przyjmuje autor pięć okresów z samėj natury rzeczy wypadających:

1. Okres terytoryalności prawnej.
2. Okres hierarchiczny od wprowadzenia chrześcijaństwa aż do końca wojny trzydziestoletniej.
3. Okres monarchiczny od wojny trzydziestoletniej aż do rewolucyi francuzkiej.
4. Okres rewolucyi i reakcyi aż do r. 1848.
5. Okres narodowości do dzisiejszych czasów.

W okresie pierwszym wszelkie kwestye polityczne są terytoryalnej natury. Państwo, czy to hierarchiczne, czy despotyczne, czy republikańskie, absorbuje zupełnie człowieka. Osobistość w znaczeniu chrześcijańskim nie jest jeszcze znana. Kto nie jest obywatelem Państwa, od Państwa jedynie biorącym swe prawa i upadającym pod ciężarem obowiązków względem Państwa, jest niewolnikiem. Konsekwentnie wynika ztąd i wyłączość Państwa względem zagranicy, której się żadnych praw nie przyznaje.

Słabe ślady pierwszych pojawów prawa międzynarodowego widzimy w gościnności na Wschodzie, w *asylon* greckim, w stosunku kolonii do metropolji, w próbach pierwszych traktatów handlowych i w *collegium feciale* rzymskim, które o słuszności wojny i innych stosunkach dyplomatycznych, ale tylko dla poinformowania Rzymu, rozstrzyga.

Uznanie równości ludzi w obliczu Boga, i zyskanie przez to właściwój podstawy praw człowieka znajdujemy dopiero w chrześcijaństwie. Od czasów tak ważnego zwrotu w dziejach ludzkości zaczynają się też dopiero rozwijać zwolna zasady prawa narodów, które odtąd stają się przeważnie europejskim.

Autor wykazuje szczegółowo w bardzo zajmujący sposób, jak się prawo narodów pod wpływem odmiennego ducha epok i pod wpływem charakteru różnych Państw stopniowo aż do naszych czasów rozwijało. Jednocześnie z pojawieniem się coraz nowych wyobrażeń o prawie narodów zjawiały się też naukowe prace, które je w miarę postępu w odpowiednie systemy układały. To podaje autorowi sposobność do skreślenia w sposób wyczerpujący dziejów literatury tój gałęzi prawa.

Autor zwracając uwagę na pojawienie się pierwszych prac na tem polu, robi bardzo trafne spostrzeżenie, że mianowicie państwa pomniejsze, które nie zawsze mogły się odwoływać do siły, starały się przynajmniej zasłonić pod przemocą umiejętnymi wywodami prawnymi, a w skutek tego w państwach tych uprawiali pilnie i protegowali naukę prawa narodów i zajmujących się nią uczonych. Rzeczą nie małej wagi była i ta okoliczność, że w okresie pojawienia się pierwszych prac teoretycznych o prawie narodów, zajmowanie się tą nauką zaczęło należeć do dobrego tonu wyższych klas społeczeństwa, przez co zasady jój przeradzały się spieszniej w opiniej publicznej i silnie odtąd na rozwój prawa narodów wpływały. W nowszych

czasach zajmują się udokładnieniem tej nauki wyższe umysły wszystkich narodów.

Z okresu pojawiania się pierwszych prac streszcza autor w głównych zarysach prace Grotiusa, komentatora jego Puffendorfa, przeciwnika Puffendorfowego Leibniza, od którego idzie pochop do praktyczniejszego pojęcia prawa narodów. Następnie zajmuje się autor rozległą pracą Fryderyka Wolfa, ucznia Leibnitzowego, dalej Vattelem, Bynkershoekiem i innymi.

Pierwszą dążność do wieczystego pokoju odnosi autor do dzieła, które Bernhardin de St. Pierre jeszcze w czasie pokoju Utrechtskiego (1713) ogłosił, zwraca się następnie do prac tego rodzaju Rousseau, Benthama i kilku innych pracowników na tem polu.

Nowsze prace bardziej systematyczne zaczynają się, zdaniem autora, od Martensa („Droit des gens“). Idą za nimi prace Makintoshy i Günthera. Przegląda następnie autor prace filozofów niemieckich od Kanta aż do Hegla pod względem wpływu, jaki na rozwój prawa narodów wywarły i wykazuje uwytatniające się dwa kierunki: historyczny i filozoficzny. Z heglistów zajmują autora szczególnie Szmalc i Klüber. Staranie o pojednanie obu kierunków (hist. i fil.) uwytatnia się w Heffterze. Rozwojem dziejów prawa narodów zajmowali się przeważnie: Isembert i Pütter. Za właściwych przedstawicieli prawa narodów w takim kierunku, w jakim sobie dziś powagę w praktyce dyplomatycznej wyrobiło, uważa autor: Pinhero-Fereire i Oppenheima. Przebija w nich przeważnie kierunek narodowościowy. Treść ich dzieł użyje autor głównie w drugim tomie obejmującym system uznawanego dzisiaj prawa narodów.

Bardzo zajmującą dla nas częścią przeglądu literatury prawa narodów, jest rozbiór prac polskich pojawiających się na tém polu. Autor wychodząc od prac Frycza Modrzewskiego: *De republica emendanda*, szczególnie w ustępie: „sprawiedliwość i uczciwość wojny“ i z rozprawy Krzysztofa Warszawickiego: „*de legato et legationibus*“ wykazuje, że w czasach zdrowego ustroju rzeczypospolitej, Polska stała i w tej gałęzi na wysokości nauk ogólnoeuropejskich. Od czasu jednak upadku nauk w Polsce pod wpływem jezuityzmu nastąpiła i w tym zakresie zupełna cisza. Dopiero budząca się na nowo oświata w wieku XVIII wywołała nowe prace i na tem polu, które jednak postępowi europejskiemu już nie wyrównywają. Między pojawiającymi się już poprzednio pracami polskimi wymienia autor; Olizara: *de politica hominum societate*, oraz Piekarskiego rozprawę antimachiawelską. Z wieku XVIII wymienia Tadeusza Młockiego traktat o prawie przyrodzonym napisany podług Burlamackiego, pisma różne: Popławskiego, Kołłątaja, Staszycy, Zabłockiego, Morskiego, z późniejszych Hieronima Strojnowskiego i Słotwińskiego.

Z dziejów literatury objaśnionych duchem rozwoju dziejów powszechnych, zyskujemy już zupełnie jasny i obszerny zarys całego systemu praw narodów. Szczegółowy zaś ich rozbiór i ułożenie ich w własny system pozostawia sobie autor do tomu drugiego. My na ten sam czas pozostawiamy sobie krytyczny rozbiór jego dzieła. Tym czasem zwracamy tylko na to uwagę, że streszczone tu dzieło Dr. Szczanieckiego wypełnia wielką lukę w literaturze naszej na polu prawie nietkniętem. X. X. X.

**Zakon Kamedułów, jego fundacye i dziejowe wspomnienia w Polsce i Litwie**, przeważnie według źródeł rękopiśmiennych archiwum OO. Kamedułów w Bielanych przy Krakowie, skreślił Ludwik Zarewicz, członek kommissyi historycznej przy c. k. Towarzystwie naukowem krakowskiem. — Kraków. Druk Władysława Jaworskiego 1871. 16mo.

Autor powyższego dzieła, skrzętny zbieracz zabytków odnoszących się do historyi polskiej, pracował nad uporządkowaniem w nieładzie pozostającego archiwum OO. Kamedułów na Bielanych pod Krakowem, o ile wiemy z własnego jego opisu, od roku 1859. Wziąwszy na uwagę z jednej strony trudność, jaką nastęrczała podobna praca, choćby już przez samo oddalenie Bielanych od Krakowa, z drugiej strony sumienne uporządkowanie archiwum Bielańskiego, wydanie ważniejszych dokumentów i ujęcie ich w pewną całość, należy się autorowi pełne uznanie. — Autora zachęciła do powyższej pracy jeszcze i ta okoliczność, że spostrzegł, iż ogromne w tym przedmiocie dzieło: „Annales Camaldulensium“, wydane w Wenecyi w r. 1764, w dziewięciu tomach in folio, ma bardzo wiele braków i niedostatków, a pod względem fundacyj polskich i litewskich jest nader niedokładne i niezupełne.

W rozbiórce niniejszego dzieła nie będziemy się zastanawiać nad ustępami, o których rozmaite recenzje pochlebnie się odzywały. — Czytelnika ciekawego odsyłamy w tym względzie do znaczniejszych pism czasowych krakowskich, lwowskich i warszawskich z r. 1871. Z naszej strony podniesiemy tu niektóre strony dzieła, o których powyższe recenzje przemilczały. — I tak pod rozdziałem „Fundacye Kamedułów w Polsce i Litwie“ str. 17 mówi autor o Hieronimie z Pragi, zwanym Apostołem Litwy za czasów Władysława Jagiełły, którego Narbutt i inni dziejopisarze znają tylko z imienia a nie z rodzinnego nazwiska <sup>1)</sup>, ustęp o tymże Hieronimie zamieszczony w Encyklopedyi powszechniej Orgelbranda, mięsza go z Hieronimem uczniem Hussa. Autor odszukał jego nazwisko w archiwach, z czego wynika, że ów Hieronim nie był uczniem Hussa, ale nazywał się O. Hieronim Munschek z Pragi i był za Władysława Jagiełły gorliwym krzewicielem wiary katolickiej na Litwie.

Na str. 74 czytamy w krótkości przedstawiłone zasługi, jakie położyli OO. Kameduli węgierscy na polu kultury i przemysłu.

I tak n. p. powiada autor: „Cały ogromny obszar ziemi darowany od Jana Kazimierza na fundacyą, był to ciemny, niedostępny bór litewski, gdzie dotąd tylko ryk dzikiego zwierza lub łoskot powalonych siłą orkanu drzew, głuchą przerywał ciszę. Z podziwienia godną skrzętnością jęli się Kameduli pod kierunkiem O. Franciszka Wilgi z Godzimierza, pierwszego tej fundacyi rektora, do trzebienia lasów i przysposabiania gruntu, pozakładali kolonie i posiadali rzemieślników do fabryki eremu potrzebnych. Z ludności wybierali co najzdatniejszą młodzież i przysposabiali ich na zdolnych majstrów. Z tych kolonii powstały niebawem przeważnie w „kraju Zapuszczańskim“ owe liczne wioski przemysłem i handlem kwitnące, owe potażarnie, liczne huty żelazne i t. p. Taką kolonią były najprzód Suwałki, następnie wieś, a w końcu za staraniem Przeorów O. Emiliana Wosińskiego Krakowianina i następcy jego O. Ildefonsa Żmujdzina, w r. 1710 do rządu miast wniesione.“

<sup>1)</sup> Narbutt „Dzieje Litwy“ t. V, 398.

Wielce ciekawy jest przypisek na str. 43—44 o przyczynieniu się marmurników sieleckich i dębnickich do przyozdobienia Pożajskiej świątyni w Litwie (pod Kownem) marmurowemi wyrobami. Dotąd utrzymywano, że marmury te sprowadzono ze Szwecyi i z Włoch; autor jednak znalazł w archiwum Kamedułów korespondencyą prowadzoną między kanclerzem litewskim, następcą jego Kazimierzem Pacem, a architektem budowy i konwentem pożajskim. Wedle tych korespondencyj, architektem budowy był Piotr Putini Włoch. Z dębnickich marmurów były tutaj: większa część posadzki, architrawy, piedestały, gradusy przed ołtarzami i t. d.

Nakoniec wspominamy tu o ustępie, malującym nam postać Pawła Henika, Krakowianina, kawalera Jerozolimskiego, człowieka wielkiego rozumu, który blisko lat czterdzieści spędził na podróżach, szczególnie po archipelagu greckim, dla odszukiwania rozmaitych rękopismów i przepisywania tychże. Autor czerpał te wiadomości z rozlicznych przypisków pisanych przez samego Henika pod okładzinami rozmaitych książek.

Kończymy na tém krótkie sprawozdanie z książki, która sama już zaleca się sumiennością i dokładnością w opisach, i zawiera w niewielkich stosunkowo ramach wiele ciekawych i nowych wiadomości.

F. B.

**Dyaryusz sejmów koronnych 1548, 1553 i 1570 r.** — Wydawnictwo kommissyi historycznej Tow. nauk. krak. tom I. — Z rękopismów wydał i przypisami objaśnił Józef Szuj ski, dyrektor wydawnictwa kom. hist. Kraków, 1872, str. 311.

W roku 1870 zawiązała się komisya historyczna przy oddziale nauk moralnych Towarzystwa naukowego krakowskiego, pod prezydencyą ś. p. Jerzego księcia Lubomirskiego, który na cele wydawnictwa zebrał swém staraniem 1500 złr. — Na dyrektora wydawnictwa wybrany został prof. Józef Szuj ski.

Cel wydawnictwa trojaki:

1) Ogłoszenie zabytków piśmiennych do r. 1506 p. t. *Monumenta mediæ ævi historica*, zawierające zbiory dyplomatów, annałów, kronik i innych pism historycznych.

2) *Acta publica regni Poloniae* od r. 1506 do 1795, które zawierają m. j. pisma i akta urzędowe, relacye poselskie, listy historyczne i t. d.;

3) *Scriptores rerum polonicarum* z téjże epoki, t. j. od roku 1506 do 1795. Dział ten zamieści dyaryusze sejmowe i wojenne, pamiętniki i dzieła historyczne.

Książka, której tytuł podaliśmy wyżej, należy właśnie do tego trzeciego działu, a ma posłużyć zawiązkiem dalszego wydawnictwa komissyi.

Nadto komissya zbiera materiały i zamierza wydać *Acta Sigismundi Augusti*. Posiada już dziś bogate materiały do téj pracy z wypisów z archiwum cesarskiego w Wiedniu, z listów współczesnych, odpisów z metryk koronnych i t. d.

Widzimy zatem, że cele komissyi nader rozległe, mające wzbogacić szczerpłe dotąd zasoby archeografii polskiej, a sądząc z wydanego już tomu, z pewnością wnosić można, że komissya, pod kierownictwem tak gorliwego i umiejętnego dyrektora, najszczytniej odpowie swojemu zadaniu.

Dyaryusze z r. 1553 i 1570 zostały wypisane z tajnego archiwum wiedeńskiego. Dyaryusz z r. 1548 ułożony z rękopismu spółczesnego, będą-

cego własnością senatora Łaskiego w Warszawie, oraz z kopii, przechowanej w bibliotece kurnickiej, i z wyjątków drukowanych w Pamiętniku Sandomirskim.

Ciekawe są tu nadzwyczaj przypisy do dyaryuszów przez p. Szujskiego podane. Już samo wyjaśnienie wielu miejsc ciemnych w dyaryuszach jest rzeczą nader ważną. Ale nadto ileż to mamy poglądów nowych, światłych, znamionujących głębokiego myśliciela i znawcę dziejów naszych, a znawcę wedle pojęć nowszych i wymagań ze stanowiska wyższego i prawdziwie historycznego, czego nam tak często brakło. Już samo zapatrywanie się autora na panowanie Zygmunta Augusta i samą osobistość ostatniego z Jagiellonów, jest nader pocieszającym. Wiadomo jak długo niektórzy historycy nasi upatrywali samą tylko ujemną stronę w tym królu, posuwając nieraz złorzeczenia swoje do przesadnych, krzywdzących nawet przymiotników: — zniewieściał, zabobonny, rozpustny i t. d. W ostatnich czasach głębiej zajrzano i lepiej zrozumiano tę postać piękną i zacną, u której same nawet wady, jak n. p. udawanie się do wróżbiarek, miały na celu dobro kraju i troskę, która go nigdy trapić nie przestawała, ażeby nie umrzeć bezdzietnym. Najżywszy, pełen prawdy i głębokiego zrozumienia epoki i osobistości króla, życiorys Zygmunta Augusta zamieścił nieodżałowany J. Bartoszewicz w Encyklopedyi powszechnej (tom 28, str. 858—875), a wielkie są słowa jego, że „żaden król tyle nie dbał o przyszłość Rzeczypospolitej“; że „najdojrzalszy to był mąż w swoim narodzie“; że „dopiero po stracie znakomitego króla, poznała Polska co straciła i żałoba wszystkim zamknęła usta i było słychać prawie, jak serce Rzeczypospolitej biło niepewnością, trwogą o przyszłość“.

Z przyjemnością zaznaczyć musimy, że zapatrywanie się p. Szujskiego na Zygmunta Augusta nie tylko zgodne, ale o wiele nawet wyższe od poglądu Bartoszewicza. Dobrze a głęboko pojął p. Szujski usiłowania i dążności króla w tej walce nieustannej „wśród burz ostatniego dziesięciolecia, wśród rozbicia senatu“, jak umiał na każdym sejmie „okazać stanowczość“, jak „dobrze znał śmiertelne grzechy sejmowania polskiego“ i jak „reka jego cięży widocznie na obradach, wśród rozbicia senatu, burzliwości szlachty“; jak „umie zachować *veto* władzy królewskiej“.

Wracając do przypisów, powtarzamy, nader trafnych i umiejętnych, moglibyśmy pospierać się chyba w niektórych tylko kwestyach, dotyczących się Litwy, jęj wewnętrznych spraw i ustroju politycznego; czuć, że szanowny autor jeszcze niedostatecznie oszajomiony ze źródłami do dziejów Litwy, a te tak przeważną rolę odegrują w życiu i panowaniu Zygmunta Augusta. Ale i my nie mamy tu tych źródeł i dlatego na później odkładamy nasze uwagi. Nie zarzucamy fałszywości poglądów, lub złozenia faktów — tylko nie zawsze dokładne wyczerpanie przedmiotu, a to jedynie dla braku źródeł, w ogóle tu nieznanych; ztąd wynika pewnego rodzaju niejasność, czasem nawet niedokładność w wyświeceniu tej lub owęj kwestyi podjętej.

W Dyaryuszu sejmu piotrkowskiego z r. 1548, biskup krakowski użala się, że nie ma posłów z Litwy i Prus; że „Prusowie i Litwa mają już konfirmacye swe“. W przypisach autor bardzo słuszną robi uwagę, że Zigmunt August, o ile napierał na stany pruskie, ażeby weszły do sejmu polskiego, o tyle nie myślał podówczas wcale o unii parlamentarnej z Litwą. W tymże dyaryuszu Joachim Sierakowski w przemówieniu swoim powiada, że „przy sięgł był Kazimierz król pierwój Litwie praw i swobód koronnych nie po



przysięgać, ani potwierdzić Polakom, bo im na tem wiele należało...“ Autor z tego powodu czyni uwagę: „że nie ma nigdzie śladu tak bezrozumnej przysięgi,“ dodaje przytem, że „szło też nie o wolność polskie, ale o sporne między Polską i Litwą ziemie.“ Dalej jednak sam przywodzi przysięgę z r. 1453, która mieściła tylko ogólnik dosyć dwuznaczny. Ten ogólnik wszakże miał pewne znaczenie i autor sam widzi przyczynę dla czego na sejmach unii Litwini z Kazimierzowego przywileju wychodzić chcieli. W przypisie do dyaryusza sejmu Krakowskiego 1553 r., autor z przemowy, raczjć podania królewskiego, dowiada się bliższych szczegółów o nieznanym (?) sejmie Litewskim z jesieni r. 1552, a następnie bardzo trafnie określa usposobienie Zygmunta Augusta ówczesne względem bliższego połączenia Litwy z Polską. „Bo też ono Państwo nasze“ (t. t. Litwa) powiada król w liście do Radziwiłła Czarnego, „także i to ma swobody, prawa i wolności swe, któreśmy im my poprzysięgli, a łamać się ich nam, czego Boże uchowaj, nie godzi się...“

Nie zważając na unię za Jagiełły i sejm Horodelski, polityka Witolda względem samoistności i niezależności Litwy tradycyjnie przechodziła w rodzie Jagiellonów. Kazimierz i Aleksander niechętnie i razu przyjmowali nawet koronę Polską. Nie można też temu się dziwić. Litwę łączyły ściśle związki z Rusią; powaga i znaczenie polityczne wielkich książąt litewskich były tak wielkie, że całe prowincye, jak naprzykład Nowogorod Wielki, same dobrowolnie oddawały się wielkiemu księciu litewskiemu (Kazimierzowi). Aleksander i Kazimierz przysięgali Litwinom, że zachowają całość i niepodległość Litwy, a więc miał poniekąd słuszną Joachim Sierakowski, chociaż w tój przysiędze nie było mowy o prawach i swobodach koronnych. Jeszcze przed rokiem 1453, a mianowicie w r. 1447 na sejmie w Lublinie Litwini otwarcie mówili, że warunki zawarte przy Jagielle znajdują dla siebie za niedogodne i poniżające; pragną przeto, aby wyrazi wcielenie, połączenie wieczne, były wykreślone z opisów między Polską i Litwą.—Słusznie mówi p. Szujski, że tu chodziło o granice. Chodziło tu o ziemię Podolską, o Oleszko, Wietlicę, Łopatin, Horodle, bo, mówili posłowie: „Witold je posiadał, a później dopiero oderwane.“ Sejm Parelowski również był burzliwy, a i tu głównie chodziło o przywrócenie granic jakie były za Witolda, a na sejmie Piotrkowskim tegoż roku, po długim wahanu się, Kazimierz chciał złożyć przysięgę — ale jako król polski, nie wymieniając tytułu Wielkiego Księcia Litewskiego. Wszakże w końcu złożył przysięgę, w niczem nieodmienną, jak ją wykonywali poprzedni królowie. We cztery lata później, w r. 1457, przywilejem danym w Wilnie, w nagrodę przywiązania i zasług Litwy, Rusi i Żmujdzi, nadaje im też same prawa, prerogatywy i swobody, jakich używają Polacy, nie wzmiankując ani wyrazem o unii z Polską. Owszem, zastrzega (§ 14), że W. księstwo Litewskie nie będzie zmniejszone w granicach za Witolda dzierżonych. A chcąc osłodzić położenie Podola, jeszcze przedtem, w r. 1456 przywilejem danym ziemiom ruskim, zatwierdza ich prawa i przywileje nadane przez królów i książąt polskich. Po śmierci Kazimierza, Aleksander obejmując rządy Litwy też zastrzega, że nie zmniejszy granic jakie były za Witolda i Zygmunta. W roku 1501 na sejmie Piotrkowskim zostały ułożone punkta zobowiązania się listownego względem unii Korony z Litwą, w r. zaś 1506 Zygmunt daje przywilej ziemski W. ks. Litewskiemu, potwierdzający dawne przywileje, w którym zastrzega: (§ 4) „Gdy nam Bóg dopomoże osiągnąć

rządy Polski i ziem dalszych, wtedy posiadłości naszych księstwa Litewskiego i jego rad nie umniejszymy, lecz tak strzedz będziemy jak czynił nasz rodzic.“ — W r. 1538 tenże sam Zygmunt zastrzega, że Polacy nie będą wysadzani na urzędy dworskie litewskie.

Czas i wypadki zmniejszały niechęć, a cywilizacja polska coraz głębiej przenikała do Litwy. Wszakże nie ulega wątpliwości, że Zygmunt August, jak to słusznie zauważał autor, długo nie myślał o unii ostatecznej. Radziwiłł Czarny, najpierwszy dygnitarz Litwy, a przyjaciel i powiernik Zygmunta Augusta, aż do śmierci był najzawziętym przeciwnikiem unii.

Bliższe wyświecenie stosunków wzajemnych obu Państw, jest rzeczą nader ważną; wielka też zasługa p. Szujskiego, że z sumiennością historyka potrafił niektóre przynajmniej kwestye, a względem tych, powtarzam, nie robimy zarzutów, ale chcielibyśmy tylko, ażeby były bardziej wyczerpujące.

Historja polska wiele zyszcze od przedłużenia tak pięknie podjętej pracy. O ile wiemy, p. Szujski pracuje nad dziejami epoki Zygmunta Augusta. Nie wątpimy, że nikt lepiej od niego nie podoła temu zadaniu. Pan Szujski pierwszy zbadał źródła archiwum wiedeńskiego, a to nie mały przyczynek do dziejów naszych, szczególnie z epoki Zygmunta. Ale nie potrzebujemy mówić, że źródła wiedeńskie, jakkolwiek nader ważne, nie są jeszcze dostateczne do panowania Zygmunta Augusta. Litwa odegra tu przeważną rolę, a więc metryka Litewska jest właśnie owem głównem źródłem, które rozleje nowe światło na to znakomite panowanie. Pięćdziesiąt siedem tomów źródeł ogłoszonych przez Komisję Archeograficzną w Petersburgu, oraz wydania archeograficzne Kijowskie i Wileńskie, (te ostatnie wymagają wielkiej ostrożności, szczególnie Kijowskie), podają bogate materyały dla dziejów naszych i szczególnie do panowania obu Zygmunta. Ale nie tu koniec, mamy dotąd jeszcze dwadzieścia pięć główniejszych archiwów, zawierających materyały do dziejów Litwy. A ileż to dzieł nader ważnych dla naszych dziejów, zupełnie nieznanych w piśmiennictwie polskiem. Zadaniem przeto komisji historycznej, której środki i zasoby zwiększyć się muszą z otwarciem Akademii Umiejętności, koniecznem byłoby dokładnie i gruntownie wykazać te wszystkie źródła, stopniowo zaznajamiając się z nimi, poddając każde pod krytyczny a sumienny rozbiór. Przy dalszym rozwoju pracy i działalności, stałoby się możliwem utworzenie niezbędnego potrzebego skorowidza do rzeczy litewskich, pod względem historycznym, archeologicznym, geograficznym, a nawet etnograficznym. Nie są to marzenia, ale rzecz łatwa do załatwienia, szczególnie przy znannej działalności i pracowitości, a bogatych zasobach wiedzy dzisiejszego zacnego dyrektora komisji historycznej. Skorowidz taki tem potrzebniejszy, że Encyklopedia Powszechna najnieudaliej redagowana pod względem rzeczy litewskich, wiele w niej rzeczy opuszczonych, inne błędnie podane. — Byłaby to więc zasługa nie mała. — Przynajmniej wtedy pisarze galicyjscy, choć zacni, zdolni i zasłużeni, nie popełnialiby błędów, jakie dziś często napotykamy, skoro chodzi o rzeczy litewskie. Wiedziano by przynajmniej, kto Jagiełłę urodził i na pierwszej stronie, w pierwszym wierszu poważnego dzieła nie mieszanoby Maryi księżniczki Witebskiej z Juljaną księżniczką Twerską; drugi znów pisarz wiedziałby przynajmniej, że Krewa, gdzie Kiejstuta zamordowano, nie leży w dolinie Berezynskiej, i że Dynaburg leży nad Dźwiną, a więc z Dynaburga nie można Niemnem płynąć na Żmudź.

**Sejm Grodzieński r. 1793.** (Ostatni sejm Rzeczypospolitej Polskiej). przez D. Hłowajskiego, przekład z rosyjskiego M. Iwanowskiego. Poznań, 1872, nakładem J. K. Żupańskiego, 348 str.

Należy się prawdziwa wdzięczność p. Żupańskiemu za wydanie niniejszej poważnej pracy p. Hłowajskiego, profesora uniwersytetu moskiewskiego i znanego historyka. Dzieło to wyszło jeszcze w roku 1870 w Moskwie w języku rosyjskim. Pan Iwanowski, jak sam powiada w przedmowie, starał się zachować największą ścisłość w wyrażeniach, uwagach i t. d. Do napisania téj monografii posłużył autorowi bogaty zbiór dyplomatycznych korespondencyj, znajdujących się w moskiewskiem archiwum ministerjum spraw zagranicznych, zawierających reskrypta i instrukcye, jakie odbierało poselstwo rosyjskie w Polsce, oraz depesze i listy tegoż do Petersburga. Archiwum to było prawie nieprzystępne dla [historyi; dopiero historyk Sołowjow, bodaj pierwszy korzystał z tych materyałów do znanéj swéj pracy p. t. *Historja upadku Polski* (wydanéj w r. 1863). Następnie Kostomarov do Ostatnich lat Rzeczypospolitej, pracy ogłoszonej téż w r. 1870, i Hłowajski. Ale gdy Sołowjow i Kostomarov kreślą ogólne dzieje Polski z ostatnich czasów, Hłowajski opracował wyłącznie rok 1793. Oprócz materyałów z archiwum moskiewskiego, Hłowajski korzystał ze wszystkich prawie znanych źródeł dotąd drukiem ogłoszonych w językach polskim, niemieckim, francuzkim i t. d. <sup>1)</sup>, oraz ze współczesnych gazet, dyaryuszów, mów sejmowych i oddzielnych opisów, szczególnie zaś z ciekawego rękopismu będącego własnością Komisji Archeograficznej Petersburskiej, p. n. „*Journal de la diète de Grodno 1793*,” oraz z zapisek Ludwika Gineta, rękopismu z jednéj prywatnéj biblioteki w Warszawie i nader ważnego sejmowego dziennika p. n. „*Dyaryusz sejmu ekstraordynaryjnego pod związkim konfederacyi Targowickiej 1793*,” praca Macieja Nielubowicza, komisarza skarbu litewskiego. Egzemplarz tego dziennika autor miał udzielony przez p. Laskiego z Warszawy.

Kostomarov oprócz wspomnianego archiwum ministerjum spraw zagranicznych, korzystał jeszcze z archiwum wojenno-topograficznego Depo przy ministerjum wojny, zawierające téż nader ciekawe materyały do epoki upadku Polski, jak naprzykład relacye o bitwach, plany bitw, rozkazy głównodowodzących i t. d.; z archiwum Sapieżyńskiego w Dereczynie, prze-

<sup>1)</sup> Z zagranicznych dzieł przywodzi autor: Ein russischer Staatsmann. Des Grafen Johann Siewers Denkwürdigkeiten. Von K. L. Blum. Leipzig 1858. — Geschichte des Russischen Staates von Herrman. Ergänzungs-Band. Diplomatische Correspondenzen aus der Revolutionszeit 1791—1797. Gotha 1866. — Recueil des traités et conventions concernant la Pologne 1762—1862. Par le comte d'Angeberg. Paris 1862. — Histoire de trois démembrements de la Pologne par Ferrand. Paris 1820. — Die oesterreichisch-preussische Allianz und die zweite Theilung Polens. Von Herman. Gotha 1861. — Polens Untergang und der Revolutionskrieg. Von H. Sybel. 1870. — Z polskich dzieł znane są autorowi wszystkie mające związek z obranym przez niego przedmiotem [Pamiętniki: Ogińskiego, Ochockiego, Michałowskiego, Kitowicza, Koźmiana, Niemcewicza, Gąsiorowskiego, Balińskiego (o Janie Śniadeckim); dzieła: Lelewela Kołłątaja, Kalinki, F. Szulca, Ostrowskiego, H. Schmitta, L. Wegnera i t. d.]

wiezionego do Wilna (dziś przy bibliotece, a dawniej przy towarzystwie archeologicznem); z biblioteki Załuskich dziś publicznej w Petersburgu, jak wiadomo bardzo bogatęj w szacowne rękopisma współczesne, ze zbiorów muzeum Rumianocowskiego z familijnego archiwum księcia Suworowa i t. d.

Prace Kostomarowa i Iłowajskiego, ważny przyczynek do dziejów naszych już dla tego samego, że czerpane ze źródeł nam nieznanych. I jeden i drugi sumienni są pod względem użycia tych materiałów; ale Kostomarów, który dawniej odznaczał się szczególną bezstronnością w poglądach na dzieje Polski, który tak niedawno jeszcze nazywał Polskę najwięcej cywilizowaną pod względem swobody wyznań; w ostatniej pracy nie zawsze jest bezstronny w poglądach i zapatrywaniach się swoich, tak, że możnaby nawet domyślać się pewnego rodzaju niechęci ku nam lub lekceważenia, czego nie chcemy jednak przypuszczać, pamiętając że dawne prace tego znakomitego historyka zawsze były sumienne, a nawet przychylnie.

Iłowajskiego praca nie razi ani poglądami, ani sposobem wysłowienia się i traktowania przedmiotu. Iłowajski jest tu tylko wiernym opowiadaczem, dokładnie czerpiącym ze źródeł pewnych. Słusznie powiada tłumacz tej pracy w swojej przedmowie, że „prawda tu wypowiedziana jest nader dla nas gorzką, i dzięki autorowi że nie dolał do niej z własnego pomysłu żółci, jak to niektórzy autorowie ruscy mają upodobanie zaprawiać swoje płody. Widać, że oni nie powodują się moralnem ruskiem przyśłowiem: „Leżaczaho nie bjut,“ t. j. „Obalonego nie bija.“

Porównywając historye Iłowajskiego ze znakomitą pracą L. Wegnera, oraz „Ostatniemi dniami Rzeczypospolitej“ Kostomarowa, widzimy, że Iłowajskiego opis jest najbardziej wyczerpujący, a chociaż u Wegnera więcej znajdzie się szczegółów, Iłowajski bogatszy w kwestyach stanowczych, gdyż miał do tego źródła nieznane Wegnerowi. Iłowajski wiele też korzystał z pracy Wegnera i często o niej wspomina. U Kostomarowa zaś, którego praca zajmuje daleko szerszy okres, sejm Grodzieński nie tak detalicznie opisany. W Pamiętnikach Ogińskiego — Iłowajski widzi wiele nierzetelności, fałszu i samochwalstwa i w wielu razach dowodnie o tem przekonywa. Charaktery niedołęznego króla, przeniewierców Ankwicza, Kossakowskich, Podgórskiego i wielu innych skreślone wszędzie wiernie, po mistrzowsku. Przeciwnicy ich Skarzyński, Szydłowski, Ciemniwski, Mikorski, Krasnodębski, wyglądają dzielnie i zacie, a ani jednym wyrazem autor nie ubliża ich patryotyzmowi. Ciekawą jest scena wywiezienia posłów, którą autor znalazł jedynie w rękopiśmiennym dyaryuszu, przez nikogo dotąd nieopisana. Bardzo niedawno dzienniki nasze podniosły kwestyę o wyrazach „Finis Poioniae,“ które jakoby miał wyrzec Kościuszko po bitwie pod Maciejowicami. Iłowajski stanowczo zaprzecza temu (str. 275), nazywając to wyrażenie teatralnem, później utworzonem. Kostomarow twierdzi (str. 676), że w czasie „Niemiejskiej sesji“ 2 września, po odczytaniu aneksu Siwersa, kiedy marszałek zapytał się, czy strony sejmujące zgadzają się, aby deputacya podpisała projekt, a w sali panowało grobowe milczenie, jakoby Ankwicz miał powiedzieć: „milczenie jest dowodem zgody.“ — To samo powtarzali i dawniej, nawet Niemcewicz i Lelewel. Ale Iłowajski zaprzecza temu, dowodząc, że nie Ankwicz, ale Bieliński ogłosił tylko, że projekt przyjęty jednomyślnie.

„Gdy zajrzemy — powiada autor — w ówczesne gorączkowe życie w Grodnie, mieć będziemy oryginalne zjawisko: równoległe z wyrazem

smutku i rozpacz, rozlegających się na sejmowych sessjach, w obywatelskich mieszkaniach przebiega prawie nieprzerwany strumień wesołości i hulank. Miasto w stanie blokady; ulice i okolice zaległe przez russkie wojsko i kozaków; wszędzie widać obozy, pikiety i przeciągające patrole; a między tem, rauty, objady, bale, kolacje i t. d. następują jedno po drugim.“

A te walki sejmowe, te gorzkie wyrzuty, jakie Ciemiński i inni w oczy, publicznie na sali, wypowiadali królowi, jego usprawiedliwiania się; te sceny rozpacz posuwane aż do nieprzyzwoitości, jak np. przy wypędzaniu ze szturchańcami z sali posła Podgórskiego, podczas całonocnego czuwania pod eskortą w salach sejmowych, w obecności bladego i z sił opadłego starca — na tronie pod bagnetami. Wojsko nieopłacone, skarb bez grosza, sam król żebrzący jak o łaskę, o kilka tysięcy dukatów u Siwersa, na Litwie głód, a pani kasztelanowa Ożarowska własnoręcznie zapala wspaniały fajerwerk, który kosztował 800 dukatów! Hrabina Kamelli upaja Siwersa wdziękami melodyjnego swego głosu, torując bratu karierę w służbie rossyjskiej; — na wpół naga markiza Lulli połyskuje na balach od stóp do głów brylantami i t. d. i t. d. — Smutne to dzieje!

**Pamiętniki z XVIII wieku.** Tom XII. Listy Hugona Kołłątaja, pisane z emigracji w roku 1792, 1793, 1794, zebrał Lucyan Siemieński. Poznań. Nakład Żupańskiego. 1872. Dwa tomy w jednym, str. 183 i 193.

Książd Hugo Kołłątaj należy niezaprzeczenie do najwybitniejszych postaci końca XVIII wieku. Za życia miał on najgorliwszych zwolenników i najzawziętszych nieprzyjaciół. A oto i dziś, świeżo wydane dzieło na nowo wywołało najnamiętniejsze sądy, bezwzględne surowe potępienie jednych, zanadto znów gorliwe obrony drugich.

Pan Lucyan Siemieński dowiódł wydanemi listami (z r. 1792—94), których oryginały znajdują się w archiwum Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, a nadto których autentyczność dowodzi sam styl i sposób pisania Kołłątajowi właściwy; że twórca konstytucji 3 maja należał do konfederacji targowickiej, że doradzał Stanisławowi Augustowi przystąpienie do niej i wyjeżdżając za granicę zostawił akces. Jest to więc fakt zanadto dostateczny, ażeby przeciwnicy bezwarunkowie go potępić. Mimo to znaleźli się jednakże i tacy, którzy usiłują złagodzić ten krok, wykazując niezaprzeczone i wielkie zasługi Kołłątaja dla kraju, jak również, że chociaż zostawił akces, nie brał żadnego udziału w działaniach targowicy i był nawet przez nią przesładowany.

Co do samej książki świeżo wydanej, ma ona wielkie znaczenie historyczne, i p. Siemieński znakomicie przysłużył się literaturze historycznej ogłoszeniem tych 114 listów. Słusznie powiada Kraszewski: „że z mnogich pism pozostałych po Kołłątaju żadne może i człowieka i polityka z pewnych względów nie maluje lepiej nad ten zbiór listów.“ Idee i pomysły Kołłątaja, w które był tak obfity; jego stosunki, projekt abdykacyi króla na rzecz W. Księcia Konstantego dla uniknienia podziału, stosunki z Bułhakowym, związki z Kościuszką, wreszcie jego życie prywatne, usposobienie, polityczne projekta i sposoby ich urzeczywistnienia, wszystko to najdokładniej odbija się w tych listach.

**Konfederacya Barska** — Korespondencya między Stanisławem Augustem i Ksawerym Branickim, Łowczym Koronnym, w r. 1768. — Wydał Dr. Ludwik Gumpłowicz. Kraków 1872. W drukarni *Kraju*. Str. 204 i 16.

We wstępie wydawca powiada, że pewien wychodźca polski ofiarował mu zeszłego roku w Dreźnie zbiór odpisów różnych aktów i dokumentów do historyi polskiej wieku XVIII. W tym to zbiorze odpisów znalazł p. Gumpłowicz korespondencya między Stanisławem Augustem i K. Branickim, którą drukiem ogłosił. Najzupełniej wierzymy w autentyczność tych listów i zgodność ich z oryginałami, nie możemy jednak nie zwrócić uwagi, że w publikacjach tego rodzaju konieczną jest rzeczą dokładne wymienienie, gdzie mianowicie znajdują się oryginały, z których odpisy drukiem się ogłaszają.

Ciekawą jest ta poufna korespondencya. Nie wyświeca ona jednak żadnej nowej strony, któraby pozwoliła przekonanie, jakie już historia wyrobiła o królu, choć trochę na lepsze zmienić. Dowodzi raczój, że Stanisław August miał dobre serce i dobre chęci, nadto, że miał rozum, a nie miał rozsądku i silnej woli, że jawnie i skrycie to ulegał Rosssyi i nią się posługiwać chciał, to przeciwko niej spiskował, że Rzeczpospolita wiecznie goła i wiecznie łaknąca grosza to chciała walczyć razem z wojskiem rossyjskiem pod natchnieniem króla, albo gotowa była odstąpić Rosssyę i porozumieć się z kofederacyą; słowem, widzimy te same nieustające wahania się i w rządzie i w jego wykonawcach, a nadto zachwywanie się zupełne, albo raczój upadek chwilowy charakteru narodowego. Rzeczpospolita z królem na żołdzie posła rossyjskiego stała, a król za pieniądze od Repnina wyblagane chciał niby walczyć konfederatów, skrycie zaś dawał instrukcyę Branickiemu, aby unikał wspólnego działania z wojskiem rossyjskiem. Widzimy dalej, że Branicki miał więcej zmysłu politycznego jak król, i wszystkie jego uwagi, z uszanowaniem królowi czynione, wykazywały, jak ta polityka dwulicowa z Rosssyą udać się nie może, a Rzeczpospolitą niezawodnie zgubi.

Widzimy tu z boleścią, że i Konfederacya Barska, zacna w swych zamiarach, nie miała głowy, któraby wielkie zamiary przeprowadzić mogła; nie miała wojska posłusznego i bitnego, prócz kilku istotnie świetnych wyjątków. Ale i Rzeczpospolita, nie mając także wojska, szczególnie zaś pieniędzy, choć może dowódców znalazłaby zdolniejszych, nic zdziałać nie mogła. Konfederacya przeto i Rzeczpospolita upaść musiały.

Jednakże to są rzeczy wiadome, tu żadnej nowej strony w charakterach ludzi i rzeczy nie odkrywamy; tu ani pociechy zaczerpnąć, ani boleścią większą przejąć się nie możemy, przeczytawszy ciekawą zawsze książkę.

Bylibyśmy wdzięczniejsi panu wydawcy, gdyby był raczył rękopisma, które przedrukował opatrzyć lepszą punktoacyą, podawać peryody i średniki gdzie ich brakuje, nadto sprostować wyrazy i wyrażenia niedokładnie w manuskrypcie podane.

**Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego** przez Jana Karłowicza. Poznań. Żupański. 1872. 8vo, str. 32. — Rozprawa ta drukowaną była w Berlinie w roku 1866 w języku łacińskim (*De Boleslao I bello Kiowiensi*) jako praca do stopnia doktora; niedawno z małemi zmianami wydana została po polsku.

Jan Karłowicz, obywatel gubernii wileńskiej, syn zdolnego poety Aleksandra Karłowicz. Jan Karłowicz, przyjaciel ś. p. Stanisława Moniuszki, znany artysta-amator; grę jego na wiolonczeli nawet Serwe uznał za zna-

mienita. Wielkie zamiłowanie w muzyce nie przeszkodziło jednak p. Karłowiczowi oddać się mozołnym studjom historycznym i uzyskać stopień doktora. Opierając się na Dytmarze, Gallusie i Nestorze, z których pierwszy był współczesnym wyprawie Bolesława, a dwaj drudzy pisali w sto lat później, Karłowicz z zestawienia tych kronikarzy, przy bacznym śledzeniu innych późniejszych historyków, przyszedł do wniosku, że z jednej wyprawy zrobiono dwie, a każdy z piszących mieszając fakta, podania, legendy, coraz więcej rzecz gmatwał. Karłowicz gruntownie rzecz zbadał i dziś jemu zawdzięczać winniśmy za wyświecenie prawdy dziejowej.

**Kurs historii wieków średnich**, napisany przez Tadeusza Korzonia, z dołączeniem 4 map historycznych i 25 tablic genealogicznych. Nakładem Jana Brzozowskiego. — Warszawa, w drukarni Bergera, 1872. XIV, IV, 554 str.

Ogromny ten tom w tej chwili przez nas otrzymany zasługuje na szczególny rozbiór, czego dziś dopełnić jeszcze nie możemy; ale wrócimy do pracy p. Korzonia. Zauważaliśmy, że autor zwracał szczególną uwagę na Słowiańszczyznę, czego w innych tego rodzaju pracach nie znajdujemy. — W każdym okresie, a całe dzieło podzielił autor na cztery okresy; znajdujemy państwa słowiańskie: Polskę, Ruś, Czechy, Serbię, Bułgarię i t. d.

**Polityka samobójstwa.** Uwagi nad pisemkiem „Polska i Rosyja w r. 1872 przez b. członka Rady Stanu w Król. polsk.“ — Poznań. 1872. Nakład J. K. Żupańskiego. Str. 39.

Najzacniejsi ludzie podlegają czasami chwilom obłędu. Uległ temu zapewne mimowolnemu obłędowi i autor broszury „Polska i Rosyja“. — Okrzyczano go zdrajcą, przeniwiercą; ale ludzie co go znali przez lat wiele, a ludzie zorni, twierdzą, że takim nigdy nie był i być nie może. Jest więc to po prostu obłęd, a może jeszcze prędzej usposobienie chorobliwe, któremu podobno nawet ulega, doznawszy w życiu wielu kłesk bolesnych.

Gotowi i nam zarzucić, że usiłujemy usprawiedliwiać autora głośnej broszury, a szanowny p. Powidaj gotów nawet po raz drugi znaleźć jakąś wspólność tej broszury z listem z Warszawy, któryśmy wydrukowali w I tomie „Na Dziś“. Nie, usprawiedliwiać nie myślimy. Patrzymy tylko chłodniej na całą tę sprawę od wielu krytyków. Zasadnicza idea b. członka Rady Stanu nie może znaleźć współczucia i uznania, nie tylko u Polaka, ale nawet u prawego Rosyanina, bo człowiek, który wyrzeka się swej narodowości, nie może zjednać dla siebie szacunku u nikogo. Jakoż widzimy już, że pisma czasowe rosyjskie albo zupełnie przemilczały o niej, albo też odezwały się z niedowierzaniem i nagana, a niektóre chcą w niej dopatrzeć aż *ultra-montańską chytrą!!* Narzekają też na brak szczerości i odwagi cywilnej powiedzenia otwarcie tego co było na myśli, chociażby to co było wypowiedzianem *pod szatą towiańszczyzny* (!!) i korzystnym było dla Rosyi. Oto jak oceniono tę broszurę w rosyjskich czasopismach.

Zdawałoby się, że rzecz główna wypowiedziana przez autora, jest tak wstrętą i tak nieloiczną, że niewartoby o niej nawet długo rozprawiać — i przez to samo nadawać jej taką doniosłość, na którą zgoda nie zasługuje. Widzieliśmy wszakże, że wszystkie prawie dzienniki poświęciły jej niejedną kolumnę swego pisma, a oto mamy już i trzecią broszurę: przedruki z „Gazety Narodowej“, z „Przeglądu Polskiego“ p. Kleczyńskiego i *Politykę samo-*

*bójstwa* nieznanego autora. Ten ostatni zarzuca Polakom zbyteczną chęć do praktyk politycznych (sam jednak pisze politykę samobójstwa). Są tu poglądy zdrowe, dość umiarkowane, wszakże nic bardzo nowego, głównie zaś zwraca autor uwagę na prace organiczne, które podług jego zdania najwięcej przyczynić się mogą do uratowania narodowości polskiej.

Podajemy tu parę ustępów z tej broszury, jako bardziej charakteryzujące zasadniczą myśl autora:

„Dziś i umiarkowani, postępowi i konserwatyści (Polacy) bardziej niż kiedy przekonani są, że odbudowanie Polski politycznie jest na teraz czczą marą, że z dawnego państwa niema ani jednego kawałka drewna, ani jednej cegły, któraby się zdała jako gotowy materiał do roboty: że chyba przyszło wszystko odtwarzać na nowo.— W takich warunkach dziwna rzecz i zabawna sprzeczać się o granice 1772 r.! — Z drugiej strony, ci sami nawet, którym żal się rozstać z ideałem politycznym, nie mogą nie przyznać, że ten ideał odsunął się tak niezmiernie daleko, że im nawet zdala nie ujrzeć tej ziemi obiecanej.“

Dalej: „Przyznawszy raz, że odbudowanie Polski nie stanie się ani jutro, ani za dziesięć lat, a zatem, że się trzeba zrezygnować na cierpliwość, legalność, skromne, ciche, organiczne działanie, już się tém samém dało prawie za wygraną ideom samobytności politycznej narodu, jako rzeczy nie tak niezbędnie dla istnienia narodowości potrzebnej.— Godzą się kierunki, łączą się stronnictwa, a hasłem tego pojednania może być tylko zaprzestanie wszelkich praktyk politycznych w tym przynajmniej XIX wieku, którego na życie nasze wystarczy.— Dostyc mówić o powstaniu, dostyc budować nadzieje na Francyi lub Anglii;— precz ze śmieszną myślą wytworzenia z ciężkiej i zacofanej Galicyi, która nawet z rusińską kwestyą poradzić sobie nie umie,— czegoś naksztalt Piemontu polskiego; broń nas Boże od wszelkiego politykowania, od poduszczania Niemców przeciw Rosyji, albo Rosyji przeciw Niemcom, wara sadzić palce między drzwiami.“

Na to ostatnie założenie autora wiele dałoby się powiedzieć, ale dajmy pokój na teraz.

Jeszcze jeden wyjątek: „Nie uważajmy siebie za coś odrębnego i wyłącznego;— dopóki tak się będziemy zasklepiali i odosobniali, nie przestana nas traktować jako nieprzyjaciół, nie przestana nas wyłączać od równoprawnienia i utrzyma się prawodawstwo względem nas wyjątkowe, któremu nie podpadają w Rosyji ani Niemcy, ani Szwedzi, ani tyle innych narodowości, (ani żydzi).— Oddajmy państwu wszystko co się państwu należy, prosto, szczerze, bez ogródek; obcuśmy z Niemcami, Węgrami, Rosyanami, państwowo, umysłowo i ekonomicznie;— a obcowanie i współzawodnictwo nasze szczególnież z Rosyanami, w tych zakresach, będzie niesłychanie dla obu stron pożyteczne.— Nam konieczność nakazuje poznać jak najdokładniej tych, wśród których jesteśmy, i wśród których liczebnie ginimy, jak kropla w morzu, na wschodzie od Wisły do Uralu i Kaukazu, i za Uralem i Kaukazem, bo aż tak daleko rozmiotły nas losy; ale i oni przyjrawszy się nam z bliska, przekonają się, że jest i w nas coś więcej nad szlachetczyznie albo religijny obskurantyzm, o który nas hurtem pomawiają.“



**Szkolnictwo na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania, podług planu przepisanego dla seminarjów nauczycielskich.** Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, przez Antoniego Łuczniewicza.

Jest to dobrze ułożona skazówka dla życzących wejść do stanu nauczycielskiego. Autor zaznajamia naprzód ze zdolnościami cielesnymi i umysłowymi dzieci, wskazując drogę która potrafi je rozwinąć i ukształcić. Następnie określa znakomitsze zasady pedagogiczne i przechodzi do opisu obecnego stanu wychowania publicznego we wszystkich głównych państwach europejskich. W końcu podaje wykaz nauk, jakie wchodzić powinny w zakres szkół ludowych, wskazuje najlepsze metody nauczania, urządzenia szkoły, oraz zaprowadzenia niezbędnej karności.

**O życiu Fryderyka Karola Sowigny,** przez Dr. Gustawa Roszkowskiego. Warszawa, w drukarni Orgelbranda syna, 1872, str. 32.

Jest to ciekawy, nader umiejętnie skreślony życiorys tego znakomitego profesora. P. Roszkowski daje nam nowy dowód swjej sumiennej pracowitości i szczególnej gorliwości w dziedzinie nauk prawnych. Jakoż i ta książeczka posłużyć może za przykład dla wielu pracujących w tym zawodzie.

**Dramata Jana Leńiewskiego.** Kraków 1872. W drukarni *Kraju*, str. 108, „Marya.“ „Niedołęzna ciekawość.“

Znamy inne prace autora, jako uzdolnionego publicysty i myśliciela; przeto radzimy mu z duszy dać pokój wszystkim „Maryom“ i „Niedołęznym ciekawościom,“ ażeby nie powiększać liczby niedołęznych dramatów, których i tak już mamy podostatkiem.

**Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu.** Nakładem Biblioteki Kórnickiej. Tom I, 1871, in 4<sup>o</sup> str. 186. Tom II, 1872, in 4<sup>o</sup> str. 245.

Nie możemy w tej chwili podać prawdziwej oceny tego dzieła, jak na to zasługuje. Możemy tylko uwielbiać i podziwiać znaczne usiłowania i korzystne dla kraju prace Towarzystwa, które otwiera dla nas nowe pole, odłogiem tak długie leżące i chwastem prawie zarosłe. Polska szczy się imieniem Kopernika; w wieku XVI słynną była, jako Państwo, gdzie nauki matematyczne były najściślej uprawiane. W końcu przeszłego nawet wieku i na początku bieżącego mieliśmy Poczobuta, Śniadeckiego Jana, Polińskiego i kilku innych znakomych na tem polu pracowników. Później poezya pochłonęła najżywotniejsze siły kraju. Zapomniano, że matematyka doszła dziś do zadziwiającego rozwoju, że Leibnitz i Newton wprowadzili na pole, przedtem dla nikogo niedostępne i że matematyka wpływem swoim na życie, przewyższyła wszystkie inne nauki. Dla tego to dzisiejszy zwrot ku matematyce przez utworzenie się Towarzystwa nauk ścisłych, a którego działalność już jest tak owocną, nie może nie wzbudzać najwyższego współczucia.

Towarzystwo to postawiło sobie jako jedno z ważniejszych swych zadań, brać pod uwagę wszelkie prace w języku polskim oryginalnie napisane, a nawet i tłumaczone w razie ich wyjątkowej wartości, dotyczące się nauk ścisłych, jako to: matematyki, fizyki, chemii i nauk przyrodniczych.

Ustawa Towarzystwa uchwaloną została dnia 30 Kwietnia 1870 r. Prezesem Towarzystwa Jan hr. Działyński (z Kórnik), sekretarzem i redaktorem Wł. Folkierski. Oto jest treść wydanego Pamiętnika: Tom I: O sprężystości ciał stałych jednorodnych, przez Wł. Gosiewskiego; O funkcjach jednorodnych i jednogatunkowych, tegoż; Dowód na twierdzenie Hesse'go o wyznaczniku funkcyjnym, napisał Wawrzyniec Żmurko; Przyczynę do teorii największości i najmniejszości funkcyi wielozmiennych, tegoż; O względnościach wykreślonych zachodzących między rzutami systemów geometrycznych, napisał J. N. Franke; artykuły Wł. Trzaski: O niektórych własnościach pewnego rodzaju funkcyi jednej zmiennej urojonej; O pewnem zastosowaniu wyznaczników funkcyjnych; O nakreśleniu do trzech kół danych leżących na powierzchni jednej kuli czwartego koła stycznego leżącego na tejże powierzchni. Rozbiór krytyczny dzieła G. H. Niewęgłowskiego, przez Adolfa Sągajłę i t. d.—Tom II: Kilka uwag o liczbie różnych wartości jakie funkcyja może przybierać w skutku przedstawień zmiennych do niej wchodzących, przez Wł. Gosiewskiego; Kilka uwag dotyczących się funkcyi wielowymiarowych, przez Wł. Trzaskę; Dowód pewnego twierdzenia dotyczącego funkcyi wielowymiarowych okresowych, tegoż; Rozbiór krytyczny dzieła Folkierskiego p. t.: „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego,“ przez Sągajłę; O astronomii w Polsce, przez Feliksa Kucharzewskiego; O nitroglicerynie i dynamicie, przez Zalińskiego i t. d. <sup>1)</sup>.

Obecnie staraniem tego Towarzystwa, a nakładem tejże Biblioteki są w druku (a może już i wyszły): Zasady rachunku różniczkowego, tom II: Rachunek całkowity, Wł. Folkierskiego.—Algebra, A. Sągajły.—Wykład mechaniki cząsteczkowej (Molekularnej), Wł. Gosiewskiego.

Nadto mamy jeszcze zapowiedziane dzieła: Wł. Folkierskiego: Zasady rachunku różniczkowego i całkowego, tom III: Całkowanie równań różniczkowych.—G. H. Niewęgłowskiego: Mechanika rozumowa.—A. Sągajły: Geomotrya analityczna.—Wł. Klugera i F. Kucharzewskiego: Wykład hydrauliki wraz z teorią machin hydraulicznych, poprzedzony wiadomościami z hydrostatyki i hydrodynamiki.—Hulewicz: O budowie mostów.—Żebrowskiego: Z dziedziny biblijografji i historii literatury matematycznej.

Zaiste nieliczny widzimy tu zastęp pracowników w dziedzinie nauk ścisłych (Wł. Folkierski, A. Sągajło, Wł. Gosiewski, Kucharzewski, Hulewicz, Żmurko, Trzaska), ale jakaż zadziwiająca pracowitość!

- <sup>1)</sup> Nakładem Biblioteki Kurnickiej wydane też: G. H. Niewęgłowskiego: Arytmetyka z teorią przybliżeń liczebnych i z notami. 8ka, tom jeden, str. 352. Cena fr. 4. Paryż, 1866.—Geometrya, wydanie drugie całkiem przerobione i powiększone. 8ka, tom jeden, str. 778. Cena 8 fr. Paryż, 1869.—Trygonometrya, z teorią ilości urojonych i z notami. 8ka, str. 407. Cena 4 fr. 50 c. (1 rsr. 50 kop.). Paryż, 1870. W. Folkierskiego: Zasady rachunku różniczkowego i całkowego z zastosowaniami, wyłożone w sposób przystępny dla początkujących. T. I: Wiadomości wstępne, Rachunek różniczkowy i zastosowania; powiększony przypiskiem Wł. Trzaski: O wyznacznikach. 8ka, str. XLIII i 1087. Cena 10 fr. (3 rsr.). Paryż, księgarnia Luxemburska, ulica Tournon, 16, i Warszawa, księgarnia Glüksberga, ulica Krakowskie Przedmieście. 1870.

Działalność Jana hr. Działyńskiego nie kończy się na samych tylko wydawnictwach nauk ścisłych. Przedłużył on wydawnictwo dzieł historycznych, rozpoczęte przez znakomitego ojca jego Tytusa hr. Działyńskiego. Na tém polu najczynniejszym pracownikiem widzimy Dra Zygmunta Celi-chowskiego. — Najważniejszą, jak wiadomo, wydawnictwem Biblioteki Kórnickiej są *Acta Tomiciana*. Kontynuacja tego pomnikowego wydawnictwa napotykała ostatnimi czasy na ciągłe trudności, które opóźniły dotychczas ukazanie się IX tomu. Wszakże, jak nam donoszą, druk tego tomu już rozpoczęty i jest nadzieja, że w tym jeszcze roku będzie ukończony. Druk dalszych tomów będzie postępował regularnie.

Przygotowuje się dalej homograficzny przedruk „Apokalipsy“ Reja i homograficzna reprodukcja Statutów polskich i mazowieckich z kodeksu biblioteki Puławskiego, z którego Lelewel r. 1824 statuta swe przedrukował. Podobne homograficzne reprodukcje najstarszych naszych rękopiśmiennych zabytków wielką oddać mogą przysługę badaniom paleograficznym i językowym.

Wkrótce też ma wyjść tłumaczenie kilku komedyj Plauta przez ś, p. Wolframa, profesora warszawskiego uniwersytetu; drukuje się zaś Rykaczewskiego tłumaczenie Listów Cycerona.

**Dr. Artur Wołyński** pracuje obecnie nad wypisami nieznanych dotąd dokumentów historycznych w archiwach i bibliotekach italskich przez niego wynalezionych. Z tych materyałów utworzył autor kilka prac odrębnych nader ważnych dla historii polskiej. Tak n. p. 1) Julian Medici (Medyceusz) — oprócz listu współczesnych, zawiera kilka sprawozdań Juliana o Polsce, o Zygmuncie III i Władysławie IV, tudzież o dworze królewskim. 2) Medyceuszowie jako kandydaci do tronu polskiego; treść pracy i dokumenta odnośne przedstawiają zakulisowe manewra kandydatów do tronu, aby sobie zjednać stronników. 3) Aleksander Cilli, jego raporta o Polsce i dziełko o konfederacyach. 4) Sebastyan Montelupi w Polsce. 5) Honoryszko Panitelli, sekretarz Władysława IV. 6) Wyprawa Maksymiliana do Polski. — Niektóre z tych prac podamy w „Na Dziś“.

**Biblioteka umiejętności przyrodniczych** wychodzić zacznie od Września w Krakowie, poświęcona naukom przyrodniczym, w zeszytach miesięcznych po pięć arkuszy, z kroniką i bibliografią nauk przyrodniczych na okładce. — Mają to być tłumaczenia z obcych języków dzieł popularnych przyrodniczych, których literatura nasza wcale nie posiada, a w które angielska, włoska i niemiecka tak obfituje.

Redakcyę objął znany z kilku prac na tém polu Ludwik Masłowski. Udział w komitecie redakcyjnym przyjęli dotąd z wielu zaproszonych: Dr. Skiba, docent uniw. jag. — Dr. Nowicki, prof. uniw. jag. — Dr. Czarniański, prof. — Dr. Radziszewski, prof. uniw. lwow. — Dr. Karliński, prof. uniw. jag. — K. Przeciszewski.

Wydawnictwo podejmują W. Tomaszewicz i A. Dygasiński.

1 lipca 1858 roku ogłosiło Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie konkurs do napisania **Historji włóścian i stosunków ekonomicznych w dawnj Polsce**. — Za najlepszą tej treści rozprawę przeznaczył August hr. Cieszkowski 1000 tal. nagrody.

Do roku 1860 nie nadeszła żadna praca, przedłużono więc czas konkursowy o rok jeden również bezskutecznie i pomimo powtarzane ogłoszenia po wszystkich pismach polskich, przysłano jedyną rozprawę w lutym roku 1862, która jednakże nie odpowiedziała zadaniu pod żadnym względem. Zarząd przeto Towarzystwa ponowił ogłoszenie konkursu w roku 1863, oznaczwszy ostatni termin na dzień 1 stycznia 1865 r. Kiedy jednakże i ta przewłoka okazała się bezowocną, postanowił zgodnie z życzeniem konkursodawcy ograniczyć owo zadanie w ten sposób: „*Do nagrody przyjmowane będą monografie, wchodzące do historii włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce*“, i nazaczył termin prekluzyjny na dzień 1 stycznia 1771.

W skutek ogłoszenia tak zmienionego zadania w końcu roku 1868, nadesłano trzy prace w roku 1870 i 1871. Zarząd pragnąc sprawę tę lat 14 na rozwiązanie czekającą jak najprędzej do pożądanego doprowadzić końca, wyznaczył komisją z trzech członków złożoną i oddał jej owe prace ku ocenieniu przygotowawczemu, by nabrać wyobrażenia należytego o ich wartości, a następnie przedłożył je, stosując się do formy statutu Towarzystwa przepisanej, wydziałowi nauk historycznych Towarzystwa. Ten wybrał ze swego grona komisją z trzech członków złożoną, która wygotowała szczegółowe sprawozdania o owych pracach i zarządowi je przesłała.

Z odczytanych na posiedzeniu zarządu recenzyj tej komisji okazało się, iż jedną z trzech nadesłanych prac konkursowych uznano godną całkowitej nagrody; przeto postanowił zarząd spowodować komisją do zebrania się i wygotowania zbiorowego, obszerniejszego referatu, mającego szczególnie wykazać zalety za najlepszą uznanęj rozprawy konkursowej. Zadanie to zdali członkowie komisji na p. Augusta Mosbacha, który w krótkim czasie należycie się z niego wywiązał. Sprawozdanie to będzie ogłoszone w Rocznikach Tow. przyjaciół nauk, a tymczasem zarząd Towarzystwa podaje do publicznej wiadomości, że uwieńczoną pracą jest znakomita rozprawa Wacława Aleksandra Maciejowskiego, b. profesora prawa rzymskiego i historii w uniwersytecie warszawskim, pod tytułem „*Historya włościan i stosunków ekonomicznych w Polsce aż do r. 1861.*“

Dnia 19 lutego 1873 roku upłynie czterysta lat, jak się w Toruniu urodził współrodak nasz, wiekopomnej pamięci **Mikołaj Kopernik**, wykształcony w Krakowie w naukach matematycznych i astronomicznych, — pierwszy z astronomów, który przy nader słabych na on czas optycznych środkach odślonił prawdziwy system obrotu ciała niebieskich, oparty na obrocie ziemi około słońca. Nie tylko z powodu tej niesłychanej reformy w nauce astronomii i tylu ważnych ztąd późniejszych następstw, winni współrodacy jego po wszystkich ziemiach dawniej Polski obchodzić z należną czcią i dumą czterechsetną rocznicę jego urodzin, ale zarazem i dlatego jeszcze, że i niemiecka publiczność w Toruniu i okolicy gotuje się podnieść ten dzień do odpowiedniego temu wypadkowi znaczenia, a zapewne i zadokumentować przed światem, już nie jednym faktem naznaczone przywłaszczenie sobie rodowitości Kopernika, uważając jego rodzinę za niemiecką, a jego za Niemca.

Geniusz prawda każdy, a więc i Kopernikowy, do całej ludzkości należy, bo wszystkie ludy rozświecają się jego blaskiem. Mimo tej kosmopolitycznej własności każdego wielkiego talentu, pozostaje zawsze zaszczyt dla narodu, który go wydał, wychował i ukształcił, i o ten to zaszczyt ma dzi-

siejsza potomność polska prawo i obowiązek upomnieć się na drodze dozwolonego publicznego wystąpienia.

Podpisany Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu w należnym pojęciu tego obowiązku, podjął się przysposobić ten jubileuszowy obchód. Ogłosił już konkurs na napisanie monumentalnego życiorysu Mikołaja Kopernika ze szczególném uwzględnieniem jego rodowitości polskiej i za najlepsze pracę wyznaczył 500 talarów nagrody. Suma ta wypłaconą będzie autorowi z pośmiertnego legatu ś. p. Norberta Bredkrajca, przekazanego na podobne cele literackie, a zwróconą zostanie gdy w rok później napłyną fundusze, złożone na Kopernikowy jubileusz. Zarząd ogłosi drukiem konkursową pracę, wyda ozdobne album rzeczy pamiątkowych po Koperniku, nareszcie bić każe medal na uczczenie czterowiekowego jubileuszu urodzin znakomitego męża.

Ktokolwiek złoży przedpłatę w ilości 6 talarów czyli 10 złotych reńskich 75 centów waluty austriackiej, odbierze krótko po odbytej uroczystości po jednym egzemplarzu wymienionej potrójnej jubileuszowej pamiątki, a mianowicie: 1) Życiorys Mikołaja Kopernika; 2) Album wizerunków i pomników Kopernikowych; 3) Medal, bity na czterechsetny jubileusz urodzin Kopernika.

Przy kosztowności albumu, przy znacznych wydatkach na medal, na nagrodę konkursową i ozdobne wydanie uwiecznionej biografii, jest to przedpłata tak niska, a dlatego i mniej zamożnym przystępna, że tylko znaczna liczba przedpłacicieli opędzić potrafi wyłożyć się mające kosza.

Zarząd podpisany nie wątpi ani na chwilę, że okoliczność tak ważna pod względem naukowym, obudzi i zachęci każdego do przedpłaty, komu nieskończenie wielkie znaczenie Kopernikowego systemu choć tylko w ogólności jest znaném, zdolne w nim poruszyć sprawiedliwe poczucie dumy narodowej, a więc i obowiązku dania mu wyrazu w zamierzonym obchodzie czterechsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Wszelako, aby projekt w życie wprowadzić, potrzeba nadać mu odpowiedni rozgłos i zawezwać gorliwych o honor narodowy osób, redakcyj i wszelkich korporacyj, by nieść zechciały pomoc w zachęcaniu do udziału i w zbieraniu przedpłat.

Pożądane są także dobrowolne dary, które postawią zarząd w możności postarania się o przełożenie uwiecznionej biografii na inne języki, aby i za granicą sprawę Kopernikową rozgłosić, tudzież o wydanie tanie i popularne w języku ojczystym opisu całej jubileuszowej uroczystości wraz z krótkim życiorysem Kopernika i wykładem jego systemu, aby i wśród mniej umiętnych współrodaków obchód mający się odbyć w Toruniu w dniu 19 Lutego 1873 roku znalazł rozgłos i rozpowszechnienie.

Z tych powodów upraszamy najuprzejmiej tak prywatne osoby, stanowiskiem, nauką lub majątkiem się odznaczające, jako i szanowne Redakcyje pism polskich, oraz wszelakie korporacye tak uczone jak społeczne i gminne, by łaskawie zająć się raczyły zbieraniem przedpłaty sześciotalarowej, i większych darów na ten cel przeznaczonych. Zebrane kwoty odbierać będzie Wny Doktor Teofil Matecki, skarbnik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, ulica Świętomarcińska Nr. 4.

Upraszamy oraz o listy imienne osób i ich zamieszkań, ażeby darczyńcom przesłać można podziękowania, przedpłacicielom pokwitowania wraz z zaproszeniem na uroczystość jubileuszową i na nabożeństwo kościelne w Toruniu. — Poznań 3 Maja 1871. — Zarząd Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu.

Zasłużony nasz nakładca wielu dzieł prawdziwie użytecznych p. J. K. Zupański w Poznaniu, ogłasza następujący **Prospekt** do wyjść mającego dzieła, którego tytuł: **Panteon wiedzy ludzkiej, lub Pantologja, Encyklopedya wszech nauk i umiejętności, Propedeutyka powszechna i rozległy System Filozofii**, przez Bronisława F. Trentowskiego.

Europejska ostatnich czasów oświata, porodziła tak wielką mnogość nauk i umiejętności rozlicznych, iż jednemu człowiekowi ani siła, ani życie całe nie starczy, oddać się im wszystkim zarówno. Ztąd wypłynęło tak zwane fachowe wykształcenie, usposabiające gruntownie do pewnego zawodu, ale pogrążające w jednostronność i zarozumiałość duchową. Każdy niemal uczony dziś sądzi, iż tylko to, czemu się sam poświęcił, i co z miłością uprawia, jest umiejętnością rzetelną, reszta zaś nauk małą posiada cenę. Otóż, obok nieraz bardzo wysokiej i czcigodnej wiedzy szczegółowej, szkodliwy względem innych wiedz szczegółowych przesąd i gruba rozumu ciemnota.

Nie oddalą niedostatku tego Encyklopedye nauk, słownikowym ułożone sposobem. Znajdzie się w nich zaiscie objaśnienie każdej nauki, lecz oderwane od wszelakiego związku z naukami innemi. Nauki tu przedstawiają, iż tak rzekę, Ozyrysowe ciało, rozsiekane w drobne kawałki, które rozrzucano podług alfabetu. Czy każdy ma geniusz Izdy, pododający złożyć kawałki te napowrót, a otrzymaną z nich organiczną całość świeżym otchnąć żywotem?

Jedynie Encyklopedya, ofiarująca łańcuch nauk i umiejętności całkowity ze wszystkimi jego odrębnymi i szczegółowemi, lecz dzierzącymi się wciąż nawzajem ogniwami, oznaczyć może dokładnie istną wartość każdej z nauk i umiejętności, tudzież dać wyobrażenie o dzisiejszem wielkiem europejskiem świecie bogactwie. Jedynie filozoficzna nauk Encyklopedya podoła zaspokoić umysł wznioślejszy, któremu wewnętrzna myśli Jedność i organiczna Całość wszędy najgorętsze duszy wymaganie.

Taką Encyklopedya jest wydać się ninie mający Panteon. Od początku do końca wieje w nim jedna myśl Boża, tworząca świat i ludzkie jego, wypowiadające się w umiejętnościach przeświadczenie; myśl, która się rozwija i znowu zawija, rodząc bezprzestannie wielkie i małe oddziały, będące osobnemi naukami, a sprawujące razem wielki system wszechwiedzy człowieczeństwa i filozofii najrozleglejszego znaczenia. Dzisiejsza Zachodu oświata główny jego cel. Ale i prace polskie zostają w nim ocenione. Otrzymuje się zeń nie tylko należyte o wszelakięj nauce wyobrażenie, lecz zarazem i krótki jej wykład. Nauki zaś mało u nas uprawiane, lub zupełnie nowe, pozyskują nawet obszerniejsze przełożenia. I tak np. Humanistyka ze wszystkimi jej częściami, od Socyalistyki aż do historii, stanowi niemal cały tom drugi, a Teozofia, lub właściwa Filozofia, czyniąca o istocie Boga, o tantym świecie, o niebie i piekle, o żywocie wiekuistym, słowem, o rzeczach duszy narodowej nadzwyczaj drogich i świętych, a bliżej nieznanych, tom trzeci. Są także ciekawe osobliwości. I tak np. przy naukach Formy, Matematyce, Loice i Estetyce, jest rzadko komu dostępna Filozofia Matematyki rodaka naszego Hońce Wronńskiego podana w skróceniu.

Dzieło to z trzech grubych ksiąg złożone, a w jasnym i troskliwie poprawnym, od technicznych wyrazów o ile podobna uwolnionym, często

w pięknym i porywającym języku napisane, imię zaś jego autora, który pracował około niego przez lat wiele, oddawna narodowi znane.

Panteon wiedzy ludzkiej przyda się tym, co wybierają się do uniwersytetu, lecz jeszcze nie wiedzą, jaki wydział naukowy zgadza się najlepiej z duszy ich usposobieniem. Przyda się również tym, co byli już na uniwersytecie, bo podaje im związek nauk, którym się poświęcili, z naukami innymi, a jeżeli słuchali nauk za granicą, uczy ich rozmawiać i pisać o nich po polsku. Tym zaś, którym los nie dopuścił otrzymania przedniejszej nauki, zastąpi miejsce uniwersytetu i to narodowego. Także obywatelstwu naszemu i wszystkim, co szukają godnej czasu oświaty, będzie on pożyteczny. Duchowieństwo zobaczy w nim niejeden obraz teologicznych i moralnych ludzkości dążeń, które Pasterzom owczarni Bożej koniecznie mieć trzeba. Któż nareszcie by też li przez próżność, nie życzył sobie wszechstronnego wykształcenia? Dopomoże mu do tego niechybnie Panteon.

Oddawna czuło się takiego dzieła potrzebę. Nabywając je i ogłaszając na nie prenumeratę, spodziewamy się, iż czynimy nie małą narodowi przysługę. Również autor pisał je w skutek otrzymanego z kraju wezwania i zachęcenia.

Druk dzieła powyższego rozpocznie się niebawem, skoro podpisana księgarnia zbierze nań podpisów 300 osób.

Dzieło to wychodzić będzie poszytami 5-arkuszowymi w wielkiej ósemce co 15 dni po cenie 12½ sgr.

Ile arkuszy dzieło całe z trzech tomów złożone obejmie, nie da się dziś oznaczyć. Najwięcej 150 arkuszy, jak się zdaje, złożą całość trzy tomowa. Księgarnia nakładowa, gdyby więcej było arkuszy, obowiązuje się policzyć tylko 30 poszytów czyli 150 arkuszy.

Przy podpisie płaci się za pierwszy i drugi poszyt, przy odbiorze drugiego poszytu płaci się za trzeci i tak przy każdym następnym aż do ostatniego, za który, jako zapłacony, przy odbiorze pierwszego poszytu żadna się nie składa kwota.

Poznań, w lipcu 1872.

*Księgarnia J. K. Żupańskiego.*

**Towarzystwo etnograficzne francuzkie** w r. 1869 zawiązane, w r. 1870 ogłosiło dwa następujące konkursowe zadania: Jedno dotyczy etnograficznej bibliografii ludów słowiańskich, drugie początku i rozwoju polskiego narodu.

Na zadanie bibliograficzne żadna nie nadeszła odpowiedź, a jedna tylko rozprawa o początkach naszego narodu nadesłaną została. Ztąd Towarzystwo termin ostateczny odpowiedzi na pierwszą kwestyą do października b. r., na drugą zaś do tegoż miesiąca roku przyszłego odroczyło, wyjawiając życzenie, aby współubiegający się w ostatnim przedmiocie w pracy swojej zwrócili uwagę na „antropologiczne spostrzeżenia, dotyczące rasy polskiej, bez względu czy takowe drukiem ogłoszone były lub wcale nie okazały się na widowni publicznej,“ i aby praca ich zawierała „treściwy wykład prac nad gramatyką porównawczą języków słowiańskich w odniesieniu do polskiego.“ Stowarzyszenie etnograficzne pragnie, aby rozprawa ta zawierała „Studium nad dyalektami ludowemi języka polskiego i kartę do tego przedmiotu odnośną.“

**Towarzystwo Historyczno-literackie w Paryżu** 3 maja r. b. ogłosiło konkurs, mający na celu wyjaśnienie różnic pod względem dziejów, oświaty, zwyczajów, obyczajów społecznych, urzędzeń i dążności istniejących między Polską a innymi słowiańskimi ludami, jak niemniej podobieństwa cywilizacyi z cywilizacją Zachodu.

Pierwszą nagrodę za najlepsze historyczne dzieło, ogłoszone w czasie ubiegłym od ogłoszenia konkursu, Towarzystwo przysądziło Teodorowi Morawskiemu za jego sześć-tomową *Historję Polski*. Drugą nagrodę przyznano p. Bobrzyńskiemu za rozprawę z Krakowa nadesłaną o *Unii Lubelskiej*.

Wyszedł z druku **Katalog Muzeum narodowego w Rapperswyl**. Składa się z dwóch części, jedna poświęcona bibliotece, kartom jeograficznym i manuskryptom; druga starożytnościom i przedmiotom artystycznym. W pierwszej znajdują się bardzo cenne materiały do upowszechnienia wiadomości historycznych i etnograficznych o Polsce. Dokumenta liczą się na tysiące, rzucają nowe światło na różne epoki dziejów Polski, a mianowicie na jej stosunki z Rosją, Szwecją i Turcją. Numizmatyczne zbiory odznaczają się rzadkimi monetami i medalami; archeologiczne obejmują celtyckie i sławiańskie starożytności, znalezione w wykopaliskach Wielkopolski. Karty jeograficzne i etnograficzne uzupełniają materiały dziejowe.

Sala rycin posiada znakomite roboty Falcka, portrety sławnych mężów i t. d.

Bogaty katalog liczy 180 stronic, świadczy o wielkiej gorliwości, z jaką to przedsięwzięcie wykonaném zostało w tak krótkim przeciągu czasu, i o ogólnem współzuciu dla tego zakładu.

Katalog ogłoszony w języku polskim, francuzkim i niemieckim.

Redakcyja *Niwy* w Warszawie ogłosiła konkurs na temat: **O tego-czesnym u nas handlu zbożowym**. Warunki konkursu są następujące: Każda rozprawa winna być opatrzona dewizą wypisaną na zapieczętowanej kopercie, mieszczącej nazwisko i mieszkanie autora; tylko koperta autora rozprawy uznanéj za najlepszą zostanie rozpieczętowaną. Prace winny być nadesłane najdalej na dzień 1 Stycznia 1873 r. pod adresem *Niwy* (Nowy-Swiat Nr. 41). Autor najlepszej rozprawy, uznanéj za takową przez grono osób kompetentnych, otrzyma premium w ilości 120 rsr. (180 zł.), pozostając obok tego wyłącznym pracy swéj właścicielem, pierwszeństwo tylko nabycia służy Redakcyi. W razie zaś, gdyby autor rozprawy nie drukował jéj po upływie roku, prawo własności przechodzi na redakcyę *Niwy*.

Redakcyja *Przyrody i Przemysłu* w Warszawie ogłasza konkurs na rozprawę p. t. **Wpływ nieczystości miejskich na skład chemiczny wody wiślanéj, podczas nizkiego stanu rzeki**. Praca ta powinna być opartą przynajmniej na pięciu rozbiorach wody wiślanéj zacerpanéj z różnych miejsc, których szczegółowe wymienienia znaleźć można w ogłoszeniu *Przyrody i Przemysłu* (Nr. 14). Ważność zadania polega na praktycznych wnioskach rozprawy, które pozwolą ocenić, z jakich miejsc czerpana woda przedstawia najmniej zanieczyszczeń, i w jaki sposób możnaby usunąć a przynajmniej zmniejszyć szkodliwy ich wpływ wzrastający w skutek



wzrostu ludności. Rozprawy wraz z nazwiskami autorów w osobnej kopercie złożone być winny przed 1 Stycznia 1873 r. Honorarium wynosi rubli sr. 100.

P. Mścisław Godlewski, Mag. Pr. i Adm., tłumaczy znakomite dzieło Honnegera: **Historia literatury i kultury w XIX wieku**. Autor opiera historyografię na badaniu obyczajów, piśmiennictwa, domowego i społecznego życia ludów.

W Warszawie wyszło z druku studjum psycho-fizyologiczne Juliana Ochorowicza, p. t. **Duch i Mózg**. Dziełko to opatrzone jest drzeworytem odbitym na osobnej karcie a wyobrażającym anatomiczne stosunki nerwów i organów mózgowych.

Treść dziełka stanowią następujące rozdziały: I. O materyalnem siedlisku władz ducha w człowieku. II. Rozmieszczenie pojedynczych władz w różnych ośrodkach nerwowych. III. Władze mózgowia. IV. Sprawy duchowe i fizyczne własności mózgu. V. Myśli i komórki.

W Warszawie zawiązuje się oddzielny wydział **Statystyki dla Królestwa Polskiego**. Materyały do statystyki przestępstw zbiera p. Mścisław Godlewski.

Tadeusz Korzon tłumaczy z angielskiego oryginału dzieło Drepera p. n. **Historia umysłowego rozwoju**.

Magister nauk przyrodzonych p. Holewiński, otrzymał zezwolenie władzy na wydawanie w Warszawie czasopisma dwutygodniowego pod cenzurą przewencyjną, mającego nosić tytuł: **Piwowarstwo, gorzelnictwo, cukrownictwo, dwutygodnik specjalny**.

Od 15 Maja zaczęła wychodzić w Warszawie **Encyklopedia ogólna wiedzy ludzkiej**, nakładem i drukiem Józefa Ungra, pod kierownictwem redakcyi *Tygodnika Ilustrowanego i Wędrowca*. Dotąd wyszło 5 zeszytów. Całe dzieło wyjdzie w 8 tomach, 240 arkuszy druku i ma być ukończono w ciągu lat dwóch.

Jednocześnie pp. Orgelbrandowie też w Warszawie, przedsięwzięli wydawnictwo **mniejszej Encyklopedyi powszechnej** S. Orgelbranda, w 8 tylko tomach. Cieszyć się można z téj nowej publikacyi, szczególnie jeżeli radakcyja będzie miała na względzie sprostowanie niektórych zbroczeń, jakie mimowoli wcisnęły się do 28-tomowej Encyklopedyi, oraz dopełnienie wiadomościami które tam nie znalazły miejsca, głównie zaś pod względem historycznym, geograficznym i archeologicznym. Zgadzaamy się z wydawcami, że dzieło ś. p. S. Orgelbranda pomnikowe i ze wszech miar na tę nazwę zasługuje; ale właśnie że pomnikowe — mamy prawo wymagać od niego zupełnej pełności. Opuszczenia więc i sprostowania niezbędne z łatwością dziś dadzą się uzupełnić w *mniejszej Encyklopedyi*, co jeszcze więcej przyczynić się może do wziętości pomnikowej pracy.

P. Stefan Muczkowski w Krakowie zamierza wydać pozostające w rękopiśmie prace literackie ojca swego **Józefa Muczkowskiego**, niegdys Bibliotekarza i Profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zapowiedziane przez nas w II tomie, I i II tomy **Dziejów Długoszowych**, które miały opuścić prasę jeszcze w czerwcu — dotąd nie wyszły. Jakoby indeksa jeszcze nieskończone. Nie widzimy też i dalszych zeszytów **Wzorów Sztuki Średniowiecznej**.

Księgarnia Polska we Lwowie (p. A. Bartoszewicza) przedsięwzięła wydanie w polskim przekładzie znakomitego dzieła Schlossera: **Dzieje powszechne**, obejmujące przeszło 600 arkuszy druku. Cały czysty dochód z tego wydawnictwa p. Bartoszewicz przeznaczył na szkoły ludowe.

**Co Bóg dał**, pismo zbiorowe, wydane w Kijowie przez Ejsmonta, zawiera następujące prace: W. Koronowicza: „Bajron sceptyk, kosmopolita i zwiastun socjalizmu;“ J. Kotkowskiego: „Przedmiot, znaczenie i cel nauki geografii;“ A. Nowosielskiego: „O materializmie w nauce i w życiu“ i „Miłosierdzie, strona czynna potęgi miłości;“ T. hr. M.: „Rodzina“ i „Krótkie studia nad poetą niemieckim Henrykiem Heine;“ A. Pługa: „Z legendy wieków Wiktora Hugo;“ Benedykta Dołęgi: „Obrazek genialnego oficjalisty;“ A. Grozy: „Mysza wieża;“ L. Kozłowskiego: „Bojar Orcza,“ powieść Lermontowa; Z. Newlińskiego: „Kto z Bogiem“ i „Pożegnanie,“ wiersze; Emilii Ejsmont: „Dobry uczynek,“ powieść; Ejsmonta: „Nierząd i praca, studjum literackie i t. d.“

Z dniem 1 Lipca przestała wychodzić założona przed kwartałem w Poznaniu zbiorowemi siłami kilkuset akcyonaryuszów **Gazeta Wielkopolska**. Pismo to miało przeszło tysiąc abonentów, a więc istnieć mogło. Przyczynę zaś zamknięcia pisma podaje Redakcja w ostatnim numerze w ten sposób: „Unikając skrajnych dążeń, szczególnie w sprawie śremskiej o Jezuitów, a występując w obronie zasady większości i solidarności naszego społeczeństwa, mianowicie zaś koła poselskiego, zniechęciliśmy małą, ale czynną część akcyonaryuszów, którzy bądź co bądź postanowili *Gazetę Wielkopolską* przytłumić i swego dopieł.“

W Kijowie drukuje się obecnie w litografii Zawadzkiego dzieło treści naukowej p. t. **Androna**, przez Franciszka Olechnowicza. — Wkrótce także pójdzie pod prasę: **Odgłos w Polesiu**, zbiorek prac Ejsmonta.

Od r. 1845 w Rosyi zaczęły wychodzić **Pamiętniki roczne gubernjalne**, redagowane przez komitety statystyczne. Zawierają one zwykłe spisy urzędników gubernii, wiadomości informacyjne, a niekiedy wiadomości historyczne, statystyczne, czasami nawet archeologiczne i etnograficzne. W tym rodzaju u nas Jezuitci wydawali swoje Kalendarzyki polityczne, co też i po ich wydaleniu przez wiele lat przedłużał Uniwersytet Wileński. Trzeba przyznać, że, gdyby każdy dotychczasowy komitet podawał co roku o ile być może najwierniejsze dane statystyczne, nauka odniosłaby ztąd wielką korzyść. Dopiero i w niektórych guberniach Królestwa Polskiego przedsięwzięto wydawnictwo podobnych Pamiętników.

Mamy właśnie przed sobą **Pamiętnik gubernii Suwałskiej** na rok 1872, w języku rosyjskim, opatrzony mapą gubernii i czterema widokami (Suwałek, zamku Surpiły, jeziora Wigry z kościołem i ruin zamku Dowspuda). Wydanie bardzo ozdobne. Mapa dokładna, ale fotografowana, co jest wielką niedogodnością, gdyż bez lupy nie sposób jest co na niej wyszukać. Pamiętnik dzieli się na dwie części: w pierwszej kalendarz i lista urzędników gubernii; w drugiej zaś zarysy statystyczne, opisanie starożytności miejscowych; osobny dział stanowią rozmaite wiadomości informacyjne. Opracowanie całego dzieła nader sumienne, sąd zawsze bezstronny.

Gubernia Suwałska jest to piękny zakątek Litwy, tak zwany kraj Zapuszczański, w odległej starożytności zasiedlony przez Jadzwingów, którzy częścią wytepieni przez Krzyżaków, częścią zleli się z jednoplemienną Litwą. Za czasów Polski stanowiła część Podlasia, a po ostatnim rozbiore dostała się Prusom. W r. zaś 1816 w skutek traktatu Tyłżyckiego, ta część Podlasia stanowiła osobne województwo przyłączone do królestwa Polskiego, od roku 1837 przekształcone w Augustowską gubernię, która dopiero w roku 1866 podzieloną została na dwie gubernie: Suwałską i Łomżyńską. Litwini zajmują wyłącznie powiaty: Władysławowski, Maryampolski, Wołkowyszki, Kalwaryjski i część Sejnieńskiego; w innych dwóch powiatach, Suwałskim i Augustowskim, mieszkają Polacy; nadto są tu Rosyanie jeszcze w wieku XVI przesiedleni, Tatarzy przesiedleni za czasów Witolda w wieku XV, Żydzi, Cyganie. W ostatnich dwóch powiatach są osady Kurpiów, o których autor podaje bardzo ciekawe szczegóły, a przedstawia ich jako ludzi moralnych, pracowitych i co najważniejsza, nader wstrzemięzliwych w napojach. Kurpiowie i do dziś dnia nie rzekają się z bronią.

Rosyanie (Starowiercy), jak już powiedzieliśmy, osiedlili się tu w wieku XVI, jak sami o sobie twierdzą, opierając się na posiadanych przez siebie egzemplarzach „Apostoła“ drukowanego we Lwowie w roku 1574, układu Fedorowicza, wydanego kosztem hetmana Litewskiego Grzegorza Chodkiewicza. W tym tedy „Apostole“ właśnie jest wzmianka o tem, że Chodkiewicz przyjął Starowierców i osiedlił w swoich dobrach. Litwinów zamieszkałych w gubernii Suwałskiej liczy autor 230,000, Polaków 156,420, Rosyan 23,566, Żydów 87,839. Ogólna ludność wynosi 532,372. Liczba rodzących się przewyższa liczbę umierających rocznie o 6,659. Na 18,714 głów rodzących się, tylko 412 nieprawego łoża.

Dobrze i na zasadach obecnego stanowiska nauki opracowany dział ekonomiczny i gospodarski, chociaż za krótki i z wielu względów niewyczerpujący. Wielkie tu jeszcze bogactwo leśne. Liczą tu 270,320 dziesięcin lasu, czyli 53 kwadr. mile, co wynosi  $\frac{1}{4}$  część całej przestrzni, wynoszącej 227 mil kwadr. rosyjskich, czyli austriackich 224  $\frac{1}{4}$ . Żadna z gubernii królestwa Polskiego nie obfituje tak w jeziora, rzeki i rzeczki. Ogólna przestrzeń zalana wodą wynosi  $\frac{1}{7}$  części ogólnej powierzchni, to jest 32 mile. Nic więc dziwnego, że tu ryby i grzyby obfitują i stanowią ważny przedmiot przemysłu. Największe jezioro Wigry, w kształcie litery S, długość jego wynosi 2  $\frac{1}{2}$  mile, a szerokość pół mili. Na wyspie tego jeziora był niedgdyś klasztor Kamedułów.

Niemniej ciekawy jest dział zabytków starożytnych. Tak np. Surpiły, jedno z najstarożytniejszych grodzisk litewskich, ruiny klasztoru Kamedułów w Wigrach, założonego na początku wieku XIV, a najciekawsze szczególnie

o wspaniałym zamku Dowspuda. Była to własność Eustachego Wołowicza, kanclerza w. ks. lit., kasztelana wileńskiego (w Pamiętniku str. 112 mylnie nazwano go wice-kanclerzem), a następnie Paców, z których Ludwik Pac, generał, założył ten zamek w pięknym gotyckim stylu, w kształcie litery T. Gmach to był niezmierny, ze wspaniałą kaplicą, galeriami, pawilonem, cieplarnią ozdobioną malowaniami na ścianach, kapielą i t. d. Była tu bogata biblioteka, galeria obrazów. Kilkanaście lekkich, wzorzystych i iglastych wieżyc wieńczyło ten gmach wspaniały. Zamek był otoczony parkiem, wśród którego przebiegała rzeka Rospuda. Po r. 1831 Dowspud dostał się jako majorat generałowi Sulimie, który część zamku zniszczył i sprzedał żydom jako materyał, tak że dziś już sam rząd zajął się ocaleniem tego pięknego zabytku od dalszego zniszczenia, przeznaczając osobnych dozorców. Z malowideł, które zdobiły pałac, ocalał jeden tylko duży obraz wyobrażający zwycięstwo Jagiełły i Witolda pod Grunwaldem. Na zewnątrz we framugach stoja jeszcze posągi królów polskich.

W ogóle Pamiętnik Suwałski na rok 1872 jest nader pożądanym nabytkiem, a wielki to zaszczyt przynosi p. Hołowninowi, gubernatorowi suwałskiemu, że pod jego zarządem, a zapewne i kierownictwem wydaniem zostało tak użyteczne, bezstronnie i sumiennie ułożone dzieło. — Cieszylibyśmy się, gdybyśmy mogli wrócić jeszcze do takiegoż Pamiętnika na rok 1873.

Staraniem Palackiego wyszły **Przyczynki do dziejów czeskich** (Dział I) — Zawierają 12 legend cyrylo-metodyjskich, z tych jedną grecką w tłumaczeniu Nowotnego, dwie łacińskie i siedm starosłowiańskich — pannońska, bułgarska, wołoska, morawska itd. Nadto nader ciekawe są podania o ś. Ludmile i o ś. Wacławie, w przekładzie Kollara, Zubka i Truchlarza. Tych podań jest także 12 — najstarsze Gumpoldowa i Chrystyanowa, najnowsze starosłowiańskie.

Dr. B. Dudik wydał w Pradze po czesku **Dzieje Morawy**.

W Czechach wychodzi obecnie **pism czasowych** 110, w Morawie 15.

**Panteon słowiański** w języku czeskim pod tytułem „Slavir“ wychodzi obecnie w Pradze zeszytami, nakładem pana F. Bartel. — Pierwszy zeszyt zawiera krótkie biografie dr. Franciszka Palackiego, K. Hawliczka, Jungmanna i Karola Scretza. Do każdej biografii dołączony jest portret opisanego męża.

W Pradze wychodzi drugie poprawne wydanie znakomitej historii Franciszka Palackiego: **Dzieje narodu czeskiego**. Wyszedł już zeszyt 34 i zawiera epokę hussycką do r. 1439.

Słowackie pismo humorystyczne p. t.: **Jeż i baba** z miesięcznego przeistoczyło się w tygodniowe i ma znaczne powodzenie.

W Pradze zaczęło wychodzić nowe czasopismo w języku rosyjskim i czeskim p. t. **Słowiańskij Mir** (świat), ale wyszło tylko sześć numerów, siódmy wyszedł we Lwowie tylko w rosyjskim języku.

**W. R. S. Ralston** wydał zbiór pieśni rosyjskich p. t. „The Songs of the Russian People, as illustrative of Slavonic Mythology and Russian Social Life.“ — Zwiedziwszy Rosyę dwukrotnie, wywiózł autor wiele ciekawych szczegółów pod względem etnograficznym. Zapatrywania się jego są nader przychylnie dla ludu rosyjskiego. Dzieło to składa się z następujących rozdziałów: Opis tańców i rozmaitych pieśni ludowych; Mytologia słowiańska i niektóre bajki; Rytuały, pieśni mytyczne, ślubne i żałobne; O czarach ludowych.

Pan Ralston zapowiada jeszcze dwa tomy, w których zamierza traktować o powieściach ludowych i o epejach rosyjskich.

**Tygodnik Wielkopolski** rozpoczął druk nader ważnej pracy p. Alfreda Szczepańskiego: „Szkoły i wychowanie w Polsce, przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów.“ — W dalszym ciągu drukuje się powieść Bałuckiego: „Siostrzenica księdza proboszcza.“ oraz „Ojczym“ Narzymskiego. Często spotykamy tu artykuły z dziedziny nauk przyrodzonych, jak np. „Z przyrody“ i kilka innych.— P. Leopold Winkler podał ciekawy artykuł „o publicznej i literackiej działalności Józefa Korzeniowskiego.“ Wiele tu nader zajmujących i ważnych szczegółów, a ocena Korzeniowskiego, jako znakomitego pisarza, zawsze wierna i umiejętna. Wszakże ci, co z blizka znali Korzeniowskiego, a przez lat wiele zostawali z nim w codziennych najbliższych pokrewnych i przyjacielskich stosunkach, twierdzą, że niektóre fakta niewiernie opowiedziane. Godziłoby się przeto, żeby chcieli sprostować te uchybienia, pamiętając, że to pierwsza bardziej wyczerpująca praca o Korzeniowskim.— W ogóle *Tygodnik Wielkopolski* dobrze redagowany i pod każdym względem nader użyteczny. Od niejakiego czasu postrzegamy tu kierunek *narodowo-słowiański*. Szkoda, że redakcja częściej i śmiałej nie wypowiada swoich przekonań. Do celniejszych artykułów znanomujących ten kierunek zaliczamy sprawozdanie o dziełku członka Rady Stanu „Polska i Rosja“; o „Prawdzie“ Jana Grzegorzewskiego (N. 24); artykuł p. t. „Niemcy w Rosji“; ciekawy a sumienny artykuł p. t. „Korzeniowski w obec krytyki paryskiej“ (N. 26). Są tu trafne uwagi nad krytyką p. Klaczki spisane równo z pojawieniem się jej w „Wiadomościach Polskich“ na rok 1857 (z powodu romansu „Krewni“), skreślone przez jednego z najznakomitszych i najzasłużeńszych obywateli księstwa Poznańskiego.— Cześć mu za to!

**Świt** (ostatni Nr. 24). — Znajdujemy tu obszerną rozprawę Henryka Schmitta o ks. Hugonie Kołłątaju. Pan Schmitt jeszcze przed dwunastą laty ogłosił rozprawę o Kołłątaju. Dzisiejsza wzbogaconą została wielu nowymi materiałami. Spowodowało tę nową pracę wydanie listów Kołłątaja, o których mówiliśmy wyżej. Autor nie zaprzecza bynajmniej istocie faktu co do należenia do Targowicy, ale wychodząc z zadania, że każdego człowieka publicznego należy oceniać z czynności całego życia, a nie z jednego pojedynczego kroku lub czynu, stara się go obronić podając główne fakta całego życia i wykazując niezaprzeczenie wielkie zasługi Kołłątaja dla kraju, uwzględniając wedle możności główny zarzut. Wreszcie p. Schmitt najzupełniej uznaje ważność wydania listów Kołłątaja, jako nieznanych dotąd

materyałów, mogących się przyczynić do rozjaśnienia téj smutnej epok dziejów naszych. Rozprawa ta jeszcze nie skończona.

Z belletrystyki najpiękniejszą ozdobą „Świt“ jest „Kalejdoskop — obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa.“ Ale nie „Świt“ tylko, lecz w ogóle piśmiennictwa naszego jest on prawdziwą ozdobą. Są to wspomnienia z życia i przygód czcigodnego autora, a przygód tych było niemało. Należąc do jednej ze znakomitych rodzin polskich, spokrewniony z wielu historycznymi domami, wspomnienia jego młodociane mają w sobie coś nadzwyczaj pociągającego i udatnego. Kalejdoskop mieści téż niejedną kartę mogącą posłużyć do wyjaśnienia historycznych wypadków pierwszej połowy bieżącego stulecia. Mamy tu przeszliczny obrazek z wojny hiszpańskiej, dziwnie tylko jakoś urwany, nieskończony, tak że czytelnik nie wie nawet, co się stało z głównym bohaterem Silwą, Hiszpanem, którego losy niewiadomo jakim sposobem przeniosły z Hiszpanii do Odessy, gdzie go poznał autor. Wielką mają wartość wspomnienia autora z wypadków roku 1824 i 1825, a ileżto rzeczy zupełnie nowych, dotąd nigdzie nie ogłoszonych.

Każdy numer „Świt“ dowodnie przekonywa o staranności redakcyi i jeżeli tylko publiczność podtrzyma to pismo, na co ono najzupełniej zasługuje, można mu śmiało rokować świetną przyszłość.

**Strzecha** drukuje dalszy ciąg powieści „Boża opieka“ Kraszewskiego. W numerze 6 skończona powieść W. Skiby „Nieszczęśliwa“.

**W Szkole** (Tygodnik pedagogiczny, organ Towarzystwa Pedagogicznego, wychodzący we Lwowie) wśród wielu nader pożądaných w dziedzinie pedagogii artykułów, napotykamy dobrze opracowany artykuł pana R. S. „O stanowisku nauki zarządu domowego w szkołach żeńskich“ („przyczynek do sprawy wychowania kobiet“). Cel artykułu, wykazać, że przeobrażenie naszych stosunków socyalnych wymaga gruntownej reformy wychowania płci żeńskiej. — Od czasu do czasu postrzegać się daje chwalebny zwrot do zdrowszych pojęć o wychowaniu kobiet. — Nie łatwa to rzecz walczyć z przesadami, wszakże widzimy, że jest na dobie i jest możliwą. Dr. Baraniecki w Krakowie, ten zacny, a godny najwyższego uwielbienia pracownik, z taką miłością poświęcający się dla dobra ogółu, daje nam przykład, jak wiele można zrobić dobrego nawet przy małych środkach. Odczyty w jego muzeum dla kobiet, chociaż dotąd jeszcze nie tak licznie jakby się tego spodziewać należało uczęszczane, przynoszą już owoce, a niezawodnie znajdują ogólne uznanie. Śmiało możemy rokować, że niedaleki czas, kiedy sala muzeum będzie przepelnioną słuchaczami na każdym odczycie.

Życzycby należało, ażeby „Szkoła“ częściej podawała nam artykuły w kwestyi wychowania kobiet.

**Biblioteka Warszawska** za miesiąc lipiec r. b. zamieściła rozprawę Kazimierza Rómera p. t. „Podanie o Kraku i Wandzie“ na podstawie zestawień kronikarskich i wywodów etymologicznych.

Rzecz to, powiada „Opiekun Domowy“, pisana naukowo i zajmująca zarazem, a przymiot taki każe nam bliżej dać poznać czytelnikom naszym poszukiwania i wnioski p. Rómera. Co do Kraka czyli Krakusa, nic stanowczego nie mógł autor powiedzieć; skonstatował więc tylko wielkie podobieństwo pomiędzy wszystkimi główniejzemi o nim podaniami; dalej obfitość

nazw miejscowości, pochodzących od tego źródłosłowu, tak w krainie podkarpackiej jak i w innych np. u Kroatów, Czechów i Pomorzan; źródłosłów sam zestawia z wyrazami krakać, kruk, greckiem kracho i t. p. Poprawiając brzmienie nazwy Wawel na Wąwel, przypominając Wąwelno, Wąwelnicę i zbliżając do tych imion wyraz bąbel; wreszcie biorąc pod uwagę mogiłę Krakusa, o której najdawniejszą wzmiankę napotykaemy u Jana Dąbrówki około roku 1440, domyśla się, że święto ludowe „Rękawki“ obchodzone w trzeci dzień Wielkiej Nocy, musi być w związku z podaniem o Kraku. — Są to jednak domysły, nie związane w jedną hipotezę, któraby na całość jasne światło rzucała i owe szczegóły w zupełności tłumaczyła. — Naszém zdaniem podanie o Krakusie potrzebaby porównać ze wszystkimi jemu podobnemi, w których bohater występuje jako wytopiciel zwierząt szkodliwych, np. z Herkulesem, Tezeuszem, Sygurdem i t. d. sięgając do Hindusów i rozjaśniając badania poglądem na tradycje ludów nam współczesnych. Nie nasza rzecz krytkować wywody p. Römera; zrobimy więc tylko uwagę, że zestawienie „Rękawki“ z „Dziadami“ na Litwie obchodzonemi, jest co najmniej niewłaściwe, gdyż znaczny przeciąg czasu dwie te uroczystości ludowe przedziela; pierwszą bowiem obchodzi się około Wielkiej Nocy, a drugą około Wszystkich Świętych.

W podaniu o Wandzie wykazuje autor kronikarską ustawę do tekstu Kadłubka, dalej śmierć jej dobrowolną w nurtach Wisły, wymyśloną dopiero przez Boguchwałę; podnosi nakoniec tę okoliczność, że Wisła podług podania kronikarzy miała się nazywać Wandulus, a cały naród Wandalami. Jest to błąd bardzo rozpowszechniony w średnich wiekach, że Polaków identyfikowano z Wandalami, co poszło może głównie z téj przyczyny, iż Niemcy wszystkich Słowian zachodnich zwali Wandalami; podobieństwo brzmienia i nieznanomość geografii złożyły się na utworzenie fałszywego umiemia. Pomimo to faktem jest, stwierdzonym świadectwami nie z jednego źródła, że Wisłę nazywano Wandalem. — Pan Rómer robi uwagę, że nazwy rzek u wszystkich prawie narodów oznaczają wodę, i przytacza na to przykłady; wyraz więc Wanda porównywa z litewskim Wandū, łacińskim unda, co wszystko wodę oznacza. Dalej przypomina święto zwane „Kupało“ (nasze Sobótki), obchodzone w wilię ś. Jana, i okoliczność, że w kalendarzach słowiańskich Wandę znajdujemy pod dniem 23 czerwca. Ztąd wyprowadza wniosek, że Wanda było nazwiskiem obrzędowém Wisły, że więc jest zażytkiem religii pogańskiej, że jest poprostu mitem, t. j. podaniem sprowadzającym bóstwa na ziemię. Zdaje się rzeczą prawdopodobną, że tak jest w rzeczy samej. Posuniemy się nawet dalej, utrzymując, że i podanie o Kraku do tego rodzaju mitów policzyć należy. Kościół, starając się wykorzenić obrzędy pogańskie, a przynajmniej spożytkować je na rzecz dogmatów własnych, u kopca Kraka postawił kościółek ś. Benedykta, a u mogiły Wandy założył opactwo Cystersów, wybierając na uroczystość poświęcenia nowego kościoła dzień obrzędowy pogański, dzień ś. Jana Chrzciciela. Łatwo się tu dopatrzeć analogii.

W tymże zeszycie „Biblioteki“ czytamy artykuł p. Pawińskiego, do-wodzący na podstawie „Notatek kupca krakowskiego w podróży do Flan-dryi“ i innych świadectw dziejowych, że handel nasz w piętnastym wieku rozciągał się w zachodnim kierunku do Greifswaldu, Szczecina i Wiednia, więc do ujścia Odry i środkowego Dunaju, nie mówiąc już nic o Toruniu i Gdańsku; dalej że Mikołaj Kurowski, arcybiskup gnieźnieński (1402 — 11),

co zebrał ogromne skarby w złocie, srebrze, klejnotach, zamkach, wsiach i folwarkach, wysyłał ciągle statki do Flandryi z mięsiwem i zbożem, że kupcy nasi bezpośrednio zdążali na targ w Brugge, dokąd w wiekach średnich ze wszech stron Europy ściągali handlujący z Francyi, Niemiec i Włoch. Przedmiot wywozowego handlu Polski stanowiły: wosk, miedź, ołów, wełniane i lniane wyroby i skórki z Węgier sprowadzane. Z jednej notatki wypada, że ogólna wartość wywiezionego z Krakowa towaru na jeden raz wynosiła 10,264 rsr. 40 kop. (68,562 złp.). Tak było w XV wieku (Op. Dom.).

Ostatnie zeszyty **Przeglądu Polskiego** mieszczą dobrze opracowany a co do treści nader ważny artykuł p. t. „Stosunki Stolicy Apostolskiej z Iwanem Groźnym,” przez dr. W. Zakrzewskiego.

Niedawno wydany zeszyt IV **Bibliografii polskiej XIX wieku**, przez K. Estreichera, zamyka tom pierwszy tego pomnikowego dzieła. Mamy tedy dokładny spis dzieł polskich od A—E włącznie.

Tom ten zawiera 1820 katalogów, 310 wydawców i księgarzy, 4000 utworów scenicznych, 1900 autorów dramatycznych, 1400 czasopism, 9870 dzieł rozmaitych, 2870 autorów.

Dotąd, jak widzimy z listy prenumeratorów, zaledwo 137 osób zaprenumerowało 217 egzemplarzy, a mianowicie: w królestwie Polskiem 108, w Krakowie 37, w całej Galicyi 35, w Poznańskiem 13, za granicą 14; 13 osób popierało znaczniejszymi zasiłkami wydawnictwo.

Wyszło nareszcie sprawozdanie ś. p. Aleksandra Przeździeckiego o **Kamionach Mikorzyńskich**, odczytane na posiedzeniu Komisji Runograficznej, delegowanej przez oddział Archeologii i sztuk pięknych Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, dnia 13 Stycznia 1870 r.

Mówiliśmy już (w tomie II, str. 339), że p. Małecki we Lwowie i Estreicher w Krakowie, na odczytach publicznych zrobili zarzut względem autentyczności kamieni Mikorzyńskich.

Obecnie p. Estreicher drukuje rozprawę swoją „O języku i historii pisma“ w *Przeglądzie Polskim*, więc i o runach na kamieniach Mikorzyńskich.

Wiemy też, że głęboki znawca rzeczy słowiańskich p. Bodouin de Courtené nadesłał do Komisji Runograficznej swoją rozprawę o tych kamieniach, a treść rozprawy ma stwierdzać wątpliwości pp. Małeckiego i Estreichera.

Słyszeliśmy, że i J. I. Kraszewski nadesłał także swoją opinię w sprawie tychże kamieni, uważając tę rzecz nierozstrzygniętą jeszcze.

W sprawozdaniu swoim ś. p. Przeździecki dowiódł raz jeszcze jak był zawsze sumiennym i pracowitym kiedy szło o wyjaśnienie kwestyi naukowej. Mamy tu bardzo dokładny wywód o nazwie *Prowe*. Hilferding bowiem, Jungman i Hanusch, a następnie Estreicher dowodzili, że w Kronice Helmolda mylnie wydrukowano *Prowe* zamiast *Prone*, która to nazwa nie jest słowiańska, ale przekręcona przez Niemców z nazwy *Peruna*. Przeździecki dla przekonania się na miejscu, jeździł aż do Kopenhagi, gdzie przejrzał rękopis pergaminowy Kroniki Helmolda i znalazł wyraźnie *Prove*, a nie *Prone*. Rękopis ten pisany na początku XIV wieku. Tak samo i w drukowanych egzemplarzach z lat 1565, 1581, 1659 i 1702 wszędzie znalazł *Prove*. Przytacza następnie kroniki proboszcza Suselskiego



z wieku XV, gdzie też było *Prowe*, a dopiero w późniejszych wydaniach zamieniono na *Prone*, oraz kronikę Bothona z r. 1492, gdzie już wyraźnie mowa o *Prone*.

Kwestya więc co do *Prowe*, czy *Prone* może być uważaną za rozstrzygniętą (§ 3 zarzuty Estreichera). Ale inne zarzuty Estreichera i Małeckiego, a najgłówniej co do autentyczności kamieni Mikorzyńskich, pozostają zawsze niezbite; owszem, przy głębszém zastanowieniu się rodzą się nowe podejrzenia i wątpliwości.

Dziś, mając już ogłoszoną rozprawę Przeździeckiego, mając uwagi takich znawców jak Kraszewski i Bodouin, łatwiej jest zawyrokować o ile są uzasadnione zarzuty Małeckiego i Estreichera.

Ale oto podnosimy tu jeszcze jedną okoliczność na którą dotąd nie zwrócono uwagi, a która zdaniem naszem rzuca nowe światło na cały przebieg téj sprawy, i zamiast rozjaśnić jeszcze większe rodzi podejrzenia.

Właśnie Prof. Łepkowski zwrócił naszą uwagę, że przysposabiając do druku inną pracę hr. Przeździeckiego (Wykaz wykopalisk na ziemiach polskich), znalazł wzmiankę, że w Zduńskiej Woli odkryto jakąś rzeźbę z mniemanymi napisami; dodał też Przeździecki w nocie, że wzmianka o tem była w nr. 87 r. 1856 *Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych*. Znaleźliśmy u p. Łepkowskiego i tę Kronikę z r. 1856. Jakoż rzeczywiście, pismo to Warszawskie z dnia 23 Czerwca ogłasza:

„Że Dr. Kabl.... praktykujący lekarz w Zduńskiej Woli, w powiecie Sieradzkim, doniósł Kazimierzowi Szulcowi o świeżo odkrytej rzeźbie bożka *Prowego* z ruńskim podpisem, w okolicach Zduńskiej Woli. Jest to nader ważne naukowe odkrycie bardzo uderzające, ile że prawie spólczesne z odkryciem Światowida (Światowita) w Zbruczu...“ „Rzecz nabiera znaczenia większego przez to, że runy te odczytał nie Kabl... ale Lelewel, któremu zaraz listownie doniesiono o tem odkryciu; napis brzmi według tego ojca archeologów: *Prowe Smir Kmet*. *Prowe* ten trzyma w jednej ręce do góry wierzchołkiem obrócony trójkąt, w środku którego jest wryta jedna z głosek glagolickich.“

Nadto znaleźliśmy w Roczniku Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu (I, 610) między darami „X. Wyderkowskiego z Mankowska kamień 8-boczny z runicznym napisem, znaleziony w Gościeradzu pod Bydgoszczą.“

Dr. Kabl... doniósł o owym *Prowe* z Zduńskiej Woli p. Szulcowi, a *Kronika Warszawska* dodała, że pan Szulc podał bliższe szczegóły w drukującej się rozprawie o bałwochwalstwie słowiańskim. Rozprawa p. Szulca p. t. „O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych“ wyszła w r. 1857. Na str. 63 szanowny a głęboki badacz starożytności słowiańskich, mówi o bóstwie *Prowe*, ale nie wspomina nawet nie tylko o *Prowe* z Zduńskiej Woli, lecz i o Mikorzyńskim kamieniu, chociaż dzieło jego wyszło w rok po znalezieniu kamienia z Zduńskiej Woli i dwa lata po odkryciu Mikorzyńskiego kamienia. Owszem, opierając się na Helmoldzie, twierdzi: że „takiemu bóstwu czysto duchowemu i duchowo pojętemu nie wolno było stawiać posągów i świątyń, zmysłowa cześć mogłaby skrzywić pojęcie jego (*Prowe*) istoty.“

Zadziwia nas, jak lekko i ogólnikowo traktowano w początkach kwestye wyalezenia tych kamieni, jak mało zwracano uwagi na stwierdzenie samego faktu, t. j. ich autentyczności.

W jesieni 1855 r. Piotr Droszewski znajduje pierwszy kamień Mikończyński z *Prowe*, o czym podaje wiadomości 10 Czerwca 1856 r. w nr. 158 *Gazety W. ks. Poznańskiego*.

W końcu Sierpnia 1856 r. tenże Piotr Droszewski znajduje drugi kamień z konikiem. (Sprawozdanie Przeździeckiego str. 23).

P. Feliks Wężyk w liście do p. Rogawskiego z Mroczenia 20 stycznia 1858 r., podaje już inne daty znalezienia tych kamieni, a mianowicie, że *Prowe* wykopany na wiosnę 1856, a konik na wiosnę 1857(??). A mógł przecie p. Wężyk wiedzieć dokładnie, gdyż te kamienie czasowo u niego złożone były, później już przewiezione w r. 1858 do muzeum Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu i następnie na wystawę starożytniczą w Krakowie, w jesieni tegoż 1858 r.

W r. 1857 p. Józef Przyborowski ogłasza list Lelewela w trzecim wydaniu dzieła *Cześć bohaterów Słowian i Polski* (str. 80) o *Prowe*; ależ i tu najmniejszej wzmianki o bożku z Zduńskiej Woli nie ma. Godne jest uwagi, że Lelewel w liście do p. J. K. Zupańskiego z dnia 17 lipca 1856 (ob. Sprawozd. Przeźdz., str. 19) powiada: „Tymczasem trzeba nam wierzyć na słowo Droszewskiego, jeżeli nikt go nie zawiódł.“ I dalej: „Życzę jaknajpomyślniejszego sukcesu, ale razem należytej ostrożności w aszć, abyście się nie stali zabawką figla świeżo lub dawno obmyślanego.“ Sam Przyborowski pisząc do Lelewela o tem wykopalisku, robił zapytanie: „Czy w ogóle pomniki te dwa są autentyczne?“ Za co powstaje na niego Dr. Cybulski („Obecny stan nauki o runach słowiańskich, 1860“), który najzupełniej wierzy w autentyczność kamieni.

P. J. Białecki (Spraw. Przeź., 27) opowiada tylko fakta słyszane, i dodaje „że mnsiał ten kamień (*Prowe*) gdzieindziej leżeć.“ W nocie zaś mówi: że „p. Piotr Droszewski drugi kamień sam znalazł między zwozonymi na fundamenta nowego spichlerze, a **jakiś** (??) mieszkaniec Mikończyński wskazał miejsce wykopania kamienia z konikiem, pod konarami ogromnego jakiegoś (?) dębu w brzozowym lasku na wydnie piaskowej nad łąką.“

Widzimy więc, że ani Lelewel, ani Przyborowski, ani nawet Białecki, zgoła nie udowadniali autentyczności kamieni Mikończyńskich; pan Szulc milczał, a bronił autentyczności jeden tylko p. Cybulski. Jemu też i uwierzyło Tow. Przyjaciół nauk Poznańskie i Krakowskie Towarz. naukowe. A jednak ani pp. Cybulski, ani Szulc, nie wspominają wcale o *Prowe* znalezionym w okolicach Zduńskiej Woli, chociaż Dr. Kabl... kolega i przyjaciel p. Szulca, przesłał mu jakoby dokładny opis owego kamienia.

Trzeba też wiedzieć, że owa Zduńska Wola chociaż położona w królestwie Polskiem, w Sieradzkim, o kilka mil tylko odległa od Mikończyna (w pow. Ostrzeszowskim, w W. ks. Poznańskim). W czasie znalezienia kamieni, właścicielem Mikończyna był p. Andrzej Droszewski. Piotr Droszewski był tylko przybyszem. Czy żyje Andrzej Droszewski — nie wiemy. Ale wiadomo, że Mikończyn przeszedł na własność p. Kazimierza Skrzydlewskiego. Pana zaś Piotra Droszewskiego widzimy później w okolicy **tej samej Zduńskiej Woli**, gdzie on i umiera w Urszulinie u Fr. Przyborowskiego (brata znanego pisarza, Józefa). Brat zaś Droszewskiego, zamieszkały w Długoczasach **pod Zduńską Wolą**, zabrał po nieboszczyku książki i papiery, których część tylko ów Fr. Przyborowski przekazał gabinetowi uniwersytetu Jagiellońskiego przez pośrednictwo Wł. Kalkreutha.

Jan Żurek, który pierwszy jakoby przypadkowo znalazł *Prowe* w Mikorzynie, Piotr Droszewski, Franciszek Przyborowski, Kal-kreuth, Kazimierz Skrzydlewski — już nie żyją.

Nie wiemy czy żyje jeszcze i gdzie jest ów brat Piotra Droszewskiego, który po nim zabrał papiery.

A co ważniejsze, nie wiemy czy żyje, gdzie jest i jak się nawet nazywa ów pan Dr. Kabl... który przesłał p. Szulcowi opis kamienia odkrytego w Zduńskiej Woli, a który też przysyłał jakoby rysunek i Lelewelowi, i ten ostatni miał jakoby osądzić, że to rzeczywiście *Prowe*.

W obecnym stanie rzeczy, kiedy sprawozdanie ś. p. hr. Przeździeckiego, powtarzamy, nader ważne i ciekawe, jako mozolne naukowe badanie o bożku *Prowe*, zgoła nie przekonywa nas o autentyczności kamieni Mikorzyńskich, tak, że zarzuty pp. Małeckiego i Estreichera, pozostają niezbite, a i dawniejsze wątpliwości, co do autentyczności, Lelewela i Przyborowskiego dotąd ostatecznie nie rozstrzygnięte, zdaje nam się, że ów *Prowe* z Zduńskiej Woli nabiera pewnej doniosłości. Tem bardziej, że ta Zduńska Wola leży w bliskości Mikorzyna, że sam autor tej hałaśliwej historii, Piotr Droszewski mieszkał i umarł w okolicach Zduńskiej Woli.

Dla czegoż nikt nigdy nie wspominał o tym kamieniu? Dla czegoż to on, skoro Mikorzyńskie kamienie nabrały rozgłosu, wpadł jak do wody? Gdzież się teraz znajduje? **Czy nie ma ten kamień jakiego związku z Mikorzyńskim *Prowe*?** Czy nie jest to jeden i ten sam?

Rzucając te zapytania nie myślimy bynajmniej kogobądź obwiniać o fałszerstwo. Sądzymy jednak, że dziś ten kamień i samo późniejsze milczenie o nim, mimowoli radzą podejrzenia.

Jeżeli będzie udowodnionem, że kamień ze Zduńskiej Woli istnieje dotąd, autentyczność Mikorzyńskich kamieni nabiera większej pewności; jeżeli przeciwnie, p. Dr. Kabl... nie odezwie się i nie udowodni autentyczności kamienia ze Zduńskiej Woli (jeżeli tylko żyje jeszcze ten p. Kabl...), wtedy autentyczność kamieni Mikorzyńskich staje się jeszcze więcej podejrzaną.

Udowodnienie autentyczności tych jedynych dotychczas pomników runicznych na ziemi polskiej, jak mówi Przeździecki, jest rzeczą nader ważną i pożądaną dla dobra nauki.

Sądzymy przeto, że dziś, kiedy główni bohaterowie sprawy Mikorzyńskiej poumierali, jedni w Mikorzynie, drudzy w okolicach Zduńskiej Woli, cała waga dalszych poszukiwań i badań w tym przedmiocie, leży w Wielkopolsce, w śledzeniu na miejscu, które ś. p. Przeździecki za najpotrzebniejsze uważał i byłby je spełnił zapewne, gdyby go śmierć w pracy nie zaskoczyła. Obecnie Towarz. Przyjaciół nauk Poznańskie, posiadające samo jedno możność zbadania i ludzi i miejsca, powinnyby zająć się tą sprawą i rozjaśnić ciemny dotąd labirynt domysłów, a wątpliwości coraz bardziej zagmatwanych.

W tej chwili doszła nas nowa praca Prof. Wład. Łuszczkiewicza, zeszyt I **Zabytków sztuk pięknych Krakowa**, obejmujący „Pomniki architektury od XI do XVIII wieku ze stanowiska historii sztuki.“ Nie chcąc dawać doraźnego sądu o tej ze wszechmiar ciekawej a nader pożądanej książce, pomówimy o niej w dalszych tomach **Na Dziś**. Ale i w tej chwili podziękować możemy autorowi za to, że opatrzył swe dzieło dokładną

alfabetyczną skazówką, właśnie taką, jakiej brakuje „Sztuce“ p. Łepkowskiemu. Taka skazówka daje możność prędkiemu zaznajomienia się z treścią dzieła i rychłego wyszukania przedmiotu, który nas interesuje. Mamy tu zabytki stylu romańskiego, przechodowego w ostrołukowy, ostrołukowego (gotyckiego), następnie zabytki epoki Renessansu, Barocco i Rococco. Zabytki po Renessansowe i w końcu epoka obecna. A więc wszystko tu jasne, każda rzecz na swoim miejscu, nie się nie powtarza i nie gmatwa, a język prosty, potoczny, bez przesadnej exaltacji i frazeologii. Mamy tu opisanie 38 kościołów i klasztorów (oprócz kaplic) i 53 rozmaitych gmachów.

J. ze Ś.

### Z powodu prelekcji o Garczyńskiego „Wacławie“ i o jego drobnych pcezyach.

(Przegląd Polski na Marzec 1872 r.)

(List do Redakcyi.)

Miałem sposobność przysłuchiwać się uniwersyteckim wykładom prof. hr. Tarnowskiego, jak i jego odczytom miewanym to w Krakowie, to we Lwowie. Język piękny, wysłowienie się płynne, staranność prawdziwie salonowa, z jaką prezentują się peryody, staranność niezdradzająca wymuszenia, a jednak bardzo uważna na siebie. Oto są zewnętrzne cechy jego przemawiania do uczniów i do publiczności.

W takich warunkach improwizacya nie ma miejsca, każde słowo naprzd obmyślane i postawione. Prelegent wziął sobie, jak się zdaje, za stałą zasadę: nigdy się nie dać porwać i unieść przedmiotowi, co jest i dobrze i niedobrze. Prawda, że w zapale można nieskiedy powiedzieć co takiego, coby nie wytrzymało krytyki; ale z drugiej strony, kiedy się mocno jest poruszonym, robi się mocne wrażenie na słuchaczach, gdyż mówca przedmiotem rozgrzany wypowiada nieraz tak piękne rzeczy, o jakich nie myślał, a które jednem szczęśliwem słowem więcej przedmiot objaśnia i napiętnują, niż długi wywód, kołujący a nie trafiający w jądro przedmiotu... Tak mówić, jest to mówić z życiem.

Profesor nasz na inny system; jest on więcej dydaktykiem-anatomem, niż zwolennikiem syntezy. Osobliwość ta uderzyła mię w młodym prelegencie, tak bardzo pochopnym do krytyki analitycznej aż do drobiazgowości, a jednak nie drobiazgowej na sposób dawnych warszawskich recenzentów. Biegły anatom dalekim jest od tego, aby zabijał swego pacyenta; owszem zostawia go przy życiu, tylko wyjmuje mu kosteczki i wypruwa żyłki, i najrzeczniej wkłada na powrót, zostawiając go losowi. W ogóle do defektów i różnych przypadłości więcej się zapala, niż do zdrowych części. Uważałem nie ja sam tylko, że o tych ostatnich nie mówi z takim upodobaniem, jak o tych pierwszych. Mieliśmy tego dowód na Niemcewicu, którego Jana z Tenczyna jak wziął pod nóż, tak z całego Ursyna tyle się zostało co nic; a przecież całe życie człowieka, który tyle cierpiał i tyle się zasłużył, nie mierzy się tak krótkim łokciem.

Skłonność ta do analizy ujemnej na wstępie w zawód literacki okazana, znamionuje odwrotny kierunek; bo na czem inni kończyć zwykli, to szanowny profesor od tego zaczyna. Dotąd dał się poznać jedynie na krytycznym polu. Nie przypuszczam, aby siebie miał wyżej stawić nad tych,

których przed swój powołuje trybunał; a jednak pomawiają go o to, zapewne niesłusznie, gdyż wewnętrzne pobudki dostępne nam nie są. Domysł zaś ztąd wziął początek, że profesor w swoich krytykach nie zwykł uwzględniać, tak jakby wypadało, okoliczności czasu, miejsca, stosunków politycznych, i innych wpływów. W tych niby ramach portret dobrzeby się wydał, bez nich straci, a tém bardziej stracić się musi utwór imaginacyi.

Lecz nie z tego punktu mam teraz zamiar, ja, nienależący do republiki piszącej, wdać się z szanownym profesorem w dyskusję literacką; idzie mi w tym razie o niektóre sposoby widzenia, wyrażone w odczycie o Stefanie Garczyńskim i o jego *Wacławie* i drobnych poezjach, zamieszczonym w 4 numerze *Przeglądu Polskiego* na miesiąc marzec.

Zdaje mi się, że szanowny prelegent miał się poniekać z rzeczywistością, opisując acz bardzo wymownie i malowniczo ten stan niewiadomości, w jakim publiczność czytająca i czytana miała się znajdować względem poezyi Garczyńskiego. Nietylko ja, lecz i wielu pamięta bardzo dobrze dwa małe tomiki, drukowane w Paryżu, jakie pokazały się u nas w parę lat po rewolucyi. Były to poezye Garczyńskiego w licznych egzemplarzach nadesłane, a że małej objętości, więc i przemycić i przechować było je łatwo. Czytano je pilnie i pożądliwie, i mało kto lubujący się w poetycznej literaturze znalazł się coby ich nie znał. Myli się zatem, gdy dla nadania większego efektu słowom Mickiewicza wyrzeczonym z katedry paryżkiej, twierdzi, że dopiero wtenczas po pierwszy raz dowiedziano się, co to za jeden ten Garczyński, ten nieznany poeta... Tak nie było; owszem wiadomo o nim dobrze; rozumiano nawet, dlaczego zbyt ni nacisk położył Mickiewicz na jego wielkość, i nie dziwiono się temu, wiedząc, że jak obrońca sądowy używa wszystkich argumentów, aby bronić powierzoną sobie sprawę, tak i pan Adam podnosił to, co mogło pośrednio lub bezpośrednio pomódz popieranemu przezeń Towianizmowi. Zrozumiano ten manewr. tém łatwiej, że dla *Wacława*, którego wszyscy od początku obwołali nudnym, nikt nie miał admiracyi. Raz go przeczytawszy, zostawiano zapomieniu; przy panu Tadeuszu, przy Słowackim, przy Nieboskiej komedyi i Irydionie, tracił on bardzo; a niemniej przy pieśniach Janusza, które były we wszystkich ustach. Filozofujący Wacław bardzo zarywał na Niemca; a jak wtedy sądzono Niemców, dość przeczytać co o nich napisał Mochnacki, którego broszura była wyrocznią dla wszystkich.

Garczyński od razu nie podobał się swemi poezjami, i dlatego to było milczenie o nim, milczenie nieprzerwane nawet po apologii Mickiewicza, co nie pochodziło z rzadkości egzemplarzy wydania paryżkiego, tylko że poeta nie umiał trafić do duszy i znalazł obojętność.

Uważam tedy za exageracyą w szumnym stylu, co prof. Tarnowski mówi: „Wychowaliśmy się w czci nieznanego Bóstwa (Garczyńskiego), w którego świątyni miały być złożone nieopisane skarby piękności. Bóstwo niewidzialne i zakryte, jak tajemniczy posąg w Sais.“ A na poparcie tej niewidzialności dodaje: „Kiedy Maryą i Wallenroda miał każdy, tego tajemniczego Wacława nikt nie miał.“

Pod tym *nikt'em* chyba prelegent rozumiał samego siebie; bo przecież znało Garczyńskiego tyłu literatów i nie-literatów, znało wielu miłośników poezyi, i nie wątpię, że gdyby był na niego popyt (mówiąc terminem handlowym), postarano by się w Paryżu o nowe wydanie i przemyciono by je do kraju, gdzie wszystko, co było zakazane, było najbardziej pożądanem.

Ta zatem tak poetycznie przedstawiona tajemniczość otaczająca nieznanego poetę jest tylko kuszykiem, *alias* figurą retoryczną, bez której można było obejść się, i od razu biorąc wołu za rogi, powiedzieć, że ci co znali poezje Garczyńskiego, zdumieli się, gdy Mickiewicz odkrył im z katedry tę wielkość, na której nikt się nie poznał, bo z nią nie sympatyzował; a i nie sympatyzując dotąd, pomimo rekomendacyi tak zaszczytnej, widzi w tém tylko manewr stronnictwa.

Prelegent, aby dowieść, jak dalece nie mylił się instynkt publiczności względem Waclawa, bierze go pod rozbiór.

Jakkolwiek ma słuszość, pokazując z jakich ingrediencyj składa się ten poemat, że do niego wchodzi *Manfred* Byrona, *Faust* Göttego, *Dziady* Mickiewicza i spora porcja heglowskich teoryj, to przecież nie zawsze sąd jego jest sprawiedliwy. Jedno tylko miejsce zacytuje, w którym prelegent nie dowiódł znajomości natury ludzkiej, a w następstwie, że co poetycznym być mieni, nie jest niém wcale, i *vice versa*.

Szanowny profesor jedną z najlepszych scen *Waclawa*, to jest: rozmowę młodzieńca z księdzem w kościele przy bożym-grobie, surowo nagania z tego powodu, że młodzieniec bardzo wymownie uderza na kościół i na księży, kiedy mnich „brońi się tylko *oklepanemi ogólnikami*.” A zatem ma to być nierówny pojedynek, tak nierówny, że aż prelegentowi żal biednego mnicha, i robi wyrzut poecie, że gdyby chciał być sprawiedliwym, powinien był naprzeciw dzielnego i mądrego Waclawa postawić równego jemu przeciwnika; niechby genialny i wymowny niedowiarek zmierzył się z genialnym i wymownym człowiekiem wierzącym, z księdzem takim jak Lamennais przed swym odstępstwem, jak Lacordaire lub Ventura i niechby tego zwyciężył. *Byłaby to i scena w poemacie piękniejsza i zwycięstwo prawdziwsze.*

Nie mogę się zgodzić z szanownym profesorem, żeby ta polemika religijna była piękną w poezyi, choćby nawet ów mnich był jeszcze wymowniejszym od tych trzech francuzkich mowców i uczeńszym od nich teologiem. Przenoszę bowiem pokornego mnicha, który nie wdaje się w dysputę z niedowiarkiem, a bije go słowami ewanlii, które są i mocniejsze i poetyczniejsze od argumentów używanych w pismach polemicznych. Wcale nie widzę, aby te słowa księdza:

„Panie! odpuść mu, bo on sam nie wie co robi.”

lub te drugie, któremi odpiera zarzut, że kapłani są grzeszni jak drudzy,

„Któż ogród potępi

„Dlatego że w nim drzewo spróchniałe lub chore?”

były *mieczem ołowianym*. Jest w nich siła człowieka stojącego na gruncie prawdy; wreszcie napastowany od szaleńca w miejscu niewłaściwym do dysput, musiał być lakonicznym.

Tą razą szanownego krytyka zły instynkt prowadził, co bywa nieuniknione, kiedy poweźmiemy uprzedzenie do czegoś i chcemy je uprawnić wszelkimi sposobami.

Mojem zdaniem, może mylnóm, nie trzeba było całkiem ruszać Garczyńskiego, tego białego gołąbka pod skrzydłem sokoła, i można było przebaczyć sokołowi, że go wyniósł tak wysoko. Nie gorszyło to nikogo; owszem każdy wierzył w słowo mistrza, tłómacząc je sobie w ten sposób, że więcej coś tam musiało być w tej duszy młodo zgasłego poety, kiedy ją tak ukochał i na takiej wysokości postawił. Nikomu, nawet estetycznym

i literackim regułem nie szkodziła ta wiara... Prelegent stał ją na proch — i cóż z tego?... czy żeby pokazać potęgę krytyki?... Mała pociecha!

Nie ma w tém żadnej pociechy, że się zdmuchnęło światło czy światełko. Garczyński wzięty w swojej epoce był światłem, może niekompletnem, lecz zawsze przyświecającem na drodze myślenia, podczas gdy niewiele myślano. Poezycy zatem jego, chociaż nie będą na równi z innemi pod względem świeżości czucia i bogactwa wyobraźni, to bez wątpienia jako wyrób myśli filozoficznej, poruszającej mnóstwo dotąd niepodnoszonych pytań, najwyżej stoją wśród współczesnych plodów rymotwórczych; ta zaś ich gatunkowość nie zasługuje na ostracyzm, gdyż żadna z literatur nie wyklucza z szeregu swoich pisarzy, poetów myślicieli, poetów refleksyjnych. Niemcy tak samo mają miejsce dla Rückerta, dla Platena, jak je mają dla Szyllera i Getego; Anglicy nie lekceważą Shelleya lub Teryssona, chociaż poemata filozoficzne tych ostatnich rodzajem swoim bardzo zbliżają się do Wacława; jest to jedna i ta sama maniera. *Wacław*, wzięty ze strony dramatycznego charakteru, jak to szanowny profesor uczynił, był łatwym celem pocisków; i nie ma się czemu dziwić; albowiem pisarz, któremu idzie o przeprowadzenie głównej idei, najczęściej zaniedbuje kompozycyę; a mimo tego iluż to bywa pisarzy, którym się przebacza niedostatki układu lub formy, a oddaje się hołd głębokości i oryginalności pomysłów.

Ta filozoficzna głębołość Garczyńskiego nie bez powodów imponowała Mickiewiczowi, kiedy, nim Towiańskiego doktryny stał się zwolennikiem, już w nich widział ogromniejszy zasób myśli, niż u innych poetów. Przyznając, że *Wacław* nie robi wrażenia, nie rozczuła, ani imaginacji nie rozpała; ale że światem myśli wstrząsa, że pobudza do zaciekań się w wielkich zagadkach życia — tego, rozważnym zmysłem rzeczy biorąc, odmówić mu niepodobna. Choćby już dlatego, że Garczyński był jedynym filozoficznym poetą, w epoce kiedy jego poezycy się ukazały, należało go inaczej cenić. Szanowny profesor obszedł się z nim, jakby z jakim *chevalier félon*, i złamawszy pióro nad głową delinkwenta, wydał ostateczny wyrok: *percat!* Szczęśliwą może się nazwać Rzeczpospolita piszących, że nieznanne są u nięj wyroki nieodwołalne; owszem apelacya od nich służy aż do skończenia wieków — *in secula seculorum*.

Poznańczyk.

# BIBLIJOGRAFIJA POLSKA

z r. 1871 (dok.) i 1872 (ciąg dalszy).

Uważaliśmy za stosowne i nawet konieczne, ażeby pismo nasze podawało jak najdokładniejsze wiadomości bibliograficzne polskie. Nieszczędziliśmy też starań i zabiegów, ażeby uzupełnić ten dział tak ważny. Wszakże niedbalstwo i obojętność pp. wydawców spowodowały, żeśmy w I tomie nie mogli podać pełnej bibliografii za rok 1871, a nie ręczymy, że i dziś może spis nasz nie jest jeszcze wyczerpujący.

Od wyjścia I tomu przybyło nam 75 dzieł wydanych w roku 1871, a mianowicie: w Warszawie 22, we Lwowie 14, w Krakowie 21, Tarnowie 1, Bochni 1, Wadowicach 2, Przemyślu 1, w Poznaniu 10, Genewie 1 i w Paryżu 2. Dodając więc te 75 do 674, t. j. liczby podanej przez nas w tomie I, otrzymujemy 749 dzieł i czasopism z r. 1871.

Pierwsze zatem miejsce, co do ilości dzieł wydanych, trzyma Kraków, a mianowicie 172; następnie Warszawa 171, Lwów 148, Poznań 76 i t. d.

Pamiętając jednak, że w liczbie dzieł krakowskich nie jedna jest broszura od 4—10 str., najniezawodniej pierwszeństwo należy się Warszawie.

## Warszawa.

- Atlas jeograficzny. Łamigłówka w kwadratach. (1871). U. M. Orgelbranda, Audouard Olimpia. Podróż po północnej Ameryce. 1872 in 8<sup>o</sup>. Druk J. Ungra.
- Bartels Ferdynand. Do wszystkich amatorów i przyjaciół zwierząt, zaproszenie do współdziałania w popieraniu zamiaru założenia zwierzyńca w Warszawie. 1871.
- Bartsch Henr. ks. Mowy okolicznościowe i trzy kazania. 1882. E. Wende i Sp.
- Bellot A. Panna Giraud, moja żona, romans. 1871.
- Bierzyński Roman. Nieco o prawie kobiety i pracy, skreślił autor dzieła: „Somatologie de la femme.“ 1871 in 8<sup>o</sup>, str. 35—62. Druk Czerwińskiego i spółki.
- Bock. Człowiek w stanie zdrowia i choroby. Z 8-go niemieckiego wydania przerobił Dr. Jakób Rosenthal. Zeszyt I. 1872.
- Bykowski Piotr Jaxa. Pamiętniki włóczęgi (z czasów przejścia XVIII do XIX wieku). Tomów IV. 1871. in 8<sup>o</sup>. U Gebethnera i Wolffa.



- Chłopiccki, Edward. Dzieje jedynaka, powieść. W drukarni Ch. Kellera 1872.
- Chmielewski Piotr. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. 1872.
- Ciechoński, Józef. Al'Hakim (Mędrzec). 2 tomy. 1872, in 8<sup>o</sup>.
- Cuny Piotr. Nauka hodowania pszczół. Część I, obejmująca naukę budowy ulów. 1872. Druk Sikorskiego.
- Czarnowski Stanisław. Warszawski rocznik literacki, poświęcony literaturze, oświacie, bibliografii i księgarstwu. Rok pierwszy, 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 170. 1872.
- Dłużniewski Wiktor. „Powtórny pogląd na dzieje ludzkie“, przepołowienie 304 $\frac{1}{2}$  na 152 $\frac{1}{4}$ letnie epoki czyli promienie równoległe względem siebie 12 epok przedchrześcijańskich, z których 6 wykazane były w części I-jej a 6 pośrednich obecnie w części II-jej, oraz zjednoczenie promieni świata przedchrześcijańskiego i odcyfrowanie tajemnic mitologiczno-autonomicznych, przez Wiktora Dłużniewskiego. Zeszytów pięć. Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda, 1871. Z tablicą.
- Domóchowski Fr. Sal. O życiu i pismach Kaz. Brodzińskiego. (Odbitka z Biblioteki Warsz.). 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 44.
- Dumas Aleks. (syn). Antonina, powieść, zeszyt VIII. Druk Krokoszyńskiej. 1872.
- Ekonomika przemysłowa, szereg odczytów w stowarzyszeniu politechnicznym w Paryżu, układ A. N. Tom I, in 8<sup>o</sup>, str. 173, 1872.
- Elementarz polsko-ruski, z dodaniem ruskiego wzorku, 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 32.
- Encyklopedia rolnictwa i wiadomości związek z nim mających. Zeszyt I. 1872.
- Falkiewicz Lucyan. Szkice charakterystyczne lwowskie z niedawnej przeszłości, czyli Los Szulera. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 139.
- Forelle M. O kalendarzu żydowskim w porównaniu z kalendarzem chrześcijańskim, podług nowej zasady matematycznej. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 56.
- Fredro Aleksander hr. Komedye. T. III, str. 330. Tom IV, str. 374, T. V, str. 323. W drukarni Kuryera Warszawskiego.
- Gacki Józef ks. Głos do Boga, nabożeństwo domowe i kościelne dla ludu katolickiego, wydanie drugie poprawne. Nakład Glücksberga, 1872.
- Hoffmanowa Klementyna z Tańskich. Pamiątka po dobrej matce czyli Ostatnie rady dla córki, wydanie 9-te z portretem autorki, poprzedzone przedmową przez Paulinę Krakowową. 1872.
- Jeż T. T. Siostrzana dusza, powieść 1872.
- Kamocka Józefa: Pod Twoją obronę. Nabożeństwo dla dzieci.  
— — Zdrowia Marya. Nabożeństwo dla młodego wieku.  
Nakład Gebethnera i Wolfa. 1872.
- Kolberg Wilhelm. Kilka badań starożytności warszawskich i ślady dawnych murów okazujących Miasto-Stare, z ryciną. 8<sup>o</sup>, str. 12, 1871.
- Komedyjki dla młodocianego wieku, przez J. z N. S. Nakład i druk Ungra. 1872.
- Kondratowicz Ludwik. Poezye. 1872. Tom I, str. 357; t. II, str. 353; t. III, str. 359; t. IV, str. 351; t. V, str. 317; t. VI, str. 364; t. VII, str. 330; t. VIII, str. 348; t. IX, str. 380; t. X ostatni; in 8<sup>o</sup>, 1872.—  
W drukarni J. Ungra.
- Korpaczewska, Lesława. Oderwane nuty. 1872.

- Körte A. Praktyczne gorzelnictwo, pouczający podręcznik dla prowadzących i posiadających gorzelnie. Z niemieckiego przełożył i do tutejszych warunków fabrykacji zastosował Stan. Włocki. 1872, in 8<sup>o</sup>.
- Korzon Tadeusz. Kurs historii wieków średnich. Z dołączeniem 4-ch mapp historycznych i 25 tablic genealogicznych. Nakładem Jana Brzozowskiego. W drukarni J. Bergera, str. 554, XVII, IV, 1872.
- Kramstüeck Izak. Prawda wieczna czyli Zasady religii Mojżeszowej. W drukarni J. Goldmana.
- Kraszewski J. I. Papiery po glince, powieść. Druk Sikorskiego. 1872.
- Krótkie nabożeństwo do Najśw. Serca Jezusowego. Wydanie pierwsze, w drukarni Kurjera Warszawskiego, 1872.
- Księga wynalazków. Zeszyt I. 1872.
- Kurs nauki języka polskiego dla oddziału głuchoniemych w Warszawskim Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, ułożony przez Radę pedagogiczną instytutu i zatwierdzony przez JW. Kuratora Okręgu naukowego Warszawskiego. Klasa III. 1871, str. III, 277.
- Langego nakłady, druk J. Cotty: 1. Nowy ołtarz złoty. 2. Pieśni o Naj. P. Maryi Różańcowej. 3. Trzy pieśni: a) Przeznaczona Księżna, b) Bądźże pozdrowiona, c) Żegnam cię mój świecie. 4. Pieśń o Wniebowzięciu Naj. Maryi Panny. 5. Pieśń o N. P. Maryi. 6. Pieśń do N. P. Maryi Piekarskiej. 7. Trzy pieśni: a) Wspomnijmy, b) Gdzie jest Jezus, c) Książę Niebieski. 8. Legenda o N. Maryi Pannie. 9. Pieśń nowa o ostatecznym sądzie Pańskim.
- Levitoux Henryk, Dr. Filozofia natury. Wydanie trzecie przejrzone i powiększone. 1872, 8<sup>o</sup>. str. 617.
- Lewes G. H. Szkice z życia zwierzęcego przełożył Artur Popławski, in 8<sup>o</sup>, str. 113, z drzeworytem w tekście, 1872.
- Łoziński Franciszek. Nauka pisania z upoważnienia Wysokiej Komisji rządowej oświecenia publicznego dla użytku szkół elementarnych rzemieślniczych i wiejskich ułożona. W litografii Mękarskiego. 1872.
- M. B. C. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, czyli uczenie Najśw. Sakramentu na każdy czas. Druk Czerwińskiego i Sp.
- Mały Czerwiec. Nabożeństwo do Najśłodszego Serca Jezusowego. Druk Czerwińskiego i Sp. 1872.
- Menault Ernest. O zmyślności zwierząt. 1872.
- Moralna Kabała, zawierająca w sobie zagadnienia i na te pożądaną odpowiedź, przetłumaczona z greckiego na polski. Nakład i druk Pajewskiego. 1872.
- Mostowski Adolf. Doktryna, komedia oryginalna w 2-ch aktach, wierszem. 1872.
- Ochorowicz Julian. Duch i mózg, studjum psycho-fizjologiczne. 1872.
- Orzeszkowa Eliza. Pajęczyna, obrazek. 1872.
- Popow, K. A. O herbarcie i przygotowaniu jój przez Rosyan w Chinach. Z dodaniem cennika herbaty Fuczańskiej własnego przygotowania w Chinach, domu handlowego braci K. i S. Popowych. W drukarni Cotty, 1872, in 8<sup>o</sup>.
- Reusch Henryk Dr. Biblia i natura, tłumaczenie z 3-go wydania niemieckiego X. M. Nowodworskiego. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 496. Drukiem Czerwińskiego i Sp.

- Rogowicz Jakób Dr., asystent kliniki położniczej warszawskiej. O sporyszu (*Secale cornutum*) jako środka leczniczym dla rodzących. Uwagi i spostrzeżenia. 1871.
- Roszkowski Gustaw Dr. O życiu Fryd. Karola Savigny. 1872.
- Rys historyczno-statystyczny szpitali i innych zakładów dobroczynnych w królestwie Polskiem. Druk Józefa Bergera. 1872, str. XXII i 576, z 3-ma tablicami.
- Siennicki Stanisław Józef. Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła św. Katarzyny (Dominikanów) w Petersburgu od r. 1763—1772, 2-gie wydanie z 5 rycinami. Nakład autora, w drukarni Okręgu naukowego warszawskiego. 1872.
- Sierakowski Wład., Ks. Groby kościoła N. Maryi Panny w Kielcach i Bulla erekcyjna dyecezyi i katedry Kleleckiej. Nakład księgarni Michała Goldhara w Kielcach. 1872.
- Sprawozdanie z zarządu funduszów zboru ewangelicko-augsburgskiego w Warszawie za r. 1871. Druk Aleks. Ginsa. 1872.
- Sto figlów za półzłotka dla niegłupich dzieci. F. H. Wr. Druk Czerwińskiego i Sp. 1872.
- Szumlański Konstanty. O wynajdywaniu rat amortyzacyjnych różnych i obliczaniu procentu na pewną liczbę dni, wyjątek z rachunkowości kupieckiej. 1872.
- Szyszło Winc. Dr. Przegląd dziejów przyrody, studia filozoficzne, 2 tomy, 40 arkuszy druku z 32 drzeworytami w tekście.
- Ustawa Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Druk Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. 1872.
- Wejner Aleksander. Zabytki dawnych urzędzeń miasta Warszawy. Część IV i ostatnia. Druk Orgelbranda (synów). 1872.
- Weileń Józef. Rozamunda, dramat w 5 aktach. Przekład Seweryny z Żochowskich Duchnińskiej. 1872.
- Węzyk Zygmunt. O suchej destylacji drzewa w celu otrzymania olejku terpentynowego, olejów smolnych, tłuszczów drzewnych, parafinowych, smarowideł, parafiny, kwasu octowego, jego soli, dziegciu i t. d. 196 pp. 76 drzeworytów. Warszawa 1872.
- Widoki familijne, powieść. Nakład Gebethnera i Wolfa. Druk Sikorskiego. 1872.
- Zacharyasiewicz Jan. Posag, powieść. 1872.
- Załęski Witold. Rys statystyki porównawczej m. Warszawy. Część I. Statystyka zabudowań i ludności. Str. 68. Druk Pajewskiego. 1872.
- Zdanie sprawy dyrekcji głównej Tow. kredytowego ziemskiego z czynności dokonanych w drugim półroczu 1871 r. a 91 od zawiązania Towarzystwa. Druk Jaworskiego. 1872.

### Częstochowa.

- Officium codzienne, z różnych nabożnych ksiązek zebrane, z dodaniem pieśni nabożnych dla wygody chrześcijańskiej. Nakład i druk W. Kohna i Sp. w Częstochowie.
- Wybór pieśni nabożnych na chwałę Boga w Trójcy św. jedyne, Najśw. M. Panny honor i Świętych Pańskich uczczenie, zebrany i uporządkowany. Nakładem i drukiem W. Kohna i Sp. w Częstochowie. 1872.

**Lublin.**

Kuwicki L. Wyjątki z kroniki mojej okolicy. Z notat p. Marana.

**Wilno.**

A. Pl., Ks. Nauka pobożności dla dzieci, przez ks. biskupa Segur, przekład z francuzkiego, z przydaniem na początku wykładu pacierza i głównych zasad wiary, przez ks. A. Pl., z ryciną, in 16, str. 446. Nakład J. Zawadzkiego. 1872.

**Kijów.**

Ej s m o n t (wydawca). „Co Bóg dał.“ Pismo zbiorowe. 1872.

**Lwów.**

Bauer Jan. Porządek jazdy osobowych i mieszanych pociągów na kolei Karola Ludwika i lwowsko-czerniowiecko-jaskiej. 1871. Druk K. Budweisera.

Bauer Karol. Cennik nasion, roślin warzywnych, gospodarskich i pastewnych, w zakładzie ogrodniczym Karola Bauera we Lwowie. Wiosna 1871, fol. Druk Winiarza.

Berlicz Sas. Obrazy z natury. Giul-Szada, powieść wschodnia, 1872. Nakład Karola Wilda.

Borkowski Aleks. D. Mowa sejmowa Aleks. Borkowskiego, posła samborskiego, dnia 2 października 1871. 1871, in 12<sup>o</sup>, str. 15. Druk J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

Borkowski Wiktor. Stosunki rodzinne, dramat w 5 aktach. 1871.

Chodźko Leonard. Historia domu Rawitów Ostrowskich, związana z dziejami Polski, Rusi, Prus, składających Rzeczpospolitą polską, oraz przedstawiająca stosunki państw obcych o ile te wpływały na upadek Rzeczypospolitej między latami 1190—1650. 1871.

Czy Jezuiti zgubili Polskę. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 394.

Da w i d a siedem psalmów pokutnych, wierszem, spolszczonych przez Franciszka Karpińskiego. 1872. Druk W. Manieckiego.

Deni s z nad Seretu. Nastasia, dramat w 5 aktach, osnuty na tle dziejów Rusi Czerwonej, z drugiej połowy wieku XII. 1872.

Do datek miesięczny do Gazety Lwowskiej, poświęcony historii, statystyce i ekonomii krajowej. Rok I, zeszyt I (styczeń), str. II, 60. Druk E. Winiarza.

Dumański J. Z. Nieśmiertelni czyli Powstanie nad Bajkałem w r. 1866, dramat w 5 aktach, przez Z. D. 1871.

Dyplomatarysz z Tyniecki. Część I. Staraniem zakładu Ossolińskich. 1872.

Dwo r s k i Waleryan. Głos przemysłowca polskiego w dniach upamiętania narodowego. 1872.

Dzieduszycki M., Hr. Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego. Lwów, nakładca X. P. Hołyński. Druk Budweisera, 1872, str. 92.

Dzieduszycki Wład. Władysław, romans filozoficzny. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 267.

- Franke J. O wystawie szkolnej w Londynie w r. 1871. 1872.
- Gaultier L. E. K. Geografia powszechna. Wydanie szóste na nowo przejrzone i poprawione z uwzględnieniem najnowszych zmian politycznych i do użytku niższych zakładów naukowych polskich prywatnych i publicznych zastosowaną, przez Ł. T., (z tablicą). 1872.
- Geografia powszechna, podług L. E. K. Gautier. Wydanie szóste na nowo przejrzone i poprawione. 1872, str. 240, in 8<sup>o</sup> min.
- Grzegorzewski Jan. Sassów i jego okolice. 1872.
- Kajsiewicz Hieronim. Listy z drugiej podróży amerykańskiej do braci i przyjaciół, in 8<sup>o</sup>, str. 71.
- Katalog książek Księgarni polskiej we Lwowie. Ulica Kopernika l. 12.
- Kisielewski Aleksander. Przechadzki po polu i ogrodzie. Ogród owocowy, z kilkudziesięcioma drzeworytami. Część III. 1872.
- Korczyński Edward Dr. Najnowsze teorie gorączki. 1872 (u Wilda).
- Kraszewski J. I. Radziwiłł w gościnie. (Odbitka ze *Świtny*).
- Lech. Kalendarz historyczny i t. d. na rok 1872, in 4<sup>o</sup>, 1871.
- Łuczkiwicz Antoni. Szkolnictwo na podstawie historycznego rozwoju i zasad wychowania, podług planu przepisanego dla seminarjów nauczycielskich. 1872.
- Noskowski Władysław. Podręcznik uprawy lnu i wyprawy włókna lnianego, według najnowszych metod. 1872.
- Olpiński Filip. Praktyczna nauka ortografii polskiej, zastosowana do potrzeb szkół ludowych. 1872, str. 62.
- Pamiętka z wycieczki do Lwowa. 1871, str. 67.
- Piaśt. Kalendarz historyczny i t. d. na rok 1872. 1871.
- Pieńkowski Karol. Rozmowa szwaczki z gwiazdą, obrazek dramatyczny. W drukarni K. Pillera.
- Pietrzycki Edward. Nauka teoretyczna i praktyczna rachunkowości kupieckiej pojedynczej i podwójnej. Tom II. Dział praktyczny. 1872.
- Plan stołecznego miasta Lwowa z uwzględnieniem nowych nazw ulic i placów. 1873. Duży arkusz.
- Ploetz K. Metoda najnowsza i najpraktyczniejsza nauczania się języka francuzkiego i t. d. Część II. 1872.
- Płakań Janko. Dziewczyna nowego świata, obrazek z senniej rzeczywistości. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 48. Czcionkami Kornela Pillera.
- Poliński J. Biblioteka stenograficzna, zawierająca kompletną naukę stenografii polskiej J. Polińskiego. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 143.
- Projekt ustawy gminnej. (Przedruk z *Prawnika*). 1872. W drukarni J. Dobrzańskiego i K. Gromana.
- Religia a wiara. Kilka słów do stronnictwa konserwatywnego przez A. A. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 15. Druk Karola Pillera.
- Sartoryusz A. (Antoni Schneider). Opis historyczny Staregosioła pod Lwowem. 1872.
- Sawicki Dr. Jan Stella: Obrazy wszechświata. Astronomja i geologia popularna. Z 60 drzeworytami w tekście. 1872. Nakładem autora.
- Skorowidz dawnych i nowych numerów realności, tudzież nazw ulic i placów król. stoł. miasta Lwowa, według uchwał rady miejskiej z roku 1871 z urzędowych źródeł zestawiony. 1872.
- Sobański Aleksander. Odbitka z Gazety Narodowej, broszurka z drukarni J. Dobrzańskiego i K. Gromana. 1872.

- Sprawozdanie dyrekcji Tow. kredytowego ziemskiego, z czynności swoich za r. 1871. Z drukarni narodowej W. Manieckiego. 1872.
- Sprawozdanie wydziału Czytelni akademickiej we Lwowie, z czynności w r. 1871. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 15. Druk J. Dobrzańskiego i K. Gromana.
- Szematyzm królestwa Galicyi i Lodomeryi, wraz z W. ks. Krakowskim na r. 1872, 50 arkuszy druku. 1872.
- Turczyński Juliusz. Rozbiór dzieł Adama Mickiewicza. Zeszyt I. Z drukarni Karola Budweisera. 1872.
- Wilkońska Paulina. Obrazek święty, komedia w 1 akcie. 1872.
- Zgórski Alfred. Niektóre psychiczne właściwości kobiet. 1872.
- Zuliński Tadeusz Dr. Wychowanie i oświata. Odczyt miany na rzecz funduszu szkół ludowych we Lwowie w d. 12 maja 1872 r. 1872.
- — Kilka uwag z powodu dziełka „Geistesleben — Betrachtungen über die geistige Thätigkeit des menschlichen Gehirnes und ihre Entwicklung,“ napisanego przez dr. medycyny Gottfrieda Ritter von Rittershaina, profesora na wszechnicy praskiej. 1872.
- — Nasi Pozytywiści. 1872.

### Kraków.

- Antoni. Zameczki podolskie na kresach. Osobne odbicie z Przeglądu polskiego. Druk Uniwers. 1872, w 8-ce, str. 538. (Odbito 40 egzempl.).
- Antoniewicz Karol. Wianeczek majowy Najśw. Bogarodzicy Maryi. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 35. Druk Jaworskiego.
- Badura ks. Jerzy. Przemówienie nad grobem ś. p. Maryi Pleszowskiej dnia 18 marca 1872 r. Druk Uniw. 1872, str. 4.
- Blumenstok L. Dr. Kilka przypadków dochodzenia stanu umysłowego 1872, str. 59. Druk Dobrzańskiego i K. Gromana.
- — Piśmiennictwo lekarskie. Eine gerichtlich-psychologische Untersuchung von Prof. Dr. F. W. Hagen, Erlangen. 1872. E. Berold, p. VIII, 217 (rozbiór), in 8<sup>o</sup>, str. 9. W drukarni Uniw.
- — Uwagi sądowo-lekarskie o zacczadzeniu. Rzecz czytana na posiedzeniu Tow. lekarskiego krakowskiego w dniu 16 stycznia 1872. (Osobne odbicie z Przeglądu Lekarskiego). 1872, str. 27.
- — Zmarznięcie czy uduszenie. Przypadek sądowo-lekarski skróślił Prof. Dr. Blumenstok w Krakowie, str. 5 1871.
- Chrzanowscy, Stanisław i Leon, Puławscy, powieść historyczna. 1872.
- Czerny Franciszek dr. Związki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier. W drukarni Czasu, 1872.
- Daniel W. O. Historia błogosławionej Małgorzaty Maryi, zakonnicy Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, tudzież początków nabożeństwa od Serca Jezusowego. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 360 i VI. Druk Czasu.
- Daurignac. Historia Towarzystwa Jezusowego, przetłumaczona z franc. Matylda Ciszewska, t. 2, 1872.
- Dobrowolski Józef. Żywy nieboszczyk, komedia w 1 akcie przez Benedixa, przerobił J. D. 1872.
- — Panowanie Stanisława Augusta Poniatowskiego, ostatniego króla polskiego 1764—1795. Nakładem W. Tomaszewicza, 1872.
- Droga krzyżowa temi co i w Jeruzalem odpustami od Ojców świętych Papieżów zbogacona dla pobożnych Chrześcian w kościołach braci mniej-

- szych Reformatów prowincyi Najświętszej Panny Maryi Bolesnej Galicyi. 1872, str. 47.
- Estreicher Karol. Jan Kanty Szlachtowski (oddruk z tomu II „Na Dziś“ w 100 egz.) 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 16, druk Kraju.
- Florkiewicz Julian. List otwarty do szanownej redakcyi „Czasu“. Druk Kraju, 1872, in 4<sup>o</sup>.
- Głos Synogarlicy na pustyni świata tego jęczącej, to jest: Duszy Chrześcijańskiej Rozmyślenia do Pana Boga, oblubieńca wiecznego wzdychania, i w Chrześcijańskiej doskonałości Ćwiczenia i t. d. W drukarni Jasnej Góry Częstochowskiej R. P. 1811, str. 380, 1871.
- Golian, ks. Zygmunt. Kazania, tom I, 1871, in 8<sup>o</sup> str. 267.
- Gondek, ks. Feliks. Siedm grzechów głównych. V Zazdrość, VI Gniew, VII Lenistwo. Str. 196, in 8<sup>o</sup>, 1871.
- Górski. Projekt ustawy sądów gminnych wiejskich z przejściem do powiększonej administracyjnej gminy, 1871, in 8<sup>o</sup>, str. XVII, 91. W drukarni Czasu.
- Grudziński, Stanisław. Marzenia i piosnki. Nakładem W. Tomaszewicza, drukiem W. Korneckiego, 1872, str. 92.
- Gumplowicz, Dr. Ludwik. Konfederacya barska, korespondencya między Stanisławem Augustem a Ksawerym Branickim, Łowczym koronnym w r. 1768. W drukarni Kraju 1872.
- Heimberger, Filip. Sygnał pocztowy na trąbce kolendowej w dniu Nowego Roku 1872, ku czci, uwielbieniu i gratulacyi wyegzekwowany, 1871, 8<sup>o</sup>, str. 11—5 (po polsku i po niemiecku), w drukarni Uniw. Jag.
- Herr, Karol. Sygnał pocztowy na trąbce kolendowej w dniu Nowego Roku 1872, ku czci, uwielbieniu i gratulacyi wyegzekwowany, 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 11—5 (po polsku i po niemiecku), w drukarni Uniw. Jag.
- Hoffmann, Karol Boromeusz. Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII. 1872, in 8<sup>o</sup>, str 133, w drukarni Uniw. Jag.
- Isakowicz, ks. Kazania pasyjne, 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 96, w drukarni W. Korneckiego i spółki.
- Kapliński, Leon. „Ufność bez granic“, przysłowie dramatyczne w jednym akcie. W drukarni Leona Paszkowskiego, 1872.
- Kaufman, Dr. Michał. Sprawozdanie z ruchu i postępu w zakładzie żytycznym w Jaworzu w 1871 r. 1872, str. 19, in 8<sup>o</sup>.
- Kleczyński Józef. Rozbiór broszury „Polska i Rossja w r. 1872“ przez b. członka Rady Stanu Królestwa. W drukarni Leona Paszkowskiego. 1872.
- Kołodziejski Walery. Sprawozdanie z robót przygotowawczych dla zaopatrzenia Krakowa w wodę, złożone na ręce delegowanej krakowskiej komisyi wodociągowej. 1872, in 8vo, str. 147.
- Kopernicki Dr. J. Zakład kąpielowy u wód słonych jodo-bromowych w Rabce w r. 1871 pod względem balneologicznym i lekarskim. 1872, str. 48. W drukarni „Czasu“.
- Kowalski Henryk. Doświadczenie lecznicze z węglanem amonowym. 1872. (Osobne odbicie z „Przeglądu lekarskiego“. W drukarni Uniw. Jagiellońskiego, str. 22.
- Kraszewski J. I. Listy A. Felińskiego. — Odbitka z III. tomu „Na Dziś“ W drukarni „Kraju“. 1872.

- Kuczyński Dr. Stefan. Przyczynek do Teoryi Soczewek. (Osobne odbicie z Rocznika Nauk Przyr. Tow. Nauk. Krak.). W druk. Uniw. Jagielloński. 1871, str. 80 i 5 tablic.
- Liebig Justus. Chemija zastosowana do rolnictwa i fizjologii, podług 8go wydania przełożona za upoważnieniem autora. Część I. 8ka, str. 185 i XIV. -- 1872.
- Liguori św. Alfons, biskup i doktor kościoła. Pocięcha dla strapionych, czyli o zgadzaniu się z wolą Bożą. Tłumaczenie ks. Prokopa kapucyna. 1871. in 16<sup>o</sup>, str. 211. W drukarni W. Korneckiego i Spółki.
- Lista roczna przysięgłych c. k. Sądu Krakowskiego w sprawach drukowanych na r. 1872. str. 4 W drukarni „Czasu“.
- Littich Alexander. O mieście pod względem policyi zdrowia. (Osobne odbicie z „Przeglądu lekarskiego“. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 15.
- M(arciński Ant.) X. Droga do pozyskania spokojności sumienia i wiekustego szczęścia w niebie. 1871, in 8<sup>o</sup>, str. 437.
- Mann Maurycy. W Giulistanie. Fantazyja majowa. — Kraków. W druk. L. Paszkowskiego. 1872. str. 22.
- Mecherzyński K. Dr. „Wypisy polskie dla szkół żeńskich“ z najlepszych pisarzy krajowych zebrane i ułożone przez dr. Karola Mecherzyńskiego, byłego profesora literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, nakładem J. M. Himmelblaua 1872.
- Nowicki Dr. Fortunat. Wiadomość o zakładzie wód lekarskich w Szeptówce na Wołyniu. 1872. (Osobne odbicie z „Przeglądu lekarskiego“), in 8<sup>o</sup>, str. 15.
- Nowolecki Alexander. Rozumowany katalog czyli przewodnik dla kupujących książki przeznaczone dla ludu i młodzieży 1872.
- Obaliński dr. Alfred. O przesadzaniu skóry na powierzchni brodawkującej w celu przyspieszenia zabliznienia. 1871 str. 18. (Osobne odbicie z „Przeglądu Lekarskiego“ w Druk. Uniw. Jagiel.)
- Opis miasta Krakowa i jego okolic wraz z dodatkiem opisu pałacu biskupów krakowskich. — Kraków, druk i nakład Fr. Ks. Pobudkiewicza 1872 — 200 str.
- Orzechowski. Przewodnik statystyczno-topograficzny i Skorowidz obejmujący wszystkie miejscowości w Król. Galicyi i W. Ks. Krakowsk. i Ks. Bukowiny, z mapą i dodatkami ogłoszeniem wydawniczym zapowiedzianymi, oraz wykazem opodatkowania pojedynczych powiatów zaopatrzonej, przez Konrada Okszę Orzechowskiego, dyrektora c. k. sądowych biur pomocniczych 1872.
- Pawłowski ks. Franciszek. Psalterz czyli księga Psalmów z przydatkiem pieśni biblijnych, które w brewiarzu Rzymskim przychodzą i trenów Jeremiaszowych 1872.
- Pilat Roman. O literaturze politycznej sejmu czteroletniego 1788 do 1792. W drukarni Leona Paszkowskiego. 1872.
- Pismo święte nowego Testamentu. Tłum. Jakób Wujka. 1872.
- Potocki Adam. 1872. W drukarni Czasu. (Odbita z Czasu).
- Projekt budżetu dochodów i wydatków miasta Krakowa na rok 1872. ułożony przez sekcję skarbową Rady miejskiej w zasadzie przedłożonej magistratu, wniosków sekcji i uchwał Rady miejskiej. W drukarni Czasu. 1872, 4<sup>o</sup>, str. 31.



- Projekt statutu akademii (w miejsce manuskryptu dla członków Towarzystwa). In folio, str. 4 in 4-to.
- Protokół czynności trzeciego zwyczajnego ogólnego zgromadzenia akcyonaryuszów Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu, odbytego w Krakowie na dniu 29 maja 1872. Druk Leona Paszkowskiego, 1872.
- Przeździecki Aleks., Hr. O Kamieniach mikorzyńskich, sprawozdanie odczytane dnia 13 stycznia 1870 r. na posiedzeniu Komisji runograficznej, delegowanej przez oddział archeologii i sztuk pięknych Tow. nauk. krak. Osobne odbicie z XLIII tomu Rocznika Tow. nauk. krak. W drukarni Uniwersyteckiej. 1872, str. 47.
- Ramière O. H., Jezuita. Apostolstwo serca Jezusowego, czyli 14 rozmyślań i 7 rozważań o Najśw. sercu Jezusowóm. 1872.
- Sapalski J. Badania o jestestwach organicznych na kuli ziemskiej. 1872, z drzeworytami.
- Serwatowski Waleryan, Ks. Rozmowy włościanina z plebanem o Królestwie Bożem na ziemi. Nakładem autora. 1872. Druk Pobudkiewicza, str. 32.
- Skiba Edward. Przyczynek do teoryi sprężyłości. 1871. W drukarni Uniwersytetu Jagiell., str. 16.
- Skiba Edward. Współczynniki załamania promieni świetnych w różnych mieszaninach wysokości z wodą i zależność ich od temperatury. 1872. (Osobne odbicie z Roczn. Tow. nauk. krak.). W drukarni Uniw. Jagiell.), in 8<sup>o</sup>. str. II z tablicą.
- Skobel, Prof. Dr. F. Jaworze w roku 1871. (Osobne odbicie z Przeglądu lekarskiego). 1872. 12<sup>o</sup>. W drukarni Uniw. Jag.
- — O skażeniu języka Polskiego w dziennikach i w mowie potocznej osobliwie w Galicyi. Wydanie trzecie powiększone. 1872, str. XV, 149 (II). W drukarni akademickiej.
- Sperlich Antoni. Sygnał pocztowy na trąbce kolendowej w dniu Nowego Roku 1872, ku czci, uwielbieniu i gratulacji wyegzekwowany. 1872, 8<sup>o</sup>, str. II, 5. (Po polsku i po niemiecku). Druk Uniw. Jagiell.
- Sprawa szkół ludowych i wychowania początkowego w Galicyi na tegorocznej sesji sejmowej. 1871, 12<sup>o</sup>, str. 109. (Odbitka z *Kraju*).
- Sprawozdanie dyrekcji Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, z czynności w r. 1870/71, 4<sup>o</sup>, str. 45. W drukarni Czasu.
- — Komisji Rady miejskiej w Krakowie, w sprawie gazowej, dnia 26 października 1871 r. 4<sup>o</sup>, str. 25. W drukarni Czasu.
- — wydziału pow. w Brzesku z funduszów Rady pow. Brzeskiej z roku 1871. 1872, in 4<sup>o</sup>, str. 22.
- — z czynności całorocznych Tow. pszczelno-jedwabniczego i sadowniczego w Krakowie w r. 1871. 8<sup>o</sup>, str. 18. Druk Czasu.
- — szkoły żeńskiej Zgromadzenia pp. Kanoniczek św. Ducha de Sax. przy kościele św. Tomasza w Krakowie z roku szkolnego 1872. 1872.
- Statuta Kasyna Podgórskiego, 12<sup>o</sup>, str. 8. 1872. Druk Uniw. Jagiell.
- Stojanowski ks. Stanisław T. J. Apostolstwo serca Jezusowego czyli Związek katolicki dla tryumfu kościoła i dusz zbawienia. — Intencya na miesiąc styczeń: Piśmiennictwo katolickie. 12<sup>o</sup>, str. 8. — Intencya na miesiąc luty: Dzieło rozkrzewiania wiary. Str. 15. — Intencya na miesiąc marzec: Stowarzyszenia katolickie. Str. 16. 1872. Druk Czasu.
- Sulerzyski Natalis. Pamiętniki, tom II. 1872.

- S z e m a t y z m szkół ludowych i nauczycieli w obrębie Krakowskiego okręgu szkolnego zamiejskiego i miejskiego, tudzież seminariów nauczycielskich w Krakowie na rok 1872. Druk Uniw. jagiel. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 63 i 7.
- S z u j s k i Józef. Dyaryusze Sejmów koronnych 1548, 1553, 1570. W drukarni Uniw. jagiel. 1872, in 8<sup>o</sup>, str. XVI, 311.
- T r a u c z y Ń s k i J. Cennik środków specyficznych i uniwersalnych krajowych i zagranicznych przyrządów chirurgicznych i t. p. wyrobów farmaceutyczno-lekarskich, znajdujących się w składach Józefa Trauczyńskiego. Apteka pod „Koroną“ w Krakowie, 8<sup>o</sup>, str. 15. W drukarni Czasu. 1872.
- T r e m b e c k i O n u f r y, Dr. Sprawozdanie o ruchu i postępie zakładu zdrojów leczniczych w Szczawnicy za rok 1871. 1872, 8<sup>o</sup>, str. 23. Drukiem Czasu.
- W a l i g ó r s k i Jan (wydawca). „Na Dziś,“ pismo zbiorowe. Tom II, str. 356. W drukarni Kraju.
- W i l d t Jul. Katalog czytelnicy Polskiej księgarni Juljusza Wildta w Krakowie, 8<sup>o</sup>, str. 48. W drukarni Czasu.
- W o ł e k, ks. Z y g m u n t. Pamiątka czterystoletniej rocznicy zejścia błogosławionego Izajasza Bonera, Augustyana, obchodzone dnia 8 lutego 1871 r. w kościele św. Katarzyny w Krakowie. 1872, 8<sup>o</sup>, str. 31. — W drukarni Uniwersytetu jagiellońskiego.
- Z d a n i a z różnych gądeży prawa, umiejętności politycznych, których po odbyciu egzaminów ścisłych w celu otrzymania stopnia doktora prawa w c. k. Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie, Aloizy Malawski, rodem ze Stariej wsi w Galicji, dnia 17 lutego 1872 r., o godz. 12 w południe w kol. prawniczym publicznie bronić się podejmuje. 1872, str. 6. Druk Uniw. jagiel.
- Z i e l e n i e w s k i Dr. Ilustrowany opis zakładów zdrojowych w Galicji istniejących. In 4<sup>o</sup>, 1872.
- — Obraz ruchu i postępu c. k. zakładu zdrojowego w Krynicy 1871. 1872, 8<sup>o</sup>, str. 22. W drukarni Leona Paszkowskiego.
- Ż y w y R ó ż a n i e c Apostolstwo serca Jezusowego. 1872, str. 32. Drukiem Czasu.

### Wadowice.

- M i c k i e w i c z Adam. Ballady, romanse i sonety. Wyd. drugie. Drukiem Franciszka Foltyna. 1871, in 16<sup>o</sup>, str. 157, II.
- P i e ś n i kościelne dla młodzieży szkolnej. Wydanie nowe, poprawne i powiększone. W drukarni Fran. Foltyna. 1872, str. 155.
- S z m i d Krzysztof. Ita hrabina na Tuggenbergu. Historia prawdziwa z XIII wieku, wiele nauczająca osobliwie dla niewinnie cierpiących. Z niemiec. przepolszczona przez ks. E. W. Wydanie trzecie poprawne. 1871, 12<sup>o</sup>, str. 132, z 1-ym drzeworytem. Druk Fr. Foltyna.
- W y b ó r osobliwszych nabożeństw na duchowną pociechę i pożytek ludzi pobożnych. Wydanie nowe poprawne, 1872, 12<sup>o</sup>, str. XI, 426, V. Druk Fr. Foltyna.

**Tarnów.**

- Głos przeciwko dręczeniu zwierząt, przez członka wydziału Tow. pedagogicznego w Tarnowie na walnym zgromadzeniu tegoż Towarzystwa dnia 26 października 1871 odczytany. 1871, 8<sup>o</sup>, str. 16. Drukiem A. Rusinowskiego.
- Kosiński Piotr Paweł. Skarby nieba, czyli mały zbiorek modlitw, westchnień i pobożnych uczynków, do których są przywiązane odpusty. Wydanie drugie pomnożone. 1872, in 16<sup>o</sup>, str. 36.
- O. H. Pamiątka stułetniej rocznicy pierwszego rozbioru Polski. Druk A. Rusinowskiego, 1872, in 8<sup>o</sup>, str. 40.
- Sprawozdanie dyrekcji banku zastawniczego w Tarnowie za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1871 r. 1871, in 4<sup>o</sup>, pół arkusza. Druk Anast. Rusinowskiego.

**Bochnia.**

- Ahn F. Nowa metoda praktyczna i łatwa nauczania się w krótkim czasie języka niemieckiego. Przekład z francuzkiego według 34-go wydania, z zastosowaniem do użytku domowego i szkolnego, przez Ant. Tessarczyka. Wydanie drugie poprawione. Kurs II, 1872, str. 127. Nakład i druk W. Pisza.
- Czarnoksiężnik Hokus-Pokus, czyli Nauka odkrycia tajemnic według sławnych sztukmistrzów, jako to: Bosko, Schwanenfeld, Twardowski, Faust, Theophrastus, Paracelsus, Döbler, Filadelfia i wielu innych. Wydanie trzecie, 1872, 8<sup>o</sup>, str. XVI, 180. W drukarni W. Pisza.

**Rzeszów.**

- Budnicki Tomasz. Nieszpory niedzielne na cały rok i święta uroczyste doroczne i t. d. 1861, in 12<sup>o</sup>.
- Dreziński Aleksander. Teoretyczna i praktyczna nauka rachunkowości dla rękodzielników, z dodatkiem wzorów różnych korespondencji, porównania monet, miar i wag obcych, tudzież prawa wekslowego i słowniczka zawierającego wyrażenia obce, używane w języku polskim tak w interesach kupieckich jak i przemysłowych. Rzeszów 1872, str. 93.
- Fringa Rozmowy łatwe, zastosowane do życia towarzyskiego młodych panien, dla użytku szkół panieńskich w trzech językach: polskim, francuzkim i niemieckim. Wydanie siódme poprawne przez J. P. 1872, in 12<sup>o</sup>, str. 150.

**Przemysł.**

- Schmidt Józef. Kuchnia polska etc. Wydanie piąte niezmienione. 1870, in 8<sup>o</sup>.

**Nowy Sącz.**

- Wojciech z Zaleszan. ks. Przemysł i jego okolice. 1872.

**Jasło.**

Steczkowski. *Dydaktyka czyli Umiejętność nauczania, ułożona dla użytku nauczycieli i nauczycielek i kandydatów stanu nauczycielskiego przez ks. Jana Nep. Steczkowskiego. Czwarte wydanie. Jasło. Nakładem i drukiem L. D. Stoegera. 1872.*

**Poznań.**

Brzeziński Antoni ks. Filipin świętogórski. *Mowa żałobna na pogrzebie ks. dra Aleksandra Prusinowskiego, powiedziana w Grodzisku dnia 19 lutego 1872 roku, 8<sup>o</sup> 8 str. 1872. Czcionkami F. H. Daszkiewicza.*

Brzeziński Antoni ks. Filipin świętogórski. *Mowa żałobna na pogrzebie ks. Jana Chryzostoma Areudta, powiedziana we Włoszakowicach dnia 24 lutego 1872 roku. 8<sup>o</sup> 11 str. 1872. Czcionkami Daszkiewicza.*

Domaradzki. *Wykopaliska Nadziejewskie. 8<sup>o</sup> 16 str. 1871. Nakład Towarzystwa. Druk N. Kamińskiego i Sp.*

Domiechowski ks. Przemysław Prawdzic, Przeor Klasztoru Mogińskiego, Śtego Zakonu Cystersyańskiego. *Matka Bolesna Panna Marya. Historia męki Chrystusowej opisana i do druku podana za dozwoleńiem starszych, w drukarni Collegium Kaliskiego Societatis Jesu 1686. A teraz na nowo wydłoczona w Poznaniu R. P. 1872. 16<sup>o</sup> 128 str. 1872. Druk A. Selnaedicke.*

Dupanloup ks. Biskup. *Pour la Patrie s'il vous plaft. Odezwa do duchowieństwa francuzkiego. Tłómaczył ks. Ostrowicz. Poznań 1872 8<sup>o</sup> 14 str. Druk Selnaedicke.*

Epilog sprawy Toruńskiej (Przedruk z Roczników Tow. Przyj. Nauk. Pozn.). *Poznań 1871 8<sup>o</sup> 30 str. Druk N. Kamiński i Sp.*

Jłowajski D. *Sejm Grodzieński r. 1793. Ostatni sejm rzeczypospolitej polskiej. Tłómaczył M. Iwanowski w Warszawie 1871 8<sup>o</sup> IV. 350 str. Poznań 1872.*

Kętrzyński Dr. *O Stanisławie Górskim kanoniku Płockim i krakowskim i jego dziełach (Przedruk z Roczników Tow. Nauk. Pozn.). 8<sup>o</sup> 63 str. Poznań 1871. Druk N. Kamińskiego i Sp.*

Kętrzyński Dr. *Regester poboru podwoynego dnia 25 Juny 1648 roku w Malborku na Seymiku generalnym Ziem pruskich uchwalonego y przez Jeo. Mci, Pana Andrzeja Garczyńskiego pisarza ziemskiego y poborcę Wojewoctwa Pomorskiego wybranego y do rąk Jaśnie Wielmożnego Jeo. Mci Pana podskarbiego Ziem Pruskich sposobem niżej wyrażonym wniesionego. Z równoczesnego rękopismu biblioteki Kórnickiej, wydał 8<sup>o</sup> 39 str. 1871. Druk N. Kamińskiego i Sp.*

Kętrzyński Dr. *O Mazurach i zbiór pieśni gminnych ludu mazurskiego w Prusach Wschodnich. 1872.*

Kiliński Jan szewc, a razem pułkownik 20go regimentu. *Pamiętniki z ryciną (Biblioteka ludowa) 16<sup>o</sup> 134 str. Poznań 1872, 6 sgr. Leitgeber i Spółka. Czcionkami L. Merzbach.*

Koźłataj Hugon. *Listy patrz: Pamiętniki z ósmnastego wieku Tom VII.*

Kraszewski I. J. *Z życia Awanturnika. Obrazki współczesne. 8<sup>o</sup> 223 str. Poznań 1872, Nakł. Tygodn. Wielkopolskiego. Druk I. J. Kraszewskiego (D. W. Źebński).*

- Libelt Karol Dr. Kanał Suezki i jego cywilizacyjne znaczenie. (Przedruk z Roczników Tow. Nauk. Pozn.) 8<sup>o</sup> 25 str. Poznań 1871. Nakł. Towarz. Druk N. Kamińskiego i Sp.
- Morawski Teod. Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane tom. V. Stanisław August. Poznań 1872. 8<sup>o</sup> 492 str. Druk I. J. Kraszewskiego. (Dr. W. Łebski).
- Pamiętniki z ośmnastego wieku. Tom XII. Listy Hugona Kołłątaja pisane z emigracyi w r. 1792, 1793 i 1794, zebrał Lucyan Siemiński. 8<sup>o</sup> 2 tomy w jednym I. XI. 183 str., II. 193 str. 1872. Czcionkami A. Schmaedicke.
- Polityka samobójstwa. Uwagi nad pisemkiem Polska i Rosya r. 1872 przez b. członka Rady stanu Królestwa Polskiego. Drezno 1872. 8<sup>o</sup> 39 str. 1872. 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> srg. Żupański J. K. Druk M. Marxa.
- Robota F. Nauczyciel w Prądniku. Mały śpiewak czyli zbiór pieśni dla szkół polskich. Zeszyt pierwszy (dla najniższej i średniej klasy) 8<sup>o</sup> 24 str. w Prądniku 1872 — 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> srg. Pietsch &. Druk Breitkopf & Härtel in Leipzig.
- Roger E. O. Anegdotki Teatralne dla rozrywki w czasie międzyaktów. 16<sup>o</sup> 16 str. 1872. Druk J. I. Kraszewskiego. (Dr. W. Łebski).
- Spartacus. W sprawie ludu naszego, o Wiecach i o Towarzystwie oświaty ludowej kilka uwag. 1872. Czcionkami A. Schmidtha.
- Studniarski. Gramatyka francuska. Wydanie trzecie 1872.
- Studniarski. Ostatnie dni powstania Kościuszkowskiego (od 12 Października do 8 Listopada 1794 roku). Przedruk z roczników Tow. Przyj. Nauk. 8vo 74 str. 1871. Druk N. Kamiński & Comp.
- Wegner Leon, Stefan Garczyński wojewoda Poznański i dzieło jego Anatomia rzeczypospolitej polskiej (1706 — 1755). Przedruk z roczników Tow. Przyj. Nauk. Poznań. 8vo str. 52 1871. Druk N. Kamińskiego & Comp.
- Witkowski S. M. Walka Zwiedzonej, Monodram 8vo 25 str. Czcionkami F. H. Daszkiewiczza.
- Zemsta Królowej podług Dickensa napisała Potwarowska. Skarbek Fr. hr. Kasztelan opowiadanie 16vo str. 44. 1871. Druk W. Deckera i spółki.

### Pelplin.

- Latarnia M. O. S. J. Harfa duchowa. Na nowo wydana przez H. J. T. Z. 1872.

### Ostrów.

- Szultz Ferdynand. Mniejsza Gramatyka łacińska, przełożona i do potrzeb młodzieży zastosowana przez prof. Antoniego Jerzykowskiego. 2gie wypanie przejrzane i poprawione, in 8<sup>o</sup>, str. IV, 270.

### Niemieckie Piekary.

- Dziennik katolicki czyli łatwy sposób nabożeństwa codziennego w modłach, pieśniach i naukach katechizmowych i moralnych dla ludu kato-

lickiego, szczególnie dla stanu rolniczego zastosowany, z dodaniem żywota św. Łyzdora patrona rolników. Nakład W. Large. Druk T. Hanecek. 1872.

### Wrocław.

Kraiński X. Wincenty. Pisma. T. XI. Historya literatury i oświaty ludów słowiańskich. str. 168. w (tymże tomie) Historya literatury i oświaty narodu polskiego. str. 580.  
T. XII. Przewodnictwo i rząd boski na ziemi. I. część, str. VI. i 92.—  
2 część, str. 507. X. 1871 in 8<sup>o</sup>.

### Głogów na Szląsku.

Kiewicz T. Wybór szczególniejszych pieśni kościelnych ułożony do śpiewania na cztery różno głosy. Dzieło VI. 1872, in 16<sup>o</sup>, str. VI, 68.  
Druk Arnolda Kukuczka.

### Toruń.

Desjardins E. X. Wiązka duchowna dla Najświętszego Serca Jezusa, czyli mały miesiąc czerwiec. Przekład z francuzkiego. Druk J. Buszczyńskiego. 1872.

### Lipsk.

Laitscher, Jarosław. Katalog wszystkich dzieł polskich, ogłoszonych w latach 1860 do 1872.  
Serwatowski Waleryjan ks. Dzieje Starego i nowego testamentu, krótko zebrane dla dzieci, wydanie Vte przejrane i poprawione, ozdobione licznymi drzeworytami w tekście. Druk Klingharda w Lipsku, nakład Gebethnera i Wolfa w Warszawie. 1872.

### Drezno.

Plater hr. Władysław. — Zdanie sprawy o fundacji pomnika i muzeum w Rapperswyln. Druk J. J. Kraszewskiego in 4<sup>o</sup>, 1/2 arkusza.  
Polska i Rossja w 1872 roku przez b. członka rady stanu Królestwa polskiego. 1872 in 8vo str. 80.

### Berlin.

Forster Karol. Sprawa Polska ze stanowiska europejskiego przedstawiona. 1872.  
Forster Karol. Teka narodowa, tom 2gi.  
Łukaszewicz i Mosbach. Polsko-niemiecki i niemiecko-polski słownik. Wydanie 12te.

### Genewa.

Komitet zajmujący się wystawieniem pomnika ś. p. Jenerałowi Bosak-Hauke. 1871.

**Zürich.**

Castellare Emil. Mowa (o wolności wyznań). 1872.

**Paryż.**

Komissya pośrednicząca między krajem i wychodźstwem polskiém we Francyi. Do swoich wyborców 1871. Druk E. Martinet in 4<sup>o</sup> str. 3.

Plater Władysław hr. Mowa na posiedzeniu towarzystwa historycznego literackiego w Paryżu dnia 5 grudnia 1871 roku. Druk E. Martinet in 4<sup>o</sup> str. 4.

Wicherskiego Feliksa Miscellanea. Tom. I. 1872 str. 302. (Cztery księgi bajek, epigramy i wiersze różne).



# Korespondencya.

## LISTY Z PARYŻA.

### I.

Dzięki za położone we mnie zaufanie. Francuzowi otwieracie ramy polskiego pisma. Postaram się dać obraz życia naszego, zawiadamiając was o tutejszym ruchu naukowo-społecznym.

Ciężkie przebyliśmy próby. Uderzył w nas piorun, powalił o ziemię i ogłuszył nas. Zaczynamy przychodzić do siebie; zastanawiamy się nad nieszczęściem i niemocą naszą. Myśmy uważali siebie za pierwszy naród w świecie, wychwalaliśmy własną naukę, sztuki, politykę, przemysł, handel, bogactwo i potęgę, a inne narody, wtórując naszemu samochwalstwu, oddawały nam cześć jak bożkom. Doszły one do tego stopnia zapamiętałości, że nie tylko przybywały do nas po naukę, ale nawet po buty i kozule, uszyte ręką ich własnych robotników i z ich własnego materiału!...

I co się stało z naszą potęgą? Złamała się, jako się łamie sucha, wiotka trzcina, kiedy na nią wiatr silny powionie... Co się stało z naszym bogactwem? Przyszedł nieprzyjaciół i zagarnął je...

Nauczano nas, że jednym z warunków bogactwa narodowego jest praca; ale nam nie wskazano ni kierunku ni celu jój. Nasz język dla obrażenia daremnych, bezużytecznych trudów, posiada przysłowie: *Travailler pour le roi de Prusse*. Otóż ostatnie nasze pokolenie pracowało tylko dla króla pruskiego...

Niá dosyć jest pracować, ale trzeba jeszcze umieć zabezpieczyć swą pracę i obrócić ją na własny pożytek oraz na dobro ludzkości. Co po takim gospodarzu, który wychował piękną owczarnią, a niedba o wilkach, gnieźdzących się w pobliskim boru i chyłkiem porywających mu najtłustsze barany?...

Myśmy postępowali płocho, nieroztropnie. Uznawszy siebie za wielkich i potężnych, nabyliśmy nieograniczonej pychy, za którą poszła zarozumiałość. Prawda, że inne ludy skorzystały od nas wiele pod względem umiejętności, sztuk pięknych, przemysłu i życia społecznego; lecz my, wystepując w powadze mistrzowskiej, z doktorskim biretem na głowie, uważaliśmy je za naszych uczniów i traktowaliśmy jak żaków, nieraz używając



na nie dyscypliny i różgi... Kiedy nieszczęście nas spotkało, narody obce, rzecz prosta, odwróciły się od nas; my zaś jeliśmy czynić im wyrzuty, że nas opuściły haniebnie!...

Wypowiedzieliśmy przed światem zasadę: *Równość, Braterstwo, Wolność*, a nie wprowadziliśmy jej w życie, nie oparliśmy na niej naszych stosunków międzynarodowych. Tę zasadę zamknęliśmy w spiżarni jak kielbasę; ztąd poszło, iż opleśniała i kwas pruski wkradł się do niej. To też każdy, kto jej pokosztował, dostał najstraszliwszych kolek i o mało ducha nie wyzionął!...

W całej tej wzniósłej, pięknej zasadzie, pominęliśmy rzecz najgłówniejszą, bez której społeczeństwo ostać się nie może: — pominęliśmy *Sprawiedliwość*. Zatem nic dziwnego, że u nas największy zbrodniarz, łotr wierutny, bardzo często bywał i bywa na równi postawiony z najcnotliwszym człowiekiem; boć tego chce nasza ewangelia, zamykająca się w trzech słowach: *Równość, Braterstwo, Wolność*.

Nie mógł większej wyrządzić wam krzywdy, kto was nazwał Francuzami Północy. Między Polską a Francją taka różnica, jak między niebem a ziemią. Jesteśmy czuli na wasze i wszystkich Słowian przywiązanie do nas, ale na miłość Boga, nie zapatrujcie się na nas i nie naśladujcie nas. Wy posiadacie sami w sobie ideał; zapatrując się na Francję tracicie samodzielność, chycicie się do zupełnego upadku. Słowiańszczyzna ma w sobie nieprzebrane skarby, aby tylko umiała je obrócić na własne i ludzkości dobro!... Zachód nie umiał odpowiedzieć swemu posłannictwu; szereg germański przyjął za podstawę w życiu narodowym szatańskie słowa: *przemoc przed prawem*; do was, Słowianie, należy zbawić Europę i zaprowadzić sprawiedliwość i miłość bratnią między narodami.

Potrącam o nasze usposobienie, o nasz charakter narodowy, bo on wpływa na literaturę i sztuki piękne, na ten objaw życia narodowego, którym głównie zajmę się w niniejszych listach do was.

Dzisiaj literatura francuzka wzrasta drogą pracy i za pomocą publicznych odczytów. Dawniej mieliśmy jeszcze trzeci sposób rozwoju literackiego, używany przez niektóre znakomite rodziny. Przed laty trzydziestu istniały w Paryżu arystokratyczne domy, słynące gościnnością, a szczerze zajmujące się naukami i sztuką. Piękne i wysoko ukształcone gospodynie zgromadzały w pewne dni u siebie znakomitości polityczne, literackie, artystyczne i młodzież uniwersytecką. Polityka, (bez niej my Francuzi żyć nie możemy), poezja, muzyka, umiejętności i malarstwo występowały tam na scenę. Pamiętne są z owych czasów salony pani de Montcalm, siostry księcia Richelieu, dalej salony księżnych Duras i Broglie, u których rej wodzili tacy mężowie, jak Châteaubriand, Lafayette i Benjamin Constant. Na salonach pani de Sainte-Aulaire spotykano literatów z różnych obozów, bez względu na ich opinie polityczne. Tu zgromadzali się początkujący literaci i młode literatki, kawalerowie i panny. U pani Gay częstymi gośćmi bywali: Wiktor Hugo, Balzac, Nodier, Vigny, Sainte-Beuve, la Malibran i Emil de Girardin. Przedewszystkiem wspomnieć wypada o pani de Recamier, na salonach której w ciągu lat trzydziestu występowały wszystkie znakomitości europejskie. Aby wiedzieć czem był dom pani de Recamier należy czytać Lamartina i Sainte-Beuva: *Soirées de l'Abbaye-au-Bois*.

Z upadkiem Ludwika Filipa znikły te sławne salony, gdzie tyle było życia i powabu. Za cesarstwa znano tylko jeden dom pani Schwetchine,

u której przewodniczyli ksiądz Lacordaire i hr. Montalembert. Nastały inne czasy: bez pozwolenia policyi niewolno nam było zgromadzać się, wydawać uczty, a tem bardziej odbywać wieczory literackie. Przecięto nam związki rodzinne, starano się przytłumić wszystko, co człowieka ucznia i podnosi. Miłość ojczyzny poczytano za grzech, a przynajmniej za coś niebezpiecznego; usiłowano zamknąć to najwznioślejsze uczucie w ciasnem i brudnem kole służalstwa lub przywiązania do dynastyi, szerząc tym sposobem samolubstwo po całym kraju.

Literatura poważna rozwijała się poza obrębem cesarstwa i skierowana była przeciw niemu. Samo cesarstwo wydało tylko *Życie Cezara*, wodewile de Massa, oraz dwa dzienniki *Figaro* i *Gaulois*. Temi wodewilami zarażony został nasz teatr, który ma bliższy związek z obyczajami narodu, niż każdy inny rodzaj literatury. Cesarstwo poniżając charakter narodowy paraliżowało publiczne wychowanie, a popychając umysły do diletantyzmu sceptycznego, oziębiło natchnienie.

Ze świetnej epoki 1830—40 cesarstwo odziedziczyło Wiktora Hugo, Micheleta, Quineta, Proudhona, Sainte-Beuva, Littrégo, Teofila Gautier i George Sand, lecz ono nie zdołało ich przyswoić sobie. Po nich następują: Renan, Taine, Beulé, About, Ducamp, Weiss, Paradol, Dumas syn, Augier, Flaubert i Gonevurt, którzy z interesu lub z niedowiarstwa w połowie pogodzili się z istniejącym stanem rzeczy. Stali się oni mniej więcej narzędziem rządu: cesarstwo wiele im jest obowiązane. Renan zaprzeczył *bóstwa* Chrystusowi, a Taine obalił metafizykę; dziś Renan uznaje prawo *boskie* monarchii feudalnej, a Taine burzy spirytualizm, aby się rzucić w objęcia metafizyki.

Od roku 1865 grono młodych ludzi wystąpiło w dziedzinie wymowy, nauk ścisłych i polityki; takimi są: Rochefort, Gambetta, Ranc, Reclus, Lanfrey, Challeml-Lacour, Gustaw Flourens i inni. Lecz jedni z nich poszli w zapomnienie, a drudzy ulegli smutnemu losowi. Flourens zginął w ostatniej wojnie domowej; Rochefort skazany na deportacyą do Nowej Kaledonii, ten człowiek, który swą *Latarnią* oświecił Francyą i rozbudził w narodzie miłość kraju, zostającego pod samowolnym rządem Napoleona III, a Reclus, poważany w całym świecie naukowym, dotąd jęczy w więzieniu.

Filozofia za cesarstwa weszła na drogę czysto materyalną, w skutek postępów dokonanych w dziedzinie nauk przyrodniczych. Właściwie mówiąc my się nie zajmujemy filozofią w tem znaczeniu, jak ją rozumieją Niemcy lub wasi uczeni Trentowski, Libelt, Kremer, Cieszkowski. My oddajemy się głównie badaniom przyrody, wszystko pociągając pod doświadczenie i matematyczną pewność. Taki nasz charakter, że nie lubimy latać po obłokach. Żyjemy na ziemi i póki nam życia starczy, zaprzątamy się tylko rzeczami ziemskimi, starając się poznać ich prawa, wyciągnąć z nich użytek materyalny i moralny.

Kiedy Caro i Janet wykładali w Sorbonie, jeden o *instynkcie natury* i o *Bogu w stworzeniu*, a drugi o *rozumie czystym* Kanta, inni uczeni dawali nam pojęcia o świecie i człowieku, oparte li na doświadczeniu. Tak zwani deisci podali rękę wolnomyślnym, upatrując w upadku dzisiejszych wyznań religijnych, postęp prawdziwej religii. Postanowili oni założyć *Powszechny sojusz religijny* (Alliance religieuse universelle) na podstawie deizmu postępowego. W gronie tem znajduje się Edgar Quinet, który w ostatniem dziele *La Création* poszedł za metodą ściśle naukową. Czując,

że racjonalizm mistyczny traci wziętość, Quinet postanowił sprawdzić swe ulubione teorie na drodze doświadczenia. Przez lat dziesięć wertował Darwin'a i Huxley'a, Vogta i Larteta, nie pomijając nawet lingwistów, Picteta i Boppa. Szanowny kolega Adama Mickiewicza założył sobie ogarnąć całą wiedzę w dziedzinie przyrody i ludzkości. Upatruje on pewną paralellę między wypadkami przyrody i dziejami ludzkości; dowodzi, że przyroda ciąży ku duchowi, to jest ku wolności moralnej.

Jak Quinetowi trudno pozbyć się uczuć religijnych, tak znowu Taine nie może zerwać z metafizyką, pomimo największych wysiłków. Dwie trzecie swego dzieła *O rozumie* (de l'Intelligence) poświęca na zaprzeczenie spirytualizmu, który staje mu w poprzek na drodze ściśle naukowej. Taine sprowadza każdą ideę do obrazu, obraz do zmysłów czyli do czucia, a czucie do ruchu kuleczek w organizmie ludzkim. Nie przypuszcza on istoty obdarzonej tym ruchem, posiadającej czucie, które jest jedynym narzędziem poznania. On nie zna duszy. Świat i ciała wydają mu się jako widma metafizyczne, wywołane czuciem wewnętrznym, a przeniesione po za obręb nas samych, są obłąkaniem rzeczywistości lub fałszywym. Świat niczem więcej nie jest, jak składem sił, a każde ciało, zbiorem przedmiotów. W niebie, tym materializmie mistycznym, wedle Taina, panują tylko prawa, pewniki geometryczne i mechaniczne. Jednakże nie zdoławszy udowodnić powagi zmysłów, zmuszony jest przyjąć przyrodę za rzecz wprost przeciwną duchowi naszemu, a postępując bardzo logicznie, szuka podstawy bytu w nawyknięciach rozumu naszego. Zaprzeczywszy istotę, byt, przychodzi do przyczyn ostatecznych. A kiedy w końcu wykrzykuje: „zatrzymuję się na progu metafizyki,“ każdy zauważa, że Taine przestąpił ten próg na pierwszój stronnicy swego dzieła.

Na co się przyda powątpiewać o rzeczywistości ciał, kiedy zmysły, jedyne źródło poznania, dowodzą nam to jasno? Zamiast zajmować się podstawą pewności, pożyteczniej jest zbierać wszelkiego rodzaju owoce na obszernem polu wiedzy. W tym właśnie kierunku postępuje niezmordowany Littré, redaktor *Przeglądu filozofii pozytywnej*. W ciągu lat 1869—70 głównie roztrząsał pojęcia o sprawiedliwości, téj podwaliny społeczeństwa, o której zamilczała nasza narodowa ewangelia, jak już wspomniałem na wstępie niniejszego listu. Dalej Littré badał odpowiedzialność osobistą i społeczną. Na dnie tych badań spoczywa zamiłowanie prawdy i wielka moralność. Littré jest znany jako człowiek niepokalanego życia, porównałbym go z waszym Joachimem Lelewelem. Zawziętym nieprzyjacielem Littrého w dziedzinie religii i umiejętności jest ksiądz Dupanloup, biskup orleański, człowiek więcej powodujący się sercem niż rozumem, a pod względem naukowym nie wielka znakomitość. Przy każdej sposobności dostojny prałat oświadcza się z miłością dla ojczyzny, ale wspólnie z całym duchowieństwem jest przeciwny obowiązkowemu nauczaniu narodowemu. Zdaniem szanownych naszych kapłanów, nauka wyziębia uczucia religijne... Dzięki duchowieństwu religia we Francji stała się synonimem ciemnoty i fanatyzmu. Ktoby dzisiaj w Paryżu na publiczném zgromadzeniu ludowém odważył się wspomnieć imię Boga, wygwizdanoby go najniełitościwiej. My Francuzi straciliśmy zupełnie zmysł religijny. Jakaż ogromna pod tym względem różnica między nami, należącymi do kościoła katolickiego, a narodem angielskim, wyznającym protestantyzm!...

Ze zmianą rządów następuje zmiana w życiu społecznym; ztąd w literaturze i sztukach pięknych objawia się nowy zwrót. Co za rządów jednych bywa ubóstwiane, to za drugich staje się przedmiotem pogardy i nienawiści. Za Ludwika Filipa piśmiennictwo nasze pod niebiosą wyносиło Napoleona I. Wiktor Hugo pisał ody na cześć jego, a Thiers, szanowny nasz Prezydent Republiki, stylem tacitowskim opowiedział czyny Konsulatu i Cesarstwa, że już pominiemy inne tego rodzaju utwory. W tem Cezar Cantu, acz mierna powaga dziejopisarska, porównał Napoleona I z Atyllą. Za nim poszli: Juliusz Barni, Lanfrey, Pascal Grousset (*Coup d'Etat du 18 brumaire*) i Mario Proth (Bonaparte commediant-tragediante), a Komuna paryzka zrzuciła z piedestału posąg tego męża, przed którym niegdyś drżała cała Europa. U nas posunięto bałwochwalstwo do tego stopnia, że zamiast Matki Boskiej stawiano statwę Napoleona I. Dziś przejdźmy wzdłuż i wszerz Francją, a zaledwie naliczymy kilka set wielbicieli więźnia z wyspy Św. Heleny. We Francji prędko mija; my zarówno jesteśmy skorzy wznosić pomniki, jak i burzyć je. Umieszczamy zwłoki mężów naszych w Panteonie, aby po niejakim czasie prochy ich rozsypać na cztery strony świata. Każdy rodak nasz, któregośmy dziś okrzyczeli wielkim, może być pewnym, że jutro zostanie zmieszany z błotem. My obalamy brązowe posągi, kruszymy srebrne i złote pomniki, na cześć bohaterów i bogów naszych odlane, aby je przebić na monetę!...

Nasi historycy napadając na Napoleona I, nie oszczędzali i drugiego cesarstwa. Lecz pośrednio wymierzali swe pociski przeciw niemu. Beulé pisał dzieje władzy cesarskiej w Rzymie, z czego musiał się tłumaczyć przed Napoleonem III. Ampère ogłosił *Histoire Romaine*, podając w nienawiść panowanie cesarskie. Przeciw nim występowali: Troplong, Duruy i Dubois-Cachan, dowodząc, że demokracja Cezarów zapewniła szczęście światu. Augusta uznano za świętego, Tiberiuszowi przywrócono sławę, a o Neronie powiedziano, że dotąd jeszcze niezrozumiany. Co się tyczy Napoleona I, postanowiono go obronić publikacją jego własnych korespondencji. Ale ten świetny pomnik dowiódł, że Napoleon I był dzikim brutalnym, który w sobie skupiał nieograniczoną dumę z przymiotami najbiegłego oszusta. Dla uzupełnienia tego smutnego pomnika, Tenot opowiedział 2-gi Grudnia 1851 roku, a Taxile Delord napisał *Histoire du second Empire*, którego dotąd wyszły dwa tomy.

Ostatniemi czasy jedno dziełko w tym samym przedmiocie przybyło nam aż z zagranicy. Nosi ono tytuł: *Le dernier des Napoléon*. Powiadają, że tę książkę napisano w Wiedniu, przy pomocy austriackich mężów stanu, którzy dostarczyli do niej materyałów. Napoleon III odmalowany w tem dziele po mistrzowski, śmiało i bez żadnej nienawiści. Opłakany wpływ cesarzowej Eugenii, jaki wywierała na obyczaje nasze, przedstawiony w barwach rażących. Słowem jest to praca wielkiej wagi; bezimienny autor, osobisty przyjaciel nieszczęśliwego Maksymiliana, wykonał ją z całą prawdą i bezstronnością, jak przystało na dziejopisarza. Powiada on, że „historja jest katechizmem ludów, lecz ludy nie umieją czytać.“ Na to tylko trudno zgodzić się ze szanownym autorem, gdy utrzymuje, że pierwsze i drugie cesarstwo runęło jedynie dla tego, że przedstawiało rewolucją.

Autor zna wskrós Napoleona III, którego mądrość podziwiała cała Europa, lecz niewiadomo dla czego, jak się z tem często odzywał sam ks. Napoleon. Pewnego razu Bismark rozmawiając o księciu Grammont,

pośle przy dworze wiedeńskim, nazwał go najgłupszym w Europie. Cesarz dowiedziawszy się o tem, wyrzekł: „Właśnie dla tego obrałem go sobie.“ Książę Grammont poprzysiągł zemścić się na Bismarku, bez względu na Francją. Dumny, zarozumiały, szukał tylko pozoru, aby zaspokoić miłość własną, choćby kraj miał narazić na zgubę. Wiemy na czem się skończyła ta zemsta, która zarazem dowiodła, do jakiego stopnia myliła się Europa, uznając Napoleona III za monarchę wielce mądrego...

Napoleon III odznaczał się nadzwyczajną opieszałością i na wszystko był nieczułym. Ztąd łatwo sobie wytłumaczyć szkodliwy wpływ, jaki bardzo często jego sekretarze i naczelnicy gabinetu wywierali na sprawy najważniejsze. Każde pismo najsekretniejsze, adresowane do własnych rąk cesarza, było wprzód odczytane przez jego dworaków. Na tym osobliwszym dworze, każdy starał się zdobyć jakiś dokument kompromitujący, by wojować nim w razie potrzeby. Gdy rozmawiano o gorszących faworach, świadczonych takim ludziom, jak Saint-Arnaud, Magnan, Mocquard, odzywano się po prostu: „Oni są w posiadaniu papierów kompromitujących!“

Autor ocenia wyprawę meksykańską i poświęca jeden rozdział *Międzynarodowemu stowarzyszeniu robotników*. Rzeczona wyprawa uchwaloną została w salonach cesarzowej Eugenii, pod wpływem księdza de Labastide, arcybiskupa meksykańskiego, a Stowarzyszenia Międzynarodowego rodzonym ojcem jest książę Napoleon.

Autor wyprowadza z opisanych przez siebie faktów, taki sens moralny: „Okres Napoleonów już się zakończył; legendy o nich zastąpi pogarda ludu francuzkiego dla nich i srogi wyrok historii.“

Jest to sąd cudzoziemca, który wcale się nie pomylił.

Z ogłoszeniem Republiki nastąpił u nas nowy zwrot w piśmiennictwie i sztukach. Na polu muzyki pojawiło się mnóstwo piosenek a w dziale rysunków i drzeworytnictwa, pokazało się co niemiara karykatur, mających za przedmiot osoby, które w ostatnich wypadkach brały pewny udział. Wiem, że tego rodzaju utwory nie należą właściwie do dzieł sztuki, jednak pominąć ich nie można, jako jednego z objawów życia narodowego i jako materiału do historii.

Z Republiką dziennikarstwo odetchnęło, choć jeszcze nie używa zupełnej swobody. Jest to najważniejsza gałąź piśmiennictwa narodowego, szczególnie u nas we Francji, gdzie wszyscy z wielkiem upodobaniem biorą się do czytania. Sam Paryż liczy przeszło siedemdziesiąt pism peryodycznych, które razem posiadają blisko 800,000 prenumeratorów, a już nie mówimy o prowincyi, gdzie każde miasto departamentowe wydaje najmniej po jednym dzienniku. Dziennikarze robią u nas świetne interesa i oddają krajowi prawdziwe usługi. Każdy poważniejszy dziennik żywi chlebem powszednim co najmniej z parę set osób, a udziela pokarmu duchowego nieraz dla kilkudziesięciu tysięcy czytelników. Wszakże z boleścią musimy wyznać, że niektóre dzienniki nasze pisały i dotąd jeszcze piszą tylko za pieniądze, służąc despotom, ludziom ambitnym lub popierając niecne zamiary. Znaną jest sprawa dzienników i przeglądów, dla których pan Bismark ofiarował 2,000,000 franków, aby je mieć po swojej stronie.

Po dziennikarstwie, drugie miejsce co do ilości, obecnie zajmują publikacje treści historycznej, odnoszące się do ostatniej wojny. Lucyan, historyk rzymski, powiada, że wojna Marka Aureliusza z Partami wydała

rój dziejopisów, którzy wnet znikli, jak rój motyli w czasie burzy. To samo zjawisko ma miejsce u nas. Nie jeden pisał dla tego, aby powiedzieć, co robił, gdzie się znajdował i co mu się zdarzyło na wojnie lub podczas obłężenia Paryża. Nie jeden dyplomata, minister, mąż stanu, oficer wystąpił z książką, aby oddać sobie pochwały i powiedzieć światu, że jest wielkim człowiekiem. Stosy papieru zapisano. Przyszły dziejopis nie mało trudu będzie musiał sobie zadać, aby doszukać się prawdy wśród tego ogromu dokumentów i sprzecznych świadectw. Jednak nie brak na tem polu i dzieł poważnych, jak *Histoire de la guerre en province*, par de Freycinet, i *Metz, campagnes et négociations*, przez jednego z oficerów armii nadreńskiej.

Na scenie narodowej ukazały się nowe sztuki, ale niektóre z nich, jak np. *Rabagas* Wiktoryna Sardou, można postawić na równi z owemi karykaturami, o których nadmieniliśmy wyżej. Nie będziemy zatem zastanawiać się nad niemi, a przystąpimy do dzieła, znanego przeszło od lat trzydziestu, które od trzech miesięcy bez przerwy jest grywane w tutejszym teatrze odeońskim. Dawna to sztuka, a ile w niej świeżości, ile powabu i wzniosłych myśli! To też Paryżanie nasycić się nie mogą widokiem tego dzieła, które za cesarstwa należało do zakazanych owoców... Każdy utwór mistrzowski to ma do siebie, że coraz staje się powabniejszym. Im się częściej czyta Dantego, Shakspearę, Schillera, Pana Tadeusza, tem większej przyjemności i wewnętrznego zadowolenia doznaje człowiek. Albo poglądaj na dzieła Rafaela, Michel-Angelo, Tycyana, Canovy, Thorwaldsena, wpadniesz w zdumienie i zadumanie, gotówes oczy wypatrzeć, jak znowu bez końca słuchałbyś Mozarta, Bethovena, Mayerberów i cudne mazury Chopina.

Chcemy tu mówić o *Ruy Blasie* Wiktora Hugo.

Ruy Blas, to lud, jak sam poeta powiada w przedmowie do dzieła. Lud mający przed sobą przyszłość, a poniewierany w chwili obecnej: lud sierota, biedny, ale potężny wiarą, uczuciem i zdrowym rozumem. Nosi on na grzbiecie ślady niewoli, ale w sercu ma poczucie, że stworzon na obraz i podobieństwo Boga. Ruy Blas, lud służący za lokaja u grandów hiszpańskich pod koniec XVII wieku, kiedy monarchia się chwieje, dynastya gaśnie a prawo bywa pogwałcone; kiedy jedność polityczna rozrywa się w skutek intryg; kiedy wyższe warstwy społeczeństwa bękarcieją, wyrażają fizycznie i moralnie. Jedna część szlachty, mniej zacna pozostaje u dworu, aby go grabić i okradać. Myśląc tylko o sobie, stara się zzbogacić siebie kosztem dobra pospolitego. Zdobywa sobie godności i dostojenstwa, rabuje wszystko. Ambicya i chciwość jest główną zaletą tych ludzi. Żyją oddani li rozkoszy i dumie, a życie takie prowadzi do przytłumienia w sobie uczuć wrodzonych; stąd człowiek staje się okrutnym — zwierzęce. Tę szlachtę przedstawia poeta w osobie don Sallusta de Bazan.

Rozpaczliwy stan królestwa popycha drugą połowę szlachty w inną stronę. Ta, nieco zaniejsza, lepiej urodzona od tamtej, wraca do swoich zamków, pałaców albo do dóbr obszernych. Ma wstręt do spraw publicznych: zbliża się koniec świata, więc po co zadawać sobie trudów, — lepiej jest zamknąć oczy na wszystko, zatkać sobie uszy, a żyć wesoło, pić, kochać się, szaleć. Taki szlachcic skupuje konie, wzbogaca kobiety, wydaje uczy, sprawia rajskie wesela, szasta pieniędzmi na wszystkie strony, „boć obowiązkiem chrześcianina i mędrca robić dobry użytek z pieniędzy.“ Narreszcie zaprzeda je lichwiarzom i z dymem puszcza swoją fortunę. Wtedy

zapomniany od przyjaciół, a ścigany od wierzących, staje się awanturnikiem, zawadyakiem, włóczęgą jak Cygan. Rzuca się między czerń, której dotąd nie spostrzegął u nóg swoich, i ginie w tłumie. Nie posiada już on złota, ale ma słońce, to niewyczerpane bogactwo dla ubogich... Dawniej mieszkał u szczytu społeczeństwa, dzisiaj przebywa na samym dole, sztyjąc sobie z bogatych i potężnych krowniaków swoich. Staje się filozofem, w oczach którego złodzieje i dworacy jedno znaczą. A obok filozofa znajdujemy w nim poetę, żebraka i księcia zarazem. Ze szlachectwa nic mu nie pozostało prócz cześci, którą wyżej ceni nad bogactwo; — prócz imienia, z którym się ukrywa; — prócz szpady, którą pokazuje całemu światu. Tę szlachtę widzimy uosobioną w don Cezarze de Bazan.

„Jestem wielkim panem — powiada on o sobie — nazywam się Cezar, hrabia na Garofie. Przyszedłem na świat w czepku. Byłem bogaty, miałem pałace, obszerne dobra, a w dwudziestym roku życia, wszystko zjadłem... Spieć sobie pod gołym niebem i jestem szczęśliwi!...“

Zdaniem tego szlachcica „człowiek niczém więcej nie jest, jak czarnym kłębem dymu, który wybucha z ognia namiętności...“

Ponad temi trzema osoby góra dona Marya Nejburska, królowa hiszpańska, istota niepokalana. Jest żoną, ale jak gdyby nie miała męża; jest królową, ale jak gdyby bez króla, który całe życie zajety łowami, gdzieś tam daleko od stolicy. Król Karlos posyła do królowej listy, w których donosi, że na polu silny wiatr wieje i że ubił sześć wilków, jak gdyby tym świętnym czynem myśliwskim uszczęśliwił swój naród i dowiódł gorącej miłości dla swój małżonki...

Dona Marya, powodowana miłosierdziem, wdycha do niższych od siebie, kiedy Ruy Blas, lud, patrzy w górę, marzy tylko o królowej, kocha ją całym sercem. On nie umie zdać sobie rachunku z tej miłości. Spowiada się ze swoim uczuciem przed don Cezarem, a w uniesieniu woła: „Umykaj odemnie szaleńca, który pod ubraniem lokajskim nosi namiętność królewską!“

Te cztery główne osoby, uważane są ze stanowiska czysto ludzkiego, co innego przedstawiają. Don Sallust wyobraża samolubstwo bez granic; don Cezar przeciwnie, bezinteresowność i zapomnienie o sobie; w Ruy Blasie zaś widzimy geniusz i namiętność pod uciskiem społeczeństwa, a ten geniusz i ta namiętność tem dzielniej się objawiają, im większy ucisk. Nareszcie królowa jest obrazem cnoty, niezadowolaniem nurtowanej.

Pod względem sztuki, don Sallust jest dramatem, don Cezar komedią, a Ruy Blas tragedją.

Don Sallust wypadł z łaski dony Maryi, za to, że nie chciał poślubić panny należącej do jej orszaku. Wydalony z królewskiego dworu, postanawia wyrzucić zemstę na królowej, za pośrednictwem Ruy Blasa, lokaja swego. Don Sallust nakazuje mu zostać kochankiem królowej, pod przybranem imieniem don Cezara. Rozkaz łatwy do spełnienia, bo Ruy Blas oddawna zakochany w królowej, a teraz jako don Cezar wchodzi do jej dworu. Szczęście mu dopisuje: po jakimś czasie zostaje pierwszym ministrem, księciem, grandem. Królowa poważa Ruy Blaza, pośpiesza na wskazane miejsce, otrzymawszy od niego list, który dawno był napisał do niej w imieniu Cezara, sam nie wiedząc co pisze, za podyktowaniem don Sallusta, kiedy ten nakazał mu zostać kochankiem dony Maryi, tej cnoty uosobionej. Ruy Blas doznaje poniżenia od swego pana, który nakazał mu wrócić do liberyi lokajskiej. Pokrywa ją długiem, czarnem ubraniem, niby

całunem i zamysła odebrać sobie życie. Trzyma w ręku flakonik z trucizną, a dusza jego wylewa się najwznioślejszem uczuciem dla swego ideału. W tej chwili właśnie staje przed nim ten ideał, królowa przybywa w skutek owego listu, przesłanego teraz przez don Sallusta. Ruy Blas sam na sam znalazłszy się z królową, wyznaje dla niej miłość swoją. Pod tę porę, zjawia się jak mara, don Sallust, a zwracając się do dony Maryi, powiada jej, że pani Nejburska nie jest już królową hiszpańską, jeno nierozłączną towarzyszką Ruy Blaза. Rzym unieważni małżeństwo królewskie. „Tracąc tron — rzecze jej — szczęście pozyskasz,“ a wskazując na Ruy Blaза, dodaje z urąganiem się: „Cezar cię kocha, jest godnym ciebie: pochodzi ze znakomitego domu, jest księciem Olmedo, Bazanem i grandem hiszpańskim.“

Na to, mniemany Cezar z uniesieniem odpowiada: „Nazywam się Ruy Blas, jestem lokajem!... Noszę ubiór lokajski, lecz w tobie przebywa dusza lokaja!...“ W tej chwili zrzuca ze siebie wierzchnie ubranie i występuje w liberyi lokajskiej.

Don Sallust z najwyższem zadowoleniem dalej prowadzi rozmowę z królową. „Poniżyłaś mię, a ja cię zrzucam z tronu; skazałeś mię na wygnanie, a ja cię wypędzam z królestwa; chciałaś mi dać za żonę swoją służącą, a ja ci dałem za kochanka mego lokaja... Będiesz mogła go poślubić.“

Na tyle obrazy wyrządzonej majestatowi królewskiemu, Ruy Blas, ten biedny lud, uderza na don Sallusta i własną jego szpadą odejmuje mu życie. Nareszcie wypija truciznę i kona w objęciach królowej.

Nie potrzebujemy tu się rozwodzić nad tem dziełem pod względem literackim. Wiersz udatny, język czarujący, jak zawsze u Wiktora Hugo.

Niedawno temu wydał on nowe dwa dzieła: *Słowa i czyny* (Paroles et actes) i *Rok straszliwy* (Année terrible). W obu książkach autor wiele mówi o sobie. Już to trzeba wyznać, że nasz wielki poeta został od natury obdarzony niepospolitą dozą miłości własnej. W *Słowach i czynach* więcęj znajdujemy częzj gadaniny, niżeli czynów. Wychwalanie Paryża i Francyi posunięte aż do cklowości. My wszyscy Francuzi umiemy dobrze *blagować*, a najbieglejszymi w tem rzemiośle są nasi poeci... Wszakże w *Słowach i czynach* zasługuje na uwagę mowa, którą Hugo, jako deputowany paryzki, powiedział w Bordeaux na zgromadzeniu narodowém. *Rok straszliwy* jest osnuty na wypadkach z czasów oblężenia Paryża, kiedy nasze żołądki stały się arką Noego; bośmy zjedli woły, barany, wieprze, konie, muły, osły, wielblądy, słonie, lwy, tygrysy, koty, psy, szczury, myszy, indyki, strusie, gołębie, wrony, kruki, wróble; wszelkie rodzaje zwierząt, jakie się znajdowały w naszej stolicy.

W maju została otwartą wystawa sztuk pięknych. Nieomieszkam zdać wam o niej sprawę w następnym liście, a tą razą pozwalam sobie powiedzieć kilka słów o Henryku Regnault, którego obrazy niedawno temu były na widok publiczny wystawione.

Nie jednemu zdarzyło się widzieć znakomitych mistrzów z nadwyzczajną śmiałością chwytających akordy po stole, a bojaźliwie przystępujących do fortepjanu. Ten fakt robi mię oględnym w zdawaniu rachunku z wrażeń, jakie na mnie sprawia utwór artystyczny. Aby ocenić dzieło sztuki, należy nie tylko wzniesć się do wysokości artysty, ale jeszcze górować nad nim. Każde dzieło oceniamy samo w sobie i w stosunku do społeczeństwa.



Od dwóch lat nie mieliśmy wystawy sztuk pięknych. Wojna nie tylko stanęła temu na przeszkodzie, ale jeszcze nam zabrała, wielu artystów, którzy jako ochotnicy pośpieszyli na obronę kraju. Do rzędu tych należy Henryk Regnault, znakomity malarz i dobry syn ojczyzny, poległy w bitwie pod Buzenval, 19 stycznia 1871 roku.

Artysta zostawił mnóstwo szkiców, naprędce schwyconych z natury. Tu spostrzegasz rzekę, ówdzie góry i lasy. Obok obrazków natury, uderzają nas widoki miast, kościołów, ściany zewnętrzne i wewnętrzne rozmaitych pomieszczeń, poczynając od świetnych pałaców, aż do skromnych szynków i chat wiejskich. Mamy też wiele szkiców, których przedmiotem alhambra, typy i okolice Hiszpanii, gdzie Regnault podróżował przed wojną. Tam widzimy głowę, ówdzie tors, ręce lub nogi, a te głowy, tuławy, ręce i nogi, w rozmaitych postawach, — rzekłbyś, że artysta wahał się wśród nawału myśli: tu wylewa żywe natchnienie na papier lub płótno, to znowu postępuje za natchnieniem własnych utworów. Zasluguje także na uwagę liczne szkice zwierząt, oddanych z wielką prawdą i ognistym poczuciem. Zachwyca twe oko lwy, tygrysy, konie, woły, osły, kozy, psy, koty, pawie, a nawet motyl w towarzystwie much, wykończony z chińską subtelnnością. Wszędzie napotykaś mistrza, choćbyś patrzył tylko na lwie łapy, lub osłe uszy samotnie przedstawione. Niedosyć na tem: maluje on jeszcze kwiaty, owoce i zbroje obok szklanek, butelek na policach, stołach lub krzesłach pokrytych sukniem, futrem, dywanami, a wszystko udatne i harmonijne.

Wśród chaosu tych szkiców, akwarel i olejnych malowideł, trzy dzieła górują nad innymi.

Pierwszem jest portret marszałka Prima, naturalnej wielkości. Prim siedzi na ognistym rumaku andaluzyjskim, który będąc pohamowany ręką jeźdźcy, raptem zatrzymał się w galopie i jak wryty stanął na wzgórze. Oko krwią mu zabiega, a z pyska toczy się piana. W dali, na dole, w cieniu, lud zbrojny, uniesiony zapałem, wita swego marszałka okrzykami. Marszałek wybladły, bez czapki, z roztarganemi włosy na głowie, z wyrazem trwogi, zmęczenia i niepewności, niewiedzący co ma począć, — jakby się przeląkł własnego dzieła, wywołanej w kraju rewolucyi... Ta właśnie ujemna strona portretu, czyni go najbardziej zajmującym. Pod względem technicznym ma ten obraz jedną wadę: przednia część konia, przedstawionego *en trois quarts*, jest za ciężka. Zresztą ruch, życie, pewność i wierność rysunku zadziwiająca. Koloryt cudowny, pełno światła, łudzącej perspektywy i wydatności.

Drugi obraz, Salomea, uliczna tancerka. Siedząc trzymając na kolanach półmisek złoty z kindżałem i innymi przedmiotami, należącymi zapewne do jej rzemiosła. Z pod kruczycy, dziko rozczochranych włosów, jak żar iskrzący oczy, złagodzone szczerym uśmiechem. Obraz ten zasługuje na szczególną uwagę pod względem kolorytu. Tło jest żółty atlas, siedzenie pokryte żółtą tkaniną, na kolanach złoty półmisek, pełen złotych sprzętów; sama Salomea ubrana w złocistą, przezroczystą, krótką po kolana spodniczkę, w żółtych pantofelkach, a pod nogami skóra tygrysia. Wszystko żółte, a tak wydatne, wydzierające się nie tylko ze tła, ale i z ram, że malarz wprawia w rozpacz. Wśród tych jasnych barw i lśniącego światła, oddanych z niewypowiedzianą siłą i zdumiewającą prawdą, zaokrągla się żywe, młode, ciepłe, delikatne ciało tej płochy dziewczyny, ale to tak się zaokrągla jak sama natura. Patrzysz, przypatrujesz się, odchodzisz i zbliżasz

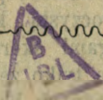
się, zaglądasz z prawa i z lewa, a im się dłużej wpatrujesz, w tem większe wpadasz złudzenie i gotówes przysiądz, że to prawdziwe ciało; że w tych sinych żyłkach gorąca krew płynie; żeś w stanie jęj tętna policzyć. W tem dziele nie znać pracy artysty: tu nie masz ni linii, ni konturów, ni barw, tu sama żyjąca przyroda. Nie dziw więc, że zachwyceni artyści, z rozpazą odchodzą od tego obrazu. Oryginalny ten utwór, może jedyny w swoim rodzaju, dowodzi jak wysoko stanąłby Regnault, gdyby go nam nie zabiła kula pruska.

Trzecie nareszcie malowidło, jest obraz śmierci. U stóp kata, Araba, trup, a poniżej o trzy schodki, leży głowa w takiej postawie, że może widzieć kata. To też patrzy na niego ze złością, kiedy rękawem ociera krew z miecza. Kat ogląda na ściętą głowę bezdusznie, z wyrazem fanatycznego fatalizmu. W obrazie tym równie znajdujemy żółte na żółtem, ale on nie sprawia tego wrażenia co Salomea. Okropny widok! Ta kałuża czarnałej krwi na schodach, ta krew tryskająca ze szyi dopiero co rozplątanej, — odpycha każdego; człowiek mimowoli się odwraca i zamyka oczy na to ohydne widowisko. Tu znajdujemy upadek artysty, biorąc na uwagę li stronę moralną dzieła. Ten kat i kilka wstępnych szkiców do niego, okazują, że młody, dwadzieścia osiem lat mający, niepospolity artysta, został już zwichnięty. To jeszcze powinno każdego zastanowić, że ani jedna wyższa, prawdziwie artystyczna myśl nie przebija się wśród tylu pięknych wyrobów Regnaulta. Mimo ten niedostatek artystyczny, nie przestaniemy go mile wspominać. Nie jeden słynie jako znakomity malarz, wielki poeta lub erudyta, ale jest miernym obywatelem, lichym człowiekiem, Henryk Regnault nad życie ukochał ojczyznę, to też Francya, póki zostanie Francją, nie zapomni o swoim synu!...

A. de Large.

**Kronikę i Rozmaitości** dla nieprzewidzianych okoliczności, zmuszeni jesteśmy odłożyć do IV tomu pisma „**Nadziś.**“

Redakcyja.





SP 6403 (m)

BIBLIOT  
Bib. Jag.



P.  
424